

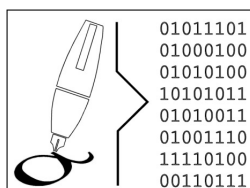
**Philip K. Dick**

# **My zdobywcy**

**THE DAYS OF PERKY PAT**

**Tłumaczyła: Magdalena Gawlik**

**Copyright © 1987**  
**Wydanie polskie 2002**



*Dawniej wierzyłem, że wszechświat ma z gruntu wrogie nastawienie. I że nie pasuję do niego, jestem inny... dostosowany do odmiennej rzeczywistości i przez pomyłkę zostałem umieszczony tutaj. Moje ścieżki prowadziły w przeciwną stronę do jego ścieżek. I że wyłonił mnie spośród ludzi ze względu na moją inność. Zupełnie się ze sobą nie zgadzaliśmy.*

*Bałem się, że wszechświat odkryje, jak bardzo się od siebie różnimy. Podejrzewałem, że w końcu odkryje prawdę o mnie i że jego reakcja będzie zupełnie naturalna — zrobi ze mną porządek. Nie uważałem, że jest nikczemny, lecz jedynie spostrzegawczy. A jeśli jest w tobie coś dziwnego, nie ma nic gorszego od spostrzegawczego wszechświata.*

*W tym roku uświadomiłem sobie jednak, że to nieprawda. Wszechświat wcale nie jest spostrzegawczy, ale przyjazny... i wcale nie uważam, abyśmy się od siebie różnili.*

Philip K. Dick w wywiadzie udzielonym w 1974 roku  
(z „Only Apparently Real”)

## WSTĘP

### SKĄD WIECIE, ŻE CZYTACIE PHILIPA K. DICKA?

Myślę, że przede wszystkim chodzi o niezwykłość. Dick był i jest niezwykły. To chyba właśnie z tego powodu nieustannie kartkowałem katalogi wydawnicze s.f. szukając jakiegokolwiek wzmianki na jego temat i niecierpliwie czekałem na ukazanie się kolejnych powieści. Mówi się, „X po prostu nie myśli jak inni ludzie”. W przypadku Dicka jest to stwierdzenie zgodne z rzeczywistością. Nie sposób przewidzieć zakończeń jego opowiadań.

A jednak jego bohaterowie zostali pozornie ukształtowani na podobieństwo zwykłych ludzi — poza występującą niekiedy szaloną, rozkrzyczaną postacią płci żeńskiej, będącą jedną ze specjalności Dicka i traktowaną z niezmienną dozą czułości. To zwykli osobnicy wplątani w dziwaczne sytuacje, ludzie zarządzający siłami policyjnymi z pomocą bredzenia prekognitywnych szaleńców, albo stający twarzą twarzą z replikującą się fabryką, która przejęła panowanie nad Ziemią. Istotnie, jednym z czynników owej niezwykłości jest precyzja, z jaką w przeciwieństwie do innych pisarzy Dick konstruuje dla swoich postaci realny świat.

W ilu innych opowiadaniach SF dowiadujecie się, w jaki sposób bohater zarabia na życie, nim wpadnie on w pajęczynę akcji? Ach, może jest członkiem załogi kosmicznej, albo naukowcem w takiej czy innej dziedzinie. Albo młodym Werterem. U Dicka zajęcie bohatera poznajemy na pierwszej stronie. Ta zasada nie dotyczy wszystkich opowiadań zawartych w tym tomie (sprawdziłem), lecz troska o podobne szczegóły jest wszędzie, zwłaszcza w powieściach. Powiedzmy, że bohater zajmuje się handlem antykami; wraz z pojawieniem się nowego egzemplarza zastanawia się, czy da się go sprzedać. Gdy umarli mówią, udzielają zawodowych rad. Dick nigdy nie zakłada, że wiemy, w jaki sposób jego bohaterowie zarabiają na chleb. To część pewnej „wytrwałości” cechującej jego styl.

Innym elementem owej wytrwałości jest fragmentaryczność dialogów. Trudno ocenić, czy dialogi Dicka są doszczętnie nieprawdziwe, czy też prawdziwsze niż inne. Jego bohaterowie nie tyle oddziałują wzajemnie na siebie w sensie werbalnym, ile prowadzą monolog celem podtrzymania akcji bądź też zwiększenia orientacji czytelnika.

Sytuacje zaś są typowe Dickowskie. Jego „fabuły” nie mają sobie równych w s.f. Jeśli Dick pisze opowiadanie o, powiedzmy, podróży w czasie, ułoży je w taki sposób, że stanie się zupełnie *sui generis*. Nietrudno przewidzieć, że element centralny wcale nie zostanie umieszczony w centrum uwagi, lecz dotrze do nas okrężną drogą, poprzez, na przykład, wybory polityczne.

Poza tym jakiegokolwiek podobieństwo pomiędzy Dickiem a pisarzem posłusznym regułom gatunku jest czysto przypadkowe. Odnoszę niekiedy wrażenie, że wie wprawdzie, co dzieje się, gdy włączamy lampę do kontaktu, lecz poza tym istnieją nikłe dowody głębszej wiedzy zarówno z dziedziny techniki, jak i nauki. Jego nauka polega wyłącznie na znajomości technologii duszy, przy powierzchownej orientacji w dziedzinie psychologii.

Dotychczas kosztem jego zalet skupiłem się na dziwactwach. Co sprawia, że czytanie Dicka? Cóż, przede wszystkim niezwykłość, jak już powiedziałem, lecz niezmiennie wiąże się z tym atmosfera dążenia, desperackich prób podejmowanych przez bohaterów, by osiągnąć pewien cel lub chociażby zrozumieć to, co się wokół nich dzieje. Znaczny procent bohaterów Dicka to ludzie umęczeni; w ukazywaniu rozpaczony Dick jest prawdziwym ekspertem.

Mistrzostwo osiągnął również w przedstawieniu spustoszenia. Kiedy nas raczy spustoszeniem, powiedzmy, po bombie, jest to spustoszenie jedyne w swoim rodzaju. W niniejszym tomie mamy jeden tego przykład. Lecz wśród spustoszenia znajdujemy inne charakterystyczne elementy, małe zwierzątka.

Owe małe zwierzątka to często mutanty albo nieduże roboty, w które wstąpiło życie. Ich istnienie pozostaje niewyjaśnione, często pojawiają się jedynie na chwilę w wypowiedzi epizodycznej postaci. I co one robią? Również dążą. Zmarznięty strzyżyk otula się kawałkiem gałgana, zmutowany królik chce zbudować dom, rozgląda się i planuje. Poczucie nieustannej krzątaniny w krajobrazie, którego każdy element żyje, mimo przeciwności, własnym życiem, próbuje żyć, jest typowo Dickowskie. Wśród ostrych krawędzi, i zmagani niesie współczucie, którego istnienia dopatrujemy się w Dicku, lecz które nigdy otwarcie się nie ujawnia. To przesłanie miłości, zawsze pospiesznie tłumione, przebłyskuje z opowieści Dicka i nie pozwala łatwo o nich zapomnieć.

James Tiptree, Jr.  
grudzień 1986

# OPOWIADANIA

AUTOFAB	— 6
WEZWANIE DO NAPRAWY	— 29
JEŃCY	— 47
MODEL YANCY'EGO	— 63
RAPORT MNIEJSZOŚCI	— 83
MECHANIZM PAMIĘCI	— 119
NIEPOPRAWNA M	— 135
MY ZDOBYWCY	— 168
GRA WOJENNA	— 179
GDYBY NIE BENNY CEMOLI	— 195
NOWOŚĆ	— 215
TOPIK	— 243
CO MÓWIĄ UMARLI	— 274
ORFEUSZ O GLINIANYCH STOPACH	— 322
CZASY SWAWOLNEJ PAT	— 336
STAN GOTOWOŚCI	— 359
CO ZROBIMY Z RAGLANDEM PARKIEM	— 377
BLOBLEM BYĆ	— 399

**AUTOFAB**

## I

Wśród czekających rosło napięcie. Palili papierosy i spacerowali tam i z powrotem, kopiąc mimochodem rosnące na poboczu kępy chwastów. Na brunatne pola, rzędy schludnych, plastikowych domostw oraz odległe pasmo gór na zachodzie spływał upalny blask słońca.

— Już niedługo — doszedł do wniosku Earl Perine, zacierając dłonie. — Czas przybycia różni się w zależności od ciężaru, połowa sekundy za każdy dodatkowy funt wagi.

— Wszystko starannie obmyśliłeś? — zapytał gorzko Morrison. — Jesteś równie paskudny jak ona. Udawajmy, że po prostu przypadkiem się spóźnia.

Trzeci mężczyzna nie zabrał głosu. O'Neill przybył z innej osady; nie znał Perine'a ani Morrisona na tyle dobrze, aby się z nimi sprzeczać. Zamiast tego przykucnął i uporządkował papiery przypięte do aluminiowej tabliczki. W promieniach słońca opalone, włochate ramiona O'Neilla połyskiwały od potu. Żyłasty, o spletanych siwych włosach i w rogowych okularach wsuniętych na nos wydawał się starszy od pozostałych dwóch. Miał na sobie luźne spodnie, sportową koszulę oraz buty na gumowej podeszwie. Pewnie biegnące po papierze pióro słało spomiędzy jego palców metaliczne refleksy.

— Co tam pieszysz? — wymamrotał Perine.

— Szkicuję opis procedury, którą mamy zamiar zastosować — odparł łagodnie O'Neill. — Lepiej usystematyzować to teraz, niż podejmować próby na chybił trafił. Chcemy wiedzieć, czego próbowaliśmy i co się nie powiodło. Inaczej zacniemy kręcić się w kółko. Nasz problem polega na braku komunikacji; przynajmniej ja tak to widzę.

— Komunikacji — przyznał gardłowym głosem Morrison. — Tak, za nic nie możemy nawiązać z tym cholerstwem kontaktu. Przybywa, zrzuca swoje ciężary i odjeżdża — nie istnieje pomiędzy nami żadna łączność.

— Przecież to maszyna — zaoponował w podnieceniu Perine. — Jest martwa... ślepa i głucha.

— Lecz kontaktuje się ze światem zewnętrznym — zaznaczył O'Neill. — Musi istnieć sposób, aby do niej dotrzeć. Rozróżnia pewne określone sygnały semantyczne; trzeba jedynie je odnaleźć. Czy też odkryć na nowo. W grę wchodzi może tuzin spośród miliarda możliwości.

Rozmowę trzech mężczyzn przerwał głuchy łoskot. Czujnie unieśli głowy. Nadszedł czas.

— Oto i ona — powiedział Perine. — Dobra, mądrale, zobaczmy, czy zdołacie wprowadzić w tę rutynę choć jedną zmianę.

Potężna ciężarówka trzeszczała pod ciężarem załadowanego na niej towaru. Pod wieloma względami przypominała konwencjonalne pojazdy transportowe kierowane przez ludzi, z jednym wyjątkiem — nie było w niej szoferki. Powierzchnia pozioma stanowiła platformę ładunkową, a część, gdzie normalnie powinny znajdować się reflektory oraz chłodnica, miała postać gąbczastej masy receptorów, aparatu sensorycznego tej ruchomej, użytecznej maszyny.

Świadoma obecności trzech mężczyzn ciężarówka zwolniła, zmieniła bieg, po czym zahamowała. Chwilę trwało przesuwanie dźwigni; następnie sekcja powierzchni ładunkowej zadygotała i zrzuciła na drogę kaskadę ciężkich kartonów. W ślad za nimi sfrunęła kartka ze szczegółowym spisem towaru.

— Wiecie, co robić — rzucił pospiesznie O'Neill. — Szybciej, zanim odjedzie.

Mężczyźni z wprawą dopadli kartonów i zerwali z nich osłony. Błysnęła zawartość paczek: mikroskop, radio przenośne, stopy plastikowych naczyń, akcesoria medyczne, żyłetki, odzież, żywność. Znaczną część towaru stanowiła jak zwykle ta ostatnia. Trzej mężczyźni przystąpili do systematycznego niszczenia przedmiotów. W ciągu kilku minut wokół nich wyrosła góra śmieci.

— Zrobione — rzucił zdyszany O'Neill, ustępując krok w tył. Sięgnął po swoje notatki. — Teraz zobaczmy, co ona na to.

Odjeżdżająca ciężarówka zatrzymała się raptownie i cofnęła w ich kierunku. Jej receptory zarejestrowały fakt zniszczenia pozostawionego przed chwilą ładunku. Wykonawszy zgrzytliwy półobrót, skierowała się przodem do mężczyzn. Jej antena powędrowała w górę; nawiązała łączność z fabryką. Czekwała na przesłanie instrukcji.

Z ciężarówki posypała się sterta identycznego towaru.

— To na nic — jęknął Perine na widok bliźniaczego spisu, który powędrował w ślad za kartonami. — Tyle rzeczy zniszczyliśmy na darmo.

— I co teraz? — zapytał O'Neilla Morrison. — Jaka następną strategię kryjesz w zanadrzu?

— Pomóżcie mi. — O'Neill chwycił jeden z kartonów i powłókł go z powrotem w stronę ciężarówki. Wrzuciwszy go na platformę, skierował się po następny. Pozostali dwaj mężczyźni z ociąganiem uczynili to samo. Złożyli towar tam, skąd przybył. Gdy ciężarówka ruszyła, ostatnie pudło wylądowało na swoim miejscu.



Ciężarówka zawahała się. Jej receptory odnotowały powrót towaru. Ze środka mechanizmu dobiegło głucho, monotonne buczenie.

— Doszczętnie ją to ogłupi — zawyrokował spocony O'Neill. — Przeprowadziła swoją operację i nie osiągnęła celu.

Ciężarówka przeprowadziła nieudaną próbę odjazdu. Następnie zawróciła i za jednym zamachem ponownie zrzuciła towar na drogę.

— Brać je! — wrzasnął O'Neill. Wszyscy trzej chwycili kartony i gorączkowo władowali je na platformę. Lecz z chwilą gdy kolejny raz znalazły się na ciężarówce, ta niezwłocznie strząsnęła je na ziemię.

— To bez sensu — stwierdził bez tchu Morrison. — Jakbyśmy czerpali wodę sitem.

— Przegraliśmy — stęknął z rezygnacją Perine — jak zawsze. My, ludzie, przegrywamy za każdym razem.

Ciężarówka beznamiętnie zmierzyła ich receptorami. Wykonywała swoją pracę. Planetarna sieć automatycznych wytwórni gładko wypełniała obowiązki narzucone na nią pięć lat wcześniej, we wczesnym okresie Totalnego Konfliktu.

— Odjeżdża — zauważył posępnie Morrison. Ciężarówka schowała antenę; wrzuciła niższy bieg i zwolniła hamulec.

— Ostatnia próba — oznajmił O'Neill. Rozdarł jeden z kartonów. Wyciągnął z niego dziesięciogalonowy zbiornik z mlekiem i odkręcił pokrywę. — Myślicie, że to głupie.

— To kompletna bzdura — odrzekł Perine. Ze stosu śmieci niechętnie wygrzebał kubek i zanurzył go w mleku. — Dziecinada!

Ciężarówka przystanęła, obserwując ich bacznie.

— Róbcie, co mówię — rozkazał ostro O'Neill. — Tak jak ćwiczyliśmy.

Wszyscy trzej wychylili duszkiem zawartość kubków, rozmyślnie pozwalając, by mleko pociekło im po brodach; pragnęli rozwiać wszelkie wątpliwości co do wykonywanej przez nich czynności.

Tak jak planowano, O'Neil zareagował pierwszy. Krzywiąc się z obrzydzeniem, odrzucił kubek na bok i szybko wypluł mleko na drogę.

— Na miłość boską! — zachłysnął się.

Pozostali dwaj uczynili to samo; tupiąc i przeklinając głośno, kopnięciem przewrócili zbiornik, kierując na ciężarówkę oskarżycielskie spojrzenia.

— Ohyda! — ryknął Morrison.

Zaciekawiona ciężarówka podjechała bliżej. Elektroniczne synapsy kliknęły i zaszumiały, ustosunkowując się do sytuacji; antena wystrzeliła w górę.

— Chyba trafiliśmy w sedno — powiedział O'Neil, trzęsąc się na całym ciele. Pod uważnym spojrzeniem ciężarówki wciągnął kolejny zbiornik z mlekiem, odkręcił pokrywę i spróbował jego zawartość. — To samo! — krzyknął do ciężarówki. — Równie obrzydliwe!

Z ciężarówki wyleciał metalowy cylinder. Upadł u stóp Morrisona; mężczyzna podniósł go i pospiesznie otworzył.

#### OKREŚL NATURE USTERKI

Lista zawierała wiele możliwych usterek; przy każdej z nich widniał równy kwadracik. Do całości został dołączony ołówek, którym trzeba było zaznaczyć wadę produktu.

— Co mam zaznaczyć? — zapytał Morrison. — Skażone? Zainfekowane bakteriami? Kwaśne? Zjełczałe? Wadliwie oznaczone? Połamane? Zmiażdżone? Wygięte? Brudne?

Po chwili namysłu O'Neill zaproponował:

— Nie zaznaczaj żadnego. Fabryka z pewnością gotowa jest przeprowadzić natychmiastowy test i korektę. Dokonawszy analizy, zignoruje nas. — Jego twarz rozjaśniła się pod wpływem nagłego olśnienia. — Napisz pod spodem. Tam jest wolne miejsce przeznaczone na inne dane.

— Co mam napisać?

— Napisz — odparł O'Neill — „produkt jest denny”.

— Co takiego? — zapytał zdumiony Perine.

— Pisz! To taki semantyczny przekręt — fabryka go nie zrozumie. Może uda się nam zakłócić jej rytm.

Piórem O'Neill'a Morrison starannie wykaligrafował, że mleko było denne. Potrząsając głową, zamknął cylinder i wrzucił go na ciężarówkę. Pojazd zgarnął zbiorniki z mlekiem i zatrzasnął blokadę ochronną. Następnie z piskiem opon ruszył z miejsca. Ze szczeliny w ciężarówce wypadł cylinder z odpowiedzią; samochód odjechał pospiesznie, pozostawiając go na zakurzonej ziemi.

O'Neill rozpieczętował cylinder i podniósł do góry kartkę papieru, aby inni też mogli przeczytać.

#### REPREZENTANT FABRYKI

ZOSTANIE WYSŁANY.

PRZYGOTUJCIE PEŁNE DANE

W ZWIĄZKU Z WADĄ PRODUKTU.

Trzej mężczyźni przez chwilę trwali w milczeniu. Naraz Perine zaniósł się chichotem.

— Udało się. Nawiązaliśmy kontakt. Bariera przełamana.

— Jeszcze jak — potwierdził O'Neill. — Nigdy nie słyszeli o dennym produkcie.

U podnóża gór spoczywało głęboko wtopione w skałę metaliczne cielsko fabryki Kansas City. Jego powierzchnia była przeżarta korozją, upstrzona ospowatą wysypką powstałych w wyniku skażenia plam i nosiła ślady pięcioletniej wojny, która

i ją dotknęła. Większa część fabryki leżała pod ziemią, dostrzec można było jedynie wjazd. Widoczna jako punkcik ciężarówka mknęła w kierunku połączenia czarnego metalu. W gładkiej powierzchni pojawiła się szczelina; ciężarówka wjechała do środka i znikła. Wejście ponownie się zatrzasnęło.

— Przed nami wielkie zadanie — oznajmił O'Neill. — Teraz musimy nakłonić ją do zaprzestania dalszej działalności... do przerwania pracy.

## II

Judith O'Neill podała gorącą kawę zgromadzonym w salonie ludziom. Podczas gdy jej mąż mówił, wszyscy bacznie wsłuchiwali się w jego słowa. Ze świecą było szukać większej niż O'Neill skarbnicy wiedzy na temat systemu autofab.

We własnym regionie, w regionie Chicago, wywołane przez niego spięcie w osłonie pozwoliło mu na dotarcie do systemu danych zgromadzonych w tylnym płacie mózgowym lokalnej fabryki. Oczywiście fabryka niezwłocznie utworzyła doskonalszy typ osłony. O'Neill zdołał jednak wykazać, że i ona posiadała słabe punkty.

— Instytut Cybernetyki Stosowanej — wyjaśnił O'Neill — sprawował nad siecią pełną kontrolę. Obarczcie winą wojnę. Obarczcie winą zgiełk wzdłuż linii łączności, to przez niego nie mamy potrzebnej wiedzy. Tak czy inaczej, Instytut nie zdołał przekazać swoich informacji, co udaremniło nam kontakt z fabrykami — nie jesteśmy w stanie powiadomić ich, że wojna dobiegła końca i jesteśmy gotowi przejąć kontrolę nad operacjami przemysłowymi.

— Tymczasem — wtrącił kwaśno Morrison — cholerna sieć rośnie w siłę i wciąż pochłania coraz więcej złóż naturalnych.

— Mam wrażenie — powiedziała Judith — że gdybym mocniej tupnęła nogą, wpadłabym do tunelu fabrycznego. Pewnie wszędzie pod nami ciągną się kopalnie.

— Czy nie obowiązują ich żadne ograniczenia? — zapytał nerwowo Perine. — Czy zostały zaprogramowane na ciągły rozrost?

— Każda fabryka jest ograniczona do swojego terytorium operacyjnego — odrzekł O'Neill — ale sama sieć jest bezgraniczna. Może bez końca korzystać z naszych zasobów. To właśnie jej Instytut przypisał fundamentalne znaczenie; rola nas, ludzi, jest poślednia.

— Czy cokolwiek zostanie dla nas? — dopytywał Morrison.

— Jeżeli zdołamy zapobiec działalności sieci. Pół tuzina podstawowych minerałów już zostało zużyte. Wysyłane z każdej fabryki ekipy poszukiwawcze są niestrudzone, ich uwagi nie ujdzie nic, czego nie można by zawlec pod ziemię i wykorzystać.

— Co by się stało, gdyby doszło do przecięcia tuneli z dwóch fabryk?

O'Neill wzruszył ramionami.

— Wykluczone. Każda fabryka posiada własny skrawek planety, prywatną porcję tortu przeznaczoną własny użytek.

— Ale przecież coś takiego może się zdarzyć.

— Cóż, jeśli tylko coś zostanie, nie spoczną, dopóki tego nie dostaną. — O'Neill rozważył tę możliwość z rosnącym zainteresowaniem. — Trzeba to przemyśleć. Sądzę, że jak zasoby zostaną drastycznie uszczuplone...

Urwał. Do pokoju weszła jakaś postać; stanąwszy przy drzwiach, zmierzyła zgromadzonych uważnym spojrzeniem.

W półmroku jej sylwetka do złudzenia przypominała sylwetkę człowieka. O'Neill myślał przez chwilę, że to spóźniony przybysz z osady. Następnie, kiedy nowo przybyły ruszył naprzód, uświadomił sobie, że podobieństwo było mylące: miał przed sobą dwunożną istotę z wieńczącymi górną część ciała receptorami danych oraz narządami pomocniczymi biegnącymi ku zakończonemu chwytnikom dołowi. Podobieństwo do człowieka dowodziło skuteczności porządku natury; żadne sentymenty nie wchodziły w rachubę.

Nastąpiła oczekiwana wizyta reprezentanta fabryki.

Ten bez ogródek przeszedł do rzeczy.

— Oto maszyna zbierająca dane, zdolna do komunikowania się za pomocą słów. Posiada zarówno urządzenie nadawcze, jak i odbiorcze oraz potrafi łączyć fakty w zakresie prowadzonego przez nią wywiadu.

Głos był przyjemny i pewny siebie. Najwyraźniej pochodził z taśmy nagranej przed wojną przez któregoś z pracowników Instytutu. Płynąc z ust pseudoczułowieczej postaci, brzmiał groteskowo; oczami wyobraźni O'Neill ujrzał nieżyjącego już młodzieńca, którego utrwalony na taśmie głos dobiegał właśnie z mechanicznych ust wyprostowanej, stalowo-drucianej konstrukcji.

— Słowo ostrzeżenia — ciągnął uprzejmy głos. — Bezowocne jest traktowanie tego receptora na równi z człowiekiem i wciąganie go w dyskusje, do których prowadzenia nie został wyposażony. Pomimo swojej przydatności nie jest on zdolny do myślenia pojęciowego; robi użytek jedynie z materiału, który mu zainstalowano.

Optymistyczny głos ucichł i w jego miejsce pojawił się następny. Przypominał pierwszy, był jednak płaski i pozbawiony intonacji. Maszyna adaptowała fonetyczne brzmienie mowy nieboszczyka na własny użytek.

— Analiza odrzuconego produktu — oznajmiła — wskazuje na brak ciał obcych lub też zauważalnych procesów psucia. Produkt spełnia standardy testowe obowiązujące w całej sieci. Reklamacja opiera się na czynnikach wykraczających poza sferę badawczą; w grę wchodzi norma nieznanie sieci.

— Zgadza się — przyznał O'Neill. Po czym podjął, z namysłem dobierając słowa: — Stwierdziliśmy, że mleko nie spełnia wymaganej normy. Nie chcemy mieć z nim nic wspólnego. Nalegamy na staranniejszą produkcję.

Maszyna udzieliła niezwłocznej odpowiedzi.

— Semantyczna zawartość terminu „denny” jest sieci nieznana. Nie figuruje w naszym spisie słownictwa. Czy możecie zaprezentować faktyczną analizę mleka pod względem obecności lub braku specyficznych elementów?

— Nie — odparł czujnie O'Neill; gra, którą prowadził, była skomplikowana i niebezpieczna. — „Denny” to pojęcie ogólne. Nie da rady zredukować go do składników chemicznych.

— Co oznacza słowo „denny”? — zapytała maszyna. — Czy możecie zdefiniować je przy użyciu zmiennych symboli semantycznych?

O'Neill zawahał się. Należało skierować bieg myśli reprezentanta na ogólniejszy tor, czyli problem zawieszenia działalności sieci. Gdyby tylko mógł do niego w którymś momencie nawiązać, zainicjować dyskusję teoretyczną...

— „Denny” — powiedział — oznacza stan produktu wytwarzanego wówczas, gdy nie ma ku temu wystarczającej potrzeby. Oznacza odrzucenie towaru z tego powodu, że nikt już go nie chce.

Reprezentant pospieszył z odpowiedzią.

— Nasza analiza wykazała znaczne zapotrzebowanie na pasteryzowane mleko w tej okolicy. Inne źródło nie istnieje; sieć kontroluje cały proces syntetycznego wytwarzania mleka. — Po chwili dodał: — Oryginalne instrukcje opisują mleko jako podstawowy składnik ludzkiej diety.

O'Neill poczuł się zbity z tropu; maszyna ponownie sprowadzała rozmowę na wąski zakres tematyczny.

— Zdecydowaliśmy — rzucił desperacko — że nie chcemy więcej mleka. Wolimy obejść się bez niego do czasu, kiedy zdołamy ustalić miejsce przebywania krów.

— To działanie wbrew instrukcjom sieci — zaproponował reprezentant. — Nie ma żadnych krów. Mleko produkowane jest syntetycznie.

— Wobec tego sami będziemy je sobie syntetycznie produkować. — Morrison stracił cierpliwość. — Dlaczego nie możemy przejąć kontroli nad urządzeniami? Boże, przecież nie jesteśmy dziećmi! Umiemy sami kierować swoim życiem!

Reprezentant fabryki skierował się ku drzwiom.

— Dopóki nie znajdziecie innych źródeł zaopatrzenia w mleko, dopóty sieć będzie je wam dostarczać. W okolicy pozostanie aparat analityczny, którego zadaniem będzie przeprowadzanie regularnych testów.

— Niby jak mamy odnaleźć inne źródła? — krzyczał bezsilnie Perine. — To wy macie wszystkie urządzenia! Wy pociągacie za sznurki! — Idąc w ślad za maszyną, huknął:

— Mówicie, że nie jesteśmy gotowi do przejęcia władzy... uważacie, że nie potrafimy. Skąd możecie to wiedzieć? Nie dajecie nam szansy! Nigdy nie mieliśmy szansy!

O’Neilla ogarnęło przerażenie. Maszyna zmierzała ku wyjściu; jej jednotorowo myślący umysł odniósł zwycięstwo.

— Słuchaj — rzucił ochryplym głosem, zastępując jej drogę. — Chcemy, abyście zawiesili działalność, rozumiesz? Chcemy przejąć wasz sprzęt i sami go obsługiwać. Wojna skończona. Do diabła, już nie jesteście nam potrzebni!

Reprezentant fabryki na chwilę przystanął w drzwiach.

— Zawieszenie działalności nie nastąpi, dopóki produkowane przez sieć wyroby nie staną się duplikatami produktów wytwarzanych na zewnątrz. Z prowadzonych systematycznie badań wynika, że w chwili obecnej na zewnątrz nie są wytwarzane żadne produkty. Stąd o zawieszeniu działalności nie może być mowy.

Morrison bez ostrzeżenia rzucił trzymaną w dłoni ciężką fajkę. Uderzywszy w ramię maszyny, fajka zaplątała się w misterną sieć aparatów sensorycznych tworzących klatkę piersiową. Runął pogruchotany pojemnik z receptorami; na podłogę posypały się odpryski szkła, kable i drobne części.

— Przecież to paradoks! — wrzasnął Morrison. — Gra słów, zabawa, do której próbują siłą nas włączyć. Szachrajstwo Cybernetyków. — Podniósł fajkę i ponownie cisnął nią w nieprotestującą maszynę. — Podcięli nam skrzydła. Jesteśmy zupełnie bezradni.

Zgromadzeni w pokoju podnieśli wrzawę.

— To jedyny sposób — rzucił Perine, mijając O’Neilla. — Będziemy musieli ich zniszczyć — sieć albo my. — Chwyciwszy lampę, rzucił ją w „twarz” reprezentanta fabryki. Rozpadły się obie; Perine runął naprzód, po omacku wyciągając ręce w kierunku maszyny. Kipiący bezsilnym gniewem ludzie otaczali wyprostowany cylinder zwartym kręgiem. Maszyna zniknęła wśród masy napierających gwałtownie ciał.

Drżąc na całym ciele, O’Neill się odwrócił. Żona chwyciła go za rękę i odprowadziła w kąt pokoju.

— Durnie — podsumował przygnębiony. — Nie mogą go zniszczyć; nauczy się jedynie tworzyć bardziej skuteczne osłony. Komplikuja całą sprawę.

Do pokoju wpadła ekipa naprawcza. Jednostki mechaniczne zwinnie odłączyły się od bieźnikowej „matki” i popędziły w kierunku skłębionej masy ciał. Wsunęły się między ludzi i znikły pomiędzy nimi. Chwilę potem nieruchomy kadłub reprezentanta fabryki został przetransportowany na „matkę” i umieszczony na platformie. Zebrano i zapakowano rozsypane szczątki. Odnaleziono plastikowy wspornik oraz dźwignię. Następnie jednostki powróciły do pozycji wyjściowej i ekipa opuściła pomieszczenie.

Przez otwarte drzwi wkroczył kolejny reprezentant fabryki, bliźniacza kopia poprzedniego. W korytarzu stały jeszcze dwie wyprostowane sylwetki. Osadę przeczesywały na chybił trafił korpusy reprezentantów. Niczym oddziały mrówek, zbieracze danych przemierzali miasto do chwili, gdy jeden z nich przez przypadek natknął się na O’Neilla.

— Zniszczenie ruchomej jednostki gromadzenia danych szkodzi interesom ludzi — oznajmił reprezentant fabryki zgromadzonym w pokoju ludziom. — Złoża surowca są na wyczerpaniu; podstawowe surowce powinny zostać wykorzystane podczas produkcji dóbr konsumpcyjnych.

O'Neill stanął na wprost maszyny.

— Tak? — zapytał cicho O'Neill. — To ciekawe. Zastanawiam się, czego brakuje wam najbardziej i o co tak naprawdę gotowi bylibyście walczyć.

Nad głową O'Neilla rozbrzmiewało piskliwe wycie helikoptera; nie zwracając na nie uwagi, wyjrzał przez szybę kabiny na rozpościerającą się poniżej ziemię.

Wszędzie widział żużel i ruiny. Chwasty sterczały spośród kamieni, kruche łodyżki, pomiędzy którymi buszowały owady. Gdzieś przyciągały wzrok kolonie szczurów: niezdarne konstrukcje z kości i gruzu. Promieniowanie wpłynęło na mutację szczurów, podobnie jak na większość owadów i zwierząt. W pewnym oddaleniu O'Neill dostrzegł stado ptaków goniących wiewiórkę. Wiewiórka dała nura w pieczolowicie wydrążoną szczelinę w podłożu i zniechęcone ptaki zaprzestały pościgu.

— Uważasz, że kiedykolwiek zdołamy przywrócić tu porządek? — zapytał Morrison. — Niedobrze mi się robi od samego widoku.

— Z biegiem czasu — odrzekł O'Neill, — Zakładając, rzecz jasna, że odzyskamy kontrolę produkcyjną. I że pozostanie coś, co umożliwi nam działanie. W najlepszym razie postęp będzie stopniowy. Rozszerzymy osady cal po calu.

Po prawej stronie znajdowała się kolonia ludzi, obdartych łachmaniarzy na skraju wycieńczenia, zamieszkujących rury niegdysiejszego miasta. Oczyszczono kilka akrów jałowej ziemi; wątłe warzywa marniały w promieniach słońca, kurczęta krążyły niespokojnie po okolicy, a oblepiony muchami koń leżał, dysząc, w cieniu lepianki.

— Mieszkańcy ruin — skwitował ponuro O'Neill. — Zbyt oddaleni od sieci; nie podlegają żadnej z fabryk.

— Sami sobie winni — odparł ze złością Morrison. — Mogli dołączyć do którejś z osad.

— Tu było ich miasto. Podejmują takie same próby jak my — chcą przywrócić ład na własną rękę. Chcą tego jednak dokonać od zaraz, bez żadnych narzędzi, gołymi rękami, zbijając do kupy szczątki rumowiska. Ich działania pójdą na marne. Potrzebujemy maszyn. Nie można naprawić ruin; trzeba rozpocząć produkcję przemysłową.

Na wprost nich ciągnęło się pasmo poszarpanych wzgórz stanowiących niegdyś fragment przełęczy. Tuż za nimi ziała gigantyczna czelusz leja po bombie, na pół wypełnione wodą i mułem siedlisko zarazków.

A za nim widniał plac iskrzący się gorączkową krzątaniną.

— Tam — powiedział z przejęciem O'Neill. Pospiesznie zniżył lot helikoptera.

- Jesteś w stanie stwierdzić, z jakiej pochodzą fabryki?  
— Dla mnie wszyscy wyglądają identycznie — mruknął Morrison, wyężając wzrok.  
— Będziemy musieli poczekać, aż załadują materiał, i polecieć za nimi.  
— Jeśli załadują materiał — sprostował O'Neill.

Ekipa badawcza autofabu zignorowała bzyżący jej nad głową helikopter i skupiła się na pracy. Przed główną ciężarówką mknęły dwa traktory; wspięły się po rumowisku, wysuwając sondy na podobieństwo macek, zjechały po przeciwległej skarpie i znikły pod warstwą pyłu pokrywającego żużel. Dwie jednostki poszukiwawcze drażyły ziemię, aż wreszcie w zasięgu wzroku pozostały jedynie ich anteny. Powróciły na powierzchnię i ruszyły naprzód wśród szczęku i trzeszczenia bieżników.

— Co one wyprawiają? — zapytał Morrison.

— Bóg raczy wiedzieć. — O'Neill z namysłem przerzucił papiery. Trzeba będzie przeanalizować wszystkie nasze wcześniejsze zamówienia.

Sunąca pod nimi ekipa badawcza autofabu zniknęła w tyle. Helikopter minął płachtę pogrążonego w bezruchu piasku i żużlu. Ich oczom ukazało się pasmo zarośli i, daleko po prawej stronie, grupa małych ruchliwych punktów.

Po jałowej powierzchni mknęła procesja automatycznych pojazdów kopalnianych, sznur szybko jadących ciasno jedna za drugą ciężarówek. O'Neill zawrócił helikopter w ich kierunku i kilka minut później znalazł się nad kopalnią.

Tony kanciastego sprzętu kopalnianego przystępowały do działania. Opuszczono szyb; puste ciężarówki czekały w cierpliwych rzędach na swoją kolej. Nieprzerwany strumień wypełnionych pojazdów toczył się w kierunku horyzontu, sypiąc odłamkami rudy. W okolicy panowała atmosfera krzątania oraz hałasowały urządzenia, ośrodek przemysłowy w samym sercu pustkowia.

— Nadciąga ekipa badawcza — zauważył Morrison, spoglądając do tyłu. — Myślisz, że dojdzie do awantury? — Uśmiechnął się krzywo. — Nie, nie ma co się łudzić.

— Przypuszczalnie szukają różnych substancji — odrzekł O'Neill. Poza tym, nauczono ich nie zwracać na siebie uwagi.

Pierwsza z nadjeżdżających gąsienic dotarła do linii ciężarówek. Wykonała lekki skręt i kontynuowała poszukiwania; kolejka pojazdów przesuwiała się niewzruszenie, jak gdyby nigdy nic.

Zawiedziony Morrison odwrócił się od okna i zaklął.

— To bez sensu. Zupełnie jakby dla siebie nie istnieli.

Stopniowo ekipa badawcza oddaliła się od linii ciężarówek i wspięła na widniejącą po drugiej stronie kopalni przełęcz. Manewry odbyły się bez widocznego pośpiechu; odjechała, nie ulegając powszechnie panującemu syndromowi czerpania złóż.

— Może pochodzą z tej samej fabryki — powiedział z nadzieją Morrison.

O'Neill wskazał na anteny wieńczące sprzęt kopalniany.



— Są skierowane w inną stronę, tak więc reprezentują dwie fabryki. To będzie trudne; musimy trafić w sedno, inaczej nie spowodujemy żadnej reakcji. — Uruchomił radio i połączył się z osadą. — Jakies rezultaty w związku z poprzednimi zamówieniami?

Operator połączył go z biurami zarządu.

— Zaczynają nadchodzić — poinformował go Perine. — Jak tylko uzyskamy dostateczną ilość próbek, spróbujemy ustalić, jakich surowców brakuje w poszczególnych fabrykach. Nie możemy opierać się na produktach całościowych, to dość ryzykowne. W grę wchodzi istnienie większej ilości podstawowych elementów wspólnych dla rozmaitych całości.

— Co się stanie, kiedy zidentyfikujemy brakujący element? — zapytał O’Neilla Morrison. — Co się stanie, gdy dwie sąsiadujące fabryki staną w obliczu braku tego samego surowca?

— Wówczas — odparł ponuro O’Neill — zaczniemy sami gromadzić materiał, choćbyśmy musieli przetopić wszystkie przedmioty w osadzie.

### III

W nocy pełnej trzepotu licznych ciem szumiał lekki, przejmujący wiatr. Rozlegał się metaliczny szelest gęstego poszycia. To tu, to tam pełzały nocne gryzonie o wyostzonych zmysłach, czujne, bystre i wygłodniałe.

Znajdowali się w sercu dziczy. Od najbliższej osady ludzkiej dzieliły ich mile; cały region został wypalony do cna wielokrotnymi wybuchami termojądrowymi. W ciemnościach rozbrzmiewało pluskanie biegnącej wśród żużlu i chwastów strużki wpadającej w to, co kiedyś stanowiło skomplikowany labirynt przewodów kanalizacyjnych. Porośnięte pnączem spękane rury celowały w niebo, strasząc rozległymi dziurami. Unoszone wiatrem chmury czarnego pyłu kotłowały się nad chwastami. W pewnej chwili ogromny zmutowany strzyżyk poruszył się sennie, otulił peleryną z nieforemnie złączonych gałganów i ponownie zapadł w sen.

Przez jakiś czas w okolicy panował całkowity bezruch. Na niebie migotały dalekie gwiazdy. Earl Perine zadrżał, podniósł wzrok, po czym przysunął się bliżej do pulsującego źródła ciepła umieszczonego na ziemi pomiędzy trzema mężczyznami.

— I co? — zaryzykował Morrison, szcękając zębami.

O’Neill nie odpowiedział. Dopalił papierosa, zgasił go na stercie żwiru i wyciągnąwszy zapalniczkę, zapalił drugiego. Wolfram — przynęta leżał na wprost nich w odległości stu jardów.

W ciągu ostatnich kilku dni wyczerpały się zapasy wolframu w fabrykach w Detroit i w Pittsburghu. Ponadto co najmniej w jednym sektorze ich aparatura była taka sama. Stermta stanowiła stop tnących narzędzi precyzyjnych, części wymontowanych z przełączników elektrycznych, sprzętu chirurgicznego wysokiej jakości, kawałków magnesów, urządzeń mierniczych — wolfram z każdego możliwego źródła, gorączkowo zebrany ze wszystkich osad.

Nad stertą wolframu kładła się warstwa mrocznych oparów. Niekiedy zwabiona odbitym w jego powierzchni blaskiem gwiazd ćma sfruwała w dół, zamierała nad płataniną metalu, bezradnie tłukąc o nią wydłużonymi skrzydłami, po czym znikwała w gęstwini pnączy oplatających kikuty rur kanalizacyjnych.

— Niezbyt przyjemna okolica — zauważył kwaśno Perine.

— Nie oszukaj się — odparł O'Neill. — To najładniejsze miejsce na Ziemi. Tutaj znajduje się grób sieci autofabu. Kiedyś zjawia się spragnieni tego widoku ludzie. Ustawią tu tablicę pamiątkową wysoką na milę.

— Usiłujesz podtrzymać się na duchu — odwarknął Morrison. — Chyba nie wierzysz, że pozabijają się o stertę narzędzi chirurgicznych i drucików od żarówek. Pewnie mają gdzieś tam u siebie maszynę, która wysysa wolfram ze skał.

— Może — odpowiedział O'Neill, uderzając ręką komara. Owad zrobił sprytny unik i poleciał uprzykrzać życie Perinowi. Perine zamachnął się wściekle i z rezygnacją wtulił głębiej w wilgotne zarośla.

Znajdowało się w nich to, co chcieli ujrzeć.

O'Neill uświadomił sobie ze wstrząsem, że spoglądał na nią od kilku minut, nie będąc w stanie jej rozpoznać. Gąsienica wiertnicza leżała nieruchomo na ziemi. Spoczywała na szczycie niewielkiego kopca żużlu, z tylną częścią nieco uniesioną w górę i wysuniętymi na całą długość receptorami. Równie dobrze mogła stanowić porzucony kadłub; nie dawała najmniejszego znaku życia. Doskonale harmonizowała z posępnym, strawionym przez ogień krajobrazem. Słabo widoczny zbiornik złożony z metalowych płyt, dźwigni oraz płaskich bieźników trwał nieruchomo i czekał. I patrzył.

Spoglądał na kopiec wolframu. Przynęta znęciła pierwszego ochotnika.

— Ryba bierze — rzucił ochryple Perine. — Wędka drgnęła. Spławik poszedł pod wodę.

— Co ty u licha wygadujesz? — mruknął Morrison. W tym momencie jego spojrzenie padło na gąsienicę wiertniczą. — Jezu — szepnął. Na wpół uniósł się z ziemi, wyginając w łuk masywne ciało. — No i mamy już jedną. Teraz potrzebujemy tylko przedstawiciela innej fabryki. Jak myślicie, skąd ona jest?

O'Neill wyłuskał wzrokiem z ciemności antenę komunikacyjną i zbadał jej kierunek.

— Pittsburgh, zatem módlcie się o Detroit... módlcie się ile wlezie.

Gąsienica z zadowoleniem potoczyła się do przodu. Wykazując niebywałą ostrożność, zbliżyła się do kopca i rozpoczęła szereg skomplikowanych manewrów, sunąc raz w jedną, raz w drugą stronę. Zauroczeni mężczyźni nie spuszczaali z niej oka, aż wreszcie ich uwagę przyciągnęły pierwsze macki sondownicze innych gąsienic.

— Łączność — rzucił cicho O'Neill. — Jak pszczoły.

Pięć pittsburskich gąsienic podjeżdżało do kopca usypanego z wolframowych produktów. W podnieceniu kołysząc receptorami, zwiększyły prędkość i ogarnięte gorączką odkrywczą szybko przypadły do boku kopca. Jedna z nich wwierciła się do środka i znikła. Cały kopiec zatrzęsł się w posadach; gąsienica badała rozmiar znaleziska.

Dziesięć minut później nadjechały pierwsze pojazdy do przewozu rudy i po załadowaniu towaru przystąpiły do odjazdu.

— Cholera! — powiedział zrozpaczony O'Neill. — Zabiorą go, zanim pojawi się Detroit.

— Czy możemy jakoś opóźnić wywóz? — zapytał bezsilnie Perine. Zrywając się na równe nogi, porwał z ziemi kamień i rzucił nim w najbliższą ciężarówkę. Kamień odbił się od stalowej powierzchni, ale pojazd niewzruszenie kontynuował swoją pracę.

O'Neill wstał i zaczął krążyć dokoła, zeszywniały z hamowanej złości. Gdzie oni się podziewali? Autofaby były równe pod każdym względem, a od tego miejsca dzieliła je taka sama odległość. Teoretycznie, przedstawiciele obu fabryk powinni nadjechać jednocześnie. Jednak do chwili obecnej Detroit nie dało znaku życia — tymczasem na jego oczach ładowano ostatnie elementy wolframowego kopca.

Naraz jego uwagę przykuł poruszający się ze znaczną prędkością obiekt.

Nie zdążył go rozpoznać. Obiekt mknął jak strzała wśród splątanych pnączy, dopadł szczytu wzniesienia, zamarł na ułamek sekundy, chcąc precyzyjnie wybrać kierunek, i zjechał po przeciwległym zboczu. Uderzył prosto w pojazd sunący na czele kolumny. Pocisk oraz jego ofiara rozpadły się w wyniku nagłej eksplozji.

Morrison skoczył na równe nogi.

— Co do diabła?

— Jest! — wykrzyknął Perine, tańcząc dokoła i wymachując chudymi rękami. — Jest Detroit!

Pojawiła się druga gąsienica Detroit i dokonawszy błyskawicznej oceny sytuacji, rzuciła się w kierunku przystępujących do odwrotu pojazdów z Pittsburgha. Kawałki wolframu rozprysnęły się na boki — części, przewody, połamane płyty, dźwignie, sprężyny i śruby obu przeciwników poleciały na wszystkie strony. Pozostałe ciężarówki z piskiem kół brnęły do przodu; jedna z nich zrzuciła swój balast i ratowała się natychmiastową ucieczką. Za nią podążyła następna, nie rezygnując ze zdobyczy. Gąsienica z Detroit zrównała się z nią, zajęchała jej drogę i uderzyła niczym taran. Obie stoczyły się w dół wypełnionego wodą płytkiego rowu. Na wpół zanurzone w wodzie podjęły za-

wziętą walkę.

— Cóż — powiedział wstrząśnięty O'Neill. — Udało się. Możemy wracać do domu.  
— Nogi ugięły się pod nim. — Gdzie nasz samochód?

Kiedy zapuszczał silnik, w oddali błysnęło coś dużego i metalicznego, coś, co brnęło przez martwy, przysypany pyłem krajobraz. Była to ciasna kolumna pojazdów, szereg ciężarówek do przewozu rudy pędzących w kierunku miejsca, gdzie rozegrały się ostatnie wydarzenia. Z jakiej fabryki pochodziły?

Nie miało to większego znaczenia, gdyż oto z mrocznego gąszczy ociekających wilgocią pnączy wyłaniała się zwarta kawalkada przeciwników. Obie fabryki zwoływały swoje jednostki ruchome. Ze wszystkich stron nadpełzały gąsienice, zamykając w kręgu pozostały fragment wolframowego kopca. Żadna z fabryk nie zamierzała przepuścić deficytowego towaru koło nosa; żadna nie chciała zrezygnować z łupu. Mechanicznie i ślepo, pod rygorem kategorycznych instrukcji dwaj przeciwnicy mozolnie gromadzili siły.

— Jedziemy — ponaglił Morrison. — Uciekajmy stąd. Karuzela zaraz się rozkręci.

O'Neill pospieszenie skierował ciężarówkę w stronę osady. W ciemnościach ruszyli w drogę powrotną. Od czasu do czasu obok nich przemykał zmierzający w przeciwnym kierunku metaliczny kształt.

— Widziałeś ostatni pojazd? — zapytał z niepokojem Perine. — Nie był pusty.

Puste nie były również ciężarówki, które jechały za nim, cała procesja wypełnionych po brzegi transportowców z potężną jednostką nadzorującą na czele.

— Broń — powiedział Morrison, wytrzeszczając z przerażenia oczy. — Wiozą broń. Ale kto będzie jej używał?

— One same — odrzekł O'Neill. Wskazał na ruch odbywający się po prawej stronie.  
— Popatrzcie tam. Tego nie przewidzieliśmy.

Patrzyli, jak pierwszy reprezentant fabryki wkracza do akcji.

Gdy ciężarówka wtaczała się do osady Kansas City, zdyszana Judith wybiegła im na spotkanie. W jej dłoni trzepotał skrawek metalowej folii.

— Co się stało? — zapytał O'Neill, wrywając jej z ręki kartkę.

— Dopiero przyszła. — Jego żona z trudem chwyciła oddech. — Samochód... podjechał, upuścił ją — i odjechał. Wielkie poruszenie. Rany, fabryka — kaskada świateł. Widać je na milę.

O'Neill przeniósł spojrzenie na kartkę. Był to certyfikat fabryczny na ostatnią grupę złożonych przez osadę zamówień, całkowite zestawienie przeanalizowanych przez fabrykę potrzeb. W poprzek listy biegły wybite pieczętką czarne litery:

## WSZYSTKIE DOSTAWY ZAWIESZONE DO ODWOŁANIA

O'Neill ze świstem wypuścił oddech i wręczył wiadomość Perinowi.

— Koniec z dostawą towaru — powiedział ironicznie. Jego twarz przeciął nerwowy grymas. — Sieć wstępuje na wojenną ścieżkę.

— A więc udało nam się? — zapytał z wahaniem Morrison.

— Tak jest — odparł O'Neill. Teraz, kiedy sprowokowali konflikt, poczuł rosnący przypływ strachu. — Ani Pittsburgh, ani Detroit nie ustąpią aż do końca. Za późno na zmianę zdania — już zwołują sojuszników.

## IV

Zimny, poranny blask słońca kładł się na równinę pokrytą czarnym metalicznym pyłem. Pył tlił się mętnym, chorobliwym odcieniem czerwieni; wciąż był ciepły.

— Patrzcie pod nogi — ostrzegł O'Neill. Trzymając żonę za rękę, odprowadził ją od skorodowanej, pochylonej ciężarówki na szczyt wzniesienia usypanego z betonowych bloków, stanowiących fragment rozrzuconych szczątków bunkra. Earl Perine szedł w ślad za nimi, ostrożnie stawiając każdy krok.

Za nimi rozciągała się zrujnowana osada, chaotyczna szachownica domów, budynków oraz ulic. Od chwili gdy sieć autofabu zawiesiła działalność, osiedla ludzi straszliwie podupadły. Pozostałości sprzętów były w opłakanym stanie i prawie nie nadawały się do użytku. Od przyjazdu ostatniej ciężarówki wyładowanej żywnością, narzędziami, odzieżą i urządzeniami naprawczymi upłynął ponad rok. Od strony płaskiej połaci betonu i stali leżącej u stóp gór już dawno nie nadjechał żaden przybysz.

Ich życzenie zostało spełnione — byli odcięci, znaleźli się poza zasięgiem sieci.

Pozostawieni samym sobie.

Na nierównych polach otaczających osadę rosła pszenica i wystrzępione łodygi spieczonych słońcem warzyw. Rozdawano własnej roboty narzędzia, z wielkim mozołem skłcone przez mieszkańców poszczególnych osad. Łączność pomiędzy osadami zawdzięczali wozom zaprzężonym w konie oraz powolnemu stukaniu klucza telegrafu.

Zdołali jednak zachować spójność organizacji. Towary i usługi wymieniano na stałych zasadach. Wytwarzano i rozwożono podstawowe produkty. Odzież, którą mieli na sobie O'Neill, jego żona oraz Earl Perine, była szorstka i niebielona, ale solidna. Poza tym udało im się przerobić ciężarówkę z napędu benzynowego na drzewny.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił O'Neill. — Stąd mamy lepszy widok.

— Czy naprawdę warto? — zapytała wyczerpana Judith.

Pochyliwszy się, sięgnęła do buta, próbując wydlubać kamyk, który utknął w miękkiej skórzanej podeszwie. — Długa droga jak na oglądanie czegoś, co widzimy co dzień od trzynastu miesięcy.

— To prawda — przyznał O'Neill, dotykając przelotnie ramienia żony. — Ale kto wie, może to ostatni raz. Właśnie to pragnęlibyśmy zobaczyć.

Na szarym niebie ponad ich głowami mknął zwinny, czarny punkt. Rozwibrowany pędził przed siebie, przestrzegając ściśle wytyczonego kursu. Miarowo sunął w kierunku gór oraz zatopionej u ich stóp nadwerżonej atakami bombowymi bazy.

— San Francisco — wyjaśnił O'Neill. — Jeden z pocisków typu Hawk, o dalekim zasięgu, przebył całą drogą aż z Zachodniego Wybrzeża.

— Myślisz, że to ostatni? — zapytał Perine.

— Jedyne, jaki widzieliśmy w tym miesiącu. — O'Neill usiadł i przystąpił do przesywania suchych kawałków tytoniu na skrawek brązowego papieru. — A przecież widywaliśmy ich całe setki.

— Może mają coś lepszego — podsunęła Judith. Znalazła gładki kamień i opadła na niego ze zmęczeniem. — Czy to możliwe?

Jej mąż uśmiechnął się ironicznie.

— Nie. Nie mają nic lepszego.

Cała trójka zastygła w milczeniu pełnym napięcia. Odległość pomiędzy nimi a wirującym punktem zmalała. Na płaskiej powierzchni z betonu i stali nic nie dawało znaku życia; fabryka Kansas City była nieruchoma i obojętna. Przetoczyło się kilka obłoków rozgrzanego pyłu, jeden kraniec powierzchni był częściowo przysypany gruzem. Fabryka stała się obiektem wielu bezpośrednich uderzeń. Równinę znaczyły głębokie bruzdy odsłoniętych podziemnych korytarzy zatkanymi kamieniami oraz spragnionymi wilgoci stwardniałymi pnączami winorośli.

— Te cholerne pnącza — wymamrotał Perine, skubiąc zadrapanie na nieogolonym podbródku. — Przejmują kontrolę nad całym światem.

Wokół fabryki wałały się wraki ruchomych jednostek rdzewiejące w porannej rosie. Wozy, ciężarówki, gąsienice, reprezentanci fabryczni, transportowce do przewozu broni, działa, wagony towarowe, pociski podziemne, nieokreślone fragmenty maszynarii złączone i stopione w formę bezkształtnych stosów. Niektóre z nich uległy zniszczeniu podczas powrotu do fabryki; inne w trakcie wyłaniania się na powierzchnię, wypełnione po brzegi, ciężkie od sprzętu. Sama fabryka — czy też raczej to, co z niej zostało — jakby jeszcze głębiej zapadła się pod ziemię. Jej górna część była ledwo widoczna, prawie ginęła w dryfującym pyle.

Od czterech dni w okolicy nic się nie ruszało.

— Jest martwa — powiedział Perine. — Sami widzicie, że jest martwa.

O'Neill zbył go milczeniem. Przykucnąwszy na ziemi, usadowił się wygodnie i czekał. Był święcie przekonany, że w zrujnowanej fabryce pozostała jakaś część sprawnego sprzętu. Czas pokaże. Popatrzył na zegarek; była ósma trzydzieści. Dawniej fabryka przystępowałaby o tej porze do swoich zwykłych zajęć. Kawalkady ciężarówek i innych jednostek ruchomych wyjeżdżałyby na powierzchnię i rozwoziły towar do osiedli ludzkich.

Po prawej stronie coś się poruszyło. Pospiesznie spojrzął w tym kierunku.

Sfatygowany pojazd do przewozu rudy niezdarnie zmierzał w kierunku fabryki. Ostatnia jednostka ruchoma usiłująca do końca wypełnić swoje zadanie. Pojazd był prawie pusty; w jego przyczepie znajdowało się kilka żaloznych kawałków metalu. Padlinożerca... metal pochodził z napotkanego po drodze zniszczonego sprzętu. Chwiejnie, jak ślepy, metaliczny owad, pojazd zbliżał się do fabryki. Jego jazda nie przebiegała bez zakłóceń. Co chwilę raptownie przystawał, trząsł się, szarpał i mimowolnie zbaczał z traktu.

— Kontrola zawodzi — stwierdziła Judith ze strachem w głosie. — Fabryka ma problemy z doprowadzeniem go do celu.

Tak, widział to już. W pobliżu Nowego Jorku fabryka utraciła nadajnik wysokiej częstotliwości. Jej jednostki ruchome błędnie krążyły dokoła i zataczały bezmyślne kręgi, rozbijając się o drzewa i skały, i spadały w głąb wąwozów, gdzie, leżały przewrócone do góry kołami, by stopniowo znieruchomieć.

Pojazd do przewozu rudy dotarł do skraju równiny i zatrzymał się na chwilę. Widoczny nad nim czarny punkt wciąż kołował po niebie. Pojazd nie poruszał się przez jakiś czas.

— Fabryka próbuje podjąć decyzję — powiedział Perine. — Potrzebuje surowca, ale boi się tego hawka.

Fabryka debatowała i wszystko wokół zamarło w bezruchu. Wówczas pojazd podjął mozolną wędrówkę. Wydostał się z chaszczy winorośli i ruszył przez poznaną lejami równinę. Powoli, z daleko posuniętą ostrożnością zmierzał w kierunku stalowo — betonowej płyty leżącej u stóp gór.

Hawk zamarł.

— Na ziemię! — krzyknął O'Neill. — Najeżyli go nowymi bombami.

Żona i Perine przykucnęły obok niego i cała trójka z obawą spoglądała na metalowego owada powoli przecinającego równinę. Wiszący na niebie pocisk posuwał się po linii prostej, by wreszcie zawisnąć dokładnie nad samochodem. Nagle, bez ostrzeżenia, zanurkował w kierunku ziemi. Judith krzyknęła, przyciskając ręce do twarzy:

— Nie mogę na to patrzeć! To straszne! Jak dzikie zwierzęta!

— Jemu nie chodzi o pojazd — wycedził O'Neill.

Podczas gdy pocisk opadał, pojazd podjął desperacką próbę ucieczki. Z hałasem pędził w kierunku fabryki, usiłując umknąć w ostatniej chwili. Zapominając o wiszącym nad pojazdem zagrożeniu, fabryka rozsunęła płytę wejścia i poprowadziła swoją jednostkę do środka. Dokładnie o to chodziło hawkowi.

Nim płyta zdążyła zasunąć się z powrotem, hawk skoczył naprzód, sunąc nad samą ziemią. Kiedy pojazd zniknął w czeluściach fabryki, hawk podążył tuż za nim i ze świstem przetoczył się ponad rozklekotanym wrakiem. Nagle świadoma niebezpieczeństwa fabryka zatrzasnęła barierę. Pojazd szarpnął się groteskowo; utkwiał w na wpół zamkniętym wejściu.

Lecz to, czy zdoła się uwolnić, nie miało żadnego znaczenia. Rozległ się głuchy grzmot. Ziemia drgnęła, zahuczała, po czym z powrotem osiadła. Podziemna fala przetoczyła się pod stopami trojga obserwatorów. Z fabryki uniosła się pojedyncza smuga czarnego dymu. Betonowa płyta trzasnęła niczym sucha gałąź; na okolicę posypał się deszcz odłamków. Dym zawisł na chwilę nad równiną, po czym rozpląnął się, rozwiany porannym wiatrem.

Fabryka zmieniła się w stopioną, wypatroszoną ruinę. Została spenetrowana i zniszczona.

O'Neill sztywno podniósł się z ziemi.

— Już po wszystkim. To koniec. Mamy to, czego chcieliśmy — zniszczyliśmy sieć autofabu. — Popatrzył na Perine'a. — Czy o to nam chodziło?

Spojrzeli w kierunku leżącej za nimi osady. Niewiele pozostało z równych rzędów domów i ulic. Bez pomocy sieci standard życia w osadzie gwałtownie się obniżył. Po niegdyśszym ładzie nie zostało ani śladu; osiedle było zaniedbane i niechlujne.

— Oczywiście — odparł z wahaniem Perine. — Jak tylko dostaniemy się w głąb fabryk i rozpoczniemy organizację własnych linii produkcyjnych...

— Czy tam w ogóle coś zostało? — zapytała Judith.

— Musiało. Boże, przecież poziomy sięgały mile w głąb ziemi!

— Niektóre z opracowanych pod koniec bomb były bardzo duże — zauważyła Judith. — Lepsze niż wszystko, czym sami dysponowaliśmy w czasie naszej wojny.

— Pamiętacie obóz, który widzieliśmy? Mieszkańców ruin?

— Nie było mnie wtedy z wami — odrzekł Perine.

— Przypominali dzikie zwierzęta. Żywili się korzonkami i larwami. Ostrzyli kamienie i garbowali skóry. Barbarzyńcy.

— Ale przecież właśnie tego chcą im podobni — odparł obronnym tonem Perine.

— Naprawdę? Czy my tego chcemy? — O'Neill wskazał na zrujnowaną osadę. — Czy takie były nasze zamierzenia w dniu, kiedy zbieraliśmy wolfram? Albo w dniu, kiedy oznajmiliśmy ciężarówce fabrycznej, że mleko jest... — Nie mógł sobie przypomnieć tamtego słowa.



— Denne — podsunęła Judith.

— Chodźmy — powiedział O'Neill. — Nie ma na co czekać. Zobaczmy, co zostało z tej fabryki... co dla nas zostało.

Do fabryki dotarli późnym popołudniem. Cztery ciężarówki dowlokły się na skraj poszarpanego krateru i stanęły, ich silniki dymiły i z rur wydechowych sączył się płyn. Robotnicy zeskoczyli z przyczep i czujnie stanęli na rozgrzanym pyłe.

— Może jeszcze za wcześnie — zaproponował jeden z nich. O'Neill nie miał zamiaru czekać.

— Idziemy — rozkazał. Chwyciwszy latarkę, ruszył w głąb krateru. Na wprost niego znajdował się wzmocniony kadłub fabryki Kansas City. W jej rozwartym wejściu tkwił znieruchomiały pojazd do przewozu rudy. Tuż za pojazdem korytarz spowijał mrok. O'Neill błysnął latarką; ujrzał splecione, poszarpane fragmenty wsporników.

— Chcemy zejść głęboko — powiedział do Morrisona, który czujnie kroczył u jego boku. — Jeżeli coś zostało, to na pewno jest na samym dnie.

Morrison odchrząknął.

— Krety wiertnicze z Atlanty docierały do najgłębszych warstw.

— Dopóki inni nie zatopili ich kopalń. — O'Neill ostrożnie wyminął pogruchothane wejście, wspiął się na stertę wydobytego ze środka gruzu i wszedł do fabryki — czeluści pełnej rozrzuconych wraków.

— Entropia — wydusił z wysiłkiem Morrison. — Coś, czego nienawidziła najbardziej na świecie. Coś, do walki z czym została stworzona. Wszędzie bałagan. Wszystko rozrzucone bez ładu i składu.

— Na dole — odrzekł uparcie O'Neill — możemy znaleźć zapieczętowane enklawy. Wiem, że istnieją, gdyż fabryka dzieliła się na autonomiczne sekcje, chcąc zapobiec zniszczeniu jednostek naprawczych potrzebnych do jej odbudowania.

— Krety dostały również większość z nich — rzucił Morrison, ale dalej szedł za O'Neillem.

Za nimi z wolna podążali robotnicy. Część zawałonej ściany zadrżała niebezpiecznie i na dół posypał się deszcz gorących odprysków.

— Wracajcie do ciężarówek — polecił O'Neill. — Nie ma sensu, żeby więcej osób niż to absolutnie konieczne narażało życie. Jeśli Morrison i ja nie wrócimy, zapomnijcie o nas — nie ryzykujcie wysyłania ekipy ratowniczej. — Idąc, wskazał Morrisonowi częściowo nienaruszoną rampę wiodącą w dół. — Zejdźmy niżej.

Mężczyźni w milczeniu przemierzali poszczególne poziomy. Przed nimi rozciągały się mile pograżonej w ciemnościach ruiny, gdzie ciszy nie mącił żaden dźwięk. Widać było znieruchomiałe urządzenia, taśmy produkcyjne oraz sprzęt transportowy i niedokończone kadłuby pocisków, wygięte i powgniatane w wyniku ostatniej eksplozji.

— Uratujemy część z nich — powiedział O'Neill, nie wierząc we własne słowa. Urządzenia były stopione i bezkształtne. Wszystko w fabryce połączyło się, tworząc nie nadającą się do użytku nieforemną masę. — Jak tylko wydobędziemy to na powierzchnię...

— Nie damy rady — przerwał mu gorzko Morrison. — Nie mamy wyciągów ani dźwigów. — Kopnął stertę zwęglonego surowca, który w połowie drogi zsunął się z taśmy i rozsypał wzdłuż rampy.

— Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł — rzekł O'Neill, kiedy mijali rzędy maszyn. — Lecz teraz nie jestem tego taki pewien.

Weszli głęboko do środka fabryki. Przed nimi rozciągał się ostatni poziom. O'Neill świecił latarką w poszukiwaniu ocalałych sekcji i niezniszczonych materiałów.

Morrison poczuł to pierwszy. Znienacka opadł na czworaka; przycisnąwszy do podłogi ciężkie ciało, nasłuchiwał bacznie, wytrzeszczając oczy.

— Na miłość boską...

— Co się stało? — zawołał O'Neill. Naraz i on to poczuł. Pod nimi, spod podłogi docierały słabe, uporczywe wibracje, monotonny szum pracy. Mylili się; hawk w pełni nie dopiął swego. Głęboko pod ziemią fabryka wciąż żyła. Kontynuowała pracę, tyle że na mniejszą skalę.

— Na własną rękę — mruknął O'Neill, szukając przedłużenia korytarza prowadzącego w dół. — Autonomiczna działalność, zaprogramowana do dalszej pracy, kiedy cała reszta zostanie zniszczona. Jak dostaniemy się na dół?

Widę zniszczono, odgrodzono ją grubą warstwą metalu. Tętniąca życiem sekcja pod ich stopami była całkowicie odcięta; nie prowadziło do niej żadne wejście.

Biegając z powrotem drogą, którą przybyli, O'Neill dotarł na powierzchnię i zatrzymał pierwszą ciężarówkę.

— Gdzie, do licha, jest lampa lutownicza? Dawać ją tu!

Podano mu cenną lampę i zdyszany ruszył w głąb zrujnowanej fabryki, gdzie czekał na niego Morrison. Wspólnymi siłami przystąpili do wypalania otworu w wielowarstwowym pokładzie ochronnym podłogi.

— Idzie — stęknął Morrison, mrużąc oczy w blasku zapalnika. Wypalony okrąg odłamał się z brzękiem i zniknął pod podłogą. Buchnął płomień białego światła i obaj mężczyźni odskoczyli do tyłu.

W zapieczętowanej komnacie echem niosło się dudnienie wykonywanej z werwą pracy, miarowy łoskot przesuwanej taśmy, buczenie urządzeń i krzątanina mechanicznych nadzorców. Z jednego końca na taśmę wjeżdżał równy rząd surowców; a z drugiego zdejmowano gotowy produkt, poddawano go dokładnej kontroli, po czym ładowano do kanału transportowego.

Spoglądali na to przez ułamek sekundy; naraz obecność intruzów została odkryta. Wiadomość obiegła wszystkie maszyny. Potok światła zamigotał i zgasł. Linia produkcyjna przerywała pracę.

Urządzenia wyłączyły się i umilkły.

Stojąca po przeciwnej stronie jednostka ruchoma wjechała na ścianę i popędziła w kierunku otworu wyciętego przez O’Neilla i Morrisona. Zatrzasnęła pokrywę i szczelnie ją zalutowała. Obraz podziemnej komnaty zniknął. Niebawem podłoga zatrzęsała się od odgłosów podjętej niezwłocznie pracy.

Roztrzęsiony i pobladły na twarzy Morrison zwrócił się do O’Neilla.

— Co one robią? Co tam produkują?

— Na pewno nie broń — odrzekł O’Neill.

— Towar wysyłany jest na górę — Morrison wskazał kierunek — na powierzchnię. O’Neill chwiejnie wstał z klęczek.

— Czy możemy zlokalizować to miejsce?

— Chy... chyba tak.

— Lepiej to zrobmy. — O’Neill chwycił latarkę i ruszył w stronę rampy. — Musimy sprawdzić, czym są kule wysyłane na powierzchnię.

Otwór wylotowy kanału transportowego ginął w gęstwinie pnączy oplatających ruiny odległe o ćwierć mili od fabryki. Jego koniec wystawał ze szczeliny skalnej u podnóża gór. Z odległości dziesięciu jardów był niewidoczny; mężczyźni musieli prawie na niego nadepnąć, aby przyciągnął ich uwagę.

Co pewien czas wyskakiwał stamtąd kulisty przedmiot i ulatywał ku niebu. Końcówka wylotowa obracała się i zmieniała kąt nachylenia; każda kula wysyłana była w nieco innym kierunku.

— Dokąd one zmierzają? — zapytał Morrison.

— Pewnie w różne miejsca. Rozrzucają je na chybił trafił. — O’Neill ostrożnie ruszył do przodu, lecz urządzenie nie zwróciło nań najmniejszej uwagi. Na jednej z pobliskich ścian skalnych wisiała rozpłaszczona kula; dysza przez przypadek wysłała ją w niewłaściwym kierunku. O’Neill wspiał się na skałę, zdjął kulę i zeskoczył na ziemię.

Kula okazała się strzaskanym pojemnikiem zawierającym drobne metalowe elementy, zbyt małe, by móc ustalić ich przeznaczenie bez pomocy mikroskopu.

— To nie jest broń — stwierdził O’Neill.

Pojemnik pękł na dwoje. W pierwszej chwili O’Neill nie był w stanie stwierdzić, czy stało się to za sprawą uderzenia, czy też celowego działania wewnętrznego mechanizmu. Ze szczeliny wydobywał się szereg metalowych drobinek. Przykucnąwszy, O’Neill przyjrzał im się bacznie.

Drobinki znajdowały się w ciągłym ruchu. Mikroskopijna maszyneria, mniejsza niż mrówki czy pinezki, pogrążona w gorączkowej pracy pochłonięta tworzeniem czegoś, co wyglądało jak mały stalowy prostokąt.

— One budują — stwierdził zdumiony O'Neill. Wstał i przeszedł kilka kroków. Nieco z boku, na odległym skraju wąwozu natknął się na porzuconą kulę, która wykonała znaczną część swojej pracy. Najwyraźniej musiano wystrzelić ją już jakiś czas temu.

Jej postępy umożliwiały identyfikację budowli. Mimo niepozornych rozmiarów kształt można było zidentyfikować. Urządzenie tworzyło miniaturową replikę zniszczonej fabryki.

— A więc to tak — powiedział z namysłem O'Neill. — Zatem wracamy do punktu wyjścia. Na dobre czy złe... sam już nie wiem.

— Pewnie są już rozsiane po całej Ziemi — rzekł Morrison — lądują, gdzie się da, i przystępują do roboty.

O'Neill uderzyła pewna myśl.

— Może niektóre z nich poruszają się z prędkością ucieczki. To byłoby dobre — sieć autofabu oplotłaby cały wszechświat.

Otwór wylotowy za jego plecami nie przestawał sypać kaskadą metalowych nasion.

# **WEZWANIE DO NAPRAWY**

Rozsądnie byłoby wyjaśnić, czym zajmował się Courtland w chwili, gdy zabrzączał dzwonek u drzwi.

David Courtland siedział nad stosem rutynowych raportów w swoim eleganckim apartamencie przy ulicy Leavenworth, gdzie zbocze Russian Hill przechodzi w płaską równinę Norm Beach, która wiedzie prosto do zatoki San Francisco. Raporty dotyczyły danych technicznych na temat rezultatów testów Mount Diablo. Jako dyrektor do spraw badań w firmie Pesco Paints, Courtland zajmował się względną wytrzymałością różnego rodzaju powierzchni produkowanych przez jego firmę. Pomalowane tablice smażyły się w kalifornijskim słońcu przez pięćset sześćdziesiąt cztery dni. Nadeszła pora, aby sprawdzić, która emulsja wytrzymała próbę, i ustalić odpowiedni cykl produkcyjny.

Pochłonięty analizą skomplikowanych danych Courtland początkowo nie dosłyszał dzwonka. W rogu salonu z wysokiej jakości wzmacniacza marki Bogen i głośnika płynęła symfonia Schumanna. Żona Davida, Fay, zmywała w kuchni naczynia po kolacji. Dwaj synowie, Bobby i Ralf, spali już w swoich łóżkach. Sięgając po fajkę, Courtland na chwilę odsunął się od biurka, przeczesał ciężką ręką rzednące siwe włosy... i usłyszał dzwonek.

— Cholera — powiedział. Zastanowił się, ile razy rozbrzmiał nieśmiały sygnał; w podświadomości tkwił mu mglisty zapis wielokrotnych prób podejmowanych celem zwrócenia jego uwagi. Sterta raportów zafalowała przed znużonymi oczami mężczyzny. Któż to u licha był? Zegarek wskazywał dopiero dziewiątą trzydzieści; irytacja była w gruncie rzeczy bezzasadna.

— Mam otworzyć? — zawołała z kuchni Fay.

— Ja pójdę. — Courtland dźwignął się z krzesła, wsunął stopy w buty i powłókł się przez pokój, obok kanapy, lampy stojącej, stojaka z gazetami, fonografii, biblioteczki, aż do drzwi. Był przysadzistym technologiem, w średnim wieku i nie znosił, jak ktoś przeskadzał mu w pracy.

Na korytarzu stał nieznajomy mężczyzna.

— Dobry wieczór panu — powiedział nowo przybyły, bacznie studiując tabliczkę z przypiętymi notatkami. — Przepraszam, że przeszkadzam.

Courtland zmierzył go cierpkim spojrzeniem. Pewnie komiwojażer. Chudy, jasnowłosy, w białej koszuli, muszce i jednorzędowej niebieskiej marynarce, młodzieniec stał przed nim z tabliczką w jednej i wypchaną czarną teczką w drugiej ręce. Jego koścista twarz zastygła w wyrazie pokaźnego skupienia. Unosiła się wokół niego aura ostrożnego zakłopotania; zmarszczył brwi, zasznurował usta, a mięśnie policzka zadrgały mu lv niekontrolowanym odruchu niepokoju. Unosząc wzrok, zapytał:

— Czy to Leavenworth 1846? Mieszkanie 3 A?

— Owszem — odrzekł Courtland z cierpliwością należną osobnikowi niższego gatunku.

Zmarszczka na czole młodzieńca odrobinę złagodniała. Zajrzał ponad ramieniem Courtlanda w głąb mieszkania.

— Przepraszam, że nachodzę pana wieczorem i przeszkadzam w pracy, ale jak pan zapewne wie, w minione dni mieliśmy komplet. Dlatego nie mogliśmy wcześniej odpowiedzieć na pańskie wezwanie.

— Moje wezwanie? — powtórzył jak echo Courtland. Pod rozpiętym kołnierzem poczuł przypływ gorąca. To pewnie sprawka Fay, wrobiła go w coś, czym według niej powinien się zająć, w jakąś sprawę wagi nadrzędnej. — O czym pan do diabła mówi? — zapytał. — Proszę przejść do sedna.

Młodzieniec spłonał rumieńcem, hałaśliwie przełknął ślinę, spróbował się uśmiechnąć, po czym podjął gorączkowo:

— Sir, jestem mechanikiem, którego pan wzywał, przyszedłem, aby naprawić pańskiego swibbla.

Courtland wielokrotnie później żałował, że nie użył natychmiastowej riposty, która przyszła mu do głowy. — Może wcale nie chcę, żeby pan naprawiał mojego swibbla. Może podoba mi się taki, jaki jest. — Lecz jego odpowiedź brzmiała inaczej. Zamrugał i zmniejszył nieco szczelinę w drzwiach, pytając:

— Moje co?

— Tak jest, proszę pana — podjął energicznie młodzieniec. — Dotarła do nas informacja o zainstalowaniu swibbla. Na ogół przeprowadzamy automatyczną ankietę, lecz tym razem pańskie wezwanie uprzedziło nasze zamierzenia — dlatego przyjechałem wraz z całym sprzętem naprawczym. Wracając do sedna pańskiej skargi... — Gwałtownie przekartkował notatki przypięte do tabliczki. — Cóż, nie ma sensu tego szukać, wyjaśni mi pan osobiście. Jak pan zapewne wie, oficjalnie nie jesteśmy filią korporacji handlowej... posiadamy tak zwane potwierdzenie ubezpieczeniowe, które wchodzi w życie z chwilą dokonania przez pana zakupu. Oczywiście, może pan anulować umowę. Doszły mnie słuchy, że w branży serwisowej roi się od konkurentów — zażartował.

Po chwili młodzieniec spoważniał. Prostując wątłe ciało, dokończył:

— Pozwoli pan jednak, że wspomnę, iż zajmujemy się naprawą swibbli od chwili, gdy stary R. J. Wright zaprezentował pierwszy model eksperymentalny napędzany energią jądrową.

Courtland milczał przez dłuższą chwilę. Czuł zamęt w głowie: w jego umyśle powstał zlepek przypadkowych, pseudotechnicznych skojarzeń oraz szacowań introspektywnych i pozbawionych znaczenia symboli. Wyglądało na to, że swibble również się psuły. Poważne operacje handlowe... wysyłają mechanika z chwilą zawarcia transakcji. Taktyki monopolistyczne... eliminują konkurencję, nim ta ma szansę wykonać jakikolwiek ruch. Najpewniej w grę wchodzi łąpówki dla producenta. Wspólnota interesów.

Jednak żadna z myśli nie prowadziła do sedna sprawy. Potężnym wysiłkiem przeniósł uwagę z powrotem na szczerego młodzieńca, który nerwowo czekał w korytarzu ze swoją tabliczką i czarną wypchaną teczką.

— Nie — powiedział z naciskiem. — Trafił pan pod niewłaściwy adres.

— Słucham? — zająknął się uprzejmie młodzieniec. Na jego twarzy odbił się wyraz niemiłego zaskoczenia. — Niewłaściwy adres? Na miłość boską, czyżby przesyłka trafiła nie tam, gdzie trzeba...

— Lepiej sprawdź pan jeszcze raz w swoich notatkach — poradził mu Courtland, przysmykając drzwi. — Czymkolwiek jest ten cholerny swibbl, jak go nie mam, wcale pana nie wzywałem.

Zatrzasnąwszy drzwi, ujrzał w przelocie przerażoną, ogłupiałą twarz młodzieńca. Następnie drewniana powierzchnia drzwi ograniczyła mu pole widzenia i Courtland z rezygnacją powrócił do swego biurka.

Swibbl. Cóż to, u licha, było? Ponuro opadł na krzesło i usiłował podjąć pracę w miejscu, gdzie ją przerwał... lecz jego myśli obrały zupełnie inny tor.

Nie istniało nic o podobnej nazwie. Już on wiedział coś na ten temat. Czytał „U.S. News”, „The Wall Street Journal”. Gdyby swibbl istniał, na pewno by o nim słyszał — chyba że był to jakiś bzdurny element wyposażenia domu. Być może właśnie o to chodziło.

— Słuchaj — krzyknął do żony, gdy Fay stanęła na chwilę w drzwiach kuchennych ze ścierką i talerzem w dłoni. — Co tu jest grane? Czy wiesz coś na temat swibbli?

Fay potrząsnęła głową.

— Nie.

— Nie zamawiałaś chromowo-plastikowego swibbla z Macy?

— Na pewno nie.

Może chodziło o dzieci. Może w podstawówce zapanowała ostatnio moda na współczesne bierki, sztuczne ognie albo puk puk — kto tam? Lecz dziewięciolatki zazwyczaj nie kupowały rzeczy, które wymagałyby wizyty mechanika z wielką torbą narzędzi — nie za pięćdziesiąt centów tygodniówki.



Ciekawość wzięła górę nad niechęcią. Musiał wiedzieć, dla samej zasady, czym jest swibbl. Zerwawszy się z miejsca, Courtland pospieszył do drzwi i otworzył je na oścież.

Zgodnie z przewidywaniami, korytarz był pusty. Młodzieniec odszedł, pozostawiając nikłą woń wody kolońskiej i potu, nic więcej.

Nic, poza zmiętą kartką papieru, która sfrunęła z jego tabliczki. Courtland schylił się i podniósł ją z posadzki. Była to kalka opisu trasy wraz z kodem identyfikacyjnym, nazwą firmy oraz adresem wzywającego.

*1846 Leavenworth, wezw. odeb. Ed Fuller o 9.20, 28.V.*

*Swibbl 30sl5H (deluxe).*

*Proponowane sprawdzenie dopływu bocznego oraz banku wymiany neurologicznej.*

*Aaw3-6.*

Courtland nie był w stanie odcyfrować znaczenia podanych numerów i informacji. Zamknął drzwi i z wolna powrócił do swego biurka. Wyglądziwszy zmiętą kartkę, ponownie odczytał jej treść, próbując wydusić z niej jakieś znaczenie. Firmowy nagłówek głosił:

PRZEDSIĘBIORSTWO NAPRAW ELEKTRONICZNYCH

Ulica Montgomery 455, San Francisco 14. Ri8 — 4456n

Data założenia: 1963 rok

Otóż to. Związała adnotacja, data założenia: 1963 rok. Courtland machinalnie sięgnął drżącymi rękami po fajkę. To wyjaśniało, dlaczego w życiu nie słyszał o swibblu. Dlaczego go nie miał... i dlaczego, choćby nie wiadomo do ilu drzwi zastukał, mechanik nie znajdzie osoby, która by go miała.

Swibble nie zostały jeszcze wymyślone.

Po chwili wypełnionej zmaganiem z własnymi myślami, Courtland chwycił słuchawkę i wykręcił numer jednego ze swoich podwładnych w Pesco.

— Nie obchodzi mnie, co robisz dziś wieczorem — wycedził dobitnie. — Podam ci listę instrukcji i masz niezwłocznie je wypełnić.

Po drugiej stronie linii Jack Hurley stoczył ze sobą ciężką walkę, aby się opanować.

— Dzisiaj? Słuchaj, Dave, firma to nie moja matka... mam własne życie. Jeśli myślisz, że przybiegnę na każde skinienie...

— To nie ma nic wspólnego z Pesco. Potrzebny mi magnetofon i kamera z obiektywem na podczerwień. Masz sprowadzić tu stenotypistkę sądową. I jednego z naszych elektryków — zdam się na ciebie, ale wybierz naprawdę najlepszego. Zadzwoń do Andersona z działu inżynieryjnego. Jeśli go nie znajdziesz, sprowadź kogoś innego.

Potrzebny mi też ktoś spoza działu produkcji, znajdź jakiegoś starego mechanika, który zna się na rzeczy. Który rzeczywiście wie wszystko o maszynach.

— Cóż, ty jesteś szefem — odparł z powątpiewaniem Hurley. — Przynajmniej w dziale badawczym. Należy jednak zgłosić to w firmie. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym zadzwonił do Pesbroke'a i uzyskał jego zgodę?

— Bardzo proszę. — Courtland błyskawicznie podjął decyzję. — Albo lepiej ja to zrobię; trzeba mu wyjaśnić, co jest grane.

— A co jest grane? — zapytał ciekawie Hurley. — Nigdy przedtem nie słyszałem u ciebie takiego tonu... czy ktoś wymyślił farbę w sprayu?

Courtland odwiesił słuchawkę, odczekał długą chwilę, po czym wykręcił numer swojego przełożonego, właściciela Pesco Paints.

— Masz chwilę? — rzucił zwięźle do słuchawki, gdy żona Pesbroke'a wyrwała siwo-włosego starca z wieczornej drzemki i zawołała go do telefonu. — Chodzi o coś ważnego; chciałbym to z tobą omówić.

— Czy to ma coś wspólnego z farbą? — zapytał na wpół żartobliwie Pesbroke. — Jeśli nie...

Courtland wpadł mu w słowo. Zdał pełną relację z wizyty mechanika.

Gdy skończył, jego przełożony milczał przez chwilę.

— Cóż — powiedział wreszcie. — Pewnie mógłbym robić problemy formalne. Wzbudziłeś jednak moją ciekawość. Dobrze, kupuję to. Ale — dodał cicho — jeśli chodzi o wymyślne marnotrawienie czasu, skasuję cię za użycie ludzi i sprzętu.

— Czy przez marnotrawienie czasu masz na myśli brak wymiernych korzyści?

— Nie — odrzekł Pesbroke. — Mam na myśli to, że jeśli wiesz, że to kawał i umyślnie się w to pakujesz. Cierpię na migrenę i kawały nie robią na mnie wrażenia. Skoro rzeczywiście traktujesz sprawę poważnie, zapiszę to na koszt firmy.

— Jestem poważny — odpowiedział Courtland. — Poza tym obaj jesteśmy za starzy na podobne gierki.

— Cóż — skwitował z namysłem Pesbroke. — Im człowiek bardziej się starzeje, tym jest bardziej podatny na nagłe zmiany nastroju. — Podjął decyzję. — Zadzwonię do Hurleya i dam mu upoważnienie. Rób, co chcesz... Przypuszczam, że masz zamiar przycisnąć tego mechanika do muru i dowiedzieć się, kim naprawdę jest.

— Trafiłeś w sedno.

— A jeśli on mówi prawdę... co wtedy?

— Hm — rzucił ostrożnie Courtland. — Wtedy dowiem się, co to jest swibbl. Na początek. Później może...

— Uważasz, że wróci?

— Bardzo prawdopodobne. Nie znajdzie właściwego adresu; wiem o tym. Nikt w okolicy nie wzywał mechanika.

— Po co chcesz wiedzieć, czym jest swibbl? Dlaczego nie dowiesz się raczej, w jaki sposób trafił tu ze swoich czasów?

— Mam wrażenie, że on wie, czym jest swibbl — nie wydaje mi się, by miał pojęcie, w jaki sposób tu się znalazł. Pewnie nawet nie wie, że tu jest.

Pesbroke przyznał mu rację.

— To logiczne. Wpuścisz mnie, jak przyjdę? Z chęcią popatrzę.

— Jasne. — Spocony Courtland nie odrywał wzroku od zamkniętych drzwi wyjściowych. — Ale będziesz musiał siedzieć w drugim pokoju. Nie chcę niczego sknocić... taka okazja drugi raz się nie trafi.

Pospiesznie zmontowana ekipa bez entuzjazmu weszła do mieszkania i czekała na dalsze polecenia Courtlanda. Jack Hurley, w sportowej koszuli, spodniach i butach na krepowej podeszwie, podszedł niechętnie do Courtlanda i machnął mu cygarem przed nosem.

— No to jesteśmy, nie wiem, co powiedziałaś Pesbroke'owi, ale na pewno go przekabaciłeś. — Rozglądając się po mieszkaniu, dodał: — Czy słusznie zakładam, że teraz powinienes nas oświecić? Ci ludzie niewiele mogą zrobić, jeśli nie wiedzą, po co ich tu sprowadziłeś.

W drzwiach sypialni stanęli dwaj synowie Courtlanda, mrużąc zaspane oczy. Fay, zdenerwowana, zapędziła ich z powrotem do łóżek. Grupa zgromadzonych w salonie mężczyzn i kobiet rozlokowała się niepewnie. Ich twarze wyrażały złość, zaciekawienie bądź znudzoną obojętność. Andersen, inżynier z działu planowania, z arogancką miną ostentacyjnie trzymał się na uboczu. MacDowell, przygarbiony tokarz z brzuszkiem, spoglądał z proletariackim oburzeniem na luksusowy wystrój salonu. Konfrontacja pomieszczenia z roboczym obuwiem i przesiąkniętymi smarem spodniami mężczyzny wypadła zdecydowanie na niekorzyść tych ostatnich, co wprawiło go w apatię i zakłopotanie. Operator dźwięku przeciągał kable mikrofonów do magnetofonu ustawionego w kuchni. Stenotypistka, szczupła młoda kobieta, usadowiła się na krześle w rogu pokoju. Parkinson, elektryk, od niechcienia przeglądał na kanapie numer „Fortune”.

— Gdzie kamera? — zapytał Courtland.

— W drodze — odparł Hurley. — Czy przypadkiem nie przesadzasz z tym całym sprzętem?

— Na pewno nie — odparował oschle Courtland. W napięciu krążył po pokoju. — Pewnie w ogóle nie przyjdzie; albo wrócił do swoich czasów, albo łązi Bóg wie gdzie.

— Kto? — krzyknął Hurley, z rosnącym przejęciem wydmuchując dym z cygara. — Co tu się dzieje?

— Pewien mężczyzna zapukał do moich drzwi — wyjaśnił zwięźle Courtland.  
— Mówił coś o jakimś urządzeniu, o którym nigdy w życiu nie słyszałem. O czymś, co nosi nazwę swibbl.

Obecni wymienili puste spojrzenia.

— Spróbujmy zgadnąć, co to jest swibbl — zakomenderował ponuro Courtland.  
— Andersen, zaczynaj. Czym jest według ciebie swibbl?

— Haczyk, który goni rybę — podsunął z krzywym uśmiechem Anderson.

— Angielski samochód z jednym kołem — rzucił Parkinson.

— Coś głupiego — oznajmił posępnie Hurley. — Klatka na niegrzeczne zwierzęta domowe.

— Nowy, plastikowy biustonosz — zasugerowała stenotypistka.

— Nie mam pojęcia — powiedział z urazą MacDowell. — Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— No dobrze — odparł Courtland, spoglądając na zegarek. Powoli ogarniała go histeria; minęła godzina, a mechanika ani śladu. — Nie wiemy; nie możemy nawet zgadywać. Lecz pewnego dnia, za dziewięć lat, człowiek o nazwisku Wright wymyśli swibbla i rozkręci spory interes. Ludzie go wyprodukują, inni będą go sprzedawać i kupować, a mechanicy naprawiać.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Pesbroke z płaszczem przewieszonym przez ramię i w kowbojskim kapeluszu na głowie.

— Przyszedł? — zapytał, strzelając oczami po pokoju. — Wyglądacie, jakbyście szykowali się do wyjścia.

— Ani widu, ani słychu — odrzekł ponuro Courtland. — Cholera... sam go odesłałem; zorientowałem się dopiero po jego wyjściu. — Pokazał Pesbroke'owi wymiętą kartkę.

— Rozumiem — powiedział Pesbroke, oddając mu świstek. — Jeśli wróci, sfotografujesz jego sprzęt i nagrasz wszystko, co powie. Wskazał na Andersena i MacDowella. — A co z resztą? Po co oni są tu potrzebni?

— Chciałem ludzi, którzy potrafią zadać odpowiednie pytania — wyjaśnił Courtland. — Inaczej nie zdobędziemy odpowiedzi. Ten człowiek, o ile w ogóle się zjawi, pozostanie tu tylko przez krótką chwilę. W tym czasie musimy się dowiedzieć... — Urwał, gdyż żona stanęła u jego boku. — O co chodzi?

— Chłopcy chcą popatrzeć — powiedziała Fay. — Mogą? Obiecali, że nie będą hałasować. — Dodała tęsknie: — Ja również bym chętnie popatrzyła.

— No to sobie patrz — rzucił niezachęcająco Courtland. — Może wcale nie będzie nic do oglądania.

Fay podała kawę, tymczasem Courtland przeszedł do dalszych wyjaśnień.

— Przede wszystkim, chcemy się dowiedzieć, czy on nie udaje. Pierwsze pytania mają na celu podważyć jego wiarygodność, to zadanie dla specjalistów. Jeśli to oszust, na pewno się zdradzi.

— A jeśli nie? — zapytał z nagłym zainteresowaniem Anderson. — Jeśli nie jest oszustem, tak jak mówisz...

— Jeśli nie jest oszustem, to przybył z następnej dekady i moim celem jest wydusić z niego jak najwięcej informacji. Ale... — Courtland zamilkł. — Wątpię, czy uzyskamy wiele teorii. Odniosłem wrażenie, że to tylko płotka. Prawdopodobnie najlepsze, co uda nam się wyciągnąć, to opis wykonywanej przez niego pracy. Za pomocą tego będziemy zmuszeni sami zmontować pełen obraz i wyciągnąć wnioski.

— Myślisz, że powie nam, w jaki sposób zarabia na życie — wtrącił piskliwie Pesbroke. — I to wszystko.

— Będziemy mieli szczęście, jak w ogóle przyjdzie — skwitował Courtland. Usiadł na kanapie i zaczął metodycznie postukiwać fajką o popielniczkę. — Możemy jedynie czekać. Spróbujcie wymyślić ewentualne pytania, które moglibyście zadać. Zastanówcie się, czego chcielibyście dowiedzieć się od wysłannika z przyszłości, który na dodatek nie ma pojęcia, że nim jest i chce naprawić nieistniejący sprzęt.

— Boję się — powiedziała pobladła na twarzy telefonistka, otwierając szeroko oczy. Filiżanka zadrżała jej w dłoni.

— Jestem wykończony — mruknął Hurley, wlepiając ponure spojrzenie w podłogę. — Duszno tu.

W tym momencie nadszedł mechanik i ponownie nieśmiało zadzwonił do drzwi.

Był wzburzony. I wyraźnie zdezorientowany.

— Przykro mi, sir — zaczął bez ogródek. — Widzę, że ma pan gości, ale jeszcze raz sprawdziłem adres i jestem przekonany, że to tu. Próbowałem w innych mieszkaniach i nikt nie wiedział, o co mi chodzi — dodał płaczliwie.

— Proszę wejść — wydusił Courtland. Ustąpił z przejścia, wcisnął się pomiędzy mechanika i drzwi, po czym wprowadził go do salonu.

— Czy to ten człowiek? — zapytał z powątpiewaniem Pesbroke, mrużąc oczy.

Courtland zignorował go.

— Niech pan usiądzie — polecił mechanikowi. Kątek oka dostrzegł, że Andersen, Hurley i MacDowell przysuwają się bliżej; Parkinson rzucił „Fortune” i zerwał się z miejsca. Z kuchni dobiegł szelest włączanej do nagrywania taśmy... całe pomieszczenie ożyło.

— Mogę przyjść kiedy indziej — zająknął się lekko mechanik, bacznie spoglądając na zacieśniający się wokół niego krąg. — Nie chcę panu przeszkadzać, ma pan gości.

Courtland przysiadł na poręczu kanapy.

— Chwila dobra jak każda inna. W gruncie rzeczy trudno marzyć o lepszej. — Poczul gwałtowny przypływ ulgi, oto nadeszła szansa. — Nie wiem, co we mnie wstąpiło — podjął szybko. — Zbił mnie pan z tropu. Naturalnie, że mam swibbla; jest zamontowany w jadalni.

Twarz mechanika skrzywiła się w nagłym ataku śmiechu.

— Doprawdy — zakrztusił się. — W jadalni? To najzabawniejszy dowcip, jaki słyszałem od tygodni.

Courtland zerknął na Pesbroke'a. Cóż w tym u licha było takiego śmiesznego? Ciarki przebiegły mu po plecach; zimny pot wystąpił na dłoniach i na czole. Co to jest swibbl? Lepiej będzie, jak od razu poznają prawdę — albo wcale. Może pakowali się w coś poważniejszego, niż im się początkowo zdawało. Może — nie podobała mu się ta myśl — lepiej było pozostać w punkcie, w którym tkwili obecnie.

— Nazwa, której pan użył — ponowił próbę — wprowadziła mnie w błąd. Nie używam jej jako właściwego określenia. Wiem, że to żargon, lecz w sytuacji, gdy w grę wchodzi taka suma, wołę pozostać przy pierwotnej nazwie — dokończył ostrożnie.

Mechanik zmieszał się doszczętnie, Courtland uświadomił sobie, że popełnił kolejny błąd, wszystko wskazywało na to, że swibbl było właściwym określeniem.

— Od jak dawna naprawia pan swibble, panie... — Pesbroke zawiesił głos, lecz nie padła żadna odpowiedź. — Jak brzmi pańskie nazwisko, młody człowieku? — zapytał.

— Moje co? — Mechanik nagłym szarpnięciem odchylił się do tyłu. Nie rozumiem, o co panu chodzi, sir?

Chryste, pomyślał Courtland. Sprawy przybierały poważniejszy obrót, niż się spodziewał — niż wszyscy się spodziewali.

— Musi pan mieć jakieś nazwisko — rzucił gniewnie Pesbroke. Wszyscy je mają.

Młodzieniec przełknął ślinę i czerwony jak burak opuścił wzrok na dywan.

— Wciąż jestem w grupie naprawczej numer cztery, sir. Jeszcze nie mam nazwiska.

— Dajmy temu spokój — wtrącił Courtland. Jakie społeczeństwo przydziela nazwiska jako symbol statusu? — Chcę się upewnić, że jest pan solidnym fachowcem — wytłumaczył. — Od jak dawna naprawia pan swibble?

— Od sześciu lat i trzech miesięcy — oznajmił mechanik. Duma zajęła miejsce za kłopotania. — W szkole uzyskałem najwyższą notę w dziedzinie zdolności naprawczych swibbli. — Wyprężył wąż pierś. — Jestem urodzonym mechanikiem.

— Doskonale — rzekł zaniepokojony Courtland; nie mógł uwierzyć, że przemysł wytwórczy tych urządzeń osiągnął takie rozmiary. Dzieci przechodziły w szkołach specjalne testy? Czy naprawianie swibbli było uznawane za podstawową umiejętność, tak jak kojarzenie symboli i zdolności manualne? Czy praca ze swibblami stała się równie ważna jak talent muzyczny bądź też rozumienie związków przestrzennych?

— No cóż — rzucił żwawo mechanik, sięgając po swoją wypchaną torbę. — Mogę zaczynać. Niedługo muszę wracać do sklepu... mam mnóstwo innych wezwań.

Pesbroke stanął na wprost młodzieńca.

— Co to są swibble? — zapytał. — Męczy mnie to ciągle owijanie w bawełnę. Mówi pan, że je naprawia — czym one są? To proste pytanie; muszą czymś być.

— Jak to — odrzekł z wahaniem młodzieniec. — To znaczy, trudno powiedzieć. Gdyby pan... gdyby pan na przykład zapytał mnie, co to jest pies, czy kot. Jak mam odpowiedzieć na to pytanie?

— Zmierzamy donikąd — uznał Andersen. — Swibble są produkowane, prawda? Musi pan mieć jakiś schemat, wobec tego proszę mi go pokazać.

Mechanik przycisnął do siebie obronnym ruchem torbę.

— Co się tu dzieje, sir? Jeśli to ma być żart... — Zwrócił się do Courtlanda. — Chciałbym rozpocząć, naprawdę nie mam zbyt wiele czasu.

— Myślałem, aby zdobyć jednego z nich — odezwał się z wolna MacDowell. Stał w kącie z rękami w kieszeniach. — Moja pani uważa, że powinniśmy to mieć.

— Ach, oczywiście — potwierdził mechanik. Jego policzki odzyskały normalną barwę. — Dziwię się, że pan jeszcze go nie ma, nie wiem, co się z wami wszystkimi dzieje. Dziwnie się... zachowujecie. Skąd pochodzicie, jeśli mogę zapytać? Dlaczego jesteście tacy... tacy niedoinformowani?

— Ci ludzie — pośpieszył z wyjaśnieniem Courtland — pochodzą z części kraju, w której swibble nie są znane.

Twarz mechanika natychmiast zastygła w podejrzliwym wyrazie.

— Czyżby? — rzucił ostro. — Ciekawe. O jaką część kraju chodzi?

Courtland ponownie odniósł wrażenie, że powiedział coś niewłaściwego. Podczas gdy rozpaczliwie szukał odpowiedzi, MacDowell odchrząknął i podjął niewzruszenie:

— Tak czy inaczej, planujemy zakup. Czy ma pan przy sobie jakieś foldery? Zdjęcia poszczególnych modeli?

— Obawiam się, że nie, proszę pana — odrzekł mechanik. — Lecz jeśli poda mi pan swój adres, dział sprzedaży prześle panu potrzebne informacje. Na pańskie życzenie możemy wysłać wykwalifikowanego reprezentanta, który opíše panu wszystkie korzyści posiadania swibbla.

— Pierwszy swibbl powstał w 1963 roku? — zapytał Hurley.

— Zgadza się. — Podejrzliwość mechanika została na chwilę uspijona. — Był na to najwyższy czas. Powiem państwu, że gdyby Wright nie wprowadził pierwszego modelu, na świecie nie ostałby się żaden człowiek. Wy tutaj nie macie swibbli — możecie o tym nie wiedzieć — w każdym razie zachowujecie się tak, jakbyście nie wiedzieli — ale żyjecie wyłącznie dzięki staremu R. J. Wrightowi. Świat opiera się na swibblach.

Otworzywszy czarną teczkę, mechanik żwawo wyjął z niej skomplikowany aparat złożony z rur i przewodowania. Napełnił pojemnik przezroczystym płynem, następnie zapieczętował go, wypróbował tłok i wyprostował się.

— Zacznę od porcji dx; to na ogół przywraca im zdolność prawidłowego funkcjonowania.

— Co to jest dx? — zapytał pospiesznie Andersen.

Zdziwiony pytaniem mechanik odparł:

— To koncentrat spożywczy o wysokiej zawartości białka. Stwierdziliśmy, że dziewięćdziesiąt procent wezwań wynika z niewłaściwej diety. Ludzie zwyczajnie nie mają pojęcia, jak dbać o nowego swibbla.

— Mój Boże — powiedział słabo Anderson. — To żyje.

Myśli Courtlanda wykonały gwałtowną woltę. Mylił się, nie miał przed sobą mechanika rozkładającego narzędzia. Ten człowiek przyszedł, aby naprawić swibbla, owszem, lecz jego praca polegała na czymś nieco innym, niż przypuszczał Courtland. Nie był mechanikiem, tylko weterynarzem.

Rozkładając swoje przyrządy i miarki, młodzieniec wyjaśniał:

— Nowe swibble są znacznie bardziej złożone niż wczesne modele, będą potrzebował tego wszystkiego, jeszcze zanim zacznę. Ale miejcie o to pretensje do Wojny.

— Wojny? — powtórzyła trwożliwie Fay Courtland.

— Nie mam na myśli tej wczesnej, tylko wielką, z 1975 roku. Mała wojna z roku 1961 tak naprawdę się nie liczyła. No, chyba wiedzą państwo, że Wright pełnił początkowo funkcję inżyniera wojskowego i stacjonował w... to chyba kiedyś nosiło nazwę Europa. Myślę, że pomysł nasunęły mu rzesze uciekinierów przepływające przez granicę. Tak, jestem pewien, że właśnie tak się stało. Podczas małej wojny, w 1961, były ich miliony. Podobnie i w drugą stronę. Boże, ludzie przemieszczali się tam i z powrotem pomiędzy dwoma obozami — to było straszne.

— Nie jestem zbyt mocny z historii — przerwał mu ochrypłym głosem Courtland. — W szkole niespecjalnie przejmowałem się tym przedmiotem... ta wojna w 1961 roku wybuchła pomiędzy Ameryką i Rosją?

— Ach — rzucił mechanik. — W gruncie rzeczy pomiędzy wszystkimi. Oczywiście, Rosja przewodziła stronie wschodniej, a Ameryka zachodniej. Zaangażowali się wszyscy. Mimo to wojna była nieistotna, wcale się nie liczyła.

— Nieistotna? — zapytała przerażona Fay.

— No cóż — przyznał mechanik. — Pewnie w tamtym czasie sprawy wyglądały całkiem poważnie. Ale chodzi o to, że kiedy dobiegła końca, Budynki jak miały stać, tak stały. Poza tym trwała zaledwie kilka miesięcy.

— Kto... wygrał? — wychrypiał Andersen.

Mechanik zachichotał.



— Wygrał? Cóż za dziwne pytanie. Więcej ludzi zostało w bloku wschodnim, jeśli o to panu chodzi. Tak czy siak — najistotniejszym zjawiskiem wojny '61 było to — i jestem pewien, że wasi historycy wyrazili to jasno — że pojawiły się swibble. R. J. Wright zaczerpnął inspirację ze zjawiska międzyobozowego przepływu ludzi, które wystąpiło w czasie wojny. Toteż do roku 1975, kiedy wybuchła prawdziwa wojna, powstało mnóstwo swibbli. W gruncie rzeczy jestem skłonny twierdzić, że to one stanowiły zasadnicze źródło konfliktu. To znaczy, była to ostatnia wojna, wojna pomiędzy ludźmi, którzy chcieli swibbli i którzy ich nie chcieli. Nie ma potrzeby zaznaczać, że to my wygraliśmy — dodał zarozumiale.

— Co stało się z innymi? — zapytał po chwili Courtland. — Z tymi, którzy... nie chcieli swibbli.

— No jak to — odparł łagodnie mechanik. — Swibble zrobiły z nimi porządek.

Roztrzęsiony Courtland zapalił fajkę.

— Nie wiedziałem.

— Co pan ma przez to na myśli? — wtrącił stanowczo Pesbroke. — Co to znaczy, zrobiły z nimi porządek? Czyli co?

Mechanik ze zdumieniem potrząsnął głową.

— Nie przypuszczałem, że w kręgach laików panuje aż taka niewiedza. — Rola głosiela wiedzy sprawiała mu wyraźną przyjemność; wypinając kościstą pierś, wrócił do wpajania podstaw wiedzy historycznej otaczającej go grupie bacznych słuchaczy. — Pierwszy swibbl o napędzie atomowym Wrighta był oczywiście bardzo prymitywny. Mimo to doskonale spełniał swoje zadanie. Początkowo umiał rozróżniać osoby zmieniające obozy na dwie kategorie: tych, którzy rzeczywiście widzieli światło, oraz tych, którzy tylko udawali. Którzy mieli zamiar robić uniki... nie byli lojalni. Władze chciały wiedzieć, którzy ze zmieniających obóz chcieli naprawdę przejść na stronę zachodnią, a którzy byli szpiegami i tajnymi agentami. Na tym polegało początkowo zadanie swibbli. Ale to nic w porównaniu z tym, co jest teraz.

— Nie — przyznał osłupiały Courtland. — Zupełnie nic.

— Teraz — podjął uprzejmie mechanik — nie zajmujemy się takimi drobnostkami. Bez sensu byłoby czekać, aż dana jednostka przyjmie sprzeczną ideologię, a potem od niej odstąpi. W gruncie rzeczy co za ironia, prawda? Po 1961 istniała tylko jedna spreczna ideologia: ideologia przeciwników swibbli.

Wybuchnął radosnym śmiechem.

— Tak więc swibble wyłaniały tych, którzy nie chcieli być przez nie wyłaniani. Rany, to ci dopiero była wojna. Nie chodziło o żaden bałagan, z mnóstwem bomb i benzyny. To była wojna naukowa — żadnych przypadkowych zniszczeń. Swibble schodziły w głąb piwnic i ruin i wyciągały z nich Przeciwników, jednego po drugim. Wreszcie dopadliśmy wszystkich. Teraz — zakończył, zbierając narzędzia — nie ma potrzeby mar-

twić się o wojny ani nic w tym stylu. Nie będzie więcej konfliktów, ponieważ sprzeczne ideologie nie istnieją. Wright wykazał, że tak naprawdę to wyznawana przez nas ideologia nie ma najmniejszego znaczenia; nieważne, czy jest się komunistą, socjalistą, faszystą czy zwolennikiem niezależnych przedsiębiorstw albo niewolnictwa. Liczy się to, że wszyscy zgadzają się ze wszystkimi, że wszyscy jesteśmy absolutnie lojalni. Dopóki mamy nasze swibble... — Mrugnął znacząco do Courtlanda. — Cóż, jako świeżo upieczony właściciel swibbla, poznał pan korzyści płynące z jego posiadania. Zna pan poczucie bezpieczeństwa i zadowolenie wynikające z pewności, że pańska ideologia zgadza się z ideologią pozostałych mieszkańców świata. I że nie ma żadnej możliwości, cienia niebezpieczeństwa, że coś sprowadzi pana na manowce — i że padnie pan ofiarą apetytu przechodzącego swibbla.

Pierwszy doszedł do siebie MacDowell.

— Taa — przytaknął ironicznie. — Moja pani i ja marzymy tylko o tym.

— Ach, powinien pan mieć własnego swibbla — powiedział z naciskiem mechanik. — Proszę pomyśleć, własny swibbl dopasowuje pana automatycznie. Bez problemu utrzymuje pana na prostej. Ma pan niezmienną pewność co do słuszności swoich poglądów — proszę pamiętać nasz slogan: Po co być w połowie lojalnym? Z własnym swibblem pański punkt widzenia zostanie naprostowany w kilku bezbolesnych etapach... lecz jeśli będzie pan zwlekał w nadziei, że znajduje się pan na właściwej drodze, pewnego dnia, będąc z wizytą u przyjaciela, stanie się pan smacznym kąskiem dla jego swibbla. Oczywiście — dorzucił — przechodzący swibbl może zdążyć naprostować pana na czas. Ale na ogół jest za późno. Na ogół... — Uśmiechnął się. — Ludzie, jak tylko zaczną grzeszyć, tracą nadzieję na rozgrzeszenie.

— A pańskim zadaniem — wtrącił Pesbroke — jest dbać o sprawne działanie swibbli?

— Pozostawione samym sobie czasem przestają być idealnie dopasowane.

— Czyż to nie paradoks? — drążył Pesbroke. — Swibble dbają o nasze dopasowanie, my o ich... to zamknięte koło.

Mechanik nie krył zaintrygowania.

— Istotnie, to ciekawe podejście do sprawy. Lecz my naturalnie musimy sprawować nad nimi kontrolę. Aby nie wyginęły. — Zadrżał. — Albo jeszcze gorzej.

— Wyginęły? — zapytał Hurley, nic nie pojmując. — Lecz skoro zostały wyprodukowane... — Marszcząc brwi, powiedział: — Albo są maszynami, albo żyją. Niech pan — się zdecyduje.

Mechanik cierpliwie wyjaśnił elementarne aspekty fizjologii.

— Kultura swibbli to organiczny fenotyp wyhodowany w medium proteinowym w sztucznie podtrzymywanych warunkach. Główna tkanka neurologiczna tworząca podstawę swibbla jest, naturalnie, żywa, gdyż rośnie, żywi się oraz wydalą. Tak, zdecy-

dowanie żyje. Lecz swibbl jako całość stanowi wytworzony produkt. Tkanka organiczna zostaje umieszczona w macierzystej powłoce i zapieczętowana. Tego, rzecz jasna, nie naprawiam, podaję mu tylko składniki odżywcze mające na celu przywrócenie równowagi dietetycznej oraz próbuję wyeliminować żerujące na nim organizmy pasożytnicze. Dbam o jego dopasowanie i zdrowie. Równowaga organizmu jest całkowicie mechaniczna.

— Swibbl ma bezpośredni dostęp do umysłu człowieka? — zapytał zafascynowany Andersen.

— Oczywiście. To sztucznie wyhodowany telepatyczny tkankowiec. Dzięki niemu Wright rozwiązał podstawowy problem naszych czasów: istnienie zróżnicowanych, sprzecznych ze sobą frakcji ideologicznych oraz zjawisko nielojalności i rozbieżności zapatrywań. Przytoczę słynny aforyzm generała Steinera: Wojna to przedłużenie niezgody z sali głosowań na pole bitwy. I wstęp Światowej Karty Usługowej: Eliminację zjawiska wojny należy rozpocząć od umysłów ludzi, gdyż właśnie tam bierze ono swój początek. Do roku 1963 nie mieliśmy sposobu, aby dotrzeć do umysłów ludzi. Do roku 1963 problem był nierozwiązywalny.

— I dzięki Bogu — powiedziała głośno Fay.

Pochłonięty swą entuzjastyczną wypowiedzią mechanik nie dosłyszał jej słów.

— Dzięki swibblom zdołaliśmy przekształcić zasadniczy problem lojalności w rutynową kwestię techniczną, sprowadziliśmy go do procedury utrzymania i naprawy. Naszym jedynym zadaniem jest dopilnowanie właściwego funkcjonowania swibbli, reszta zależy od nich.

— Innymi słowy — uzupełnił słabym głosem Courtland — wy mechanicy stanowicie jedyną grupę sprawującą nad nimi jakąkolwiek kontrolę. Reprezentujecie globalną agencję stojącą ponad tymi urządzeniami.

Mechanik zastanowił się.

— Chyba tak — przyznał skromnie. — Tak, zgadza się.

— Z wyjątkiem was, one świetnie rządzą całą ludzkością.

Młodzieniec wyprężył chudą pierś w wyrazie niekłamanej dumy.

— Chyba można tak powiedzieć.

— Słuchaj pan — rzucił ochryple Courtland. Chwycił mechanika za ramię. — Niby skąd ta pewność, co? Czy rzeczywiście trzymacie rękę na pulsie? — Narastała w nim szalona nadzieja: dopóki ludzie sprawowali kontrolę nad swibblami, dopóty istniała szansa, aby wszystko odwrócić. Swibble można rozmontować, kawałek po kawałku. Dopóki swibble podlegały nadzorowi człowieka, sytuacja nie była beznadziejna.

— Co takiego, sir? — zapytał mechanik. — Oczywiście, że trzymamy rękę na pulsie. Proszę się o to nie martwić. — Stanowczo oswobodził się z uścisku palców Courtlanda. — A teraz, gdzie jest pański swibbl? Rozejrzał się po salonie. — Nie mam czasu do stracenia, muszę się spieszyć.

— Nie mam swibbla — odparł Courtland.

Upłynęła chwila, nim odpowiedź dotarła do rozmówcy. Następnie na twarzy mecha-  
nika odmalował się dziwny, niezgłębiony wyraz.

— Nie ma pan? Przecież mówił pan...

— Coś potoczyło się nie tak jak należy — odrzekł szorstko Courtland.

— Nie ma żadnych swibbli. Jest zbyt wcześnie — nie zostały jeszcze wymyślone.  
Rozumie pan? Przyszedł pan za szybko!

Młodzieniec wytrzeszczył oczy. Chwycił narzędzia i cofnął się o kilka kroków, zamrugał i otworzywszy usta, spróbował coś powiedzieć.

— Za... szybko? — Naraz zrozumiał. I postarzał się w oczach o kilka lat. — Nie da-  
wało mi to spokoju. Niezniszczone budynki... archaiczne umeblowanie. Urządzenie  
transmisyjne musiało nawalić! — Ogarnął go gniew. — Te natychmiastowe usługi!  
Wiedziałem, że należało trzymać się starego systemu mechanicznego. Mówiłem, żeby  
przeprowadzali lepsze testy. Chryste, to będzie słono kosztować, zdziwię się, jeśli kiedy-  
kolwiek uporządkujemy ten bałagan.

Pochyliwszy się, z wściekłością zgarnął do teczki swoje narzędzia, jednym ruchem  
zatrzasnął ją i zapieczętował, po czym wyprostował się i lekko uklonił Courtlandowi.

— Dobranoc — rzucił lodowatym tonem. I zniknął.

Przedstawienie się skończyło. Mechanik wrócił tam, skąd przyszedł.

Po chwili Pesbroke dał znak człowiekowi w kuchni.

— Równie dobrze możesz wyłączyć magnetofon — wymamrotał. — Nie ma nic wię-  
cej do nagrywania.

— Boże — powiedział wstrząśnięty Hurley. — Świat rządony przez maszyny.

Fay zadrżała.

— Nie mogę uwierzyć, że ten człowieczek posiadał taką władzę, myślałam, że to za-  
ledwie drobny urzędniczyna.

— Raczej głównodowodzący — sprostował szorstko Courtland.

Zapadła cisza.

Jeden z chłopców ziewnął sennie. Fay odwróciła się raptownie w stronę synów  
i z wprawą zapędziła ich do łóżek.

— Wy dwaj, pora spać — zakomenderowała z udawaną wesołością.

Protestując, dwaj chłopcy opuścili salon, trzasnęły drzwi. Obecni stopniowo obudzi-  
li się do życia. Operator dźwięku przystąpił do przewijania taśmy. Stenotypistka sądo-  
wa drżącymi rękami zebrała notatki i pochowała ołówki. Hurley zapalił cygaro i pogrą-  
żył się w myślach.

— Zakładam, że wszyscy przyjęliśmy to jako fakt — powiedział Courtland. — Nie  
uważamy go za oszusta.

— Cóż — zaznaczył Pesbroke — on zniknął. To powinno stanowić wystarczający dowód, I śmieci, które wyjął z torby...

— Zostało tylko dziewięć lat — powiedział w zamyśleni Parkinson, elektryk. — Wright jest już na świecie. Znajdźmy go i wpakujmy mu nóż w plecy.

— Inżynier wojskowy — dodał MacDowell. — R. J. Wright. Znalezienie go nie powinno przysporzyć najmniejszych trudności. Może zdołamy temu zapobiec.

— Ile czasu, według was, ludzie jego pokroju są w stanie kontrolować swibble? — zapytał Andersen.

Courtland z rezygnacją wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Może latami... może nawet i sto lat. Lecz prędzej czy później wyniknie coś niespodziewanego. I padniemy ofiarą krwiożerczych maszyn.

Fay zatrzęsała się na całym ciełe.

— To brzmi strasznie, cieszę się, że na razie to nas nie dotyczy.

— Ty i ten mechanik — rzucił gorzko Courtland. — Po tobie choćby potop, co?

Nadwerężone nerwy Fay nie wytrzymały.

— Omówimy to później. — Z przymusem uśmiechnęła się do Pesbroke'a. — Jeszcze kawy? Nastawię wodę. — Odwróciwszy się na pięcie, opuściła salon i pobiegła do kuchni.

Gdy napełniała czajnik wodą, zabrzączał dzwonek u drzwi.

Ludzie w salonie zastygli. Wymienili przerażone spojrzenia.

— Wrócił — mruknął Hurley.

— Może to nie on — zasugerował bez przekonania Anderson. — Może dotarli wreszcie ludzie z kamerą.

Lecz nikt nie ruszył się, aby otworzyć. Po chwili dzwonek rozbrzmiał ponownie, tym razem z większym naciskiem.

— Musimy otworzyć — skonstatował tępo Pesbroke.

— Ja nie — zatrzęsała się stenotypistka.

— To nie mój dom — zaznaczył MacDowell.

Courtland ruszył ku drzwiom na zeszywniałych nogach. Nim zdążył ująć za klamkę, domyślił się, o co chodzi. Przesyłka dostarczona za pomocą nowoczesnej metody transmisyjnej, dzięki której załogi pracownicze oraz mechanicy trafiali bezpośrednio pod wskazany adres. Służyło to zapewnieniu pełnej kontroli nad swibblami, w tej sytuacji nic nie mogło wymknąć się spod kontroli.

A jednak coś poszło nie tak. System nadzoru zawiódł. Funkcjonował do góry nogami i wstecz. Był daremny i sprzeczny z własnymi założeniami, jednym słowem — zbyt doskonały. Chwytnąjąc za klamkę, Courtland szarpnięciem otworzył drzwi.

Na korytarzu stali czterej mężczyźni. Mieli na sobie proste, szare kombinezony i czapki. Pierwszy z nich zdarł z głowy nakrycie, zerknął na zapisaną kartkę papieru, po czym uprzejmie skłonił się Courtlandowi.

— Dobry wieczór, sir — powiedział radośnie. Był to krzepki mężczyzna o szerokich barach i grzywie brązowych włosów opadającej na lśniące od potu czoło. — Hm, chyba się trochę... zgubiliśmy. Długo trwało, nim tu dotarliśmy.

Zaglądając do mieszkania, podciągnął swój ciężki skórzany pas i zatarł wielkie dłonie.

— Jest na dole, w ciężarówce — oznajmił, zwracając się do Courtlanda i wszystkich zgromadzonych w salonie osób. — Niech pan powie, gdzie mamy go postawić, to zaraz go przyniesiemy. Miejsce powinno być przestronne — ta powierzchnia przy oknie chyba się nadaje. — Odwrócił się i wraz z załogą skierował ku windzie towarowej. — Te ostatnie modele swibbli zajmują mnóstwo miejsca.

**JEŃCY**

W sobotni poranek, około jedenastej, pani Edna Berthelson była gotowa do swojej małej przejażdżki. Pomimo że chodziło o cotygodniową czynność pochłaniającą cztery godziny jej cennego czasu, jechała sama, nie dzieląc się z nikim swoim znaleziskiem.

Ponieważ właśnie o to chodziło. O znalezisko, o hit niesłychanego szczęścia. Nic nie dało się z tym porównać, choć ona niejedno widziała, gdyż prowadziła interes od pięćdziesięciu trzech lat. A nawet dłużej, jeśli wliczyć w to lata spędzone za ladą sklepu ojca — lecz one tak naprawdę się nie liczyły. Miały na celu zdobycie doświadczenia (ojciec postawił sprawę jasno), w grę nie wchodził żaden zarobek. Dzięki nim jednak zrozumiała istotę biznesu, nauczyła się prowadzić mały wiejski sklep, odkurzać ołówki, rozwieszać lep na muchy, odważać suszoną fasolę i przeganiać kota z beczki z sucharami, gdzie lubił sypiać.

Obecnie sklep był stary, podobnie zresztą jak ona. Potężny, przysadzisty mężczyzna o kruczych brwiach, który był jej ojcem, dawno już umarł; jej dzieci i wnuki odrunęły w świat. Pojawiały się jedno po drugim, mieszkały w Walnut Creek, pociły się w suche, upalne lata, po czym odchodziły, też jedno po drugim. Z każdym rokiem ona i jej sklep coraz bardziej kurczyli się i wrastali w ziemię, zyskując na kruchości, surowości i powadze. I coraz bardziej upodobniali się do siebie.

Tego ranka Jackie zapytał:

— Babciu, dokąd jedziesz? — Chociaż oczywiście doskonale wiedział, dokąd jechała. Jak w każdą sobotę wyjeżdżała ciężarówką na przejażdżkę. Niemniej to pytanie sprawiało mu przyjemność; cieszyła go stałość odpowiedzi. Lubił jej niezmienny charakter.

Na kolejne pytanie „Czy mogę jechać z tobą?” padała równie niezmienna odpowiedź „nie”, co jednak budziło w nim mniejszy entuzjazm.

Edna Berthelson mozolnie przenosiła paczki i pudła z zaplecza sklepu na tył zardzewiałej ciężarówki. Na samochodzie zalegała warstwa kurzu, jego czerwone boki pełne były wgnieceń i śladów korozji. Silnik już pracował, zgrzytliwie rozgrzewał się w blasku wczesnego słońca. Gromadka zabiedzonych kurcząt grzebała pazurami w piasku obok kół. Pod gankiem sklepu przycupnęła pulchna owca i beznamiętnie obserwowała krzą-



taninę. Bulwarem Mount Diablo toczyły się samochody i ciężarówki. Aleją Lafayette przechadzało się kilkoro kupujących, farmerów z żonami, drobnych biznesmenów, pomocników rolnych oraz kilka kobiet z miasta, w jaskrawych spodniach, koszulach z nadrukiem i sandałach. Z ustawionego przed sklepem radia płynęły popularne utwory.

— Zadałem ci pytanie — powiedział z wyrzutem Jackie. — Pytałem, dokąd jedziesz.

Pani Berthelson sztywno pochyliła grzbiet, aby podnieść ostatnią partię skrzynek. Większą część towarów załadował poprzedniego wieczora Arnie Szwed, krzepki, siwowłosy mężczyzna, na którego barkach spoczywały najcięższe zajęcia w sklepie.

— Co? — mruknęła wymijająco, krzywiąc w skupieniu szarą, pomarszczoną twarz. — Doskonale wiesz, dokąd jadę.

Gdy weszła do sklepu, aby poszukać książki zamówień, Jackie płacząco podążył za nią.

— Czy mogę pojechać z tobą? Proszę, pozwól mi jechać. Nigdy mi na to nie pozwalasz — nikomu nie pozwalasz.

— Oczywiście, że nie — odparła ostro pani Berthelson. — Niech nikt nie wsadza nosa w nie swoje sprawy.

— Ale ja chcę jechać — wyjaśnił Jackie.

Staruszka odwróciła głowę i rzuciła mu przez ramię przebiegłe spojrzenie niczym ptaszysko znające wszystkie sprawy świata.

— Tak jak każdy. Ale nikt nie może jechać — z tajemniczym uśmiechem na wąskich wargach, powiedziała łagodnie pani Berthelson.

Jackiemu nie spodobała się ta odpowiedź. Wciskając ręce głęboko w kieszenie, ponury powlókł się do narożnika. Nie akceptował tego, w czym odmawiano mu udziału, czego nie mógł dzielić. Pani Berthelson nie zwracała na niego uwagi. Otuliła chude ramiona wysłużonym niebieskim swetrem, znalazła okulary przeciwsłoneczne i zatrzasnąwszy za sobą drzwi sklepu, żwawym krokiem poszła w kierunku ciężarówki.

Ruszenie samochodu z miejsca stanowiło nie lada problem. Przez chwile siedziała, szarpiąc dźwignię zmiany biegów, i dusiła sprzęgło, niecierpliwie czekając, aż wskoczy bieg. Wreszcie rozległ się upragniony zgrzyt, ciężarówka podskoczyła lekko, pani Berthelson dodała gazu i zwolniła hamulec ręczny.

Podczas gdy ciężarówka z hukiem toczyła się ulicą, Jackie wyszedł z cienia zza narożnika i podążył za nią. Matki nie było w zasięgu wzroku. Widział jedynie drzemiącą owcę i dwa kurczaki. Nawet Arnie Szwed zniknął, pewnie poszedł po zimną colę. Nadarzyła się niepowtarzalna okazja. Jak do tej pory najlepsza. Zresztą i tak miał zamiar prędkiej czy później zrealizować swój zamysł, gdyż pragnienie towarzyszenia babce stawało się nieprzeparte.

Chwytając za burtę ciężarówki, Jackie podciągnął się i wylądował twarzą na stercie ciasno ustawionych pakunków i skrzyń. Ciężarówka trzęsła się pod nim i podskakiwa-

ła. W obawie o życie, Jackie z całej siły przytrzymał się jednego z pudeł i podciągnął pod siebie nogi, rozpaczliwie usiłował nie spaść. Stopniowo droga wyrównała się i wstrząsy przestały być tak dokuczliwe. Chłopiec odetchnął z ulgą i rozluźnił uścisk.

Dopiął swego. Nareszcie. Towarzyszył pani Berthelson w jej tajemnej cotygodniowej podróży, dziwnym przedsięwzięciu, które — jak doszły go słuchy — przynosiło jej ogromne zyski. W podróży, której nikt nie rozumiał i która zawierała element cudowności wart poniesionego trudu. W głębi swego dziecięcego umysłu był o tym święcie przekonany.

Żywił gorączkową nadzieję, że po drodze nie przyjdzie jej do głowy sprawdzić stan załadunku.

Z niezmierną ostrożnością Tellman przygotował sobie kubek „kawy”. Najpierw zaniósł prażone ziarno do kanistra po benzynie, którego używano w kolonii jako naczynia do mieszania produktów. Wrzuciwszy je do środka, dodał pospiesznie garść cykorii i parę okruchów suszonego zboża. Brudnymi, drżącymi rękami zdołał rozniecić ogień pod wyszczerbioną metalową kratką. Ustawił nad płomieniem rondel z letnią wodą i rozejrzał się za łyżką.

— Co ty kombinujesz? — dobiegł zza jego pleców głos żony.

— Hm — mruknął Tellman. Nerwowo przestąpił z nogi na nogę pod spojrzeniem Gladys. — Nic takiego. — W jego głosie pojawiła się mimowolna nuta zaczepki. — A co, nie mam prawa przygotować sobie czegoś do zjedzenia? Mam takie samo prawo jak wszyscy inni.

— Powinieneś pomagać.

— Pomagałem. Coś mi przeskoczyło w plecach. — Żyłasty mężczyzna w średnim wieku niechętnie odsunął się od żony, szarpiąc za pozostałości brudnej, białej koszuli wycofał się w kierunku wyjścia z chaty. — Cholera, czasem trzeba odpocząć.

— Odpoczniesz, jak będziemy na miejscu. — Gladys ze zmęczeniem odrzuciła z czoła gęstą grzywę ciemnoblonde włosów. — Gdyby tak wszyscy byli tacy jak ty.

Tellman poczerwieniał z urazy.

— A kto ustalił trasę? Kto zajmuje się nawigacją?

Po spierzchniętych ustach żony przemknął blady, ironiczny uśmiešek.

— Jeszcze zobaczymy, ile jest warta ta twoja mapa — odparła. — Dopiero wtedy porozmawiamy.

Rozłoszczony Tellman wypadł z chaty wprost w oślepiający blask Słońca.

Nienawidził go, białego, sterylne światła, które rozlewało się po niebie o piątej rano i gasło o dziewiątej wieczorem. Wielki Wybuch wyssał z powietrza wilgoć; promienie słońca bezlitośnie spływały na ziemię, nie oszczędzając nikogo. Pozostało jednak niewiele, którzy mogli zwracać na to jakąkolwiek uwagę.

Po jego prawej stronie stał szereg chat tworzących obóz. Eklektyczna zbieranina desek, blach, drutu i wysmołowanego papieru oraz betonowe bloki, wszystko przywleczone ze zgliszcz San Francisco oddalonych o czterdzieści mil na zachód. Przy wejściach do chat ponuro trzepotały koce, osłony przed chmurami owadów, które od czasu do czasu przelatywały przez obóz. Ptaki, naturalni wrogowie owadów, znikły. Tellman nie widział żadnego od dwóch lat — i nie spodziewał się nigdy więcej ich ujrzeć. Za obozem ciągnęła się niezmierna płachta czarnego pyłu, osmalone oblicze świata pozbawione kształtu i jakichkolwiek oznak życia.

Obóz wzniesiono w naturalnym zagłębieniu. Z jednej strony chroniły go pozostałości dawnego niewielkiego łańcucha górskiego. Siła wybuchu zniszczyła strzeliste klify, odłamki skał sypały się w głąb doliny przez wiele dni. Po tym jak San Francisco zostało zmiecione z powierzchni ziemi, niedobitki mieszkańców chroniły się pod stertami gruzu w obawie przed słońcem. To było najgorsze: bezlitosne słońce. Nie owady, nie radioaktywne chmury pyłu, nie białe szaleństwo eksplozji, lecz właśnie słońce. Więcej ludzi umarło z pragnienia, odwodnienia i wywołanego ślepotą obłądu niż w wyniku toksycznego zatrucia.

Z kieszeni na piersi Tellman wyjął cenną paczkę papierosów. Zapalił jednego trzęsącymi się rękami. Jego chude, szponiaste dłonie drżały częściowo ze zmęczenia, częściowo z gniewu i napięcia. Ależ on nienawidził obozu. Nienawidził wszystkich jego mieszkańców, łącznie ze swoją żoną. Czy byli godni ocalenia? Miał co do tego wątpliwości. Większość z nich już nabrała barbarzyńskich zwyczajów; jakież to miało znaczenie, czy zdołają uruchomić statek, czy nie? Wyciskał z siebie siódme poty, próbując ich uratować. Niech ich diabli.

Lecz jego bezpieczeństwo było nierozzerwalnie związane z bezpieczeństwem tych ludzi.

Podszedł sztywno do rozmawiających Barnes a i Mastersona.

— Jak idzie? — zapytał gburowato.

— Dobrze — odparł Barnes. — To nie potrwa długo.

— Jeszcze jeden załadunek — dorzucił Masterson. Jego grubo ciosaną twarz przeciął niespokojny grymas. — Mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Powinna się zjawić w każdej chwili.

Tellman nienawidził zwierzęcego zapachu potu dolatującego z potężnego ciała Mastersona. Ich sytuacja nie stwarzała wymówki, aby ktoś chodził po obozie brudny jak świnia... na Wenus wszystko się zmieni. Masterson teraz mógł się na coś przydać, był doświadczonym mechanikiem, którego pomoc przy turbinach statku była na wagę złota. Lecz kiedy statek wylądował i został splądrowany...

Tellman z zadowoleniem rozważył przywrócenie dawnego porządku. Hierarchia została pogrzebana pod ruinami miast, lecz powróci, mocniejsza niż kiedykolwiek.

Weźmy na przykład takiego Flannery'ego. Był tylko irlandzkim dokerem o niewyparzonej gębie... lecz to właśnie on kierował załadunkiem statku, najważniejszym w tej chwili przedsięwzięciem. Flannery był w tej chwili numerem jeden... ale to wkrótce się zmieni.

To musiało się zmienić. Podniesiony na duchu Tellman oddalił się od Barnes'a i Mastersona i ruszył w stronę statku.

Był ogromny. Na przodzie wciąż widniał namalowany napis, który częściowo oparł się działaniu dryfującego pyłu i palącego słońca.

WOJSKOWA ARTYLERIA  
STANÓW ZJEDNOCZONYCH  
SERIA A — 3 (B)

Początkowo była to broń z głowicą wodorową, gotowa nieść śmierć wrogowi. Nigdy nie została wystrzelona. Radzieckie kryształy toksyczne przedostały się przez okna i drzwi kwatery dowodzenia w miejscowych koszarach. Kiedy nadeszła godzina zero, nie było załogi, która mogłaby wystrzelić raketę. Nie miało to jednak znaczenia — wróg również przestał istnieć. Rakietą miesiącami stała na swoim miejscu... tam zastała ją pierwsza grupa uciekinierów szukająca schronienia pod osłoną zrujnowanych gór.

— Ładny, prawda? — powiedziała Patricia Shelby. Podniosła zmęczone oczy znad swojego zajęcia i uśmiechnęła się blado do Tellmana. Na jej drobnej, urodziwej twarzy malował się wyraz śmiertelnego znużenia. Coś w rodzaju trylonu na nowojorskich targach światowych.

— Boże — zawołał Tellman. — Pamiętasz to?

— Miałam tylko osiem lat — odrzekła Patricia. W cieniu statku uważnie sprawdzała automatyczne przełączniki utrzymujące temperaturę oraz poziom tlenu i wilgotności na statku. — Ale nigdy tego nie zapomnę. Może miałam jakieś zdolności prekognitywne — gdy zobaczyłam, jak go podnoszą, zrozumiałam, że pewnego dnia nabierze dla wszystkich ogromnego znaczenia.

— Ogromnego znaczenia dla całej naszej dwudziestki — sprecyzował Tellman. Naraz podał jej niedopałek papierosa. — Proszę, wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała.

— Dzięki. — Patricia kontynuowała zajęcie z papierosem między wargami. — Prawie skończyłam. Rany, niektóre z tych przełączników są maleńkie. Tylko pomyśl. — Podniosła płatek przezroczystego plastiku. — Oto co stanowi dla nas różnicę pomiędzy życiem a śmiercią. — W jej ciemnoniebieskie oczy wkraść się wyraz zabobonnej fascynacji. — Dla całej ludzkości.

Tellman parsknął rubasznym śmiechem.

— Ty i Flannery. Zawsze macie w zanadrza idealistyczne pustosłowie.

Profesor John, były dziekan wydziału historii na Uniwersytecie Stanforda i obecny symboliczny przywódca kolonii, siedział w towarzystwie Flannery'ego i Jean Dobbs i badał ropiejące ramię dziesięcioletniego chłopca.

— Promieniowanie — rzucił z naciskiem Crowley. — Jego poziom zwiększa się z dnia na dzień. To wina osiadającego pyłu. Jeśli nie wydostaniemy się stąd jak najprędzej, już po nas.

— Tu nie chodzi o promieniowanie — zaoponował Flannery pełnym niezachwianej pewności głosem. — To toksyczne zatrucie krystaliczne; na wzgórzach draństwo sięga po kolana. Bawił się w tamtej okolicy.

— Czy to prawda? — zapytała Jean Dobbs. Chłopiec kiwnął głową, nie mając odwagi na nią spojrzeć. — Masz rację — powiedziała do Flannery'ego.

— Nałóż trochę maści — polecił Flannery. — Miejmy nadzieję, że przeżyje. W zasadzie niczym poza sulfatiazolem nie dysponujemy. — W nagłym napięciu popatrzył na zegarek. — Chyba że dzisiaj przywiezie penicylinę.

— Jeśli nie dziś — wtrącił Crowley — to nigdy. To ostatni załadunek, gdy tylko zapakujemy wszystko, odlatujemy.

Flannery zatarł ręce.

No to dawaj pieniądze! — huknął zniecierpliwiony.

Crowley uśmiechnął się krzywo.

— Jasne. — Pogrzebał w jednym ze schowków i wyciągnął zeń garść banknotów. Pomachał nimi zachęcająco przed nosem Tellmana. — Bierz swój przydział. Bierz je wszystkie.

— Ostrożnie — odrzekł nerwowo Tellman. — Pewnie znów podniosła na wszystko ceny.

— Przecież mamy ich mnóstwo. — Flannery sięgnął po kilka banknotów i wcisnął je do przejeżdżającego wózka z towarem. — Pieniądze fruwią po całym świecie, razem z pyłem i szczątkami kości. Na Wenus nie będą nam potrzebne... a niechby wzięła i wszystkie.

Na Wenus, pomyślał ze złością Tellman, życie wróci do normy, a Flannery do kopania rowów, gdzie jego miejsce.

— Co dzisiaj przywiezie? — spytał Crowleya i Jean Dobbs, umyślnie ignorując Flannery'ego. — Co zawiera ostatni transport?

— Komiksy — odpowiedział z rozmarzeniem Flannery, ocierając pot z łysiejącego czoła; był szczupłym, młodym, ciemnowłosym dryblasem. — I harmonijki.

Crowley mrugnął do niego.

— Ukulele, żebyśmy całymi dniami wylegiwali się na hamakach, brzdąkając „Ktoś jest w kuchni z Dinah”.

— I mieszadełka do drinków — przypomniał mu Flannery. — Żebyśmy mogli skuteczniej spłaszcząć bąbelki w wybornym szampanie rocznik '38.

Tellman zawrzał.

— Degenerat!

Crowley i Flannery wybuchnęli śmiechem i upokorzony Tellman oddalił się pospiesznie. Co to za durnie i szaleńcy? Wciąż pozwalać sobie na tak niewybredne żarty... Przeniósł na statek żalosne, niemal oskarżycielskie spojrzenie. Jaki świat mieli założyć?

Ogromny statek lśnił w bezlitosnym blasku słońca. Strzelista konstrukcja ze stopu i włóknistej siatki ochronnej królowała nad nędznym obozowiskiem. Jeszcze tylko jeden załadunek. Jeszcze jedna ciężarówka towarów z jedyne go źródła, nieskażonej oazy wytyczającej różnicę pomiędzy życiem a śmiercią.

Błagając w duchu, aby wszystko potoczyło się jak należy, Tellman czekał na przyjazd pani Edny Berthelson i jej sfatygowanej czerwonej ciężarówki. Kruchej pępowiny, łączącej ich z bogatą, nienaruszoną przeszłością.

Po obu stronach szosy ciągnęły się gaje brzoskwiniowe. Pszczoły i muchy latały ospale nad gnijącymi owocami leżącymi na ziemi, co chwila pojawiał się przydrożny stragan obsługiwany przez sennych małych sprzedawców. Na podjazdach stały zaparkowane buicki i stare modele samochodów. Tu i ówdzie szwendały się wiejskie kundle. Na jednym ze skrzyżowań znajdowała się elegancka tawerna, której upiornie błądy neon migał w porannym świetle słońca.

Pani Edna Berthelson spojrzała wrogo na lokal i zaparkowane wokół niego pojazdy. Ludzie z miasta wprowadzali się do doliny, wycinali stare dęby i sady, stawiając w ich miejsce podmiejskie domy. W środku dnia zatrzymywali się na szklaneczkę whisky, po czym ruszali w dalszą drogę, pędząc siedemdziesiąt pięć mil na godzinę w swoich chryslerach z odsuniętymi dachami. Kolumna pojazdów wlekących się za jej ciężarówką naraż ruszyła do przodu i wyprzedziła ją. Przyjęła to z kamienną twarzą. Dobrze im tak, po co się spieszą. Gdyby żyła w podobnym pośpiechu, nigdy nie odkryłaby pewnej osobliwej zdolności, która ujawniła się podczas jednej z samotnych wypraw w głąb siebie, nigdy nie dowiedziała się, że umie patrzeć „do przodu” ani nie stwierdziłaby istnienia szczeliny w czasie, dzięki której mimo zawyżonych cen szczęśliwie dobijała targu. Niech się spieszą, skoro chcą. Ustawione na przyczepie towary postukiwały rytmicznie. Silnik charczał. Na tylnej szybie bzyczała ledwie żywa mucha.

Jackie leżał wśród kartonów i skrzyń, z zadowoleniem spoglądając na mijane gaje i samochody. Na tle rozgrzanego nieba widniał szczyt Mount Diablo, białe — niebieski kawał skały. Wierzchołek osnuwał mgłą, Mount Diablo wznosił się wysoko. Chłopiec zrobił minę do psa, który leniwie czekał na skraju drogi, by wreszcie przejść na drugą stronę. Pomachał radośnie do pracownika linii telefonicznych Pacific, który odwijał drut z ogromnej szpuli.

W pewnej chwili ciężarówka zjechała z autostrady na boczną drogę o czarnej nawierzchni. Liczba samochodów się zmniejszyła. Ciężarówka zaczęła piąć się w górę... bujne sady ustąpiły miejsca brunatnym poloni. Po prawej stronie widniało zrujnowane gospodarstwo, popatrzył na nie z ciekawością, zastanawiając się, ile mogło mieć lat. W miejsce pól pojawiły się ugory. Od czasu do czasu uwagę chłopca przykuwały połamane ogrodzenia. Zniszczone drogowskazy, których treści nie sposób było rozszyfrować. Ciężarówka zbliżała się do podnóża Mount Diablo... prawie nikt nie zaglądał w te strony.

Chłopiec zastanawiał się leniwie, dlaczego babka wybrała właśnie to miejsce. Okolica była niezamieszкана, pola przeszły niespodziewanie w kępy traw i zarośla, istne pustkowia na zboczu góry. Przez wyboistą drogę przebiegł zając. Falujące pagórki, ziemia usiana głazami... nie było (U nic prócz wieży przeciwpożarowej i może zbiornika wodnego. Okolica na pikniki, dawniej zadbana, teraz popadła w całkowite zapomnienie.

Poczuł ukłucie strachu. Przecież tu nie mieszkał żaden klient... początkowo był święcie przekonany, że czerwona ciężarówka zawiezie go prosto do miasta, do San Francisco, Oakland albo Berkeley, gdzie mógłby wyjść z ukrycia i zobaczyć wiele interesujących rzeczy. Tutaj nie było nic, jedynie pustka, cicha i odpychająca. W cieniu góry powietrze przejmowało dotkliwym chłodem. Zadrżał. Pożałował, że zdecydował się na eskapadę.

Pani Berthelson zwolniła i hałaśliwie wrzuciła niższy bieg. Z rykiem i wśród przeraźliwego parskania rury wydechowej ciężarówka wspinała się po pochyłej skarpie wśród poszarpanych, złowrogich skał. Z oddali dobiegł piskliwy głos ptaka, Jackie wsłuchał się w posępne echo, zachodząc w głowę, w jaki sposób mógłby zwrócić uwagę babki. Miło byłoby znaleźć się teraz w kabinie. Miło byłoby...

Nagle zwrócił na to uwagę. W pierwszej chwili nie uwierzył... ale musiał to uczynić. Ciężarówka zaczęła się dematerializować.

Znikała powoli, prawie niezauważalnie. Stawała się coraz bledsza, czerwień korozji przybrała odcień szarości, po czym stała się bezbarwna. Od spodu prześwitywała czerni drogi. Ogarnięty paniką chłopiec rozpaczliwie spróbował uchwycić się skrzyń, lecz jego ręka trafiła w próżnię; zakołysał się niebezpiecznie na nierównej powierzchni mglistych zarysów, wśród prawie niewidocznych zjaw.

Ześlizgnął się na dół i zamarł w połowie ciężarówki, tuż nad rurą wydechową. Desperacko sięgnął do wiszących nad jego głową pudeł.

— Pomocy! — krzyknął. Jego wołanie poniosło się echem, było to jedyny dźwięk, który mącił ciszę... ryk silnika ciężarówki ucichł. Próbował zacisnąć rękę na rozplywającym się kształcie pojazdu, po czym gruchnął z impetem na ziemię.

W wyniku siły uderzenia sturlał się w gęstwinę suchych chwastów porastających rów odpływowy. Oszołomiony z niedowierzania i bólu leżał, ciężko chwytając powietrze, i bezskutecznie usiłował wstać. Zapanowała kompletna cisza, ciężarówka i pani Berthelson znikły. Został sam. Otumaniony przerażeniem przymknął oczy.

Po upływie pewnego, chyba niedługiego czasu pisk hamulców przywrócił mu świadomość. Brudna pomarańczowa ciężarówka stanowa zatrzymała się gwałtownie i wysiadło z niej dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach koloru khaki. Podbiegli do niego.

— Co się stało? — wrzasnął jeden. Zaalarmowani podnieśli go z ziemi. — Co ty tu robisz?

— Wypadłem — wymamrotał. — Z ciężarówki.

— Z jakiej ciężarówki? — zapytali. — Jak to?

Nie umiał odpowiedzieć im na to pytanie. Wiedział jedynie, że babka znikła. Nie osiągnął celu. Ponownie udała się w samotną podróż. On nigdy się nie dowie, dokąd pojechała i kim byli jej klienci.

Ściskając kierownicę ciężarówki, pani Berthelson zrozumiała, że przejście nastąpiło. Brzeżkiem świadomości odnotowała, że brunatne pola, skały i zarośla rozplynęły się w powietrzu. Gdy przejście zdarzyło się pierwszy raz, ciężarówka brnęła w morzu czarnego pyłu. Podniecona odkryciem zapomniała zwrócić uwagę na warunki panujące po drugiej stronie szczeliny. Wiedziała, że znajdzie tu klientów, dlatego bez wahania podążyła naprzód, chcąc znaleźć się tam pierwsza. Uśmiechnęła się zwycięsko... pośpiech był zbędny, gdyż okazało się, że jakakolwiek konkurencja nie wchodziła w rachubę. Wręcz przeciwnie, klienci wykazali niezmierną chęć współpracy i robili wszystko, aby ułatwić jej zadanie.

Mężczyźni zbudowali dla niej prymitywną drogę, rodzaj drewnianego wzniesienia, po którym obecnie toczyła się ciężarówka. Wypracowała sobie dokładny moment przejścia, odbywało się w momencie, gdy ciężarówka mijała przepust odpływowy ćwierć mili w głąb parku stanowego. Tutaj przepust również istniał... lecz została z niego jedynie sterta pokruszonych skał. Droga zaś zginęła pod warstwą pyłu. Pod kołami pojazdu skrzypnęły nieheblowane deski. Byłoby fatalnie, gdyby złapała gumę... lecz ktoś od nich mógłby naprawić koło. Oni zawsze pracowali, dodatkowe zadanie nie sprawiłoby im większej różnicy. Zauważyła ich, stali na skraju drewnianego podjazdu, pogrążeni w niecierpliwym oczekiwaniu. Za plecami mieli cuchnące obozowisko, za którym stał statek.

Akurat obchodził ją ich statek. Dobrze wiedziała, czym był: zagrabioną własnością armii. Zaciskając kościstą dłoń na dźwigni zmiany biegów, wrzuciła luz i odczekała, aż ciężarówka się zatrzyma. Kiedy podeszli bliżej, zaciągała właśnie hamulec ręczny.

— Dzień dobry — powiedział profesor Crowley, lustrując baczным spojrzeniem zawartość ciężarówki.

Pani Berthelson wymamrotała nieobowiązującą odpowiedź. Nie lubiła ich... byli zdesperowani, brudni, cuchnęli potem i strachem, ich ciała i odzież powlekała warstwa



brudu. Obiegli ciężarówkę niczym zalęknione, skruszone dzieci i sięgnawszy do przyczepy, zaczęli wyładowywać towary.

— A to co — rzuciła ostro. — Wara mi od nich.

Jak oparzeni cofnęli ręce. Pani Berthelson ponuro wyszła z kabiny, chwyciła spis towarów i podeszła do Crowleya.

— Chwileczkę — powiedziała do niego. — Trzeba je odhaczyć.

Zerknąwszy na Mastersona, kiwnął głową i oblizał spierzchnięte wargi. Czekał. Pozostali również. Wszystko odbywało się tak jak zawsze; zarówno oni, jak i ona wiedzieli, że nie było innego sposobu na uzupełnienie zapasów. A jeśli tego nie zrobią, jeśli nie otrzymają żywności, lekarstw, ubrań, narzędzi i surowca, nie będą mogli odlecieć.

W tym świecie podobne rzeczy nie istniały. Przynajmniej nie znajdowały się w zasięgu ręki. Wiedziała o tym od początku, na własne oczy oglądała ogrom zniszczenia. Nie zadbali o swój świat. Zmarnowali go, obrócili w perzynę. Cóż, to ich sprawa, nie jej.

Nigdy nie poświęciła wiele uwagi wzajemnej zależności ich świata i jej. Satysfakcjonowała ją sama świadomość, że oba istnieją, i że potrafi swobodnie przemieszczać się z jednego w drugi. Była jedyną osobą, która to umiała. Kilkakrotnie mieszkańcy obozu próbowali wrócić razem z nią. Na próżno. Podczas przejścia pozostawali w tyle. Jej zdolność była niepodzielna — napełniało ją to zrozumiałym zadowoleniem — a dla osoby zajmującej się handlem nadzwyczaj opłacalna.

— Dobrze — rzuciła oschle. Stanąwszy w miejscu, skąd mogła kontrolować ich ruchy, przystąpiła do odkreślania poszczególnych produktów, gdy zdejmowano je z ciężarówki. Procedura była dokładna i niezawodna, stanowiła część jej życia. Od kiedy sięgała pamięcią, zawsze dbała o interesy. Ojciec nauczył ją, jak sobie radzić w handlu; przyswoiła sobie żelazne reguły branży. I do tej pory ściśle ich przestrzegała.

Flannery i Patricia Shelby stanęli z boku; Flannery trzymał pieniądze przeznaczone na zapłatę.

— I co — mruknął pod nosem. — Teraz możemy jej powiedzieć, żeby się utopiła.

— Jesteś pewny? — zapytała nerwowo Patricia.

— To ostatni załadunek. — Flannery uśmiechnął się z przymusem i przeciągnął drżącą ręką po czarnych rzednących włosach. — Możemy ruszać w drogę. Statek wyładowany po brzegi. Możemy nawet usiąść i teraz uszczknąć odrobinę z zapasów. — Wskazał na wyładowany żywnością karton. — Boczek, jajka, mleko, prawdziwa kawa. Chyba nie zjemy tego w przestrzeni. Może powinniśmy urządzić orgię typu ostatnia — uczta — przed — odlotem.

— Fajnie by było — przyznała żałośnie Patricia. — Dawno nie jedliśmy podobnych rarytasów.

Podszedł do nich Masterson.

— Zabijmy ją i ugotujmy w wielkim kotle. Chuda, stara wiedźma — byłaby z niej świetna zupa.

— Lepiej upiec w piekarniku — sprecyzował Flannery. — Mielibyśmy trochę piernika na podróż.

— Lepiej przestańcie — rzuciła z lękiem Patricia. — Ona jest... cóż, może istotnie jest czarownicą. To znaczy, może właśnie takie były czarownice... stare i obdarzone dziwnymi zdolnościami. Takie jak ona... zdolne do podróży w czasie.

— Mamy cholernego farta — dorzucił krótko Masterson.

— Ale ona tego nie rozumie, prawda? Czy w ogóle wie, co robi? Czy wie, że mogłaby nas ocalić, użyczając nam części swoich zdolności? Wie, co się stało z naszym światem?

Flannery zastanowił się.

— Może nie... może wcale jej to nie obchodzi. Jest nastawiona na zysk, sprzedaje nam towary z niewiarygodnym narzutem. Sęk w tym, że dla nas pieniądze nie mają żadnej wartości. Gdyby otworzyła szeroko oczy, uświadomiłaby to sobie. W naszym świecie to tylko kawałki papieru. Lecz ona tkwi w swojej małej, ciasnej rutynie. Jest podporządkowana idei zysku. — Potrząsnął głową. — Ograniczony, ptasi mózdzek... i to ona posiada taką zdolność.

— Przecież nie jest ślepa — upierała się Pat. — Widzi pył, ruiny. Jakim cudem mogłaby nie wiedzieć?

Flannery wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie nie widzi pomiędzy dwoma światami żadnego związku. Ostatecznie pożyje jeszcze tylko kilka lat... nie doczeka wojny. Postrzega nasz świat jedynie jako miejsce, które może odwiedzać. Egzotyczny, nieznany rejon. Może wchodzić i wychodzić — my jednak tkwimy w miejscu. To musi stwarzać poczucie bezpieczeństwa, takie przechodzenie z jednego świata w drugi. Boże, dałbym wszystko, żeby móc z nią wrócić.

— I tego próbowano — zaznaczył Masterson. — Ten bęcwał Tellman próbował. I wrócił, cały uwalany ziemią. Twierdził, że ciężarówka rozplynęła się w powietrzu.

— Jasne, że tak — odparł łagodnie Flannery. — Odjechała do Walnut Creek. Z powrotem do 1965 roku.

Rozładunek dobiegł końca. Mieszkańcy obozu mozolnie wspięli się na skarpę, ciągnąc towary w kierunku statku. Pani Berthelson podeszła z profesorem Crowleyem do Flannery'ego.

— Oto spis — rzuciła pospiesznie. — Kilku pozycji nie udało mi się znaleźć. Sami wiecie, nie sprzedają ich w moim sklepie. Większość z nich musiałam zamówić.

— Wiemy — odparł z chłodnym rozbawieniem Flannery. Wiejski sklepik zastawiony mikroskopami, tokarkami, zamrożonymi paczkami antybiotyków, przekąźnikami ra-

diowymi o wysokiej częstotliwości i zaawansowanymi podręcznikami z różnych dziedzin przedstawiałby niecodzienny widok.

— Dlatego muszę policzyć za wszystko nieco drożej — ciągnęła kobieta posłuszna zasadzie wyduszenia z klienta jak najwięcej. — Chodzi o pozycje... — Zerknęła do listy, po czym przeniosła spojrzenie na dziesięciostronicowy spis, który Crowley wręczył jej ostatnim razem. — Niektórych nie udało mi się znaleźć. Przeniosłam je na następne zamówienie. Jeżeli chodzi o metale z laboratoriów ze wschodu... powiedzieli, że może dostaną je później. — Szare oczy nabrały przebiegłego wyrazu. — Poza tym będą bardzo drogie.

— Nieważne — odparł Flannery, wręczając jej pieniądze. — Może pani anulować wszystkie następne zamówienia.

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Poza mglistym brakiem zrozumienia.

— Nie będzie więcej transportów — wyjaśnił Crowley. Napięcie ustąpiło, po raz pierwszy przestali się jej bać. Zerwali związek z przeszłością. Nie byli już zależni od zarzewiałej czerwonej ciężarówki. Załadowali statek, byli gotowi do drogi.

— Odlatujemy — powiedział ze słabym uśmiechem Flannery. — Mamy wszystko, co potrzeba.

Zrozumiała.

— Ale przecież złożyłam zamówienie na te produkty. — Mówiła cienkim, pozbawionym emocji głosem. — Przyślą mi je. Będę musiała za nie zapłacić.

— Cóż — odparł cicho Flannery. — Cholerna szkoda.

Crowley rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Przykro nam — zwrócił się do starej. — Nie możemy tu dłużej tkwić — poziom napromieniowania wzrasta. Musimy odlecieć.

Wyraz urazy na pomarszczonej twarzy ustąpił miejsca narastającej złości.

— Zamówiliście te rzeczy! Musicie je odebrać! — Jej piskliwy głos przeszedł w pełen furii skrzek. — Co ja mam z nimi zrobić?

Pat Shelby pospiesznie ubiegła ostrą ripostę Flannery'ego.

— Pani Berthelson — powiedziała łagodnie — wiele pani dla nas zrobiła, za co jesteśmy ogromnie wdzięczni. Gdyby nie pani, nigdy nie zgromadzilibyśmy potrzebnych zapasów. Ale naprawdę musimy odejść. — Dotknęła chudego ramienia staruszki, lecz ta odsunęła się gwałtownie. — To znaczy — dokończyła niepewnie Pat — nie możemy tu dłużej zostać, bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie. Widzi pani ten czarny pył? Jest radioaktywny i pokrywa ziemię coraz grubszą warstwą. Poziom toksyczny wzrasta... jeśli zostaniemy tu dłużej, zabije nas.

Pani Edna Berthelson stała, ściskając w rękach listę towarów. Na jej twarzy widniał wyraz, jakiego nie znali. Spazm gniewu ulotnił się bez śladu, jej postarzałe rysy zastygły na podobieństwo lodowatej maski. Pozbawione jakichkolwiek uczuć oczy wyglądały jak kamienie.

Na Flannerym nie zrobiło to żadnego wrażenia.

— Oto pani łup — powiedział, zamaszycie wyciągając ku niej plik banknotów.  
— A niech tam. — Zwrócił się do Crowleya. — Oddajmy jej całą resztę. Wepchnijmy jej do gardła.

— Zamknij się — warknął Crowley.

Flannery cofnął się z urazą.

— Do kogo mówisz?

— Dosyc tego. — Zatroškany Crowley próbował przemówić starej do rozsądku.

— Boże, chyba nie oczekuje pani, że utkniemy tu na zawsze, co?

Kobieta nie odpowiedziała. Raptownie odwróciła się na pięcie i w milczeniu wróciła do samochodu.

Masterson i Crowley popatrzyli na siebie niepewnie.

— To wariatka — uznał z niepokojem Masterson.

Przybiegł Tellman i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na wsiadającą do ciężarówki starą, pochylił się nad skrzynką z żywnością. Na jego wychudłej twarzy pojawiła się dziecinna zachłanność.

— Patrzcie — zawołał. — Kawa... prawie czternaście funtów. Możemy otworzyć? Chociaż jedną puszkę, aby to uczcić?

— Jasne — odparł Crowley, nie odrywając wzroku od ciężarówki. Z przytłumionym rykiem silnika samochód zatoczył szeroki łuk i przejechawszy drewniany pomost, stopniowo rozplynał się w powietrzu. Pozostała jedynie jałowa, wypalona słońcem czarna równina.

— Kawa! — wykrzyknął radośnie Tellman. Podrzucił wysoko lśniącą metalową puszkę, po czym pochwycił ją niezgrabnie. — Wiwat! Nasza ostatnia noc... ostatni posiłek na Ziemi!

To była prawda.

Gdy czerwona ciężarówka toczyła się drogą, pani Berthelson zajrzała „do przodu” i przekonała się, że tamci mówili prawdę. Skrzywiła wąskie wargi, poczuła w ustach kwaśny posmak żółci. Uznała za oczywiste, że nadal będą od niej kupować — konkurencja nie istniała, a zapotrzebowanie było ogromne. A oni odlatywali. Kiedy to nastąpi, utraci doskonały rynek zbytu.

Nigdy nie znajdzie korzystniejszego. Miała do czynienia z klientami idealnymi. W zamkniętej skrzynce na zapleczu sklepu, pod zapasowym workiem zboża ukryła prawie dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Istna fortuna, którą otrzymała w ciągu kilku miesięcy od uwięzionej kolonii, kiedy jej mieszkańcy z mozołem budowali swój statek.

To dzięki niej im się udało. Ona odpowiadała za ich ucieczkę. Brak umiejętności przewidywania spowodował, że teraz się wymykali. Co za bezmyślność.

Wracając do domu, intensywnie myślała. To jej wina, ostatecznie była jedyną osobą, która umożliwiła im zgromadzenie zapasów. Bez niej byli bezradni.

Uchwyciła się tej myśli i zajrzała w głąb siebie, rozpatrując poszczególne wersje przyszłych wydarzeń. Oczywiście istniało ich więcej niż jedna. Spoczywały przed nią niczym szereg pól, skomplikowana sieć światów, do których mogła zajrzeć zależnie od swojej woli. Żaden z nich nie zawierał jednak tego, na czym zależało jej najbardziej.

Wszystkie ukazywały pozbawioną życia równinę czarnego pyłu. Nie było na niej żadnych klientów.

Ciąg wersji był nadzwyczaj złożony. Poszczególne sekwencje łączyły się niczym sznur paciorków; istniały łańcuchy zdarzeń zawierające złączone ogniwa. Jedno prowadziło do następnego... lecz nie do równoległych łańcuchów.

Przystąpiła do precyzyjnego przeszukiwania każdego z nich. Były liczne... miała przed sobą nieskończoną ilość wersji przyszłych wydarzeń. Wybór należał do niej; zajrzała do jednego z nich, do łańcucha, w którym kolonia budowała statek. Jej interwencja spowodowała urzeczywistnienie planów. Wybrała ją spośród wielu możliwości.

Musiała zadziałać po raz kolejny. Pierwsza wersja nie przyniosła pożądaných rezultatów. Rynek zbytu przestał istnieć.

Nim zdążyła ją umiejscowić, ciężarówka wjechała do miłego miasteczka Walnut Creek, minęła kolorowe sklepy, domy i supermarkety. Możliwości były liczne, ale jej umysł nie funkcjonował już tak jak dawniej... jednak się udało. Od razu wiedziała, że wybrała właściwą. Jej instynkt handlowy natychmiast to potwierdził, wersja została zatwierdzona.

Spośród wszystkich możliwości ta była jedyna w swoim rodzaju. Statek został wykonany solidnie i gruntownie przetestowany. Jedna wersja ukazywała go, jak wznosi się, na chwilę zastyga w powietrzu, po czym z impetem rusza w kierunku granicy atmosfery, ku Gwieździe Porannej. Sekwencje porażki ukazywały eksplozję i statek rozpadający się na rozżarzone fragmenty. Tę wersję odrzuciła natychmiast, nie mogła przynieść korzyści.

Według innych możliwości statek nie wystartował wcale. Turbiny zawiodły... i statek nie ruszył się z miejsca. Wówczas jednak ludzie wybiegli na zewnątrz i przystąpili do ustalania przyczyn usterki. To na nic. W późniejszych segmentach łańcucha naprawiono statek i start odbył się pomyślnie.

Lecz jeden łańcuch pasował jak ulał. Każdy element, każde ogniwo układało się pomyślnie. Zatrzaśnięto włazy ciśnieniowe i zapieczętowano statek. Z turbin poszedł słup ognia i statek chwiejnie uniósł się ponad równinę. W odległości trzech mil od ziemi odpadła tylna dysza. Statek zawirował, po czym runął z impetem. Uruchomiono silni-

ki awaryjne przeznaczone do lądowania na Wenus. Statek zwolnił, zakołysał się przez ułamek sekundy i roztrzaskał się na stercie gruzu, która niegdyś nosiła nazwę Mount Diabło. Dymiące szczątki spoczywały na ziemi w niezmaconej ciszy.

Z wraku wyszła oszołomiona garstka ludzi i oszacowała straty. Miała przed sobą budowanie wszystkiego od początku. Zebranie zapasów i naprawienie statku... Stara uśmiechnęła się do siebie.

O to jej chodziło. Rozwiązanie było bez zarzutu. Musiała jedynie coś za drobiazg — wybrać sekwencję na kolejną podróż. Na kolejną sobotnią dostawę.

Crowley leżał na wpół zasypany pyłem i dotykał głębokiej rany w policzku. Bolał złamany ząb. Struga gęstej krwi spływała mu do ust; gorący, słonawy smak cieknącej bezradnie wydzieliny jego własnego ciała. Spróbował poruszyć nogą, lecz utracił w niej czucie. Złamana. W jego ogarniętym rozpaczą umyśle panował zbyt duży zamęt, aby mógł w pełni zrozumieć sytuację.

Gdzieś w ciemnościach poruszył się Flannery. Jęknęła jakaś kobieta, wśród skał i połamanych fragmentów statku leżeli ranni i konający. Ktoś podniósł się z ziemi, potknął się, po czym upadł. Zamrugało sztuczne światło. To Tellman pełzł niezgrabnie po szczątkach ich świata. Popatrzył tępo na Crowleya, okulary wisiały mu na jednym uchu, stracił dolną część twarzy. Naraz padł do przodu na dymiącą stertę zapasów. Chude ciało drgało w konwulsjach.

Crowley dźwignął się na kolana. Masterson pochylił się nad nim, w kółko powtarzając te same słowa.

— Nic mi nie jest — stęknął Crowley.

— Spadliśmy. Statek rozbity.

— Wiem.

W głosie Mastersona pobrzmiwały pierwsze nuty hysterii.

— Myślisz, że...

— Nie — mruknął Crowley. — To niemożliwe.

Masterson wybuchnął śmiechem. Łzy płynęły mu po twarzy, znacząc smugami brudne policzki, krople kapały na szyję i za zwęglony kołnierz.

— To ona. Uziemiła nas. Chce, żebyśmy tu zostali.

— Nie — powtórzył Crowley. Odsunął od siebie tę myśl. To niemożliwe. Niemożliwe.

— Odlecimy — powiedział. — Pozbieramy szczątki... zaczniemy wszystko od nowa.

— Ona wróci — wyjąkał Masterson. — Wie, że będziemy na nią czekać. Klienci!

— Nie — odparł Crowley. Nie wierzył w to, zmusił się, by nie uwierzyć. — Uciekniemy.

Musimy stąd uciec!

# **MODEL YANCY'EGO**

Leon Sipling z jękiem odsunął od siebie dokumenty, nad którymi pracował. Z organizacji liczącej tysiące członków był jedynym pracownikiem, który zalegał z pracą. Możliwe, że był jedynym yancymenem na Kalisto, który nie wypełniał swoich obowiązków. Pod wpływem nagłego ukłucia strachu i desperacji uruchomił audioobwód i połączył się z Babsonem, kontrolerem generalnym.

— Utknąłem, Bab — rzucił chrapliwie Sipling. — Może byś tak przesłał mi obraz całości? Może podchwycę rytm... — Uśmiechnął się blado. — Szum innych umysłów twórczych.

Po chwili namysłu Babson sięgnął po synapsę impulsową. Jego nalana twarz wyrażała jawną niechęć.

— Dotrzymujesz kroku, Sip? Twoja działka musi zostać scalona z resztą do szóstej wieczorem. Według harmonogramu wszystkie prace muszą pojawić się na widliniach w porze kolacji.

Na monitorze ściennym stopniowo uformował się obraz całości; Sipling pospiesznie skierował nań spojrzenie, wdzięczny, że może uniknąć lodowatego wzroku Babsona.

Na monitorze widniał trójwymiarowy wizerunek Yancy'ego, w zwykłym ujęciu trzy czwarte, od pasa w górę. John Edward Yancy w spranej roboczej koszuli z podwiniętymi rękawami, o opalonych, włochatych ramionach. Mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki, ogorzały na twarzy, o lekko poczerwieniałym karku i dobronudszym uśmiechu, mrużył uniesione ku słońcu oczy. Za plecami Yancy'ego widniało jego podwórko, garaż, ogród, trawnik oraz tył małego, białego domku z plastiku. Yancy wyszczerzył zęby do Siplinga: ot, sąsiad spocony pod wpływem upału i wysiłku wywołanego koszeniem trawnika, miał zamiar wypowiedzieć kilka cierpkich uwag na temat pogody, sytuacji planety oraz stanu obejścia.

Z głośników zamontowanych na biurku Siplinga popłynął niski głos Yancy'ego.

— Mojemu wnukowi Ralfowi przytrafiła się pewnego ranka paskudna rzecz. Znasz Ralfa; zawsze wychodzi do szkoły pół godziny wcześniej... mówi, że lubi usiąść na swoim miejscu przed wszystkimi innymi.



— Gorliwiec — od strony sąsiedniego biurka dobiegł okrzyk Joe Pinesa.

Z głośników niewzruszenie płynął dobroduszny głos Yancy'ego.

— Cóż, Ralf zobaczył wiewiórkę; siedziała na chodniku. Przystanął na chwilę i obserwowował ją. — Wyraz twarzy Yancy'ego był tak rzeczywisty, że Sipling prawie uwierzył mu na słowo. Niemal widział wiewiórkę i stojącego z opuszczoną głową najmłodszego wnuka Yancy'ego, dziecko syna najsłynniejszego — i ukochanego — mieszkańca planety.

— Ta wiewiórka — ciągnął miłym głosem Yancy — zbierała orzechy. Daję słowo, to był zwykły, czerwcowy dzień. Ta mała wiewiórka... — pokazał rękami jej rozmiar — ...zbierała orzechy i chowała je na zimę.

Naraz rozbawiony wyraz twarzy Yancy'ego zniknął. W jego miejsce pojawił się poważny, zamyślony — znaczący — wyraz. Niebieskie oczy pociemniały (świetny dobór koloru). Szczęka stała się bardziej kwadratowa, uparta (zamiana lalki przeprowadzona przez ekipę androidów była godna najwyższej pochwały). Yancy jakby postarzał się w oczach, zyskał bardziej dojrzały i imponujący wygląd. Scenę ogrodową zastąpiono inną; Yancy znajdował się na tle krajobrazie kosmicznym, wśród gór, wichru oraz potężnej, wiekowej puszczy.

— Pomyślałem sobie — odezwał się Yancy głębszym, powolniejszym głosem. — Oto mała wiewiórka. Skąd ona wie, że nadejdzie zima? Pracuje jak szalona, przygotowuje się na jej nadejście. — Yancy podniósł głos. — Przygotowuje się na zimę, której nie dane jej będzie oglądać.

Sipling zeszytniał i przygotował się; nadszedł czas.

— Uwaga! — wrzasnął Joe Pines.

— Ta wiewiórka — ciągnął uroczyście Yancy — posiadała wiarę. Nie, nic nie świadczyło o rychłym nadejściu zimy. Lecz ona wiedziała, że to nieuniknione. — Twardo zarysowana szczęka drgnęła; jedna ręka z wolna powędrowała w górę...

Naraz sylwetka znieruchomiała. Zastygła, niema i cicha. Wypowiedź dobiegła końca, urwała się w środku zdania.

— Wystarczy — oznajmił Babson, usuwając obraz. — Pomogło ci?

Sipling gorączkowo rzucił się do swoich papierów.

— Nie — przyznał. — Wcale. Ale... jakoś sobie poradzę.

— Mam nadzieję. — Twarz Babsona pociemniała złowroźnie, a jego małe, „nikczemne” oczka wydały się jeszcze mniejsze. — Co się z tobą dzieje? Kłopoty w domu?

— Nic mi nie jest — wymamrotał spocony Sipling. — Dzięki.

Na monitorze wciąż widniała podobizna Yancy'ego, zastygła na słowie „nieuniknione”. Dopełnienie całości spoczywało na barkach Siplinga: dalszy ciąg wypowiedzi i gestów nie został jeszcze wkomponowany w obraz. Brakowało udziału Siplinga, przez co całe przedsięwzięcie utknęło.

— Posłuchaj — odezwał się niepewnie Joe Pines. — Z chęcią dzisiaj cię zastąpię. Odłącz swoje biurko od obwodu, a przejmę twoje obowiązki.

— Dzięki — mruknął Sipling — ale jestem jedynym, który może dokończyć ten cholerny kawałek. To gwóźdź programu.

— Powinieneś odpocząć. Za ciężko pracujesz.

— Tak — przyznał będący na skraju hysterii Sipling. — Kiepsko się czuję.

To nie ulegało wątpliwości: wszyscy w biurze mogli potwierdzić jego słowa. Lecz jedynie Sipling znał przyczynę tego stanu. I całą siłą woli powstrzymywał się od wykrzyczenia jej na cały głos.

Podstawową analizę sytuacji politycznej na Kalisto przeprowadzano komputerowo przez Niplan w Waszyngtonie D.C., końcowych obliczeń dokonywali ludzie. Waszyngtońskie komputery wykazały, że struktura polityczna Kalisto zmierza ku rozwiązaniu totalitarnemu, nie były jednak w stanie wyciągnąć z tego żadnych mierzalnych wniosków. Ludzie mieli sklasyfikować tendencję jako szkodliwą.

— To niemożliwe — zaproponował Taverner. — Na szlakach przemysłowych prowadzących z i na Kalisto panuje nieprzerwany tłok, poza syndykatem ganimedejskim cały pozaplanetarny handel znajduje się pod ścisłą kontrolą. Jeśli coś niebezpiecznego miałoby miejsce, natychmiast doszłyby nas o tym słuchy.

— Niby jak? — zapytał szef policji Kellman.

Taverner wskazał na wykresy danych, tabele i wykazy procentowe pokrywające ściany biura policji Niplanu.

— Na wiele sposobów. Napady terrorystyczne, więzienia polityczne, obozy koncentracyjne. Usłyszelibyśmy o przetasowaniach politycznych, zdradach, niełojalności... wszystkich elementarnych symptomach dyktatury.

— Nie myl dyktatury z systemem totalitarnym — poradził oschle Kellman. — Układ totalitarny zagląda w każdą sferę życia obywateli, kształtu — je ich opinie na każdy temat. Rząd może być źródłem dyktatury albo parlament, albo prezydent, albo rada Kaplanów. To nie ma znaczenia.

— No dobrze — ustąpił Taverner. — Pojadę. Zabiorę ekipę i zobaczymy, co się święci.

— Czy możecie upodobnić się do rdzennych mieszkańców Kalisto?

— A co ich charakteryzuje?

— Nie jestem pewien — przyznał z namysłem Kellman, zerkając na szczegółowe wykresy ściennie. — Lecz cokolwiek to jest, wszyscy zaczynają upodabniać się do siebie.

Wśród pasażerów statku lądującego na Kalisto znajdował się Peter Taverner, jego żona oraz dwójka dzieci. Z wyrazem troski na twarzy Taverner wyłuskał z tłumu syl-

wetki miejscowych urzędników celnych mającące u wyjścia. Pasażerów czekała dokładna kontrola, wraz z opuszczeniem rampy grupa urzędników przesunęła się do przodu.

Taverner wstał i zwołał swoją rodzinę.

— Nie zwracaj na nich uwagi — pouczył Ruth. — Nasze papiery umożliwią nam wejście.

Według fachowo spreparowanych dokumentów trudnił się handlem metalami nieżelaznymi i szukał rynku zbytu dla swoich produktów. Kalisto stanowiła miejsce ziemskich i mineralnych transakcji, napływał na nią nieprzerwany strumień żądnych zysku przedsiębiorców czerpiących surowiec z nierozwiniętych księżyców i zwożących sprzęt kopalniany z planet wewnętrznych.

Taverner z pozorną niedbałością przerzucił płaszcz przez ramię. Przysadzisty mężczyzna po trzydziestce bez trudu mógł uchodzić za zamożnego biznesmena. Marynarka z podwójnym rzędem guzików była droga, lecz konserwatywna, wielkie buty starannie wypolerowane. Ogólnie rzecz biorąc, prawdopodobnie mu się uda. Wraz rodziną ruszył w kierunku wyjścia i zaprezentował nieskazitelnie podrobione dokumenty pozaplane-tarnej klasy biznesowej.

— Zawód? — zapytał ubrany w zielony mundur urzędnik, celując w niego ołówkiem. Sprawdzono dokumenty, wykonano zdjęcia i zamieszczono je w kartotece. Dokonano porównań fal mózgowych: rutynowa procedura celna.

— Metalurgia nieżelazna — zaczął Taverner, ale drugi urzędnik wpadł mu w słowo:

— Już trzeci gliniarz tego ranka. O co wam na tej Terze chodzi? Urzędnik zmierzył Tavernera baczny spojrzeniem. — Mamy tu więcej gliniarzy niż ministrów.

Usiłując nie wypaść z roli, Taverner odparł gładko:

— Przyjechałem na wypoczynek. Przewlekły alkoholizm — nic służbowego.

— To samo mówi twoja kohorta. — Funkcjonariusz uśmiechnął się z rozbawieniem. — Co tam, jeden terrański gliniarz więcej, jeden mniej. Odsunął zasuwę i przepuścił Tavernera i jego rodzinę. — Witamy na Kalisto. Dobrej zabawy. To najszybciej rozwijający się księżyc w układzie.

— Prawie planeta — uzupełnił ironicznie Taverner.

— Lada dzień. — Urzędnik zerknął w swoje notatki. — Zdaniem naszych przyjaciół w waszej małej organizacji, na waszych ścianach wiszą dotyczące nas mapy i wykresy. Czy naprawdę jesteśmy aż tak ważni?

— Dociekliwość naukowa — skwitował Taverner; trzy kropki oznaczały, że cała ekipa została zdemaskowana. Władze miejscowe otrzymały zapewne nakaz zapobiegania infiltracji... świadomość tego przejęła go chłodem.

Mimo to przepuścili go. Czyżby byli aż tak ufni?

Sytuacja przedstawiała się niewesoło. Rozglądając się za taksówką, przygotowywał się do mozolnego zwołania ekipy i połączenia jej w całość.

Tego wieczora, w barze „Jarz — się” na głównej ulicy handlowej dzielnicy miasta Taverner spotkał się z dwoma członkami ekipy. Pochyleni nad szklankami z whisky porównali swoje notatki.

— Jestem tu blisko dwanaście godzin — powiedział Eckmund, spoglądając beznamiętnie na rzędy butelek ustawione w mrocznej głębi baru. W powietrzu unosił się dym papierosowy; automatyczna szafa grająca emitowała metalicznie brzmiące melodie. — Chodziłem po mieście i obserwowałem.

— Ja — odpowiedział Dorser — byłem w bibliotece. Skonfrontowałem krążące mity z panującą na Kalisto rzeczywistością. Rozmawiałem też z naukowcami — wykształconymi osobnikami kręcącymi się po salach.

Taverner upił łyk ze swojej szklanki.

— I co?

— Znasz zasadę wyższości doświadczenia nad rozumem — odparł z grymasem Eckmund. — Szwendałem się na skraju dzielnicy slumsów, aż wreszcie nawiązałem pogawędkę z ludźmi czekającymi na autobus. Rozpocząłem od ataku na władze: jakość transportu miejskiego, brak oczyszczalni ścieków, podatki, jednym słowem wszystko. Z miejsca podchwycili. Bez wahania. I bez strachu.

— Konstrukcja rządu opiera się na archaicznym schemacie — uzupełnił Dorser. — System dwupartyjny, jedna partia nieco bardziej konserwatywna niż druga. Ogólnie rzecz biorąc, nie ma między nimi żadnej zasadniczej różnicy. Jednakże obie wybierają kandydatów na otwartych zgromadzeniach podczas tajnego głosowania. — Ogarnęło go rozbawienie. — Modelowy przykład demokracji. Czytałem w książkach, nic prócz idealistycznych sloganów: wolność słowa, zgromadzenia oraz religii. Żywcem wzięte z podręcznika.

Wszyscy trzej umilkli na chwilę.

— Są więzienia — odparł powoli Taverner. — W każdym społeczeństwie jest miejsce na pogwałcenie prawa.

— Odwiedziłem jeden zakład karny — odparł Eckmund i czknął. Drobni złodziejaskowie, mordercy, oszuści, chuligani — normalka.

— Żadnych więźniów politycznych?

— Żadnych. — Eckmund podniósł głos. — Równie dobrze możemy to wykrzyzczeć. Nikogo to nie obchodzi. A już najmniej władze.

— Może po naszym wyjeździe zapuszkują kilka tysięcy osób — mruknął z namysłem Dorser.

— Boże — odparł Eckmund — ludzie mogą opuścić Kalisto, kiedy tylko dusza za-  
pragnie. Kierując państwem policyjnym, należy dbać o szczelność granic. Tutejsze są  
otwarte na oścież. Ludzie wchodzą i wychodzą.

— Może dosypują im coś do wody — wyraził przypuszczenie Dorser.

— Czy można zakładać istnienie państwa totalitarnego bez terroryzmu? — zapytał  
retorycznie Eckmund. — Jestem gotów dać głowę, że nie ma tu kontroli myśli. I nie ma  
strachu.

— Muszą wywierać jakiś nacisk — upierał się Taverner.

— Policja na pewno tego nie robi — wtrącił z naciskiem Dorser. — Obywają się bez  
użycia siły i brutalności. To samo dotyczy nielegalnych aresztowań, uwięzienia i pracy  
przymusowej.

— Gdybyśmy mieli do czynienia z państwem policyjnym — powiedział w zamyśle-  
niu Eckmund — występowałoby tu również zjawisko ruchu oporu. Rodzaj ugrupowa-  
nia „wywrotowego”, którego dążeniem byłoby obalenie władz. Lecz w tym społeczeń-  
stwie każdy może uzalać się do woli; można wykupić sobie czas antenowy w radiu lub  
telewizji, szpaltę w gazecie — co się tylko chce. — Wzruszył ramionami. — Skąd więc  
mowa o tajnym ruchu oporu? To bez sensu.

— Niemniej ci ludzie żyją w społeczeństwie, w którym obowiązuje ideologia jednej  
partii — wtrącił Taverner. — To bezpośredni symptom uważnie sterowanego państwa  
totalitarnego. Przypominają króliki doświadczalne — bez względu na to, czy są tego  
świadomi, czy nie.

— I niby nie zdawaliby sobie z tego sprawy?

Taverner w oszołomieniu potrząsnął głową.

— Sam już nie wiem. Działają tu pewne mechanizmy, których nie rozumiemy.

— Mamy wszystko jak na dłoni. Możemy zbadać sytuację.

— Spoglądamy nie tam, gdzie trzeba. — Taverner leniwie utkwiał wzrok w telewizo-  
rze ustawionym nad barem. Połączona z tańcem i śpiewem prezentacja nagich dziew-  
częcych ciał dobiegła końca, w jej miejsce pojawiła się twarz mężczyzny. Był to pięćdzie-  
sięciolatek o sympatycznym, okrągłym obliczu, otwartym spojrzeniu niebieskich oczu,  
niemal dziecięcym wyrazie ust i brązowych kosmykach opadających na lekko odstają-  
ce uszy.

— Przyjaciele — huknęła postać z telewizora — miło znów u was gościć dziś wie-  
czorem. Pomyślałem sobie, że utnę sobie z wami pogawędkę.

— Reklama — skwitował Dorser i zasygnalizował mechanicznemu barmanowi, że  
życzy sobie następnego drinka.

— Kto to jest? — zapytał z zainteresowaniem Taverner.

— Ten przyjemniaczek? — Eckmund zerknął do swoich notatek. — Jakiś popularny  
komentator. Nazywa się Yancy.

— Jest członkiem rządu?

— Nic o tym nie wiem. To rodzaj domorosłego filozofa. Znalazłem w kiosku jego biografię. — Eckmund podał szefowi kolorową książeczkę. — Na mój gust, niczym nie różni się od innych. Kiedyś był żołnierzem, w wojnie między Marsem a Jowiszem awansował do rangi majora. — Obojętnie wzruszył ramionami. — Gadający almanach. Pełne wigoru pogadanki na każdy temat. Porady typu, jak wyleczyć katar, i komentarze na temat beznadziejnej sytuacji na Terze.

Taverner przekartkował książkę.

— Tak, rzeczywiście widziałem w okolicy jego zdjęcia.

— Cieszy się niezmierną popularnością. Uwielbiany przez tłum — traktują go jak swojego rzecznika. Kupując papierosy, zwróciłem uwagę, że reklamuje jedną markę, która dzięki temu wyparła niemal z rynku wszystkie pozostałe. To samo dotyczy piwa. Szkocka w naszych szklankach też pewnie należy do ulubionych Yancy'ego. Podobnie jak piłki tenisowe. Tyle że on nie gra w tenisa — woli krykieta. Gra w każdy weekend. — Sięgając po nową szklankę, Eckmund podsumował: — Tak więc wszyscy grają w krykieta.

— Jakim sposobem krykiet mógł stać się sportem popularnym na całej planecie? — zapytał Taverner.

— To nie jest żadna planeta — uściślił Dorser. — Tylko zapyziały księżyc.

— Yancy twierdzi co innego — odparł Eckmund. — Należy traktować Kalisto jak planetę.

— Jak to? — zapytał Taverner.

— Pod względem duchowym jest planetą. Yancy lubi, jak ludzie traktują sprawy na płaszczyźnie duchowej. Ma zdecydowane poglądy na temat Boga, uczciwości rządowej, ciężkiej pracy i higieny osobistej. Wyświechtane truizmy.

Twarz Tavernera nabrała twardego wyrazu.

— Ciekawe — mruknął. — Będę musiał z nim pomówić.

— Po co? To najbardziej nudna miernota z możliwych.

— Może i tak — orzekł Taverner. — Właśnie dlatego tak mnie zainteresował.

Babson, wielki i złowróźbny, wyszedł na spotkanie Tavernera u wejścia biurowca Yancy'ego.

— Naturalnie, że może pan zobaczyć się z panem Yancym. Niestety jest on niezwykle zajęтым człowiekiem; ustalenie dokładnej daty spotkania niechybnie potrwa trochę czasu. Wszyscy marzą o spotkaniu z panem Yancym.

Na Tavernerze nie wywarło to większego wrażenia.

— Jak długo mam czekać?

Kiedy przecinali lobby, idąc w kierunku wind, Babson obliczył w myślach.

— Och, powiedzmy, cztery miesiące.

— Cztery miesiące!

— Spośród osobistości żyjących John Yancy cieszy się największą popularnością.

— Tutaj, owszem — skwitował gniewnie Taverner, gdy wchodzili do zatłoczonej windy. — Ja nigdy przedtem o nim nie słyszałem. Skoro tyle się o nim mówi, to dlaczego w Niplanie nikt go nie zna?

— Szczerze mówiąc — odparł ochryłym, poufnym szeptem Babson — sam nie wiem, co ludzie w nim widzą. Jeśli o mnie chodzi, jest tylko gadatliwym samochwałą. Ale tutejsi zanim przepadają. Ostatecznie Kalisto to prowincja. Ludzie reprezentują pewien szczególny rodzaj myślenia wymagający maksymalnych uproszczeń w widzeniu świata — słowa Yancy'ego padają na podatny grunt. Obawiam się, że na zaawansowanej Terze miałby ciężki orzech do zgryzienia.

— A próbował wywierać na nią swój wpływ?

— Jeszcze nie — odparł Babson. — Może kiedyś.

Podczas gdy Taverner rozważał znaczenie słów swojego potężnego rozmówcy, winda stanęła. Obaj przeszli do luksusowego, wyłożonego dywanem korytarza, oświetlonego ukrytymi we wnękach ściennych lampami. Babson otworzył drzwi i znaleźli się w przestronnym biurze.

Nagrywano tam kolejne ujęcie z udziałem Yancy'ego. Grupa milczących yancymenów w napięciu spoglądała na ekran. Obraz przedstawiał Yancy'ego siedzącego przy staroświeckim dębowym biurku w swoim gabinecie. Wyraźnie rzucało się w oczy, że pracował nad jakimś filozoficznym zagadnieniem: na biurku leżały stosy książek i dokumentów. Twarz Yancy nabrała zamyślonego wyrazu, podparł dłońią przecięte zmarszczką skupienia czoło.

— To na niedzielny poranek — odpowiedział Babson.

Usta Yancy'ego drgnęły i mężczyzna przemówił.

— Przyjaciele — zaczął swym głębokim, przyjaznym głosem. — Siedzę tu przy biurku, tak jak i wy siedzicie w swoich pokojach. — Nastąpiła zmiana ujęcia, obiektyw kamery zarejestrował otwarte drzwi do gabinetu Yancy'ego. W salonie mignęła znajoma postać żony Yancy'ego; miła osóbką w średnim wieku siedziała na sofie i szyła. Ich wnuk Ralf siedział u jej stóp i grał w kulki. Pies drzemał w kącie.

Jeden z obserwatorów zanotował coś w notesie. Zdumiony Taverner rzucił mu zaciekawione spojrzenie.

— Oczywiście, byłem tam z nimi — podjął z przelotnym uśmiechem Yancy. — Czytałem Ralfowi historyjki. Siedział mi na kolanach. — W miejsce tła zaprezentowano migawkę przedstawiającą Yancy'ego z wnukiem na kolanach. Następnie znów pojawiło się biurko i wypełniony książkami gabinet Yancy'ego. — Jestem ogromnie wdzięczny swojej rodzinie — wyznał Yancy. — W trudnych chwilach to ona jest dla mnie opoką. — Yancymen zanotował kolejną uwagę.

— Siedząc tu, w gabinecie, w ten cudowny niedzielny poranek — kontynuował Yancy — myślę sobie, ileż mamy szczęścia, żyjąc na tej pięknej planecie, we wspaniałym miastach i domach, wśród rzeczy, którymi hojnie obdarzył nas Pan. Musimy jednak zachować ostrożność. Musimy zadbać o to, aby ich nie stracić.

W postaci Yancy'ego nastąpiła zmiana. Tavernerowi wydało się, że obraz uległ subtelnemu zniekształceniu. Przedstawiał innego człowieka, potężniejszego i starszego; dobry nastrój ulotnił się bez śladu. Mieli przed sobą srogookiego ojca przemawiającego do swoich dzieci.

— Przyjaciele — oznajmił Yancy. — Istnieją siły, które mogą osłabić planetę. Wszystko to, co budowaliśmy przez lata dla naszych bliskich, dla dzieci, może zostać odebrane nam w mgnieniu oka. Musimy nauczyć się czujności. Musimy chronić naszą wolność, stan posiadania i tożsamość. Jeśli rozdzielimy się i wdamy w bratobójczy konflikt, staniemy się łatwym celem dla naszych wrogów. Grunt to jedność, przyjaciele.

— Właśnie o tym rozmyślałem tego niedzielnego ranka. O współpracy. Wspólnocie. Musimy zapewnić sobie bezpieczeństwo, to zaś wiąże się Iz jednością. Oto klucz, przyjaciele, klucz to jeszcze pełniejszego życia. Wskazując na rozciągający się za oknem ogród i trawnik, Yancy dorzucił: — Wiecie, byłem...

Głos ucichł. Postać zastygła. Zapalono światła, a w milczących do tej pory yancymenów wstąpiło życie.

— Świetnie — powiedział jeden z nich. — Przynajmniej na razie. Ale gdzie reszta?

— Sipling, jak zwykle — odparł drugi głos. — Jego działka jeszcze nie nadeszła. Co się z nim dzieje?

Babson drgnął.

— Pan wybaczy — powiedział do Tavernera. — Zostawię pana na chwilę... kłopoty techniczne. Proszę bardzo, niech pan się rozejrzy, jak pan chce. Proszę sobie poczytać — na co tylko ma pan ochotę.

— Dzięki — orzekł niepewnie Taverner. Czuł się zbity z tropu, wszystko wydawało się nieszkodliwe, ba, trywialne. Jednak coś tu się nie zgadzało.

Podjejrliwie zabrał się do dokładniejszych oględzin.

Było jasne, że John Yancy wypowiedział się na każdy możliwy temat. Jego opinie w sprawie danego zagadnienia — sztuki nowoczesnej, czosnku, napojów wysokowych, spożywania mięsa, socjalizmu, wojny, szkolnictwa, wydekoltowanych sukni dla kobiet, wysokich podatków, ateizmu, rozwodów, patriotyzmu — były w zasięgu ręki, w każdym możliwym odcieniu i nastawieniu.

Czy istniał jakikolwiek temat, na który Yancy nie wyraził swojego zdania?

Taverner zbadał liczne kasety ustawione na półkach w biurze. Wypowiedzi Yancy'ego zapisano na miliardach metrów taśmy... czy jeden człowiek mógł posiadać opinię na temat absolutnie każdej dziedziny?



Wybrawszy taśmę na chybił trafił, otrzymał wykład na temat zachowania przy stole.

— Pewnego wieczora przy kolacji — w uszach Tavernera zabrzmiał metaliczny głos miniaturowego Yancy'ego — zwróciłem uwagę na to, jak mój wnuk Ralf kroi swój stek. — Yancy uśmiechnął się do widza, po czym na monitorze pojawił się przelotny wizerunek sześciolatka w zacięciu krojącego kawałek mięsa. — Cóż, pomyślałem sobie, oto Ralf bezskutecznie walczy ze swoim stekiem. I wydało mi się...

Taverner wyłączył taśmę i schował ją na miejsce. Yancy posiadał zdecydowane opinie na każdy temat... czy jednak rzeczywiście były one aż tak zdecydowane?

Narastało w nim dziwne podejrzenie. Na pewne tematy, oczywiście. W drobnych sprawach Yancy był zwolennikiem ścisłych reguł oraz maksym zaczerpniętych z bogatego dziedzictwa ludzkości. Lecz istotne kwestie natury filozoficznej i politycznej w jego wydaniu cechowało znów coś innego.

Wyjmując jedną z licznych taśm oznaczonych napisem „Wojna”, Taverner włączył ją bez przewijania.

— ...jestem przeciwny wojnie — zagrział gniewnie Yancy. — Wiem coś o tym, ja już wywalczyłem swoje.

Po tym następował zlepek scen batalistycznych: wojna pomiędzy Marsem i Jowiszem, w której Yancy wyróżnił się bohaterstwem, troską o towarzyszy, nienawiścią do wroga i okazaniem stosownych do okoliczności emocji.

— Jednakże — oświadczył Yancy — według mnie planeta musi być silna. Nie wolno nam poddać się bez walki... słabość prowokuje atak i stymuluje agresję. Słabością stwarzamy niebezpieczeństwo wybuchu wojny. Musimy sprzymierzyć siły i chronić bliskich. Całym sercem i duszą jestem przeciwny jałowej walce; powtarzam jednak raz jeszcze, człowiek musi toczyć wojnę sprawiedliwą. Nie może wzbraniać się od odpowiedzialności. Wojna to straszna rzecz. Czasem jednak trzeba...

Odkładając taśmę, Taverner zastanawiał się nad znaczeniem słów Yancy'ego. Jak brzmiała jego opinia na temat wojny? Z grubsza zajmowała ona około stu osobnych taśm, Yancy zawsze gotów był podjąć tak istotne tematy jak wojna, planeta, Bóg, system podatkowy. Lecz czy wyciągał z tego jakiegokolwiek wnioski?

Ciarki przebiegły Tavernerowi po grzbiecie. Na szczegółowe — i banalne — tematy odpowiedź padała jak z rękawa: psy są lepsze niż koty, grejpfrut bez odrobiny cukru jest zbyt kwaśny, nie ma to jak wczesne wstawanie, nadużywanie alkoholu nie sprzyja zdrowiu. Lecz sprawy naprawdę istotne... pustka, wypełniona stekiem napuszonych komunałów. Ludzie, którzy przyznawali Yancy'emu rację w kwestiach wojny, podatków, Boga i planety, w gruncie rzeczy nie przyznawali racji niczemu. I wszystkiemu.

Na temat spraw istotnych nie mieli żadnej opinii. Jedynie myśleli, że jest inaczej Taverner pospiesznie przejrzał taśmy na poszczególne tematy. To samo dotyczyło wszystkich. Każdym kolejnym stwierdzeniem Yancy kwestionował poprzednie.

W konsekwencji wychodziła zgrabna negacja, podważenie wszystkich postawionych uprzednio tez. Słuchacz zaś pozostawał w złudnym przeświadczeniu skonsumowania przebogatej i zróżnicowanej intelektualnie uczy. To niesamowite. I jakże profesjonalne: zręczna konstrukcja całości wykluczała możliwość przypadku.

Nikt nie był równie nieszkodliwy i nudny jak John Edward Yancy. Był on zbyt cholernie nieskalany, aby istnieć naprawdę.

Spocony Taverner opuścił archiwum i ruszył w kierunku bocznych pomieszczeń, gdzie yancymeni pracowali przy biurkach i wykresach ściennych. Praca wrzała jak w ulu. Na twarzach pracowników dominowała życzliwość, prawie nuda. Równie przyjazne, banalne oblicza, jakie ukazywał sam Yancy.

Nieszkodliwe — i w owej nieszkodliwości diaboliczne. Nic nie mógł na to poradzić. Skoro ludzie z lubością przysłuchiwali się wywodom Johna Edwarda Yancy, skoro pragnęli kształtować swe osobowości na jego wzór — co miała na to poradzić policja Niplanu?

Jakie popełniano tu przestępstwo?

Nic dziwnego, że Babson nie wzbraniał się przed wpuszczeniem policji. Nic dziwnego, że nikt nie zatrzymał ich na granicy. Nie było tu żadnych więzień politycznych ani koncentracyjnych obozów pracy... nie istniała ku temu żadna potrzeba.

Sale tortur oraz obozy eksterminacyjne były potrzebne tylko wówczas, gdy zawodziły wszelkie próby perswazji. Tutaj natomiast perswazja funkcjonowała bez zarzutu. Rządzone terrorem państwo policyjne należało ustanowić tylko w sytuacji, kiedy aparat totalitarny ulegał zachwianiu. Wcześniejsze społeczeństwa totalitarne były niekompletne; władze nie posiadały rzeczywistego dostępu do każdej sfery życia. Lecz poprawiły się techniki komunikacyjne.

Na jego oczach realizowano pierwsze naprawdę udane państwo totalitarne: sprawiało wrażenie nieszkodliwego i banalnego. Później następował ostatni etap — koszmarny, lecz w pełni logiczny — wszystkim nowo narodzonym chłopcom rodzice radośnie i dobrowolnie nadawali imiona John Edward.

Dlaczegoż by nie? Oni sami już żyli, zachowywali się i myśleli jak John Edward. Z kolei pani Margaret Ellen Yancy stanowiła wzór dla kobiet. Ona również dysponowała pełnym asortymentem stosownych wypowiedzi; miała kuchnię, określony gust dotyczący ubioru, przepisy kulinarne oraz porady, z których korzystały wszystkie kobiety.

Istniały nawet dzieci Yancy'ego, będące przykładem do naśladowania dla młodego pokolenia. Władze nie przeoczyły niczego.

Babson podszedł do Tavernera z dobrodusznym wyrazem twarzy.

— Jak leci, panie władzo? — zarechotał, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Dobrze — odparł Taverner, unikając kontaktu z ręką.

— Podoba się panu nasze małe przedsiębiorstwo? — W niskim głosie Babsona brzmiała autentyczna duma. — Robimy dobrą robotę. Koronkową robotę. Nasz standard działania graniczy z doskonałością.

Trzęsąc się z bezsilnej złości, Taverner wypadł z biura na korytarz. Winda nie przyjeżdżała zbyt długo; wściekły skierował się ku schodom. Musiał opuścić biurowiec Yancy'ego; pragnął uciec stąd jak najprędzej.

Z ciemnej wnęki holu wyłonił się blady, niespokojny mężczyzna.

— Niech pan zaczeka. Czy mógłbym... z panem pomówić?

Taverner wyminął go.

— Czego pan chce?

— Pan jest z policji Niplanu, prawda? Ja... — Grdyka mężczyzny skoczyła w górę i w dół. — Pracuję tutaj. Nazywam się Sipling. Leon Sipling. Muszę coś zrobić... dłużej nie dam rady.

— Nic się nie da zrobić — oznajmił Taverner. — Skoro chcą upodobnić się do Yancy'ego...

— Ależ żaden Yancy nie istnieje — przerwał mu Sipling. Twarz zadrgała mu spazmatycznie. — Stworzyliśmy go... to nasz wymysł.

Taverner stanął jak wryty.

— Co zrobiliście?

— Już postanowiłem. Chcę coś z tym zrobić... dokładnie wiem co. Chwytnąjąc Tavernera za rękaw, wycedził: — Musi pan mi pomóc. Mogę z tym skończyć, ale sam nie dam rady.

W przytulnym, elegancko urządzonym salonie Leona Siplinga wypili kawę, spoglądając na pochłonięte zabawą dzieci. Żona Siplinga i Ruth Taverner wycierały w kuchni naczynia.

— Yancy stanowi syntezę — wyjaśnił Sipling. — To kompilacja. Jednostka o podobnych cechach nie istnieje. Opieraliśmy się podstawowych prototypach z danych socjologicznych, całość składa się z różnych typowych jednostek. Pod tym względem wszystko jest autentyczne. Odarliśmy go jednak z cech niepożądanych, przy jednoczesnym uwypukleniu tych, które wydawały się najbardziej stosowne. Yancy to postać jak najbardziej prawdopodobna — dodał pośpiesznie. — Istnieje mnóstwo takich ludzi, niestety.

— Waszym założeniem było naginanie ludzi do konkretnego wzorca zachowań? — zapytał Taverner.

— Trudno mi precyzyjnie określić, na czym polegało fundamentalne założenie. Pracowałem jako przedstawiciel reklamowy firmy produkującej płyn do płukania ust. Władze Kalisto zatrudniły mnie i z grubsza wyjaśniły charakter mojego działania. Musiałem domyślić się prawdziwego celu przedsięwzięcia.

— Mówiąc „władze”, ma pan na myśli radę rządzącą?

Sipling wybuchnął śmiechem.

— Mam na myśli syndykaty handlowe, do których należy księżyc, wszystkie razem. Ale nie możemy używać określenia księżyc. Przecież żyjemy na planecie. — Skrzywił się gorzko. — Najwyraźniej władze mają dalekosiężne plany, które zakładają wchłonięcie konkurencji ganimedejskiej. Urzeczywistnienie tego zamierzenia da im przewagę nad wszystkimi planetami spoza układu.

— Przecież konflikt z Ganimedesem przyczyni się do wybuchu regularnej wojny — zaproponował Taverner. — Korporacje medejskie zyskają poparcie swoich rodaków. — Naraz zaświtało mu. — Rozumiem — powiedział cicho. — Rozpoczną wojnę. Sytuacja jest tego warta.

— Ma pan całkowitą rację. Jeżeli zaś chodzi o rozpoczęcie wojny, muszą otrzymać poparcie ze strony ludności. W gruncie rzeczy tutejszym nie przyniosłoby to żadnych korzyści. Wojna zmiotłaby w pył drobnych, przedsiębiorców i skoncentrowała władzę w rękach nielicznej grupy osób, która i teraz jest już wystarczająco nieliczna. By zyskać poparcie osiemdziesięciomilionowej rzeszy ludzi, potrzeba obojętnego, bezmyślnego audytorium. Właśnie ku temu zmierzają. Gdy kampania Yancy'ego dobiegnie końca, mieszkańcy Kalisto zgodzą się na wszystko. Yancy myśli za nich. Mówi im, jak mają się czesać, w co grać. Opowiada anegdoty, które potem mężczyźni powtarzają w domach. Jego żona własnoręcznie przygotowuje kolację dla wszystkich. Życie każdego mieszkańca stanowi wierne odbicie życia Yancy'ego. Cokolwiek robi, w cokolwiek wierzy. Pierzemy ludzkie umysły od bitych jedenastu lat. Istotną sprawą jest niezmienna monotonia tego zjawiska. Całe pokolenie dorasta, szukając w Yancym odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Wobec tego to ogromne przedsięwzięcie — zauważył Taverner. Ten projekt stworzenia i podtrzymywania idei Yancy'ego.

— Tysiące ludzi zaangażowanych jest w samo pisanie scenariusza. Pan widział zaledwie początkowy etap — to samo odbywa się w każdym mieście. Kasety, filmy, książki, czasopisma, plakaty, pamflety, przedstawienia teatralne audio i wideo, wzmianki w gazetach, podkłady muzyczne, komiksy dla dzieci, reportaże, starannie opracowane reklamy. Miarowy potok Yancy'ego. — Biorąc ze stolika czasopismo, wskazał na główny artykuł. — „Jak się miewa serce Johna Yancy'ego?” Stawia pytanie, co byśmy bez niego zrobili. W następnym tygodniu pojawi się artykuł na temat stanu jego żołądka. — Sipling dodał zjadliwie: — Znamy milion różnych sztuczek. Znamy go na wylot. Nazywamy się yancymenami; to nowy rodzaj sztuki.

— Jak wy... pracownicy odnosicie się do Yancy'ego?

— To balon nadmuchany gorącym powietrzem.

— Żaden z was nie jest przekonany?

— Nawet Babson stroi sobie z tego żarty, a Babson stoi na samej górze, po nim są chłopcy, którzy podpisują czeki. Boże, gdyby przyszło nam kiedyś uwierzyć w Yancy'ego... gdybyśmy zaczęli sądzić, że te bzdury cokolwiek znaczą... — Na twarzy Siplinga odmalował się wyraz rozpacz. — Koniec. Dlatego właśnie nie mogę tego znieść.

— Dlaczego? — zapytał z ciekawością Taverner. Ukryty mikrofon rejestrował każde słowo, przesyłając je do rodzimego biura w Waszyngtonie. — Ciekawi mnie, dlaczego zdecydował pan z tym skończyć.

Sipling schylił się i zawołał syna.

— Mike, przerwij zabawę i chodź tutaj. Mike ma dziewięć lat — wyjaśnił Tavernerowi. — Yancy towarzyszy mu od urodzenia.

Mike zbliżył się z ociąganiem.

— Słucham, sir?

— Jakie masz oceny w szkole? — zapytał go ojciec.

Chłopiec dumnie wypiął pierś, był pomniejszoną kopią Leona Siplinga.

— Same szóstki i piątki.

— To bystry dzieciak — powiedział do Tavernera Sipling. — Dobry z arytmetyki, historii i całej reszty. — Zwracając się do chłopca, powiedział: — Zadam ci kilka pytań; chciałbym, aby ten pan wysłuchał odpowiedzi, dobrze?

— Tak, sir — odrzekł posłusznie chłopiec.

Z powagą na twarzy Sipling powiedział do syna:

— Chcę wiedzieć, co sądzisz na temat wojny. Opowiadano ci o niej w szkole; wiesz wszystko na temat słynnych wojen. Zgadza się?

— Tak, sir. Uczyliśmy się o rewolucji amerykańskiej, pierwszej wojnie światowej, potem o pierwszej wojnie wodorowej oraz o wojnie pomiędzy kolonistami na Marsie i Jowiszu.

— Wysyłamy do szkół materiał Yancy'ego; pomoce naukowe w skróconej formie — wyjaśnił Tavernerowi Sipling. — Yancy prowadzi dzieci przez poszczególne epoki i tłumaczy im znaczenie poszczególnych zjawisk. Podobnie jest z historią naturalną. Yancy zapoznaje ich z sekretami astronomii oraz każdą inną rzeczą we wszechświecie. Nigdy nie myślałem jednak, że mój syn... — Urwał żałośnie, po czym ponownie zwrócił się do chłopca. — Zatem wiesz wszystko na temat wojny. Dobrze, więc co o niej myślisz?

— Wojna jest zła — odrzekł gładko chłopiec. — To najgorsza rzecz na świecie. Prawie zniszczyła ludzkość.

Baczenie spoglądając na syna, Sipling zapytał:

— Czy ktoś kazał ci to mówić?

Chłopiec zająknął się niepewnie.

— Nie, sir.

— Naprawdę w to wszystko wierzysz?

— Tak, sir. Przecież tak jest, prawda? Czy wojna nie jest zła?

Sipling kiwnął głową.

— Jest zła. A co powiesz o wojnach sprawiedliwych?

Chłopiec odrzekł bez wahania:

— To co innego. Jasne, że musimy toczyć sprawiedliwe wojny.

— Dlaczego?

— Musimy bronić swojego życia.

— Dlaczego?

W głosie chłopca nie brzmiała ani odrobina wahania.

— Nie możemy pozwolić im się zdeptać, sir. To sprowokowałyby wybuch agresji.

Nie możemy pozwolić, aby na świecie zapanowała przemoc. Na świecie musi rządzić...

— Poszukał w myślach odpowiedniego słowa. — Na świecie musi panować prawo.

— Własnoręcznie napisałem te sprzeczne ze sobą słowa osiem lat temu — oświadczył ze znużeniem, na wpół do siebie Sipling. Otrząsnąwszy się z wysiłkiem, dodał: — Tak więc wojna jest zła. Musimy jednak brać udział w wojnach sprawiedliwych. Cóż, może ta... planeta, Kalisto, zaangażuje się w wojnę z... na przykład z Ganimesem. — W jego głosie zabrzmiała mimowolna ironia. — Na przykład. A więc toczymy wojnę z Ganimesem. Czy to wojna sprawiedliwa? Czy po prostu wojna?

Tym razem nie padła żadna odpowiedź. Gładka twarz chłopca pomarszczyła się z wysiłku.

— I co? — zapytał lodowatym tonem Sipling.

— No, hm — zająknął się chłopiec. — To znaczy... — Z nadzieją podniósł wzrok.

— Czy kiedy przyjdzie czas, ktoś odpowie na to pytanie?

— A jakże — wykrztusił Sipling. — Pewnie, że odpowie. Może nawet pan Yancy.

Na twarzy chłopca odbił się wyraz bezbrzeżnej ulgi.

— Tak, sir, pan Yancy odpowie na to pytanie. — Cofnął się w kierunku pozostałych dzieci. — Czy mogę już odejść?

Gdy chłopiec oddalił się, Sipling bezradnie zwrócił się do Tavernera.

— Wie pan, w co oni grają? Gra nazywa się hipo-hopo. Niech pan zgadnie, czyj wnuk za nią przepada. I kto wymyślił tę grę.

Taverner milczał.

— Co pan proponuje? — zapytał po chwili. — Mówił pan, że coś da się zrobić.

Na twarzy Siplinga odmalował się wyraz zimnej przebiegłości.

— Znam zasady projektu... Wiem, jak go zniszczyć. Ktoś jednak powinien stać nad władzami z pistoletem w ręku. W ciągu dziewięciu lat poznałem klucz do charakteru Yancy'ego... klucz do nowej postaci, którą tu tworzymy. To proste. Chodzi o element, który czyni człowieka podatnym na wpływy.

— Zamieniam się w słuch — odrzekł cierpliwie Taverner z nadzieją, że połączenie z Waszyngtonem przebiega bez żadnych zakłóceń.

— Wszystkie teorie Yancy'ego są mdłe. Nieprzekonujące. Każda część jego ideologii jest rozrzedzona, nie zawiera niczego w nadmiarze. Stoimy o krok od pseudoteorii... sam pan to zauważył. Gdzie tylko się dało, wyrugowaliśmy określoną postawę, tworząc w ten sposób istotę apolityczną. Pozbawioną punktu widzenia.

— Jasne — potwierdził Taverner. — Mamy tu do czynienia jedynie z iluzorycznym punktem widzenia.

— Wszystkie aspekty osobowości muszą znajdować się pod ścisłą kontrolą; istota musi stanowić całość. Dlatego przy każdym założeniu należy określić pewien stosunek. Pod każdym względem naszą dewizą jest: „Yancy wierzy w rozwiązania przynoszące jak najmniej kłopotów”. Czyli w rozwiązania najpłytsze. I proste, gdyż nie sięgają na tyle głęboko, aby w jakikolwiek sposób pobudzić do myślenia.

Taverner zrozumiał, o co mu chodziło.

— Nie wzbudzające kontrowersji, bezpieczne rozumowanie. — I dorzucił w podnieceniu: — Lecz gdyby włączyć w to element ekstremalny, coś, co kosztowałoby wiele wysiłku i przysporzyło trudności w życiu codziennym...

— Yancy gra w krykieta. I każdy włóczy się z rakieta. — Oczy Siplinga zalśniły. — Ale gdyby tak raptem zainteresował się... Kriegspiel.

— Czym?

— Szachami, w które gra się za pomocą dwóch plansz. Każdy gracz dysponuje własną planszą z całym zestawem bierek. Oczywiście nie widzi planszy przeciwnika. Arbiter widzi obie plansze, powiadamia każdego gracza o tym, że zabrał, stracił bądź też przesunął bierki na zajęte pole, wykonał niewłaściwe posunięcie, dał szacha lub sam jest zagrożony.

— Rozumiem — odparł pośpiesznie Taverner. — Każdy gracz próbuje wywnioskować położenie swojego przeciwnika. Gra na ślepo. Boże, to wymagałoby maksymalnego wyężenia uwagi.

— Prusacy w ten sposób szkolili swoich oficerów. To więcej niż gra: to zapasy kosmiczne. A gdyby tak Yancy zasiadał każdego wieczora wraz z żoną i wnukiem do uroczej sześciogodzinnej Kriegspiel? Gdyby jego ulubioną lekturą — zamiast anachronicznych opowieści z zachodu — stała się tragedia grecka? A ulubionym utworem fugi Bacha, zamiast dotychczasowego „Mój stary dom w Kentucky”?

— Mam już w myślach zarys sytuacji — powiedział Taverner, siłąc się na spokój. — Chyba jesteśmy w stanie pomóc.

Babson wydał z siebie przeraźliwy okrzyk.

— Ależ to... nielegalne!

— Oczywiście — potwierdził Taverner. — Właśnie dlatego tu jesteśmy. — Na jego znak oddział tajnych funkcjonariuszy Niplanu wbiegł do siedziby Yancy'ego, ignorując wyprostowanych jak struna przy swoich biurkach pracowników. Taverner rzucił do nadajnika: — Jak idzie z szychami?

— Tak sobie — dobiegł niewyraźny głos Kellmana, wzmocniony układem przekaznikowym między Ziemią a Kalisto. — Niektórzy oczywiście uciekli do swoich firm. Większość jednak nie spodziewała się, że podejmiemy energiczne kroki.

— Nie możecie! — wrzasnął Babson, trzęsąc białymi podbródkami. Co my takiego zrobiliśmy? Jakim prawem...

— Według mnie — przerwał mu Taverner — możemy przedstawić wam zarzuty na gruncie czysto handlowym. Używaliście nazwiska Yancy'ego do reklamy różnych produktów. Taka osoba nie istnieje. To pogwałcenie regulaminu rządzącego etycznym rozpowszechnianiem reklam.

Babson z trzaskiem zamknął usta, po czym ponownie je otworzył.

— Nie... istnieje? Przecież wszyscy znają Johna Yancy'ego. Przecież on jest... — zająknął się, machając bezradnie rękami i dokończył: — on jest wszędzie.

Naraz w pulchnej dłoni pojawił się nieduży pistolet, pomachał nim dziko, podczas gdy Dorser uczynił krok do przodu i wytrącił mu broń z ręki. Babson wpadł w histerię.

Dorser z niesmakiem założył mu kajdanki.

— Zachowuj się pan jak mężczyzna — polecił. Nie padła jednak żadna odpowiedź, zawodzący Babson nie reagował.

Taverner z zadowoleniem wyminął grupę zaskoczonych pracowników i skierował się w stronę położonego w głębi budynku biura. Wkrótce stanął przy biurku, przy którym pracował obłożony stertą dokumentów Leon Sipling.

Pierwsza partia zmienionych obrazów znajdowała się już w skanerze. Mężczyźni przyglądali się pracującemu urządzeniu.

— I co? — zapytał Taverner. — Ty jesteś sędzią.

— Chyba tak — odparł nerwowo Sipling. — Mam nadzieję, że nie wprowadzimy zbyt wiele zamętu... stworzenie Yancy'ego trwało jedenaście lat, należy niszczyć go stopniowo.

— Jak tylko powstanie pierwsza rysa, całość zachwieje się w posadach. — Taverner skierował się ku wyjściu. — Poradzisz sobie sam?

Sipling zerknął na Eckmunda, który w drugiej części biura nadzorował niespokojnych yancymenów.

— Chyba tak. Dokąd idziesz?

— Chcę oglądać to na bieżąco i obserwować reakcje ludzi. — Taverner przystanął przy drzwiach. — Czeka cię wiele pracy przy samodzielnym tworzeniu całości. Przez jakiś czas nie możesz spodziewać się niczyjej pomocy.



Sipling wskazał na swoich współpracowników, zabierali się do pracy, zaczynając od miejsc, w których skończyli.

— Oni pomogą — odparł. — Jeśli tylko otrzymają za to wynagrodzenie.

Taverner ruszył ku windzie. Chwilę potem jechał na dół.

Na pobliskim rogu ulicy zebrała się gromadka ludzi w oczekiwaniu na popołudniowy seans z Johnem Edwardem Yancym.

Początek nie odbiegał od normy. Nie ulegało wątpliwości, że przy odrobinie starań Sipling mógł stworzyć niezły kawałek. Tutaj zaś miał pełne pole do popisu.

Ubrany w koszulę z zakasnymi rękawami i ubrudzone ziemią spodnie Yancy przykucnął w ogrodzie ze szpadlem w dłoni i w słomkowym kapeluszu nasuniętym na czoło. Na oświetlonej słońcem twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Obraz był tak sugestywny, że Taverner z trudem mógł uwierzyć, że postać na monitorze nie istniała. Na własne oczy widział jednak pracującą w pocie czoła załogę Siplinga, która stworzyła ją od podstaw.

— Witam — huknął dobrodusznie Yancy. Otarł pot z mokrej, rumianej twarzy i sztywno wstał z klęczek. — O rany — powiedział. — Ale dziś upał. — Wskazał na kępę pierwiosnków. — Wysadzałem je. Co za robota.

Jak na razie wszystko szło gładko. Tłum patrzył beznamiętnie, chłonąc bez większego oporu ideologiczną strawę. Na całym księżycu, w każdym domu, klasie, biurze, na każdym rogu ulicy pokazywano tę samą scenę. Zostanie ona pokazana raz jeszcze.

— Tak — powtórzył Yancy. — Prawdziwy upał. Za gorąco dla pierwiosnków... one lubią cień. — Zbliżenie ukazało posadzone przy ścianie garażu pierwiosnki. — Z drugiej strony — ciągnął Yancy poufnym, dobrodusznym tonem — moje dalej potrzebują dużo słońca.

Kamera prześlizgnęła się po kwitnących w słońcu daliach.

Rzuciwszy się na pasiasty fotel ogrodowy, Yancy zdjął słomkowy kapelusz i otarł czoło chustką.

— No więc — podjął jowialnie — gdyby ktoś mnie zapytał, co jest lepsze, słońce czy cień, musiałbym odpowiedzieć, że to zależy od tego, czy się jest pierwiosnkiem, czy dalią. — Na jego twarzy odmalował się słynny chłopięcy uśmiech. — Ja chyba jestem pierwiosnkiem... mam dość słońca na dzisiaj.

Widzowie zaaprobowali to bez słowa. Początek nie robił specjalnego wrażenia, miał jednak za zadanie wyrzucić dalekosiężne skutki. I Yancy właśnie przystępował do realizacji tych zamierzeń.

Łagodny uśmiech zniknął. Jego miejsce zajęła dobrze wszystkim znana zmarszczka powagi na czole, zwiastująca nadejście istotnych rozwiązań. Yancy szykował się do wygłoszenia kolejnych mądrości. Tym razem jednak miało to być coś, co w niczym nie przypominało dotychczasowych wywodów.

— Wiecie — zaczął powoli Yancy. — To skłania do myślenia. — Machinalnie sięgnął po szklankę ginu z tonikiem — szklankę, która do tej pory niezmiennie zawierała piwo. A leżąca obok niej gazeta nosiła tytuł „Dziennik Psychologiczny”, a nie „Psie Opowiadki”. Zmiana marginalnych szczegółów została zarejestrowana w obszarze podświadomości; świadomość obecnych była w tej chwili zwrócona ku słowom Yancy’ego.

— Wydaje mi się — oświadczył Yancy, jakby odkrywał nieznaną dotychczas prawdę — że niektórzy mogą utrzymywać, że, dajmy na to, słońce jest dobre, a cień zły. Przecież to kompletna bzdura. Słońce jest dobre dla róz i dali, ale raz na zawsze załatwiłoby fuk-sje.

Ujęcie kamery przybliżyło wszędobylskie fuksje.

— Być może sami znacie takich ludzi. Oni po prostu nie rozumieją, że... — Swoim zwyczajem na podkreślenie tezy Yancy zrobił użytek z mądrości ludowej. — Co dla jednego chlebem — oznajmił gromko — dla innego trucizną. Na przykład, lubię na śniadanie sadzone jajka, kilka gotowanych śliwek oraz grzankę. Ale Margaret woli płatki. Ralf zaś gardzi jednym i drugim. On przepada za naleśnikami. A jegomość z naszej ulicy, ten z wielkim ogrodem przed domem, lubi placek z mięsem zakrapiany butelką porteru.

Taverner wzdrygnął się. Cóż, trzeba było więcej wyczucia. Mimo to widzowie nadal chłonęli każde słowo. Oto załączek pierwszej radykalnej idei: każda osoba posiadała inny system wartości i sposób na życie. Każda osoba mogła wierzyć, lubić i aprobować różne rzeczy.

To potrwa, tak jak powiedział Sipling. Należało zastąpić bogate archiwum taśm; odwołać narzucone ludziom nakazy. Za pomocą błahych uwag na temat pierwsosnków uczyniono pierwszy krok w kierunku zmiany rozumowania. Kiedy dziewięciolatek zapragnie znaleźć odpowiedź na pytanie, czy wojna była sprawiedliwa, czy nie, będzie musiał sięgnąć w głąb własnego umysłu. Yancy nie podsunie gotowej odpowiedzi, trwały przygotowania nad wykładem, według którego niektórzy uważali wojnę za sprawiedliwą, a inni nie.

Tavernerowi zależało zwłaszcza na jednym epizodzie. Jednak zrealizowanie go potrwa jeszcze dużo czasu; projekt musiał poczekać. Yancy szykował się do stopniowej, aczkolwiek nieuniknionej zmiany swoich upodobań estetycznych. Któregoś dnia ludzie dowiedzą się, że przestał lubić sielskie obrazki z kalendarzy.

I że odkrył prawdziwe piękno malarstwa piętnastowiecznego mistrza makabry i diabolicznego horroru, Hieronima Boscha.

# **RAPORT MNIEJSZOŚCI**

## I

Anderton na widok młodego człowieka pomyślał: Łysieję. Łysieję, robię się stary i tłusty. Jednak nie powiedział tego głośno. Odsunął krzesło, wstał i rezolutnie obszedł biurko, sztywno wyciągając przed siebie rękę. Uśmiechając się z wymuszoną serdecznością, uścisnął dłoń młodego mężczyzny.

— Witwer? — zapytał, usiłując nadać swemu głosowi przyjazne brzmienie.

— Zgadza się — odparł młodzieniec. — Ale ty oczywiście mów mi Ed. To znaczy, jeśli podzielasz moją niechęć do zbędnych formalności. — Pewny siebie wyraz jego bladej twarzy jasno wskazywał, że uważa temat za zamknięty. Ed i John: współpraca od samego początku będzie przebiegać bez zakłóceń.

— Nie miałeś kłopotów ze znalezieniem budynku? — zapytał troskliwie Anderton, ignorując poufały wstęp. Dobry Boże, musiał się czegoś uchwycić. Poczul strach i zaczął się pocić. Witwer krążył po gabinecie, jakby ten już należał do niego — jakby szacował jego rozmiary. Czy nie mógł poczekać choćby kilka dni — tak dla przyzwoitości?

— Żadnego — odparł gładko Witwer, trzymając ręce w kieszeniach. Z zainteresowaniem obejrzał ustawione wzdłuż ścian kartoteki. — Nie przychodzę do twojej agencji jako kompletny ignorant, rozumiesz. Mam kilka własnych uwag co do sposobu, w jaki przebiega prewencja zbrodni.

Anderton drżącą ręką zapalił fajkę.

— Jak przebiega? Powinienem to wiedzieć.

— Nieźle — odrzekł Witwer. — W gruncie rzeczy, całkiem dobrze.

Anderton utkwiał w nim ociężałe spojrzenie.

— Czy to twoja prywatna opinia? Czy też obiegowy frazes?

Witwer wytrzymał jego wzrok.

— Prywatna i powszechna. Senat jest zadowolony z twojej pracy. Co więcej, wykazuje prawdziwy entuzjazm. — I dodał: — Na jaki tylko stać grupę starców.

Anderton skrzywił się w duchu, ale nie dał nic po sobie poznać. Kosztowało go to wiele wysiłku. Zastanawiał się, co Witwer naprawdę myślał. Co w rzeczywistości kryło się pod krótko przystrzyżonymi włosami? Oczy młodego człowieka były niebieskie, lśniące i — niepokojąco bystre. Witwer nie pełnił roli niczyjego pionka. I najwyraźniej miał duże ambicje.

— O ile dobrze rozumiem — rzucił ostrożnie Anderton — masz być moim asystentem do czasu, aż przejdę na emeryturę.

— Ja też tak to rozumiem — odparł tamten bez chwili wahania.

— To może nastąpić w tym roku, za rok — albo za dziesięć lat. — Fajka w dłoni Andertona zdrząła. — Nikt nie zmusi mnie do odejścia. To ja założyłem Agencję Prewencji i mogę zostać tutaj tak długo, jak mi się spodoba. To tylko i wyłącznie moja decyzja.

Witwer skinął głową.

— Oczywiście.

Anderton opanował się nieco.

— Chciałem tylko wyjaśnić pewne rzeczy.

— Żeby od początku wszystko było jasne — zgodził się Witwer. — Jesteś szefem. Twoje zdanie się liczy. — I zapytał z niepozostawiającą wątpliwością szczerością: — Czy oprowadziłbyś mnie po budynku? Chciałbym jak najszybciej zapoznać się z ogólnymi zasadami działania organizacji.

Kiedy mijali żółto oświetlone rzędy biur, Anderton powiedział:

— Oczywiście znasz teorię prewencji zbrodni. Chyba możemy to z góry założyć.

— Dysponuję powszechnie znanymi informacjami — odpowiedział Witwer. — Przy pomocy prekognitywnych mutantów z powodzeniem obaliliście karny system więznicnictwa i grzywien. Jak wiadomo, kara pełniła niewielką funkcję zapobiegawczą i nie przynosiła zadośćuczynienia ofierze zbrodni.

Dotarli do windy.

— Pewnie wychwyciłeś elementarny minus metodologii prewencyjnej istniejący z prawnego punktu widzenia. Zatrzymujemy jednostki, które nie popełniły jeszcze żadnego przestępstwa — powiedział Anderton, kiedy płynnie wiozła ich w dół.

— Ale zrobiłyby to — zapewnił z przekonaniem Witwer.

— Na szczęście nie robią — ponieważ my zatrzymujemy ich, nim zdążą dokonać aktu przemocy. Tak więc samo złamanie prawa to czysta metafizyka. My twierdzimy, że są winni. Oni jednakże upierają się przy swojej niewinności. I, w pewnym sensie, mają rację.

Wyszli z windy i ponownie ruszyli żółtym korytarzem.

— W naszym społeczeństwie nie mamy do czynienia z ciężkimi zbrodniami — podjął Anderton — dysponujemy jednakże obrazem pełnym niedoszłych kryminalistów.

Drzwi otworzyły się i zamknęły i wkroczyli do skrzydła analitycznego. Na wprost nich wyrosły imponujące rzędy sprzętu — receptory danych oraz komputery, które badały i restrukturyzowały napływający materiał. Tuż za urządzeniami siedziało troje giących pod splotami kabli jasnowidzów.

— Oto i oni — oznajmił oschle Anderton. — I co ty na to?

W ponurym półmroku rozlegał się bełkot trojga imbecylów. Każda nieartykułowana wypowiedź, każda przypadkowa sylaba była skrzętnie analizowana, porównywana, sprowadzana do postaci symboli wizualnych, przekładana na język kart preferowanych i umieszczona w odpowiednim otworze maszyny. Przez cały dzień imbecyle pletli bez ładu i składu, uwięzieni na krzesłach z wysokimi oparciami i unieruchomieni za pomocą metalowych taśm i stert przewodów. Ich potrzeby fizjologiczne zaspokajano automatycznie. Innych potrzeb nie mieli. Podobni do warzyw, mamrotali, przysypiali na swoich krzesłach i trwali. Ich umysły były tępe, pełne zamętu i zatopione w mroku.

Ale nie w mroku terażniejszości. Trzy bełkoczące stwory o powiększonych głowach i wyniszczonych ciałach zaglądały w przyszłość. Maszyny analityczne rejestrowały zapowiedzi przyszłych wydarzeń i pilnie przysłuchiwały się nieskładnej paplaninie.

Witwer po raz pierwszy stracił pewność siebie. W jego oczy wkradł się wyraz bezgranicznego zdumienia, mieszanaka zawstydzenia i szoku.

— Nie jest to... przyjemne — mruknął. — Nie zdawałem sobie sprawy, że są tak... — Szukał odpowiedniego słowa. — Tak... zdeformowani.

— Zdeformowani i opóźnieni w rozwoju — przyznał natychmiast Anderton. — Zwłaszcza dziewczyna, tam. Donna ma czterdzieści pięć lat. Ale wygląda mniej więcej na dziesięć. Talent pochłania wszystko; szósty zmysł destrukcyjnie wpływa na funkcjonowanie płatu czołowego. Ale co nas to obchodzi? Mamy swoje przepowiednie. Dają nam to, czego potrzebujemy. Oni nie rozumieją tego ani trochę, ale my — owszem.

Wstrząśnięty Witwer zbliżył się do urządzeń. Z otworu wyjął stertę kart.

— Czy to wymienione nazwiska? — zapytał.

— Najwyraźniej. — Anderton odebrał mu karty, marszcząc brwi. — Nie miałem czasu, aby je przejrzeć — wyjaśnił, niecierpliwie tłumiąc rozdrażnienie.

Urzeczony Witwer patrzył, jak w opróżnionym otworze pojawia się nowa karta. Za nią podążyła następna — i jeszcze jedna. Urządzenie z szumem dostarczało coraz więcej kart.

— Jasnowidze muszą sięgać wzrokiem daleko w przyszłość — wykrzyknął.

— Wcale nie tak daleko — poinformował go Anderton. — Co najwyżej tydzień lub dwa do przodu. Wiele z podawanych przez nich informacji jest dla nas bezużytecznych — zwyczajnie nie mieści się w zakresie naszej działalności. Przekazujemy je odpowiednim agencjom. One w zamian przekazują nam swoje dane. Każda licząca się organizacja ma w swojej piwnicy, strzeżone jak oko w głowie, małpy.

— Małpy? — Witwer popatrzył na niego zbity z tropu. — Ach tak, rozumiem. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem itp. Bardzo zabawne.

— Bardzo trafne. — Anderton machinalnie zebrał karty świeżo dostarczone przez maszynę. — Niektóre z tych nazwisk zostaną całkowicie odrzucone. Z kolei to, co zostanie, to w większości drobne wykroczenia: kradzieże, oszustwa podatkowe, napady i wymuszenia. Jak z pewnością wiesz, Agencja Prewencji obniżyła liczbę popełnianych przestępstw o dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek osiem dziesiątych procent. Rzadko mamy do czynienia z morderstwem lub zdradą. Ostatecznie winowajca zdaje sobie sprawę z tego, że umieścimy go w obozie na tydzień przed dokonaniem zbrodni.

— Kiedy ostatnio popełniono morderstwo? — zapytał Witwer.

— Pięć lat temu — odrzekł z dumą Anderton.

— Jak to się stało?

— Przesłane uciekł naszej ekipie. Mieliliśmy jego nazwisko — w istocie dysponowaliśmy wszystkimi szczegółami zbrodni, łącznie z nazwiskiem ofiary. Znaliliśmy dokładny czas oraz miejsce planowanego aktu. Lecz pomimo naszych starań zdołał osiągnąć swój cel. — Anderton wzruszył ramionami. — Przecież nie możemy złapać wszystkich. — Przetasaował karty. — Ale łapiemy większość.

— Jedno morderstwo w ciągu pięciu lat. — Witwer odzyskiwał utraconą pewność siebie. — Imponujący rezultat... jest z czego być dumnym.

— Jestem dumny — odparł cicho Anderton. — Opracowałem tę teorię trzydzieści lat temu, w czasach gdy ludzie w pogoni za zyskiem myśleli tylko o szybkim wzbogaceniu się na giełdzie. Ja miałem na uwadze coś usankcjonowanego... coś o niesłychanej wartości społecznej.

Rzucił karty Wally'emu Page'owi, swojemu podwładnemu, który był odpowiedzialny za małpi blok.

— Zobacz, których potrzebujemy — polecił. — Sam zdecyduj.

Kiedy Page zniknął z kartami, Witwer powiedział w zamyśleniu:

— To wielka odpowiedzialność.

— Owszem — potwierdził Anderton. — Jeśli pozwolimy zbiec jednemu kryminaliście — jak się zdarzyło pięć lat temu — mamy na sumieniu ludzkie życie. Odpowiedzialność spoczywa jedynie na nas. W razie jakiegoś niedociągnięcia ginie człowiek. — Wyszarpnął z otworu trzy nowe karty. — W grę wchodzi zaufanie publiczne.

— Czy nie kusiło cię nigdy... — Witwer zawahał się. — To znaczy, niektórzy z zatrzymanych musieli proponować ci krocie.

— To na nic by się nie zdało. Bliźniacza kartoteka znajduje się w głównej kwaterze armii. Szale się równoważą. Cały czas mają nas na oku. — Anderton przelotnie zerknął na wierzchnią kartę. — Tak więc, nawet gdybyśmy chcieli przyjąć...

Umilkł, zaciskając usta.

— Co się stało? — zapytał ciekawie Witwer.

Anderton ostrożnie złożył wierzchnią kartę i schował ją do kieszeni.

— Nic — mruknął. — Zupełnie nic.

Jego oschłość wywołała na twarzy Witwera szkarłatny rumieniec.

— Naprawdę mnie nie lubisz — zauważył.

— Zgadza się — przyznał Anderton. — Nie lubię, ale...

Nie mógł uwierzyć, że nienawidzi młodego człowieka aż do tego stopnia. To nie wydawało się możliwe: to nie było możliwe. Gdzieś nastąpiła pomyłka. Oszołomiony próbował odzyskać jasność myśli.

Na karcie widniało jego nazwisko. Rząd pierwszy — oskarżony o mające nastąpić morderstwo! Według wiadomości, komisarz prewencyjny John A. Anderton przed upływem tygodnia miał zabić człowieka.

Nie potrafił w to uwierzyć.

## II

W gabinecie stała pogrążona w rozmowie z Page'em młoda i atrakcyjna żona Andertona, Lisa. Pochłonięta gwałtowną wymianą zdań prawie nie zwróciła uwagi na wchodzącego męża oraz Witwera.

— Cześć, kochanie — powiedział Anderton.

Witwer milczał. Jednakże na widok ciemnowłosej kobiety w dopasowanym mundurze jego jasne oczy raptownie rozbliły. Lisa znajdowała się obecnie na jednym ze stanowisk kierowniczych, ale kiedyś, jak wiedział, była sekretarką Andertona.

Anderton zauważył zainteresowanie Witwera i zamyślił się. Umieszczenie karty w maszynie wymagało współnika należącego do agencji kogoś blisko związanego z Prewencją i mającego dostęp do urządzeń analitycznych. To nie mogła być Lisa. Ale takiej możliwości nie można było wykluczyć.

Oczywiście, konspiracja zatoczyłaby szerszy krąg i dotyczyła czegoś więcej niż tylko podłożonej gdzieś po drodze karty. Oryginalne dane również mogły zostać przekreślane. Trudno ustalić, jak daleko sięgała zmiana.. Podsuwane przez wyobraźnię obrazy napełniły go strachem. Pierwszy impuls — aby rozwalić maszyny i wydobyć z nich wszystkie dane — był ze wszech miar prymitywny i nic by nie dał. Pewnie taśmy zgadzały się z odczytem: pogrążyłby się z kretelem.

Miał około dwudziestu czterech godzin. Potem wojsko przejrzy swoje karty i zauważy nieściskość. Znajdą w swojej kartotece duplikat przywłaszczonej przez niego karty.



Miał tylko jedną z dwóch kopii, co znaczyło, że złożona w jego kieszeni karta mogła równie dobrze leżeć sobie na widoku na biurku Page'a.

Z zewnątrz dobiegło wycie samochodów policyjnych wyruszających na rutynowe akcje. Ile godzin upłynie, nim jeden z nich zatrzyma się przed jego domem?

— Co się stało, kochanie? — zapytała niepewnie Lisa. — Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Nic ci nie jest?

— Ależ skąd — zapewnił ją.

Naraz Lisa zdała sobie sprawę z utkwionego w niej pełnego podziwu spojrzenia Witwera. — Czy ten pan jest twoim nowym współpracownikiem, kochanie? — zapytała.

Anderton przedstawił jej nowego pracownika. Lisa uśmiechnęła się przyjaźnie. Czy spojrzeli na siebie porozumiewawczo? Nie potrafił powiedzieć. Boże, zaczynał każdego podejrzewać — nie tylko własną żonę i Witwera, ale również tuzin swoich podwładnych.

— Jest pan z Nowego Jorku? — zapytała Lisa.

— Nie — orzekł Witwer. — Większość życia spędziłem w Chicago. Mieszkam w hotelu — jednym z tych kolosów w śródmieściu. Chwileczkę... gdzieś zapisałem jego nazwę.

Podczas gdy nerwowo przetrząsał kieszenie, Lisa zaproponowała:

— Może zjadłby pan z nami kolację. Skoro mamy ze sobą w współpracować, myślę, że powinniśmy się lepiej poznać.

Anderton w zdumieniu cofnął się o krok. Czy życzliwość jego żony była przypadkowa? Witwer spędzi z nimi wieczór i zyska wymówkę, aby nachodzić Andertona w jego własnym domu. Wyprowadzony z równowagi obrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu.

— A ty dokąd? — zapytała ze zdziwieniem Lisa.

— Wracam na małą blok — odparł. — Chciałbym potwierdzić pewien dziwny zespół danych, zanim wpadnie on w ręce wojska. — Nim zdążyła wymyślić przekonujący powód, aby go zatrzymać, wyszedł na korytarz.

Szybkim krokiem skierował się ku rampie. Biegł po schodach w kierunku chodnika, kiedy dogoniła go zdyszana Lisa.

— Co cię napadło? — Chwytając go za rękę, stanęła przed nim. — Wiedziałam, że wychodzisz! — wykrzyknęła. — Co się z tobą dzieje? Wszyscy myślą, że... — Zreflektowała się. — To znaczy, jesteś taki narwany...

Mijały ich tłumy popołudniowych przechodniów. Nie zwracając na nich najmniejszej uwagi, Anderton odgiął palce żony, żeby puściła jego rękę.

— Wychodzę — oznajmił jej. — Póki czas.

— Ale... dlaczego?

— Ktoś chce mnie zrobić — złośliwie i z premedytacją. Tamten typ ma za zadanie odebrać mi pracę. Senat chce dopaść mnie poprzez niego.

Lisa podniosła na niego zdumione spojrzenie.

— Ale przecież on wydaje się taki miły.

— Jak pirania.

Konsternacja Lisy przeszła w niedowierzenie.

— Nie wierzę w to. Kochanie, to wszystko wina przepracowania... Przecież to niemożliwe, żeby Ed Witwer chciał cię zrobić — wyjąkała z niepewnym uśmiechem.

— Niby jak miałyby to zrobić, nawet gdyby chciał? Na pewno Ed nie mógłby...

— Ed?

— Przecież to jego imię, prawda?

Jej brązowe oczy rozbłysły w gwałtownym, pełnym niedowierzania proteście.

— Boże, ty wszystkich podejrzewasz. Pewnie wierzysz, że i ja jestem w to jakoś zamieszana, prawda?

Zastanowił się.

— Nie jestem pewien.

Przysunęła się do niego oskarżycielsko.

— To nieprawda. Ty rzeczywiście w to wierzysz. Może powinieneś Wyjechać na kilka tygodni. Potrzebujesz odpoczynku. To napięcie i urazy, przybycie młodego człowieka. Popadasz w paranoję. Czyżbyś tego nie widział? Ludzie spiskują przeciwko tobie. Powiedz, czy masz na to dostateczny dowód?

Anderton wyjął z kieszeni portfel i wyciągnął z niego złożoną kartę.

— Obejrzyj ją uważnie — rzucił, podając jej kartę.

Krew odpłynęła jej z twarzy i ze świstem chwyciła oddech.

— Schemat jest bardzo prosty — powiedział Anderton, siląc się na spokój. — To da Witwerowi podstawę prawną do natychmiastowego usunięcia mnie ze stanowiska. Nie będzie musiał czekać na moją rezygnację. I dodał posępnie: — Wiedzą, że jeszcze pociągnąłbym kilka lat.

— Ale...

— To zakłóci równowagę. Agencja Prewencyjna przestanie być organizacją niezależną. Senat będzie kontrolował policję, a potem... — Zacisnął usta. — Potem wchłonie również i wojsko. Cóż, wszystko układa się logicznie. Oczywiście, że czuję do Witwera wrogość i urazę — oczywiście, że mam motyw. Nikt nie chce być zastąpiony przez młodego człowieka i iść w odstawkę. To naprawdę nosi wszelkie znamiona prawdopodobieństwa — tyle że ani mi w głowie zabijać Witwera. Lecz nie mogę tego udowodnić. Cóż więc mam zrobić?

Pobladła na twarzy Lisa potrząsnęła głową.

— Nie... nie mam pojęcia. Kochanie, gdybym tylko...

— Teraz — rzucił gwałtownie Anderton — pójdę do domu i spakuję się. Tyle przy najmniej mogę zaplanować.

— Czy masz zamiar spróbować się ukryć?

— Tak jest. Choćby w koloniach centaurskich, jeśli będzie trzeba. Podobna sytuacja już się kiedyś zdarzyło, a ja mam przewagę dwudziestu czterech godzin. — Odwrócił się szybko. — Wracaj do środka. Nie ma sensu, abyś szła ze mną.

— Sądziłeś, że poszłabym? — zapytała chrapliwie Lisa.

Anderton popatrzył na nią zaskoczony.

— A nie? — Po czym dorzucił ze zdziwieniem: — Nie, widzę, że mi nie wierzysz. Nadal uważasz, że sam to wymyśliłem. — Ze złością dźgnął palcem w kartę. — Nawet mając taki dowód, wciąż nie jesteś przekonana.

— Nie — przyznała szybko Lisa. — Nie jestem. Nie przyjrzałeś jej się jak należy, kochanie. Nie ma na niej nazwiska Eda Witwera.

Anderton z niedowierzaniem odebrał jej kartę.

— Nikt nie twierdzi, że zabijesz Eda Witwera — ciągnęła pospiesznie Lisa cienkim, łamiącym się głosem. — Ta karta musi być autentyczna, rozumiesz? I nie ma nic wspólnego z Edem. Ani on, ani nikt inny nie spiskuje przeciwko tobie.

Zbyt wyprowadzony z równowagi, aby zdobyć się na odpowiedź, Anderton nie odrywał spojrzenia od karty. Lisa miała rację. Nazwisko Witwera nie figurowało w miejscu nazwiska ofiary. W piątej linijce maszyna starannie wykaligrafowała inne nazwisko.

LEOPOLD KAPLAN

Otępiały wcisnął kartę do kieszeni. W życiu nie znał nikogo o takim nazwisku.

### III

W domu panował chłód i cisza. Anderton niezwłocznie przystąpił do pakowania swoich rzeczy. Kiedy to robił, przez głowę przelatywały mu niespokojne myśli.

Może mylił się co do Witwera — ale jak mógł uzyskać pewność? Tak czy inaczej, spisek przeciwko niemu był jeszcze bardziej złożony, niż sobie wyobrażał. W ostatecznym rozrachunku Witwer mógł pełnić rolę nic nie znaczącej marionetki sterowanej przez kogoś zupełnie innego — przez jakąś odległą, mglistą postać blado rysującą się w tle.

Pokazanie karty Lisie było błędem. Niewątpliwie ze szczegółami opíše ją Witwerowi. Nigdy nie zdoła opuścić Ziemi, by przekonać się, jak wyglądałoby życie na granicznej planecie.

Pochłonięty tymi rozmyślaniami, usłyszał za sobą skrzypnięcie deski. Ściskając w ręku poplamioną kurtkę sportową, odwrócił się i ujrzał skierowaną w siebie lufę szarobłękitnego pistoletu.

— Nie potrzebowaliście dużo czasu — powiedział, spoglądając z goryczą na celującego weń przysadzistego mężczyznę o zaciśniętych ustach, ubranego w brązowy płaszcz. — Nie wahała się ani chwili?

Twarz napastnika pozostała bez wyrazu.

— Nie wiem, o czym pan mówi — powiedział. — Proszę za mną.

Oszołomiony Anderton odłożył kurtkę.

— To pan nie jest z mojej agencji? Nie jest pan oficerem policji?

Zdumionego i opierającego się Andertona wyprowadzono do czekającej przed domem limuzyny. Otoczyli go trzej uzbrojeni mężczyźni. Trzasnęły drzwi i samochód pojechał autostradą w kierunku obrzeży miasta. Beznamiętne twarze wokół niego podskakiwały w rytm jazdy, podczas gdy za szybą migały mijane w pędzie ponure, mroczne pola.

Anderton bezskutecznie usiłował określić swoje położenie, kiedy nagle samochód zjechał na wyboistą boczną drogę i znalazł się w ciemnym, podziemnym garażu. Ktoś wykrzyknął rozkaz. Zgrzytnął ciężki metalowy zamek i zapalono światła. Kierowca wyłączył silnik.

— Pożałujecie tego — ostrzegł chrapliwie Anderton, kiedy wywlekali go z samochodu. — Wiecie, kim jestem?

— Owszem — odpowiedział mężczyzna w brązowym płaszczu.

Trzymając Andertona na muszce, zaprowadzono go na górę do wyłożonego grubym dywanem korytarza. Najwyraźniej znalazł się w luksusowej prywatnej rezydencji, położonej na zdewastowanych przez wojnę terenach wiejskich. Po przeciwnej stronie korytarza dostrzegł pokój — prosto, lecz ze smakiem umeblowany gabinet wypełniony książkami. W kręgu światła padającego z lampy, z twarzą częściowo ukrytą w mroku, czekał na niego mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widział.

Gdy Anderton podszedł bliżej, mężczyzna nerwowo wsunął na nos okulary bez oprawek, zatrzasnął etui i zwilżył językiem wyschnięte wargi. Wiekowy, liczył sobie siedemdziesiąt lat lub więcej, pod pachą trzymał smukłą srebrną laskę. Jego ciało było chude, żylaste i nienaturalnie sztywne. Silnie przerzedzone włosy miały barwę szarobrązową — starannie przyglądzona plama koloru na tle bladej, kościstej czaszki. Jedynie oczy nadawały mu wygląd żywej istoty.

— Czy to Anderton? — zapytał zrzędlawie, zwracając się do mężczyzny w brązowym płaszczu. — Gdzie go znaleźliście?

— W jego domu — odparł tamten. — Pakował się, tak jak przewidzieliśmy.

Mężczyzna przy biurku w sposób widoczny zadrżał.

— Pakował się. — Zdjął okulary i gwałtownym ruchem schował je do pokrowca. — Popatrz no tu — rzucił grubiańsko do Andertona. — Co się z tobą dzieje? Czy do reszty postradałeś zmysły? Jak mógłbyś zabić człowieka, którego nigdy nie widziałeś na oczy?

Starzec, jak uświadomił sobie Anderton, nazywał się Leopold Kaplan.

— Najpierw zadam panu pytanie — odparł pośpiesznie Anderton. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan zrobił? Jestem komisarzem policji. Mogę pana skazać na dwadzieścia lat.

Chciał dorzucić coś jeszcze, ale zdumienie kazało mu zamilknąć.

— Skąd pan wiedział? — zapytał. Mimowolnie sięgnął do kieszeni, gdzie ukryta była karta. — Zostało jeszcze...

— Nie powiadomiła mnie twoja agencja — przerwał mu z gniewną niecierpliwością Kaplan. — Fakt, że nigdy wcześniej o mnie nie słyszałeś, zbytnio mnie nie dziwi. Leopold Kaplan, generał Armii Federacyjnego Sojuszu Państw Bloku Zachodniego. — Po czym dodał z urazą: — W stanie spoczynku od końca wojny angielsko — chińskiej i upadku Sojuszu.

To miało sens. Anderton podejrzewał, że wojsko natychmiast uzyskało duplikaty, dla własnej ochrony. Odprężył się nieco.

— No i? Przywiózł mnie pan tutaj. I co dalej? — zapytał

— Wygląda na to — powiedział Kaplan — że nie zabiję cię, gdyż informacja o tym natychmiast pojawiłaby się na tych przebrzydłych kartach. Niezmiernie mnie ciekawisz. Wydawało mi się nieprawdopodobne, aby ktoś o twojej pozycji rozważał popełnienie okrutnego mordu na nieznanym mu osobie. Tu chodzi o coś więcej. Szczerze mówiąc, jestem zbity z tropu. Gdyby chodziło tu o jakiś rodzaj policyjnej strategii... — Wzruszył chudymi ramionami. — Na pewno zadbałbyś o to, aby karta nie trafiła w nasze ręce.

— Chyba że — wtrącił jeden z jego ludzi — podrzucono ją celowo.

Kaplan podniósł na Andertona bystre spojrzenie ptasich oczu.

— I co pan na to?

— Właśnie — przytaknął natychmiast Anderton, stwierdziwszy, że w tej sytuacji najlepiej będzie, jeśli powie, co naprawdę myśli. — Przepowiednia na karcie została celowo sfabrykowana przez grupę spiskowców z agencji policyjnej. Przygotowano kartę, aby mnie wrobić. Automatycznie pozbawiono mnie władzy. Mój asystent zajmuje moje miejsce, twierdząc, że zapobiegł morderstwu w sposób zgodny z procedurą prewencyjną. Nie ma potrzeby dorzucać, że nie dochodzi ani do morderstwa, ani do zamysłu mającego doń prowadzić.

— Zgadzam się, że do żadnego morderstwa nie dojdzie — potwierdził pośpiesznie Kaplan. — Zostaniesz aresztowany przez policję. Już ja tego dopilnuję.

— Chce mnie pan zawieźć tam z powrotem? Jeśli mnie zaaresztują, nigdy nie zdołam dowieść, że... — zaprotestował przerażony Anderton.

— Nie obchodzi mnie, czy dowiedziesz czegoś, czy nie — przerwał mu Kaplan. — Interesuje mnie jedynie to, jak usunąć cię z drogi. — I dorzucił lodowatym tonem: — Dla mojego własnego bezpieczeństwa.

— Szykował się do wyjazdu — podsunął jeden z mężczyzn.

— No właśnie — powiedział spocony Anderton. — Jak tylko mnie złapią, wyładuję w obozie. Witwer przejmie kontrolę — koniec, kropka. — Jego twarz pociemniała. — I moja żona. Najwyraźniej działają wspólnie.

Kaplan przez chwilę zdawał się wahać.

— Możliwe — powiedział, spoglądając na Andertona bez drgnienia powieki. Następnie potrząsnął głową. — Nie mogę ryzykować. Jeśli to spisek przeciwko tobie, przykro mi. Ale to nie moja sprawa. — Uśmiechnął się nieznacznie. — Tak czy inaczej, powodzenia. — Zwrócił się do swoich ludzi: — Zabierzcie go na policję i przekazcie komisarzowi. — Powiedział nazwisko i czekał na reakcję Andertona.

— Witwer! — powtórzył z niedowierzaniem Anderton.

Wciąż z lekkim uśmiechem na twarzy Kaplan włączył radio.

— Witwer już przejął władzę. Wygląda na to, że ma zamiar narobić wokół tej sprawy dużo hałasu.

Z radia doleciały odgłosy zakłóceń, po czym w gabinecie rozbrzmiał donośny głos czytający przygotowane oświadczenie.

— ...obywateli ostrzega się przed udzieleniem temu niebezpiecznemu Osobnikowi jakiegokolwiek pomocy. Okoliczność, w której potencjalny morderca przebywa na wolności z zamiarem popełnienia zbrodni, jest w naszych czasach zjawiskiem niecodziennym. W stosunku do osób, które uchylą się od pełnej współpracy z policją zmierzającej ku aresztowaniu Johna Allisona Andertona, zostaną wyciągnięte surowe sankcje. Powtarzam: Agencja Prewencyjna Federalnego Rządu Bloku Zachodniego prowadzi działania celem zlokalizowania i zneutralizowania byłego komisarza, Johna Allisona Andertona, który dzięki metodologii systemu prewencyjnego zostaje niniejszym ogłoszony za potencjalnego mordercę, i pozbawia go praw do wolności oraz innych przywilejów.

— Nie potrzebował wiele czasu — mruknął przerażony Anderton. Kaplan wyłączył radio i głos ucichł.

— Lisa musiała pójść prosto do niego — kontynuował z goryczą Anderton.

— Niby na co miał czekać? — zapytał Kaplan. — Nie pozostawiłeś wątpliwości co do swoich intencji.

Skinął na swoich ludzi.

— Zabierzcie go z powrotem do miasta. Niepewnie się czuję, mając go tak blisko. W tej kwestii popieram komisarza Witwera. Chciałbym, aby tego tu zneutralizowano jak najszybciej.

## IV

Kiedy samochód podążał ciemnymi ulicami Nowego Jorku w kierunku gmachu siedziby policji, chłodne, lekkie krople deszczu rozbijały się o chodnik.

— Chyba go pan rozumie — powiedział do Andertona jeden z mężczyzn. — Na jego miejscu zachowałby się pan równie stanowczo.

Nadaşany i zniechęcony Anderton wpatrywał się przed siebie.

— Tak czy inaczej — ciągnął mężczyzna — jest pan po prostu jednym z wielu. Tysiące ludzi wylądowało w obozie. Nie będzie pan samotny. Może nawet się pan tam zadomowi.

Anderton bezsilnie patrzył na przechodniów spieszących mokrymi chodnikami. Nie czuł żadnych emocji, jedynie przemożne zmęczenie. Smętnie rejestrował numery ulic; zbliżali się do siedziby policji.

— Ten Witwer chyba wie, jak wykorzystać sytuację — zauważył jowialnie jeden z mężczyzn. — Czy widział pan go kiedykolwiek?

— W przelocie — odparł Anderton.

— Zależało mu na pańskiej posadzie — no i wrobił pana. Jest pan tego pewny?

Anderton skrzywił się.

— Czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

— Po prostu byłem ciekaw. — Mężczyzna zmierzył go sennym spojrzeniem. — A więc jest pan byłym komisarzem policji. Ludzie w obozie ucieszą się na pana widok. Na pewno wrył się im pan w pamięć.

— Bez wątpienia — zgodził się Anderton.

— Witwer nie marnował czasu. Kapłan ma szczęście, że taki komisarz wziął sprawy w swoje ręce. — Mężczyzna rzucił na Andertona prawie błagalne spojrzenie. — Jest pan pewny, że to spisek, prawda?

— Oczywiście.

— I Kapłanowi nie spadłby nawet włos z głowy? Po raz pierwszy w historii Agencja Prewencyjna popełnia błąd? Niewinny człowiek zostaje wrobiony przez jedną z tych kart. Może tych niewinnych było więcej, nie sądzi pan?

— To całkiem możliwe — przyznał niechętnie Anderton.

— Może cały system wali się na łeb na szyję. Jasne, nie ma pan zamiaru popełnić zbrodni — może nikt z nich nie miał. Czy to dlatego powiedział pan Kapłanowi, że chce trzymać się na uboczu? Miał pan nadzieję udowodnić błędy systemu? Jeśli chce pan o tym porozmawiać, to proszę, mam otwarty umysł.

Drugi mężczyzna pochylił się i zapytał:

— Tak między nami, czy rzeczywiście naprawdę chodzi o spisek? Czy ktoś pana wrobia?

Anderton westchnął. Sam już nie był pewien. Może utknął w bezsensownej pętli czasowej, bez żadnego motywu ani początku. Gotów był przyznać, że stał się ofiarą fantazji neurotycznej wskrzeszonej w wyniku rosnącego poczucia braku bezpieczeństwa. Postanowił poddać się bez walki. Ogarnęło go śmiertelne znużenie. Porywał się z motyką na słońce wszystko obróciło się przeciwko niemu.

Ostry pisk opon przywrócił mu świadomość. Kurczowo trzymając kierownicę i wciśkając pedał hamulca, kierowca desperacko usiłował kontrolować pojazd pędzący wprost na spotkanie wielkiej ciężarówki z chlebem, która niespodziewanie wyłoniła się z mgły i przecinała mu drogę. Gdyby zamiast tego wdusił gaz do dechy, może zdołałby się uratować. Lecz zbyt późno uświadomił sobie błąd. Samochód wpadł w poślizg, przechylił się na bok i z impetem uderzył w ciężarówkę.

Siedzenie uniosło się pod Andertonem, uderzył twarzą w drzwi. Ból, nagły i nie do zniesienia, eksplodował w jego mózgu, kiedy tak leżał zdyszany, próbując dźwignąć się na kolana. Gdzieś rozległ się trzask ognia, język syczącej jasności, która w kłębach dymu z wolna przedzierała się przez strzaskany kadłub samochodu.

Czyjeś ręce sięgnęły do wnętrza pojazdu. Uświadomił sobie, że ktoś wywleka go przez szczelinę, która kiedyś była drzwiami. Gwałtownie odsunięto na bok fragment oderwanego siedzenia i Anderton poczuł, jak staje na i opierając się ciężko na ramieniu ciemnej postaci, idzie w głąb mrocznej alei, byle dalej od wraku.

W oddali rozległo się wycie policyjnych syren.

Będziesz żył — zazgrzytał mu do ucha niski głos. Głos, którego nigdy przedtem nie słyszał, równie nieznamy i szorstki jak deszcz padający mu na twarz. — Słyszysz, co mówię?

— Tak — odrzekł Anderton. Machinalnie szarpnął za oderwany rękaw swojej koszuli. Skaleczenie na policzku dało o sobie znać. Oszołomiony próbował zorientować się w sytuacji. — Nie jesteś aby...

— Przestań gadać i słuchaj. — Mężczyzna był przysadzisty, prawie gruby. Jego duże dłonie przycisnęły Andertona do mokrej ceglanej ściany, z dala od deszczu i blasku płonącego samochodu. — Nie mieliśmy innego wyjścia — powiedział. — To była jedyna możliwość. Zabrakło nam czasu. Myśleliśmy, że Kaplan dłużej cię tam potrzyzyma.

— Kim jesteś? — wydusił Anderton.

Wilgotna od deszczu twarz wykrzywiła się w pozbawionym wesołości uśmiechu.

— Nazywam się Fleming. Jeszcze się spotkamy. Zostało około pięciu sekund do przyjazdu policji. Potem zaczniemy od punktu wyjścia. — Wcisnął Andertonowi do rąk płaski pakunek. — To powinno ci wystarczyć. Jest tam też pełen zestaw kart identyfikacyjnych. Od czasu do czasu będziemy się z tobą kontaktować — Jego szeroki uśmiech przeszedł w nerwowy chichot. — Do chwili kiedy udowodnisz swoje racje.

Anderton zamrugął.



— A więc to zмова?

— Oczywiście. — Mężczyzna zaklął znieczeka. — Chcesz przez to powiedzieć, że zmusili cię, abyś w to wszystko uwierzył?

— Myślałem... — Anderton miał problemy z mówieniem; wydawało mu się, że jeden z jego przednich zębów ledwo trzyma się na swoim miejscu. — Wrogość wobec Witwera... zamiana miejsc, moja żona i młody człowiek, naturalna niechęć...

— Nie oszukuj się — powiedział tamten. — Chyba wiesz lepiej. Cała sprawa została skrupulatnie przemyślana. Przewidzieli każdą sytuację. Karta miała pojawić się w dniu przybycia Witwera. Prawie doprowadzili do końca pierwszy etap. Witwer jest komisarzem, ty zaś ściganym kryminalistą.

— Kto za tym stoi?

— Twoja żona.

Anderton poderwał głowę.

— Jesteś pewny?

Mężczyzna się zaśmiał.

— Ręczę twoim życiem. — Pospiesznie rozejrzał się wokół. — Nadjeżdża policja. Idź dalej tą aleją. Wsiądź w autobus, pojedź do dzielnicy slumsów, wynajmij pokój i kup stertę czasopism, żeby ci się nie nudziło. Kup również nową odzież — jesteś wystarczająco sprytny, aby o siebie zadbać, i nie próbuj opuścić Ziemi. Prześwietlają wszystkie transporty opuszczające planetę. Jeśli przez najbliższy tydzień będziesz siedział cicho, wygrasz.

— Kim jesteś? — zapytał Anderton.

Fleming puścił go. Ostrożnie podszedł do skraju alei i wyjrzał. Pierwszy policyjny samochód stanął przy mokrym chodniku; wolno podjechał do dymiącego wraku auta Kaplana. Wewnątrz pojazdu grupa ocalałych ludzi usiłowała przedrzeć się przez płataninę plastiku i stali.

— Myśl o nas jako o stowarzyszeniu opiekuńczym — powiedział cicho Fleming. Jego nalana, beznamiętna twarz lśniła od wilgoci. — Jesteśmy pewnego rodzaju siłą policyjną, która ma na oku policję. I pilnuje dodał — żeby statek płynął wyznaczonym kursem.

Raptownie wysunął przed siebie pulchną rękę. Odepchnięty na bok Anderton potknął się na zaśmiecających aleję mokrych kamieniach.

— Uciekaj — rozkazał mu ostro Fleming. — I nie wyrzuć tej paczki. Kiedy Anderton ruszył niepewnie w kierunku odległego krańca alei, dopłynęły doń ostatnie słowa tamtego: — Przejrzyj ją dokładnie, to może zdołasz przeżyć.

## V

Według kart identyfikacyjnych nazywał się Ernest Tempie i był bezrobotnym elektrykiem pobierającym tygodniową zapomogę od miasta Nowy Jork, miał żonę oraz czwórkę dzieci w Buffalo i mniej niż sto dolarów w aktywach. Poplamiona od potu zielona karta dawała mu możliwość podróżowania bez konieczności posiadania stałego adresu. Człowiek, który szukał pracy, musiał dużo jeździć. Mógł nawet przebyć szmat drogi.

Jadąc prawie pustym autobusem przez miasto, Anderton zbadał rysopis Ernesta Temple'a. Kartę najwyraźniej sporządzono specjalnie dla niego, gdyż charakterystyka dokładnie odpowiadała wyglądowi. Po chwili zastanowił się nad odciskami palców i odbiciem fal mózgowych. Niemożliwe, aby do niego pasowały. Pakunek pełen kart pozwoliłby mu przebrnąć jedynie przez bardzo powierzchowną kontrolę.

Ale zawsze to coś. Wraz z kartami identyfikacyjnymi otrzymał dziesięć tysięcy dolarów w gotówce. Schował do kieszeni pieniądze i karty, po czym przeniósł uwagę na dołączoną do nich wiadomość.

*Istnienie większości logicznie zakłada  
odpowiadającą jej mniejszość.*

Autobus wjechał do ogromnej dzielnicy slumsów, dzielnicy ciągnących się milami tanich hoteli i zrujnowanych domów czynszowych, których namnożyło się po wojnie jak grzybów po deszczu. Zatrzymał się i Anderton wstał. Kilku pasażerów omiotło leniwymi spojrzeniami jego rozcięty policzek i obszarpaną odzież. Nie zwracając na nich uwagi, wyszedł na mokry od deszczu krawężnik.

Recepcjonista pobrał należną mu kwotę i na tym się jego zainteresowanie osobą Andertona skończyło. Anderton wdrapał się na drugie piętro i wszedł do wąskiego, cuchnącego pleśnią pokoju, który od tej pory miał stanowić jego własność. Z ulgą zamknął drzwi na klucz i opuścił rolety. Pokój był mały, ale czysty. Łóżko, toaletka, kalendarz ścienny, krzesło, lampa i radio z otworem na monety.

Wrzucił do niego ćwierćdolarówkę i ciężko opadł na łóżko. Wszystkie główne stacje ogłaszały komunikat policji. To była nowość, coś ekscytującego i nieznanego obecnej generacji. Zbiegły kryminalista! Publiczność wykazała żywe zainteresowanie.

— ...ten człowiek wykorzystał swoją pozycję celem doprowadzenia pierwszej ucieczki do skutku — mówił z zawodowym niezadowoleniem spiker. — Z uwagi na piastowane stanowisko posiadał dostęp do pewnych danych, a pokładane w nim zaufanie umożliwiło mu uniknięcie normalnego procesu wykrycia i relokacji. Podczas sprawowania urzędu wykorzystywał swoją władzę w celu skazania niezliczonych zastępów poten-

cialnych winowajców, ratując w ten sposób życie niewinnych ofiar. Ten człowiek, John Allison Anderton, bezpośrednio przyczynił się do powstania systemu prewencyjnego, profilaktycznego wykrywania kryminalistów przy użyciu jasnowidzów zdolnych do przewidywania przyszłych wydarzeń i przekazywania danych urządzeniom analitycznym. Podstawowym zadaniem trojga jasnowidzów...

Wszedł do ciasnej łazienki i głos ucichł. Zdjął płaszcz i koszulę, po czym napuścił do miski gorącą wodę. Zaczął przemywać skaleczony policzek. W drogerii na rogu ulicy kupił jodynę i plastry, brzytwę, szczoteczkę do zębów i inne drobiazgi. Następnego ranka zamierzał poszukać jakiegoś sklepu z używaną odzieżą i sprawić sobie bardziej odpowiedni strój. Ostatecznie miał teraz być bezrobotnym elektrykiem, a nie komisarzem policji, który ucierpiał w wypadku.

W pokoju nadal huczało radio. Na wpół świadomy płynących z niego słów stanął na przeciw splekanego lustra i obejrzał złamany ząb.

— ...system pracy trojga jasnowidzów ma swoje źródło w komputerach środkowych dekad naszego stulecia. W jaki sposób sprawdzane są wyniki działań komputera elektronicznego? Poprzez wprowadzenie danych do drugiego komputera takiego samego modelu. Ale dwa komputery nie wystarczą. Jeżeli oba komputery uzyskały różne wyniki, niemożliwe jest ustalenie a priori, który z nich jest właściwy. Rozwiązanie, oparte na dokładnej analizie metody statystycznej, polega na dostosowaniu trzeciego komputera do sprawdzania rezultatów otrzymanych przez dwa pierwsze. W ten sposób uzyskuje się tak zwany raport większości. Dzięki temu można założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że zgodność dwóch komputerów spośród trzech wskazuje na prawidłowość jednego z otrzymanych wyników. Nie jest możliwe, aby dwa komputery otrzymały dwa równie błędne rozwiązania...

Anderton upuścił ręcznik i pobiegł do pokoju. Drżąc, pochylił się nad radiem i wytężył słuch.

— ...jednomysłność trojga jasnowidzów to wyczekiwane, aczkolwiek rzadko dochodzące do skutku zjawisko, jak wyjaśnia pełniący funkcję komisarza Witwer. Częściej dochodzi do otrzymania raportu większości dwojga jasnowidzów oraz nacechowanego pewnymi odchyleniami, na ogół w odniesieniu do czasu bądź miejsca wydarzenia, raportu mniejszości trzeciego mutantą. Zjawisko to wyjaśnia teoria wielokrotnych przyszłości. Gdyby istniała tylko jedna ścieżka czasowa, informacja prekognitywna nie miałaby żadnego znaczenia, gdyż znajomość jej nie stwarzałaby możliwości wprowadzania zmian do przyszłych wydarzeń. W działalności Agencji Prewencyjnej należy przede wszystkim przyjąć założenie...

Anderton zaczął gorączkowo przemierzać pokój. Raport mniejszości — relacje tylko dwojga jasnowidzów zgadzały się co do materiału zawartego na karcie. Oto wytłumaczenie przekazanej mu wiadomości. Raport trzeciego jasnowidza, raport mniejszości, był w jakiś sposób ważny.

Tylko w jaki?

Jego zegarek wskazywał, że minęła północ. Page skończył pracę. Pojawi się na małym bloku dopiero około południa. Szansa była niewielka, ale czuł, że warto z niej skorzystać. Może Page go wyda, a może nie. Musi zaryzykować.

Musi zapoznać się z raportem mniejszości.

## VI

Między dwunastą a pierwszą po południu zaśmiecone ulice kłębiły się od przechodniów. Wybrał tę najbardziej ruchliwą porę dnia, aby zadzwonić. Skorzystał z budki telefonicznej w pełnej klientów drogerii, wykręcił znajomy numer policji i czekał, przyciskając do ucha chłodną słuchawkę. Celowo wybrał linię audio, nie wideo: pomimo sfatygowanej odzieży i zarośniętego podbródka ktoś jednak mógłby go rozpoznać.

Recepcjonista był mu nieznany. Ostrożnie podał numer wewnętrzny Page'a. Skoro Witwer zwalniał stary personel, zatrudniając w jego miejsce swoich popleczników, nie zdziwiłby się, słysząc w słuchawce obcy głos.

— Słuchani — zabrzmiał burkliwy głos Page'a.

Anderton rozejrział się z ulgą. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Kupujący przechadzali się między półkami pochłonięci swoimi sprawami.

— Możesz rozmawiać? — zapytał. — Czy jesteś zajęty?

Nastąpiła chwila ciszy. Wyobraził sobie rozdartą twarz Page'a zastanawiającego się nad następnym posunięciem. Następnie padło pełne wahania:

— Dlaczego... dlaczego tu dzwonisz?

Ignorując pytanie Anderton powiedział:

— Nie rozpoznałem recepcjonisty. Nowy personel?

— Jak spod igły — potwierdził Page cichym, zduszonym głosem. Nadszedł czas wielkich zmian.

— Tak też słyszałem. — Jak tam twoja praca? Nadal bezpieczna? — zapytał zdenerwowany Anderton.

— Poczekaj chwilę. — Odłożono słuchawkę i Anderton usłyszał przytłumiony odgłos kroków. Po nim nastąpiło trzaśnięcie zamykanych w pośpiechu drzwi. Page wrócił do telefonu. — Teraz lepiej możemy rozmawiać — rzucił ochryplym głosem.

— O ile lepiej?

— Niewiele. Gdzie jesteś?

— Przechadzam się po Central Parku — odparł Anderton. — Wygrzewam się na słończku. — Dałby sobie rękę uciąć, że Page podszedł do drzwi, aby upewnić się, czy

podsluch telefoniczny działa jak należy. Patrol lotniczy już pewnie zmierzał we wspomnianym kierunku. Musiał jednak zaryzykować. — Zmieniłem branżę — rzucił zwięźle. — Jestem teraz elektrykiem.

— Ach tak? — zdumiał się Page.

— Pomyślałem sobie, że może miałbyś dla mnie jakąś robotę. Jeśli to da się zrobić, wpadłbym na chwilę, żeby obejrzeć twój podstawowy sprzęt komputerowy. Zwłaszcza bank analizy danych na małym bloku.

— Da się zrobić — odpowiedział po chwili Page. — Skoro to naprawdę ważne.

— Jeszcze jak — zapewnił go Anderton. — Kiedy ci najlepiej pasuje?

— Cóż — odrzekł w rozterce Page. — Ekipa naprawcza ma przyjść, aby rzucić okiem na interkom. Pełniący funkcję komisarza chciałby usprawnić jego działanie. Możesz przyjść z nimi.

— Tak też zrobię. Mniej więcej o której?

— Powiedzmy o czwartej. Wejście B, poziom 6. Wyjdę... wyjdę ci naprzeciw.

— Świetnie — odrzekł Anderton, szykując się do odwieszenia słuchawki. — Mam nadzieję, że kiedy się spotkamy, wciąż jeszcze będziesz tam pracował.

Odłożył słuchawkę i pospiesznie opuścił budkę. Chwilę potem przeciskał się przez tłum oblegający pobliską kafeterię. Nikt go tam nie będzie szukał.

Miał przed sobą trzy i pół godziny czekania. Czas przedłużał mu się w nieskończoność. Nim podążył na umówione spotkanie, wydawało mu się, że to najdłuższe oczekiwanie w jego życiu.

Pierwsze słowa Page'a brzmiały:

— Ty chyba zwariowałeś. Po co, do cholery, tu przychodzisz?

— Nie mam zamiaru długo zostać. — Anderton w napięciu obszedł mały blok, systematycznie zamykając na klucz wszystkie drzwi. — Nie wpuszczaj nikogo. Nie mogę ryzykować.

— Powinieneś być dać za wygraną, kiedy miałeś jeszcze przewagę. Przerażony Page deptał mu po piętach. — Witwer nie próżnuje, nie traci czasu. Cały kraj domaga się twojej głowy.

Nie zwracając na niego uwagi, Anderton otworzył główny bank kontrolny maszyny analitycznej.

— Która z trzech małą dostarczyła raport mniejszości?

— Nie pytaj mnie, wychodzę. — Idąc do drzwi, Page przystanął na ułamek sekundy, wskazał na środkową postać, po czym zniknął. Drzwi zamknęły się; Anderton został sam.

Środkowy. Anderton znał go dobrze. Skarlała, garbata postać od piętnastu lat tkwiła zagrzebana w przewodach i drutach. Kiedy Anderton podszedł bliżej, nie podniosła wzroku. Ślepa na otaczającą ją rzeczywistość, pustymi, szklistymi oczami spoglądała na świat, który jeszcze nie zdążył zaistnieć.

„Jerry” miał dwadzieścia cztery lata. Pierwotnie został sklasyfikowany jako imbecyl z wodogłowiem, jednak po ukończeniu szóstego roku życia testy psychiatryczne wykazały u niego zdolności prekognitywne ukryte pod warstwą rozmięklej tkanki. Talent umieszczonego w rządowym ośrodku szkoleniowym chłopca został poddany stosownej obróbce. Nim skończył dziewięć lat, można było już go wykorzystać. Sam „Jerry” jednakże wciąż tkwił w chaosie swego niedorozwoju; postęp w jednej dziedzinie spowodował u niego całkowitą utratę osobowości.

Przykucnąwszy, Anderton przystąpił do demontażu płyt osłonowych broniących dostępu do szpul przechowywanych w maszynie analitycznej. Korzystając z schematu, prześledził drogę kabli od komputera do miejsca, w którym następowało odgałęzienie przewodów „Jerry’ego”. W ciągu kilku minut drżącymi rękami odłączał dwie dwugodzinne taśmy: ostatnie odrzucone dane niedołączone do raportu większości. Posługując się wykresem kodowym, wybrał fragment taśmy dotyczący jego sprawy.

Nieopodal zamontowano skaner. Wstrzymując oddech, włożył do niego taśmę, uruchomił przekaz i wytężył słuch. Trwało to zaledwie chwilę. Pierwsze zdanie raportu wyjaśniło mu całą sprawę. Dostał to, czego chciał, dalsze słuchanie było zbędne.

Wizja „Jerry’ego” odbiegała fazowo od przekazów pozostałej dwójki, dlatego dokonał on wglądu w nieco inny przedział czasowy niż jego współtowarzysze. Dla niego raport o popełnieniu morderstwa przez Andertona stanowił integralną część całości. To twierdzenie — wraz z reakcją Andertona — było dodatkowym składnikiem informacji.

Najwyraźniej raport „Jerry’ego” wyprzedził raport większości. Po uzyskaniu informacji o popełnieniu morderstwa Anderton zmienił zdanie i zbrodnia nie dojdzie do skutku. Przewidzenie morderstwa wykluczy sam czyn; profilaktyka dokona się w wyniku poinformowania Andertona o przyszłych wydarzeniach. Utworzono nową ścieżkę czasową. Ale „Jerry” został przegłosowany.

Drżąc, Anderton przewinął taśmę i włączył nagrywanie. Błyskawicznie wykonał kopię raportu, włożył oryginał na swoje miejsce i wyjął z maszyny duplikat. Oto dowód, że karta była nieważna: zdezaktualizowane. Musiał jedynie pokazać ją Witwerowi...

Jego własna głupota napełniła go niedowierzaniem. Nie ulegało wątpliwości, że Witwer widział raport, lecz pomimo to przejął obowiązki Komisarza i wydał rozkaz pościgu. Witwer nie miał najmniejszego zamiaru się wycofać; niewinność Andertona była dla niego nieistotna.

Cóż więc miał zrobić? Kogo mogło to zainteresować?

— Ty cholerny głupcze! — wycedził za jego plecami pełen lęku głos.

Odwrócił się gwałtownie. Jego żona stała w drzwiach w mundurze policyjnym i z przerażeniem w oczach.

— Nic się nie martw — rzucił jej krótko, pokazując taśmę. — Już wychodzę.

Lisa ruszyła w jego kierunku z wykrzywioną twarzą.

— Page mówił, że tu jesteś, ale nie mogłam w to uwierzyć. Nie powinien był cię wpuszczać. On nie rozumie, kim ty naprawdę jesteś.

— Kim jestem? — zapytał zjadliwie Anderton. — Zanim odpowiesz, lepiej wysłuchaj tej taśmy.

— Nie mam zamiaru niczego słuchać! Chcę jedynie, żebyś się stąd wyniósł! Ed Witwer wie, że ktoś tu jest. Page próbuje odwrócić jego uwagę, ale... — Urwała, sztywno przechylając na bok głowę. — Jest tutaj! Próbuje sforsować drzwi!

— Nie masz na niego żadnego wpływu? Bądź miła i czarująca, to na pewno o mnie zapomni.

Lisa popatrzyła na niego z gorzką urazą.

— Na dachu stoi zaparkowany statek. Jeśli chcesz uciec... — Zawiesiła głos i milczała przez chwilę, po czym rzekła: — Za minutę wyruszam. Jeżeli chcesz lecieć ze mną...

— Polecę — odparł Anderton. Nie miał wyboru. Zdobył dowód, taśmę, ale nie przemyślał sposobu opuszczenia budynku. Pobiegł za smukłą sylwetką żony, która wyszła z pomieszczenia bocznymi drzwiami i ruszyła korytarzem dostawczym, stukając w ciemnościach obcasami.

— To dobry, szybki statek — rzuciła przez ramię. — Zatankowany do pełna — tylko uruchomić silnik. Miałam nadzorować jedną z ekip.

## VII

Siedząc za sterem krążownika policyjnego, Anderton w kilku słowach opisał zawartość taśmy. Lisa słuchała w milczeniu, splatając nerwowo ręce. Pod nimi, zniszczone przez wojnę tereny wiejskie rozciągały się niczym gobelin, puste połacie ziemi pomiędzy miastami oszpecone kraterami i upstrzone ruinami gospodarstw oraz niewielkich zakładów przemysłowych.

— Zastanawiam się — powiedziała, kiedy skończył — jak często zdarzało się to wcześniej.

— Raport mniejszości? Mnóstwo razy.

— Mam na myśli błąd fazowy jednego z jasnowidzów. Używanie raportów pozostałej dwójki jako danych... wyprzedzanie ich. — I dodała z pokaźnym wyrazem twarzy: — Może wielu ludzi w obozach jest w podobnej sytuacji jak ty.

— Nie — zaproponował Anderton. Ale i on poczuł narastającą niepewność. — Ja miałem możliwość ujrzenia karty na własne oczy, porównania raportów. Stąd wynikła różnica.

— No ale... — Lisa wymownie machnęła ręką. — Może każdy z nich Zareagowałby podobnie. Mogliśmy powiedzieć im prawdę.

— To pociągnęłoby za sobą zbyt wielkie ryzyko — odrzekł uparcie.

Lisa wybuchła ostrym śmiechem.

— Ryzyko? Szansa? Niepewność? Z jasnowidzami u boku?

Anderton skoncentrował uwagę na prowadzeniu statku.

— To sprawa bezprecedensowa — powtórzył. — Stoimy przed niecierpiącym zwłoki problemem. Później możemy rozważyć aspekty teoretyczne. Muszę dostarczyć taśmę odpowiednim ludziom... zanim twój młody, bystry przyjaciel zatrze ślady.

— Zabierzesz ją do Kapłana?

— Oczywiście. — Postukał w leżącą na siedzeniu pomiędzy nimi taśmę. — Na pewno wykaże zainteresowanie. Dowód, że jego życiu nic nie zagraża, powinien okazać się dla niego niezwykle ważny.

Lisa wyjęła z torebki papierośnice.

— I sądzisz, że ci pomoże?

— Może tak... a może nie. Warto zaryzykować.

— Jakim cudem tak szybko zszedłeś do podziemia? — zapytała Lisa. — Trudno o skuteczny kamuflaż.

— Wystarczy jedynie mieć pełną kieszeń — odrzekł wymijająco.

Lisa w zamyśleniu paliła papierosa.

— Może Kapłan będzie cię chronił — rzekła. — Ma ku temu dostateczną władzę.

— Myślałem, że jest tylko emerytowanym generałem.

— Formalnie — owszem. Ale Witwer zdobył jego dossier. Kapłan przewodniczy pewnej niecodziennej organizacji weteranów. Ścisłe rzecz biorąc, jest to klub elitarny. Tylko wysokiej rangi oficerowie klasa międzynarodowa z obu stron biorących udział w wojnie. Tutaj w Nowym Jorku utrzymują ogromną posiadłość, trzy ekskluzywne czasopisma oraz okazjonalny program telewizyjny, który kosztuje ich małą fortunę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tylko to. Przekonałeś mnie, że jesteś niewinny. To znaczy, oczywiście jest, że nie popełnisz zbrodni. Ale musisz zrozumieć, że oryginalny raport, raport większości, nie został spreparowany. Nikt go nie sfałszował. Ed Witwer nie ma z nim nic wspólnego. Nie ma ani nigdy nie było żadnego spisku przeciwko tobie. Jeżeli zakładasz, że raport mniejszości jest prawdziwy, musisz przyjąć, że raport większości też taki jest.

Z ociąganiem przyznał jej rację.

— Chyba tak.

— Ed Witwer — ciągnęła Lisa — działa w dobrej wierze. On naprawdę przypuszcza, że jesteś potencjalnym zabójcą — dlaczego miałby sądzić inaczej? Na jego biurku leży raport większości, a ty masz w kieszeni złożoną kartę.



— Zniszczyłem ją — odparł cicho Anderton.

Lisa gorączkowo pochyliła się ku niemu.

— Witwerem nie kieruje chęć zajęcia twojego stanowiska — powiedziała. — Kieruje nim pragnienie, które zawsze dominowało nad tobą. Wierzy w Prewencję. Zależy mu na kontynuacji systemu. Rozmawiałam z nim i jestem pewna, że mówi prawdę.

— Chcesz, żebym zaniósł tę taśmę Witwerowi? — zapytał Anderton. Jeśli to zrobię — zniszczy ją.

— Bzdura — odparowała Lisa. — Od początku miał dostęp do oryginałów. Mógł zniszczyć je w każdej chwili.

— To prawda — ustąpił Anderton. — Bardzo możliwe, że nic nie wiedział.

— Oczywiście, że nie. Popatrz na to z tej strony. Jeśli Kaplan zdobędzie taśmę, wiarygodność policji stanie pod znakiem zapytania. Nie rozumiesz dlaczego? Będzie to dowód, że raport większości był pomyłką. Ed Witwer ma całkowitą rację. Musisz zostać aresztowany — jeśli agencja ma przetrwać. — Pochylając się do przodu, zgasła papierosa i sięgnęła do torebki po następnego. — Co więcej dla ciebie znaczy: twoje bezpieczeństwo czy istnienie systemu?

— Moje bezpieczeństwo — odrzekł bez wahania Anderton.

— Jesteś pewien?

— Jeżeli system ma przetrwać kosztem więzienia niewinnych ludzi, zasługuje na to, by go zniszczyć. Moje bezpieczeństwo liczy się, gdyż jestem istotą ludzką. Poza tym...

Lisa wyjęła z torebki niewiarygodnie mały pistolet.

— Wydaje mi się — powiedziała ochryplym głosem — że trzymam palec na spuście. Nigdy nie używałam podobnej broni, ale nie zaszkodzi spróbować.

— Mam zawrócić statek? Czy o to chodzi? — zapytał po chwili Anderton.

— Tak, wracamy do siedziby policji. Przykro mi. Skoro egoistycznie przedkładasz swoje własne dobro nad dobro systemu...

— Zachowaj kazanie dla siebie — przerwał jej Anderton. — Zawrócę statek. Ale nie mam zamiaru wysłuchiwać twojej obrony kodu zachowań, pod którym nie podpisały się żaden inteligentny człowiek.

Usta Lisy zacisnęły się w cienką, bezkrwistą linię. Zaciskając palce na broni, siedziała naprzeciw niego i bacznie śledziła jego ruchy, gdy zatoczywszy w powietrzu szeroki łuk, zawrócił pojazd. Kiedy statek nachylił się ukośnie, celując w niebo jednym skrzydłem, w skrytce zagrzechotały luźne przedmioty.

Zarówno Andertona, jak i jego żonę podtrzymywały metalowe poręcze foteli. Nie dotyczyło to jednak trzeciego pasażera.

Anderton kątem oka dostrzegł za sobą jakiś ruch. Równocześnie dobiegły go odgłosy szamotaniny rosnącego mężczyzny, który usiłując zachować równowagę, wczepił się we wzmocnioną ścianę statku. Kolejne wydarzenia rozegrały się w mgnieniu oka.

Fleming zerwał się na równe nogi i błyskawicznie wysunął rękę w kierunku pistoletu kobiety. Zdumienie odebrało Andertonowi głos. Lisa odwróciła się, ujrzała mężczyznę — i krzyknęła. Fleming wytrącił jej pistolet, który ze stukiem upadł na podłogę.

Fleming z pomrukiem odepchnął ją na bok i chwycił broń.

— Przykro mi — stęknął, prostując się na tyle, na ile pozwalała mu ograniczona przestrzeń. — Wydawało mi się, że powie coś więcej. Dlatego Zwlekałem tak długo.

— Byłeś tu, kiedy... — zaczął Anderton — i urwał. Było jasne, że Fleming i jego ludzie mieli go pod stałą obserwacją. Istnienie statku Lisy zostało skrzętnie odnotowane i wzięte pod uwagę, i podczas gdy ona zastanawiała się, czy pomoc w jego ucieczce byłaby mądrym posunięciem, Fleming wślizgnął się do towarowej części statku.

— Lepiej będzie — powiedział Fleming — jeśli oddasz mi tę taśmę. Wyciągnął po nią wilgotne, niezdarne palce. — Masz rację, Witwer zrobił z niej miazgę.

— A Kaplan? — zapytał tępo Anderton, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z oszołomienia wywołanego pojawieniem się mężczyzny.

— Kaplan współpracuje bezpośrednio z Witwerem. To dlatego jego nazwisko pojawiło się na karcie w piątej linii. Trudno powiedzieć, który z nich jest rzeczywistym szefem. Możliwe, że żaden. — Fleming odrzucił na bok mały pistolet i wyjął własną, wojskową broń. — Zrobiłeś głupio, wsiadając na statek tej kobiety. Mówiłem ci przecież, że to ona za wszystkim stoi.

— Nie wierzę — zaoponował Anderton. — Skoro...

— Jesteś nieodpowiedzialny. Statek podstawiono na rozkaz Witwera. Chcieli wywieźć cię poza budynek, abyśmy nie mieli do ciebie dostępu. Działając na własną rękę, z dala od nas, nie miałeś najmniejszej szansy.

Przez ściągnięte rysy Lisy przeniknął dziwny wyraz.

— To nieprawda — szepnęła. — Witwer nic nie wiedział o statku. Miałam nadzorować...

— Prawie ci to się udało — przerwał jej nieubłagane Fleming. — Będziemy mieć szczęście, jeśli na karku nie siedzi nam już jakiś patrol. Nie było czasu sprawdzić. — Mówiąc to, usiadł tuż za fotelem Lisy. — Po pierwsze musimy pozbyć się kobiety, następnie — przenieść cię w inne miejsce. Page zdradził Witwerowi twoje nowe przebranie, więc nie ma wątpliwości co do tego, że ogłoszono tę wiadomość publicznie.

Fleming zaniknął Lisę w ciasnym uścisku. Rzuciwszy swój pistolet Andertonowi, wprawnie szarpnął do góry jej podbródek, aż skroń kobiety wcisnęła się w fotel. Lisa wpiła w niego paznokcie, z jej gardła wyrwał się przeciągły, przerażony jęk. Nie zwracając na nią uwagi, Fleming zacisnął swoje ogromne ręce wokół jej szyi i zaczął dusić.

— Rana postrzałowa jest zbędna — wyjaśnił zdyszany. — Wypadnie ze statku — zwykły wypadek. Takie rzeczy ciągle się zdarzają. Ale w tym razem ofiara najpierw skręci kark.

Wydawało się dziwne, że Anderton zwlekał tak długo. Zanim uniósł pistolet i uderzył nim w tył głowy Fleminga, ten zdążył brutalnie zatopić palce w bladej skórze kobiety. Uścisk ogromnych dłoni zelżał. Ogłuszony Fleming poleciał głową do przodu i oparł się o ścianę statku. Próbując resztką sił zachować przytomność, mężczyzna się uniósł. Anderton uderzył go ponownie, tym razem nad lewym okiem. Fleming upadł i znieruchomiał.

Z trudem chwyając oddech, Lisa skuliła się na fotelu i kołysała w przód i w tył. Jej twarz stopniowo odzyskiwała naturalną barwę.

— Możesz przejąć stery? — zapytał z naciskiem Anderton, potrząsając nią.

— Tak, chyba tak. — Machinalnie chwyciła wolant. — Nic mi nie będzie. Nie martw się o mnie.

— Ten pistolet — powiedział Anderton — pochodzi z działu zaopatrzenia wojskowego. Nie jest to jednak pozostałość z wojny. Należy do nowego, udoskonalonego typu. Mógłbym uciec jak najdalej stąd, ale istnieje szansa...

Podszedł do rozciągniętego na pokładzie ciała Fleminga. Starając się nie dotykać głowy mężczyzny, rozpiął jego płaszcz i przetrząsnął kieszenie. Chwilę później przesiąknięty potem portfel Fleminga znalazł się w jego rękach.

Tod Fleming, według informacji zawartej w dokumentach, był majorem w Wewnętrznych Służbach Wywiadowczych Armii. Wśród rozmaitych papierów znajdował się dokument podpisany przez generała Leopolda Kaplana, stwierdzający, że Fleming znajdował się pod specjalną opieką jego własnego ugrupowania — Międzynarodowej Ligi Weteranów.

Fleming i jego ludzie działali z polecenia Kaplana. Ciężarówka z chlebem, wypadek, wszystko stanowiło przemyślany ciąg wydarzeń.

Oznaczało to, że Kaplan celowo trzymał go z dala od policji. Początki planu sięgały wstecz do pierwszego spotkania w jego domu, kiedy ludzie Kaplana uprowadzili go, gdy się pakował. Z niedowierzaniem uświadomił sobie, co się naprawdę wydarzyło. Nawet wtedy mieli za zadanie uprzedzić akcję policji. Od początku miał do czynienia z misterną strategią, mającą na celu powstrzymanie Witwera od aresztowania go.

— Mówiłaś prawdę — powiedział do żony Anderton, opadając z powrotem na fotel. — Czy możemy skontaktować się z Witwerem?

W milczeniu skinęła głową. Wskazując na zainstalowaną na tablicy rozdzielczej radiostację, zapytała:

— Co... znalazłeś?

— Połącz mnie z Witwerem. Chcę jak najszybciej z nim porozmawiać. To pilne.

Niezgrabnie wykręciła numer, weszła do obwodu zamkniętego i wywołała komendę nowojorskiej policji. Zanim ujrzeli miniaturową replikę twarzy Eda Witwera, przez monitor przewinęła się panorama niższych rangą urzędników.

— Pamiętasz mnie? — zapytał Anderton.

Witwer zbladł.

— Dobry Boże. Co się stało? Lisa, wiesz go do nas? — Naraz jego wzrok spoczął na pistolecie w rękach Andertona. — Posłuchaj — rzucił gniewnie — nie waż się zrobić jej krzywdy. Cokolwiek sobie myślisz, ona nie ma z tym nic wspólnego.

— Zdążyłem się o tym przekonać — odparł Anderton. — Jesteś w stanie nas namierzyć? Możemy w drodze powrotnej potrzebować ochrony.

— Powrotnej! — Witwer spoglądał na niego z niedowierzaniem. — Lecisz tutaj? Poddajesz się?

— Owszem. Jest coś, co niezwłocznie musisz zrobić — powiedział szybko i z naciskiem Anderton. — Zamknij dostęp do małego bloku. Upewnij się, że nikt nie wejdzie do środka — ani Page, ani ktokolwiek inny. Zwłaszcza wojskowi.

— Kaplan — odrzekła miniaturowa postać.

— Co z nim?

— Był tutaj. Dopiero... dopiero co wyszedł.

Serce Andertona przestało bić.

— Co on tam robił?

— Zbierał dane. Zabrał duplikaty dotyczących ciebie raportów. Utrzymywał, że potrzebuje ich jedynie dla swojego bezpieczeństwa.

— Już je ma — powiedział Anderton. — Za późno.

Zaniepokojony Witwer prawie krzyknął:

— O co ci chodzi? Co się dzieje?

— Powiem ci — odparł ciężko Anderton — jak tylko wrócę do swego biura.

## VIII

Witwer spotkał się z nimi na dachu komendy policji. Gdy nieduży statek znieruchomiał, chmura eskortujących go pojazdów oddaliła się pospiesznie. Anderton natychmiast podszedł do jasnowłosego mężczyzny.

— Masz, czego chciałeś — powiedział. — Możesz mnie zamknąć i wysłać do obozu. Ale to nie wystarczy.

W niebieskich oczach Witwera widniała niepewność.

— Obawiam się, że nie rozumiem...

— To nie moja wina. Nie powinienem był w ogóle opuszczać budynku policji. Gdzie jest Wally Page?

— Zajęliśmy się nim — odrzekł Witwer. — Nie sprawi kłopotu.

Anderton spochmurniał.

— Trzymacie go z niewłaściwego powodu — powiedział. — Dopuszczenie mnie do małego bloku nie było żadnym przestępstwem. Ale przekazywanie informacji armii owszem. Masz tu wtyczkę. To znaczy, ja mam — poprawił się bez przekonania.

— Odwołałem rozkaz zatrzymania cię. Teraz ekipy szukają Kaplana.

— Z jakim powodzeniem?

— Odjechał stąd wojskową ciężarówką. Pojechaliśmy za nim, ale ciężarówka wjechała na teren koszar. Obecnie zagrodzili przejazd czołgiem R-3 pochodzącym z czasów wojny. Odsunięcie go stałoby się bezpośrednią przyczyną wojny domowej.

Powoli, z wahaniem z wnętrza statku wyłoniła się Lisa. Wciąż była blada, a na jej szyi formował się brzydki siniak.

— Co ci się stało? — zapytał Witwer. Następnie zauważył nieruchome ciało Fleminga. Spojrzał Andertonowi prosto w twarz.

— Zatem przestałeś udawać, że chodzi o zawiązany przeze mnie spisek?

— Tak.

— Nie sądzę, abym... — skrzywił się z niesmakiem — knuł z chęci zajęcia twojego stanowiska.

— Ależ tak. Każdemu ciąży coś podobnego na sumieniu. Ja z kolei knuję, aby je utrzymać. Ale chodzi też o coś więcej — i ty nie jesteś za to Odpowiedzialny.

— Dlaczego twierdzisz — zapytał Witwer — że jest za późno, abys się, poddał? Boże, wsadzimy cię do obozu, minie tydzień, a Kaplan nadal będzie żył.

— Owszem, będzie — ustąpił Anderton. — Lecz może udowodnić, że byłby i wówczas, gdybym swobodnie spacerował ulicami. Dysponuje informacjami, które potwierdzają błąd raportu większości. Może doprowadzić system do ruiny. Orzeł czy reszka, on wygrywamy przegrywamy. — dodał. — Armia podważa naszą wiarygodność; ich strategia nie zawiodła.

— Ale dlaczego tyle ryzykują? Czego tak naprawdę chcą?

— Po wojnie angielsko-chińskiej armia utraciła dawną pozycję. Nie jest tym, czym była w dawnych, dobrych czasach AFSPBZ. Do niej należało pierwsze słowo, zarówno w kwestiach natury militarnej, jak i politycznej. Przejęli również obowiązki policji.

— Jak Fleming — dorzuciła słabo Lisa.

— Po wojnie Blok Zachodni został zdemilitaryzowany. Oficerowie tacy jak Kaplan przeszli w stan spoczynku i zniknęli ze sceny. Nikt tego nie lubi. — Anderton skrzywił się. — Mogę mu tylko współczuć. Nie jest jedyny. Nie mogliśmy jednak tak dalej funkcjonować. Trzeba było podzielić władzę.

— Powiedziałeś, że Kaplan wygrał — wtrącił Witwer. — Czy nic nie możemy zrobić?

— Nie mam zamiaru go zabić. Wiemy to zarówno my, jak i on. Pewnie przyjdzie do nas i zaproponuje jakiś układ. Będziemy dalej funkcjonować, ale Senat unieważni naszą przewagę. Nie spodobałoby ci się to, prawda?

— Raczej nie — odparł kategorycznie Witwer. — Ostatecznie mam kiedyś przejąć agencję. — Poczerwieniał. — Oczywiście nie teraz.

Anderton pozostał niewzruszony.

— Szkoda, że opublikowałeś raport większości. Gdybyś przeprowadził wszystko po cichu, można by ostrożnie przywrócić dawny porządek. Ale podałeś to do wiadomości publicznej. Nie da rady tego odwrócić.

— Chyba nie — przyznał niepewnie Witwer. — Chyba... nie idzie mi tak gładko, jak to sobie wyobrażałem.

— To przyjdzie z czasem. Będiesz dobrym oficerem policji. Wierzysz w status quo. Naucz się jednak traktować to mniej serio. — Anderton wyminął ich. — Mam zamiar przestudiować raport większości. Chcę dokładnych informacji na temat tego, jak miałem zabić Kaplana. Może to podsunie mi jakiś pomysł — dorzucił z namysłem.

Taśmy zawierające materiał jasnowidzów „Donny” i „Mike’a” były trzymane osobno. Wybierając urządzenie odpowiedzialne za analizę „Donny”, otworzył osłonę i wyjął zawartość maszyny. Tak jak poprzednio, uzyskał informację na temat znaczenia poszczególnych szpul i chwilę później uruchamiał odtwarzacz.

Uzyskał informacje zbliżone do tych, których się spodziewał. Miał przed sobą materiał przekazany przez „Jerry’ego” — odrębną ścieżkę czasową. Oto agenci wywiadu wojskowego Kaplana porywają wracającego do domu Andertona. Zabierają go do willi Kaplana, do kwatery głównej Międzynarodowej Ligi Weteranów. Anderton otrzymuje ultimatum: dobrowolne wstrzymanie systemu Prewencji albo otwarty konflikt z armią.

W tej odrzuconej ścieżce czasowej Anderton, jako komisarz policji, zwrócił się o pomoc do Senatu. Bez rezultatu. Celem uniknięcia wojny domowej Senat ratyfikował podział systemu policyjnego oraz zadekretował powrót do kodeksu wojskowego „na wypadek sytuacji krytycznej”. Stojąc na czele oddziału fanatycznej policji, Anderton zlokalizował Kaplana i zastrzelił go, razem z innymi przedstawicielami Ligi Weteranów. Zginął tylko Kaplan. Pozostałych odratowano. Zamach stanu się powiódł.

To była „Donna”. Przewinał taśmę i sięgnął po materiał przekazany przez „Mike’a”. Spodziewał się tych samych informacji; oboje przedstawili jednolitą wizję. „Mike” zaczął tak samo jak „Donna”: Anderton uświadomił sobie, że Kaplan spiskuje przeciwko policji. Coś tu się jednak nie zgadzało. Zbity z tropu przewinał taśmę do początku. Ponownie puścił taśmę i wytężył słuch.

Raport „Mike’a” w znaczący sposób różnił się od raportu „Donny”.

Godzinę później skończył przesłuchiwanie, odłożył taśmy i opuścił małą blok. Na jego widok Witwer zapytał:

— O co chodzi? Widzę, że coś nie tak.

— Nie — odparł powoli zamyślony Anderton. — Niezupełnie nie tak. Jakiś dźwięk przyciągnął jego uwagę. Machinalnie podszedł do okna i wyjrzał.

Na ulicy kłębiły się tłumy ludzi. Środkowym pasmem jezdni w poczwórnym szeregu podążała kolumnada wojska. Karabiny, hełmy... maszerujący żołnierze ubrani w sfa-tygowane mundury z czasów wojny nieśli sztandary AFSPBZ trzepoczące na zimnym popołudniowym wietrze.

— Zbiórka armii — wyjaśnił ponuro Witwer. — Myliłem się. Im nie w głowie zawieranie z nami układu. Niby dlaczego mieliby to robić? Kapłan dąży do ujawnienia sprawy.

Anderton nie okazał zdziwienia.

— Ma zamiar odczytać raport mniejszości?

— Najwyraźniej. Zażądamy, aby Senat rozwiązał agencję i odebrał nam władzę. Oskarżą nas o aresztowanie niewinnych ludzi — nocne naloty policyjne i tym podobne rzeczy. Rządy terroru.

— Przypuszczasz, że Senat ustąpi?

Witwer zawahał się.

— Nie chciałbym musieć zgadywać.

— Ja to zrobię — odrzekł Anderton. — Ustąpi. To, co dzieje się na ulicy, dokładnie odpowiada temu, czego dowiedziałem się na dole. Utknęliśmy w ciasnym przejściu i możemy podążać tylko w jednym kierunku. Bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie, musimy go wybrać. Jego oczy lśniły stalowym blaskiem.

— Co to znaczy? — z niepokojem Witwer zapytał

— Kiedy ci powiem, będziesz zachodzić w głowę, czemu sam na to nie wpadłeś. Oczywiście mam zamiar wypełnić ogłoszony raport. Zabiję Kapłana. To jedyny sposób, aby uniknąć kompromitacji.

— Ale przecież — zaoponował w zdumieniu Witwer — raport większości zdezaktualizował się dzięki drugiemu raportowi.

— Uczynię to — oznajmił Anderton — ale za odpowiednią cenę. Znasz sankcje wobec winnych morderstwa pierwszego stopnia?

— Dożywocie.

— Co najmniej. Pewnie mógłbyś skorzystać ze swoich wpływów i zmienić je na wygnanie. Mógłbym zostać wysłany na jedną z planet kolonialnych, na dobre, stare pogranicze.

— Wolałbyś... to?

— Do licha, skąd — odparł szczerze Anderton. — Ale to mniejsze zło. I trzeba tak zrobić.

— Nie widzę sposobu, w jaki miałbyś zabić Kaplana.

Anderton wyjął ciężki pistolet Fleminga.

— Użyję tego.

— Nie powstrzymają cię?

— Niby dlaczego miałoby to zrobić? Mają raport mniejszości, z którego jasno wynika, że zmieniłem zdanie.

— Wobec tego raport mniejszości jest błędny?

— Nie — odrzekł Anderton. — Jest jak najbardziej poprawny. Ale ja i tak zabiję Kaplana.

## IX

Nigdy w życiu nie zabił człowieka. Nigdy na jego oczach nie popełniono morderstwa, I przez trzydzieści lat pełnił funkcje komisarza policji. Dla jego pokolenia zjawisko zaplanowanego morderstwa straciło rację bytu. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzały.

Samochód policyjny zawiózł go w kierunku miejsca zgromadzenia wojska. W półmroku tylnego siedzenia w rozterce oglądał broń Fleminga. Wyglądała na zupełnie nieużywaną. Rezultat powziętego postanowienia nie pozostawiał żadnych złudzeń. Był pewien przebiegu wydarzeń w ciągu najbliższej pół godziny. Chowając pistolet, otworzył drzwi i wyszedł z samochodu.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Skłębione masy ludzi walczyły o dostęp do zgrupowania. Wśród zebranych przeważali mundurowi, a wokół oczyszczonego z gapiów terenu ustawiono rząd czołgów i dział — przerażający arsenał, który wciąż wzbogacano o nowe elementy.

Żołnierze wzniesli metalową mównicę i prowadzące na nią schodki. Za mównicą stał olbrzymi sztandar AFSPBZ, symbol sił sprzymierzonych biorących udział w wojnie. Osobliwym zrządzeniem losu w szeregach Ligi Weteranów znajdowali się oficerowie walczący wówczas pod sztandarem wroga. Ale generał to generał i drobne różnice zatarły się wraz z upływem czasu.

Pierwsze rzędy zajmowali wysoko postawieni członkowie dowodzenia AFSPBZ. Za nimi siedzieli młodszy oficerowie. Chorągwie legionowe łopotały różnorodnością barw i symboli. Zebranie przybrało wymiar uroczystego widowiska. Na mównicy siedzieli zasępieni dygnitarze Ligi Weteranów, wszyscy pogrążeni w pełnym napięcia oczekiwa-



niu. Na odległych krańcach zbiorowiska kręciło się kilka rzekomo pilnujących porządku jednostek policyjnych. W rzeczywistości byli to informatorzy, którzy mieli za zadanie przeprowadzenie obserwacji. Jeśli porządek zostanie zachowany, armia go utrzyma.

Wiatr niósł przytłumiony zgiełk głosów zgromadzonych ciasno ludzi. Gdy Anderton przeciskał się przez zwartą masę ciał, pochłaniała go ich namacalna obecność. Wszystkich owładnęło gorączkowe oczekiwanie. Tłum zdawał się wyczuwać niecodzienne widowisko. Anderton z trudem wyminął rzędy krzeseł i podszedł do ciasnej gromadki oblegających skraj podestu dostojników.

Wśród nich znajdował się Kaplan. Teraz jednak był to generał Kaplan.

Kamizelka, złoty kieszonkowy zegarek, laska, konserwatywny garnitur biznesmena — wszystko znikło. Na tę okazję Kaplan wyjął z szafy i przewietrzył swój stary mundur, dzięki czemu znikł zapach naftaliny. Wyprostowany jak struna i imponujący, stał otoczony niedobitkami dawnego sztabu generalnego. Przypiął liczne odznaczenia i medale, włożył oficerki oraz czapkę z daszkiem. Przeobrażenie łysego starca, które dokonało się dzięki czapce oficerskiej, było zgoła niewyobrażalne.

Widząc Andertona, generał Kaplan odłączył się od pozostałych i podszedł do przysza. Wyraz zadowolenia na jego wychudłej, ruchliwej twarzy dobitnie świadczył o radości wywołanej widokiem komisarza policji.

— Co za niespodzianka — zawołał, wyciągając do Andertona drobną dłoń w szarej rękawiczce. — Wydawało mi się, że został pan aresztowany przez sprawującego urząd komisarza.

— Wciąż jestem na wolności — odparł zwięźle Anderton. Wymienili uściski. — Ostatecznie Witwer na tę samą taśmę. — Wskazał na pakunek w ręku Kaplana i pewnie spojrzał mu w oczy.

Mimo zdenerwowania generał Kaplan był w doskonałym humorze.

— To wspaniała okazja dla armii — oznajmił. — Ucieszy pana wieść, że zamierzam publicznie ogłosić fakt przedstawienia panu kłamliwych zarzutów.

— To dobrze — odparł obojętnie Anderton.

— Ujawnimy, że został pan niesłusznie oskarżony. — Generał Kaplan próbował zbadać zakres wiedzy Andertona. — Czy Fleming miał okazję zapoznać pana ze szczegółami?

— Do pewnego stopnia — odpowiedział Anderton. — Czy chce pan przeczytać tylko raport mniejszości? Czy to wszystko, co pan tam ma?

— Chcę porównać go z raportem większości. — Na znak Kaplana adiutant przyniósł skórzaną teczkę. — Wszystko jest tutaj, wszystkie potrzebne nam dowody — powiedział. — Nie ma pan nic przeciwko temu, abym użył pana jako przykład, prawda? Pański przypadek symbolizuje niesprawiedliwe aresztowania rzeszy niewinnych jedno-

stek. — Generał Kaplan sztywnym ruchem podniósł do oczu zegarek. — Pora zaczynać. Stanie pan obok mnie na mównicy?

— Po co?

Chłodno, lecz z tłumionym zapałem generał Kaplan powiedział:

— Aby mogli ujrzeć żywe potwierdzenie moich słów. Pan i ja — morderca i jego ofiara. Stojący ramię w ramię, zadając kłam oszczerzym machinacjom policji.

— Chętnie — zgodził się Anderton. — Na co czekamy?

Zmieszany Kaplan podążył w stronę mównicy. Ponownie spojrzął niepewnie na Andertona, jak gdyby zastanawiał się nad celem jego przybycia oraz tym, co naprawdę wiedział. Jego niepewność przybrała na sile, kiedy Anderton ochoczo wspiął się na podium i znalazł sobie miejsce tuż obok mównicy.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, o czym będę mówić? — zapytał generał Kaplan. — Ujawnienie faktów pociągnie za sobą znaczne reperkusje. Może sprawić, że Senat ponownie rozważy rzeczywiste znaczenie systemu Prewencji.

— Rozumiem — odparł Anderton. — Proszę zaczynać.

Wśród zgromadzonych zapadła cisza. Lecz kiedy generał Kaplan sięgnął po teczkę i przystąpił do układania dokumentów przed sobą, od strony tłumu dobiegł niespokojny, gorączkowy pomruk.

— Człowiek siedzący obok mnie — zaczął zduszonym głosem — jest wam dobrze znany. Jego widok być może budzi w was zdziwienie, gdyż jeszcze niedawno policja ścigała go jako niebezpiecznego przestępcę.

Oczy tłumu skupiły się na Andertonie. Łakomie spoglądano na jedynego potencjalnego mordercę, którego dane im było oglądać z tak niewielkiej odległości.

— Jednakże w ciągu ostatnich kilku godzin — ciągnął generał Kaplan — rozkaz został odwołany; czy dlatego, że były komisarz dobrowolnie oddał się w ręce policji? Nie, niezupełnie o to chodzi. On siedzi tutaj. Nie poddał się, po prostu policja przestała się nim interesować. John Allison Anderton nie był, nie jest i nie będzie winny żadnej zbrodni. Przedstawione mu zarzuty były stekiem kłamstw, diabolicznym skrzywieniem skażonego systemu karnego opartego na fałszywych zasadach — wielkiej, bezosobowej maszyny skazującej na zagładę setki ludzi.

Urzeczony tłum przenosił wzrok z Kaplana na Andertona. Wszyscy znali zarys sytuacji.

— Wielu ludzi zostało schwytanych i osadzonych w obozach zgodnie z założeniami tak zwanej profilaktycznej struktury prewencyjnej — podjął generał Kaplan silnym i nabrzmiałym z emocji głosem. — Oskarżono ich nie o popełnione zbrodnie, lecz o zbrodnie, które dopiero popełnią. Zakłada się, że ci ludzie, gdyby pozostawić ich na wolności, w pewnym momencie dopuściliby się przestępstwa.

— Jednakże niezawodna wiedza na temat przyszłości nie istnieje. Samo pojawienie się informacji prekognitywnej natychmiast ją wyklucza. Stwierdzenie, że ten oto człowiek popełni w przyszłości jakąś zbrodnię, to paradoks. W każdym przypadku, bez wyjątku, raport trojga jasnowidzów policji unieważnił ich własne dane. Gdyby nie dokonano żadnych aresztowań, i tak nie doszłoby do przestępstw.

Anderton słuchał od niechcienia, pozwalając słowom swobodnie przepływać przez swoją świadomość. Tłum jednakże przysłuchiwał się z ogromnym zainteresowaniem. Generał Kaplan przedstawiał właśnie główne aspekty raportu mniejszości. Wyjaśniał jego istotę i to, w jaki sposób doszło do jego powstania.

Anderton wysunął pistolet z kieszeni płaszcza i położył go sobie na kolanach. Kaplan odsunął od siebie raport mniejszości, prekognitywny materiał uzyskany od „Jerry’ego”. Jego cienkie, kościste palce sięgnęły po streszczenie pierwszego, „Donny”, a potem drugiego, „Mike’a”.

— To był oryginalny raport większości — oświadczył. — Założenie, że Anderton dopuści się morderstwa, przedstawione przez dwoje pierwszych jasnowidzów. Teraz przedstawię wam automatycznie wykluczony materiał. — Wyjął okulary bez oprawek, nasadził je na nos i powoli zaczął czytać.

Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Urwał, zająknął się i zamilkł na dobre. Kartki wypadły z jego rąk. Niczym osaczone zwierzę raptownie obrócił się na pięcie i pochylony opuścił mównicę.

Anderton ujrzał w przelocie jego wykrzywioną twarz. Wstał, uniósł pistolet, postąpił krok do przodu i oddał strzał. Zaplątany w rzędy nóg wystających spod krzeseł ustawionych na podeście Kaplan wydał z siebie piskliwy okrzyk bólu i przerażenia. Zachwiał się jak zraniony ptak i trzepocząc rękami, runął z podestu na ziemię. Anderton podszedł do barierki, ale rzut oka powiedział mu, że kolejny strzał był zbędny.

Kaplan, zgodnie z przepowiednią zawartą w raporcie większości, był martwy. W jego wątlej piersi ziała czarna, dymiąca dziura, z której przy każdym ruchu konającego osypywał się suchy pył.

Ogarnięty mdłościami Anderton odwrócił się i przeszedł pomiędzy rzędami zdumionych oficerów, którzy wstawali ze swoich miejsc. Trzymany w ręku pistolet gwarantował mu tymczasowe bezpieczeństwo. Zeskoczył z podestu i wkroczył w skłębioną masę stłoczonych na dole ludzi. Wszyscy ze zgrozą wyjęli wzrok. Incydent, który wydarzył się na ich oczach, przechodził wszelkie wyobrażenia. Upłynie dużo czasu, nim zrozumienie tego, co się stało, zastąpi ślepe przerażenie.

Na peryferiach tłumu dostał się w ręce czekającej policji.

— Ma pan szczęście, że w ogóle stamtąd wyszedł — szepnął jeden, kiedy samochód ostrożnie podążał do przodu.

— Chyba tak — odrzekł słabo Anderton. Wcisnął się w fotel, próbując dość do siebie. Trząsł się na całym ciele i kręciło mu się w głowie. Gwałtownie pochylił się do przodu i zwymiotował.

— Biedak — mruknął ze współczuciem jeden z policjantów.

Przez mgłę rozpacz i mdłości Anderton nie był w stanie określić, czy tamten miał na myśli Kaplana, czy jego.

## X

Czterech krzepkich policjantów pomagało Lisie i Johnowi Andertonom w pakowaniu i załadowywaniu ich dobytku. W ciągu pięćdziesięciu lat były komisarz policji zgromadził wiele dóbr materialnych. Pograżony w zadumie spoglądał na kolumnę skrzyń zmierzających w kierunku czekających ciężarówek.

Ciężarówki zabiorą je prosto na lotnisko, stamtąd zaś polecą na Centaura X. Długa podróż jak dla starszego człowieka. Ale przynajmniej nie będzie musiał udać się w drogę powrotną.

— Przedostatnia skrzynia — powiedziała pochłonięta zadaniem Lisa. W swetrze i spodniach biegała po opustoszałych pokojach, doglądając ostatnich szczegółów. — Chyba nie będziemy mogli korzystać z tych nowych urządzeń atronicznych. Oni nadal mają tam elektryczność.

— Mam nadzieję, że zbytnio cię to nie martwi — odparł Anderton.

— Przyzwyczajmy się — skwitowała Lisa, uśmiechając się do niego przelotnie. — Prawda?

— Mam nadzieję. Jesteś pewna, że nie będziesz niczego żałować? Gdybym myślał...

— Nie będę — zapewniła go Lisa. — A teraz pomóż mi z tą skrzynią.

Kiedy wsiadali do pierwszej ciężarówki, samochodem patrolowym nadjechał Witwer. Wskoczywszy z wozu, podbiegł do nich z dziwnie niespokojnym wyrazem twarzy.

— Zanim odjedziesz — powiedział do Andertona — musisz wytłumaczyć mi tę sytuację z jasnowidzami. Senat nie daje mi spokoju. Chcą wiedzieć, czy środkowy raport, cofnięcie, był pomyłką — a jeśli nie, to czym? — I dodał z zakłopotaniem: — W dalszym ciągu nie potrafię tego wyjaśnić. Raport mniejszości był błędny, prawda?

— Który raport mniejszości? — zapytał z rozbawieniem Anderton.

Witwer zamrugnął.

— A więc to tak. Mogłem się tego spodziewać.

Siedząc w kabinie ciężarówki, Anderton wyjął fajkę i nasypał do niej tytoniu. Zapalił go zapalniczką Lisy. Lisa wróciła do domu, chcąc upewnić się, czy nic nie zostało przeoczone.

— Istniały trzy raporty mniejszości — powiedział do Witwera, bawiąc się jego zakłopotaniem. Któregoś dnia Witwer nauczył się nie pchać w sytuacje, których nie rozumie. Satysfakcja była jedyną odczuwaną przez niego emocją. Choć stary i niepotrzebny, jedynie on rozumiał istotę problemu.

— Trzy raporty nastąpiły bezpośrednio po sobie — wyjaśnił. — Pierwszy pochodził od „Donny”. W tej ścieżce czasowej Kaplan powiadomił mnie o spiskującej zaś niezwłocznie pozbawiłem go życia. „Jerry”, wyprzedzający nieco „Donnę”, wykorzystał jej raport jako dane. Zawarł w swoim raporcie moją znajomość wydarzeń. Tamże, w drugiej ścieżce czasowej, moim jedynym celem było utrzymanie się na stanowisku. To nie Kaplana chciałem zabić. Miałem na uwadze jedynie swoją pozycję.

— „Mike” był trzecim raportem? Tym, który nastąpił po raporcie mniejszości? — Witwer poprawił się. — To znaczy, pojawił się ostatni?

— „Mike” był ostatni spośród trzech, tak jest. Znając pierwszy raport, postanowiłem nie zabijać Kaplana. To spowodowało raport numer dwa. Jednakże wraz z tym raportem, ponownie zmieniłem zdanie. Raport drugi, sytuacja druga to ta, do której dążył Kaplan. Przywrócenie pierwszej wersji przyniosłoby korzyść policji. Wtedy zaś myślałem już właśnie o niej. Zorientowałem się w działaniach Kaplana. Raport trzeci wykluczył drugi w taki sam sposób, jak drugi wykluczył pierwszy. To przywiodło nas do punktu wyjścia.

Nadbiegła zdyszana Lisa.

— Jedźmy... wszystko zapakowane. — Zwinnie wspięła się do kabiny i wcisnęła pomiędzy męża i kierowcę. Ten ostatni posłusznie uruchomił samochód. Za nim podążyli następni.

— Każdy raport był inny — uzupełnił Anderton. — Każdy był wyjątkowy. Ale dwa z nich zgadzały się co do jednego. Pozostawiony na wolności, zabiję Kaplana. To stworzyło iluzję raportu większości. W gruncie rzeczy chodziło tylko o to — o iluzję. „Donna” i „Mike” przewidzieli to samo wydarzenie, ale na dwóch odrębnych ścieżkach czasowych i w wyniku całkiem odmiennych sytuacji. „Donna” i „Jerry”, tak zwany raport mniejszości i połowa raportu większości, byli w błędzie. Z całej trójki tylko „Mike” miał rację — dlatego że nie nastąpił po nim żaden raport, który mógł go wykluczyć. To by było tyle.

Zatroskany Witwer szedł obok ciężarówki z pomarszczoną ze zmartwienia twarzą.

— Czy to znów się wydarzy? Czy powinniśmy przeprowadzić gruntowny przegląd całej struktury?

— To może zdarzyć się tylko w jednej sytuacji — odrzekł Anderton. Mój przypadek był wyjątkowy, gdyż miałem dostęp do danych. Historia może się powtórzyć — ale tylko w przypadku następnego komisarza policji. Tak więc miej się na baczności. — Uśmiechnął się nieznacznie, czerpiąc niemalą satysfakcję z niepokoju Witwera. Usta siedzącej obok Lisy drgnęły i kobieta wyciągnęła dłoń, by przykryć nią jego rękę.

— Miej oczy szeroko otwarte — poradził Witwerowi. — Może ci się to przytrafić w każdej chwili.

# **MECHANIZM PAMIĘCI**

Nazywam się Humphrys — powiedział analityk. — Jestem człowiekiem, z którym miał pan się spotkać. — Na twarzy pacjenta widniał taki lęk i wrogość, że Humphrys dodał: — Mógłbym opowiedzieć dowcip o analitykach. Czy to poprawi panu nastrój? Albo mógłbym przypomnieć panu, że Narodowy Trust Zdrowotny opłaca moje honorarium, nie kosztuje to pana ani centa. Mógłbym też przytoczyć historię pewnego psychoanalityka, który z powodu rosnącej niepewności wynikającej z oszukańczo wypełnionego zeznania podatkowego w ubiegłym roku popełnił samobójstwo.

Pacjent uśmiechnął się z ociąganiem.

— Słyszałem o tym. A więc i psychoanalitycy nie są nieomylni. Wstał i wyciągnął rękę. — Paul Sharp. Moja sekretarka umówiła mnie z panem. Mam mały problem nic ważnego, ale chciałbym go rozwiązać.

Wyraz jego twarzy jasno wskazywał, że wcale nie chodziło o mały problem i że jeżeli go nie rozwiąże, ten pewnie zrujnuje mu życie.

— Zapraszam do środka — powiedział łagodnie Humphrys, otwierając drzwi gabinetu. — Tutaj będziemy mogli usiąść.

Usadowiwszy się na miękkim fotelu, Sharp rozprostował nogi.

— Nie ma kozetki — zauważył.

— Ten sposób porozumiewania się z pacjentem zanikł około 1980 roku — odparł Humphrys. — Powojenni analitycy czują się wystarczająco pewnie, aby zmierzyć się z pacjentami na równym poziomie. — Poczęstował Sharpa papierosem, po czym sam zapalił jednego. — Pańska sekretarka nie podała żadnych szczegółów, powiedziała jedynie, że potrzebuje pan porady.

— Czy mogę mówić bez ogródek? — zapytał Sharp.

— Mam związane ręce — oświadczył dumnie Humphrys. — Jeśli podane przez pana informacje wpadną w ręce organizacji bezpieczeństwa, będę zmuszony wypłacić około dziesięciu tysięcy dolarów w srebrze Bloku Zachodniego — twardą gotówkę, żadnych czeków.



— To mi wystarczy — odrzekł Sharp i zaczął: — Jestem ekonomistą, pracuję dla Departamentu Rolnictwa — Działu Powojennej Naprawy Szkód. Zaglądam do lejów po bombach w poszukiwaniu czegoś, co warto zreperować. Mówiąc dokładnie, analizuję raporty na temat tychże lejów i piszę rekomendacje. Dzięki jednej z nich przywrócono tereny rolnicze wokół Sacramento oraz okręg przemysłowy tutaj, w Los Angeles.

Humphrysa ogarnął mimowolny podziw. Miał przed sobą człowieka z rządowej sekcji planowania. Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że Sharp, podobnie jak każdy inny nękanym lękami obywatel, szukał pomocy we Froncie Psychiatrycznym.

— Moja szwagierka odniosła spore korzyści z oddania terenów wokół Sacramento — powiedział Humphrys. — Miała tam niewielki sad orzechowy. Rząd usunął z okolicy pył, odbudował dom i budynki gospodarcze, a nawet ofiarował jej kilka tuzinów nowych drzew. Poza kontuzja nogi, powodzi jej się równie dobrze jak przed wojną.

— Jesteśmy zadowoleni z projektu Sacramento — przyznał Sharp. Zaczął się poćić, jego gładkie, blade czoło było mokre, trzymająca papierosa dłoń dygotała. — Oczywiście, mam słabość do północnej Kalifornii. Sam się tam urodziłem, w okolicach Petalumy, gdzie milionami produkowano kurze jaja... — Jego głos urwał się chrapliwie. — Humphrys — mruknął — co ja mam robić?

— Przede wszystkim — odrzekł Humphrys — proszę podać mi więcej informacji.

— Ja... — Sharp uśmiechnął się bezmyślnie. — Gnębi mnie pewien rodzaj halucynacji. Mam to od lat, ale zjawisko się nasila. Próbowałem je bagatelizować, ale... — machnął ręką — to wraca, jeszcze silniejsze, większe i częstsze.

Ustawione obok biurka Humphrysa rejestratory audio i wideo dyskretnie rejestrowały rozmowę.

— Proszę powiedzieć, na czym polegają te halucynacje — zachęcił. Wtedy może zdolałam ustalić ich przyczynę.

Był zmęczony. W odosobnieniu swojego salonu spoglądał bezmyślnie na stertę raportów dotyczących mutacji marchwi. Pozornie w niczym nieodbiegająca od normy odmiana sprawiała, że ludzie w Oregonie i Missisipi lądowali w szpitalach z konwulsjami, gorączką i częściową ślepotą. Dlaczego właśnie Oregon i Missisipi? Do sprawozdania dołączono zdjęcia feralnej mutacji; wyglądała jak zwykła marchew. Za raportem następowała wyczerpująca analiza toksycznego składnika oraz polecenie znalezienia antidotum.

Sharp ze znużeniem odrzucił raport na bok i sięgnął po następny z kolei.

Według drugiego sprawozdania, szczur z Detroit pokazał się w St. Louis i Chicago, zakażając osady przemysłowe i rolnicze zajmujące miejsce zniszczonych miast. Szczur z Detroit — widział kiedyś jednego, trzy lata temu. Wracając pewnego wieczora do domu, otworzył drzwi, ujrzał w ciemnościach umykający kształt. Uzbrojony w młotek odsuwał meble, wreszcie go nie znalazł. Szczur, ogromny i szary, znajdował się w trakcie

budowania łączącej dwie ściany pajęczyny. Kiedy zwierzę skoczyło, zabił je młotkiem. Szczur przędący pajęczynę...

Sprowadził oficjalnego eksterminatora i zgłosił istnienie nowej odmiany szczura.

Z ramienia rządu powstała Agencja Talentów Specjalnych, mająca na celu wykorzystanie parazdolności mutantów wojennych pochodzących z przesiąkniętych promieniowaniem obszarów. Jednakże, doszedł do wniosku, agencja brała pod uwagę tylko ludzkich mutantów oraz ich telepatyczne, prekognitywne i inne tego typu zdolności. Trzeba było pomyśleć również o Agencji Talentów Specjalnych dla warzyw i szkodników.

Zza jego krzesła dobiegł ukradkowy odgłos. Odwróciwszy się pospiesznie, Sharp stanął twarzą w twarz z wysokim, chudym mężczyzną w burym prochowcu i z cygarem w dłoni.

— Przestraszyłem cię? — zapytał Giller i prychnął. — Spokojnie, Paul. Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć.

— Pracowałem — usprawiedliwił się Sharp, częściowo odzyskując równowagę.

— Widzę — odrzekł Giller.

— I rozmyślałem o szczurach. — Sharp odsunął na bok dokumenty. Jak wszedłeś do środka?

— Drzwi były otwarte. — Giller zdjął prochowiec i rzucił go na tapczan. — Zgadza się, zabiłeś jednego z Detroit. Tutaj, w tym pokoju. — Rozejrzał się po schludnym, bezpretensjonalnym salonie. — Czy te stworzenia są zabójcze?

— Zależy, z której strony zaatakują. — Sharp poszedł do kuchni i wyjął z lodówki dwa piwa. Nalewając, powiedział: — Nie powinni marnować zboża na to świństwo... ale dopóki to robią, żal nie pić.

Giller ochoczo sięgnął po szklanekę.

— Chyba miło być grubą rybą i pić podobne luksusy. — Z namysłem omiół kuchnię spojrzeniem małych, ciemnych oczek. — Własny piec, własna lodówka. No i piwo — dodał, cmokając. — Nie piłem go od sierpnia.

— Jakoś przeżyjesz — odrzekł bezlitośnie Sharp. — Czy to wizyta w interesach? Jeśli tak, przechodź do rzeczy, mam masę roboty.

— Chciałem tylko przywitać się z Petalumanem takim jak ja — powiedział Giller.

— Zabrzmiało prawie jak nazwa paliwa syntetycznego — odparł z grymasem Sharp.

Giller nie okazał rozbawienia.

— Wstydzisz się tego, że pochodzisz z regionu, który kiedyś był...

— Wiem, wiem. Jajeczną stolicą wszechświata. Czasem zastanawiam się... ile kurzych piór fruwało w powietrzu tego dnia, gdy w nasze miasto uderzyła pierwsza bomba wodorowa?

— Miliardy — odparł grobowym tonem Giller. — Niektóre z nich należały do mnie. To znaczy do moich kur. Twoja rodzina miała gospodarstwo, prawda?

— Nie — odpowiedział Sharp, nie chcąc w żaden sposób utożsamiać się z Gillerem. — Moja rodzina miała drogerię przy autostradzie 101. Jeden blok od parku, niedaleko sklepu sportowego. — I dorzucił pod nosem: — Idź do diabła. Nie mam zamiaru zmienić zdania. Możesz przez resztę życia koczować na moim progu, to nic nie da. Petaluma nie jest aż tak ważna. Zresztą kury już i tak nie żyją.

— Jak odbudowa Sacramento? — zapytał Giller.

— W porządku.

— Znowu pełno tam orzechów?

— Wyłóżą ludziom uszami.

— Myszy wchodzą w łuski pocisków?

— Tysiącami. — Sharp upił łyk piwa; było dobrej jakości, prawdopodobnie w niczym nie odbiegało od przedwojennego. Nie mógł wiedzieć tego na pewno, gdyż w 1961 roku, kiedy wybuchła wojna, miał zaledwie sześć lat. Jednakże smak piwa przywodził mu na myśl minione lata: był to smak dobrobytu, beztroski i zadowolenia.

— Według naszych obliczeń — rzucił chrapliwie Giller z zachłannym błyskiem w oczach — okolice Petaluma i Sonomy można by odbudować za sumę około siedmiu miliardów waluty Bloku Zachodniego. To pestka w porównaniu z kwotami, jakie obecnie łożycie.

— Z kolei Petaluma i Sonoma to pestka w porównaniu z odbudowywanymi przez nas regionami — odrzekł Sharp. — Czy według ciebie potrzebujemy jaj i wina? Potrzebujemy natomiast maszyn. Czyli Chicago, Pittsburgha, Los Angeles, St. Louis i...

— Zapomniałeś — przerwał mu Giller — że jesteś Petalumanem. Wypierasz się swoich korzeni... i obowiązków.

— Obowiązków! Uważasz, że rząd zatrudnił mnie po to, bym służył interesom jednego marnego obszaru rolniczego? — Sharp poczerwieniał i gniewu. — Jeśli o mnie chodzi...

— Jesteśmy twoimi krajanami — odparł nieugięcie Giller. — To my powinniśmy najbardziej się liczyć.

Pozbywszy się natręta, Sharp przez chwilę stał w ciemnościach, spoglądając za odjeżdżającym samochodem. Cóż, powiedział do siebie, tak wygląda kolej rzeczy na świecie, najpierw ja, a cała reszta może sobie iść do diabła.

Z westchnieniem ruszył ścieżką w kierunku werandy. W oknach przyjaźnie połyskiwały światła. Drżąc, wyciągnął rękę i po omacku sięgnął do balustrady.

Wówczas, kiedy niezgrabnie pisał się po schodach, wydarzyło się coś strasznego.

Światła w oknach raptownie zgasły. Balustrada rozplynęła się pod palcami. W jego uszach rozbrzmiał ogłuszającym odgłos przeraźliwego zawrota głowy. Leciał w dół.

Rozpaczliwie próbował uchwycić się czegoś, lecz otaczał go jedynie mrok, żadnej namacalnej materii, tylko otwarta pod nim czeluść i jego własny przerażony krzyk.

— Pomocy! — krzyknął. Daremne wołanie odbiło się echem. — Spadam!

Naraz spostrzegł, że leży zdyszany na wilgotnym trawniku, ściskając w dłoniach trawę i grudki ziemi. Zaledwie dwie stopy od werandy w ciemności nie zauważył pierwszego schodka, poślizgnął się i upadł. Zwykła sprawa: światła w oknach znikły przysłonięte betonową balustradą. Sytuacja rozegrała się w ułamku sekundy, on zaś przeleciał nie więcej niż długość własnego ciała. Po czole spłynęła mu krew; upadając, skaleczył się.

Idiotyzm. Dziecinny, irytujący incydent.

Roztrzęsiony wstał z ziemi i chwiejnie wszedł po schodach na górę. W domu zdyszany oparł się o ścianę, nie panował nad drżeniem. Stopniowo strach ulotnił się, ustępując miejsca rozsądkowi.

Dlaczego tak bardzo bał się upadku?

Należało coś zrobić. To było gorsze niż przedtem, gorsze nawet niż chwila, kiedy potknął się, wychodząc z windy w swoim biurze — i podniósł pełen przerażenia krzyk na korytarzu, na którym roiło się od ludzi.

Co by się stało, gdyby naprawdę upadł? Gdyby, na przykład, zsunął się z jednej z podniebnych ramp łączących główne biurowce w Los Angeles? Osłony bezpieczeństwa zapobiegłyby upadkowi; chociaż ludzie zsuwali się co chwila, nigdy nie zdarzył się tragiczny wypadek. Dla niego jednak wstrząs psychiczny mógłby okazać się śmiertelny. Byłby śmiertelny; przynajmniej dla jego umysłu.

Zanotował w myślach: nigdy więcej ramp. Pod żadnym pozorem. Unikał ich od lat, od tej pory jednak umieścił je w tej samej kategorii co podróże lotnicze. Od 1982 roku nie opuścił powierzchni planety, a w ciągu ostatnich lat rzadko odwiedzał biura znajdujące się powyżej dziesiątego piętra.

Ale gdyby przestał korzystać z ramp, jakże miałby dostać się do swoich kartotek badawczych? Droga do działu kartotek prowadziła tylko przez rampę; wąska metalowa ścieżka wychodząca z sekcji biurowej.

Spocony i przerażony opadł na tapczan i skulony rozmyślał nad tym, jakim sposobem zdoła kontynuować swoją pracę.

I jakim sposobem uda mu się przeżyć.

Humphrys czekał, ale opowieść pacjenta najwyraźniej dobiegła końca.

— Czy poprawi panu samopoczucie informacja — zapytał — że strach przed upadkiem to popularna fobia?

— Nie — odrzekł Sharp.

— Pewnie rzeczywiście nie ma powodu, aby tak się stało. Mówi pan, że to uczucie ogarniało pana już wcześniej? Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy?

— Kiedy miałem osiem lat. Wojna trwała od dwóch lat. Byłem na powierzchni, ogłądałem swój warzywniak. — Sharp uśmiechnął się blado. Nawet jako dziecko hodowałem różne rośliny. Sieć San Francisco namierzyła radziecką raketę i wszystkie wieże ostrzegawcze rozdzwoniły się na alarm. Znajdowałem się niemal u szczytu schronu. Podbiegłem do wjazdu, uniosłem pokrywę i ruszyłem na dół po schodach. U stóp schodów stali moi rodzice. Wołaniem naglili mnie do pośpiechu. Zacząłem biec po schodach.

— I upadł pan? — zapytał w oczekiwaniu Humphrys.

— Nie upadłem; ni stąd, ni zowąd przestraszyłem się. Nie mogłem zrobić ani kroku dalej; po prostu stałem w miejscu. Oni nie przestawali krzyczeć. Chcieli zaśrubować dolny wjazd. Nie mogli tego uczynić, dopóki byłem na górze.

— Pamiętam te stare dwupoziomowe schrony — zauważył z cieniem niechęci Humphrys. — Ciekawe, ilu ludzi utknęło pomiędzy górnym wjazdem a dolnym. — Popatrzył uważnie na pacjenta. — Czy jako dziecko słyszał pan o podobnych wypadkach? O ludziach uwięzionych na schodach, pozbawionych możliwości zejścia na dół lub wejścia na górę...

— Nie bałem się uwięzienia! Bałem się upadku... przerażała mnie myśl, że runę jak długi głową w dół. — Sharp oblizal wyschnięte wargi. Odwróciłem się więc... — Zadrżał. — Wróciłem na górę i wyszedłem na zewnątrz.

— Podczas nalotu?

— Zestrzelili raketę. Ale ja podczas alarmu pielęgnowałem warzywa. Rodzina potem stłukła mnie prawie do nieprzytomności.

Źródło poczucia winy, pomyślał Humphrys.

— Następny raz — ciągnął Sharp — wydarzył się, kiedy miałem czternaście lat. Wojna skończyła się kilka miesięcy wcześniej. Pojechaliśmy zobaczyć, co zostało z naszego miasta. Nie zostało nic poza głębokim na kilkaset mil kraterem pełnym radioaktywnej substancji. Ekipy robocze schodziły w głąb krateru. Stałem na brzegu i obserwowałem je. Ogarnął mnie strach. — Zgasił papierosa i odczekał, aż analityk poda mu następnego. — Potem opuściłem tamtą okolicę. Co noc śniłem o kraterze, o wielkich, martwych ustach. Zatrzymałem ciężarówkę wojskową i pojechałem do San Francisco.

— A następny raz? — zapytał Humphrys.

— Ciągle, za każdym razem kiedy znajduję się na wysokości — odparł z irytacją Sharp. — Za każdym razem gdy wchodzę po schodach, w sytuacjach, kiedy jestem wysoko i mogę spaść. Ale bać się wejść na werandę własnego domu... — Urwał na chwilę. — Nie mogę wejść po trzech schodach — rzucił rozpaczliwie. — Po trzech betonowych schodach.

— Jakieś nieprzyjemne incydenty poza tymi, o których pan wspomniał?

— Kochałem się w ładnej, ciemnowłosej dziewczynie mieszkającej na najwyższym piętrze Apartamentów Atchesona. Pewnie nadal tam mieszka; nie mam pojęcia. Pokonałem pięć czy sześć pięter, po czym pożegnałem ją i zszedłem na dół. Musiała pomyśleć, że zwariowałem — dodał ironicznie

— Coś jeszcze? — zapytał Humphrys, odnotowując w myślach wystąpienie aspektu seksualnego.

— Pewnego razu musiałem odrzucić ofertę pracy, gdyż wymagała podróży samolotem. Chodziło o inspekcję projektów rolniczych.

— Dawni analitycy próbowali dociec źródła fobii — powiedział Humphrys. — Teraz stawiamy pytanie: co ona powoduje? Zazwyczaj oferuje jednostce wyjście z sytuacji, którą ta podświadomie odrzuca.

Pełen niesmaku Sharp zaczerwienił się.

— Nie stać pana na nic więcej?

— Nie twierdzę, że przychyliam się do tej teorii lub że znajduje ona zastosowanie w pańskim przypadku — mruknął zażenowany Humphrys. Powiem jednak, że to nie upadek budzi w panu największy strach. Chodzi o coś, z czym on się panu kojarzy. Przy odrobinie szczęścia możemy ustalić doświadczenie prototypowe — to, co niegdyś nosiło nazwę pierwotnego incydentu traumatycznego. — Powstawszy, przyciągnął bliżej wieżę złożoną z elektronicznych luster. — Moja lampa — wyjaśnił. — Stopi bariery.

Sharp zmierzył lampę pełnym obawy spojrzeniem.

— Niech pan posłucha — mruknął. — Nie potrzebuję rekonstrukcji umysłu. Może jestem neurotykiem, ale jestem dumny ze swojej osobowości.

— To nie wpłynie na pańską osobowość. — Pochyliwszy się, Humphrys włączył lampę. — To wywoła materiał niedostępny pańskiemu ośrodkowi myślowemu. Prześledzę etapy pańskiego życia celem wykrycia zdarzenia, podczas którego wyrządzono panu ogromną krzywdę — i ustalę rzeczywistą przyczynę pańskich lęków.

Krążyły dokoła niego czarne kształty. Sharp z krzykiem usiłował oswobodzić się z uścisku palców zaciśniętych na jego rękach i nogach. Kaszląc, osunął się do przodu. Z ust pociekła mu krew i ślina oraz okruchy połamanych zębów. Na moment rozblęzło oślepiające światło; obserwowano go.

— Jest martwy? — zapytał głos.

— Jeszcze nie. — Na próbę wymierzono mu kopniaka. Na wpół świadomie usłyszał trzask pękających żeber. — Prawie.

— Słyszysz mnie, Sharp? — syknął mu do ucha głos.

Nie zareagował. Leżał, usiłując pozostać przy życiu, usiłując nie kojarzyć swojej osoby z połamaną i wymęczoną powłoką, która kiedyś była jego ciałem.

— Wyobrażasz sobie pewnie — podjął konspiracyjnie znajomy głos że powiem, iż masz ostatnią szansę. Ale nie masz, Sharp. Twoja szansa straciła rację bytu. Powiem ci, co z tobą zrobimy.

Dyszając, próbował nie słuchać. I daremnie próbował nie czuć tego, co mu robili.

— Dobrze — oznajmił głos, kiedy doprowadzono rzecz do końca. A teraz wyrzucie go.

To, co zostało z Paula Sharpa, zaciągnięto do okrągłego włazu. Ogarnął go mglisty zarys ciemności, po czym bezlitośnie wrzucono go w czeluść. Runął w dół, ale tym razem nie dobył z siebie żadnego krzyku.

Pozbawiono go wszelkich narządów, za pomocą których mógł wyartykułować jakikolwiek odgłos.

Wyłączywszy lampę, Humphrys pochylił się i potrząsnął skuloną postacią.

— Sharp! — rozkazał głośno. — Obudź się! Wracaj!

Mężczyzna jęknął, zamrugał powiekami i drgnął. Jego twarz stężała w wyrazie bezbrzeżnej męczarni.

— Boże — szepnął z pustką w oczach i ciałem pozbawionym energii. — Oni...

— Jest pan z powrotem — uspokoił go wstrząśnięty odkryciem Humphrys. — Nie ma czym się martwić; jest pan absolutnie bezpieczny. To minęło... wydarzyło się wiele lat temu.

— Minęło — powtórzył żałośnie Sharp.

— Wrócił pan do teraźniejszości. Rozumie pan?

— Tak — mruknął Sharp. — Ale... co to było? Wypchnęli mnie... przez coś i spadłem. Poleciałem w dół. — Dygotał na całym ciele. — Spadłem.

— Wypadł pan przez właz — powiedział spokojnie Humphrys. — Pobito pana i dotkliwie okaleczono... sądzili, że śmiertelnie. Ale przetrwał pan. Żyje. Wyszedł z tego.

— Dlaczego oni to zrobili? — zapytał załamany Sharp. Z rozpaczą skrzywił poszarzałą twarz. — Proszę mi pomóc, Humphrys...

— Nie pamięta pan, kiedy to się zdarzyło?

— Nie.

— A gdzie?

— Nie. — Twarz Sharpa wykrzywił spazmatyczny grymas. — Próbowali mnie zabić... zabili mnie! — Nic takiego mi się nie przydarzyło — zaprotestował, prostując się gwałtownie. — Na pewno bym pamiętał. To fałszywe wspomnienia... ktoś manipulował moją pamięcią!

— Stłumił pan to wspomnienie — odparł stanowczo Humphrys. W wyniku doznanego cierpienia i szoku głęboko ukrył je w swoim umyśle. To rodzaj amnezji — odzwierciedlającej się pośrednio w formie pańskiej fobii. Teraz gdy przypomniał pan sobie...

— Czy muszę tam wrócić? — zawołał histerycznie Sharp. — Czy znowu muszę leżeć pod tą cholerną lampą?

— Trzeba wywołać to na płaszczyznę świadomości — powiedział Humphrys. — Ale nie wszystko naraz. Zrobił pan na dzisiaj swoje.

Osląbły z ulgi Sharp oparł się o krzesło.

— Dzięki — odrzekł słabo. Dotykając swojej twarzy i ciała, wyszeptał: — Przez wszystkie lata nosiłem to w swoim umyśle. Niszczyło mnie, pożerało od środka...

— Fobia powinna stracić na sile — oznajmił analityk. — Wystarczy, że zmierzy się pan z samym incydentem. Uczyniliśmy pewien postęp, mamy obecnie pojęcie na temat źródła strachu. Chodzi o tortury zawodowych bandytów. Byłych żołnierzy we wczesnych latach powojennych... zorganizowanych gangów. Pamiętam.

Sharp odzyskał nieco pewności siebie.

— W tej sytuacji bez trudu można zrozumieć lęk przed upadkiem. Zważywszy na to, co mi się przytrafiło... — Chwiejnie spróbował wstać z krzesła.

I wydał z siebie przeraźliwy okrzyk.

— Co się stało? — zapytał Humphrys, podchodząc bliżej i chwytając go za ramię. Sharp odskoczył, stracił równowagę i opadł bezwładnie na krzesło. — Co się stało?

— Nie mogę wstać — wydusił Sharp z grymasem na twarzy.

— Co takiego?

— Nie mogę wstać. — Przerażony popatrzył błagalnie na analityka. Bo... boję się, że spadnę. Doktorze, nie mogę nawet stanąć.

Przez chwilę obaj milczeli. Następnie, wbijając wzrok w podłogę, Sharp wyszeptał:

— Powodem, dla którego zwróciłem się do pana, Humphrys, był fakt, że pański gabinet znajduje się na parterze. Śmieszne, prawda? Nie byłem w stanie wejść wyżej.

— Jeszcze raz włączymy lampę — oznajmił Humphrys.

— Jestem tego świadomy. Boję się. — Chwytając za poręcz krzesła, ciągnął: — Proszę się nie wahać. Cóż innego nam pozostaje? Nie mogę stąd wyjść. Humphrys, to mnie zabije.

— Właśnie że nie. — Humphrys ustawił lampę. — Wyciągniemy pana z tego. Niech pan spróbuje się odprężyć; proszę nie myśleć o niczym szczególnym. — Włączając urządzenie, dodał łagodnie: — Tym razem nie przywołam samego incydentu traumatycznego. Chciałbym odsłonić doświadczenie, które go otacza. Szerszy segment, którego jest on składnikiem.

Paul Sharp szedł cicho przez ośnieżony teren. Jego oddech tworzył migoczący obłok bieli. Po prawej stronie wznosiły się ruiny dawnych budynków. Pokryte śniegiem wyglądały ślicznie. Przystanął na chwilę i zapatrzył się na nie jak urzeczony.



— Ciekawe — mruknął członek jego ekipy badawczej, podchodząc bliżej. — Mogłyby kryć pod sobą wszystko... dosłownie wszystko.

— To piękne, na swój sposób — odrzekł Sharp.

— Widzi pan tę iglicę? — Młody mężczyzna wskazał kierunek dłonią w rękawicze; wciąż miał na sobie podszyty ółowiem kombinezon. Wraz ze swoją grupą penetrował okolice skażonego krateru. Ich drążki wiertnicze leżały w równym rzędzie. — Tam stał kościół — poinformował Sharpa. — Wygląda na to, że ładny. A tam... — wskazał na niczym niewyróżniające się skupisko ruin — ...tam znajdowało się główne centrum obywatelskie.

— Miasto nie zostało bezpośrednio rażone, prawda? — zapytał Sharp.

— Nie. Niech pan zejdzie na dół i zobaczy, na co natrafiliśmy. Krater po naszej prawej stronie...

— Nie, dzięki — odparł Sharp, cofając się z niechęcią. — Zostawię to wam.

Młody ekspert rzucił mu zaciekawione spojrzenie, po czym skierował uwagę na inne sprawy.

— Jeśli nie znajdziemy nic niespodziewanego, powinniśmy w ciągu tygodnia rozpocząć odbudowę. Pierwszy krok, oczywiście, to oczyszczenie warstwy żwiru. Zawiera dużo szczelin powstałych w wyniku wzrostu roślin, poza tym proces naturalnego niszczenia w dużej mierze przekształcił żwir w rodzaj organicznego pyłu.

— Doskonale — odparł z zadowoleniem Sharp. — Miło będzie po latach znów coś tutaj zobaczyć.

— Jak było przed wojną? — zapytał ekspert. — Nigdy tego nie widziałem; urodziłem się po tym, jak rozpoczęto destrukcję.

— Cóż — powiedział Sharp, spoglądając na zaśnieżone pole. — Kiedyś znajdował się tutaj kwitnący ośrodek rolniczy. Hodowano grejpfruty. Arizońskie grejpfruty. Gdzieś w okolicy stała Tama Roosevelta.

— Tak — odparł ekspert, kiwając głową. — Zlokalizowaliśmy jej pozostałości.

— Hodowano tu bawełnę. Również sałatę, lucernę, winogrona, oliwki, brzoskwinie — pamiętam, że kiedy przejeżdżałem z rodziną przez Phoenix, moją uwagę najbardziej przyciągnął eukaliptus.

— Nie uda się nam tego wszystkiego odzyskać — stwierdził z żalem ekspert. — Co to za dziwo... eukaliptus? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Nie ma już w Stanach ani jednego — odrzekł Sharp. — Musiałbyś jechać do Australii.

Zasłuchany Humphrys zanotował jakąś uwagę.

— W porządku — powiedział głośno, wyłączając lampę. — Niech pan wraca, Sharp. Paul Sharp z jękiem zamrugął powiekami i otworzył oczy.

— Co... — Wyprostował się z wysiłkiem, ziewnął i potoczył po gabinecie pustym spojrzeniem. — Coś o odbudowie. Nadzorowałem ekipę badawczą. Jakiś chłopak.

— Kiedy odbudowaliście Phoenix? — zapytał Humphrys. — To chyba jest zawarte w interesującym nas segmencie czasoprzestrzennym.

Sharp zmarszczył brwi.

— Nie odbudowaliśmy Phoenix. To nadal pozostaje w sferze planów. Mamy nadzieję zabrać się do tego w przyszłym roku.

— Jest pan pewien?

— Naturalnie. To moja praca.

— Wysyłam pana z powrotem — zdecydował Humphrys, wyciągając rękę w kierunku lampy.

— Co się stało?

Włączył lampę.

— Proszę się odprężyć — polecił pospiesznie, trochę zbyt szybko jak na człowieka, który dokładnie wie, co robi. Z trudem zachowując spokój, powiedział łagodnie: — Chciałbym poszerzyć pańskie spojrzenie. Przejdźmy do wcześniejszego incydentu, poprzedzającego odbudowę Phoenix.

W taniej kafeterii w dzielnicy biznesowej dwaj mężczyźni siedzieli naprzeciw siebie i ponad stołem mierzyli się wzrokiem.

— Przykro mi — powiedział niecierpliwie Paul Sharp. — Muszę wracać do pracy. — Podniósłszy filiżankę zamiastki kawy, duszkiem wychylił jej zawartość.

Wysoki, chudy mężczyzna ostrożnie odsunął puste naczynia i odchylając się na krześle, zapalił cygaro.

— Od dwóch lat — rzucił bez ogródek Giller — ustawicznie nas zwodzisz. Szczerze mówiąc, mam tego serdecznie dosyć.

— Zwodzę? — Sharp uniósł się z miejsca. — Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

— Masz zamiar odzyskać obszar rolniczy — przymierzacie się do odbudowy Phoenix. Nie próbuj mi wmawiać, że dajesz pierwszeństwo przemysłowi. Jak długo według ciebie ci ludzie utrzymają się przy życiu? Jeśli nie odbudujecie ich farm i pól...

— Jacy znowu ludzie?

— Mieszkańcy Petalумы — odparł szorstko Giller. — Obozujący wokół kraterów.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że ktoś tam mieszka — mruknął z konsternacją Sharp. — Sądziłem, że zmierzacie w kierunku najbliższych odbudowanych regionów, San Francisco i Sacramento.

— Nigdy nie czytałeś naszych petycji — odpowiedział cicho Giller.

Sharp poczerwieniał.

— Prawdę mówiąc — nie. Powinienem? Ludzie koczują na zgliszczach, ale nie zmienia to sytuacji; powinniście wyjechać, opuścić tamto miejsce. Tamta okolica jest spisana na straty. Ja wyjechałem — dodał.

— Zostałbyś, gdybyś miał tam gospodarstwo — odparł spokojnie Giller. — Gdyby twoja rodzina uprawiała tam ziemię od przeszło stu lat. To coś innego niż prowadzenie drogerii. Te na całym świecie są takie same.

— Podobnie jak gospodarstwa.

— Nie — zaoponował beznamiętnie Giller. — Twoja ziemia, ziemia stanowiąca własność twojej rodziny to rzecz jedyna w swoim rodzaju. Zostaniemy tam, dopóki nie umrzemy, albo dopóki nie podejmiesz decyzji o odbudowie. — Machinalnie zbierając czeki, dorzucił: — Żał mi cię, Paul. Nigdy nie miałeś korzeni takich jak my. Żałuję też, że nijak nie można obudzić w tobie zrozumienia. — Sięgając do kieszeni po portfel, zapytał: Kiedy mógłbyś tam polecieć?

— Polecieć! — powtórzył Sharp, wzdrygając się. — Nigdzie nie lecę.

— Musisz znów zobaczyć miasto. Nie możesz decydować, nie widząc jego mieszkańców i warunków, w jakich żyją.

— Nie — odparł kategorycznie Sharp. — Nie polecę. Potrafię podjąć decyzję na podstawie raportów.

Giller zastanowił się.

— Polecisz — powiedział stanowczo.

— Po moim trupie!

Giller kiwnął głową.

— Może. Ale polecisz. Nie możesz pozwolić nam umrzeć, nawet na nas nie spojrzawszy. Musisz zdobyć się na odwagę i zobaczyć na własne oczy, co robisz. — Wyjął kalendarz kieszonkowy i zaznaczył jedną z dat. Rzucając go Sharpowi, powiedział: — Przyjdziemy po ciebie do biura i zabierzemy cię. Przylecieliśmy tu samolotem. Należy do mnie. Wspaniała maszyna.

Drżąc na całym ciele, Sharp popatrzył w kalendarz. To samo uczynił Humphrys, pochylając się nad leżącym ciałem pacjenta.

Sharp cierpiał z powodu fobii, której przyczyna kryła się w odległej o sześć miesięcy przyszłości.

— Może pan wstać? — zapytał Humphrys.

Paul Sharp drgnął.

— Ja... — zaczął, po czym umilkł.

— Na razie wystarczy — zapewnił go Humphrys. — Miał pan dosyć. Chciałem jednak odciągnąć pana od bezpośredniego źródła urazu.

— Czuję się lepiej.

— Niech pan spróbuje wstać. — Humphrys podszedł bliżej i czekał, aż mężczyzna niepewnie dźwignie się z miejsca.

— Tak — stęknął Sharp. — Ustąpiło. Co było na końcu? Siedziałem w jakiejś kawiarni. Z Gillerem.

Humphrys podniósł z biurka bloczek recept.

— Przepiszę panu środki uspokajające. Małe, okrągłe pastylki do łykania co cztery godziny. — Naskrobał coś na recepcie, po czym podał ją pacjentowi. — Odpręż się pan, napięcie nieco zelży.

— Dzięki — odrzekł Sharp cichym, ledwo słyszalnym głosem. Po chwili zapytał: — Pojawiło się dużo materiału, prawda?

— Bardzo dużo — powiedział oględnie Humphrys.

Absolutnie nic nie mógł uczynić dla Paula Sharpa. Mężczyzna znajdował się o krok od śmierci — kiedy upłynie sześć krótkich miesięcy, zginie z rąk Gillera. Szkoda, bo to miły człowiek, miły, sumienny i pracowity biurokrata, który wypełniał swoje obowiązki w sposób, jaki uważał za najwłaściwszy.

— I co pan sądzi? — zapytał żałośnie Sharp. — Czy może pan mi pomóc?

— Spróbuję — odpowiedział Humphrys, unikając jego wzroku. — Ale to zaawansowane stadium.

— Nic dziwnego, stan pogłębiał się od wielu lat — przyznał pokornie Sharp. Stojąc przy krześle, sprawiał wrażenie skarłałego nagle i opuszczonego; nie był to urzędnik na poważnym stanowisku, lecz po prostu odosobniona, bezbronna jednostka. — Byłbym panu niezwykle wdzięczny za pomoc. Jeżeli ta fobia będzie narastać, strach pomyśleć, jak to się skończy.

— Czy wzięłby pan pod uwagę zmianę swojego stanowiska względem żądań Gillera? — zapytał niespodziewanie Humphrys.

— Nie mogę — odparł Sharp. — To niewłaściwe rozwiązanie. Jestem przeciwny spełnianiu indywidualnych prośb, a to właśnie jest ta prośba.

— Nawet jeśli wywodzi się pan z tego samego regionu? Nawet jeśli ci ludzie są pana przyjaciółmi i dawnymi sąsiadami?

— To moja praca — podkreślił Sharp. — Muszę wykonywać ją bez względu na swoje uczucia bądź też uczucia kogokolwiek innego.

— Nie jest pan złym człowiekiem — powiedział mimowolnie Humphrys. — Przepraszam... — Urwał.

— Za co pan przepraszają? — Sharp sztywnym krokiem skierował się ku wyjściu. — Zabrałem panu wystarczająco dużo czasu. Wiem, jak zajęci są analitycy. Kiedy mam znowu przyjść? Czy mogę znowu przyjść?

— Jutro. — Humphrys odprowadził go na korytarz. — Mniej więcej o tej samej porze, jeżeli to panu odpowiada.

— Bardzo dziękuję — powiedział z ulgą Sharp. — Niezmiernie jestem panu wdzięczny.

Wróciwszy do swojego gabinetu, Humphrys zamknął drzwi i podszedł do biurka. Chwycił słuchawkę telefoniczną i niezgrabnie wykręcił numer.

— Dajcie mi kogoś z personelu medycznego — polecił, kiedy połączono go z Agencją Talentów Specjalnych.

— Kirby przy telefonie — zabrzmiał profesjonalny głos w słuchawce. — Dział badań medycznych.

Humphrys przedstawił się krótko.

— Mam tu pacjenta — powiedział — który chyba jest utajonym prekogiem.

Kirby okazał zainteresowanie.

— Z jakiego regionu pochodzi?

— Z Petalummy. Hrabstwo Sonoma, na północ od San Francisco. Na wschód od...

— Znamy tamtą okolicę. Pojawiało się tam sporo prekogów. To dla nas prawdziwa kopalnia złota.

— Wobec tego miałem rację — rzekł Humphrys.

— Kiedy się urodził?

— W chwili wybuchu wojny miał sześć lat.

— Aha — odparł z rozczarowaniem Kirby. — Zatem nie przyjął odpowiedniej dawki. Nigdy nie wykształci pełnego talentu prekognitywnego, z jakimi mamy tutaj do czynienia.

— Innymi słowy, nie może pan pomóc?

— Utajeni... ludzie z cieniem talentu... przewyższają liczebnością rzeczywistych nosicieli. Nie mamy czasu, aby zawracać sobie nimi głowę. Jeszcze napotka ich pan całe tuziny. Gdy talent nie jest ostatecznie wykształcony, nie przedstawia żadnej wartości; może być dla człowieka uciążliwy, nic więcej.

— Owszem, jest uciążliwy — przyznał zjadliwie Humphrys. — Tego człowieka dzieli od gwałtownej śmierci zaledwie kilka miesięcy. Od dzieciństwa otrzymywał zaawansowane ostrzeżenia lękowe. W miarę zbliżania się do wydarzenia, reakcje przybierają na sile.

— Nie jest świadomy tego, co nastąpi?

— To funkcjonuje ściśle na płaszczyźnie podświadomości.

— W tej sytuacji — powiedział z namysłem Kirby — może dobrze się składa. Te elementy są nieodwracalne. Nawet gdyby zdawał sobie sprawę z własnego położenia, i tak nie mógłby nic zmienić.

Doktor Charles Bamberg, psychiatra, właśnie wychodził ze swojego gabinetu, kiedy zauważył siedzącego w poczekalni mężczyznę.

Dziwne, pomyślał Bamberg. Nie mam już dzisiaj żadnych pacjentów.

Otworzywszy drzwi, wszedł do poczekalni.

— Chciał pan się ze mną zobaczyć?

Siedzący na krześle mężczyzna był wysoki i chudy. Miał na sobie wygnieciony prochowiec i na widok Bamberga zaczął nerwowo gasić cygaro.

— Tak — powiedział, niezgrabnie wstając z krzesła.

— Był pan umówiony?

— Nie. — Mężczyzna popatrzył na niego prosząco. — Wybrałem pana... — Zaśmiał się zakłopotany. — Ma pan gabinet na najwyższym piętrze.

— Na najwyższym piętrze? — zdumiał się Bamberg. — A co to ma do rzeczy?

— Ja... jakby to powiedzieć, doktorze, czuję się swobodniej, kiedy jestem wysoko.

— Rozumiem — odrzekł Bamberg. Przymus, pomyślał. Fascynujące. — No i co — powiedział głośno — kiedy jest pan wysoko, jak pan się czuje? Lepiej?

— Nie — odparł mężczyzna. — Czy mogę wejść? Znalazłby pan dla mnie chwilkę?

Bamberg popatrzył na zegarek.

— Dobrze — powiedział, wpuszczając mężczyznę. — Niech pan usiądzie i o wszystkim mi opowie.

Giller z wdzięcznością opadł na fotel.

— Nie mogę z tym żyć — poskarżył się raptownie. — Za każdym razem gdy widzę schody, ogarnia mnie niepoohamowane pragnienie, aby wejść na górę. Loty samolotowe... mógłbym to robić na okrągło. Mam własną maszynę; nie stać mnie na to, ale muszę ją mieć.

— Rozumiem — powiedział Bamberg. — Cóż — stwierdził dobrodusznie — to nie takie znowu straszne. Ostatecznie, nikt jeszcze od podobnego przymusu nie umarł.

— Kiedy już wejdę na górę... — Giller z trudem przełknął ślinę, jego ciemne oczy załśniły. — Doktorze, kiedy już wejdę na górę, na szczyt biurowca, albo wzbiję się w powietrze samolotem... czuję inny przymus.

— Jaki?

— Ja... — Giller zadrżał. — Ogarnia mnie przemożna chęć, żeby kogoś wypchnąć.

— Wypchnąć?

— Z okna. Na dół. — Giller machnął sugestywnie ręką. — Co ja mam robić, doktorze? Boję się, że kogoś zabiję. Wypchnąłem kiedyś jednego małego gościa... pewnego dnia dziewczyna stała przede mną w windzie... strąciłem ją. Była ranna.

— Rozumiem — powiedział Bamberg, kiwając głową. Utajona wrogość, stwierdził w duchu. Nierozłącznie spleciona z seksem. Nic niezwykłego.

Sięgnął po swoją lampę.

**NIEPOPRAWNA M**

## I

Maszyna była szeroka na jedną stopę i długa na dwie, wyglądała jak przerośnięte pudełko krakersów. Cicho, zachowując wszelkie środki ostrożności, wspięła się po ścianie betonowego budynku, wysunawszy gumowane rolki, rozpoczęła pierwszą fazę swojego zadania.

Z tylnej części urządzenia wypadł odprysk niebieskiej emalii. Przycisnąwszy go mocno do szorstkiej ściany, maszyna podjęła swoją wędrówkę. Pionowa betonowa droga przeszła w drogę stalową, maszyna dotarła do okna. Zatrzymała się i wyprodukowała mikroskopijny strzęp tkaniny. Pieczołowicie umieściła go na stalowej framudze.

W przejmujących chłodem ciemnościach maszyna była prawie niewidoczna. Na mgnienie oka ogarnął ją blask dalekich reflektorów z ulicy, rzucił na jej wypolerowany kadłub lśniący refleks, po czym zgasł. Podjęła pracę.

Za pomocą plastikowego pseudoodnoża stopiła szybę okna. Z wnętrza mrocznego mieszkania nie dobiegał żaden odgłos, nikogo nie było w domu. Maszyna, lekko przyproszona drobinami szkła, wpełzła ponad stalową framugą i uniosła receptor.

Badając otoczenie, wywierała jednocześnie dokładnie dwustufuntowy nacisk na framugę; ta ustąpiła posłusznie. Maszyna z zadowoleniem opuściła się po wewnętrznej ścianie na średnio grubą wykładzinę. Następnie przystąpiła do wykonywania drugiej części zadania.

Pojedynczy ludzki włos — wraz z cebulką i płatkami skóry — został umieszczony na drewnianej podłodze obok lampy. Nieopodal fortepianu ceremonialnie wyłożono dwie zasuszone drobiniki tytoniu. Urządzenie odczekało dziesięć sekund, po czym, gdy sekcja magnetycznej taśmy zaskoczyła na miejsce, powiedziała nagle:

— Ach! Cholera...

Co ciekawe, głos był chrypliwy i męski.



Maszyna doturlała się do zamkniętej szafy. Wspiąwszy się po drewnianej powierzchni, dotarła do zamka i wsunąwszy doń cienki element kadłuba, otworzyła drzwi. Za rzędem płaszczy znajdowała się niewielka konstrukcja złożona z baterii i drutów: kamera z własnym zasilaniem. Maszyna zniszczyła kasetę na film — to było ważne — po czym, opuszczając szafę, upuściła kroplę krwi na zniszczony skaner obiektywu. Kropla krwi była jeszcze ważniejsza.

Podczas gdy odciskała fałszywy odcisk obcasa na tłustej warstwie pokrywającej dno szafy, z korytarza doleciał jakiś hałas. Znieruchomiała. Chwilę potem do mieszkania wkroczył nieduży człowieczek w średnim wieku, z płaszczem przerzuconym przez ramię i teczką w dłoni.

— Chryste — zdumiał się na widok maszyny. — A tyś kto?

Maszyna uniosła przednią dyszę i wystrzeliła pocisk rozrywający prosto w na wpół łąsą głowę mężczyzny. Pocisk utkwiał w czaszce i eksplodował. Wciąż ściskając płaszcz i teczkę, mężczyzna runął na wykładzinę z ogłupiałym wyrazem twarzy. Połamane okulary leżały obok jego ucha. Ciało zadrgało konwulsyjnie, po czym zastygło bez ruchu.

Do zakończenia zadania pozostały jeszcze dwa etapy. Główna część została wykonana. Maszyna złożyła fragment spalonej zapalniczki w jednej z nieskazitelnych popielniczek stojących nad kominkiem i weszła do kuchni w poszukiwaniu szklanki. Właśnie pęzła do kierunku zlewu, gdy ludzki głos sprawił, że znieruchomiała.

— To tutaj — zabrzmiał w pobliżu wyraźny głos.

— Przygotuj się... wciąż powinien tam być. — Drugi głos, podobnie jak pierwszy, należał do mężczyzny. Drzwi na korytarz odskoczyły z hukiem i do środka wpadli dwaj osobnicy w ciężkich płaszczach. Zapominając o szklance wody, maszyna opadła na podłogę w kuchni. Coś potoczyło się niezgodnie z planem. Jej prostokątny kształt zadrział i zafalował, podciągawszy się do pozycji pionowej, maszyna przybrała postać telewizora.

Wciąż znajdowała się w postaci awaryjnej, gdy jeden z mężczyzn wysoki i rudy — zajrzał do kuchni.

— Nikogo — oświadczył i pobiegł dalej.

— Okno — dorzucił jego towarzysz, ciężko chwyając oddech. Na progu drzwi wejściowych stanęły dwie dodatkowe sylwetki, ekipa była w komplecie. — Szyba znikła. Tędy dostał się do środka.

— Ale ulotnił się. — Rudowłosy mężczyzna ponownie stanął w drzwiach kuchni, włączył światło i wkroczył do środka z pistoletem w dłoni. — Dziwne... przecież zareagowaliśmy natychmiast, jak tylko odebraliśmy sygnał. — Podejrzliwie spojrzął na zegarek. — Rosenberg nie żyje zaledwie od paru sekund... jakim cudem tamten zdołał tak szybko uciec?

Stojąc u wejścia ulicy Edward Ackers wsłuchał się w głos. Podczas ostatnich trzydziestu minut głos nabral ganiącej, natarczywej tonacji, prawie niesłyszalny ciągnął swą mechaniczną skargę.

— Jesteś zmęczony — powiedział Ackers. — Idź do domu. Weź gorącą kąpiel.

— Nie — odparł głos, przerywając tyradę. Głos pochodził z dużej, oświetlonej budy, która stała na mrocznym chodniku w odległości kilku jardów od Ackersa, po jego prawej stronie. Obrotowy neon głosił:

KONIEC Z TYM!

Obliczył, że w ciągu ostatnich kilku minut znak trzydzieści razy przyciągnął uwagę przechodnia i człowiek w budce rozpoczynał swoją przemowę. Za budką znajdowało się kilka teatrów i restauracji, była dobrze usytuowana.

Została jednak wzniesiona nie dla tłumu, lecz dla Ackersa i znajdujących się za nim biur, tyrada była bezpośrednio wymierzona w Departament Wewnętrzny. Jazgot trwał już od tyłu miesięcy, że Ackers niemal przestał być świadomy jego istnienia. Krople deszczu bębniące o dach. Ruch uliczny. Ziewnął, skrzyżował ręce na piersi i czekał.

— Koniec z tym — podjął ze złością głos. — No dalej, Ackers. Powiedz coś, zrób coś.

— Czekam — odrzekł z próżnym zadowoleniem Ackers.

Grupa obywateli w średnim wieku minęła budkę i otrzymała ulotki. Obywatele rzucili je za siebie i Ackers wybuchnął śmiechem.

— Nie śmieję się — mruknął głos. — Nie ma w tym nic śmiesznego, wydrukowanie ich sporo nas kosztuje.

— Wykładacie z własnej kieszeni? — zainteresował się Ackers.

— Częściowo. — Tego wieczora Garth był sam. — Na co czekasz? Co się stało? Widziałem kilka minut temu, jak z waszego dachu odlatuje oddział policji...?

— Ktoś chyba zostanie aresztowany — odrzekł Ackers. — Popelniono morderstwo.

Mężczyzna w obskurnej propagandowej budce na skraju chodnika poruszył się.

— Czyżby? — dobiegł głos Harvey'a Gartha. Wychylił się i popatrzyli na siebie: Ackers, wypielegnowany, dobrze odżywiony, w porządnym płaszczu... Garth, chudy, dużo młodszy mężczyzna o pociągłej twarzy składającej się w większości z nosa i czoła.

— Jak widzisz — podjął Ackers — system naprawdę jest nam potrzebny. Daj spokój tym utopijnym ideom.

— Człowiek zostaje zamordowany, a wy odzyskujecie równowagę moralną, zabijając mordercę. — Protestujący głos Gartha przeszedł w szpatmatyczne zawrodoenie. — Koniec z tym! Koniec z systemem, który skazuje ludzi na pewną zagładę!

— Dawaj tu te swoje ulotki — oschle sparodiował go Ackers. — I slogany. Jedno albo drugie. Co proponujesz w miejsce systemu?

— Edukację — oznajmił z niezachwianą pewnością siebie Garth.

— To wszystko? — zapytał z rozbawieniem Ackers. — Uważasz, że to powstrzymałoby działalność społeczną? Kryminaliści po prostu mają za małą... wiedzę?

— No i psychoterapię, oczywiście. — Z baczny wyrazem na kościstej twarzy Garth wyjrzał z budki niczym zaciekawiony żółw. — Oni są chorzy... dlatego popełniają zbrodnie, zdrowi ludzie tego nie czynią. I wszystko dzięki wam, to wy tworzycie chore społeczeństwo karnego okrucieństwa. — Oskarżycielsko wycelował palcem w rozmówcę. — Na tobie spoczywa odpowiedzialność, i na całym Departamencie Wewnętrzny. Wy i ten wasz system banicyjny.

Neon zamrugał swoim KONIEC Z TYM, mając rzecz jasna na myśli system obowiązkowego ostracyzmu dla przestępców, maszynę, która wyrzucała skazańca w odległe rejony gwiazdowego wszechświata, w jakiś daleki zakątek, gdzie ten nie mógł już zaszkodzić. — Przynajmniej nam dokończył na głos Ackers.

Garth przytoczył dobrze znany argument.

— A co z tamtejszymi mieszkańcami?

Na to niestety nie można było nic poradzić. Tak czy inaczej, wygnaniec tracił energię i czas na znalezienie drogi powrotnej do Układu Słonecznego. Jeżeli wrócił, nim dopadła go starość, został przyjmowany z powrotem na łono społeczeństwa. Co za wyzwanie... zwłaszcza dla kosmopolity, który nigdy nie zawędrował dalej niż do Wspanialszego Nowego Jorku. Przypuszczalnie istniało wielu przymusowych emigrantów, którzy kosili zboże prymitywnymi sierpami. Oddalone zakątki wszechświata składały się głównie z wilgotnych terenów rolniczych, odizolowanych enklaw agrarnych, gdzie w ograniczonym stopniu kwitł handel wymienny owocami, warzywami oraz wyrobami ręcznymi.

— Czy wiedziałeś, że w Epoce Monarchów kieszonkowiec lądował na stryczku? — zapytał Ackers.

— Koniec z tym — ciągnął monotonicznie Garth, ponownie chowając się w budce. Neon wirował, rozdawano ulotki. Ackers niecierpliwie obserwował pograżoną w ciemnościach ulicę, wypatrując karetki.

Znał Heimiego Rosenburga. Trudno o sympatyczniejszego gościa... pomimo faktu, że Heimie był zamieszany w działalność potężnego przedsiębiorstwa handlującego niewolnikami, zajmującego się nielegalnym transportem osadników do żyznych planet pozaukładowych. Dwaj najwięksi handlarze niewolników zasiedlili niemal cały Układ Syriusza. Czterech spośród sześciu emigrantów było potajemnie przewożonych w transportowcach oznaczonych napisem „frachtowce”. Trudno wyobrazić sobie delikatnego Heimiego Rosenburga w roli agenta handlowego Tirol Enterprises, lecz taka była prawda.

Czekając, Ackers snuł domysły na temat powodu, z którego zabito Heimiego. Pewnie morderstwo stanowiło element nieustającej rozgrywki pomiędzy Paulem Tirolelem i jego głównym rywalem. David Lantano okazał się zdolnym i energicznym przybyszem... morderstwo było jednak narzędziem wszystkich. Wszystko zależało od tego, w jaki sposób go dokonano; mógł to być zarówno akt brutalności, jak i najczystszej sztuki.

— Coś jedzie. — Zainstalowane na budce przekaźniki dźwięku przyniosły do niego głos Gartha. — Wygląda jak zamrażarka.

Rzeczywiście, nadjechała karetka. Gdy pojazd przystanął i otwarto tylne drzwi, Ackers podszedł bliżej.

— Jak szybko tam dotarliście? — zapytał policjanta, który zeskoczył ciężko na chodnik.

— Natychmiast — odrzekł policjant. — Ani śladu zabójcy. Nie sądzę, abyśmy zdołali przywrócić go do życia... dostał w sam środek, prosto w mózg. Zawodowa robota, żadnej amatorszczyzny.

Zawiedziony Ackers wszedł do wnętrza karetki, aby przekonać się na własne oczy.

Drobny i nieruchomy, Heimie Rosenburg leżał na plecach z ramionami wyciągniętymi po bokach i wzrokiem utkwionym w sufit pojazdu. Na jego twarzy zastygł wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Ktoś — jeden z policjantów — wcisnął wygięte okulary do zaciśniętej ręki. Upadając, rozciął policzek. Zniszczoną część czaszki pokrywała wilgotna, plastikowa pajęczyna.

— Kto został w mieszkaniu? — zapytał Ackers.

— Reszta ekipy — odpowiedział policjant. — I badacz niezależny. Leroy Beam.

— On — powiedział z niechęcią Ackers. — Jakim cudem tam trafił?

— Też przechwycił sygnał, akurat tamtędy przejeżdżał. Biedny Heimie miał wielkie urządzenie wspomagające alarm... dziwię się, że nie usłyszeli go w kwaterze głównej.

— Mówią, że Heimie wykazywał wysoki wskaźnik leku — odparł Ackers. — W całym domu zainstalował pluskwy. Zaczęliście zbierać dowody?

— Ekipy zabierają się do roboty — odrzekł policjant. — Za pół godziny powinniśmy otrzymać dane. Morderca zniszczył kamerę z szary. Ale... — Uśmiechnął się. — Skaleczył się, odcinając obwód. Na drutach została kropla krwi, wygląda obiecująco.

Leroy Beam obserwował w mieszkaniu, jak policja wewnętrzna przystępuje do analizy. Pracowała dokładnie i sprawnie, Beam jednak nie krył niezadowolenia, wciąż był podejrzliwy. Nikt nie mógł tak szybko się ulotnić. Heimie zginął, a jego śmierć — przerwanie struktury nerwowej — uruchomiła sygnał alarmowy. Wprawdzie nie pomagało to właścicielowi, ale zapewniało (zazwyczaj) schwytywanie mordercy. Dlaczego w przypadku Heimiego było inaczej?

Ponuro krążąc po mieszkaniu, Leroy Beam po raz drugi trafił do kuchni. Na podłodze obok zlewu stał mały, przenośny telewizor, turystyczny: nieduży, kolorowy sześcian z plastiku, wyposażony w wielobarwne soczewki.

— A cóż to znowu? — powiedział, gdy minął go jeden z policjantów. — Dlaczego telewizor stoi na podłodze w kuchni? To nie jego miejsce.

Policjant nie zwrócił na niego uwagi. Policyjny sprzęt wykrywający przeczesywał salon cal po calu. W ciągu pół godziny od śmierci Heimiego znaleziono kilka śladów. Najpierw krople krwi na przewodach zniszczonej kamery. Potem niewyraźny odcisk buta. Jeszcze później fragment spalonej zapałki w popielniczce. Spodziewano się odszukać ich więcej, badanie się dopiero rozpoczęło.

Do poznania tożsamości zabójcy zazwyczaj wystarczyło dziewięć śladów.

Leroy Beam rozejrzał się ciekawie. Żaden z policjantów nie patrzył, toteż pochylił się i podniósł przenośny telewizor; wydawał się najzupełniej normalny. Włączył przycisk i odczekał chwilę. Bez rezultatu, na ekranie nie pojawił się żaden obraz. Dziwne.

Gdy odwrócił go do góry nogami, próbując zajrzeć do mechanizmu wewnętrznego, do mieszkania wszedł Edward Ackers z Departamentu. Beam pośpiesznie wepchnął telewizor do kieszeni płaszcza.

— Co ty tu robisz? — zapytał Ackers.

— Szukam — odparł Beam, zastanawiając się, czy Ackers zauważył Wybrzuszenie. — Ostatecznie ja też jestem z branży.

— Znałeś Heimiego?

— Ze słyszenia — odrzekł wymijająco Beam. — Podobno był związany z przedsiębiorstwem Tirola, pełnił tam jakąś ważną funkcję. Miał biuro na Piątej Alei.

— Eleganckie, podobnie jak biura innych handlarzy tego pokroju. — Ackers przeszedł do salonu, by przyjrzeć się pracy detektorów.

Klinowaty obiekt pełzający po wykładzinie dysponował ograniczonym zasięgiem pola widzenia. Wolno badał każdy cal powierzchni. Jak tylko uzyskiwano jakiś materiał, natychmiast przekazywano go do Departamentu, do globalnych banków danych, gdzie informacje o każdym z obywateli zawarte są w starannie oznaczonych kartach perforowanych.

Ackers zadzwonił do żony.

— Nie wrócę do domu — powiedział. — Mam pracę.

Cisza, po czym zabrzmiał głos Ellen.

— Czyżby? — zapytała z oddali. — Miło, że mnie informujesz.

W rogu salonu dwóch członków policyjnej ekipy badało z przejęciem nowy ślad.

— Zanim wyjdę — rzucił pośpiesznie do słuchawki — zadzwonię do ciebie jeszcze raz. Do widzenia.

— Do widzenia — odparła krótko Ellen i odłożyła słuchawkę, nim on zdążył to zrobić.

Nowym odkryciem okazała się umieszczona pod lampą stojącą pluskwa. Taśma magnetyczna zamrugła przyjaźnie, cały epizod został w całości utrwalony.

— Wszystko — oświadczył z zadowoleniem policjant. — Była włączona, zanim Heimie wszedł do domu.

— Cofnęliście ją?

— Kawalek. Jest na niej kilka słów wypowiedzianych przez mordercę, powinno wystarczyć.

Ackers połączył się z Departamentem.

— Czy zajęliście się już danymi na temat Rosenburga?

— Dopiero pierwsza — odrzekł obsługujący. — Kartoteka rozróżnia podstawową kategorię — około sześciu miliardów nazwisk.

Dziesięć minut później wprowadzono drugą specyfikację. Osoby z grupą krwi O oraz numerem buta 11 ½ stanowiły nieco ponad miliard populacji ogólnej. Trzeci element dotyczył kwestii palenia, co obniżyło liczbę do niewiele poniżej miliarda. Większość dorosłych paliła papierosy.

— Taśma znacznie przyspieszy proces — zauważył Leroy Beam, który stał obok Ackersa, zasłaniając rękami wypchany płaszcz. — Przynajmniej uda się ustalić wiek.

W wyniku analizy taśmy ustalono domniemany wiek zabójcy — trzydzieści do czterdziestu lat. Tembr głosu pozwolił stwierdzić, że mężczyzna ważył około dwustu funtów. Wkrótce potem obejrzano stalową framugę okna i zwrócono uwagę na jej wygięcie. Zebrano w sumie sześć specyfikacji, łącznie z pozwalającą ustalić płeć sprawcy. Liczba osób we wskazanej grupie raptownie malała.

— To nie potrwa długo — powiedział z zadowoleniem Ackers. — A jeśli zahaczył o jedno z wiader z boku budynku, uzyskamy odprysk farby.

— Wychodzę — oznajmił Beam. — Powodzenia.

— Zostań.

— Przykro mi. — Beam wycofał się w stronę korytarza. — To twoja sprawa, nie moja. Mam swoje obowiązki... Prowadzę badania dla koncernu górniczego metali nieżelaznych.

Ackers przeniósł spojrzenie na jego płaszcz.

— Jesteś w ciąży?

— Nic o tym nie wiem — odrzekł Beam, czerwieniejąc. — Prowadzę higieniczny tryb życia. — Niezgrabnie poklepał wybrzuszenie. — Masz na myśli to?

Jeden z policjantów pod oknem wydał radosny okrzyk. Odkryto dwie drobinki tytoniu: posłużą do weryfikacji trzeciego dowodu.

— Świetnie — powiedział Ackers, odwracając się od Beama i na chwilę o nim zapominając.

Beam wyszedł.

Wkrótce potem jechał w kierunku własnego laboratorium, małej, niezależnej pracowni badawczej, niesubsydiowanej rządowym dofinansowaniem. Na siedzeniu obok niego leżał przenośny odbiornik telewizyjny, w dalszym ciągu milczał jak głaz.

— Przede wszystkim — oświadczył technik Beama — jego zasilanie siedemdziesięciokrotnie przewyższa zasilanie przenośnego telewizora. Stwierdziliśmy promieniowanie gamma. — Pokazał standardowy detektor. — Masz rację, to nie jest telewizor.

Beam ostrożnie podniósł ze stołu nieduży obiekt badań. Mimo upływu pięciu godzin wciąż nie posunął się naprzód. Uchwyciwszy mocno tylną część, pociągnął z całej siły. Bez rezultatu, nie dało się do otworzyć. Nie zaciął się, spoiwa po prostu nie istniały. Tylna część urządzenia wcale tylną częścią nie była, stwarzała jedynie takie pozory.

— Więc cóż to takiego? — zapytał.

— W grę wchodzi masa możliwości — odparł obojętnie technik; niespodziewane wezwanie naruszyło jego prywatność, poza tym dochodziła druga trzydzieści nad ranem. — Być może to urządzenie skanujące. Bomba. Broń. Jakiś gadżet.

Beam starannie obmacał powierzchnię w poszukiwaniu jakichkolwiek zarysowań.

— Jest gładki — mruknął. — To jednolita struktura.

— Pewnie. Załamania są sztuczne, to odlew. Poza tym — dodał technik — jest twarde. Próbowałem odciąć z niego fragment, ale... — Machnął ręką. — Nie dało się.

— W razie upadku stłuczka nie wchodzi w rachubę — rzucił w roztargnieniu Beam. — Nowy supertwardy rodzaj plastiku. — Energicznie potrząsnął przedmiotem, usłyszał przytłumiony chrobot wewnętrznego mechanizmu. — Ma w środku kupę żelastwa.

— Otworzymy go — obiecał technik. — Ale nie dzisiejszej nocy.

Beam postawił przedmiot z powrotem na ławce. Mógł poświęcić kilka dni na jego badanie, by w końcu odkryć, że nie miał nic wspólnego z zabójstwem Heimiego Rosenburga. Z drugiej strony jednak...

— Wywierć mi w nim dziurę — poprosił — żebyśmy mogli zajrzeć do środka

— Ależ wierciłem, złamałem wiertło — zaprotestował technik. — Posłałem po mocniejsze. To substancja importowana, ktoś ściągnął ją z układu białego karła. Uzyskiwana pod bardzo wysokim ciśnieniem.

— Przestań mydlić mi oczy — odrzekł z irytacją Beam. — Gadasz jak w reklamie.

Technik wzruszył ramionami.

— Tak czy inaczej, jest supertwardy. Naturalnie rozwinięty element albo sztucznie uzyskany produkt z czyjegoś laboratorium. Kogo stać na wyprodukowanie takiego tworzywa?

— Jednego z wielkich handlarzy niewolników — odparł Beam. — Oto, do czego prowadzi bogactwo. Podróżują po najróżniejszych układach... mają dostęp do surowców. Specjalnych rud.

— Czy nie mógłbym pójść do domu? — zapytał technik. — Cóż w tym takiego ważnego?

— To urządzenie zabiło albo pomogło zabić Heimiego Rosenburga. Będziemy tu siedzieć, ty i ja, dopóki go nie otworzymy. — Beam usiadł i przyjrzał się tabeli już zastosowanych testów. — Prędzej czy później otworzy się jak małż... o ile masz pojęcie, o czym mówię.

Za nimi zabrzmiał dzwonek ostrzegawczy.

— Ktoś jest w sieni — powiedział czujnie zdziwiony Beam. — O wpół do trzeciej? — Wstał i powędrował ciemnym korytarzem w kierunku wyjścia. Być może to Ackers. Odezwało się w nim sumienie, ktoś zauważył brak telewizora.

Lecz to nie był Ackers.

W zimnej, pustej sieni czekał potulnie Paul Tirol, towarzyszyła mu nieznamna Beamowi atrakcyjna młoda kobieta. Pomarszczona twarz Tirola rozplynęła się w uśmiechu i przyjaźnie wyciągnął rękę.

— Beam — powiedział. Uścisnęli sobie dłonie. — Drzwi frontowe poinformowały mnie, że jesteś na miejscu. Nadal pracujesz?

Pełen podejrzeń zastanawiał się nad tożsamością kobiety oraz przyczyną wizyty Tirola.

— Nadrabiam czyjeś zaniedbania. Cała firma stoi na granicy bankructwa — odparł. Tirol zaśmiał się z zadowoleniem.

— Jak zwykle kawalarz. — Omiótł otoczenie ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami; był potężnym, starszym mężczyzną o poranej zmarszczkami twarzy. — Masz miejsce na kilka kontraktów? Chyba mógłbym ci coś podrzucić... jeśli jesteś otwarty na propozycje.

— Zawsze jestem otwarty — odparł Beam, zasłaniając Tirolowi widok pracowni, której drzwi i tak zamknęły się samoczynnie. Tirol był szefem Heimiego... niewątpliwie czuł się z tego tytułu upoważniony do zasięgania języka w sprawie jego zamordowania. Kim był sprawca? Kiedy? Jak? Nie tłumaczyło to jednak przyczyny nagłego najścia.

— To straszne — rzucił Tirol. Nie wykazywał najmniejszej ochoty przedstawienia kobiety, ta usiadła na sofie i zapaliła papierosa. Smukła, o mahoniowych włosach związanych apaszką, miała na sobie niebieski płaszcz.

— Tak — przyznał Beam. — Straszne.

— Rozumiem, że byłeś na miejscu.

To po części wyjaśniało powód wizyty.

— Cóż — odrzekł Beam. — Zajrzałem tam.



— Ale nic nie widziałeś?

— Nie — przyznał Beam. — Nikt nic nie widział. Departament zbiera dowody. Do rana powinni ustalić sprawcę.

Tirol odprężył się w widoczny sposób.

— Cieszę się. Byłbym niepokieszony, gdyby zbrodniarzowi udało się uciec. Powinno się go zagazować.

— Czyste barbarzyństwo — mruknął oschle Beam. — Czasy komór gazowych. Średniowiecze.

Tirol zajrzał mu przez ramię.

— Pracujesz nad... — Ciekawość wzięła górę. — Daj spokój, Leroy. Heimie Rosenberg — Panie świeć nad jego duszą — został dziś wieczorem zamordowany i ty oto ślęczysz nad czymś do późnej nocy. Ze mną możesz grać w otwarte karty, wpadłeś na jakiś istotny ślad w związku z jego śmiercią, co?

— Chyba ma pan na myśli Ackersa.

Tirol zachichotał.

— Mogę rzucić okiem?

— Pod warunkiem że zaczniesz mi pan płacić, nie znajduję się jeszcze na pańskiej liście płac.

— Chcę to mieć — odparł napiętym, nienaturalnym głosem Tirol.

— To znaczy co? — zapytał ze zdumieniem Beam.

Tirol groteskowo rzucił się do przodu, odepchnął Beama i skoczył w kierunku drzwi. Te stanęły otworem i Tirol hałaśliwie popędził ciemnym korytarzem, instynktownie kierując się w stronę pracowni badawczych.

— Hej! — wrzasnął wyprowadzony z równowagi Beam. Rzucił się w pogoń za mężczyzną, w myślach szykując się na szamotaninę. Dygotał na całym ciele, po części z osłupienia, po części ze złości. — Co u Ucha? wydusił zdyszany. — Co pan sobie wyobraża?

Dziwnym trafem, znajdujące się za nim drzwi ustąpiły. Zatoczył się do tyłu i wpadł do laboratorium. Obecny tam technik stał bez ruchu z wyrazem bezsilnego osłupienia. Po podłodze pełzało coś małego i metalicznego. Wyglądało jak przerośnięte pudełko krakersów i zmierzało posuwicie w kierunku Tirola. Metalowy i lśniący przedmiot wskoczył w ramiona Tirola, na co stary odwrócił się i pobiegł z powrotem w stronę wyjścia.

— Co to było? — zapytał technik, otrząsając się ze zdumienia.

Nie zwracając na niego uwagi, Beam pognał za Tirolelem.

— Zabrał go! — wrzeszczał bezsilnie.

— To... — wymamrotał technik. — To był telewizor. On biegł.

## II

Bank danych w Departamencie Wewnętrznym tętnił życiem.

Proces tworzenia coraz węższych kategorii był żmudny i zabierał dużo czasu. Większość personelu wróciła do domu; dochodziła trzecia nad ranem; korytarze i biura świeciły pustkami. W ciemności krążyło kilka mechanicznych urządzeń czyszczących. Jedynym źródłem życia była sala studyjna banku danych. Edward Ackers cierpliwie czekał, aż maszyna przetworzy i ujawni rezultaty znalezisk.

Po jego prawej stronie kilku policjantów grało w loteryjkę, czekając ze stoickim spokojem, aż wyśle się ich po wskazaną osobę. Nieustannie szumiała linia komunikacyjna, prowadząca do mieszkania Heimiego Rosenburga. Na ulicy Harvey Garth wciąż siedział w swojej budce, migał neonem KONIEC Z TYM! i właczał ludziom do głów propagandowe teorie. Pomimo niemal zupełnego braku przechodniów Garth uparcie obstawał przy swoim. Był niestrudzony, nigdy się nie poddawał.

— Psychopata — mruknął z niechęcią Ackers. Mimo dzielących ich sześciu pięter, natarczywy głos wciąż brzęczał mu w uszach.

— Zgarnijmy go — rzucił jeden z policjantów. Proponowane rozwiązanie stanowiło odbicie praktyki stosowanej na Centaurze III. — Możemy unieważnić jego licencję sprzedawcy.

Nie mając nic lepszego do roboty, Ackers sporządził i dopracował portret psychologiczny Gartha, rodzaj analizy jego zaburzeń psychicznych. Ta psychoanalityczna gra bawiła go; dawała mu poczucie władzy.

*Garth, Harvey*

*Rozwinięty syndrom hazardzisty. Przyjął rolę ideologicznego anarchisty, działającego wbrew systemowi prawnemu i społecznemu. Brak zdolności racjonalnego myślenia, powtarza tylko kluczowe słowa i frazesy. Idée fixe to koniec z systemem banicyjnym. Życie zdominowane walką dla sprawy. Uparty fanatyk, prawdopodobnie typ maniackalny, gdyż...*

Ackers nie dokończył zdania, ponieważ tak naprawdę nie miał pojęcia, jak dokładnie należało zdefiniować typ maniackalny. Tak czy inaczej, analiza była świetna i pewnego dnia, zamiast jedynie błędzić po jego umyśle, zostanie wykorzystana. Gdy to się stanie, denerwujący głos wreszcie umilknie.

— Zamieszanie — ciągnął Garth. — Zniesienie systemu banicyjnego... nadszedł czas kryzysu.

— Jakiego znowu kryzysu? — zapytał głośno Ackers.

— Wszystkie wasze maszyny podniosły wrzawę — odpowiedział mu z dołu Garth.  
— Zapanowało podniecenie. Nim wstanie dzień, czyjaś głowa wyląduje w koszu.  
— Jego głos przeszedł w bełkot. — Intryga i morderstwo. Ciało... Bezlądna ucieczka policji. Piękna kobieta czai się w ukryciu.

Ackers rozwinął podpunkt swojej analizy.

*...zdolności Gartha są wypaczone dominującym poczuciem misji. Gdy projektował pomysły urzędnicze, przyświecały mu jedynie cele propagandowe.*

*Tymczasem mechanizm głos-ucho Gartha mógłby przynieść pożytek Całej Ludzkości.*

Sprawiło mu to satysfakcję. Wstał i podszedł do osoby nadzorującej kartotekę.

— I jak? — zapytał.

— Oto jak wygląda sytuacja — odparł nadzorujący. Na jego podbródku widniała szarawa smuga zarostu i miał przekrwione oczy. — Stopniowo zawężamy kategorie.

Siadając na swoim miejscu, Ackers pożałował, że nie przyszło mu żyć w czasach wszechmocnych odcisków palców. Nie mieli jednak z nimi do czynienia od wielu miesięcy; istniał tysiąc sposobów na usunięcie bądź zmianę linii papilarnych. Nie było jednej specyfikacji, która pozwoliłaby ustalić sprawcę. Należało zestawić zbiór złożony z poszczególnych danych.

1. Grupa krwi (0) 6 139 481 601
2. Numer obuwia (11 1/2) 1 268 303 431
3. Palenie tytoniu 791 992 386
- 3a. Palenie fajki 52 774 853
4. Płeć (męska) 26 449 094
5. Wiek (30 — 40 lat) 9 221 397
6. Waga (200 funtów) 488 290
7. Materiał ubrania 17 459
8. Rodzaj włosów 866
9. Właściciel broni 40

Na podstawie danych rysował się wyraźny obraz. Ackers widział go dokładnie. Ten człowiek stał dosłownie przed jego biurkiem. Stosunkowo młody, dość przysadzisty, palił fajkę i miał na sobie bardzo drogi tweedowy garnitur. Osobnik utworzony za pomocą dziewięciu specyfikacji; dziesiątej nie udało się ustalić.

Według raportu, mieszkanie zostało gruntownie przeszukane. Wynoszono sprzęt wykrywający.

— Jeszcze jedna powinna załatwić sprawę — stwierdził Ackers, oddając raport nadzorującemu. Zastanawiał się, czyją znajdą i jak długo to potrwa.

Chcąc zabić czas, zadzwonił do żony, lecz zamiast Ellen odpowiedziała mu automatyczna sekretarka.

— Pani Ellen poszła spać. Może pan zostawić trzydziestosekundową wiadomość, która zostanie jej rano przekazana. Dziękuję.

Ackers zaklął w bezsilnej złości i odłożył słuchawkę. Zachodził w głowę, czy Ellen rzeczywiście poszła spać, może po prostu wymknęła się z domu, jak wiele razy wcześniej. Ostatecznie jednak była prawie trzecia nad ranem. Każda osoba o zdrowych zmysłach powinna spać: tylko on i Garth trwali na swoich posterunkach, oddani wypełnianiu obowiązków.

Co Garth miał na myśli, mówiąc piękna kobieta?

— Panie Ackers — odezwał się nadzorujący. — Nadchodzi dziesiąta specyfikacja.

Ackers z nadzieją popatrzył na bank danych. Oczywiście nic nie widział, właściwy mechanizm znajdował się w podziemiach budynku, przed sobą miał jedynie receptory oraz szczeliny wylotowe. Jednakże samo spojrzenie na maszynę napełniało go otuchą. W tej chwili bank przyjmował dziesiąty element materiału. Wkrótce dowie się, ilu obywateli pasowało do wskazanych dziesięciu kategorii... i uzyska wystarczająco nieliczną grupę, by móc dokładnie wziąć pod lupę każdego z jej członków.

— Proszę — powiedział nadzorujący, popychając raport w jego kierunku.

Typ posiadanego pojazdu (kolor) 7

— Boże — wydusił Ackers. — To wystarczy. Siedem osób — możemy przystępować do pracy.

— Chce pan dostać te siedem kart?

— Oczywiście — odparł Ackers.

Chwilę potem z otworu wypadło siedem białych kart. Ackers wziął i przekartkował pospiesznie. Następną kategorią był motyw osobisty oraz odległość: to należało ustalić na podstawie zeznań samych podejrzanych.

Spośród siedmiu nazwisk sześć było mu całkowicie nieznanymi. Dwie osoby mieszkały na Wenus, jedna w Układzie Centauriańskim, jedna gdzieś na Syriuszu, jedna była w szpitalu, inna zaś mieszkała w Związku Radzieckim. Siódma osoba znajdowała się w odległości kilku mil, na przedmieściach Nowego Jorku.

LANTANO, DAVID

To wystarczyło, by wszystkie elementy układanki ułożyły się w umyśle Ackersa w logiczną całość; obraz nabrał wyrazistych zarysów. Ackers niemal oczekiwał, ba, modlił się, aby ujrzeć kartę Lantano.

— Oto podejrzany — powiedział do pochłoniętych grą policjantów. — Lepiej zbierzcie jak największą ekipę, to nie pójdzie łatwo. Najlepiej będzie, jak sam pojedę — dodał po chwili.

Beam wpadł do sieni po to, by ujrzeć, jak Paul Tirol wybiega na ogarniętą mrokiem ulicę. Towarzysząca mu młoda kobieta wskoczyła do zaparkowanego samochodu i zapuściła silnik; zabrała Tirola, po czym natychmiast odjechała.

Zdyszany Beam stanął bezsilnie na chodniku. Tajemniczy telewizor zniknął; nie zostało mu nic. Machinalnie ruszył w dół ulicy. Tupot jego stóp niósł się echem w lodowatej ciszy. Ani śladu uciekinierów, ani śladu czegokolwiek.

— A niech mnie licho — powiedział niemal z zabobonnym lękiem. Wynikało z tego, że przedmiot — robot o rozwiniętych zdolnościach — należał do Paula Tirola; z chwilą stwierdzenia jego obecności, niezwłocznie ruszył mu na spotkanie. Po... wsparcie?

Zabił Heimiego Rosenburga, stanowił własność Tirola. Tak więc dzięki nowatorskiej metodzie Tirol zamordował swojego pracownika, przedstawiciela z Piątej Alei. Tego typu urządzenie musiało kosztować z grubsza sto tysięcy dolarów.

Mnóstwo pieniędzy, zwłaszcza że morderstwo to najłatwiejsze z przestępstw. Czy nie można było zamiast tego wynająć kryminalisty z łomem?

Beam ruszył wolnym krokiem w stronę laboratorium. Naraz raptownie zmienił zdanie i skierował się ku dzielnicy finansowej. Zatrzymał taksówkę i wszedł do środka.

— Dokąd? — zapytał starter ze stacji przekaźnikowej. Miejskie taksówki były zdalnie sterowane z bazy centralnej.

Podał nazwę baru. Następnie opadł na siedzenie i zatopił się w myślach. Każdy mógł popełnić morderstwo, skomplikowana, kosztowna maszyna była do tego zbędna.

Urządzenie zostało stworzone do innych celów. Zabicie Heimiego Rosenburga to przypadek.

Na tle czarnego nieba zamajaczyła potężna kamienna rezydencja, Ackers przyjrzał się jej z daleka. Nie paliły się żadne światła, wszystko było zamknięte na klucz. Przed domem rozciągał się jednoakrowy trawnik. Avis Lantano był prawdopodobnie ostatnią osobą na Ziemi, która posiadała własny akr trawnika; kupno całej planety w innym układzie było tańsze.

— Idziemy — zakomenderował Ackers; zde gustowany tak jawną manifestacją możliwości, w drodze na werandę umyślnie przemaszerował przez różany klomb. Za nim podążał oddział policji.

— O rany — zagrział Lantano, gdy gwałtownie wyrwano go ze snu. Był dość młodym grubasem o sympatycznym wyglądzie. Włożył jedwabny szlafrok. W roli komendanta letniego obozu dla chłopców wydawałby się bardziej na miejscu, na jego okrągłej twarzy malował się wyraz wiecznej dobroduszości. — Co się stało, oficerze?

Ackers nienawidził, jak ktoś nazywał go oficerem.

— Jest pan aresztowany — oświadczył.

— Ja? — powtórzył słabym głosem Lantano. — Hej, oficerze, mam prawników, którzy zajmują się takimi sprawami. — Ziewnął potężnie. Napije się pan kawy? — W otępieniu zaczął krzątać się po pokoju i przystąpił do zaparzania kawy.

Minęły lata od chwili, gdy w przystępie szaleństwa Ackers kupił sobie filiżankę kawy. Ze względu na fakt, że powierzchnia Terry bez reszty pokryta była fabrykami i domami mieszkalnymi, nie było miejsca na uprawy, kawa zaś „nie przyjęła się” w innym środowisku. Lantano zapewne wyhodował swoją na nielegalnej plantacji w Ameryce Południowej — zbieracze pewnie uważali, że przetransportowano ich na jakąś odległą kolonię.

— Nie, dziękuję — powiedział Ackers. — Idziemy.

Wciąż oszołomiony, Lantano opadł na fotel i rzucił Ackersowi niespokojne spojrzenie.

— Pan mówi poważnie. — Stopniowo niepokój zniknął z jego twarzy, wydawało się, że z powrotem zapada w sen. — Kto?... — mruknął niewyraźnie.

— Heimie Rosenburg.

— Pan żartuje. — Lantano potrząsnął głową. — Zawsze chciałem, by pracował dla mnie. Heimie jest uroczym człowiekiem. Chciałem powiedzieć, był.

Pobył w luksusowej posiadłości sprawiał, że Ackers czuł się coraz bardziej nieswojo. Aromat ciepłej kawy drażnił mu nozdrza. I, Boże uchwaj, na stole stała miska brzoskwiń.

— Brzoskwinie — powiedział Lantano, zauważając jego spojrzenie. Proszę się poczęstować.

— Skąd... skąd pan je ma?

Lantano wzruszył ramionami.

— Sztucznie pędzone. Hydroponiczne. Zapomniałem gdzie... Nie mam głowy do spraw technicznych.

— Czy pan wie, jaka grozi grzywna za posiadanie naturalnych owoców?

— Proszę posłuchać — rzucił szczerze Lantano, z kłaśnięciem zaplatając mięsiste dłonie. — Niech pan mi poda szczegóły tej sprawy, a ja udowodnię, że nie miałem z tym nic wspólnego. Dalej, oficerze.

— Ackers — powiedział Ackers.

— Dobrze, Ackers. Wydawało mi się, że pana rozpoznaję, ale nie byłem pewny, nie chciałem zrobić z siebie głupka. Kiedy zamordowano Heimiego?

Ackers z ociąganiem udzielił mu stosownych informacji.

Lantano milczał przez chwilę.

— Niech pan lepiej jeszcze raz rzuci okiem na te karty — rzucił wreszcie ponuro. — Jeden z tych ludzi nie mieszka w Układzie Syriusza... wrócił tutaj.

Ackers rozważył w myślach szansę wygnania osobnika o statusie Davida Lantano. Jego organizacja — Interplay Export — opłatała mackami całą galaktykę, ekipy poszukiwawcze rozpełzłyby się po niej jak muchy. Skazani, po czasowej jonizacji za pomocą wysokoenergetycznych cząstek, mknęli w przestrzeń z prędkością światła. Była to technika eksperymentalna, która się nie przejęła, gdyż działała tylko w jedną stronę.

— Niech pan się zastanowi — powiedział z namysłem Lantano. — Gdybym istotnie chciał zabić Heimiego... czy zrobiłbym to sam? Nie myśli pan logicznie, Ackers. Wysłałbym kogoś. — Wymierzył w Ackersa serdelkowatym palcem. — Wyobraża pan sobie, że ryzykowałbym własne życie? przecież wiem, że zawsze znajduje pan sprawcę... na ogół uzyskujecie wystarczającą liczbę specyfikacji.

— Na pana mamy dziesięć — odpalił Ackers.

— Zatem ma pan zamiar mnie wygnąć?

— Jeśli jest pan winny, zastosujemy procedurę jak w przypadku kogokolwiek innego. Pański prestiż nie ma tu nic do rzeczy. Oczywiście, zostanie pan uwolniony — dodał z rozdrażnieniem Ackers. — Będzie pan miał mnóstwo okazji, aby udowodnić swą niewinność, ma pan prawo podważyć każdą specyfikację z osobna.

Miał zamiar wyłuszczyć szczegóły procedury sądowej stosowanej w dwudziestym pierwszym wieku, lecz coś sprawiło, że umilkł. David Lantano wraz z fotelem zdawał się coraz głębiej wnikać w podłogę. Czy to złudzenie? Ackers zamrugał i przetarł oczy. W tej samej chwili jeden z policjantów wydał z siebie ostrzegawczy okrzyk; Lantano wymykał im się z rąk.

— Wracaj! — krzyknął Ackers; skoczywszy do przodu, chwycił fotel. Jeden z jego ludzi pospiesznie odciął dopływ prądu, fotel przestał opadać i znieruchomiał ze zgrzytem. Ponad podłogą wystawała jedynie głowa Lantano. Prawie udało mu się schronić w ukrytym przejściu ewakuacyjnym.

— Co za... — zaczął Ackers.

— Wiem — przyznał Lantano, nie czyniąc żadnego ruchu, aby wstać. Wydawał się zrezygnowany, ponownie pogrążył się w zamyśleniu. — Mam nadzieję, że uda się wszystko wyjaśnić. Najwyraźniej ktoś mnie wrabia. Tirol znalazł osobę podobną do mnie, która zamordowała Heimiego.

Ackers i policjanci wydostali go z uwięzionego w podłodze fotela. Nie stawiał oporu, był zbyt pochłonięty własnymi myślami.

Leroy Beam wysiadł z taksówki przed barem. Po jego prawej stronie, w następnym budynku mieścił się Departament Wewnętrzny... na chodniku zaś stała budka propagandowa Harvey'a Gartha.

Beam wkroczył do baru i usiadł przy stoliku. Usłyszał niewyraźny, zniekształcony głos Gartha. Pochłonięty wygłaszaniem skierowanych do samego siebie miażdżących wywodów Garth jeszcze go nie zauważył.

— Koniec z tym — mówił. — Koniec z nimi wszystkimi. Banda łajdaków i złodziei.

— Co się dzieje? — zapytał Beam. — Co słyhać?

Skupiwszy uwagę na Beamie, Garth urwał swój monolog.

— Ty tutaj? W barze?

— Zbieram informacje na temat śmierci Heimiego.

— Aha — odrzekł Garth. — On nie żyje, kartoteki pracują pełną parą, wyrzucając karty.

— Kiedy opuszczałem jego mieszkanie — dodał Beam — mieli sześć specyfikacji.

— Wcisnął guzik selektora drinków i wrzucił żeton.

— To musiało być wcześniej — oświadczył Garth. — Teraz mają więcej.

— Ile?

— W sumie dziesięć.

Dziesięć. To na ogół wystarczało. Wszystkie dziesięć podrzucone przez robota... mała procesja wskazówek, które rozsiewał po drodze: między betonową ścianą budynku a ciałem Heimiego Rosenburga.

— To dopiero fart — uznał. — Na rękę Ackersowi.

— Skoro mi płacisz — powiedział Garth — powiem ci resztę. Już znaleźli winnego, Ackers pojechał, żeby go zgarnąć.

Czyli urządzenie dopięło swego. Przynajmniej w pewnym stopniu. Był pewien co do jednego: maszyna powinna była opuścić mieszkanie na czas. Tirol nie wiedział o sygnale alarmowym Heimiego; ten ostatni miał na tyle oleju w głowę, aby założyć go na własną rękę.

Gdyby sygnał nie spowodował niczyjej reakcji, maszyna zrobiłaby swoje i wróciła do Tirola. Wówczas Tirol bez wątpienia by ją zniszczył. Nie pozostałoby nic wskazującego na możliwość spreparowania dowodów: grupy krwi, materiału, tytoniu z fajki, włosów... i całej reszty, wszystkich fałszywych.

— Na kogo padło? — zapytał Beam.

— Na Davida Lantano.

Beam drgnął.

— Ależ oczywiście. O to chodzi, został wrobiony!



Garthowi było wszystko jedno, działał na usługach zrzeszenia niezależnych badaczy, zdobywając informacje z Departamentu Wewnętrzznego. Polityka w gruncie rzeczy nie interesowała go; jego hasło „Koniec z tym!” stanowiło jedynie zasłonę dymną.

— Wiem, że to granda — oznajmił Beam. — Lantano też to wie. Żaden z nas jednak nie może tego udowodnić... chyba że Lantano znajdzie sobie niepodważalne alibi.

— Koniec z tym — mruknął Garth, powracając do swojej rutyny. Jego budkę minęła mała grupa pracowników wracających z nocnej zmiany, podczas gdy on rozmawiał z Beamem. Skierowana do jednego słuchacza wypowiedź była niesłyszalna dla pozostałych; lepiej jednak nie ryzykować. Czasem, gdy ktoś podszedł bardzo blisko budki, docierał do niego słaby sygnał.

Przygarbiony nad szklanką Leroy Beam rozważył możliwości. Mógł poinformować organizację Lantano, która dysponowała w zasadzie nieograniczonym polem manewru... to jednak wywołałoby istną wojnę domową. Poza tym tak naprawdę nie dbał o to, czy ktoś wrabiał Lantano, czy nie; dla niego nie miało to znaczenia. Prędzej czy później jeden z wielkich handlarzy niewolników wchłonie drugiego. Kartel to naturalna faza wielkich interesów. Wraz z odejściem Lantano, Tirol bez przeszkód zawładnie jego organizacją, wszyscy pozostaną przy swoich biurkach.

Z drugiej strony istnieje możliwość powstania maszyny — która obecnie leży nieukończona w piwnicy Tirola — mającej za zadanie pozostawić szereg wskazówek typu Leroy Beam. W chwili gdy ktoś wcielił ten pomysł w życie, nic nie wskazywało na to, by miał on pójść w zapomnienie.

— A ja miałem to diabelstwo w rękach — rzucił bezsilnie. — Tłukłem, w nie przez pięć godzin. Miało wtedy postać telewizora, ale nie ulegało wątpliwości, że to rzeczywisty sprawca śmierci Heimiego.

— Jesteś pewny, że znikło?

— Nie tylko znikło, przestało istnieć. Chyba że, odwożąc Tirola do domu, rozbiła samochód.

— Kto? — zapytał Garth.

— Ta kobieta. — Garth zamyślił się. — Widziała je. Albo o nim wiedziała, była z Tirole. — Nie miał niestety pojęcia, kim była tajemnicza kobieta.

— Jak wyglądała? — zapytał Garth.

— Wysoka, mahoniowe włosy. Nerwowo jej drgały usta.

— Nie sądziłem, że otwarcie z nim współpracuje. Rzeczywiście musieli potrzebować tej maszyny. Nie poznałeś jej? — dorzucił Garth. — Cóż, pewnie nie ma powodu, dla którego miałbyś to zrobić, trzymaj się na uboczu.

— Kto to taki?

— Ellen Ackers.

Beam wybuchnął ostrym śmiechem.

— I wozi Paula Tirola po mieście?

— Ona... cóż, wozi Paula Tirola po mieście, owszem. Można to i tak ująć.

— Od kiedy?

— Myślałem, że wiesz. Ona i Ackers rozstali się, to było w zeszłym roku. On jednak nie chciał dać za wygraną, odmówił zgody na rozwód. Bał się rozgłosu. Zależało mu na zachowaniu twarzy... nie chciał umniejszać powagi swego urzędu.

— Wie o niej i Tirolu?

— Jasne, że nie. Wie jednak, że... kogoś ma. Nic go to nie obchodzi... byle siedziała cicho. Ma przede wszystkim na uwadze swoją karierę.

— Gdyby się dowiedział — mruknął Beam. — Gdyby dostrzegł powiązania pomiędzy żoną a Tirolelem... zignorowałby wszystkie dziesięć specyfikacji. Chciałby dopaść Tirola. Do diabła z dowodami, zawsze można zebrać je później. — Beam odsunął pustą szklankę. — Gdzie jest Ackers?

— Mówiłem ci. Pojechał po Lantano.

— Wróci tu? Nie pojedzie do domu?

— Jasne, że tu wróci. — Garth milczał przez chwilę. — Widzę kilka samochodów Departamentu wjeżdżających na rampę. Pewnie przywieźli podejrzanego.

Beam czekał w napięciu.

— Jest z nimi Ackers?

— Tak, jest z nimi. Koniec z tym! — huknął tubalnym głosem Garth. — Koniec z systemem banicyjnym! Precz z łajdakami i piratami!

Beam zsunął się ze stołka i opuścił bar.

W tylnej części mieszkania Edwarda Ackersa pobłyskiwało mdławe światło, pewnie dochodziło z kuchni. Drzwi frontowe były zamknięte na klucz. Stojąc w wyłożonym dywanem korytarzu, Beam zręcznie manipulował przy drzwiach. Były zaprogramowane do reakcji na określone struktury nerwowe właścicieli oraz wąskiego kręgu przyjaciół. On nie zaliczał się do tej grupy.

Beam ukląkł i uruchomiwszy kieszonkowy oscylator, rozpoczął emisję drgań. Stopniowo zwiększył częstotliwość. Mniej więcej przy 150 000 Hercach zamek wydał pełne poczucia winy kliknięcie; dokładnie tego potrzebował Beam. Wyłączywszy oscylator, przeszkął swoją kolekcję modeli szkieletowych, aż wreszcie zlokalizował cylinder szyfrowy. W połączeniu z oscylatorem cylinder wyemitował bliską oryginałowi syntetyczną strukturę nerwową, która zadziałała na zamek.

Drzwi się otworzyły. Beam wszedł do środka.

W półmroku salon wydawał się urządzony skromnie i ze smakiem. Ellen Ackers była dobrą gospodynią. Beam nadstawił ucha. Czy w ogóle znajdowała się w domu? Jeśli tak, to gdzie? Czy spała?

Zajrzał do sypialni. Łóżko było puste.

Skoro nie ma jej tutaj, musi być u Tirola. Kuchnia również świeciła pustkami. Obok, nieco poniżej znajdowała się obita tapicerką bawialnia; po jednej stronie stał krzykliwy barek, po drugiej szeroka na całą ścianę sofa. Leżał na niej damski płaszcz, torebka i rękawiczki. Wyglądały znajomo, niedawno miała je na sobie Ellen Ackers. Zatem po opuszczeniu laboratorium przyjechała tutaj.

Pozostała jeszcze łazienka. Nacisnął klamkę, drzwi zamknięto od środka. Z pomieszczenia nie dobiegał żaden dźwięk, lecz ktoś znajdował się po drugiej stronie drzwi. Beam wyczuwał jego obecność.

— Ellen — powiedział. — Ellen Ackers, czy to pani?

Bez odpowiedzi. Wyczuł, że stoi bez ruchu, starając się nie oddychać.

Gdy przykląkł na podłodze, grzebiąc w zamku, nabój przebił drzwi na wysokości głowy i utkwiał w ścianie.

Drzwi otworzyły się natychmiast, stanęła w nich Ellen Ackers z twarzą zniekształconą przerażeniem. W drobnej, kościstej dłoni trzymała jeden z pistoletów męża. Była niższa od Beama o stopę. Nie podnosząc się z klęczek chwycił ją za nadgarstek, wystrzeliła ponad jego głową i zaczęli się gwałtownie szamotać.

— Niechże pani da spokój — wydusił wreszcie Beam. Lufa broni musnęła czubek jego głowy. Aby go zabić, musiała przysunąć pistolet do siebie. Nie pozwolił na to, ścisnął jej nadgarstek dopóty, dopóki z ociąganiem nie upuściła broni, która ze stukiem upadła na podłogę. Beam wstał.

— Siedział pan — szepnęła zdławionym, oskarżycielskim głosem.

— Klęczałem, otwierałem zamek. Cieszę się, że celowała pani w głowę. — Podniósł broń i wepchnął ją do kieszeni płaszcza, trzęsły mu się ręce.

Ellen Ackers utkwiała w nim wzrok, miała wielkie, ciemne oczy, jej twarz przybrała niezdrowy odcień bladości. Skóra posiadała nienaturalny wygląd suchej, przysypanej talkiem powłoki. Kobieta sprawiała wrażenie osoby stojące na granicy wytrzymałości nerwowej; raz po raz wstrząsał nią gwałtowny dreszcz. Próbowwała coś powiedzieć, lecz ze ściśniętego gardła nie dobywało się nic prócz świszczących dźwięków.

— No wie pani — rzucił z zakłopotaniem Beam. — Przejdźmy do kuchni, tam pani usiądzie.

Popatrzyła na niego, jak gdyby powiedział coś niewiarygodnego, wstrząsającego lub odkrywczego; nie był pewien.

— Idziemy. — Próbował ująć ją za ramię, lecz wyszarpnęła się gwałtownie. Miała na sobie zielony kostium o prostym kroju i wyglądała bardzo ładnie; pomimo nadmiernej chudości i nerwowości wciąż wydawała się atrakcyjna. W jej uszach połyskiwały drogie kolczyki z importowanymi kamieniami, które zdawał się ciągle ruszać... poza tym jednak jej odzież była dość skromna.

— To pan... pana widziałam w laboratorium — wydusiła łamiącym się, zduszonym głosem.

— Nazywam się Leroy Beam. Niezależny. — Zaprowadził ją niezręcznie do kuchni i posadził przy stole. Zaplotła przed sobą dłonie i utkwiała w nich wzrok, jej twarzy jakby z każdą chwilą stawała się coraz bardziej koścista. Poczuł się nieswojo.

— Nic pani nie jest? — zapytał.

Pokręciła głową.

— Kawy? — Zaczął otwierać szafki w poszukiwaniu substytutu kawy wenusjańskiej produkcji. — Niech pan lepiej pójdzie do łazienki — odezwała się naraz Ellen Ackers. — On chyba żyje, ale mogę się mylić.

Beam pognął do łazienki. Za plastikową zasłoną prysznic widniał niewyraźny kształt. W wannie leżał ubrany Paul Tirol. Wprawdzie żył, ale zza lewego ucha wolno płynęła miarowa strużka krwi. Beam zbadał mu puls, posłuchał jego oddechu, po czym wyprostował się.

W drzwiach stanęła wciąż blada z przerażenia Ellen Ackers.

— I co? Zabiłam go?

— Nic mu nie jest.

Odetchnęła.

— Dzięki Bogu. To stało się tak szybko... wyprzedził mnie, aby sięgnąć po M i zabrać ją do domu, wtedy to zrobiłam. Uderzyłam go tak lekko, jak mogłam. Był tak pochłonięty, że nie zwracał na mnie uwagi. — Pospiesznie wyrzucała z siebie zdania przerywane żywą gestykulacją. Zaciągnęłam go z powrotem do samochodu i przywiozłam tutaj, tylko to przyszło mi do głowy.

— Po co pani to robi?

Na jej rozhisteryzowanej twarzy konwulsyjnie zadrgały mięśnie.

— Wszystko było zaplanowane... wszystko sobie przemyślałam. Kiedy ją zdobyłam, miałam zamiar... — Urwała.

— Zaszantażować Tirola? — podsunął z przejęciem.

Uśmiechnęła się blado.

— Nie, nie Paula. To on podsunął mi ten pomysł... od razu na niego wpadł, jak tylko jego naukowcy pokazali mu... niepoprawną M, jak ją nazywa. M jak maszyna. To znaczy, że nie można jej wykształcić, uczynić moralnie poprawną.

— Chciała pani zaszantażować swojego męża — powiedział z niedowierzaniem Beam.

Ellen Ackers kiwnęła głową.

— Aby pozwolił mi odejść.

Beam poczuł do niej nieoczekiwany szacunek.

— Boże... sygnał alarmowy. Heimie go nie założył, pani to zrobiła. Tak aby maszyna została uwięziona w mieszkaniu.

— Tak — przyznała. — To ja miałam ją zabrać. Lecz Paulowi chodziło o coś innego, jemu również na niej zależało.

— Co poszło nie tak? Przecież urządzenie znajduje się w pani rękach, prawda?

W milczeniu wskazała na szafkę z bielizną.

— Schowałam je tam, słysząc pana.

Beam otworzył szafkę. Na schludnie poskładanych ręcznikach stał znajomy przenośny odbiornik TV.

— Zmieniła postać — wyjaśniła Ellen tonem bezwzględnej porażki. — Zrobiła to, jak tylko uderzyłam Paula. Przez pół godziny usiłowałam przywrócić jej poprzednią formę. Bez skutku. Zostanie taka już na zawsze.

### III

Beam podszedł do telefonu i wezwał lekarza. W łazience Paul Tirol jęknął i spróbował rozprostować ramiona. Powoli wracała mu świadomość.

— Czy to było konieczne? — zapytała Ellen Ackers. — Czy musiał pan dzwonić po lekarza?

Beam nie zwrócił na nią uwagi. Podniósł telewizor i przytrzymał go, przedmiot ciążył mu w rękach. Oto przeciwnik doskonały, pomyślał; za głupi, by można go pobić. Gorszy niż zwierzę. Był jak skała, zbity, ciężki, pozbawiony jakichkolwiek właściwości. Może poza determinacją, dorzucił w myślach. Żądzą przetrwania; skała obdarzona wolą. Poczul, jakby trzymał w dłoniach cały wszechświat i pospiesznie odłożył nieoprawną M.

— Denerwuje pana — zauważyła Ellen. Jej głos odzyskał normalną barwę. Srebrną zapalniczką zapaliła papierosa i włożyła ręce do kieszeni kostiumu.

— Owszem — odparł.

— Nic nie można zrobić, co? Już wcześniej próbował pan ją otworzyć. Opatrz Paul, wróci do domu, a Lantano zostanie wygnany... — Spazmatycznie chwyciła oddech. — Departament Wewnętrzny nadal będzie robił swoje.

— Tak — odrzekł. Wciąż klęcząc, przyjrzał się M. Teraz wiedział, że zmarnował czas. Popatrzył na nią obojętnie, nie trudił się nawet, by jej dotknąć.

W łazience Paul Tirol próbował wyjść z wanny. Ześlizgnął się do niej z powrotem, zaklął, jęknął i ponowił próbę.

— Ellen? — zawołał drżącym głosem, przypominającym tarcie starych przewodów.  
— Spokojnie — wycedziła przez zęby. Nie ruszając się z miejsca, nadal paliła papierosa.

— Pomóż mi, Ellen — mruknął Tirol. — Coś mi się stało... Nie pamiętam co. Coś mnie uderzyło.

— Przypomni sobie — powiedziała Ellen.

— Mogę pokazać to Ackersowi w obecnej postaci — zaproponował Beam. — Pani wyjaśni mu, do czego służy. To powinno wystarczyć, Lantano zostanie oczyszczony z zarzutów.

Sam w to nie wierzył. Ackers musiałby przyznać się do pomyłki, podstawowego błędu, a jeśli okazałoby się, że niesłusznie zaarrestował Lantano, byłby skończony. Podobnie jak cały system poszlakowy. Można było go oszukać, uczyniono to. Ackers to twarda sztuka, będzie brnął dalej — do diabła z Lantano, do diabła z abstrakcyjną sprawiedliwością. Lepiej zachować ciągłość kulturową i pozwolić, by życie społeczeństwa toczyło się utartym szlakiem.

— Sprzęt Tirola — powiedział Beam. — Czy wie pani, gdzie on jest?

Wzruszyła ramionami.

— Jaki znowu sprzęt?

Pokazał palcem na M.

— To zostało gdzieś wyprodukowane.

— Nie tutaj, to nie produkt Tirola.

— No dobrze. — Do przyjazdu karetki zostało im około sześciu minut. — Więc czyj?

— Stop powstał na Bellatrix. — Cedziła słowo po słowie. — Skorupa... tworzy powłokę urządzenia, bańkę, która jest wsysana do zbiornika i wysysana. Kształt odbiornika to właśnie ta skorupa. Następnie zostaje zassana do środka i staje się M; jest gotowa do działania.

— Gdzie została wyprodukowana? — powtórzył pytanie.

— Syndykat maszynowy na Bellatrix... filia organizacji Tirola. Urządzenia mają za zadanie pilnować obejścia. Używają ich wielkie plantacje Ina planetach zewnętrznych; patrolują okolicę, łapią kłusowników.

— Nie są na ogół zaprogramowane na jedną osobę? — zapytał Beam.

— Nie.

— Któż więc zaprogramował ją na Heimiego? Chyba nie syndykat maszynowy.

— Uczyniono to tutaj.

Wyprostował się i wziął do ręki odbiornik TV.

— Idziemy. Proszę zaprowadzić mnie tam, gdzie Tirol zmienił oprogramowanie.

Przez chwilę kobieta nie reagowała. Chwycił ją za ramię i popchnął do drzwi. Zaczepnęła tchu i popatrzyła na mego w milczeniu.

— Szybciej — powiedział, prowadząc ją na korytarz. Gdy zamykał drzwi, trącił telewizorem o ścianę; ścisnąwszy go mocniej w rękach, podążył za Ellen Ackers.

Miasto było niechlujne i zrujnowane, kilka sklepów, stacja paliw, bary i kluby taneczne. Od Wspanialszego Nowego Jorku dzieliła je godzina lotu. Nosiło nazwę Olum.

— Niech pan skręci w prawo — poleciła niechętnie Ellen.

Opierając łokieć na parapecie okna statku spoglądała na neony.

Lecieli ponad magazynami i wyludnionymi ulicami, które rozświetlały nieliczne latarnie. Na skrzyżowaniu Ellen skinęła głową i osiedli na jednym z dachów.

Był to podupadły, upstrzony przez muchy sklep o drewnianej witrynie. W witrynie umieszczono następujący szyld: BRACIA FULTON ŚLUSARZE. Obok szyldu leżały klamki, zasuw, klucze, piły oraz budziki nakręcane sprężynami. Gdzieś wewnątrz sklepu migotało żółte światło.

— Tędy — powiedziała Ellen. Opuściła statek i zeszła w dół po rozchwianych drewnianych schodach. Beam postawił przenośny telewizor na podłodze statku, zamknął właz i podążył za nią. Trzymając się barierki, dostał się na tylny ganek zastawiony stosami puszek i przesiąkniętych wilgocią gazet związanych sznurkiem. W tym czasie Ellen otworzyła drzwi i po omacku weszła do środka.

Znalazł się w zagraconym, cuchnącym pleśnią pomieszczeniu. Wszędzie leżały szpule drutu oraz blaszane płyty, zupełnie jak na złomowisku. Prowadził do warsztatu wąski korytarz. Ellen wyciągnęła rękę w poszukiwaniu włącznika. Błysnęło światło. Po prawej stronie widniał podłużny, zaśmiecony stół z ręczną szlifierką na jednej z krawędzi, stały przed nim dwa drewniane stołki oraz na wpół złożone urządzenie. Warsztat był zakurzony i archaiczny. Na wbitym w ścianę gwoździu wisiał podniszczony niebieski fartuch: strój maszynisty.

— Proszę — oznajmiła z goryczą Ellen. — Oto, gdzie Paul przyniósł maszynę. Sprzęt stanowi własność organizacji Tirola, cała rudera to część jego holdingu.

Beam podszedł do stołu.

— Aby ją dostosować — powiedział — Tirol musiał mieć odbicie struktury nerwowej Heimiego. — Przewrócił stertę szklanych pojemników, na nierówną powierzchnię stołu posypał się deszcz śrubokrętów i uszczelek.

— Uzyskał je z drzwi Heimiego — odparta Ellen. — Dał do analizy zamek Heimiego i na podstawie jego układu odtworzono strukturę.

— I otworzył M?

— Jest tu stary mechanik — powiedziała Ellen. — Mały, zasuszony staruszek; prowadzi ten sklep. Patrick Fulton. On zainstalował M nieprzychylnie nastawienie.

— Nieprzychylnie nastawienie — powtórzył Beam, kiwając głową.

— Do zabijania ludzi. Heimie stanowił wyjątek, dla każdej innej osoby maszyna przybierała postać awaryjną. W dziczy zaprogramowano by ją na coś innego, nie telewizor. — Zaśmiała się histerycznie. — Tak, to rzeczywiście dziwnie by wyglądało, telewizor w środku puszczy. Pewnie zamieniliby go na kamień lub gałąź.

— Kamień — powiedział Beam. Wyobraził to sobie. M przyczajona, omszała, czekająca miesiące, lata na obecność człowieka. Wówczas przestałaby być kamieniem i jednym ruchem zamieniłaby się w przerośnięte pudełko krakersów, szerokie na jedną stopę, długie na dwie...

Czegoś tu jednak brakowało.

— Podróbki — powiedział. — Sztuczne odpryski farby, włosy, tytoń. Jakim cudem tego dokonano?

— Właściciel ziemski zabił kłusownika — odrzekła łamiącym się głosem Ellen. — W obliczu prawa podlegał karze. Tak więc M zostawiła wskazówki. Ślady pazurów. Zwierzęcą krew i sierść.

— Boże — powiedział wstrząśnięty. — Zabity przez zwierzę.

— Przez niedźwiedzia, dzikiego kota... cokolwiek żyło w pobliżu. Regionalny drapieżnik, śmierć nie budziła niczyjego zdziwienia. — Trąciła butem stojący pod stołem karton. — Jest tutaj, a przynajmniej kiedyś była. Struktura nerwowa, przekaźnik, odrzucone części M, schematy.

Karton służył niegdyś do przewożenia baterii. Teraz w ich miejscu znajdowała się skrzynka starannie zabezpieczona przed owadami i wilgocią. Beam zdarł metalową folię i stwierdził, że znalazł to, czego szukał. Ostrożnie wyjął zawartość kartonu i ułożył ją na stole wśród lutownic i wiertel.

— Wszystko na swoim miejscu — stwierdziła bez emocji Ellen.

— Może mógłbym pani w to nie mieszać — odparł. — Zabiorę telewizor wraz z zawartością kartonu do Ackersa i spróbuję przekonać go bez pani zeznania.

— Jasne — odrzekła ze znużeniem.

— Co pani ma zamiar zrobić?

— Cóż — odparła. — Nie mogę wrócić do Paula, tak więc sądzę, że nie mam wielkiego wyboru.

— Pomysł z szantażem był chybiony — powiedział.

Zaśniły jej oczy.

— Owszem.

— Jeśli on uwolni Lantano — podjął Beam — poproszą go o złożenie rezygnacji. Wówczas pewnie zgodzi się na rozwód, nie będzie to dla niego miało większego znaczenia.



— Ja... — zaczęła. Naraz urwała. Jej twarz zdawała się blaknąć, jak gdyby kolor i struktura skóry rozmywały się od wewnątrz. Unosząc jedną rękę, wykonała lekki półobrót i zastygła z niedokończonym zdaniem na otwartych ustach.

Beam pospiesznie zgasił lampę, w pomieszczeniu zapanowały ciemności. Usłyszał to w tej samej chwili co Ellen. Deski rozklekotanego ganku zatrzeszczały, po czym z korytarza dobiegły powolne, ciężkie odgłosy stąpania.

Gruby jegomość, pomyślał Beam. Niemrawy i senny, ciężko stawiając, kroki, brnął przed siebie z na wpół przymkniętymi oczami i przelewającymi się pod garniturem fałdami tłuszczu. W mroku zamajaczyła sylwetka mężczyzny, Beam nie widział go, lecz wyczuł, gdy tamten stanął w drzwiach, wypełniając sobą framugę. Podłoga zaskrzypiała pod jego ciężarem. Oszołomiony Beam zastanawiał się, czy Ackers już wie, czyjego rozkaz został unieważniony. A może podejrzany wyszedł na wolność dzięki interwencji swojej organizacji?

— Ach! — zabrzmiał chrypliwy głos.

— Cholera — powiedział Lantano.

Ellen zaczęła krzyczeć. Beam nie wiedział, co się dzieje, na oślep szarpał włącznik i zastanawiał się bezmyślnie, dlaczego ten nie działa. Uświadomił sobie, że stłukł żarówkę. Zapalił zapałkę, ale zgasła. Przypomniawszy sobie o zapalniczce znajdującej się w torebce Ellen Ackers znalezienie jej trwało długą chwilę.

Niepoprawna M zbliżała się do nich powoli z wysuniętym receptorem. Ponownie zatrzymała się i obróciła w stronę stołu. Straciła postać odbiornika TV i na powrót przybrała formę pudełka krakersów.

— Odbicie — szepnęła Ellen. — Zareagowała na odbicie struktury nerwowej.

M została pobudzona do życia. Beam jednak wciąż wyczuwał obecność Davida Lantano. Potężny mężczyzna nadal przebywał w pomieszczeniu, jego namacalna bliskość i ciężar towarzyszyły maszynie, która pozostawiała za sobą ślady jego pobytu. Na oczach Beama urządzenie wytworzyło strzęp tkaniny i wcisnęło go w pobliski kopczyk opiłków. Następnie pojawiła się krew, tytoń i włosy, tyle że w takiej ilości, że nie mógł ich dostrzec. Maszyna pozostawiła w kurzu odcisk obcasa, po czym z wnętrza mechanizmu wysunęła się dysza.

Oślaniając ramieniem oczy, Ellen Ackers wybiegła z warsztatu. Lecz to nie ona stanowiła obiekt zainteresowania maszyny; obracając się w kierunku stołu urządzenie oddało strzał. Pocisk przeleciał nad stołem i wylądował w rozrzuconym stosie żelastwa. Następnie eksplodował, fragmenty drutów i gwoździ rozprysnęły się na wszystkie strony.

Heimie nie żyje, pomyślał Beam i obserwował dalej. Maszyna szukała odbicia struktury, próbując zlokalizować i zniszczyć sztuczną emisję nerwową. Obróciła się wokół własnej osi, z wahaniem opuściła dyszę, po czym znowu strzeliła. Ze ściany za stołem posypały się kawałki gruzu.

Beam podszedł do M z zapalniczką w dłoni. Receptor zwrócił się w jego kierunku i urządzenie się cofnęło. Jego zarys zdrzął, by wkrótce znów odzyskać wyrazistość. Przez chwilę zmagalo się ze sobą, aż wreszcie oczom Beama ukazał się przenośny odbiornik TV. Dobiegło z niego piskliwe zawodzenie. Pojawiły się sprzeczne bodźce, maszyna nie potrafiła podjąć decyzji.

W wyniku wytworzonej neurozy sytuacyjnej i niepewności wyboru funkcjonowanie maszyny zostało zakłócone. Jej niepewność nosiła w sobie cząstkę człowieczeństwa, Beam jednak nie miał dla niej współczucia. Próbował jednocześnie przybrać postać awaryjną i przystąpić do ataku; konflikt wynikał z usterki mechanizmu, a nie z powstałych w mózgu człowieka sprzeczności. A to właśnie w mózgu człowieka utkwiał wystrzelony przez M pocisk. Heimie Rosenburg nie żył, jego sobowtór nie istniał ani nie mógł powstać. Beam podszedł do maszyny i trącił ją butem.

Maszyna obróciła się błyskawicznie jak wąż i odskoczyła.

— Ach! Cholera — powiedziała. Jadąc, wyrzuciła z siebie wiele drobinek tytoniu; znikając w korytarzu pozostawiła za sobą ślady w postaci kropel krwi i odprysków błękitnej farby. Beam słyszał, jak bezradnie obija się o ściany. Po chwili ruszył za nią.

Maszyna zataczała w korytarzu powolny krąg. Wznosiła wokół siebie barierę ze strzępów tkaniny, włosów, wypalonych zapalek i drobinek tytoniu; konstrukcję, w której za spoiwo służyła krew.

— Ach! Cholera — powiedziała swym zachrypniętym, męskim głosem. Kontynuowała pracę, Beam zaś przeszedł do następnego pomieszczenia.

— Gdzie jest telefon? — zapytał Ellen Ackers.

Odpowiedziała mu pustym spojrzeniem.

— Ona nic pani nie robi — zapewnił. Ogarnęło go nagłe zmęczenie i zniechęcenie.

— To zamknięty cykl. Nie przestanie, dopóki się nie popsuje.

— Zwariowała — powiedziała Ellen, drżąc.

— Nie — odparł. — Regresja. Próbuje się ukryć.

— Ach! Cholera — zabrzmiał z korytarza głos maszyny. Beam odszukał telefon i zadzwonił do Edwarda Ackersa.

Wygnanie oznaczało dla Paula Tirola najpierw przebycie wiele pasm ciemności, następnie długi, denerwujący odstęp, podczas którego swobodnie dryfowały wokół mego kawałki materii układające się w zmienne wzory.

Okres dzielący go od ciosu Ellen Ackers do wyroku skazującego mgliście rysował się w jego umyśle. Podobnie jak otaczające Tirola ruchliwe cienie, trudno było go czemukolwiek przypisać.

Miał wrażenie, że obudził się w mieszkaniu Ackersa. Tak, rzeczywiście. Leroy Beam również tam był. A raczej rodzaj transcendentального Leroya Beama, który unosił się

w powietrzu i wydawał polecenia. Koniec końców zjawił się Edward Ackers i stanął oko w oko z żoną oraz kłopotliwą sytuacją.

Kiedy wszedł, zabandażowany, do siedziby Departamentu Wewnętrznego, ujrzał wychodzącego stamtąd człowieka. Był to zwalisty David Lantano, który zmierzał do swej rezydencji i jednoakrowego trawnika.

Na jego widok Tirol poczuł przypływ strachu. Lantano nawet go nie zauważył, z wyrazem głębokiego namysłu na twarzy wsiadł do czekającego samochodu i odjechał.

— Ma pan tysiąc dolarów — mówił zmęczony Edward Ackers podczas fazy końcowej. Utrwalone w ostatnim wspomnieniu zniekształcone odbicie twarzy Ackersa zawirowało wśród cieni wokół Tirola. Ackers również był skończony, choć w innym sensie. — Prawo zapewnia panu tysiąc dolarów na pokrycie najistotniejszych potrzeb, otrzyma pan też kieszonkowy słownik pozaukładowych dialektów.

Sama jonizacja była bezbolesna. Nie pamiętał jej, pozostała jedynie pusta przestrzeń, ciemniejsza od tych, które otaczały go ze wszystkich stron.

— Pan mnie nienawidzi — oświadczył oskarżycielsko, kierując ostatnie słowa do Ackersa. — Zniszczyłem pana. Ale... przecież to nie pan. — W głowie miał mętlik. — Lantano. Niby załatwiony na amen, a tu proszę. Jak to? Przecież pan...

Lecz Lantano nie miał z tym nic wspólnego. Nieobecny duchem przez cały przebieg sprawy, powrócił wreszcie do domu. Do diabła z Lantano. Do diabła z Ackersem i Leroyem Beamem, do diabła wreszcie z — tu nastąpiło wahanie — Ellen Ackers.

— Rany — zawołał Tirol, gdy jego dryfujące ciało odzyskało wreszcie fizyczny kształt. — Świetnie się razem bawiliśmy... co, Ellen?

Naraz spłynął na niego gorący blask słońca. Otepiały skurczył się w sobie. Żółte, bezlitosne słońce... wszędzie. Nic prócz roztańczonego żaru, który nakłaniał do bezwzględ- nego posłuszeństwa.

Leżał jak długi pośrodku gliniastej drogi. Po prawej stronie znajdowało się spieczone pole zwiędniętej kukurydzy. Nad jego głową przeleciała para dużych ptaków o złowieszczym wyglądzie. W oddali rysowały się wzgórza, sprawiały wrażenie usypanych z pyłu. U ich stóp stały prymitywne ludzkie chaty.

Przynajmniej miał nadzieję, że zostały stworzone przez ludzi.

Gdy wstał chwiejnie, doleciał go odległy hałas. Drogą nadjeżdżał jakiś pojazd. Tirol niepokornie wyszedł mu na spotkanie.

Kierowcą okazał się chudy, wymizerowany młodzieniec o ciemnej, ziemistej cerze i grzywie włosów w kolorze chwastów. Miał na sobie poplamioną płócienną koszulę i kombinezon. W ustach trzymał pogniecionego, niezapalonego papierosa. Jeździł dwudziestowiecznym modelem silnikowym o poobijanej karoserii, na widok Tirola pojazd

zatrzymał się ze zgrzytem hamulców. Kierowca zmierzył mężczyznę krytycznym spojrzeniem. Z samochodowego radia dobiegł metaliczny zgiełk muzyki tanecznej.

— Komornik? — zapytał kierowca.

— Ależ skąd — odparł Tirol, znając niechęć ludu do komorników. Zaraz jednak ogarnęła go niepewność. Nie mógł przyznać się, że jest wygnańcem, byłoby to jednoznaczne z zaproszeniem do linczu, na ogół dość widowiskowego. — Jestem inspektorem — oznajmił. — Departament Zdrowia.

Kierowca z zadowoleniem pokiwał głową.

— Roje pasożytów ostatnio nie dają nam spokoju. Macie już na to jakiś spray? Tracimy jeden plon po drugim.

Tirol z wdzięcznością wdrapał się do samochodu.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że to słońce tak grzeje — mruknął.

— Ma pan dziwny akcent — zauważył młodzieniec, zapalając silnik. Skąd pan jest?

— Mam wadę wymowy — odparł Tirol. — Kiedy dotrzemy do miasta?

— Ach, może za godzinę — odrzekł młodzieniec i samochód leniwie potoczył się dalej drogą.

Tirol bał się zapytać o nazwę planety. To by go zdradziło. Konieczność poznania prawdy nie dawała mu spokoju. Mógł znajdować się o dwa układy gwiazdne od domu, albo dwa miliony; od Ziemi mógł dzielić go miesiąc albo siedemdziesiąt lat. Nie ulegało wątpliwości, że musiał wrócić, nie miał najmniejszego zamiaru zostać rolnikiem na jakiejś kosmicznej prowincji.

— Niezłe granie — powiedział młodzieniec, mając na myśli jazzowy zgiełk dobiegający z radia. — To Galman Freddy i jego Kreolski Zespół Włochatych Niedźwiedzi. Zna pan ten kawałek?

— Nie — mruknął Tirol. Upał i pragnienie przyprawiły go o ból głowy. Chęć poznania miejsca pobytu nie dawała mu spokoju.

Miasto było żałośnie małe. Domy znajdowały się w stanie ruiny, ulice wyglądały jak klepiska, kurczęta grzebały w stosach śmieci. Pod gankiem spał niebieskawy pseudopies. Nieszczęśliwy i spocony Paul Tirol poszedł na przystanek autobusowy i zapoznał się z rozkładem jazdy. Jego oczom ukazała się lista osobliwych wyrazów: nazwy miast. Oczywiście nie było wśród nich nazwy planety.

— Ile kosztuje przejazd do najbliższego portu? — zapytał ospałego urzędnika z okienka.

Urzędnik zastanowił się.

— Zależy, o jaki port panu chodzi. Dokąd chce pan się udać?

— Do Centrum — odrzekł Tirol. „Centrum” to określenie Układu Słonecznego.

Urzędnik niewzruszenie pokręcił głową.

— Nie ma tu żadnego portu międzyukładowego.

Tirol zdziwił się. Wynikało stąd, że nie znajdował się na żadnej z głównych planet układowych.

— Wobec tego — powiedział — poproszę bilet do najbliższego portu międzyplanetarnego.

Urzędnik skonsultował się z opasłą księgą informacyjną.

— Na którą planetę chce pan lecieć?

— Na tę, która ma port międzyukładowy — wyjaśnił cierpliwie Tirol. Byłe opuścić to miejsce.

— Czyli Wenus.

— Wobec tego jestem... — zaczął zdumiony Tirol i ugryzł się w język. Przypomniawszy sobie, że wiele układów, zwłaszcza tych bardzo oddalonych od słonecznego, miało w zwyczaju używać na określenie swoich planet nazw pierwszej dziewiątki. Ta pewnie nazywała się „Mars”, „Jowisz”, albo „Ziemia”, w zależności od jej położenia w układzie.

— Dobrze — dokończył Tirol. — Poproszę bilet w jedną stronę na... Wenus.

Wenus, a raczej to, co za nią uchodziło, było ponurą kulą nie większą od asteroidy. Wisiał nad nią obłok metalicznych oparów przysłaniających słońce. Poza kilkoma przedsiębiorstwami górniczymi i hutniczymi planeta była pusta. Jałowy krajobraz urozmaicały nieliczne obskurne chaty. Nieustanny wiatr rozwiewał śmieci i gruz.

Lecz tu znajdował się port międzyukładowy, lotnisko łączące planetę z najbliższym układem gwiazdowym i — wreszcie — z centrum wszechświata. W tej chwili gigantyczny frachtowiec przyjmował na pokład rudę.

Tirol wszedł do biura sprzedaży biletów. Wyciągnąwszy większość pozostałej mu gotówki, oznajmił:

— Chciałbym bilet w jedną stronę w kierunku Centrum. Jak najdalej można.

Urzędnik dokonał rachunku.

— Zależy panu na klasie podróży?

— Nie — odparł, ocierając czoło.

— Na szybkości?

— Nie.

— Doleci pan za tę sumę do Układu Betelgeuse.

— Dobre i to — odrzekł Tirol, zastanawiając się, co potem. Stamtąd przynajmniej nawiąże kontakt ze swoją organizacją, wyląduje w miejscu oznaczonym na mapach. Spłukał się jednak niemal do suchej nitki. Pomimo żaru poczuł lodowate ukłucie strachu.

Centralna planeta Układu Betelgeuse nosiła nazwę Plantagenet III. Był to ważny punkt tranzytowy transportowców przewożących osadników do nierozwiniętych kolonii. Zaraz po wylądowaniu statku Tirol pospieszył na postój taksówek.

— Niech pan zawiezie mnie do Tirol Enterprises — polecił, modląc się w duchu o istnienie lokalnej filii. Musiała tu być, choć może funkcjonowała pod inną nazwą. Lata temu stracił rachubę rosnących wpływów swojego imperium.

— Tirol Enterprises — powtórzył z namysłem taksówkarz. — Nie, nie ma tu nic o podobnej nazwie.

— Kto tu się zajmuje niewolnictwem? — zapytał oszołomiony Tirol.

Taksówkarz zmierzył go wzrokiem. Był to pomarszczony mężczyzna w okularach o żółtym, pozbawionym współczucia spojrzeniu.

— Cóż — odparł. — Wieść niesie, że można wydostać się poza układ bez dokumentów. Zajmuje się tym przewoźnik... o nazwie... — Urwał. Roztrzęsiony Tirol wręczył mu ostatni banknot.

— Solidny Export — Import — powiedział taksówkarz.

Była to jedna z filii Lantano.

— To wszystko? — zapytał ze zgrozą Tirol.

Taksówkarz kiwnął głową.

Tirol odsunął się od taksówki. Budynek lotniska zatańczyły mu przed oczami, usiadł na ławce, by zaczerpnąć tchu. Serce tłukło mu nierównym rytmem. Próbował oddychać, lecz oddech boleśnie uwiązał mu w gardle. Guz nabity przez Ellen Ackers zaczął dawać się mu we znaki. Powoli zaczynała do niego docierać prawda. Nie dane mu było wrócić na Ziemię; miał spędzić resztę życia na rolniczej prowincji, odcięty od organizacji i wszystkiego, co stworzył przez lata.

Na domiar złego, pomyślał, chwytając oddech, owa reszta życia wcale nie miała długo trwać.

Pomyślał o Heimie Rosenburgu.

— Zdradzony — powiedział i zaniósł się kaszlem. — Zdradziłeś mnie. Słyszysz? To przez ciebie tutaj jestem. To twoja wina, nigdy nie powinienem był cię zatrudniać.

Jego myśli powędrowały do Ellen Ackers.

— I ty także — rzucił kaszłac. Siedział na ławce, dysząc i krztusząc się, i rozmyślał o ludziach, którzy go zdradzili. Były ich setki.

Salon Davida Lantano urządzono z nadzwyczajnym smakiem. Na półkach z kutego żelaza stały bezcenne dziewiętnastowieczne naczynia Blue Willow. David Lantano siedział przy antycznym, żółtym stole z plastiku i chromu i jadł kolację, przy czym obfitość jedzenia wprowadziła Beama w największe zdumienie.

Lantano był w świetnym humorze i z entuzjazmem przystąpił do posiłku. W pewnej chwili, gdy popijał kawę, wyrwało mu się głośne beknięcie i kilka kropli napoju spłynęło na zawiązaną pod brodą lnianą serwetkę. Pobyt w areszcie dobiegł końca, jadł, by powetować sobie krótki okres spędzony w więzieniu.

Najpierw przez własny system informacyjny, następnie przez Beama, dotarła do niego wiadomość o udanym przeniesieniu Tirola w obszar, skąd nie było powrotu. Ogarnęła go wdzięczność. Wylewnie zaproponował Beamowi wspólny posiłek.

— Ładnie tu — rzekł markotnie Beam.

— U pana też mogłoby tak wyglądać — odrzekł Lantano.

Na ścianie, za wypełnionym helem szkłem wisiał stary dokument. Było to pierwsze wydanie wiersza Ogdena Nasha, prawdziwa perła kolekcjonerska, która powinna znajdować się w muzeum. Jej widok wzbudził w Beamie mieszane uczucie tęsknoty i niechęci.

— Tak — odrzekł Beam. — U mnie też mogłoby tak wyglądać. — Mógłbym mieć to, Ellen Ackers, albo pracę w Departamencie Wewnętrznym, a może nawet wszystko naraz. Edward Ackers poszedł na zasiłek i dał żonie rozwód. Lantano został oczyszczony z zarzutów. Tirol wygnany. Zastanawiał się, czego było mu trzeba.

— Mógłby pan daleko zajść — stwierdził sennie Lantano.

— Równie daleko jak Paul Tirol?

Lantano zachichotał i ziewnął.

— Ciekawe, czy zostawił rodzinę — powiedział Beam. — Dzieci. — Pomyślał o He-  
imem.

Lantano sięgnął przez stół w kierunku misy z owocami. Wybrał brzoskwinie i starannie wytarł ją o rękaw szlafroka.

— Niech pan spróbuje brzoskwinie — zachęcił Beama.

— Nie, dziękuję — odparł z irytacją Beam.

Lantano obejrzał owoc, ale go nie ruszył. Brzoskwinia została wykonana z wosku; podobnie jak reszta owoców w misie była atrapą. Wcale nie był tak bogaty, jak chciał, aby myślano, wiele pozornie cennych przedmiotów w jego salonie stanowiły podróbki. Za każdym razem, gdy proponował gościowi owoc, podejmował wykalkulowane ryzyko. Odłożywszy brzoskwinie na talerz, opadł na krzesło i dopił kawę.

Nawet jeśli Beam nie miał żadnych planów, on tak, a wraz ze zniknięciem Tirola szansę na ich realizację wzrosły. Ogarnął go błogi spokój. Pewnego dnia, pomyślał, niedługo, owoce w misce będą prawdziwe.

**MY ZDOBYWCY**



Raju — stęknął z przejściem czerwony na twarzy Parkhurst — Chłopaki, chodźcie tutaj. Patrzcie!

Stłoczyli się wokół monitora.

— Oto i ona — powiedział Barton. Serce zabiło mu gwałtownie. — Nieźle wygląda.

— Cholerne dobrze — zgodził się Leon. Zadrżał. — Słuchajcie no... widzę Nowy Jork.

— Akurat.

— Naprawdę! To szare. Obok wody.

— Przecież to nawet nie są Stany Zjednoczone. Patrzymy do góry nogami. To Siamen.

Statek mknął przed siebie wśród skrzypienia osłon meteorytowych. Widoczna pod nim błękitno — zielona kula stawała się coraz większa. Osnuwały ją chmury obłoków, przysyłając kontynenty i oceany.

— Nigdy nie przypuszczałem, że znowu ją ujrzę — powiedział Merriweather. — Dałbym sobie rękę uciąć, że utkniemy tam na zawsze. — Jego twarz przeciął grymas. — Mars. Cholerne czerwone śmietnisko. Słońce, muchy i ruiny.

— Barton zna się na silnikach — oświadczył kapitan Stone. — Jemu podziękuj.

— Wiecie, jaka będzie pierwsza rzecz, którą zrobię po powrocie? — wrzasnął Parkhurst.

— Jaka?

— Pojadę na Coney Island.

— Po co?

— Ludzie. Chcę znów zobaczyć ludzi. Całe tłumy. Tępych, spoconych i hałaśliwych. Lody i woda. Ocean. Butelki po piwie, kartoniki od mleka, papierowe serwetki...

— I laski — dorzucił z rozjarzonym spojrzeniem Vecchi. — Sześć miesięcy to kupa czasu. Pojadę z tobą. Posiedzimy na plaży i pogapimy się na laski.

— Ciekawe, jakie kostiumy teraz noszą — wtrącił Barton.

— Może żadnych! — krzyknął Parkhurst.

— Hej! — zawołał Merriweather. — Ja znów zobaczę żonę. — Oszołomiony, zniżył głos do szeptu. — Moją żonę.

— Ja też mam żonę — powiedział Stone. Uśmiechnął się krzywo. — Ale od dawna jesteście małżeństwem. — Następnie pomyślał o Pat i Jean. Poczł bolesny ucisk w gardle. — Założę się, że wyrosły.

— Wyrosły?

— Moje dzieciaki — rzucił ochryple Stone.

Popatrzyli po sobie; sześciu obszarpanych, brodatych mężczyzn o błyszczących, rozgorączkowanych oczach.

— Jak długo jeszcze? — szepnął Vecchi.

— Godzinę — odparł Stone. — Wylądujemy za jakąś godzinę.

Statek uderzył o ziemię z impetem, który rzucił ich wszystkich na podłogę. Podskoczył i wierzgnął z wyciem rakiet hamulcowych. Rozorawszy warstwę ziemi i skał, osiadł w miejscu z dziobem utkwionym w zboczu wzgórza.

Cisza.

Parkhurst chwiejnie wstał. Chwycił się barierki. Z draśnięcia nad okiem kapłała mu krew.

— Wylądowaliśmy — powiedział.

Barton drgnął. Z jękiem zaczął gramolić się z ziemi. Parkhurst podał mu rękę.

— Dzięki. Czy już...

— Wylądowaliśmy. Jesteśmy w domu.

Silniki umilkły. Wycie ustało... rozlegał się jedynie miarowy plusk sączących się ze ścian płynów, które wsiąkały w grunt.

Statek znajdował się w opłakanym stanie. Kadłub pękł na trzy części. Jego powierzchnię znaczyły liczne wgniecenia i wygięcia. Wszędzie walały się papiery i zniszczone przyrządy.

Vecchi i Stone powoli podnieśli się z ziemi.

— Wszystko w porządku? — zapytał Stone, macając swoje ramie.

— Pomóżcie mi — powiedział Leon. — Chyba skręciłem kostkę.

Podnieśli go. Merriweather był nieprzytomny. Oucili go i pomogli mu wstać.

— Wylądowaliśmy — powtórzył Parkhurst, jak gdyby sam nie mógł w to uwierzyć.

— To Ziemia. Jesteśmy cali i zdrowi!

— Mam nadzieję, że okazy się zachowały — rzekł Leon.

— Do diabła z nimi! — wykrzyknął w podnieceniu Vecchi. Gorączkowo dopadł wyjścia i zaczął odbezpieczać ciężki zamek. — Wyjdźmy na zewnątrz i rozejrzyjmy się.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał kapitana Stone'a Barton.

— Na południu San Francisco. Na półwyspie.

— San Francisco! Hej — pojeździmy samochodzikami! — Parkhurst pomógł Vecchiemu odblokować zamek. — San Francisco. Raz byłem we Frisco. Mieli tu ogromne wesołe miasteczko. Golden Gate Park. Pójdziemy do labiryntu śmiechu.

Właz otworzył się na oścież. Rozmowy ustały jak ucięte nożem. Mężczyźni wyrzeli na zewnątrz, mrugając w oślepiającym blasku słońca.

Przed nimi rozciągało się pole zieleni. W oddali widać było ostro zarysowane w kryształicznym powietrzu wzgórza. Leżącą poniżej autostradą mknęło kilka samochodów; małe punkciki, rozsyłające na boki świetliste refleksy. Słupy telefoniczne.

— Co to za dźwięk? — zapytał Stone, nasłuchując bacznie.

— Pociąg.

Pociąg podążał po dalekim torze, znacząc swoją trasę czarnym dymem z komina. Lekki powiew wiatru przetoczył się przez pole, kołysząc żdźbłami traw. Po prawej stronie rozciągało się miasto. Domy i drzewa. Namiot teatru. Stacja benzynowa Standardu. Przydrożne parkingi. Motel.

— Czy ktoś nas widział? — zapytał Leon.

— Na pewno.

— Musieli nas słyszeć — stwierdził Parkhurst. — Hałas towarzyszący lądowaniu był koszmarny.

Vecchi wyszedł na pole. Zakołysał się gwałtownie, wyciągając na boki ramiona.

— Przewracam się!

Stone wybuchnął śmiechem.

— Przywykniesz. Zbyt dużo czasu spędziliśmy w kosmosie. Chodźcie. — Zeskoczył na ziemię. — Pora ruszać.

— Do miasta. — Parkhurst stanął obok niego. — Może zapewnią nam darmową wyżerkę... O, do diabła — szampana! — Wyprężył przysłoniętą wystrzępionym mundurem pierś. — Powracający bohaterowie. Klucze do miast. Parady wojskowe. Tabuny kobiet.

— Tabuny — chrząknął Leon. — Ty masz obsesję.

— Jeszcze jaką. — Parkhurst żwawo ruszył przez pole, reszta podążyła za nim. — Szybciej!

— Popatrz — powiedział do Leona Stone. — Ktoś tam jest. Obserwuje nas.

— Dzieci — stwierdził Barton. — Grupa dzieci. — Roześmiał się podekscytowany. — Przywitajmy się z nimi.

Skierowali się w stronę dzieci, brnąc przez mokre poszycie.

— Musi być wiosna — oznajmił Leon. — Powietrze pachnie wiosną. Zacerpnął tchu. — I trawą.

Stone dokonał pospiesznego rachunku.

— Dziewiąty kwietnia.

Przypieszyli kroku. Dzieci obserwowały ich w milczeniu.

— Hej! — zawołał Parkhurst. — Wróciliśmy!

— Co to za miasto? — huknął Barton.

Dzieci spoglądały na nich z wytrzeszczonymi oczami.

— Czy coś nie tak? — mruknął Leon.

— Nasze brody. Wyglądamy koszmarnie. — Stone zwinął dłonie w trąbkę. — Nie bójcie się! Wróciliśmy z ekspedycji na Marsa. Dwa lata temu... pamiętacie? W październiku minął rok.

Pobladłe na twarzach dzieci nie odrywały od nich wzroku. Naraz od wróciły się i uciekły. Jak szalone pobiegły w kierunku miasta.

Sześciu mężczyzn odprowadziło je spojrzeniem.

— Co u licha — mruknął zbity z tropu Parkhurst. — O co chodzi?

— Nasze brody — powtórzył bez przekonania Stone.

— Coś się stało — powiedział wstrząśnięty Barton. Zadrżał. — Stało SK, coś strasznego.

— Cicho! — skoczył Leon. — To wszystko przez nasze brody. — Ze złością oderwał strzęp koszuli. — Jesteśmy brudni. Cuchnący włóczędzy Chodźmy. — Ruszył śladem dzieci ku miastu. — Chodźcie. Już pewnie wy śłali po nas samochód. Wyjdziemy im na przeciw.

Stone i Barton popatrzyli po sobie. Z wolna podążyli za Leonem. Po zostali ruszyli za nimi.

Sześciu milczących, pełnych obaw brodatych mężczyzn wędrowało przez pole w kierunku miasta.

Rowerzysta odjechał na ich widok, zawzięcie pedałowując. Reperujący szyny pracownicy kolejowi porzucili swoje szpadle i odbiegli z krzykiem.

Zdrętwiali mężczyźni popatrzyli za nimi.

— Co jest? — wymamrotał Parkhurst.

Minęli tory. Miasto leżało po drugiej stronie. Wkroczyli w rozległy zagajnik eukaliptusowy.

— Burlingame — Leon odczytał napis na znaku. Omietli wzrokiem ulicę. Hotele i kawiarnie. Zaparkowane samochody. Stacje benzynowe. Tanie sklepy. Niewielka podmiejska dzielnica, przechodnie na chodnikach. Z wolna podążające ulicą pojazdy.

Wyłonili się zza drzew. Pracownik znajdującej się po przeciwnej stronie stacji podniósł głowę...

I zamarł.

Po chwili rzucił trzymany wąż i pognał ulicą, wydając ostrzegawcze, przenikliwe okrzyki.

Samochody przyhamowały. Kierowcy wyskakiwali na zewnątrz i rzucali się do ucieczki. Ze sklepów wylęgali ludzie i bezładnie rozpraszali się na wszystkie strony. Ogarnięci szalonym pośpiechem pragnęli znaleźć się jak najdalej stąd.

W jednej chwili ulica opustoszała.

— Chryste Panie. — Zdumiony Stone zrobił krok do przodu. — Co... Wszedł na ulicę. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Sześciu mężczyzn w milczeniu wędrowało główną ulicą. Wokół panowała cisza. Wszyscy uciekli. Rozległo się przeciągłe wycie syreny. Widoczne w oddali samochody czym prędzej zmieniały kierunek jazdy.

W oknie na piętrze Barton dostrzegł pobladłą, wystraszoną twarz. Następnie pośpiesznie zasunięto zasłony.

— Nic z tego nie rozumiem — mruknął Vecchi.

— Czy oni wszyscy powariowali? — zapytał Merriweather.

Stone nie odpowiedział. Miał kompletną pustkę w głowie. Odczuwał zmęczenie. Przysiadł na krawężniku, by odpocząć. Pozostali stanęli wokół niego.

— Moja kostka — powiedział Leon. Oparł się o znak stopu i skrzywił się. — Boli jak diabli.

— Kapitanie — odezwał się Barton. — Co im się stało?

— Nie mam pojęcia — odparł Stone. Sięgnął do obszarpanej kieszeni po papierosa. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się opuszczona kawiarnia. Na kontuarze wciąż stało jedzenie pozostawione przez uciekających w popłochu ludzi. Na patelni skwierczał hamburger, w dzbanku bulgotała gorąca kawa.

Na trotuarze leżały artykuły spożywcze upuszczone przez zaalarmowanych przechodniów. Warczał silnik porzuconego samochodu.

— No i? — zapytał Leon. — Co robimy?

— Nie wiem.

— Nie możemy tak po prostu...

— Nie wiem! — Stone zerwał się z krawężnika. Przeszedł na drugą stronę i przestał pić próg kawiarni. Patrzyli, jak zasiada za kontuarem.

— Co on wyprawia? — zdumiał się Vecchi.

— A skąd mam wiedzieć. — Parkhurst poszedł za Stone'em. — Co pan wyprawia?

— Czekam, aż mnie obsłużą.

Parkhurst niezgrabnym ruchem pociągnął go za rękaw.

— Chodźmy, kapitanie. Nikogo tutaj nie ma. Wszyscy uciekli. Stone zbył jego uwagę milczeniem. Z beznamiętnym wyrazem twarzy siedział za kontuarem. Biernie czekał, aż ktoś przyjdzie i go obsłuży.

Parkhurst cofnął się do pozostałych.

— Co tu się, do cholery, stało? — zapytał Bartona. — Co oni sobie myślą?

Ulicą nadbiegł łąciaty pies. Wyminął ich, zeszywniały i czujny, węsząc podejrzliwie. Następnie zniknął w bocznej ulicy.

— Twarze — rzucił Barton.

— Twarze?  
— Obserwują nas. Tam. — Barton wskazał jakiś budynek. — Chowają się. Dlaczego? Dlaczego się przed nami chowają?  
Naraz Merriweather znieruchomiał.  
— Ktoś jedzie.  
Odwrócili się pospiesznie.  
Dwa czarne samochody weszły w zakręt i jechały w ich kierunku.  
— Dzięki Bogu — mruknął Leon. Oparł się o ścianę budynku. — Nareszcie.  
Samochody zatrzymały się przy krawężniku. Otwarto drzwi. Na zewnątrz wylegli mężczyźni i otoczyli ich w milczeniu. Elegancy, w krawatach, kapeluszach i długich szarych płaszczach.  
— Jestem Scanlan — powiedział jeden z nich. — FBI. — Był starszym człowiekiem o szpakowatych włosach. Mówił oschłym, lodowatym głosem. Bacznie przyjrzał się całej piątce. — Gdzie jest szósty?  
— Kapitan Stone? Tam. — Barton wskazał kawiarnię.  
— Przeprowadzić go.  
Barton posłusznie udał się do kawiarni.  
— Kapitanie, oni tam są. Niech pan przyjdzie.  
Stone wyszedł za nim na ulicę.  
— Kim oni są, Barton? — zapytał z wahaniem.  
— Sześciu — powiedział Scanlan, kiwając głową. Skinął na swoich ludzi.  
— W porządku. To już wszyscy.  
Funkcjonariusze FBI otoczyli ich zwartym kręgiem, przypierając do ceglanej ściany kawiarni.  
— Zaraz! — krzyknął ochryple Barton. Rozejrzał się. — Co... co się tutaj dzieje?  
— O co wam chodzi? — zapytał z wyrzutem Parkhurst. Łzy ciekły mu po twarzy, rozmazując brud na policzkach. — Czy nam powiecie, na miłość boską...  
Funkcjonariusze wyciągnęli broń. Vecchi cofnął się, unosząc do góry ręce.  
— Proszę! — zawył. — Co myśmy takiego zrobili? Co się tutaj dzieje?  
Leon poczuł w sercu cień nadziei.  
— Oni nie wiedzą, kim jesteśmy. Myślą, że jesteśmy czerwoni. Zwrócił się do Scanlana. — Jesteśmy uczestnikami ziemskiej ekspedycji na Marsa. Nazywam się Leon. Pamięta pan? W październiku minął rok. Wróciliśmy. Wróciliśmy z Marsa. — Umilkł. Broń zbliżała się nieubłaganie. Zakończone dyszami zbiorniki.  
— Wróciliśmy! — nie ustępował chrypliwie Merriweather. — To my, ziemska ekspedycja na Marsa!  
Twarz Scanlana nie wyrażała żadnych uczuć.

— Coś podobnego — odparł zimno. — Tyle że statek rozbił się tuż po dotarciu na Marsa. Nikt z załogi nie przeżył. Wiemy o tym, gdyż wysłaliśmy sondę automatyczną i sprowadziliśmy ciała... wszystkie sześć.

Funkcjonariusze otworzyli ogień. W kierunku sześciu brodatych postaci rozpylono płonący napalm. Ogarnęły ich płomienie. Funkcjonariusze ujrzeli, jak figury zajmują się ogniem i znikają im z oczu. Wprawdzie ich nie widzieli, ale za to nie przestawali słyszeć. Nie był to przyjemny odgłos, jednak niewzruszenie pozostali na swoich miejscach.

Scanlan trącił butem zwęglone szczątki.

— Trudno o całkowitą pewność — powiedział. — Wygląda na to, że mamy tu tylko pięciu... choć nie widziałem, aby któryś uciekał. Nie było czasu. — Pod naciskiem jego stopy warstwa pyłu rozkruszyła się na wciąż dymiące i bulgoczące fragmenty.

Jego towarzysz Wilks nie odrywał wzroku od ziemi. Jako nowicjusz nie mógł uwierzyć w siłę działania napalmu.

— Ja... — zaczął. — Lepiej wrócę do samochodu — mruknął, uciekając spojrzeniem w bok.

— To jeszcze nie koniec — odrzekł Scanlan, po czym jego wzrok padł na twarz młodego człowieka. — Tak — dorzucił — idź gdzieś usiąść.

Na ulicę zaczęli wylegać ludzie. W drzwiach i oknach pojawiły się zaniepokojone twarze.

— Złapali ich! — krzyknął w podnieceniu jakiś chłopiec. — Złapali szpiegów kosmicznych!

Fotograf robił zdjęcia. Zewsząd nadciągali pobladli na twarzach ciekawscy i wytrzeszczali oczy. W zdumieniu patrzyli na zwęglony popiół.

Roztrzęsiony Wilks wślizgnął się do samochodu i zatrzasnął drzwi. Wyłączył buczące radio, nie miał ochoty ani go słuchać, ani nadać żadnej wiadomości. Przy wejściu do kawiarni funkcjonariusze w szarych płaszczach naradzali się ze Scanlanem. Po chwili część z nich odłączyła się od reszty i okrążywszy kawiarnię, ruszyła w górę alei. Wilks odprowadził ich wzrokiem. Co za koszmar, pomyślał.

Scanlan pochylił się i zajrzał do samochodu.

— Lepiej ci?

— Trochę. — Zaraz dodał: — Czy to... dwudziesty drugi raz?

— Dwudziesty pierwszy — odparł Scanlan. — Co kilka miesięcy... te same nazwiska, ci sami ludzie. Nie próbuję ci wmówić, że przywykniesz. Ale przynajmniej przestanie cię to dziwić.

— Nie widzę żadnej różnicy między nami a nimi — powiedział Wilks, starannie cedząc słowa. — To wyglądało zupełnie jak spalenie sześciu ludzi.

— Nie — zaproponował Scanlan. Otworzył drzwiczki i usiadł na tylnym siedzeniu za Wilksem. — Oni jedynie wyglądali jak ludzie. W tym sęk. To leży w ich zamiarach i ku temu dążą. Wiesz, że Barton, Stone, Leon...

— Wiem — przerwał. — Ktoś lub coś zamieszkujące tamte regiony było świadkiem katastrofy statku, widziało śmierć astronautów i zbadało sprawę. Zanim my zdołaliśmy tam dotrzeć. Zebrało wystarczające informacje, aby należycie ich wyposażyć. Ale... — Wykonał nieokreślony ruch ręką. — Czy nie możemy przedsięwziąć jakichś innych środków?

— Zbyt mało o nich wiemy — odparł Scanlan. — Tylko to, że raz za razem wysyłają sobowtóry. Próbują umieścić je wśród nas. — Jego twarz ściągnęła się bezwiednie. — Czy oni poszaleli? Może rzeczywiste różnice między nami uniemożliwiają jakikolwiek kontakt. Czy wydaje im się, że wszyscy nosimy nazwiska Leon, Merriweather, Parkhurst i Stone? Ta sprawa nie daje mi spokoju... A może właśnie to jest nasza szansa, ich brak zrozumienia naszego zróżnicowania. Wyobraź sobie, co by było, gdyby któregoś dnia stworzyli, powiedzmy... zarodnik... nasienie. Niepodobne jednak do tej nieszczęsnej szóstki, która zginęła na Marsie... coś, o czym nie wiedzielibyśmy, że jest imitacją...

— Muszą mieć jakiś model — powiedział Wilks.

Na gest jednego z funkcjonariuszy Scanlan wyszedł z samochodu, Zaraz powrócił do Wilksa.

— Mówią, że jest tylko pięciu — oznajmił. — Jeden uciekł, wydaje im się, że go widzieli. Jest ranny i ma trudności z chodzeniem. Biorę resztę ludzi i idziemy za nim. Ty zostań tutaj i miej oczy otwarte. — Dołączył do pozostałych funkcjonariuszy.

Wilks zapalił papierosa i oparł głowę na rękę. Imitacje... wszystkich ogarnął paniczny strach. Ale przecież... Czy ktokolwiek usiłował nawiązać kontakt?

Ukazało się dwóch policjantów, odganiając ludzi z drogi. Przy krawężniku stanął kolejny czarny dodge wyładowany funkcjonariuszami, którzy wysiedli na ulicę.

Jeden z nieznanym mu funkcjonariuszy podszedł do samochodu.

— Ma pan wyłączone radio?

— Tak — odrzekł Wilks. Uruchomił je ponownie.

— Jeżeli go pan zobaczy, wie pan, jak należy go zabić?

— Tak — powiedział.

Funkcjonariusz dołączył do swojego oddziału.

Gdyby to ode mnie zależało, pomyślał Wilks, co bym wówczas zrobił? Istota o ludzkim wyglądzie i zachowaniu, poczuciu bycia człowiekiem... skoro oni — kimkolwiek są — czują się ludźmi, może z biegiem czasu mogliby się nimi stać?

Od strony tłumu odłączyła się jakaś postać i ruszyła w jego kierunku. Przystanęła niepewnie, potrząsnęła głową i zachwiała się, z trudem utrzymując równowagę, po



czym przybrała pozę stojących nieopodal ludzi. Wilks rozpoznał ją dzięki kilkumiesięcznemu szkoleniu. Miała na sobie inną odzież, luźne spodnie, krzywo zapiętą koszulę i brakowało jej jednego buta. Najwyraźniej nie wiedziała, do czego w ogóle służyły. Albo też, przemknęło mu przez głowę, była zbyt pokaleczona i zbita z tropu, by na nie zważać.

Kiedy podchodziła do niego, Wilks podniósł broń i wycelował w jej brzuch. Uczono go tego; na ćwiczeniach wielokrotnie strzelał do tarczy. Prosto w środkową część ciała... Przestrzelić ją na pół, jak robaka.

Na ten widok pogłębił się wyraz cierpienia i oszołomienia na twarzy istoty. Zatrzymała się, nie próbując uciekać. Teraz Wilks dostrzegł, że została dotkliwie poparzona; pewnie i tak by nie przeżyła.

— Muszę — powiedział.

Istota wlepiła w niego wzrok, po czym otworzyła usta, próbując coś powiedzieć.

Wystrzelił.

Upadła na ziemię, nie zdóławszy wypowiedzieć słowa. Wilks wysiadł i stanął obok leżącego przy samochodzie ciała.

Nie postąpiłem właściwie, pomyślał spoglądając na zwłoki. Strzeliłem, ponieważ się bałem. Lecz musiałem to zrobić. Nawet jeśli było złe. To przybyło tutaj, by nierozpoznane wejść pomiędzy nas. Tak nam mówiono... musimy wierzyć, że tamci knują przeciwko nam, nie są ludźmi i nigdy nimi nie będą.

Dzięki Bogu, pomyślał. Już po wszystkim.

I zaraz przypomniał sobie, że wcale nie...

Był ciepły, letni dzień u schyłku lipca.

Statek z wyciem zarył w pole, przebił ogrodzenie i szopę, aż wreszcie utknął w rowie.

Cisza.

Parkhurst chwiejnie wstał. Chwycił się barierki. Bolało go ramię Oszołomiony potrząsnął głową.

— Wylądowaliśmy — powiedział. Z przejęcia i radości podniósł głos — Wylądowaliśmy!

— Pomóż mi wstać — stęknął kapitan Stone. Barton podał mu rękę.

Leon siedział na podłodze, ocierając z szyi strużkę krwi. Wnętrze statku było w opłakanym stanie. Większość połamanych przyrządów walała się po podłodze.

Vecchi na trzęsących się nogach podszedł do wjazdu. Drżącymi palcami zaczął odsuwać ciężkie rygle.

— Cóż — powiedział Barton. — Wróciliśmy.

— Nie mogę w to uwierzyć — mruknął Merriweather. Właz ustąpił i szybko odsunęli go na bok. — To niewiarygodne. Dobra stara Ziemia.

— Hej, posłuchajcie — rzucił Leon, złączając na dół. — Niech ktoś przyniesie aparat.

— Idiotyzm — odparł ze śmiechem Barton.

— Przynieście go! — wrzasnął Stone.

— Tak, przynieście — poparł go Merriweather. — Tak jak planowaliśmy, jeśli kiedykolwiek znów postawimy nogę na Ziemi. Trzeba utrwalić to wydarzenie dziejowe dla potomności.

Vecchi poszperał wśród rupieci.

— Trochę oberwał — stwierdził. Podniósł do góry nadwerżony aparat.

— Może mimo to będzie działał — powiedział zdyszany z wysiłku Parkhurst, wychodząc za Leonem. — Ale jak zrobimy zdjęcie całej szóstki? Ktoś musi pstryknąć.

— Ustawię samowyzwalacz — odrzekł Stone, biorąc do ręki aparat i regulując przyciski. — Stańcie w rzędzie. — Nacisnąwszy guzik, dołączył do reszty.

Sześciu brodatych, obszarpanych mężczyzn stanęło obok zniszczonego statku przy akompaniamencie tykania aparatu. W uroczystym milczeniu potoczyli wzrokiem po zielonej okolicy. Następnie spojrzeli na siebie z błyskiem radości w oczach.

— Wróciliśmy! — krzyknął Stone. — Wróciliśmy!

# **GRA WOJENNA**

W gabinecie Importowego Terrańskiego Biura Standardów wysoki mężczyzna wyjął z drucianego kosza plik porannych wiadomości i usiadł przy biurku, aby je przejrzeć. Nałożywszy szkła kontaktowe, zapalił papierosa.

— Dzień dobry — oznajmiła metalicznie pierwsza wiadomość, gdy Wiseman przejechał kciukiem po powlekanej płytce. Przeniósł spojrzenie na widoczny za oknem parking i leniwie wysłuchał jej treści. — Co się tam z wami dzieje? Wysłaliśmy wam partię... — nastąpiła pauza, podczas której mówiący, kierownik działu sprzedaży sieci nowojorskich domów towarowych, szukał spisu danych — ...tych ganimedejskich zabawek. Chyba rozumiecie, że musimy mieć je zatwierdzone na czas przed jesiennym sezonem sprzedaży, aby zdążyć na gwiazdkę. Gry wojenne zapowiadają się w tym roku na hit sezonu — dodał kierownik zrzędliwie. — Mamy zamiar złożyć duże zamówienie.

Wiseman przeciągnął kciukiem po nazwisku mówiącego.

— Joe Hauck — padła metaliczna odpowiedź. — Dział Zabawek Appeley'a.

— Aha — powiedział do siebie Wiseman. Odłożył wiadomość, po czym sięgnął po czystą plakietkę, aby sformułować odpowiedź. Następnie rzucił półgłosem: — No właśnie, co się dzieje z partią ganimedejskich zabawek?

Odniósł wrażenie, że laboratorium badawcze pracowało nad nimi od dłuższego czasu. Przynajmniej dwa tygodnie.

Oczywiście, wszystkie ganimedejskie produkty badano obecnie ze wzmożoną uwagą, w ciągu ostatniego roku Księżyce wykroczyły poza swój zwykły stan ekonomicznej zachłanności i rozpoczęły — jak donosiły kręgi wywiadowcze — przygotowania do akcji wojskowej skierowanej przeciwko konkurencji, której główny element stanowiły Trzy Planety Wewnętrzne. Jak dotychczas nic nie wzbudzało niepokoju. Towary eksportowane cieszyły się przyzwoitą jakością i nie zawierały pułapek w postaci toksycznej farby, którą można by zlizać, ani kapsułek bakteriologicznych.

A jednak...

Grupa ludzi równie pomysłowych jak Ganimedejczycy mogła wykazać się inwencją w jakiegokolwiek dziedzinie. Działalność wywrotową potraktowano by na równi z każdym innym przedsięwzięciem — z wyobraźnią i humorem.

Wiseman wstał, wyszedł z gabinetu i skierował się w stronę osobnego budynku, gdzie znajdowały się laboratoria badawcze.

Otoczony na wół rozmontowanymi produktami Pinario podniósł głowę i ujrzał, jak jego szef, Leon Wiseman, zamyka drzwi do pracowni.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedział, choć w gruncie rzeczy utknął na martwym punkcie, wiedział, że zalega z pracą przynajmniej o pięć dni, w związku z czym to spotkanie zwiastowało dla niego kłopoty. — Lepiej włóż kombinezon... nie należy ryzykować. — Mówił uprzejmie, lecz na twarzy Wisemana niezmiennie widniało niezadowolenie.

— Przyszedłem w sprawie oddziału szturmującego cytadelę, po sześć dolarów za sztukę — odparł Wiseman, spacerując pomiędzy stertami pudeł różnej wielkości, które zamknięte czekały, aż ktoś przetestuje je i zatwierdzi do sprzedaży.

— Ach, chodzi o zestaw ganimedejskich ołowianych żołnierzyków odrzekł z ulgą Pinario. W tym wypadku miał czyste sumienie, każdy pracownik laboratorium znał specjalne instrukcje przekazane przez rząd w sprawie Niebezpieczeństwa Zatruciem Kulturami Cząsteczek Wrogich Niewinnej Populacji Miejskiej, mętnego oficjalnego rozporządzenia. W każdej chwili mógł wyrecytować jego numer. — Zająłem się nimi osobiście — oznajmił, podchodząc do Wisemana. — W związku z możliwym zagrożeniem.

— Przyjrzyjmy się im — odparł Wiseman. — Uważasz, że zachowanie przesadnej ostrożności jest uzasadnione, czy też chodzi o obsesję związaną z „bliskością obcych”?

— Jest uzasadniona, zwłaszcza jeśli chodzi o rzeczy przeznaczone dla dzieci — odpowiedział Pinario.

Kilka ruchów ręką i odsunęła się ściana, ukazując boczne pomieszczenie.

Widok sprawił, że Wiseman stanął jak wryty. Pośrodku sali, otoczona zabawkami, siedziała plastikowa lalka przedstawiająca na oko pięcioletnie dziecko, w zwykłym ubraniu.

— Mam tego dość — mówiła właśnie. — Zrób coś innego. — Umilkła na chwilę, po czym powtórzyła: — Mam tego dość. Zrób coś innego.

Zaprogramowane do reagowania na ustne polecenia zabawki porzuciły wykonywane zajęcia i zaczęły od nowa.

— Dzięki temu oszczędzamy na pracownikach — wyjaśnił Pinario. Te śmieci muszą zaprezentować cały repertuar, zanim klienci wydadzą na nie pieniądze. Gdybyśmy musieli ślezczyć nad nimi osobiście, tkwilibyśmy tu w nieskończoność.

Naprzeciw lalki znajdował się oddział ganimedejskich żołnierzyków wraz z cytadelą, którą mieli za zadanie szturmować. W momencie gdy wcielali w życie skomplikowaną strategię, głos lalki kazał im przestać. Na nowo uformowali szyki.

— Nagrywasz wszystko? — zapytał Wiseman.

— Naturalnie — odrzekł Pinario.

Żołnierzyki miały około sześciu cali wysokości i wykonane były z praktycznie niezniszczalnego termoplastiku, z którego słynęli ganimedejscy wytwórcy. Uszyte z syntetycznego włókna mundury stanowiły mieszankę stylów wojskowych z księżyców oraz pobliskich planet. Sama cytadela, złowroga konstrukcja z ciemnego metalu, przypominała legendarny fort, w górnej części widniały szczeliny obserwacyjne, podniesiony do góry most zwodzony zniknął z pola widzenia, a na najwyższej wieży łopotała barwna chorągiew.

Cytadela wyrzuciła ze świstem pocisk w kierunku atakujących. Pocisk eksplodował wśród żołnierzy w obłoku nieszkodliwego dymu i hałasu.

— Odpiera atak — zauważył Wiseman.

— Ale koniec końców przegrywa — uzupełnił Pinario. — Musi. Z psychologicznego punktu widzenia symbolizuje rzeczywistość zewnętrzną. Dwunastu żołnierzy reprezentuje dla dziecka jego własne zmagania. Biorąc udział w szturmowaniu cytadeli, dziecko uzyskuje poczucie własnej wartości w walce z bezlitosnym światem. Ostatecznie bierze górę, lecz dopiero po trudnym etapie wymagającym wiele wysiłku i cierpliwości. Tak przynajmniej wynika z instrukcji — dodał i podał Wisemanowi książeczkę.

— Czy ich strategia różni się za każdym razem? — zapytał Wiseman popatrzwszy na instrukcję.

— Są aktywni od ośmiu dni. Każdy atak różnił się od pozostałych. Cóż, elementów jest niemało.

Żołnierze ukradkiem zbliżali się do cytadeli. Na murach pojawiły się urządzenia monitorujące ich działania. Żołnierze ukryli się, korzystając z osłony innych testowanych zabawek.

— Robią użytek z przypadkowych konfiguracji terenu — wytłumaczył Pinario. — Reagują jak przedmioty; gdy widzą, na przykład, domek dla lalek, wpełzają do niego jak myszy. — Na potwierdzenie swych słów, poniósł z podłogi statek kosmiczny wyprodukowany przez fabrykę na Uranie; poruszywszy nim, wytrząsnął ze środka dwóch żołnierzy.

— Ile razy przejmują cytadelę? — zapytał Wiseman. — Jak to wygląda procentowo?

— Jak dotychczas, na dziewięć prób jedna skończyła się sukcesem. Z tyłu cytadeli znajduje się regulator. Dzięki niemu można ustawiać wyższy wskaźnik powodzenia.

Minął szarżujących żołnierzy, Wiseman podążył za nim i obaj pochyliłi się nad cytadelą.

— To jest w gruncie rzeczy źródło energii — powiedział Pinario. Sprytne. Poza tym wypływają z niego polecenia dla żołnierzy. Wysokiej częstotliwości przekaz ze skrzynki z pociskami.

Otworzywszy tylną część cytadeli, zaprezentował przełożonemu lokację pocisków. Każdy z nich zawierał kolejny rozkaz. Przed planowanym atakiem pocisk zostawał podrzucony do góry i obrócony, dzięki czemu uzyskiwano nowy układ. Tak powstawał efekt przypadkowości. Lecz skoro istniała ograniczona liczba układów, musiała istnieć ograniczona liczba strategii.

— Wypróbujemy wszystkie — oznajmił Pinario.

— Nie można tego przyspieszyć?

— To trochę potrwa. Może wykonają tysiąc strategii, po czym...

— ...w kolejnej nastąpi zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i zaczną strzelać do najbliższego człowieka — dokończył Wiseman.

— Albo i gorzej — dorzucił pośpiesznie Pinario. — Bateria wyczerpie się dopiero po pięciu latach. Lecz gdyby podziałały wszystkie naraz...

— Testuj dalej — powiedział Wiseman.

Popatrzyli na siebie, po czym przenieśli spojrzenia na cytadelę. Żołnierze znajdowali się prawie u jej stóp. Naraz jedna ze ścian odsunęła się, ukazując lufę armatnią, i żołnierze zostali przygnieceni.

— Nie widziałem tego wcześniej — mruknął Pinario.

Przez chwilę na polu walki panował całkowity bezruch. Następnie rozbrzmiał głos lalki-dziecka:

— Mam tego dość. Zrób coś innego.

Z dreszczem niepokoju mężczyźni obserwowali, jak żołnierze podnoszą się i na nowo formują szyki.

Dwa dni później, przełożony Wisemana, niski, krępy mężczyzna o wyłupiastych oczach, wtargnął do jego gabinetu.

— Słuchaj — rzucił Fowler. — Zakończ testowanie tych cholernych zabawek. Masz czas do jutra. — Zrobił ruch, aby wyjść, ale Wiseman powstrzymał go.

— To zbyt poważna sprawa — powiedział. — Chodź ze mną do pracowni, to ci pokażę.

Wyklócając się przez całą drogę, Fowler poszedł z nim do laboratorium.

— Nie masz pojęcia, ile pieniędzy firmy zainwestowały w te zabawki! — mówił, gdy wchodzili do środka. — Na Lunie czekają na odprawę całe statki i magazyny pełne tych produktów!

Pinaria nigdzie nie było widać. Zamiast gestów, które otwierały pracownię, Wiseman użył klucza.

Pośrodku siedziała otoczona zabawkami lalka — dziecko stworzona przez pracowników laboratorium. Wokół niej zabawki wykonywały swoje zadania. Wrzawa przyprawiła Fowlera o wstrząs.

— Przede wszystkim chodzi o ten produkt — powiedział Wiseman, pochylając się nad cytadelą. Jeden z żołnierzy czołgał się w jej kierunku. Jak widzisz, jest tuzin żołnierzy. Z uwagi na ich liczbę, dostarczaną im energię oraz szczegółowe instrukcje...

— Widzę tylko jedenastu żołnierzy — przerwał mu Fowler.

— Jeden pewnie się schował — odrzekł Wiseman.

— Nie, on ma rację — dobiegł głos zza ich pleców. Pinario stanął obok, na jego twarzy dostrzegli napięcie. — Sprawdziłem dokładnie. Jeden zniknął.

Trzej mężczyźni milczeli.

— Może cytadela go zniszczyła — podsunął wreszcie Wiseman.

— Tu obowiązuje zasada zachowania materii — odparł Pinario. — Skoro go „zniszczyła” — to co zrobiła ze szczątkami?

— Może przekształciła je w energię — powiedział Fowler, spoglądając na cytadelę i pozostałych żołnierzy.

— Kiedy zorientowaliśmy się, że żołnierz zniknął — odrzekł Pinario wpadliśmy na pewien pomysł. Zważyliśmy pozostałych jedenastu wraz z cytadelą. Ich łączna masa równa się masie wyjściowej — czyli dwunastu żołnierzy i cytadeli. Dlatego on musi gdzieś tam być. — Wskazał na cytadelę, która właśnie odpierała atak nacierających żołnierzy.

Spoglądając na cytadelę, Wiseman doznał głębokiego odczucia, że nastąpiła w niej jakaś zmiana. Wydawała się inna.

— Pokaż nam taśmy — rzucił Wiseman.

— Co? — zapytał Pinario, po czym się zarumienił. — Ach, jasne. — Podszedł do lalki-dziecka, wyłączył ją i wyjął ze środka szpulę taśmy z nagraniem. Roztrzęsiony zaniosł ją do projektora.

Oglądali ciąg powtarzających się ataków, aż zaczęły łzawić im oczy. Żołnierze nacierali, dokonywali odwrotu, padali, podnosili się i zaczynali wszystko od nowa...

— Zatrzymaj taśmę — powiedział nagle Wiseman. Powtórzono ostatnią sekwencję.

Jeden z żołnierzy sunął w kierunku podnóża cytadeli. Wystrzelony w niego pocisk eksplodował, przysłaniając go na chwilę. Tymczasem pozostała jedenastka ponowiła dziką próbę sforsowania murów. Żołnierz wyłonił się z obłoku pyłu i ponownie ruszył przed siebie. Dotarł do muru. Fragment ściany odsunął się na bok.

Używając swego karabinu jako śrubokręta, prawie niewidoczny na tle cytadeli żołnierz odkręcił sobie głowę, następnie jedno ramię oraz obie nogi. Odłączone kończyny wpęły do utworzonej szczeliny. Pozostała ręka i karabin podążyły w ślady poprzedników. Szczelina znikła.

— Rodzic uznałby, że dziecko zgubiło lub zniszczyło jednego z żołnierzyków — powiedział Fowler. — Zestaw stopniowo by się skurczył i dziecko poniosłoby za to całą odpowiedzialność.



— Co proponujesz? — zapytał Pinario.  
— Niech atakują dalej — uznał Fowler, co Wiseman potwierdził skinieniem głowy.  
— Trzeba doprowadzić rzecz do końca. Ale proszę nie spuszczać ich z oka.  
— Od tej chwili cały czas ktoś przy nich będzie — oświadczył Pinario.  
— Najlepiej sam ich pilnuj — dorzucił Fowler.  
Może wszyscy to zrobimy, pomyślał Wiseman. A przynajmniej Pinario i ja.  
Ciekawe, co zrobiła ze szczątkami, dorzucił w duchu.  
Ciekawe.

Nim upłynął tydzień, cytadela pochłonęła czterech kolejnych żołnierzy.  
Oglądając ją przez monitor, Wiseman nie dostrzegł żadnej istotnej zmiany.  
Oczywiście. Rozrost był ściśle wewnętrzny, nieuchwytny dla oka.

Atak niezmiennie trwał nadal, żołnierze nacierali, cytadela się broniła. Tymczasem on miał przed sobą kolejną serię ganimedejskich produktów. Następne zabawki czekały na badania.

— I co teraz? — zapytał sam siebie.

Pierwsza na oko wyglądała niepozornie: był to strój kowbojski ze starożytnego Dzikiego Zachodu. Przynajmniej taką nadano mu nazwę. Wiseman obrzucił broszurę przelotnym spojrzeniem, to co Ganimedejczycy mieli do powiedzenia na ten temat, obchodziło go tyle co zeszłoroczny śnieg.

Otworzywszy pudełko, wyjął kostium. Tkanina była szara i bezkształtna. Cóż za tandetna robota, pomyślał. Porównanie ze strojem kowbojskim to znaczna przesada; krój wydawał się nieporządny, wręcz nieudolny. Gdy podniósł kostium, tkanina rozciągnęła mu się w rękach. Odkrył, że niechcący włożył część ubrania do wiszącej luźno kieszeni.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedział do Pinaria. — To się nie sprzedą.

— Włóż go — poradził Pinario. — Przekonamy się.

Wiseman z wysiłkiem wcisnął na siebie kostium.

— Czy to bezpieczne? — zapytał.

— Tak — odparł Pinario. — Miałem go na sobie już wcześniej. Pomysł sympatyczniejszy niż w przypadku pierwszej zabawki. Aczkolwiek dość niebezpieczny. Żeby go zaktywizować, musisz coś sobie wyobrazić.

— Zgodnie z konwencją?

— Obojętnie.

Kostium podsunął Wisemanowi myśl o kowbojach, tak więc wyobraził sobie, że wrócił na ranczo i mozolnie podszedł żwirową drogą do pastwiska, gdzie owce o czarnych pyskach skubały trawę, zabawnie mieląc dolnymi szczękami. Przystanął przy ogrodzeniu — drut kolczasty, gdzieniegdzie pale wbite w ziemię — i spoglądał na owce. Naraz

zwierzęta ustawiły się w rzędzie i pomknęły w kierunku ocienionego wzgórza leżącego poza zasięgiem jego wzroku.

Zobaczył drzewa, cyprysy o wierzchołkach sięgających nieba. Wysoko w górze sokół zatrzepotał skrzydłami... jak gdyby, pomyślał, napełniał się powietrzem, aby poszybować jeszcze wyżej. Sokół energicznie wzbił się w górę, po czym zastygł w powietrzu. Wiseman rozejrzał się za jego ofiarą. Nie zauważył nic prócz ogołoconych przez owce suchych pól, spalonych słońcem środka lata. Licznych koników polnych. I ropuchy na drodze. Zagrzebała się w piasku, widać było jedynie jej górną część.

Pochyliwszy się, usiłował zdobyć się na odwagę, by dotknąć grubej skóry na głowie ropuchy. Wówczas usłyszał głos mężczyzny:

— I jak ci się podoba?

— Super — odrzekł Wiseman. Wciągnął w płuca zapach suchej trawy. — Hej, jak odróżnić ropuchę płci żeńskiej od ropuchy płci męskiej? Po plamach czy co?

— Dlaczego pytasz? — zapytał głos niewidocznego mężczyzny.

— Mam tu ropuchę.

— Czy mógłbym zadać ci kilka formalnych pytań? — zapytał głos.

— Pewnie — odparł Wiseman.

— Ile masz lat?

To było łatwe.

— Dziesięć i cztery miesiące — odparł z dumą.

— Gdzie dokładnie przebywasz w tym momencie?

— Na wsi, na ranchu pana Gaylorda, gdzie tato zabiera mnie i mamę na weekendy, kiedy starczy czasu.

— Proszę się odwrócić i popatrzeć na mnie — polecił mężczyzna. Powiedz, czy mnie znasz.

Z ociąganiem odwrócił się od na wpół zagrzebanej w ziemi ropuchy. Zobaczył dorosłego mężczyznę o pociągłej twarzy i nieco krzywym nosie.

— To pan dostarcza butan — powiedział. — Pracuje pan w firmie gazowniczej. — Rozejrzawszy się, istotnie ujrzał zaparkowaną nieopodal ciężarówkę. — Mój tata mówi, że butan jest drogi, ale nie ma innego...

Mężczyzna przerwał mu.

— Tak dla ciekawości, jak nazywa się firma gazownicza?

— Jest napisane na ciężarówce — odparł Wiseman, odczytując duże, wymalowane litery. — Dystrybutorzy Butanu Pinario, Petaluma, Kalifornia. To pan jest panem Pinario.

— Czy byłbyś gotów przysiąc, że masz dziesięć lat i stoisz na polu w pobliżu Petalumy w Kalifornii? — zapytał pan Pinario.

— Pewnie. — Widział wznoszące się za polem pasmo zalesionych wzgórz. Zapra­gnął je zbadać, miał dość beczynnego stania na drodze. Na razie! — zawołał, ruszając z miejsca. — Na mnie już czas.

Puścił się biegiem po żwirowej drodze, z dala od Pinario. Koniki polne uskakiwały mu z drogi. Dysząc, pędził coraz szybciej.

— Leon! — zawołał za nim pan Pinario. — Daj spokój! Zatrzymaj się!

— Mam coś do załatwienia w pobliżu tamtych wzgórz — wysapał Wiseman, nie zatrzymując się. Naraz coś uderzyło weń z całej siły, zamortyzował upadek rękami. W suchym powietrzu coś zadrżało; ogarnął go strach i cofnął się. Dostrzegł na wprost siebie jakiś kształt, zarys ściany...

— Nie dotrzesz do wzgórz — dobiegł z tyłu głos pana Pinario. — Lepiej stój w miejscu, bo na coś wpadniesz.

Dłonie Wisemana zwilgotniały od krwi, padając, skaleczył się. Oszołomiony spoglądał na krew...

Pinario pomógł mu zdjąć kowbojski strój.

— To najbardziej szkodliwa zabawka, jaką można sobie wyobrazić stwierdził. — Wystarczy niedługi czas, aby uniemożliwić dziecku kontakt z rzeczywistością. Spójrz na siebie.

Wiseman z wysiłkiem podniósł się z podłogi i obejrzał strój, Pinario wyrwał mu go siłą.

— Nieźle — uznał drżącym głosem. — Pobudza obecne w jednostce tendencje in­trovertyczne. Wiem, że zawsze rozmyślałem o powrocie do dzieciństwa. Do błęgiego okresu, kiedy mieszkaliśmy na wsi.

— Zwróć uwagę na sposób, w jaki włączyłeś do fantazji elementy realne — powiedział Pinario — chcąc jak najdłużej pozostać w świecie zastępczym. Gdybyś miał czas, pewnie uznałbyś ścianę laboratorium za ścianę stodoły.

— Już... już zaczynałem widzieć budynki starej mleczarni, gdzie farmerzy przynosi­li mleko — przyznał Wiseman.

— W miarę upływu czasu powrót okazałby się prawie niemożliwy dodał Pinario.

Skoro coś takiego działo się z dorosłym, pomyśleć, co by było z dzieckiem, uzupeł­nił w duchu Wiseman.

— Kolejną rzeczą, którą tu mamy — powiedział Pinario — jest gra. Zupełnie zwario­wana. Masz ochotę teraz ją obejrzeć? To może poczekać.

— Nic mi nie jest — odparł Wiseman. Podniósł pudełko i otworzył je.

— Wygląda jak dawny Monopol — stwierdził Pinario. — Nazywa się Syndrom.

Gra składała się z planszy, fałszywych pieniędzy, kostek oraz pionków reprezentują­cych graczy. I akcji giełdowych.

— Trzeba zdobywać akcje — poinformował Pinario. — Wygląda na to, że zasady są wszędzie takie same. — Nawet nie spojrzął na instrukcję. — Zawołajmy Fowlera i zagrajmy razem, potrzeba co najmniej trzech graczy.

Niebawem dołączył do nich dyrektor filii. Trzej mężczyźni usadowili się przy stole, układając przed sobą planszę Syndromu.

— Każdy gracz zaczyna na równi z innymi — wyjaśnił Pinario. — Podobnie jak we wszystkich grach tego rodzaju, w czasie gry ich status zmienia się w zależności od wartości akcji, które zdobywają podczas różnych transakcji.

Zestawy były reprezentowane przez małe kolorowe przedmioty podobne do dawnych hoteli i domów Monopolu.

Rzucali kostki, przesuwali żetony po planszy, licytowali i nabywali nieruchomości, płacili grzywny, pobierali opłaty i szli na pewien czas do „komory odkażającej”. Tymczasem za ich plecami siedmiu żołnierzy wciąż szturmowało cytadelę.

— Mam tego dość — powiedziała lalka-dziecko. — Zrób coś innego.

Żołnierze uformowali szyki. I przystąpili do kolejnego ataku.

— Ciekawe, jak długo to cholerstwo ma trwać, zanim dowiemy się, czemu ma służyć — powiedział z rozdrażnieniem Wiseman.

— Trudno powiedzieć. — Pinario popatrzył na purpurowo — złote akcje zgromadzone przez Fowlera. — Ja mogę z nich skorzystać — oznajmił. To kopalnia uranu na Plutonie. Na co ci ona potrzebna?

— To korzystna inwestycja — mruknął Fowler, przeglądając pozostałe papiery wartościowe. — Ale możemy się zamienić.

Jak mam się skupić na grze, pomyślał Wiseman, kiedy tamto z każdą chwilą zbliża się do... Bóg wie czego? Tego, do czego zostało stworzone. Masy krytycznej.

— Chwileczkę — powiedział, powoli cedząc sylaby. Opuścił dłoń, w której trzymał akcje. — Czy cytadela mogłaby tworzyć stos?

— Jaki znowu stos? — zapytał Fowler, skupiając uwagę na własnej dłoni.

— Ciekawa myśl — uznał Pinario, również opuszczając rękę. — Tworzy z siebie stos atomowy, kawałek po kawałku. Dopóki... — Urwał. — Nie, wzięliśmy to pod uwagę. Nie zawiera żadnych ciężkich elementów. To po prostu pięcioletnia bateria oraz kilka niewielkich urządzeń działających zgodnie z poleceniami wysyłanymi z wnętrza baterii. Nie da rady utworzyć z tego bomby.

— Moim zdaniem — powiedział Wiseman — bylibyśmy bezpieczniejsi poza tym pomieszczeniem. — Doświadczenia z kostiumem kowbojskim nauczyły go szacunku dla ganimedejskich osiągnięć technicznych. A skoro kostium można było uznać za najmniej szkodliwy...

— Zostało już tylko sześciu żołnierzy — stwierdził Fowler, spoglądając mu przez ramię. Wiseman i Pinario zerwali się ze swoich miejsc. Fowler miał rację. Pozostała za-

ledwie połowa początkowego składu żołnierzy. Kolejny dotarł do cytadeli i przeniknął do środka.

— Sprowadźmy tu wojskowego eksperta od bomb — zaproponował Wiseman. — Niech to sprawdzi. To przekracza możliwości naszego wydziału. — Zwrócił się do Fowlera. — Zgadzasz się?

— Najpierw skończmy grać — odrzekł Fowler.

— Dlaczego?

— Bo musimy mieć pewność — skwitował Fowler. Lecz jego gwałtowne zainteresowanie wskazywało na to, że gra wciągnęła go i miał zamiar doprowadzić ją do końca. — Co dostanę za swój udział w kopalni na Plutonie? Jestem otwarty na propozycje.

On i Pinario rozpoczęli negocjacje. Gra trwała przez następną godzinę. Wreszcie wszyscy zrozumieli, że Fowler zdobywał przewagę na giełdzie. Posiadał pięć kopalni, dwie wytwórnie plastiku, monopol na glony oraz wszystkie siedem detalicznych przedsiębiorstw handlowych. Z uwagi na sporą liczbę przyjętych akcji, zdobył większość pieniędzy.

— Rezygnuję — oznajmił Pinario. Została mu jedynie garść nic nieznaczących udziałów. — Ktoś chce je kupić?

Resztkami pieniędzy Wiseman zlicytował udziały. Uzyskał je i podjął grę sam na sam z Fowlerem.

— To jasne, że gra stanowi replikę typowych interesów prowadzonych przez dwie kultury — stwierdził Wiseman. — Przedsiębiorstwa sprzedaży detalicznej to najwyraźniej ganimedejskie spółki.

Poczuł przypływ podniecenia, kilka razy poszczęściło mu się w rzucie kostką i pojawiła się okazja, by uzupełnić nieco swój marny dobytek.

— Grając w tę grę, dzieci uzyskająby zdrowy stosunek do rzeczywistości gospodarczej. To przygotowałyby je do wejścia w świat dorosłych.

Lecz kilka minut później wylądował na terenie Fowlera i grzywna pozbawiła go wszystkich dóbr. Musiał oddać dwa udziały giełdowe, jego koniec był blisko.

— Wiesz co, Leon, jestem skłonny zgodzić się z tobą. Ten przedmiot może pełnić funkcję jednego terminalu bomby. Pewnego rodzaju stacji odbiorczej. Kiedy zostanie dokładnie oprzewodowana, może spowodować wybuch mocy transmitowanej z Ganimedesa.

— Czy to w ogóle możliwe? — zapytał Fowler, układając nominałami fałszywe pieniądze.

— A kto ich tam wie? — odparł Pinario, spacerując dokoła z rękami w kieszeniach. — Prawie skończyliście?

— Jeszcze trochę — odpowiedział Wiseman.

— Mówię to dlatego — dodał Pinario — że zostało tylko pięciu żołnierzy. To idzie coraz szybciej. Dla pierwszego trwało to tydzień, dla siódmego zaledwie pół godziny. Wcale bym się nie dziwił, gdyby ostatnia piątka uwinęła się w ciągu kolejnych dwóch godzin.

— Skończyliśmy — oznajmił Fowler. Zdobył ostatni udział na giełdzie, ostatniego dolara.

Wiseman wstał od stołu, zostawiając Fowlera.

— Zawiadomię wojsko, żeby sprawdzili cytadelę. Jeśli chodzi o tę grę, myślę, że to zwykła podróbka terrańskiego Monopolu.

— Może nie wiedzą, że już ją mamy — podsunął Fowler. — Tyle że pod 4toą nazwą.

Przystawiono na pudełku Syndromu pieczętkę dopuszczenia i powiadomiono importera. Wiseman zadzwonił z biura do przedstawicielstwa służb wojskowych i wyjaśnił im, o co chodzi.

— Ekspert od bomb zaraz tam przyjedzie — odpowiedział flegmatyczny głos po drugiej stronie linii. — Do jego przyjazdu nie ruszajcie obiektu.

Ogarnięty poczuciem bezużyteczności Wiseman podziękował i odwiesił słuchawkę. Nie zdołali rozwiązać zagadki gry żołnierze — i — cytadela, 4i>ecznie sprawy wymknęły im się z rąk.

Ekspert od bomb był młodym, krótko ostrzyżonym człowiekiem, który rozkładając swój sprzęt, uśmiechnął się do nich przyjaźnie. Miał na sobie zwykły kombinezon bez żadnej dodatkowej ochrony.

— Pierwsza rada — oznajmił, skończywszy oględziny cytadeli. — Odłączyć przewody od baterii. Chyba że wolicie poczekać na zakończenie cyklu, wtedy możemy odłączyć przewody, zanim nastąpi reakcja. Innymi słowy, pozwólmy elementom ruchomym przedostać się w obręb cytadeli. Następnie, gdy tylko znajdą się w środku, odłączymy przewody i otworzymy cytadelę, żeby zobaczyć, co jest grane.

— Czy to bezpieczne? — zapytał Wiseman.

— Myślę, że tak — odparł ekspert. — Nie stwierdzam obecności czynników radioaktywnych. — Usiadł na podłodze za cytadelą z nożycami do drutu w ręku.

Pozostało tylko trzech żołnierzy.

— To nie powinno długo potrwać — oświadczył z zadowoleniem młody człowiek.

Kwadrans później jeden z trzech żołnierzy podpełzł do podnóża cytadeli, odłączył swoją głowę, ramię, nogi oraz korpus i wszedł do cytadeli przez utworzoną szczelinę.

— Zostało dwóch — powiedział Fowler.

Nim upłynęło dziesięć minut, następny żołnierz poszedł w ślady poprzednika.

Czterej mężczyźni wymienili spojrzenia.

— To już — rzucił ochryplym głosem Pinario.

Ostami żołnierz zbliżył się do cytadeli. Działa wewnątrz obiektu obrały go sobie za cel, on jednak niezłomnie brnął dalej.

— Statystycznie rzecz biorąc — powiedział głośno Wiseman, aby złagodzić napięcie — za każdym razem to powinno trwać dłużej, ponieważ cytadela koncentruje się na mniejszej liczbie napastników. Najpierw powinno przebiegać szybko, po czym coraz wolniej, aż w końcu ostami żołnierz musiałby forsować cytadelę przez miesiąc, próbując...

— Cicho — przerwał mu spokojnym, rzeczowym głosem ekspert. — Jeśli łaska.

Ostatni z żołnierzy dotarł do podnóża cytadeli. Podobnie jak pozostali przystąpił do swojej rozbiórki.

— Niech pan przygotuje te nożyce — warknął Pinario.

Fragmenty żołnierza przemieściły się do wnętrza obiektu. Szczelina zaczęła się zamykać. Ze środka dobiegał szum coraz głośniejszej kotłowaniny.

— Już, na miłość boską! — wykrzyknął Fowler.

Młody ekspert opuścił nożyce i przeciął dodatni przewód baterii. Błysnęła iskra i ekspert przytomnie odskoczył; nożyce upadły na podłogę.

— Raju! — powiedział. — Musiałem być uziemiony. — Ostrożnie sięgnął po upuszczone szczypce.

— Dotykał pan osłony obiektu — odparł w podnieceniu Pinario. Sam sięgnął po nożyce i przykucnąwszy, poszukał przewodu. — Może owinę je chustką — mruknął, cofając narzędzie i grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu chustki. — Czy ktoś ma coś, w co mógłbym je owinąć? Nie chcę, żeby mnie kopnęło. Trudno powiedzieć, ile...

— Dawaj — zażądał Wiseman, wrywając mu nożyce. Odepchnął Pinaria i zacisnął je na przewodzie.

— Za późno — stwierdził spokojnie Fowler.

Wiseman ledwo usłyszał głos przełożonego, w jego głowie brzmiał uparty dźwięk. Przyłożył ręce do uszu, na próżno chcąc się go pozbyć. Wydobywał się z cytadeli i przenikał w głąb jego czaszki. Zbyt długo zwlekaliśmy, pomyślał. Dostała nas. Zwyciężyła, ponieważ jest nas zbyt wielu; wdaliśmy się w sprzeczkę...

— Gratulacje — powiedział głos w jego głowie. — Twój hart ducha doprowadził cię do celu.

Ogarnęło go przemożne poczucie dobrze spełnionego zadania.

— Przeszkody były nadzwyczaj liczne — ciągnął głos. — Wszyscy inni daliby za wygraną.

Wiedział, że niebezpieczeństwo minęło. Ich niepokój był bezpodstawny.

— Niech to, czego dokonałeś — oznajmił głos — przyświeca wszystkim twoim przedsięwzięciom. Zawsze zatriumfujesz nad przeciwnikami. Cierpliwością i uporem dopniesz swego. Ostatecznie wszechświat nie jest wcale taki ogromny...

Nie, uświadomił sobie ironicznie. Nie jest.

— Są po prostu zwykłymi ludźmi — mówił kojąco głos. — Więc nawet jeśli jesteś jedynym, jednostką przeciwko wielu, nie masz się czego obawiać. Uzbrój się w cierpliwość — i nie martw się.

— Nie będę — obiecał głośno.

Szum ustąpił. Głos umilkł.

— Koniec — oznajmił po dłuższej chwili Fowler.

— Nic nie rozumiem — powiedział Pinario.

— Oto na czym polegało jej zadanie — stwierdził Wiseman. — To zabawka terapeutyczna. Pomaga dziecku zdobyć pewność siebie. Rozbórka żołnierzy — uśmiechnął się — likwiduje barierę pomiędzy dzieckiem a światem. Łączą się w jedno, co symbolizuje podbój świata.

— Wobec tego jest nieszkodliwa — uznał Fowler.

— Tyle pracy na nic — gderał Pinario. — Przykro mi, że wzywaliśmy pana na darmo — zwrócił się do eksperta.

Wrota cytadeli stanęły otworem. Dwunastu żołnierzy wyszło na zewnątrz w pełnym rynsztunku. Cykl dopełnił się, można było od nowa rozpocząć atak.

— Nie dopuszczę tej gry do sprzedaży — powiedział nieoczekiwanie Wiseman.

— Co? — rzucił Pinario. — Dlaczego?

— Nie ufam jej — stwierdził Wiseman. — To skomplikowany gadżet, którego jedyne zadanie polega na tym, że rozkłada się na części, by potem odzyskać wyjściową postać. Tu musi chodzić o coś więcej, nawet jeśli nie możemy...

— To gra terapeutyczna — perswadował Pinario.

— Decyzję pozostawiam tobie, Leon — odparł Fowler. — Skoro masz wątpliwości, nie zatwierdzaj jej. Ostrożności nigdy nie za wiele.

— Być może się mylę — powiedział Wiseman. — Dręczy mnie jednak myśl, po co oni to zbudowali? Czuję, że nie znaleźliśmy prawdziwej odpowiedzi na to pytanie.

— I strój amerykańskiego kowboja — dorzucił Pinario. — Jego też nie chcesz wypuścić.

— Tylko grę planszową — odrzekł Wiseman. — Syndrom czy jak jej tam. — Pochyliwszy się, obserwował nacierających na cytadelę żołnierzy. Kłęby dymu... ruch, pozorowany atak, przezorny odwrót...

— O czym myślisz? — zapytał Pinario, spoglądając na niego.

— Może chodzi o odwrócenie uwagi — powiedział Wiseman. — Aby nas czymś zająć, przez co, nie zauważymy czegoś innego. — Był to podszept intuicji, nie potrafił jednak dokładnie go określić. — Wabik — dodał. — Podczas gdy w rzeczywistości dzieje się coś innego. Dlatego jest to takie skomplikowane. Musieliśmy ją podejrzewać. Po to została stworzona.



Zbity z tropu zagroził drogę jednemu z żołnierzy. Żołnierz wykorzystał przeszkodę, aby schronić się przed czujnikami cytadeli.

— Mamy przed nosem coś — dorzucił Fowler — czego nie widzimy.

— Tak. — Wiseman zastanawiał się, czy kiedykolwiek dojdą prawdy. — Tak czy inaczej — dodał — zatrzymajmy ją tutaj do dalszych obserwacji.

Usiadł nieopodal, gotowy pilnować żołnierzy. Nastawił się na długie oczekiwanie.

O szóstej wieczorem Joe Hauck, kierownik działu sprzedaży w sklepie z zabawkami Appeleya, zaparkował samochód przed domem, wysiadł i ruszył w górę po schodach.

Pod pachą niósł duży, płaski pakunek, „próbkę”, którą sobie przywłaszczył.

— Hej! — pisnęły jego dzieci, Bobby i Lora, gdy wszedł do środka. — Masz coś dla nas, tato? — Zastąpiły mu drogę. Żona podniosła w kuchni wzrok znad gazety.

— Przyniosłem wam nową grę — powiedział Hauck. Zadowolony rozpakował pudełko. Nie było powodu, dla którego nie miałby wziąć sobie jednej z gier; od wielu tygodni wisiał na telefonie, usiłując przepchnąć ją przez Biuro Standardów — ostatecznie wszystko zostało zatwierdzone, przepuszczono tylko jeden spośród trzech produktów.

Gdy dzieci wyszły zabierając grę, żona powiedziała ściszym głosem:

— Znów na górze szerzy się korupcja. — Nie lubiła, jak przynosił do domu zabawki ze sklepowego magazynu.

— Mamy ich tysiące — odparł Hauck. — Magazyn wypełniony po brzegi. Nikt nie zauważył braku jednej.

Przy kolacji dzieci z uwagą przestudiowały instrukcję dołączoną do gry. Zaabsorbowało je to bez reszty.

— Nie czytajcie przy stole — powiedziała z naganą w głosie pani Hauck.

Odchylając się na krześle, Joe Hauck kończył zdawać relację z bieżących wydarzeń.

— Tyle to trwało i co w końcu zatwierdzili? Jeden marny produkt. Będziemy mieć szczęście, jeśli sprzedamy tego tyle, aby mieć jakiś zysk. Jedynie gra z żołnierzami była naprawdę opłacalna, a dopuszczenie jej zawiesili na czas nieokreślony.

Zapalił papierosa i odprężył się, dając się unieść ciszy panującej w domu oraz obecności żony i dzieci.

— Tato, chcesz zagrać! — zapytała córka. — Tu jest napisane, że im więcej osób gra, tym lepiej.

— Pewnie — odrzekł Joe Hauck.

Podczas gdy żona sprzątała ze stołu, wraz z dziećmi rozłożył planszę, żetony, kostki, papierowe pieniądze oraz papiery wartościowe. Gra wciągnęła go prawie natychmiast, powróciły wspomnienia z dzieciństwa, gdy ze sprytem i oryginalnością zdobywał udziały, by wreszcie zgromadzić znaczną część dóbr.

Westchnął z zadowoleniem.

— I koniec — powiedział do dzieci. — Obawiam się, że od początku byłem górą. Koniec końców znam tę grę. — Zdobycie cennych nieruchomości umieszczonych na planszy napełniło go niekłamaną satysfakcją. Przykro mi, dzieciaki.

— Przecież ty wcale nie wygrałeś — odparła jego córka.

— Przegrałeś — dorzucił syn.

— Co takiego? — zawołał Joe Hauck.

— Osoba, która zgromadzi najwięcej dóbr, przegrywa — uświadomiła go Lora. Pokazała mu instrukcje.

— Widzisz? Chodzi o to, aby pozbyć się wszystkich akcji. Tato, wypadasz z gry.

— Do diabła z tym — odrzekł rozczarowany Joe Hauck. — Co to za gra. — Jego zadowolenie ulotniło się bez śladu. — To nie zabawa.

— Teraz my dwoje rozegramy ostatnią partię — powiedział Bobby. Zobaczymy, kto wygra.

Joe Hauck wstał od stołu.

— Nie rozumiem — mruknął. — Czy ktoś kiedyś widział grę, w której wygrywający traci wszystko?

Dzieci podjęły grę. Z rosnącym podnieceniem wymieniały akcje i pieniądze. Gdy zaczęły ostatni etap, ich skupienie osiągnęło stan bliski ekstazy.

— Nie znają Monopolu — powiedział do siebie Hauck. — Dlatego ta zwariowana gra nie wydaje im się dziwna.

Tak czy inaczej, najważniejsze, że Syndrom im się spodobał; to oznaczało, że gra wbrew pozorom się sprzedaje, co było najważniejsze. Dzieci odbywały pierwszą lekcję naturalnego pozbywania się swoich dóbr. Radośnie, niemal łąpczywie rezygnowały z akcji i pieniędzy.

Podnosząc na ojca roziskrzone spojrzenie, Lora zawołała:

— To najbardziej pouczająca gra, jaką kiedykolwiek przyniosłeś, tato!

**GDYBY NIE BENNY CEMOLI**

Pędzący przez niezaorane pole chłopcy wydali na widok statku radosne okrzyki; wylądował dokładnie tam, gdzie oczekiwali, i to oni znaleźli go pierwsi.

— Hej, to największy, jaki do tej pory widziałem! — Zdyszany chłopiec przystanął. — Nie pochodzi z Marsa, tylko z jakiegoś dalszego zakątka. Przebył cały ten szmat drogi, wiem o tym. — Rozmiary statku odebrały mu pewność siebie i odwagę. Popatrzysz na niebo, zrozumiał, że zgodnie z przewidywaniami wszystkich nastąpiło przybycie armady. — Lepiej dajmy im znać — powiedział do swoich towarzyszy.

John LeConte stał na przełęczy obok swojej napędzanej parą limuzyny z szoferem i niecierpliwie czekał na nagrzenie zbiornika. Bachory dotarły tam pierwsze, pomyślał ze złością, mimo że to powinienem być ja. I to na dodatek obdarte; dzieci rolników.

— Czy telefon dzisiaj działa? — zapytał swojego sekretarza LeConte.

— Tak, sir — odpowiedział pan Fali, spoglądając na swoje notatki. — Czy mam wysłać wiadomość do Oklahoma City? — Był najchudszy pracownikiem, jaki kiedykolwiek został wyznaczony do pracy w biurze LeConte'a. Wyglądało na to, że nie wykazywał najmniejszego zainteresowania pokarmem. Na dodatek jego skuteczność była niezaprzeczalna.

— Ludzie z imigracyjnego powinni usłyszeć o tej zniewadze — mruknął LeConte.

Westchnął. Wszystko poszło nie tak. Armada z Proximy Centauri wylądowała po dziesięciu latach i żadne z urzędów wczesnego wykrywania nie zarejestrowało zawczasu tego faktu. Teraz Oklahoma City będzie musiało stawić czoło przybyszom na rodzimym gruncie — LeConte dotkliwie odczuł tę psychologiczną niekorzyść.

Spójrzcie na nasz sprzęt, pomyślał, obserwując, jak transportowce flotylli przystępują do opuszczenia ładunku. Do diabła, wyglądamy przy nich jak prowincjusze. Żałował, że jego służbowy samochód potrzebował dwudziestu minut, aby się rozgrzać; żałował...

Tak naprawdę, żałował, że CBOM w ogóle istnieje.

Centauriańskie Biuro Odnowy Miejskiej, formacja, której nieszczęśliwym trafem przysługiwała potężna władza śródukładowa. W 2170 roku została poinformowana o Nieszczęściu i ruszyła w przestrzeń kosmiczną jak fototropiczny organizm czuły na

światło powstałe w wyniku eksplozji bomb wodorowych. Lecz LeConte wiedział lepiej. Organizacje rządzące w układzie centauriańskim znały szczegóły tragedii, ponieważ utrzymywały kontakt radiowy z innymi planetami z Układu Słonecznego. Na Ziemi ocalało niewiele z rodzimych form życia. On sam pochodził z Marsa, siedem lat wcześniej dowodził misją pomocniczą i bez względu na warunki postanowił zostać na Ziemi z uwagi na panujące tu możliwości...

To niezmiernie trudne, pomyślał, czekając, aż napędzany parą samochód wreszcie się rozgrzeje. Przybyliśmy tu pierwsi, ale CBOM przewyższa nas rangą, musimy pogodzić się z tym niezręcznym faktem. Moim zdaniem wykonaliśmy kawał dobrej roboty przy odbudowie. Oczywiście, nie jest tak, jak było kiedyś... lecz dziesięć lat to niedługo. Dajcie nam kolejne dwadzieścia, a pociągi znów ruszą w swoją drogę. Poza tym nasze kontrakty na budowę dróg szły jak świeże bułeczki, nie starczyło dla wszystkich chętnych.

— Telefon do pana, Oklahoma City — odezwał się pan Fali, wręczając mu słuchawkę przenośnego telefonu polowego.

— Reprezentant na wyjeździe John LeConte — powiedział głośno LeConte. — Proszę mówić, powtarzam, proszę mówić.

— Tu Kwatera Partii — zabrzmiał przerywany trzaskami oschły głos w słuchawce. — Otrzymaliśmy raporty od mieszkańców zachodniej Oklahomy i Teksasu na temat wielkiego...

— Jest tutaj — przerwał LeConte. — Widzę go. Jestem gotowy do podjęcia rozmów z jego załogą; o zwykłej porze dostarczę sprawozdanie na ten temat. Nie ma potrzeby, aby mnie kontrolować. — Poczł przyłył irytacji.

— Czy armada jest uzbrojona?

— Nie — odrzekł LeConte. — Wygląda na to, że składa się z biurokratów, urzędników handlowych i przewoźników. Innymi słowy, z sępów.

— Cóż, wobec tego idź i daj im do zrozumienia, że ich obecność jest niepożądana przez lokalną populację oraz Zarząd Rozdartych Wojną Terenów. Powiedz im, że prawodawca wyda specjalne oświadczenie jako wyraz oburzenia z powodu ingerencji w sprawy lokalne suwerennej formacji śródukładowej.

— Wiem, wiem — odparł LeConte, — Wiem, że to zostało postanowione.

— Sir, pański samochód gotowy do drogi! — zawołał szofer.

— Niech zrozumieją, że nie będziesz się z nimi wdawał w żadne negocjacje, udzielenie im zgody na pobyt na Ziemi nie leży w zakresie twoich kompetencji. Jedynie Zarząd może to uczynić, on zaś stanowczo się temu sprzeciwi.

LeConte odłożył słuchawkę i pospieszył do samochodu.

Pomimo sprzeciwu władz lokalnych, Peter Hood z CBOM — u postanowił założyć kwaterę w ruinach dawnej stolicy terrańskiej, Nowym Jorku. To zapewni CBOM — owcom więcej prestiżu podczas stopniowego poszerzania kręgu wpływów organizacji. Naturalnie przyjdzie czas, że krąg obejmie całą planetę. Nim jednak to nastąpi, upłyną dekady.

Przemierzając ruiny dawnej bocznicy kolejowej, Peter Hood pomyślał, że do tego czasu on już dawno będzie na emeryturze. Niewiele pozostało z kultury sprzed czasów tragedii. Władze lokalne — polityczne zera, które napłynęły z Marsa i Wenus, sąsiednich planet — uczyniły niewiele. Mimo to podziwiał ich starania.

— Wiecie co, odwalili za nas brudną robotę — powiedział do idących przed nim współpracowników. — Powinniśmy im być wdzięczni. Niełatwo zaadaptować doszczętnie zniszczone tereny, a oni tego dokonali.

— Przyniosło im to znaczny dochód — zauważył Fletcher.

— Motyw się nie liczy. Ważne są rezultaty — odparł Hood. Pomyślał o spotkaniu z urzędnikiem w samochodzie parowym, było formalne i kryło w sobie liczne ukryte pułapki. Gdy wiele lat temu tamci wkroczyli na scenę, nie powitał ich nikt prócz napromieniowanych, szerniających niedobitków, którzy wypełzali z piwnic i błędzili wokół niewidzącymi spojrzzeniami. Zadrżał.

Podszedł do niego niższy rangą CBOM — owiec i zasalutował.

— Chyba udało nam się zlokalizować niezniszczoną strukturę, która posłuży za tymczasową siedzibę. Znajduje się pod ziemią. — Ogarnęło go widoczne zakłopotanie. — Niezbyt odpowiada naszym oczekiwaniom. Chcąc znaleźć coś odpowiedniejszego, musielibyśmy usunąć mieszkańców.

— Nie mam nic przeciwko temu — odrzekł Hood. — Piwnica zupełnie wystarczy.

— Niegdyś mieściła się tam redakcja „New York Timesa”. Drukowano go dokładnie pod nami. Tak przynajmniej wynika z map. Jeszcze nie znaleźliśmy drukarni, na ogół znajdowały się około mili pod ziemią. Nie wiemy na razie, co z niej zostało.

— Znaleźliście byłoby nadzwyczaj cenne — przyznał Hood.

— Owszem — potwierdził CBOM — owiec. — Filie gazety są rozsypane po całej planecie; musiała mieć tysiąc odrębnych wydań wychodzących każdego dnia. Ile z filii wciąż działa... — Urwał. — Trudno uwierzyć, że żaden z politykierów nie zadał sobie trudu, aby przywrócić do stanu poprzedniej świetności którąkolwiek z dziesięciu czy jedenastu gazet o światowym zasięgu.

— Dziwne — odparł Hood. To na pewno ułatwiłoby im zadanie. Przywrócenie ludziom wspólnej kultury spoczywało na gazetach. Jonizacja atmosfery utrudniała, czasem wręcz uniemożliwiała, odbiór radiowy i telewizyjny. — To budzi moje podejrzenia — oznajmił, zwracając się do ekipy. — Może im wcale nie chodzi o odbudowę, a ta działalność to jedynie przykrywką?

— Być może po prostu nie są w stanie przywrócić gazetom ich dawnej świetności — odezwała się jego żona, Joan.

Obudź w nich wątpliwości, pomyślał Hood. Masz rację.

— Ostatni numer „New York Timesa” — powiedział Fletcher — wyszedł w dzień Nieszczęścia, po czym cała sieć prasowa i wymiany informacji zamarła. Nie mam dla polityków szacunku, wszystko wskazuje na to, że nie wiedzą nic o fundamentach elementach kultury. Przywracając działalność gazet, przyczynimy się do ożywienia dawnej kultury znacznie skuteczniej niż dotychczasowe dziesięć tysięcy projektów. — Mówił pełnym pogardy tonem.

— Być może opacznie pan je zrozumiał, ale to nieistotne — odparł Hood. — Miejmy nadzieję, że główna część mechanizmu drukarni pozostała nienaruszona. Nie moglibyśmy niczym jej zastąpić. — Ujrzał na wprost ziejące wejście oczyszczone przez CBOM-owców. Czekало go pierwsze zadanie — miał tu, na zrujnowanej planecie, przywrócić samowystarczalnej instytucji dawną świetność. Z chwilą gdy to nastąpi, on uzyska wolną rękę do dalszych działań, gazeta przejmie na siebie część jego obowiązków.

— Rany, nigdy nie widziałem takiej warstwy gruzu — mruknął robotnik wciąż zajęty oczyszczaniem przejścia. — Myślę, że umyślnie je zasypali. — Pochłaniacz lśniący w jego rękach z hukiem wsysał materiał i przekształcał go w energię, pozostawiając przy tym znacznie poszerzony otwór.

— Chciałbym jak najszybciej otrzymać raport o stanie drukami — powiedział Hood do grupy inżynierów czekających na wejście. — Jak długo potrważą naprawy, ile... — Zamilkł.

Pojawili się dwaj mężczyźni w czarnych mundurach. Policja ze statku Ochrony. Jednym z mężczyzn był Otto Dietrich, główny śledczy centauriańskiej armady. Hood poczuł przypływ napięcia, reszta tak samo ujrzał, jak inżynierowie i robotnicy na chwilele przerywają pracę, po czym powoli wracają do zajęć.

— Tak — powiedział do Dietricha. — Cieszę się, że pana widzę. Chodźmy na bok i porozmawiajmy. — Dokładnie znał cel wizyty badacza.

— Nie zabiorę panu wiele czasu, Hood — odrzekł Dietrich. — Wiem, że jest pan zajęty. Co to za miejsce? — Rozejrzał się ciekawie z czujnym wyrazem okrągłej, zarosniętej twarzy.

W niewielkim pomieszczeniu przeznaczonym na tymczasowe biuro, Hood stanął naprzeciw dwóch policjantów.

— Jestem przeciwny karom — powiedział cicho. — Upłynęło zbyt wiele czasu. Dajcie im spokój.

— Lecz zbrodnie wojenne pozostają zbrodniami nawet po czterdziestu latach — stwierdził Dietrich, szarpiąc się w zamyśleniu za ucho. — Zresztą, jaki przedstawi

pan argument? Działamy po stronie prawa. Ktoś rozpętał tę wojnę. Te osoby mogą teraz sprawować odpowiedzialne stanowiska, ale to nie ma żadnego znaczenia.

— Ilu przywieźliście ludzi? — zapytał Hood.

— Dwustu.

— No to jesteście gotowi do pracy.

— Jesteśmy gotowi do przeprowadzenia rozeznania. Do zdobycia stosownych dokumentów i rozpoczęcia spraw w lokalnych sądach. Możemy każdego zmusić do współpracy z nami, jeśli o to panu chodzi. Doświadczony personel został wysłany w kluczowe punkty. — Dietrich popatrzył na niego badawczo. — To konieczne, nie widzę w tym żadnego problemu. Czy miał pan zamiar chronić winne jednostki przed odpowiedzialnością — zrobić użytek z ich tak zwanych umiejętności dla celów własnej organizacji?

— Nie — odparł stanowczo Hood.

— Prawie osiemdziesiąt milionów ludzi zginęło podczas Nieszczęścia — powiedział Dietrich. — Zapomniał pan o tym? A może z uwagi na to, że w większości byli to nieznanymi nam miejscowi...

— Nie o to chodzi — przerwał mu Hood. Czuł, że sprawa była beznadziejna, nie potrafił przebić się przez policyjną mentalność. — Już przedstawiłem swoje wątpliwości. Uważam, że tak późne rozpoczęcie masowej nagonki i egzekucji nie ma sensu. Niech pan nie prosi o współpracę moich ludzi, odmawiam, gdyż nie poświęcę nikogo, nawet dozorczy. Czy wyrażam się jasno?

— Wy idealisci — westchnął Dietrich. — Sprzeciw to szlachetne działanie, zwłaszcza gdy ma na celu... odbudowę, prawda? Nie widzi pan czy nie chce widzieć, że bez naszej interwencji ci ludzie znów zaostrożą konflikt. Jesteśmy to winni przyszłym pokoleniom. Stanowczość to na dłuższą metę najbardziej humanitarna metoda. Niech pan powie, Hood. Co to za miejsce? Co odbudowuje pan z taką energią?

— „New York Timesa” — odparł Hood.

— Jest tu chyba jakieś archiwum, co? Moglibyśmy zapoznać się z informacjami. Pomogły nam w naszej działalności.

— Nie odmówię wam dostępu do odkrytego materiału — odrzekł Hood.

— Szczegółowy zapis prowadzących do wojny wydarzeń mógłby się okazać interesujący — rzekł z uśmiechem Dietrich. — Kto, na przykład, sprawował główną władzę w Stanach Zjednoczonych w przededniu Kataklizmu? Nikt, z kim dotychczas rozmawialiśmy, nie pamięta. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Wczesnym rankiem następnego dnia do tymczasowego biura Hooda dotarł raport inżynierów. Źródło dopływu mocy gazety zostało doszczętnie zniszczone, ale cefalon, struktura mózgową kierująca homeostatycznym układem wyszła z kataklizmu bez szwanku. Gdyby przysunąć dostatecznie blisko statek, prawdopodobnie mógłby zasilić obwód gazety, co pozwoliłoby uzyskać więcej informacji.



— Innymi słowy — powiedział do Hooda Fletcher, gdy jedli z Joan śniadanie — albo zadziała, albo nie. Bardzo pragmatyczne. Scalimy łącza i jeśli się uda, zadanie zostanie wykonane. A jeśli się nie uda? Czy wówczas inżynierowie zaprzestaną dalszych wysiłków?

Spoglądając na swój kubek, Hood stwierdził:

— To smakuje jak prawdziwa kawa. — Zamyślił się. — Proszę im powiedzieć, aby sprowadzili statek i uruchomili gazetę. Jak zacznie drukować, natychmiast przynieście mi jeden egzemplarz. — Upił łyk kawy.

Godzinę później w okolicy wylądował statek i podłączono źródło mocy. Przewody umieszczono na miejscu i przezornie zamknięto obwody.

Peter Hood usłyszał w swoim biurze podziemny huk i niepewne, pełne wahania drżenie. Udało się. Drukarnia wracała do życia.

Pierwsze wydanie, położone na jego biurka przez podekscytowanego CBOM — owca, zdumiało go swoją dokładnością. Nawet w stanie uspienia mechanizm zdołał uzyskać bieżącą wersję wydarzeń. Jego receptory funkcjonowały bez zarzutu.

#### *CBOM LĄDUJE, FINAŁ DZIESIĘCIOLETNIEJ PODRÓŻY*

#### *PLANOWANIE CENTRALNEJ ADMINISTRACJI*

*Dziesięć lat po Katakliźmie nuklearnego holokaustu, śródukładowa agencja rehabilitacyjna CBOM wylądowała na Ziemi z istną flotą wojenną — widok, który świadkowie opisali jako „przytłaczający zarówno rozmiarem, jak i znaczeniem”. CBOM — owiec Peter Hood, wyznaczony przez centauriańskie władze na głównego koordynatora, niezwłocznie przeznaczył ruiny Nowego Jorku na swoją główną kwaterę i podczas rozmowy ze współpracownikami oświadczył, że przybył nie po to, aby „karać winnych, lecz by wszelkimi środkami przywrócić kulturę planety oraz...”*

Dziwne, pomyślał Hood, czytając artykuł wstępny. Gromadzące informacje mechanizmy gazety sięgnęły do jego własnego życia, przetrawiły i zawarły w artykule nawet fragment rozmowy z Otto Dietrichem. Gazeta wykonywała swoje zadanie. Nie umykało jej nic godnego uwagi, nawet przeprowadzona bez świadków poufna rozmowa. Musiał mieć się na baczności.

Co zrozumiałe, kolejny artykuł o nieco złowieszczym przesłaniu dotyczył czarnych płaszczy, czyli policji.

### *„ZBRODNIARZE WOJENNI” CELEM AGENCJI OCHRONY*

*Kapitan Otto Dietrich, główny śledczy towarzyszący CBOM-owskiej armadzie z Proximy Centauri, powiedział dzisiaj, że osoby odpowiedzialne za Kataklizm sprzed dziesięciu lat „zapłacą za swoje zbrodnie” przed obliczem centauriańskiej sprawiedliwości. Jak dowiedział się „Times”, dwustu ubranych w czarne mundury policjantów rozpoczęło działania zmierzające do...*

Gazeta ostrzegała Ziemię przed Dietrichem. Hood poczuł przyływ ponurej satysfakcji. „Times” nie istniał tylko po to, aby służyć wysoko postawionym. Służył wszystkim, łącznie z tymi, których Dietrich miał zamiar postawić przed sądem. Każdy krok podjęty przez policję zostanie niewątpliwie szczegółowo opisany przez gazetę. Nie sprzyjało to Dietrichowi, który lubował się w konspiracji. Lecz prawo nadzorowania gazety miał Hood.

On zaś nie miał zamiaru zawiesić jej działalności.

Jego uwagę przykuł kolejny artykuł na pierwszej stronie; przeczytał go, marszcząc brwi.

### *NOWOJORSKIE ZAMIESZKI ZWOLENNIKÓW CEMOLEGO*

*Zamieszkujący namiotowe miasta zwolennicy Benny’ego Cemoli, tej barwnej postaci politycznej, starli się z miejscowymi mieszkańcami uzbrojeni w młotki, szpadle i deski. W dwugodzinnej walce uznanej przez obie strony za zwycięstwo, dwadzieścia osób zostało rannych, a tuzin wylądowało w pospiesznie zorganizowanych punktach pierwszej pomocy. Cemoli, jak zwykle odziany w czerwoną togę, odwiedzał rannych i żartując, zapewniał swoich zwolenników, że „to długo nie potrwa”, co stanowi oczywiste nawiązanie do planowanego marszu na Nowy Jork, mającego na celu ustanowienie „sprawiedliwości społecznej oraz prawdziwej równości po raz pierwszy w historii świata”. Należy przypomnieć, że przed pobytem w więzieniu w San Quentin...*

Wcisnąwszy guzik na swoim interkomie, Hood powiedział:

— Fletcher, proszę sprawdzić sytuację na północy hrabstwa. Niech pan zbierze informacje na temat gromadzących się tam politycznych buntowników.

— Też mam egzemplarz „Timesa”, sir — dobiegł głos Fletchera. — Widzę ten kawałek o agitatorze Cemolim. Statek już tam leci, otrzymamy raport za jakieś dziesięć minut. — Fletcher urwał. — Czy myśli pan... że trzeba będzie wzywać ludzi Dietricha?

— Miejmy nadzieję, że nie — odparł krótko Hood.

Pół godziny później statek CBOM — u przekazał przez Fletchera swój raport. Zdumiony Hood poprosił o powtórzenie wiadomości. Jednak nie mylił się. Ekipa polowa CBOM — u sprawdziła dokładnie. Nie znaleźli żadnego śladu namiotowego mia-

sta ani innego skupiska ludności. Żaden z mieszkańców badanego rejonu nigdy nie słyszał o człowieku noszącym nazwisko „Cemoli”. Poza tym nic nie wskazywało na to, aby doszło tam do zamieszek — nie było tam ani punktów pierwszej pomocy, ani rannych. Jedynie spokojna rolnicza okolica.

Zbity z tropu Hood ponownie przeczytał artykuł w „Timesie”. Przecież miał to czarno na białym, na pierwszej stronie obok informacji na temat lądowania CBOM-owskiej armady. Cóż to miało znaczyć?

Nie podobało mu się to.

Czyżby uruchomienie starej, zniszczonej homeostatycznej gazety było błędem?

Tej nocy Hood został wyrwany ze snu przez dobiegający spod ziemi narastający łoskot. Zaniepokojony usiadł na łóżku. Z dołu dochodził huk maszyn. Słyszał głuchą wrzawę automatycznych obwodów posłusznych płynącym z wnętrza układu poleceń.

— Sir — odezwał się z ciemności głos Fletchera, który po omacku znalazł wiszącą nad głową żarówkę i włączył światło. — Pomyślałem sobie, że przyjdę i pana obudzę. Przepraszam, panie Hood.

— Nie śpię — mruknął Hood, wstając z łóżka i wkładając szlafrok oraz kapcie. — Co tam się dzieje?

— Drukuje dodatek — odrzekł Fletcher.

— Chryste — powiedziała Joan, odgarniając z twarzy zmierzwione jasne włosy. — Na jaki temat? — Rozszerzonymi oczami spoglądała na przemian to na męża, to na Fletchera.

— Musimy sprowadzić władze lokalne — oświadczył Hood. — Porozmawiać z nimi. — Miał pewne przypuszczenia co do przyczyny wzmożonej aktywności pras drukarskich. — Sprowadźcie LeConte’a, tego politykiera, który wyszedł nam na spotkanie. Potrzebujemy go.

Na przybycie wyniosłego miejscowego potentata i członka jego personelu czekali prawie godzinę. Wreszcie obaj w nienaganych mundurach stawili się urażeni w biurze Hooda. W milczeniu popatrzyli na Hooda, czekając, aż wyjaśni im, czego chce.

Tymczasem on siedział przy biurku w szlafroku i kapciach z dodatkiem „Timesa” w rękę, w chwili przybycia LeConte’a ze współpracownikiem czytał go kolejny raz.

*NOWOJORSKA POLICJA INFORMUJE  
O MARSZU LEGIONÓW CEMOLEGO  
BARYKADY WZNIESIONE  
STRAŻ NARODOWA W STANIE GOTOWOŚCI*

Odwrócił gazetę, pokazując Ziemiąnom nagłówek.

— Kim jest ten człowiek?

— Nie... nie wiem — odparł po chwili LeConte.

— Niech pan da spokój, LeConte — odrzekł Hood.

— Proszę mi pozwolić przeczytać artykuł — powiedział nerwowo LeConte. Pospiesznie omiótł tekst wzrokiem, gazeta drżała mu w dłoniach. — Ciekawe — rzekł wreszcie. — Nic jednak na to nie poradzę. Pierwszy raz o tym słyszę. Musi pan zrozumieć, że nasza łączność od czasów Katakliżmu kulała, przez co prawdopodobieństwo powstania ruchu politycznego bez naszej wiedzy jest...

— Proszę — przerwał mu Hood. — Niech pan nie opowiada głupot.

— Robię, co mogę — odrzekł LeConte, czerwieniąc. — Zważywszy na fakt, że zostałem wyrwany z łóżka w środku nocy.

Rozległ się jakiś hałas i na progu biura stanęła sylwetka zasępionego Otto Dietricha.

— Hood — rzucił bez ogródek. — Niedaleko mojej kwatery znajduje się kiosk „Timesa”. Właśnie wypuścił to. — Trzymał w ręku kopie dodatku. — Diabelstwo drukuje to i rozpowszechnia po całym świecie, tak? Tymczasem my rozstawiliśmy zwiadowców w tamtej okolicy, a oni nie zauważyli żadnych blokad, oddziałów paramilitarnych ani żadnych zamieszek.

— Wiem o tym — odparł Hood. Ogarnęło go zmęczenie. Z dołu wciąż dobiegał huk maszyny informującej świat o marszu zwolenników Benny’ego Cemoli na Nowy Jork — marszu zmyślonego, powstałego od początku do końca w cefalonie samej gazety.

— Niech pan ją wyłączy — powiedział Dietrich.

Hood potrząsnął głową.

— Nie. Chcę wiedzieć więcej.

— Nie ma powodu — odparł Dietrich. — Wszystko wskazuje na to, że urządzenie jest zepsute. Poważnie uszkodzone, gdyż nie funkcjonuje jak należy. Musi pan poszukać gdzie indziej swojej sieci propagandy światowej. — Rzucił gazetę na biurko Hooda.

— Czy Benny Cemoli działał przed wojną? — zapytał LeConte’a Hood.

Zapadła cisza. Zarówno LeConte, jak i jego asystent pan Fali byli bladzi i zaniepokojeni, spoglądali na niego z zaciśniętymi ustami, zerkając na siebie z ukosa.

— Nie znam się na obowiązkach policji — powiedział do Dietricha Hood. — Lecz według mnie z powodzeniem może pan interweniować.

— Tak jest — odparł Dietrich, łapiąc w lot, o co mu chodzi. — Wy dwaj jesteście aresztowani. Chyba że zechcecie powiedzieć coś więcej na temat agitatora w czerwonej todze. — Skinął na dwóch policjantów, którzy stali przy drzwiach, ci posłusznie przesunęli się o krok do przodu.

— Dochodzę do wniosku, że jednak istniał ktoś taki — powiedział LeConte, gdy policjanci podeszli do niego. — Była to jednak... niejasna postać.

— Przed wojną? — zapytał Hood.

— Tak. — LeConte z wolna skinął głową. — Błazen. O ile dobrze pamiętam, choć to trudne... gruby, tępy pajac z prowincji. Miał swoją stację radiową czy coś w tym rodzaju, w każdym razie miejsce, z którego nadawał. Rozprowadzał skrzynkę antypromienną, którą instalowało się w domu, co miało jakoby chronić przed pyłem radioaktywnym.

Pan Fali odzyskał głos.

— Pamiętam. Startował nawet do senatu ONZ. Oczywiście przegrał.

— Czy to ostatnia rzecz, której dokonał? — zapytał Hood.

— Owszem — odparł LeConte. — Wkrótce potem zmarł na gripę azjatycką. Nie żyje od piętnastu lat.

Przelatując helikopterem nad terenem wskazanym przez „Timesa”, Hood zobaczył, że nie istniały tam żadne ślady aktywności politycznej. Dopiero wówczas przekonał się, że gazeta utraciła kontakt z rzeczywistością, która nijak nie miała się do treści artykułów, to było jasne jak słońce. A jednak homeostatyczny układ wciąż obstawał przy swoim.

— Mam tu trzeci artykuł, jeśli chcesz go przeczytać — powiedziała siedząca obok niego Joan. Przeglądała ostami numer gazety.

— Nie — odrzekł Hood.

— Wynika z niego, że są na przedmieściach — powiedziała. — Przedarli się przez barykady policji i gubernator zwrócił się do ONZ o pomoc.

— Mam pomysł — rzucił w zamyśleniu Fletcher. — Jeden z nas, najlepiej pan, Hood, powinien napisać list do „Timesa”.

Hood spojrzał na niego.

— Wydaje mi się, że dokładnie wiem, jak należałoby go zredagować — dodał Fletcher. — Powinien mieć formę zwykłego pytania. Śledził pan relacje gazety na temat działalności Cemolego. Proszę powiedzieć wydawcy... — Fletcher urwał — ...że sympatyzuje pan z ruchem i chciałby się pan do niego przyłączyć. Proszę zapytać gazetę, jak to uczynić.

Innymi słowy mam poprosić gazetę o kontakt z Cemolim, dopowiedział w duchu Hood. Pomysł Fletchera napełnił go podziwem. Na swój szalony sposób był genialny. Zupełnie jakby Fletcher w obliczu usterki gazety dobrowolnie zrzekł się rozsądku. Weźmie udział w wytworzonej iluzji. Zakładając istnienie Cemolego i marszu na Nowy Jork, zada pozornie logiczne pytanie.

— Może to głupie pytanie — wtrąciła Joan — ale w jaki sposób dostarczymy ten list?

— Sprawdziliśmy to — odrzekł Fletcher. — Przy każdym kiosku, obok otworu na monety, znajduje się szczelina korespondencyjna. Taki był wymóg w chwili powstania gazet homeostatycznych dziesiątki lat temu. Potrzebny jest jedynie podpis pani męża. — Sięgnąwszy do kieszeni kurtki, wyjął z niej kopertę. — List jest już gotowy.

Hood wziął list i przeczytał go. Tak więc chcemy wziąć udział w przedsięwzięciu mitycznego kłowna, pomyślał.

— Czy wkrótce nie pojawi się nagłówek głoszący SZEFE CBOM-U DOŁĄCZA DO MARSZU NA STOLICĘ ZIEMI? — zapytał z lekkim rozbawieniem Fletchera. — Czy dobra gazeta nie zrobi z podobnego listu artykułu na pierwszej stronie?

Fletcher najwyraźniej o tym nie pomyślał, zatroskał się.

— Chyba rzeczywiście lepiej będzie, jak ktoś inny go podpisze — przyznał. — Któryś z mniej ważnych współpracowników. Na przykład ja — dodał.

— Niech pan tak zrobi — powiedział Hood, wręczając mu list — ciekawe, jaka będzie odpowiedź.

Listy do wydawcy, pomyślał. Listy do złożonego, elektronicznego organizmu zagrzebanego głęboko pod ziemią, niepoczuwającego się do odpowiedzialności przed nikim, sterowanego wyłącznie przez własne obwody. Jak zareaguje na zewnętrzne potwierdzenie swojej iluzji? Czy dzięki temu wróci do rzeczywistości?

Zupełnie jakby podczas lat wymuszonego milczenia trwała we śnie i teraz obudziła się, pozwalając snom zmaterializować się na kartach gazety obok wiernego sprawozdania z rzeczywistych wydarzeń. Mieszanina ułudy z reportażem. Które odniesie ostateczne zwycięstwo? Niebawem kolejny epizod opowieści o Bennym Cemoli przedstawi nam pobyt zaklinacza w todzie w Nowym Jorku; wszystko wskazuje na to, że marsz zakończy się sukcesem. I co wtedy? Jak to wypadnie w zestawieniu z przybyciem CBOM — u, z jego władzą i autorytetem? Wobec tej niezgodności gazeta znajdzie się w kropce.

Jedna z dwóch relacji dobiegnie końca... Hood czuł jednak, że uśpiona przez dziesięć lat gazeta nie zrezygnuje łatwo ze swoich fantazji. Być może, pomyślał, informacje o nas, o CBOM-ie i jego zadaniu, znikną ze stron „Timesa”, z każdym dniem będzie im poświęcane coraz mniej uwagi na coraz dalszej stronie. Wreszcie pozostaną tylko dokonania Benny’ego Cemoli.

Nie była to przyjemna myśl. Poważnie go zaniepokoiła. Zupełnie jakbyśmy istnieli dopóty, dopóki „Times” o nas pisze, tak jakby to on decydował o naszej egzystencji.

Dwadzieścia cztery godziny później, w zwykłym numerze „Times” wydrukował list Fletchera. W druku tekst wydał się Hoodowi naciągany i nieprzekonujący — nie miał wątpliwości, że gazeta nie da się na to nabrać, a jednak list przebrnął przez kolejne etapy przygotowania numeru.

*Szanowny Wydawco:*

*Wasza relacja z bohaterskiego marszu na zgniłą plutokratyczną fortecę Nowego Jorku obudziła mój entuzjazm. Jakim sposobem zwykły obywatel może wziąć udział w tworze-*

*niu historii? Proszę o niezwłoczną odpowiedź, ponieważ jestem gotowy przyłączyć się do Cemolego, by wraz z nim święcić triumf zwycięstwa.*

*Z poważaniem,  
Rudolf Fletcher*

Pod listem gazeta umieściła odpowiedź, Hood odczytał ją pospiesznie.

*Biuro rekrutacyjne członków partii Cemolego znajduje się w centrum Nowego Jorku; adres: 460 Bleekman St. Nowy Jork 32. Może pan tam się zgłosić, o ile w obliczu obecnego kryzysu policja nie stłumiła jeszcze półlegalnej działalności ugrupowania.*

Dotykając przycisku na swoim biurku, Hood uruchomił bezpośrednią linię łączącą go z kwaterą policji. Usłyszawszy głos głównego śledczego, powiedział:

— Dietrich, potrzebuję oddziału pańskich ludzi, mam zamiar złożyć pewną wizytę i mogą pojawić się komplikacje.

— Cóż, zatem nie chodzi tylko o szlachetne cywilizowanie tubylców — powiedział po chwili oschłym tonem Dietrich. — Wysłaliśmy już kogoś na tę Bleekman Str. Podziwiam pański list. Sprytne posunięcie. — Zachichotał.

Niebawem Hood w towarzystwie czterech umundurowanych policjantów centauriańskich leciał helikopterem nad ruinami owego Jorku, szukając pozostałości ulicy noszącej niegdyś nazwę Bleekman Str. Po upływie pół godziny zorientowali się dzięki mapie, gdzie się znajdują.

— Tam — powiedział kapitan oddziału, wskazując kierunek ręką. — Chodzi o tamten budynek, gdzie mieści się sklep spożywczy. — Helikopter obniżył lot.

Rzeczywiście był to sklep. Hood nie zauważył w okolicy żadnego podejrzanego poruszenia, żadnych włóczęgów ani flag czy proporców. Jednakże... za pozornie sielską scenerią, skrzynkami pełnymi warzyw ustawionymi na chodniku, kobietami w długich płaszczach wybierającymi ziemniaki i starszym właścicielem w białym fartuchu zamiatającym obejście, kryło się coś niepokojącego. Okolica była zbyt spokojna. Zbyt zwykła.

— Lądujemy? — zapytał go kapitan.

— Tak — odparł Hood. — Przygotujcie się.

Na ich widok Grek, właściciel sklepu, odłożył miotłę i ruszył w kierunku helikoptera. Miał wielkie wąsy i siwe, lekko kręcone włosy. Spoglądał na nich z tajonym niepokojem, pojmując w lot, że ich obecność nie wróży mu nic dobrego. Bez względu na to postanowił uprzejmie ich powitać, nie bał się.

— Panowie — powiedział z lekkim ukłonem Grek. — Czym mogę służyć? — Omiótł spojrzeniem czarne mundury policjantów, ale nic nie dał po sobie poznać.

— Przyszliśmy zaaresztować agitatora politycznego — oznajmił Hood. — Nie ma pan powodów do obaw. — Ruszył w kierunku sklepu, oddział policji podążył za nim z wyciągniętą bronią.

— Polityczna agitacja tutaj? — zapytał Grek. — Niechże pan da spokój. To niemożliwe. — Zaalarmowany pospieszył za nimi. — Co ja takiego zrobiłem? Zupełnie nic, możecie się rozejrzeć. Proszę bardzo. — Otworzył na oścież drzwi sklepu. — Sami zobaczcie.

— Taki mamy zamiar — odparł Hood. Zwinnie wszedł do środka, nie tracąc czasu na rozglądanie się po sklepie. Od razu skierował się na zaplecze.

Za sklepem znajdował się magazyn wypełniony kartonami pełnymi puszek i porostawianymi wszędzie pudłami. Młody chłopak spisywał towar; gdy weszli, zdumiony podniósł wzrok. Nic, pomyślał Hood. Syn właściciela, nic więcej. Hood uniósł wieko kartonu i zajrzał do środka. Puszki z brzoskwiniami. Obok skrzynia z sałatą. Rozczarowany zdarł z główki sałaty jeden liść.

— Nic tu nie ma, sir — powiedział ściszym głosem kapitan.

— Widzę — odparł z rozdrażnieniem Hood.

Drzwi po prawej stronie prowadziły do schowka. Otworzywszy je, ujrzał miotły, wiadro oraz pudełka z proszkiem. I...

Krople farby na podłodze.

Schowek niedawno został odmalowany. Gdy Hood pochylił się i zadrapał ścianę paznokciem, stwierdził, że farba była wciąż lepka.

— Proszę spojrzeć — powiedział, przywołując kapitana.

— O co chodzi, panowie? — zapytał nerwowo Grek. — Znaleźliście coś brudnego i zgłosicie to w komisji zdrowotnej, tak? Klienci skarżyli się... proszę powiedzieć mi prawdę. Tak, to świeża farba. Dbamy o wszystko jak należy. Czyż to nie leży w interesie publicznym?

Przeciagnąwszy dłońmi po ścianie schowka, policjant cicho zwrócił się do Hooda:

— Panie Hood, tam są drzwi. Niedawno zostały zapieczętowane. — Wyczekująco popatrzył na Hooda, oczekując dalszych poleceń.

— Idziemy — rzucił Hood.

Kapitan wydał rozkazy swoim podwładnym. Przyniesiono sprzęt z helikoptera i przy wtórze donośnego wycia policjanci przystąpili do wycinania dziury w ścianie.

— To oburzające! — zawołał poblądły na twarzy Grek. — Zaskarżę was.

— Jasne — zgodził się Hood. — Niech pan wytoczy nam sprawę. Fragment ściany runął. Z hukiem wpadł do środka, przysypując gruzem podłogę. Chmura pyłu wzbija się, po czym opadła.



W świetle policyjnych latarek Hood ujrzał nieduże pomieszczenie. Zakurzone, bez okien, przesiąknięte wonią pleśni i starości... zdał sobie sprawę, że nikt nie zaglądał tu od bardzo dawna. Ostrożnie wszedł do środka. Pokój był pusty. Niegdyś służył pewnie jako schowek, miał drewniane i obdrapane ściany. Być może przed Kataklizmem sklep posiadał większy asortyment towaru, co wymagało bardziej przestronnego magazynu, teraz pomieszczenie było zbędne. Hood obszedł je wokół, błyskając latarką po suficie i podłodze. Miejsce wiecznego spoczynku zdechłych much... oraz, jak zauważył, kryjówka kilku żywych, które niemrawo pełzały w warstwie kurzu zalegającego podłogę.

— Niech pan pamięta — odezwał się kapitan — że wejście zabito deskami niedawno, najdalej trzy dni temu. A przynajmniej niedawno położono farbę, co do tego nie ma wątpliwości.

— Te muchy — powiedział Hood. — Wciąż są żywe. — Nie upłynęły nawet trzy dni. Pewnie cała operacja została przeprowadzona zaledwie wczoraj.

Do czego służyło to pomieszczenie? Odwrócił się w stronę Greka, który stanął niepokojnie za ich plecami z zatroskanym spojrzeniem ciemnych oczu. To sprytny człowiek, uświadomił sobie Hood. Niewiele z niego wyciągniemy.

Światła policyjnych latarek wydobyły z ciemności szafkę stojącą pod przeciwległą ścianą, puste półki sklecone z nieheblowanego drewna. Hood ruszył w jej kierunku.

— Dobrze — powiedział chrapliwie Grek, przełykając ślinę. — Przyznaję się. Trzymaliśmy tu gin z przemytu. Przestraszyliśmy się. Wy, Centaurianie... — Omiótł ich przestraszonym spojrzeniem. — W niczym nie przypominacie naszych miejscowych szefów; znamy ich, oni nas rozumieją. Wy! Do was nie sposób dotrzeć. Musimy jakoś żyć. — Błagalnie rozłożył ręce.

Coś wystawało zza krawędzi szafki. Ledwo widoczne, bez trudu mogło ujść ich uwagi. Kartka papieru, utknęła między ścianą i szafką, prawie znikając z oczu. Hood uchwycił ją i wyjął ostrożnie.

Greki zadrżał.

Było to zdjęcie. Przedstawiało grubego, nachmurzonego mężczyznę w średnim wieku. Miał zaciśnięte usta i obwisłe policzki pokryte czarnymi zaczątkami zarostu. Był słusznej postury, ubrany w rodzaj munduru. Dawniej zdjęcie wisiało na ścianie, ludzie przychodzili tu i spoglądali na nie z należytą czcią. Wiedział, kogo przedstawiało. Benny'ego Cemoli u szczytu politycznej kariery, lidera, którzy spoglądał gorzko na rzesze zbierających się tu swoich zwolenników.

Nic dziwnego, że „Times” wszczął taki alarm.

— Niech pan powie, czy to zdjęcie coś panu mówi? — powiedział do Greka Hood, podnosząc fotografię do góry.

— Nie, nie — zaprzeczył Grek. Otarł pot z twarzy wielką czerwoną chustką. — Naturalnie, że nie. — Najwyraźniej jednak mijał się z prawdą.

— Jest pan zwolennikiem Cemolego, prawda? — zapytał Hood.

Cisza.

— Zabierzcie go — polecił kapitanowi Hood. — Wracajmy. — Opuścił pomieszczenie, zabierając zdjęcie.

Nie chodzi jedynie o fantazję „Timesa”, pomyślał Hood, rozłożywszy zdjęcie na biurku. Poznaliśmy prawdę. Ten człowiek istnieje i dwadzieścia cztery godziny temu jego zdjęcie wisiało na ścianie na widoku. Wciąż by tam było, gdyby nie interwencja CBOM — u. Przestraszyliśmy ich. Ziemianie mają przed nami wiele do ukrycia i zdają sobie z tego sprawę. Działają błyskawicznie i skutecznie, będziemy mieć szczęście, jeśli...

W jego rozmyślania wdarł się głos Joan.

— Czyli Bleekman Street rzeczywiście była miejscem spotkań. Gazeta miała rację.

— Tak — potwierdził Hood.

— Gdzie on teraz jest?

Chciałbym to wiedzieć, pomyślał Hood.

— Czy Dietrich widział już zdjęcie?

— Jeszcze nie — odpowiedział Hood.

— On ponosi odpowiedzialność za wojnę i Dietrich na pewno się dowie — uznała Joan.

— Żadna jednostka sama nie ponosi odpowiedzialności — odparł Hood.

— Jednak to on wiódł tam prym — uparła się Joan. — Dlatego włożyli tyle wysiłku, aby zatrzeć wszelkie ślady jego istnienia.

Hood kiwnął głową.

— Czy bez „Timesa” — dodała — kiedykolwiek wpadlibyśmy na trop Benny’ego Cemoli? Wiele zawdzięczamy gazecie. Tamci przeoczyli to albo nie byli w stanie dotrzeć do właściwych informacji. Pewnie działali w pośpiechu; trudno, aby pomyśleli o wszystkim, nawet w ciągu dziesięciu lat. Nie sposób wymazać wszystkich szczegółów na temat ugrupowania politycznego działającego w skali globalnej, zwłaszcza jeśli jego lider w fazie ostatecznej zyskał władzę absolutną.

— Nie sposób wymazać — powtórzył Hood. Zabity deskami schowek na zapleczu greckiego sklepu... wystarczył, abyśmy dostali to, co chcieliśmy wiedzieć. Teraz ludzie Dietricha zrobią resztę. Jeśli Cemoli żyje, prędzej czy później go znajdą, jeśli zaś umarł... znając Dietricha, trudno ich będzie o tym przekonać. Nigdy nie zaprzestaną poszukiwań.

— Ta sytuacja ma i dobrą stronę, odetchną niewinni ludzie — doszła do wniosku Joan. — Dietrich przestanie ich ścigać. Będzie zbyt zajęty Cemolim.

To prawda, przyznał w duchu Hood. To się liczyło. Centauriańska policja będzie w najbliższym czasie bardzo zajęta, co wyjdzie na dobrze wszystkim, łącznie z CBOM-em i jego ambitnym planem odbudowy.

Gdyby nie było Benny'ego Cemoli, pomyślał nagle, wręcz należałoby go wymyślić. Dziwne spostrzeżenie... zastanawiał się, jakim cudem przyszło mu do głowy. Ponownie spojrzął na zdjęcie, próbując na podstawie płaskiej podobizny dociec prawdy o tym człowieku. Jaki Cemoli miał głos? Czy zdobył władzę dzięki przemówieniom, podobnie jak wielu demagogów przed nim? I jego pisma... Może natrafią na ślad niektórych. Albo nawet znajdą nagrania jego przemówień, poznają ich treść. Może kasety wideo. Prędzej czy później wszystko ujrzy światło dzienne, to jedynie kwestia czasu. Wówczas przekonamy się, czym było życie w cieniu takiego człowieka, podsumowała w duchu.

Rozległ się sygnał bezpośredniego łącza z biurem Dietricha. Podniósł słuchawkę.

— Mamy tu Greka — oznajmił Dietrich. — Podaliśmy mu narkotyki i złożył zeznania, może to pana zaciekawić.

— Owszem — odrzekł Hood.

— Twierdzi, że jest zwolennikiem Cemolego od siedemnastu lat, prawdziwy weteran w ugrupowaniu — powiedział Dietrich. — Spotykali się dwa razy w tygodniu na zapleczu jego sklepu, na początku, gdy Ruch był nieduży i stosunkowo słaby. Zdjęcie, które pan ma — nie widziałem go, rzecz jasna, ale opowiedział mi o nim Stavros, nasz grecki przyjaciel — jest niezbyt aktualne, wykonano już inne, które kursują wśród wiernych. Stavros zachował je z sentymentalnych względów. Przypominało mu o starych czasach. Później, gdy Ruch urósł w siłę, Cemoli przestał pojawiać się w sklepie i Grek stracił z nim bezpośredni kontakt. Nadal był lojalnym, skrupulatnie płacącym składki członkiem, lecz ugrupowanie stało się raczej czymś abstrakcyjnym.

— A wojna? — zapytał Hood.

— Tuż przed jej wybuchem Cemoli w wyniku zamachu stanu przejął władzę w Nowym Jorku. Podczas poważnej recesji gospodarczej zorganizował marsz na miasto. Miliony ludzi straciło pracę, dzięki czemu zyskał ich poparcie. Usiłował rozwiązać problemy ekonomiczne za pomocą agresywnej polityki zagranicznej — zaatakował kilka republik Ameryki Łacińskiej znajdujących się w chińskiej sferze wpływów. To wszystko; choć Stavros nie jest dobrze zorientowany w ogólnym zarysie sytuacji... będziemy musieli zasięgnąć języka u innych entuzjastów. Młodszych. Ostatecznie on ma ponad siedemdziesiąt lat.

— Mam nadzieję, że nie postawi go pan przed sądem — powiedział Hood.

— Ależ skąd. To po prostu źródło informacji. Kiedy powie nam wszystko, co wie, puścimy go z powrotem do jego cebul i musu jabłkowego w puszkach. On nie przedstawia żadnego zagrożenia.

— Czy Cemoli przeżył wojnę?

— Tak — odrzekł Dietrich. — To jednak było dziesięć lat temu. Stavros nie ma pojęcia, czy tamten w ogóle jeszcze żyje. Osobiście uważam, że tak będziemy działać, jakby żył, dopóki nie okaże się, że jest inaczej. Tak trzeba.

Hood podziękował mu i odłożył słuchawkę.

Odwróciwszy się od telefonu, usłyszał spod podłogi głucho dudnienie. Gazeta ponownie obudziła się do życia.

— To nie jest zwykłe wydanie — zauważyła Joan, spoglądając na zegarek. — Pewnie kolejny dodatek. To naprawdę pasjonujące; nie mogę się doczekać, aż zobaczę pierwszą stronę.

Co ten Benny Cemoli znowu przeskrobał? — zastanawiał się Hood. Według „Timesa”, w anachronicznym zapisie dziejów życia agitatora... jaki etap, który tak naprawdę nastąpił wiele lat temu, został obecnie osiągnięty? Coś przełomowego, co wymaga wydrukowania dodatku. Nie ulega wątpliwości, że wartego uwagi. „Times” wie, co nadaje się do druku.

Nie mógł się doczekać, aż to przeczyta.

W centrum Oklahomy, John LeConte włożył monetę do szczeliny kiosku „Timesa” założonego dawno temu. Na chodnik wypadł egzemplarz dodatku. LeConte podniósł go i przebiegł spojrzeniem po nagłówku, chcąc uzyskać jedynie zarys najważniejszych informacji. Następnie przeciął chodnik i ponownie usiadł na tylnym siedzeniu parowej limuzyny z szoferem.

— Sir, oto oryginalny materiał, jeśli chce pan go porównać — powiedział ostrożnie pan Fali. Sekretarz wyjął folder i LeConte wziął go do ręki.

Samochód ruszył z miejsca. Bez zbędnych poleceń szofer skierował się w stronę kwatery Partii. LeConte oparł się na siedzeniu, zapalił cygaro i usadowił się wygodnie.

Leżąca na jego kolanach gazeta krzyczała ogromnym nagłówkiem:

*CEMOLI WCHODZI W KOALICJĘ Z PAŃSTWAMI ONZ  
CHWILOWE ZAWIESZENIE BRONI*

— Mój telefon, proszę — powiedział do sekretarza LeConte.

— Tak jest. — Pan Fali wręczył mu przenośny telefon. — Ale przecież prawie jesteśmy na miejscu. Poza tym zawsze istnieje możliwość, pozwoli pan, że zwrócę mu na to uwagę, że założyli nam podsłuch.

— Są zajęci w Nowym Jorku — odparł LeConte. — Wśród ruin. — W rejonie, który od kiedy sięgam pamięcią nie posiadał najmniejszego znaczenia, dorzucił w duchu. Jednak uznał, że rada Falla nie jest pozbawiona sensu; postanowił zrezygnować z rozmowy. — Co pan myśli o ostatnim wydaniu? — zapytał sekretarza, wskazując na gazetę.

— To prawdziwy sukces — pochwalił Fali, kiwając głową.

Otworzywszy teczkę, LeConte wyjął zniszczoną, pozbawioną okładki książkę. Wyprodukowano ją zaledwie godzinę wcześniej. Stanowiła kolejny rekwizyt, który należało podrzucić intruzom z Proximy Centauri. Był to jego osobisty wkład do sprawy, czuł z tego powodu ogromną dumę. Książka przedstawiała szczegółowy zarys programu zmian społecznych Cemolego, rewolucja opisana w języku przystępnym dla uczniów szkoły podstawowej.

— Czy mogę zapytać, czy w zamierzeniach Partii leży znalezienie przez nich ciała? — powiedział Fali.

— Owszem — odparł LeConte. — To jednak nastąpi za jakieś kilka miesięcy. — Wyjąwszy z kieszeni płaszcz ołówkę, napisał w zniszczonej książce koślawymi, dziecinnymi literami:

#### CEMOLI DO DOMU

Czy nie posuwał się za daleko? Nie, uznał. Ruch przecież napotykał Opór. Rzecz jasna spontaniczny, niedojrzały. Dopisał:

#### GDZIE SĄ POMARAŃCZE?

— Co to znaczy? — zapytał Fali, zaglądając mu przez ramię

— Cemoli obiecuje młodym ludziom pomarańcze — wyjaśnił LeConte. — Kolejna pusta obietnica bez żadnego pokrycia w rzeczywistości. To pomysł Stavrosa... sprzedaje owoce. Sympatyczna nuta. — Dzięki niej prawdopodobieństwo wzrasta, pomyślał. Podobnie jak dzięki innym drobiazgom, o które zadbaliśmy.

— Wczoraj — powiedział Fali — kiedy byłem w kwaterze Partii, słyszałem spreparowane nagranie. Przemówienie Cemolego skierowane do ONZ. Niesamowite, gdybym nie wiedział...

— Komu zlecili wykonanie? — zapytał LeConte, zastanawiając się, dlaczego on sam w tym nie uczestniczył.

— Jakiemuś artyście z nocnego klubu w Oklahomie. Chyba specjalizuje się w imitacjach. Nadał przemówieniu złowróżbny, pompatyczny ton... Muszę przyznać, że brzmiało to nieźle.

Tymczasem zapomnijmy o procesach za zbrodnie wojenne, pomyślał LeConte. My, którzy dowodziliśmy w czasie wojny, na Ziemi i na Marsie, którzy piastowaliśmy odpowiedzialne stanowiska — jesteśmy bezpieczni, przynajmniej narazić. Kto wie, może na zawsze. Jeśli nasza strategia okaże się skuteczna. I jeśli tunel do cefalonu gazety, którego wykonanie zabrało nam pięć lat, nie zostanie odkryty. Albo się nie zawali.

Limuzyna parowa zaparkowała w wyznaczonym miejscu przed kwaterą Partii, szofer obszedł samochód, aby otworzyć drzwi i LeConte wyszedł niespiesznie na oświetlony blaskiem słońca chodnik, bez cienia niepokoju w sercu. Wrzucił cygaro do rynszoka, po czym ruszył w kierunku znajomego budynku.

**NOWOŚĆ**

Z okazji wieczoru Wszystkich Dusz światła w wielkim komunalnym budynku mieszkalnym paliły się do późna. Mieszkańcy, wszystkich sześciuset lokali, otrzymali polecenie stawienia się w podziemnej hali zgromadzeniowej. Mężczyźni, kobiety oraz dzieci żwawo wchodzili do środka; w drzwiach stał Bruce Corley i obsługiwał nowy kosztowny czytnik identyfikacyjny, dzięki któremu nikt z zewnątrz, z innego budynku mieszkalnego, nie miał szansy dostać się do środka. Mieszkańcy pogodnie poddawali się kontroli, dzięki czemu przebiegała nadzwyczaj sprawnie.

— Hej, Bruce, ile przez to cacko jesteście do tyłu? — zapytał stary Joe Purd, najstarszy mieszkaniec bloku; wraz z żoną i dwojgiem dzieci wprowadził się do budynku w dniu, kiedy ukończono budowę, w maju 1980 roku. Jego żona umarła, a dzieci dorosły, pożeniły się i wyprowadziły, lecz Joe został.

— Sporo — odparł Bruce Corley. — Ale jest niezawodny; to znaczy, subiektywna ocena nie wchodzi w rachubę. — Pełniąc rangę sierżanta, wpuszczał dotychczas ludzi, gdyż ich rozpoznawał, przynajmniej tak mu się wydawało. Jednak przemknęła się para łobuzów z posiadłości Wzgórze Czerwonego Drozda, którzy popsuli całe zebranie swoimi pytaniami i komentarzami. Ta sytuacja nigdy się nie powtórzy.

Rozdając agendy, pani Wells z nieruchomym uśmiechem przyklepionym do twarzy powtarzała:

— Punkt 3 A, Kredyt na Naprawę Dachy, został przesunięty do 4 A Proszę zwrócić na to uwagę.

Mieszkańcy przyjmowali swoje agendy, po czym rozdzielali się na dwa rzędy sunące w kierunku dwóch przeciwnych stron sali; frakcja liberalna siadała po prawej stronie, a konserwatywna — po lewej, przy czym obie strony ostentacyjnie lekcewały się nawzajem. Kilka niezaangażowanych osób — nowych mieszkańców bądź ekscentryków — zasiadło czujnie z tyłu i w milczeniu przysłuchiwało się szmerom toczonych rozmów. W sali ogólnie panowała atmosfera tolerancji, ale mieszkańcy wyczuwali nadciągającą burzę. Obie strony wydawały się na to przygotowane. Tu i ówdzie szeleściły przechodzące z rąk do rąk dokumenty, petycje oraz wycinki z gazet.



Donald Klugman siedzący przy stole na podwyższeniu w towarzystwie czterech członków zarządu poczuł skurcz w żołądku. Jako człowiek spokojny nie znosił gwałtownych konfliktów. Nawet w sytuacjach, gdy zasiadał na widowni, były dla niego nie do wytrzymania, tymczasem dzisiaj miał wziąć aktywny udział w zgromadzeniu; tego wieczora sprawa szkoły osiągnie punkt kulminacyjny.

Sala była prawie pełna i oto Patrick Doyle, obecny pilot bloku, zmarkotniały, w długiej, białej szacie, wznosił ręce, aby uciszyć zebranych.

— Modlitwa na otwarcie! — zawołał chrapliwie, odchrząknął i wyjął niewielką kartę. — Proszę wszystkich o zamknięcie oczu i pochylenie głów. — Zerknął na administratorów i Klugmana, który dał mu znak, aby kontynuował. — Ojciec Niebieski — zaczął Doyle — my, mieszkańcy bloku komunalnego imienia Abrahama Lincolna prosimy cię, abys pobłogosławił dziś wieczór naszemu zgromadzeniu. Hm, prosimy, abys w swojej łasce umożliwił nam zebranie funduszków na naprawę dachu, która jest sprawą niecierpiącą zwłoki. Prosimy, aby nasi chorzy wyzdrowieli, a bezrobotni znaleźli pracę. Daj nam mądrość, abyśmy spośród ubiegających się o życie pośród nas wybrali właściwych i odrzucili złych. Błagamy cię, żeby żaden intruz nie zakłócił naszego praworządnego życia i abys w swojej łasce uwolnił Nicole Thibodeaux od uporczywych bólów głowy, które ostatnio uniemożliwiają jej występy w telewizji, i aby te bóle głowy nie miały nic wspólnego z wypadkiem sprzed dwóch lat, kiedy przez nieuwagę inscenizatora odważnik spadł jej na głowę, przez co trafiła na siedem dni do szpitala. Amen.

— Amen — uzupełnili zebrani.

Wstając z krzesła, Klugman powiedział:

— Zanim przejdziemy do poważniejszych spraw, obejrzymy kilkuminutowe widowisko przygotowane przez nasze młode talenty. Na początek wystąpią trzy dziewczynki Fettersmollerów z mieszkania numer 205. Za tańczę do melodii „Zbuduję schody do gwiazd”. — Ponownie usadowił się na swoim krześle i na scenę wyszły trzy jasnowłose dziewczynki, znane widowni z wielu poprzednich występów.

Kiedy uśmiechnięte Fettersmollerówny w pasiastych spodenkach i połyskujących srebrzyście kubraczkach rozpoczęły swój taniec, drzwi prowadzące do sali otworzyły się i do środka wszedł spóźniony Edgar Stone.

Spóźnił się, ponieważ oceniał test swojego sąsiada, pana Iana Duncana. Stojąc w drzwiach, wciąż widział przed oczami test i nieszczęsny popis Duncana, którego ledwo znał. Mimo iż nie dokończył sprawdzania testu, wiedział, że Duncan go oblał.

Fettersmollerówny na scenie śpiewały zachrypniętymi głosikami, a on zastanawiał się nad powodem, dla którego w ogóle zdecydował się przyjść. Przypuszczalnie chodziło mu o uniknięcie grzywny, gdyż dzisiejsza obecność mieszkańców była obowiązkowa. Organizowane często amatorskie pokazy talentów nic dla niego nie znaczyły; pamiętał czasy, gdy w telewizji pokazywano występy organizowane przez profesjonalistów.

Obecnie, rzecz jasna, wszyscy profesjonaliści znajdowali się na usługach Białego Domu, telewizja zaś zrezygnowała z funkcji rozrywkowej na rzecz edukacyjnej. Pan Stone pomyślał o starych, wspaniałych filmach, w których występowali komicy tacy jak Jack Lemmon i Shirley MacLaine. Popatrzył znów na dziewczynki Fettersmollerów i jęknął.

Usłyszawszy go, Corley rzucił mu surowe spojrzenie.

Przynajmniej opuścił modlitwę. Pokazał swój identyfikator nowej maszynie Corleya, która pozwoliła mu ruszyć przejściem pomiędzy rzędami w kierunku wolnego miejsca. Czy Nicole to dziś ogląda? Czy łowczynie talentów z Białego Domu siedzi gdzieś na widowni? Widział same znajome twarze. Fettersmollerówny traciły czas. Przymknął oczy i słuchał, nie czując się na siłach, by patrzeć. To na nic, pomyślał. Nie uda im się, muszą spojrzeć prawdzie w oczy, podobnie jak ich ambitni rodzice: są pozbawione talentu, tak jak reszta z nas... Pomimo trudu i determinacji blok imienia Abrahama Lincolna nie przyczyniał się do wzbogacenia dorobku kulturowego narodu i nikt nie potrafił nic na to poradzić.

Beznadziejność sytuacji Fettersmollerówien przypomniała mu testy, które owego ranka otrzymał z rąk roztrzęsionego i pobladłego lana Duncana. Negatywny wynik spowoduje, że sytuacja Duncana będzie gorsza niż dziewczynek, ponieważ straci on prawo mieszkania w bloku Lincolna; zniknie z pola widzenia — ich pola widzenia — i osiągnie z powrotem pogardzany status — zamieszka w internacie i będzie pracował w ekipie robotniczej, tak jak pracowali niegdyś wszyscy, mając po kilkanaście lat.

Oczywiście otrzyma pełen zwrot kosztów, które poniósł podczas zakupu mieszkania, pokażą sumę. Stone trochę mu zazdrościł. Co bym zrobił, pomyślał, siedząc z zamkniętymi oczami, gdyby oddano mi naraz pełną sumę? Być może bym wyemigrował. Kupiłbym jeden z tanich, nielegalnych rzeźbów, które...

Aplauz wyrwał go z zamyślenia. Dziewczynki skończyły i on również przyłączył się do oklasków. Na podwyższeniu Klugman gestem uciszył widownię.

— Dobrze, wiem, że wam się podobało, ale dziś wieczorem mamy w zanadrzu znacznie więcej. Poza tym jest jeszcze formalna część zebrania, nie wolno nam o tym zapomnieć. — Uśmiechnął się.

Tak, pomyślał Stone. I ogarnęło go napięcie, gdyż był jednym z radykałów w budynku Lincolna, którzy chcieli zamknąć miejscową podstawówkę i posłać dzieci do szkoły publicznej, gdzie istniała możliwość nawiązania kontaktu z dziećmi z innych budynków.

Pomysł ten napotkał zdecydowany sprzeciw wielu osób. A jednak w ciągu ostatnich tygodni zyskiwał coraz więcej zwolenników. Byłoby to pouczające doświadczenie, dzieci odkryłyby, że mieszkańcy innych budynków wcale się od nich nie różnili. Bariery pomiędzy ludźmi runęłyby bezpowrotnie i nawiązano by nowe porozumienie.

Przynajmniej tak wyglądała wizja Stone'a, konserwatyści jednak postrzegali to inaczej. Zbyt wcześnie na obcowanie, twierdzili. Wśród dzieci wywiązałyby się walki o dominację. To stanie się z czasem... ale nie teraz, nie tak szybko.

Ryzykując wysoką grzywnę, Ian Duncan nie stawiał się na zgromadzeniu i pozostał tego wieczora w swym mieszkaniu, oddając się lekturze oficjalnych pism rządowych na temat religijno — politycznej historii Stanów Zjednoczonych — relpoli, jak je powszechnie nazywano. Wiedział, że jest w tym słaby, z ledwością pojmował czynniki gospodarcze, nie wspominając o religijnych i politycznych ideologiach, które pojawiały się w dwudziestym wieku, bezpośrednio wpływając na bieg wydarzeń. Na przykład powstanie Partii Republikańsko — Demokratycznej. Kiedyś istniały dwie partie zaangażowane w jałowe konflikty mające na celu ustanowienie dominacji nad przeciwnikiem, podobne do kłótni toczących się obecnie pomiędzy blokami mieszkalnymi. Partie połączyły się około 1985 roku, tworząc jedno ugrupowanie zarządzające stabilnym i spokojnym społeczeństwem, do którego każdy należał. Wszyscy płacili składki, uczestniczyli w zebraniach i co cztery lata wybierali nowego prezydenta — człowieka, który ich zdaniem najbardziej przypadłby do gustu Nicole.

Miło było wiedzieć, że oni, ludzie, mieli możliwość decydowania, kto po upływie czterech lat zostanie mężem Nicole; w pewnym sensie dawało to elektoratowi władzę najwyższą, przewagę nawet nad samą Nicole.

Weźmy na przykład tego ostatniego, Taufica Negała. Stosunki pomiędzy nim a Pierwszą Damą były raczej chłodne, co wskazywało na to, że ostatni wybór nieszczególnie ją zadowolił. Lecz naturalnie jako dama nigdy nie dałaby tego po sobie poznać.

Kiedy pozycja Pierwszej Damy stała się ważniejsza niż pozycja prezydenta? — zapytywał relpol. Innymi słowy, kiedy nasze społeczeństwo stało się matriarchalne, dopowiedział Ian Duncan. Około roku 1990; znam odpowiedź na to pytanie. Zjawisko zostało zasygnalizowane już wcześniej, zmiana przebiegała stopniowo. Z każdym rokiem popularność Pierwszej Damy przyćmiewała osobę prezydenta, naród obdarzał ją coraz większą sympatią. To naród wyniósł ją na szczyt. Czy wynikało to z potrzeby posiadania matki, żony, kochanki, a może wszystkich trzech naraz? Tak czy inaczej, ludzie dostali to, czego chcieli; dostali Nicole, ona zaś spełnia wszystkie trzy warunki, a nawet znacznie więcej.

W rogu salonu zabrzmiał sygnał włączającego się telewizora, Ian Duncan z westchnieniem zamknął podręcznik i przeniósł uwagę na ekran. Wydanie specjalne na temat wydarzeń w Białym Domu, domyślił się. Pewnie jeszcze jedna wycieczka lub też gruntowna, obfita w szczegóły analiza nowego hobby bądź zajęcia Nicole. Czyżby zajęła się kolekcjonowaniem porcelanowych filiżanek? Jeśli tak, będziemy skazani na oglądanie każdego eksponatu z osobna.

Zgodnie z jego przewidywaniami ekran wypełniły krągłe, obwisłe rysy sekretarza informacyjnego Białego Domu, Maxwella Jamisona. Unosząc rękę, Jamison wykonał znany gest powitania.

— Dobry wieczór, mieszkańcy naszej Ziemi — rzucił uroczyście. — Czy zastanawiacie się kiedykolwiek, jak wyglądałaby podróż w głąb Pacyfiku? Nicole doświadczyła tego i aby odpowiedzieć na powyższe pytanie, zaprosiła do Komnaty Tulipanowej w Białym Domu trzech najwybitniejszych badaczy oceanów. Dziś wieczorem opowiedzą Nicole historie, których będziecie mogli wysłuchać, gdyż przed chwilą nakręcono je na żywo dzięki aparaturze Biura Spraw Publicznych Zjednoczonej Sieci Trój zespołowej.

Witamy w Białym Domu, powiedział w duchu Ian Duncan. Przynajmniej w sensie zastępczym. My, którzy nigdy się tam nie znajdziemy, którzy nie posiadamy talentów mogących wzbudzić zainteresowanie Pierwszej Damy choćby na jeden wieczór; tak czy inaczej zaglądamy do niego przez starannie wyregulowane okna naszych telewizorów.

Nie miał specjalnej ochoty tego oglądać, lecz skusiła go możliwość obejrzenia quizu-niespodzianki, który nadawano na końcu. Poza tym pozytywny wynik quizu mógł osłodzić mu nieco gorycz oceny niedostatecznej, którą na pewno uzyska z ostatniego testu politycznego, poprawianego obecnie przez sąsiada, pana Stone'a.

Na ekranie pojawiła się urocza twarz inteligentnej, choć nieco zuchwałej kobiety. Jej blada cera i bystre spojrzenie ciemnych oczu przykuwały uwagę wszystkich, a owa dama wzbudzała obsesyjne zainteresowanie całego narodu, ba, całej planety. Na jej widok Ian Duncan poczuł ze strachu dławienie w gardle. Zawiódł ją, dotrze do niej wieść o miernych wynikach jego testu i chociaż nijak ich nie skomentuje, rozczarowanie było gwarantowane.

— Dobry wieczór — powiedziała Nicole cichym, lekko zachrypniętym głosem.

— No właśnie — wymamrotał pod nosem Ian Duncan. — Nie mam głowy do abstrakcji, ta cała filozofia religijno-polityczna jest według mnie kompletnie pozbawiona sensu. Czy nie mógłbym po prostu skoncentrować się na rzeczywistości? Powinienem wypalać cegły albo wyrabiać buty. — Powinienem być na Marsie, pomyślał, na granicy. Tutaj nie ma ze mnie żadnego pożytku, w wieku trzydziestu pięciu lat jestem skończony, i ona o tym wie. Pozwól mi odejść, Nicole, pomyślał desperacko. Nie zadawaj mi więcej testów, ponieważ nie mam szans, aby je zaliczyć. Weźmy choćby ten program o dnie oceanu; zanim się skończy, już wszystko zapomnę. Partia Republikańsko — Demokratyczna nie ma ze mnie żadnego pożytku.

Naraz pomyślał o swoim bracie. Al może mi pomóc. Al pracował dla Stukniętego Luke'a i sprzedawał małe statki z blachy i plastiku, na które mogli sobie pozwolić nawet przegrani; statki, które przy odrobinie szczęścia mogły zawieźć delikwenta na Marsa. Al, pomyślał, sprzedasz mi takiego rżęcha po cenie hurtowej.

— Jest to zaczarowany świat, którego świetliste istoty przerastają zróżnicowaniem i niezwykłością zjawiska z innych planet — mówiła na ekranie Nicole. — Naukowcy obliczają, że w oceanie żyje więcej form życia niż...

Jej oblicze znikło i w jego miejsce pojawiła się groteskowa ryba. To część umyślnej propagandy, doszedł do wniosku Ian Duncan. Próba odwrócenia naszej uwagi od Marsa i możliwości uwolnienia się od Partii... i od niej. Ryba na ekranie wytrzeszczyła na niego wyłupiaste oczy i mimowolnie skupił uwagę na prezentowanych sekwencjach. Rany, pomyślał, co to za dziwny świat tam na dole. Nicole, dorzucił w myślach, masz mnie w garści. Gdybyśmy tylko z Alem wtedy dopięli swego, moglibyśmy teraz występować dla ciebie i bylibyśmy szczęśliwi. Podczas twojej rozmowy ze światowej sławy badaczami oceanów Al i ja dyskretnie przygrywalibyśmy w tle, może jedną z „Inwencji dwugłosowych” Bacha.

Ian Duncan podszedł do szafy, pochylił się i ostrożnie podniósł do światła owinięty w tkaninę przedmiot. Mieliśmy tyle młodzieńczej wiary, przypomniał sobie. Czule rozpakował dzbanek, zaczerpnąwszy tchu wydobył z niego kilka fałszywych tonów. Bracia Duncan i ich dwuosobowy zespół grali na dwa dzbanki własne interpretacje utworów Bacha, Mozarta i Strawińskiego. Gdyby nie ten łowca talentów z Białego Domu. Nawet nie pozwolił im zagrać. To już było, oznajmił. Jesse Pigg, fenomenalny artysta z Alabamy, pierwszy przybył do Białego Domu i bawił tuzin oraz jednego członka rodziny Thibodeaux swoimi wersjami „Derby Ram”, „Johna Henry” i tym podobnych.

— Ale to dzbanek klasyczny — zaprotestował Ian Duncan. — Gramy ostatnie sonaty Beethovena

— Damy wam znać — skwitował łowca talentów. — Jeśli tylko Nicky wykaże tym w przyszłości zainteresowanie.

Nicky! Duncan zdębiał. Wyobraził sobie podobną zażyłość z Pierwszą Rodziną. Mamrocząc bezradnie pod nosem, opuścili scenę ze swoimi dzbankami, ustępując miejsca gromadce psów w elżbietańskich kostiumach, które przedstawiały postaci z „Hamleta”. I one odeszły z kwitkiem, ale marne to było pocieszenie.

— Powiedziano mi — mówiła Nicole — że w głębi oceanu jest tak mało światła, że, cóż, spójrzcie sami na to stworzenie. — Przez ekran przepłynęła ryba wyposażona w świecącą latarnię.

Rozległo się niespodziewane pukanie do drzwi. Duncan otworzył je z niepokojem i zastał na korytarzu podenerwowanego pana Stone’a.

— Nie przyszedł pan na Wszystkie Dusze? — zapytał. — Nikt się nie dowie? — Trzymał w ręku poprawiony test.

— Niech pan powie, jak wypadłem — poprosił Duncan. Przygotował się wewnętrznie. Stone wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Rzucił okiem na telewizor, ujrzał siedzącą w towarzystwie badaczy oceanów Nicole, posłuchał jej przez chwilę, po czym odparł szorstkim tonem:

— Nie najgorzej. — Wręczył mu test.

— Zdałem? — zapytał Duncan. Nie mógł w to uwierzyć. Wziął to ręki pracę i obejrzał ją z niedowierzaniem. Wówczas dotarło do niego, co się stało. Stone sfałszował wynik, prawdopodobnie z czysto ludzkich motywów. Duncan podniósł głowę i popatrzył na siebie bez słowa. To straszne, pomyślał Duncan. I co ja teraz zrobię? Jego własna reakcja wprowadziła go w osłupienie.

Chciałem oblać, uświadomił sobie. Dlaczego? Aby móc się stąd wydostać, aby zyskać wymówkę do porzucenia tego wszystkiego, mieszkania, pracy, i odejścia. Do tego, aby wyemigrować w jednej koszuli na grzbiecie, na statku, który rozsypie się w chwili, gdy osiadzie w marsjańskiej głuszy.

— Dzięki — odparł ponuro.

— Będzie pan mógł kiedyś mi się odwdziaczyć — rzucił pospiesznie Stone.

— Ach, tak, z przyjemnością — odrzekł Duncan.

Stone opuścił mieszkanie, pozostawiając go z telewizorem, dzbankiem, nieuczciwie poprawionym testem i własnymi myślami.

Al, musisz mi pomóc, pomyślał. Musisz mnie stąd wyciągnąć, nie mogę nawet oblać testu.

Al Duncan siedział z nogami na biurku w punkcie sprzedaży statków nr 3 i paląc papierosa, spoglądał na przechodniów i śródmiejską ulicę w Reno w Nevadzie. Za rzędem lśniących pojazdów z trzepoczącymi proporcami i serpentynami widział postać ukrytą pod transparentem z napisem STUKNIĘTY LUKE.

Nie był jedyną osobą, która ją widziała; chodnikiem nadszedł mężczyzna z kobietą i biegnącym przed nimi małym chłopcem. Chłopiec podskoczył i z przejęciem wymachując rękami, zawołał:

— Hej, tato, popatrz! Wiesz, co to jest? To papoola.

— O rany — odpowiedział z uśmiechem mężczyzna. — Rzeczywiście. Spójrz, Marion, pod transparentem siedzi Marsjanin. Może podejdziemy do niego i porozmawiamy? — Wraz z chłopcem ruszył w kierunku znaku. Jednak kobieta szła dalej chodnikiem.

— Mamo! — ponaglił ją chłopiec.

Al dotknął przycisku ukrytego pod koszulą mechanizmu. Papoola wyszedł spod transparentu i ruszył na sześciu nogach — kołysząc się jak kaczką w stronę chodnika, okrągły kapelusz wisiał mu na jednej antenie. Jego zezujące spojrzenie padło na sylwetkę kobiety. Pod wpływem przesłanego bodźca odwrócił się i począł w ślad za nią ku uciesze ojca i syna.

— Popatrz, tato, on idzie za mamą! Hej, mammo, obejrzyj się!

Kobieta zerknęła przez ramię i na widok talerzowatego stworzenia o pomarańczowym, owadziim ciele wybuchła śmiechem. Wszyscy kochają papoolę, pomyślał Al. Patrzenie na śmiesznego marsjańskiego papoolę. Dalej, papoola, przywitaj się z miłą panią, która się z ciebie śmieje.

Skierowane do kobiety myśli papooli dotarły do Ala. Pozdrawiał ją, mówiąc, że niezmiernie cieszy się ze spotkania i pochlebstwami zwabił na skraj chodnika, gdzie stała jej żona i syn. Wszyscy troje odbierali impulsy emanujące z istoty marsjańskiej, która przybyła na Ziemię bez żadnych wrogich zamiarów, niezdolna do złego. Papoola kochał ich tak jak oni kochali jego, zapewniał ich o tym teraz, przesyłając im łagodność i ciepłą gościnność, do której przywykł na swojej planecie.

Ależ ten Mars to wspaniałe miejsce, myśleli bez wątpienia kobieta i mężczyzna, podczas gdy papoola odsłaniał przed nimi swoje wspomnienia i przyjazne nastawienie. Nie jest zimne i schizoidalne jak Ziemia, nikt nikogo nie szpieguje, nie ocenia niezliczonych testów politycznych i nie skarży na cotygodniowych zebraniach komitetu bezpieczeństwa budynku. Tylko pomyślcie, mówił papoola do wrośniętych w chodnik i niezdolnych do żadnego ruchu. Tam jesteście panami swojego losu, macie własny kawałek gruntu i osobiste przekonania, jesteście sobą. Spójrzcie na siebie, boicie się nawet stać tu i słuchać. Boicie się...

— Lepiej już chodźmy — rzucił nerwowym tonem mężczyzna.

— Nie — odparł błagalnie chłopiec. — Jak często możesz rozmawiać z papoola? Pewnie należy do punktu sprzedaży statków. — Chłopiec pokazał palcem i Al poczuł na sobie badawczy wzrok jego ojca.

— Oczywiście — powiedział mężczyzna. — Sprzedają tu statki. W tej chwili urabia nas, abyśmy zmiękli. — Wyraz oczarowania zniknął z jego twarzy. — Tamten człowiek nim kieruje.

Niemniej, pomyślał papoola, to co wam mówię, jest prawdą. Nawet jeśli to tylko gadka reklamowa. Sami możecie polecieć na Marsa. Zobaczycie to na własne oczy — o ile macie odwagę wyrwać się z jarzma. I jak? Jesteś prawdziwym mężczyzną? Kup statek Stukniętego Luke'a... kup go, dopóki wciąż masz szansę, bo wiesz, że któregoś dnia, być może niedługo, prawo zaostrzy zasady i punkty sprzedaży takie jak nasz przestaną istnieć. Podobnie jak luki w strukturze społeczeństwa autorytarnego, przez które kilku — zaledwie garstka — szczęśliwców jest w stanie się przecisnąć.

Manipulując pokrętłami, Al zwiększył nacisk. Siła psychiki papooli nabrała mocy, ogarniając mężczyznę i przejmując kontrolę nad jego umysłem. Musisz kupić statek, nalegał papoola. Nieskomplikowany system ratalny, serwis gwarancyjny, różnorodność modeli do wyboru. Mężczyzna wykonał krok w stronę placu. Szybciej, ponaglił go papoola. Władze w każdej chwili mogą zamknąć sklep i twoja szansa przepadnie bezpowrotnie.

— Właśnie na takiej zasadzie funkcjonują — odparł z trudem mężczyzna. — Zwierzak zastawia sidła na ludzi. Hipnotyzuje ich. Musimy stąd odejść. — Lecz nie ruszył się z miejsca, było za późno, kupi statek, Al za pomocą zdalnego sterowania zwa-  
bi go do środka.

Al od niechcienia podniósł się z krzesła. Pora wyjść na zewnątrz i dobić targu. Wyłączył papoolę, otworzył drzwi biura i wyszedł na plac, w tym momencie jego spoj-  
rzenie padło na znajomą postać zmierzającą pomiędzy statkami w jego kierunku. Był  
to jego brat Ian, którego nie widział od lat. A niech to, pomyślał Al. Czego on chce? I to  
w takiej chwili...

— Al — zawołał brat, kiwając ręką. — Możemy chwilę porozmawiać? Nie jesteś zbyt  
zajęty, prawda? — Błady i spocony podszedł bliżej, spoglądając na niego ze strachem.  
Zmarniał od czasu, gdy Al widział go po raz ostatni.

— Posłuchaj — zaczął gniewnie Al. Lecz było już za późno, para z synkiem ruszyła  
z miejsca i oddalała się pośpiesznie.

— Nie chciałem ci przeszkadzać — wymamrotał Ian.

— Nie przeszkadzasz mi — odparł Al, odprowadzając ponurym spojrzeniem tro-  
je ludzi. — O co chodzi, Ian? Nie wyglądasz za dobrze, jesteś chory? Wejźmy do biura.  
— Wprowadził brata do środka i zamknął drzwi.

— Znalazłem mój dzbanek — powiedział Ian. — Pamiętasz, jak próbowaliśmy szczę-  
ścia w Białym Domu? Al, musimy spróbować raz jeszcze. Przysięgam, że już dłużej nie  
mogę nie potrafię się pogodzić się z porażką w dziedzinie, którą uważaliśmy za najważ-  
niejszą w życiu. — Zdyszany wytarł chustką czoło. Ręce mu drżały.

— Już nawet nie mam swojego dzbanka — odrzekł Al.

— Musisz. Cóż, moglibyśmy nagrać nasze partie osobno, grając na moim, po czym  
zsynchronizować je na taśmie i zaprezentować w Białym Domu. To poczucie osaczenia,  
nie wiem, czy dam radę dłużej z nim żyć. Muszę wrócić do grania. Gdybyśmy teraz za-  
częli ćwiczyć „Wariacje Goldberowskie”, ze dwa miesiące...

— Nadal tam mieszkasz? — wtrącił Al. — W Lincolnie?

Ian kiwnął głową.

— I wciąż masz posadę w Palo Alto, pracujesz jako inspektor? — Nie rozumiał zdener-  
wowania brata. — Do diabła, w najgorszym razie możesz wyemigrować. Muzykowanie  
nie wchodzi w rachubę, nie grałem od lat, ściśle mówiąc, od kiedy widziałem cię po raz  
ostatni. Poczekaj. — Przekręcił gałki mechanizmu kontrolującego papoolę, stojąca obok  
chodnika istota powoli wróciła na swoje miejsce pod transparentem.

— Myślałem, że wszystkie wymarły — stwierdził na jej widok Ian.

— I miałeś rację — odparł Al.

— No, ale ta tutaj porusza się i...



— To atrapa — oznajmił Al. — Lalka. Ja nią poruszam. — Pokazał bratu mechanizm zdalnego sterowania. — Przywabia ludzi z chodnika. Luke podobno ma prawdziwą, na jej wzór powstają falsyfikaty. Nikt nie wie tego na pewno, a przedstawiciele prawa nie mogą tknąć Luke'a palcem, bo formalnie jest teraz obywatelem Marsa; nie zmuszą go przecież do oddania prawdziwej, nawet jeśli ją ma. — Al usiadł i zapalił papierosa. — Oblej test relpol — poradził Ianowi. — Stracisz mieszkanie i odzyskasz swój wkład, przyniesiesz mi pieniądze, a ja dopilnuję tego, abyś dostał świetny statek, który zawiezie cię na Marsa. Zgoda?

— Próbowałem oblać test — oświadczył Ian. — Ale mi nie pozwolono. Sfałszowano rezultat. Ktoś nie chciał, abym uciekł.

— Kto?

— Sąsiad. Nazywa się Ed Stone. Zrobił to umyślnie, widziałem jego minę. Pewnie uważał, że robi mi przysługę... sam nie wiem. — Rozejrzał się. — Ładne biuro. Sypiasz tutaj, prawda? A kiedy rusza z miejsca, ruszasz razem z nim.

— Tak — odrzekł Al. — Zawsze jesteśmy gotowi do odlotu. — Policja kilkakrotnie prawie go złapała, pomimo faktu, że biuro wraz z placem w ciągu sześciu minut nabierało prędkości orbitalnej. Papoola wykrył bliskość funkcjonariuszy, jednak nie na tyle szybko, aby umożliwić Alowiz sprawną ucieczkę. Na ogół wszystko odbywało się w chaotycznym pośpiechu, przez co część statków szła na marne.

— Znajdujesz się o pół kroku przed nimi — powiedział Ian. — I wcale cię to nie martwi. To pewnie wynika z twojego nastawienia.

— Jeśli mnie złapią — odrzekł Al — Luke wypłaci za mnie kaucję. Zawsze mógł liczyć na mroczną, potężną postać szefa, więc czym tu się było martwić? Potentat na rynku sprzedaży rzeźbów znał milion sztuczek. Klan Thibodeaux ograniczył swoje ataki na niego do zjadliwych artykułów w czasopiśmie popularnych i programów telewizyjnych, wytykając Luke'owi wulgarność i fatalny stan jego pojazdów. Nie ulegało wątpliwości, że czuli przed nim respekt.

— Zazdroszczę ci — powiedział Ian. — Twojej równowagi. Twojego opanowania.

— Czy twój blok nie ma pilota? Idź i pomów z nim.

— To na nic — odparł gorzko Ian. — Teraz funkcję tę sprawuje Patrick Doyle i jego sytuacja jest również nie do pozazdroszczenia. To samo dotyczy Dona Klugmana, naszego przewodniczącego, to kłębek nerwów. W gruncie rzeczy wśród wszystkich mieszkańców panuje niepokój. Może jest to związane z migrenami Nicole.

Popatrzysz na brata, Al uznał, że sytuacja rzeczywiście jest poważna. Biały Dom i wszystkie reprezentowane przez niego wartości wiele dla niego znaczyły, podobnie jak wtedy, gdy byli dziećmi.

— Zrobię to dla ciebie — powiedział cicho Al. — Wyciągnę swój dzbanek i poćwiczę. Spróbujemy jeszcze raz.

Oniemiały Ian popatrzył na niego z wdzięcznością.

Siedząc w kancelarii bloku imienia Abrahama Lincolna, Don Klugman i Patrick Doyle studiowali aplikację przedstawioną przez pana Iana Duncana z mieszkania 304. Ian chciał zaprezentować swoje umiejętności w odbywającym się dwa razy w tygodniu pokazie talentów, w czasie obecności tropiciela talentów z Białego Domu. Prośba, jak zauważył Klugman, należała do rutynowych, wyjąwszy fakt, że Ian zamierzał wystąpić w towarzystwie osobnika, który nie mieszkał w bloku Lincolna.

— To jego brat — poinformował Doyle. — Mówił mi kiedyś, że razem prezentowali ten numer wiele lat temu. Muzyka barokowa na dwa dzbanki. To nowość.

— W jakim bloku mieszka jego brat? — zapytał Klugman. Zatwierdzenie projektu zależało od tego, jak układały się stosunki pomiędzy oba budynkami.

— W żadnym. Sprzedaje rzęchy dla Stukniętego Luke'a... no wiesz, te małe tanie statki, które ledwo dowożą ludzi na Marsa. Chyba mieszka w jednym z punktów sprzedaży. To przedsiębiorstwa ruchome, człowiek prowadzi koczowniczy tryb życia. Jestem pewien, że o tym słyszałeś.

— Tak — potwierdził Klugman. — Wykluczone. Ktoś taki nie może wziąć udziału w przedstawieniu. Nie widzę powodu, dla którego Ian Duncan nie miałby wystąpić; to prawo polityczne i wcale bym się nie zdziwił, gdyby jego występ wypadł całkiem dobrze. Lecz udział osoby z zewnątrz jest wbrew tradycji, nasza scena jest przeznaczona wyłącznie dla naszych mieszkańców; tak zawsze było, jest i będzie. Nie ma potrzeby, aby to dłużej roztrząsać.

— To prawda — odparł Doyle. — Niemniej chodzi o krewnego jednego z naszych mieszkańców, czyż nie tak? Zapraszanie krewnych na przedstawienie jest legalne... dlaczego więc bronić im wstępu na scenę? To wiele dla Iana znaczy; chyba wiesz, że ostatnio mu się nie wiedzie w testach. Nie grzeszy nadmiarem intelektu. W gruncie rzeczy powinien zająć się pracami ręcznymi. Ale skoro ma zdolności artystyczne, na przykład pomysł z dzbankiem...

Przeglądając dokumenty, Klugman zauważył, że za dwa tygodnie tropiciel talentów z Białego Domu zasiądzie na widowni w bloku imienia Abrahama Lincolna. Na ten wieczór należało oczywiście przeznaczyć najlepszych wykonawców... Aby dostąpić tego przywileju Bracia Duncan musieliby wypaść doskonale, tymczasem było wiele występów znacznie — według Klugmana — lepszych. Ostatecznie, dzbanki... na dodatek, nawet nie elektroniczne.

— Dobrze — powiedział do Doyle'a. — Zgadzam się.

— Ukazałeś swoje miłosierne oblicze. — Jego sentymentalny uśmiech wzbudził w Klugmanie niesmak. — Poza tym mam wrażenie, że spodoba się nam Bach i Vivaldi w wykonaniu Braci Duncan na ich wyjątkowych dzbankach.

Klugman wzdygnął się i pokiwał głową.

Gdy nadszedł czas występu i wchodzili do audytorium na pierwszym piętrze bloku imienia Abrahama Lincolna, Ian Duncan zobaczył za plecami brata sunącą chyłkiem płaską sylwetkę marsjańskiego stwora, papooli. Stał jak wryty.

— Bierzesz go ze sobą?

— Ty nic nie rozumiesz — odparł Al — Nie chcesz wygrać?

— Nie w taki sposób — odrzekł po chwili Ian. Zrozumiał w lot intencje brata; papoola zapanuje nad umysłami widzów, podobnie jak to robił z przechodniami. Wywrze na nich podświadomy wpływ, nakłaniając ich do podjęcia pożądanej decyzji. Tak wygląda moralność sprzedawcy rzęchów, pomyślał Ian. Dla brata wydawało się całkowicie naturalne; jeśli nie mogli wygrać dzięki swojej grze, uczynią to z pomocą papooli.

— Ojej — rzucił Al, gestykulując. — Nie bądź swoim własnym wrogiem. Robimy jedynie użytek z drobnej sztuczki handlowej, oni to samo stosują od wieku — to stara, szanowana metoda naginania opinii publicznej do własnych celów. Nie ma się co oszukiwać, od lat nie graliśmy na dzbankach. — Dotknął umieszczonego przy pasku mechanizmu i papoola dołączył do nich pospiesznie. Ręka Ala ponownie powędrowała do paska...

Dlaczego nie? — napłynęła do głowy lana natarczywa myśl. Wszyscy to robią.

— Zabierz to ze mnie, Al — powiedział z trudem.

Al wzruszył ramionami. I myśl wycofała się stopniowo. Pozostawiła jednak za sobą cień wątpliwości. Jego niezłomne postanowienie się zachwiało.

— To pestka w porównaniu z możliwościami aparatury Nicole — zaznaczył Al, podchwytując wyraz jego twarzy. — Jeden papoola tu, drugi tam... wobec funkcjonującego na całej planecie narzędzia, jakie Nicole uczyniła z telewizji — oto prawdziwe zagrożenie, Ian. Papoola to drobnostka, człowiek jest świadom tego, że się nim manipuluje. Czego nie da się powiedzieć o słuchaniu Nicole. Nacisk jest tak subtelny i całkowity...

— Nic o tym nie wiem — skwitował Ian. — Wiem tylko, że jeżeli nam się nie powiedzie, jeżeli nie zagramy w Białym Domu, życie, przynajmniej dla mnie, nie będzie warte funta kłaków. I nikt nie narzucił mi tego przekonania. Ja to czuję, sam to wymyśliłem, do diabła. — Przytrzymał drzwi i Al wszedł do audytorium, niosąc swój dzbanek za ucho. Ian podążył za nim, po chwili znaleźli się na scenie i stanęli na wprost częściowo wypełnionej sali.

— Czy widziałeś ją kiedykolwiek? — zapytał Al.

— Ciągłe ją widuję.

— Chodzi mi, czy rzeczywiście ją widziałeś. Osobiście. Inaczej mówiąc, na żywo.

— Oczywiście, że nie — odparł Ian. Na tym miała polegać istota ich sukcesu, wejście do Białego Domu. Zobaczą ją naprawdę, a nie tylko na ekranie telewizyjnym, marzenie się urzeczywistni.

— A ja ją widziałem — powiedział Al. — Właśnie ustawiłem sklep na głównej alei handlowej w Shreveport w Luizjanie. Był wczesny ranek, około ósmej. Nadjechały pojazdy rządowe; rzecz jasna pomyślałem, że to policja i już miałem brać nogi za pas, ale okazało się, że nie miałem racji. Wieziono Nicole na poświęcenie nowego bloku mieszkalnego, jak do tej pory największego.

— Tak — potwierdził Ian. — Imienia Paula Bunyana. — Drużyna futbolowa z Abrahama Lincolna rokrocznie rozgrywała mecze z drużyną tego bloku i nieodmiennie ponosiła sromotną porażkę. W budynku imienia Paula Bunyana mieszkało ponad dziesięć tysięcy mieszkańców, spośród których wszyscy wywodzili się z szeregów administracyjnych; wyłączne prawo zamieszkiwania w nim mieli aktywni członkowie Partii. Musieli płacić co miesiąc wygórowane stawki.

— Powinieneś być ją widzieć — powiedział z namysłem Al, siadając twarzą do widowni z dzbankiem na kolanach. Postukał papoola stopą; stwór zajął miejsce pod jego krzesłem, poza zasięgiem wzroku innych. Tak — mruknął. — Naprawdę powinieneś. To nie to samo co telewizja, Ian. Możesz mi wierzyć.

Ian kiwnął głową. Ogarnął go lęk, za kilka minut zostaną przedstawieni. Nadeszła pora na ich występ.

Widząc, że brat zaciska dłonie na dzbanku, Al powiedział:

— Mam użyć papoola czy nie? Zdecyduj się. — Kpiarsko uniósł brew.

— Użyj — odparł Ian.

— Dobrze — odrzekł Al, wkładając rękę do kieszeni. Od niechcienia dotknął mechanizmu sterowania. Papoola wytoczył się spod jego krzesła, wywijając antenami i zezując.

Wśród publiczności zapanowało poruszenie, ludzie pochylili się do przodu, chichocząc w zachwycie.

— Patrzcie! — zawołał jakiś mężczyzna. Był to stary Joe Purd, ożywiony jak dziecko. — To papoola!

Jedna z kobiet wstała z miejsca, aby lepiej widzieć i Ian pomyślał: Wszyscy kochają papoolę. Wygramy, bez względu na to, czy zagramy na dzbankach, czy nie. I co potem? Czy spotkanie z Nicole uczyni nas jeszcze bardziej nieszczęśliwymi niż dotychczas? Czy wyjdziemy z tego z poczuciem beznadziejnego niezadowolenia? Bólu i tęsknoty, które w niczym nie znajdują ujścia?

Było za późno, aby się wycofać. Zamknięto drzwi do audytorium i Don Klugman wstał z krzesła, stukaniem wymuszając ciszę wśród zebranych.

— Dobrze — powiedział do umieszczonego w klapie mikrofonu. Przed nami pokaz talentów. Jak widzicie na naszym programie, na początek czeka nas występ świetnego zespołu Bracia Duncan i ich Klasyczne Dzbanki w repertuarze Bacha i Haendla, dzięki któremu nie utrzymacie nóg spokojnie na podłodze. — Obdarzył braci łobuzerskim uśmiechem, jak gdyby chciał powiedzieć „Jak wam się podoba taka zapowiedź?”

Al nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, pomanipulował urządzeniem sterującym i rzuciwszy widowni zamyślane spojrzenie, sięgnął wreszcie po swój dzbanek, zerknął na lana i wystukał rytm nogą. Ich występ otwierała „Mała fuga g — moll” i Al dmuchnął w dzbanek, uwalniając z niego żywą melodię.

Bum, bum, bum. Bum — bum bum — bum bum bum de bum. DE bum, DE bum, de dede bum... Jego wydęte policzki nabiegły purpurą.

Papoola przemaszerował przez scenę, po czym serią nedorzecznych ruchów przedostał się do pierwszego rzędu widzów. Rozpoczął wykonywanie swojego zadania.

Umieszczona na lokalnej tablicy ogłoszeń przed kafeterią informacja, że bracia Duncan zostali wyznaczeni przez łowcę talentów do występu w Białym Domu, wprowadziła Edgara Stone’a w osłupienie. Ponownie odczytał wiadomość, i jeszcze raz, zachodząc w głowę, jakim cudem ten mały, nerwowy człowieczek zdołał tego dokonać.

To jakaś granda, pomyślał Stone. Podobnie jak wtedy, gdy zaliczyłem jego testy polityczne... teraz ktoś inny sfałszował za niego wyniki poszczególnych etapów konkursu talentów. On sam słyszał dzbanki, był wtedy na widowni i stwierdził, że bracia Duncan wcale nie byli aż tak dobrzy. Owszem, byli nie najgorsi... lecz instynktownie wyczuwał, że w grę wchodziło coś więcej.

W głębi serca ogarnęła go złość i żal, że sfałszował wyniki testu Duncana. Wprowadziłem go na drogę sukcesu, zrozumiał Stone, uratowałem jego skórę. A teraz on zmierza ku Białemu Domowi.

Nic dziwnego, że tak fatalnie wypadł w testach, pomyślał Stone. Był zajęty ćwiczeniem gry na dzbanku; nie miał czasu na szarą rzeczywistość, z którą zmagają się każdy z nas. Bycie artystą musi być wspaniałe, stwierdził z goryczą Stone. Nie obowiązują go żadne reguły, może robić, co mu się żywnie podoba.

Zrobił ze mnie głupca, uświadomił sobie Stone.

Idąc korytarzem na drugim piętrze, Stone dotarł do gabinetu pilota dusz, nacisnął dzwonek i drzwi stanęły otworem, ukazując pomarszczonego ze zmęczenia pilota pracującego przy swoim biurku.

— Hm, ojciec — powiedział Stone. — Chciałbym się wypowiadać. Podarujesz mi chwilkę? To leży mi na sercu, moje grzechy, ma się rozumieć.

Pocierając czoło, Patrick Doyle skinął głową.

— Rany — mruknął. — Jak nie deszcz, to ulewa; już dziesięciu mieszkańców korzystało dziś u mnie z konfesjonatora. Proszę bardzo. — Wskazał na alkowę wychodzącą na jego gabinet. — Siadaj i podłącz się. Wysłucham cię podczas wypełniania formularzy z Boise.

Pełen świątobliwej urazy Edgar Stone drżącymi rękami podłączył elektrody konfesjonatora do właściwych miejsc na swojej czaszce i podniósłszy mikrofon, przystąpił do spowiedzi. W miarę jak mówił, taśmy urządzenia się obracały.

— Kierowany fałszywym współczuciem — zaczął — naruszyłem zasady budynku. Pragnę jednak podkreślić nie sam fakt dokonania czynu, lecz ukryte za nim motywy, czyn stanowi jedynie rezultat błędnego nastawienia wobec współmieszkańców. Ta osoba, mój sąsiad pan Duncan, nie wykazał się podczas ostatniego testu relpól, co wzbudziło we mnie myśl, że zostanie wysiedlony z Abrahama Lincolna. Identyfikowałem się z nim, gdyż sam podświadomie uznaję swoją porażkę zarówno w roli mieszkańca tego budynku, jak i człowieka. Sfałszowałem wyniki testu, dzięki czemu go zaliczył. Oczywiście w tej sytuacji pan Duncan musi zdać kolejny test, gdyż wyniki testu ocenianego przeze mnie zostaną unieważnione. Popatrzył na pilota dusz, nie doczekał się jednak z jego strony żadnej reakcji.

To raz na zawsze załatwi sprawę lana Duncana i jego Klasycznego Dzbanka, pomyślał Stone.

Konfesjonator przeanalizował jego spowiedź, wyrzucił z siebie zadrukowaną kartę i Doyle zwłókł się z krzesła, aby ją podnieść. Przeczytawszy ją uważnie, podniósł wzrok.

— Panie Stone — powiedział. — Według przedstawionej tu opinii pańska spowiedź nie jest żadną spowiedzią. O co panu naprawdę chodzi? Niech pan wraca i zacznie od nowa, nie poddał pan swojej wypowiedzi wystarczająco dogłębnej analizie, przez co istota problemu pozostała nietknięta. Proponuję, żeby pan zaczął od tego, że świadomie i celowo unikał prawdy podczas pierwszej spowiedzi.

— Ależ skąd — odparł Stone tonem, który jemu samemu wydał się nieprzekonujący. — Może mógłbym omówić to z ojcem nieformalnie. Sfałszowałem wynik testu lana Duncana. Teraz może moje motywy...

— Czy aby nie zazdrości pan teraz Duncanowi? — przerwał mu Doyle. — Jego sukcesu z dzbankiem, otwartej drogi do Białego Domu?

Cisza.

— Możliwe — przyznał wreszcie Stone. — Nie zmienia to jednak faktu, że według prawa Ian Duncan nie powinien tu mieszkać, bez względu na moje motywy należy go wyeksmitować. Proszę wziąć pod uwagę kodeks komunalnego budynku mieszkalnego. Wiem, że istnieje aneks dotyczący tego typu sytuacji.

— Nie może pan wyjść stąd bez spowiedzi — obstawał przy swoim pilot dusz. — Usiłuje pan doprowadzić do eksmisji sąsiada, aby zaspokoić swoje potrzeby emocjonalne. Proszę się z tego wypowiadać, a potem może przedyskutujemy postępowanie Duncana w odniesieniu do zasad kodeksu.

Stone jęknął i ponownie podłączył elektrody do głowy.

— Dobrze — wycedził. — Nienawidzę lana Duncana, ponieważ jest utalentowany artystycznie, w przeciwieństwie do mnie. Niech osądzi mnie dwunastoosobowa ława przysięgłych złożona z mieszkańców bloku i ustali karę za mój grzech — żądam jednak,

aby Duncan otrzymał do rozwiązania kolejny test relpol. Nie odstąpię od przekonania, że on nie ma prawa, by z nami mieszkać. To jest moralnie i prawnie niewłaściwe.

— Przynajmniej teraz jest pan szczery — zauważył Doyle.

— Tak naprawdę — dorzucił Stone — lubię muzykę jego zespołu, podobał mi się ich występ. Muszę jednak wystąpić w obronie interesu publicznego.

Odniosł wrażenie, że wypluwając kolejną kartę, konfesjonator prychnął drwiącym śmiechem. Pewnie mu się tylko zdawało.

— Sięga pan coraz bardziej w głąb siebie — stwierdził Doyle, odczyhając zapis. — Proszę spojrzeć. — Podał Stone'owi kartę. — W pańskim umyśle płaczą się motywy. Kiedy spowiadał się pan ostami raz?

— Chyba w sierpniu — wymamrotał Stone, czerwieniąc na twarzy, pepe Jones był wtedy pilotem dusz.

— Wiele trzeba dla pana zrobić — oznajmił Doyle, odchylając się na krześle i zapalając papierosa.

Po długotrwałych dyskusjach ustalili, że na otwarcie programu w Białym Domu wykonają „Chaconnę d-moll” Bacha. Al zawsze ją lubił, pomimo trudności związanych z techniką akordową. Na samą myśl o utworze Ian czuł przyływ zdenerwowania. Kiedy podjęli ostateczną decyzję, pożałował, że nie przeforsował piątej suity wiolonczelowej. Niestety było już za późno. Al przesłał informację do Harolda Slezaka, sekretarza A & R — artyści i repertuar — mieszczącego się w Białym Domu.

— Nic się nie martw — pocieszył go Al. — Grasz w tym drugi dzbanek. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że ja gram pierwszy?

— Nie — odrzekł Ian. Odczuwał nawet pewnego rodzaju ulgę, partia Ala była znacznie trudniejsza.

Papoola przechadzał się poza granicami dżungli samochodowej nr 3 i krążył płynnie po chodniku w poszukiwaniu potencjalnych klientów. Była dopiero dziesiąta i jak dotychczas nie nawinął się nikt wart schwytania na wędkę. Tego dnia plac ulokowany został w pagórkowatej okolicy Oakland w Kalifornii wśród krętych, obsadzonych drzewami ulic lepszej dzielnicy mieszkaniowej. Na wprost placu Ian widział Joe Louisa, dziwaczny, choć imponujący budynek zawierający tysiąc jednostek mieszkalnych zajmowanych głównie przez zamożnych Murzynów. W porannym świetle blok sprawiał wrażenie niezwykle zadbanego. Wejścia strzegł uzbrojony strażnik, który nie wpuszczał żadnych obcych.

— Slezak musi potwierdzić program — przypomniał mu Al. — Może Nicole nie zechce wysłuchać „Chaconny”, co chwila zmienia swoje upodobania.

Oczami wyobraźni Ian ujrzał spoczywającą na ogromnym łóżku Nicole w różowym, frywolnym szlafroku, ze śniadaniem leżącym na ustawionej obok tacy. Zatwierdzała

przygotowane dla niej programy. Słyszała o nas, pomyślał. Wie o naszym istnieniu. Zyskaliśmy dzięki temu rację bytu. Tak jak dziecko, którego matka śledzi wszystkie poczynania, zostaliśmy powołani do życia, uprawomocnieni spojrzeniem Nicole.

A co wtedy, kiedy przestanie na nas patrzeć? Co się potem z nami stanie? Czy rozplyniemy się w powietrzu, znów pogrążymy w niepamięci?

Z powrotem staniemy się garstką przypadkowych atomów, pomyślał. Wrócimy tam, skąd przyszliśmy... ze świata niebytu. Ze świata, w którym znajdowaliśmy się do tej pory.

— Może poprosić o bis — dorzucił Al. — Może nawet zechce usłyszeć jakiś ulubiony kawałek. Sprawdziłem to i wydaje mi się, że ona czasem prosi o „Wesołego wieśniaka” Schumanna. Pamiętasz? Lepiej powtórzmy go sobie, na wszelki wypadek. — Z namysłem wydobył z dzbanka kilka taktów.

— Nie mogę — rzekł zniechęcony Ian. — Nie dam rady. To dla mnie za wiele znaczy. Coś się nie uda, nie zadowolimy jej i wykopią nas stamtąd. Nigdy o tym nie zapomniemy.

— Słuchaj — zaczął Al. — Mamy papoolę. To nam daje... — Urwał. Chodnikiem nachodził wysoki, przygarbiony mężczyzna w kosztownym, niebieskim garniturze z naturalnego włókna. — Boże, przecież to Luke zawołał Al. Wyraźnie ogarnął go strach. — Widziałem go tylko dwa razy w życiu. Pewnie coś się stało.

— Lepiej sprowadź papoolę — poradził mu Ian. Papoola ruszył w kierunku Stukniętego Luke’a.

— Nie mogę — stwierdził oszołomiony Al. Desperacko regulował mechanizmem zdalnego sterowania umieszczonym na pasku. — Nie reaguje.

Papoola podszedł do Luke’a, który schylił się, podniósł go i skierował się w stronę biura z papoolą pod pachą.

— Przejął ode mnie pierwszeństwo — powiedział Al. Rzucił bratu puste spojrzenie.

Drzwi do małego pomieszczenia otworzyły się i do środka wkroczył Stuknięty Luke.

— Otrzymałem raport, że używasz go do własnych celów — zwrócił się do Ala niskim, złowróżbnym głosem. — Miałeś tego nie robić, papoole należą do punktów sprzedaży, nie do operatorów.

— Daj spokój, Luke — rzucił Al.

— Powinienem cię wylać — uznał Luke. — Jesteś jednak dobrym sprzedawcą, a więc nie zrobię tego. Tymczasem rób swoje bez pomocy papooli. — Nie wypuszczając papooli, skierował się ku wyjściu. — Mój czas jest cenny, muszę już iść. — Jego wzrok padł na dzbanek Ala. — To nie jest instrument muzyczny, tylko naczynie służące do przechowywania whisky.



— Posłuchaj, Luke, tu chodzi o rozgłos — zaczął Al. — Występ dla Nicole oznacza, że dżungla samochodowa zyska na prestiżu; kapujesz?

— Nie dbam o prestiż — uciął Luke, przystając w drzwiach. — Nie troszczę się o potrzeby Nicole Thibodeaux; niech sobie rządzi społeczeństwem, jak chce, ja zajmę się swoim interesem po swojemu. Ona nie wtrąca się do moich spraw, ja do jej, taki układ mi odpowiada. Nie zepsuj tego. Powiedz Slezakowi, że nie możesz wystąpić, i daj temu spokój, żaden dorosły mężczyzna przy zdrowych zmysłach i tak nie dmuchałby w pustą butlę.

— I tu się mylisz — odparł Al. — Sztuka tkwi w najbardziej prozaicznych szczegółach, weźmy chociaż nasze dzbanki.

— Nie potrzebujesz papooli, żeby zmiekczyć Pierwszą Rodzinę uznał Luke, dłubiąc w zębach srebrną wykałaczką. — Lepiej się zastanów... naprawdę myślisz, że uda się bez jego pomocy?

— On ma rację — powiedział po chwili do łana Al. — Zawdzięczamy jto papooli. Ale... do diabła, i tak nie damy za wygraną.

— Jesteś odważny — stwierdził Luke. — Tylko nie masz za grosz zdrowego rozsądku. Mimo wszystko podziwiam cię. Rozumiem, dlaczego byłeś w organizacji najlepszym sprzedawcą. Zabierz papoole na wieczorny występ w białym Domu i zwróć mi go następnego ranka. — Rzucił Alowi okrągłego, owadziego stwora, Al chwycił go i przycisnął do piersi jak poduszkę. — Może rzeczywiście to przydałoby organizacji rozgłosu — powiedział Luke. — Ale wiem jedno. Nicole nas nie lubi. Zbyt wielu ludzi wymknęło jej się z rąk z naszego powodu; stanowimy lukę w jej starannej konstrukcji i mamusia o tym wie. — Uśmiechnął się, ukazując złote zęby.

— Dzięki, Luke — odrzekł Al.

— Ale to ja będę kierował papoolą — zaznaczył Luke. — Z daleka. Jestem nieco zdolniejszy od ciebie; ostatecznie, to ja je stworzyłem.

— Jasne — zgodził się Al — I tak będę miał ręce zajęte graniem.

— Tak — powiedział Luke. — Potrzebujesz do tej butli obydwu rąk.

Coś w głosie Luke'a wzbudziło w łanie niepokój. Co on knuje? — zastanawiał się. Tak czy inaczej bracia nie mieli wyboru, musieli zdać się na papoole. Nie ulegało wątpliwości, że Luke umiał się nim posługiwać, dał już wyraz swojej wyższości nad Alem, poza tym, jak powiedział, Al i tak będzie zajęty graniem. Jednakże...

— Luke — zagaił Ian. — Czy kiedykolwiek spotkałeś Nicole? — Intuicja podsunęła mu tę nieoczekiwaną myśl.

— Jasne — odparł spokojnie Luke. — Lata temu. Mieliśmy z ojcem teatrzyk marionetek, podróżowaliśmy, organizując przedstawienia. Wreszcie dotarliśmy do Białego Domu.

— I co? — zapytał Ian.

— Nie podobało jej się — odrzekł po chwili Luke. — Powiedziała, że marionetki są nieprzyzwoite.

I znenawidziłeś ją, uświadomił sobie w duchu Ian. Nigdy jej tego nie darowałeś.

— A były? — zapytał Luke'a.

— Nie — odrzekł Luke. — Mieliśmy co prawda w jednym akcie striptiz, lalki przedstawiały popis tancerek rewiowych. Nikt jednak wcześniej nie protestował. Ojciec ciężko to przeżył, ale mnie było wszystko jedno. — Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

— Czy Nicole już wtedy była Pierwszą Damą? — zapytał Al.

— A jakże — odpowiedział Luke. — Sprawuje urząd od siedemdziesięciu trzech lat, nie wiedzieliście o tym?

— Przecież to niemożliwe — zawołali prawie równocześnie Ian i Al.

— Pewnie, że możliwe — skwitował Luke. — To stara kobieta. Babuleńka. Ale pewnie nadal dobrze się trzyma. Będziecie wiedzieli, jak ją zobaczycie.

— W telewizji... — zaczął oszołomiony Ian.

— Ba, jasne, że w telewizji wygląda jak dwudziestka — potwierdził Luke. — Ale sprawdźcie w podręcznikach do historii, a sami zobaczycie. Fakty nie kłamią.

Fakty, odparował w duchu Ian, nic nie znaczą jeśli człowiek widzi na własne oczy, że jest młoda. A my widzimy to codziennie. Kłamiesz, Luke. Wiemy o tym, wszyscy o tym wiemy. Mój brat ją widział; Al powiedziałby, gdyby istotnie było, jak twierdzisz. Nienawidzisz jej, oto twój motyw. Wstrząśnięty stanął tyłem do Luke'a, nie chcąc mieć z nim nic wspólnego. Siedemdziesiąt trzy lata na stanowisku — Nicole dobiegałaby dziewięćdziesiątki. Ta myśl wyprowadziła go z równowagi, odsunął ją od siebie. Przynajmniej próbował.

— Powodzenia, chłopcy — powiedział Luke, żując swoją wykałaczkę.

Ian Duncan miał straszny sen. Obrzydliwa starucha celowała w niego szponiastymi, zielonkawymi rękami, zawodzeniem nakłaniając go do zrobienia czegoś — nie wiedział, czego, ponieważ szczerbate usta tłumiły wypowiedane słowa, a ślina kapała jej aż na podbródek. Próbował się uwolnić...

— Jezusie — dobiegł go głos Ala. — Obudźże się, pora ruszać, za trzy godziny mamy być w Białym Domu.

Nicole, uświadomił sobie Ian, chwiejnie siadając na łóżku. To o niej śniłem, pomarszczona i stara, ale na pewno ona.

— Dobrze — wymamrotał, wstając niepewnie. — Słuchaj, Al — powiedział. — A jeśli ona rzeczywiście jest tak stara, jak mówi Stuknięty Luke? Co wtedy? Co zrobimy?

— Wystąpimy — odparł Al. — Zagramy na naszych dzbankach.

— Ale ja bym tego nie przeżył — stwierdził Ian. — Moja zdolność adaptacji jest nadzwyczaj krucha. To zaczyna przypominać koszmar, Luke steruje papoolą, Nicole jest

stara — jaki sens ma nasz występ? Czy nie możemy poprzestać jedynie na oglądaniu jej w telewizji, albo raz w życiu na żywo i z daleka, tak jak ty w Shreveport? Mnie to wystarczy. Potrzebuję symbolu, rozumiesz?

— Nie — odrzekł Al. — Musimy przez to przejść. Pamiętaj, zawsze możesz wyemigrować na Marsa.

Wystartowali i popłynęli w kierunku Wschodniego Wybrzeża i Waszyngtonu.

Kiedy wylądowali, zostali ciepło przyjęci przez Slezaka, okrągłego, sympatycznego jegomościa, który serdecznie uściskał im dłonie i poprowadził w kierunku tylnego wejścia do Białego Domu.

— Wasz program jest ambitny — wybełkotał. — Ale gdybyście mieli nie dać rady, w porządku, ani ja, ani my wszyscy, czyli Pierwsza Rodzina, nie mamy nic przeciwko temu, a już zwłaszcza Pierwsza Dama, która jest gorącą wielbicieleką wszelkiego rodzaju artystycznych dokonań. Według waszych życiorysów, przeprowadziliście gruntowne badania prymitywnych zapisów dźwiękowych z pierwszej połowy dwudziestego stulecia z nagraniami kapeli dzbankowych ocalałych z amerykańskiej wojny domowej, co przydaje wam autentyzmu, mimo że gracie klasykę, a nie folk.

— Tak, proszę pana — potwierdził Al.

— Czy nie moglibyście jednak wcisnąć gdzieś folkowego kawałka? — zapytał Slezak, gdy minęli wartowników i weszli do długiego, wyłożonego dywanem korytarza oświetlonego sztucznymi świecami. — Proponujemy na przykład „Rockabye My Sarah Jane”. Macie to w swoim repertuarze? Jeżeli nie...

— Mamy — odparł krótko Al — Zagramy to pod koniec.

— Świetnie — powiedział Slezak, popychając ich przyjaźnie przed sobą. — Czy można zapytać, co to za stworzenie? — Bez entuzjazmu przyjrzał się papooli. — Czy to żyje?

— To nasza maskotka — odrzekł Al.

— Rodzaj zabobonnego uroku? Talizman?

— Właśnie — potwierdził Al. — Odpędzamy nim tremę. — Poklepał papoolę po głowie. — Poza tym jest częścią naszego show; my gramy, on tańczy. No wie pan, jak małpa.

— A niech mnie — zaklął Slezak w nagłym przypiływie entuzjazmu. Teraz rozumiem. Nicole będzie zachwycona, uwielbia miękkie, futrzaste stworzenia. — Otworzył przed nimi drzwi.

I zobaczyli ją.

Jakże Luke mógł się tak pomylić, pomyślał Ian. Była jeszcze ładniejsza niż w telewizji i o wiele wyraźniejsza; na tym polegała zasadnicza różnica, na fenomenalnej autentyczności kobiety i jej namacalności. Siedziała w bawełnianych spodniach o barwie wypłowiałego błękitu, w mokasynach na nogach i niedbale zapiętej białej koszuli, przez którą

dostrzegał lub wydawało mu się, że dostrzega — jej gładką, opaloną skórę... Jak swobodnie się prezentuje, pomyślał Ian. Zero pretensjonalności czy humorów. Krótco ostrzyżone włosy odsłaniały pięknie rzeźbioną szyję i uszy. Taka młoda, dorzucił w myślach. Nie wyglądała nawet na dwadzieścia lat. I jaką promieniowała energią. Telewizja nie była w stanie tego oddać, subtelności barwy i delikatności rysów.

— Nicky — odezwał się Slezak. — Oto nasi muzycy.

Unosząc głowę znad czytanej gazety, popatrzyła na nich z ukosa. Uśmiechnęła się.

— Dzień dobry — powiedziała. — Jedliście śniadanie? Możemy poczęstować was kanadyjskim boczkim, serem i kawą, jeśli macie ochotę. Dziwnym trafem jej głos zdawał się nie pochodzić od niej, lecz dobiegał od strony sufitu. Spoglądając w tamtym kierunku, Ian zauważył szereg głośników i uświadomił sobie, że Nicole znajdowała się za szklaną osłoną. Poczł rozczarowanie, lecz zrozumiał, że wymagały tego względy bezpieczeństwa. Gdyby coś jej się stało...

— Jedliśmy, pani Thibodeaux — odrzekł Al. — Dziękujemy. — On również spoglądał na głośniki.

Jedliśmy, pani Thibodeaux, pomyślał w panice Ian. Czy nie jest na odwrót? Czy to aby nie ona, siedząc tam w niebieskich spodniach i koszuli, nas pożera?

Wtedy za Nicole stanął prezydent, Taufic Negal, wytworny, śniady mężczyzna. Nicole spojrzała na niego, mówiąc:

— Patrz, Taffy, przywieźli ze sobą papoolę, czy to nie cudowne?

— Tak — odpowiedział z uśmiechem prezydent, stając obok żony.

— Czy mogę go zobaczyć? — zapytała Ala Nicole. — Proszę go puścić. — Na jej znak szklana bariera powędrowała w górę.

Al puścił papoolę, który puścił się pędem w kierunku Nicole i przebiegł pod uniesioną barierą, skoczył i znalazł się w mocnym uścisku bacznie spoglądającej na niego Nicole.

— Raju — zawołała. — To nie jest żywe stworzenie, tylko zabawka.

— O ile nam wiadomo, wszystkie wyginęły — powiedział Al. — Jednak to autentyczny model stworzony na podstawie szczątków znalezionych na Marsie. — Ruszył w jej kierunku...

Szklana bariera opadła na swoje miejsce. Al został odcięty od papooli i stanął jak wryty z bezmyślnie otwartymi ustami, najwyraźniej wytracony z równowagi. Wówczas instynktownie dotknął mechanizmu sterowania. Przez chwilę nic się nie działo, po czym papoola drgnął. Wyślizgnął się z ramion Nicole i zeskoczył na podłogę. Rozpromieniona Nicole wydała z siebie pełen zachwyty okrzyk.

— Chciałabyś go mieć, kochanie? — zapytał jej mąż. — Na pewno może zdobyć dla ciebie jednego albo nawet kilka.

— Co on umie robić? — zapytała Ala Nicole.

— Tańcz, kiedy oni grają — wtrącił bełkotliwie Slezak. — Ma rytm w kościach, prawda, panie Duncan? Może zagralibyście coś, jakiś krótszy kawałek, żeby pokazać pani Thibodeaux. — Zatarł ręce.

Al i Ian wymienili spojrzenia.

— J-jasne — odpowiedział Al. — Hm, zagramy Schuberta, fragment utworu zatytułowanego „Pstrąg”. Dobra, Ian, przygotuj się. — Wyjął dzbanek z futerału i ujął go niezgrabnie, Ian uczynił to samo. — Al Duncan, pierwszy dzban — dokonał prezentacji Al. — Obok mnie stoi mój brat Ian, drugi dzban. Zaprezentujemy państwu koncert ulubionych utworów klasycznych. Na początek odrobina Schuberta. — Na znak Ala zaczęli grać.

Bump bump — bump BUMP — BUMP buuump bump, ba — bump — bump bup — bup — bup — bup — bupppp.

Nicole zachichotała.

To koniec, pomyślał Ian. Boże, najgorsze, co mogło się stać: robimy z siebie durniów. Przestał grać, lecz Al grał dalej, wydymając czerwone z wysiłku policzki. Sprawiał wrażenie, jakby nie widział, że Nicole przyciska rękę do ust, kryjąc rozbawienie wywołane ich występem. Al doprowadził utwór do końca i również opuścił dzbanek.

— Papoola — powiedział Nicole, siląc się na powagę. — Nie tańczył. Nie wykonał ani jednego kroku — dlaczego? — I znów zaniósła się niepohamowanym śmiechem.

— Nie... nie mam nad nim kontroli; jest sterowany z daleka — odparł otepiałym głosem Al. — Lepiej zatańcz — zwrócił się do papooli.

— Ach, czyż to nie rozkoszne — zawołała Nicole. — Zobacz — powiedziała do męża. — On musi błagać go, aby zatańczył. Tańcz, papoolo, czy jak ci tam, albo raczej imitacja papooli z Marsa. — Trąciła papoolę końcem trzewika, próbując nakłonić go do poruszenia się. — No jazda, słodki, syntetyczny stworku z drutów. Proszę.

Papoola skoczył w jej kierunku. Ugryzł ją.

Nicole wrzasnęła. Zza jej pleców dobiegło donośne pop i papoola rozpadł się na kawałki. Strażnik Białego Domu zaciskał ręce na karabinie, spoglądając na kobietę i na wirujące cząsteczki; pomimo spokoju na twarzy dłonie trzymające karabin drżały. Al zaczął kląć pod nosem, powtarzając w kółko trzy lub cztery słowa.

— Luke — powiedział w końcu do brata. — To jego sprawka. Zemścił się. — Poszarzał na twarzy. Machinalnie przystąpił do chowania dzbanka do futerału, metodycznie wykonując wszystkie czynności.

— Jesteście aresztowani — powiedział drugi strażnik, stając za ich plecami i mierząc do nich z karabinu.

— Jasne — odparł bez wyrazu Al, bezmyślnie kiwając głową. — Nie mamy z tym nic wspólnego, więc zaaresztujcie nas.

Nicole podniosła się z ziemi z pomocą męża i podeszła do nich.

— Czy ugryzł mnie dlatego, że się śmiałam? — zapytała cicho.

Slezak ocierał pot z czoła. Milczał, nie spuszczać z nich niewidzącego spojrzenia.

— Tak mi przykro — podjęła Nicole. — Rozzłościłam go, prawda? Jaka szkoda, wasz występ na pewno by się nam spodobał.

— To Luke — powiedział Al.

— Luke. — Nicole zmierzyła go wzrokiem. — Masz na myśli Stukniętego Luke'a. Jest właścicielem tych przebrzydłych punktów sprzedaży statków działających na granicy prawa. Tak, wiem, kogo masz na myśli, pamiętam go. — Zwróciła się do męża. — Lepiej będzie, jak jego też zaaresztujemy.

— Jak sobie życzysz — odparł mąż, zapisując na kartce.

— Ta cała sprawa z dzbankami... — powiedziała Nicole. — To jedynie przykrywką mająca prowadzić do zamachu na nasze życie, prawda? Do zamachu stanu. Będziemy musieli przemyśleć całą filozofię zapraszania tu artystów... możliwe, że to błąd. Daje to wolną rękę ludziom, którzy mają wobec nas wrogie zamiary. Bardzo mi przykro. — Zbladła i posmutniała, stanęła z założonymi rękami i w zamyśleniu kołysała się w przód i w tył.

— Uwierz mi, Nicole — zaczął Al.

— Nie jestem żadną Nicole — przerwała mu. — Nie nazywaj mnie tak. Nicole Thibodeaux umarła wiele lat temu. Nazywani się Kate Rupert i jestem czwartą osobą, która zajmuje jej miejsce. Jestem zwyczajną aktorką, na tyle podobną do prawdziwej Nicole, aby piastować to stanowisko. Czasem, w sytuacjach takich jak dzisiejsza, żałuję, że to robię. Nie mam realnej władzy. Istnieje rada zarządzająca... nigdy jej nie widziałam. Wiedzą o tym, prawda? — zapytała męża.

— Tak — odparł. — Już zostali poinformowani.

— Widzicie — powiedziała do Ala. — Nawet on, prezydent, ma większą władzę niż ja. — Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Ile przeprowadzono zamachów na twoje życie? — zapytał Al.

— Sześć lub siedem — odrzekła. — Wszystkie miały podłoże psychologiczne. Kompleks Edypa czy coś w tym stylu. Wszystko mi jedno. — Popatrzyła na męża. — Myślę, że ci dwaj mężczyźni... — Wskazała na Ala i lana. — Oni chyba nie mają pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, być może są niewinni. Czy trzeba ich zniszczyć? — zapytała męża, Slezaka i strażników. — Czy nie można by po prostu pozbawić ich części komórek pamięciowych i puścić wolno? Czy to nie wystarczy?

Jej mąż wzruszył ramionami.

— Skoro tego sobie życzysz.

— Tak — odparła. — Bardziej odpowiada mi to rozwiązanie. Zabierzcie ich do centrum medycznego w Bethesda i wróćmy do programu, pokażmy widzom następnych artystów.

Strażnik wcisnął łanowi między łopatki lufę karabinu.

— Tędy, korytarzem, proszę.

— Dobrze — mruknął Ian, ujmując swój dzbanek. Ale co tak naprawdę się dzieje, rozmyślał. Ta kobieta nie jest Nicole, co gorsza, Nicole w ogóle nie istnieje; jest tylko wizerunek telewizyjny, iluzja, za którą kryje się rzeczywista grupa rządząca. Jakaś rada. Lecz kim są jej członkowie i skąd otrzymali władzę? Czy kiedykolwiek się dowiemy? Dotarliśmy tak daleko, jesteśmy niemal o krok od rozwiązania zagadki, o krok od ukrytej pod warstwą złudzeń rzeczywistości... czy nie mogą dopowiedzieć nam reszty? Jaką by to teraz sprawiło różnicę? Jak...

— Żegnaj — powiedział Al.

— Jak to? — zawołał przerażony. — Dlaczego tak mówisz? Przecież wypuszczą nas, prawda?

— Nie będziemy się pamiętać — odrzekł Al. — Uwierz mi, nie dopuszczą do zachowania podobnych więzi. No to... — Wyciągnął rękę. — Żegnaj, Ian. Udało nam się dotrzeć do Białego Domu. O tym również nie będziemy pamiętać, ale to prawda, dopięliśmy swego. — Uśmiechnął się krzywo.

— Szybciej — ponaglił ich strażnik.

Trzymając swoje dzbanki, zmierzali ku wyjściu w stronę czekającej na zewnątrz czarnej karetki.

Była noc, gdy drżący i przemarznięty Ian Duncan znalazł się na rogu wyludnionej ulicy i zmrużył oczy w oślepiającym świetle latarni na dworcu kolejki miejskiej. Co ja tu robię, zdumiał się. Popatrzył na zegarek... dochodziła ósma. Powinienem chyba być na zebraniu Wszystkich Dusz, pomyślał oszołomiony.

Nie mogę opuścić kolejnego zebrania, stwierdził. Dwa z rzędu — za to grozi wysoka grzywna, byłbym zrujnowany. Ruszył przed siebie.

Na wprost niego wznosił się znajomy blok imienia Abrahama Lincolna, z siecią wież i okien; był już niedaleko i zdyszany przyspieszył kroku, próbując utrzymać tempo. Zebranie już się pewnie skończyło, pomyślał. Światła w wielkim, podziemnym audytorium nie paliły się.

Cholera, zaklął z rozpaczą.

— Już po zebraniu Wszystkich Dusz? — zapytał portiera, pokazując w holu swój identyfikator.

— Coś się panu pomyliło, panie Duncan — odparł portier, odkładając broń. — Wszystkie Dusze były wczoraj, dziś jest piątek.

Coś tu nie gra, uświadomił sobie Ian. Ale przemilczał to i skinąwszy głową, pospieszył do windy.

Kiedy zajechał na swoje piętro, jedne z drzwi otworzyły się i ukradkiem wyjrzała z nich jakaś postać.

— Hej, Duncan.

Był to Corley. Ostrożnie, ponieważ wiedział, że podobne spotkania bywają tragiczne w skutkach, Ian podszedł bliżej.

— O co chodzi?

— Wieść niesie — mówił pospiesznie Corley wystraszonego głosem że w pańskim ostatnim teście pojawiła się pewna nieścisłość. Jutro o piątej lub szóstej rano obudzą pana i każą pisać nowy test. — Rozejrzył się po korytarzu. — Niech pan sobie powtórzy późne lata osiemdziesiąte, zwłaszcza ugrupowania religijno-kolektywne. Jasne?

— Pewnie — odrzekł z wdzięcznością Ian. — Wielkie dzięki. Może mógłbym się... — Urwał, ponieważ Corley wycofał się do swojego mieszkania i zatrzasnął drzwi; Ian pozostał sam.

Miło z jego strony, pomyślał, idąc korytarzem. Pewnie ocalił moją skórę i zapobiegł wyrzuceniu mnie na bruk.

Wszedł do mieszkania i rozsiadł się wśród podręczników na temat historii politycznej Stanów Zjednoczonych. Będę się uczył przez całą noc, postanowił. Muszę zdać ten test, nie mam wyjścia.

Żeby nie zasnąć, włączył telewizor. Niebawem pokój wypełniła ciepła, kojąca obecność Pierwszej Damy.

— ...a podczas programu musicalu — mówiła — wysłuchamy kwartetu saksofonowego, który zagra fragmenty oper Wagnera, zwłaszcza mojej ulubionej, „Śpiewacy norymberscy”. Ufam, że będzie to dla nas wszystkich wzbogacające doświadczenie. Później mój mąż, prezydent, i ja będziemy mieć przyjemność zaprezentować wam naszego nieśmiertelnego faworyta, światowej sławy wiolonczelistę Henri LeClercqa w wiązance melodii Jerome Kerna i Cole Portera. — Uśmiechnęła się i Ian odpowiedział jej uśmiechem znad stosu książek.

Ciekawe, jakie to przeżycie zagrać w Białym Domu, pomyślał. Występować przed Pierwszą Damą. Szkoda, że nigdy nie nauczyłem się grać na żadnym instrumencie. Marny ze mnie aktor, nie umiem pisać wierszy, tańczyć ani śpiewać — nic. Jaka nadzieja mi pozostaje? Gdybym pochodził z muzycznej rodziny, gdybym miał ojca lub braci, którzy nauczyliby mnie grać...

Ponuro zanotował kilka uwag na temat powstania Chrześcijańskiej Partii Faszystowskiej we Francji w 1975 roku. Następnie, przeniósłszy jak zwykle uwagę na telewizor, odłożył pióro i zapatrzył się na ekran. Nicole pokazywała właśnie fragment kafelka z Delft, który znalazła, jak wyjaśniła, w niewielkim sklepie w Vermont. Jakież miał piękne kolory... zafascynowany utkwiał wzrok w Nicole i obserwował jak szczupłe, mocne palce gładzą lśniącą powierzchnię wypalanego, emaliowanego kafelka.



— Spójrzcie na niego — mówiła zachrypniętym głosem Nicole. Chcielibyście taki mieć? Czyż nie jest śliczny?

— Tak — przyznał Ian Duncan.

— Ilu z was chciałoby kiedyś zobaczyć taki kafel? — zapytała Nicole. — Podnieście ręce.

Ian z nadzieją podniósł rękę.

— Ach, widzę las rąk! — zawołała rozpromieniona Nicole. — Cóż, może później od-  
będziemy kolejną wycieczkę po Białym Domu. Mielibyście na to ochotę?

Ian podskoczył na krześle.

— Pewnie, że tak.

Odniósł wrażenie, że uśmiecha się z ekranu prosto do niego. Odpowiedział jej uśmiechem. Następnie z ociąganiem, czując na swoich barkach ogromny ciężar, zwrócił się z powrotem do swoich podręczników. Pora wrócić do szarej rzeczywistości.

Coś stuknęło w jego okno i zabrzmiał cichy głos.

— Hej, Duncan, nie mam za wiele czasu.

Zdumiony ujrzał dryfujący w ciemnościach jajowaty kształt. Wewnątrz obiektu siedział mężczyzna i energicznie kiwał na niego ręką. Jajo emitowało miarowy stukot. Mężczyzna kopniakiem otworzył właz i wychylił się na zewnątrz.

Czy to już czas na test, zapytał w duchu Ian Duncan. Bezradnie wstał z miejsca. Tak wcześniej... nie jestem jeszcze gotowy.

Zdenerwowany mężczyzna skierował na ścianę budynku wylot rury wydechowej, pokój zadygotał i kawałki tynku posypały się na podłogę. Szyba pękła pod wpływem żaru. Mężczyzna zajrzał przez dziurę i wrzasnął, próbując wyrwać łana z otępienia.

— Hej, Duncan! Pośpiesz się! Mam już twojego brata, leci w drugim statku!  
— Mężczyzna miał na sobie kosztowny niebieski garnitur z włókna naturalnego. Wysunął się z pojazdu i wskoczył do pokoju. — Jeśli mamy zdążyć, to pora ruszać. Nie pamiętasz mnie? Al też mnie nie pamiętał. Rany, zdejmuję przed nimi kapelusz.

Ian Duncan zagapił się na niego, zachodząc w głowę, kim jest niespodziewany gość, Al, i co się tu w ogóle dzieje.

— Psycholodzy mamuśki wykonali na was kawał dobrej roboty — wydyszał mężczyzna. — Bethesda... co to musi być za miejsce. Mam nadzieję, że nigdy tam nie trafię. — Podszedł do łana i chwycił go za ramię. — Policja zamyka moje dżungle, jedną po drugiej, muszę uciekać na Marsa i zabierani cię ze sobą. Spróbuj wziąć się w garść, jestem Stuknięty Luke — nie pamiętasz mnie, ale przypomnisz sobie, jak dotrzemy na miejsce i zobaczysz brata. Jazda. — Luke popchnął go w kierunku dziury w ścianie, w miejscu, gdzie kiedyś było okno i gdzie unosił się pojazd — jeden ze słynnych rze-  
chów, uświadomił sobie Ian.

— Dobrze — zgodził się Ian, zastanawiając się, co powinien ze sobą zabrać. Co może mu się przydać na Marsie? Szczoteczka do zębów, piżama, ciepły płaszcz? Obląkańczo rozejrzał się po mieszkaniu, oglądając je po raz ostatni. W oddali zabrzmiało wycie policyjnych syren.

Luke wdrapał się z powrotem do pojazdu i Ian podążył w jego ślady, chwytając wyciągniętą dłoń mężczyzny. Na podłodze roilo się od pomarańczowych, owadzych stworzeń, które pomachały na niego antenami. Papoole czy coś w tym rodzaju, przypomniał sobie.

Wszystko będzie dobrze, myślały papoole. Nic się nie martw, Stuknięty Luke w porę cię uratował. Teraz odpocznij.

— Tak — odrzekł Ian. Oparł się o ścianę statku i odprężył, po raz pierwszy od wielu lat ogarnął go spokój.

Statek wystrzelił w ciemność, w kierunku nowej, leżącej w oddali planety.

**TOPIK**

## I

Owego ranka, kiedy Aaron Tozzo starannie, na wysoki połysk golił głowę, ujrzał oczami wyobraźni obraz, którego nie mógł znieść. Zobaczył piętnastu skazańców z Nachbaren Slager; wszyscy mieli niespełna cal wzrostu i znajdowali się na pokładzie statku wielkości dziecięcego balonika. Podróżujący niemal z prędkością światła statek mknął w nieznane, unosząc obojętnych na swój los pasażerów.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że obraz prawdopodobnie miał pokrycie w rzeczywistości.

Osuszył głowę, natarł ją oliwą, po czym dotknął umieszczonego w gardle przycisku. Uzyskawszy kontakt z łącznicą Biura, Tozzo powiedział:

— Przyznaję, że nie możemy zrobić nic celem ściągnięcia z powrotem tej piętnastki, ale możemy przynajmniej zaprzestać wysyłania dalszych więźniów.

Utrwalony na taśmie komentarz został przekazany jego współpracownikom. Wszyscy przyznali mu rację; wkładając smoking, pantofle i płaszcz, słyszał metaliczne brzęczenie ich głosów. Nie ulegało wątpliwości, że lot był pomyłką, potwierdzała to nawet opinia publiczna. Mimo to...

— Nie zaprzestaniemy dalszych prób — oświadczył Edwin Fermeti, przełożony Tozza, przekrzykując zgiełk. — Już mamy ochotników.

— Też z Nachbaren Slager? — zapytał Tozzo. Zgłoszenia więźniów były zrozumiałe; przeciętną długość życia w obozie szacowano na pięć, góra sześć lat. Natomiast w przypadku gdyby lot na Proximę zakończył się pomyślnie, pasażerowie odzyskaliby upragnioną wolność. Nie musieliby wracać na żadną z pięciu zamieszkanym planet Układu Słonecznego.

— Cóż to ma za znaczenie, skąd pochodzą? — zapytał wykrętnie Fermeti.

— Nasze wysiłki powinny zmierzać ku poprawieniu amerykańskiego systemu penitencjarnego, a nie ku próbie dotarcia do innych gwiazd — odparł Tozzo. Poczul nagłą

pokusę, aby zrezygnować ze stanowiska w Biurze Emigracyjnym i zamiast tego zająć się polityką jako kandydat do spraw reform.

Później, gdy jadł śniadanie, żona ze współczuciem poklepała go po ramieniu.

— Aaron, jak do tej pory nie mogłeś temu zaradzić, prawda?

— Nie — odparł zwięźle. — Teraz już mi wszystko jedno. — Nie powiedział jej o innych statkach wysyłanych bez powodzenia z więźniami na pokładach; panował surowy zakaz poruszania tych spraw w obecności osób niepełniących funkcji rządowych.

— Czy nie mogą wrócić na własną rękę?

— Nie, ponieważ masę utracili tu, w Układzie Słonecznym. Chodzi o to, że aby wrócić, musieliby uzyskać masę równą utraconej, przywrócić poprzedni stan. — Z irytacją pociągnął łyk herbaty z kubka i zatopił się w marzeniach. Te kobiety, pomyślał. Atrakcyjne, ale nie grzeszące nadmiarem intelektu. — Muszą odzyskać masę — powtórzył. — Gdyby chodziło o wyprawę tam i z powrotem, wszystko pewnie by grało. Tutaj jednak chodzi o próbę kolonizacji, a nie o wycieczkę, która wraca do punktu wyjścia.

— Ile czasu zabiera im dotarcie do Proximy? — zapytała Leonore. Gdy wszyscy zostają zmniejszeni do wysokości jednego cala?

— Około czterech lat. Otworzyła szeroko oczy.

— To wspaniałe.

Mamrocząc pod nosem, Tozzo poderwał się od stołu. Szkoda, że jej nie zabrali, skoro wyobraża sobie, że to takie wspaniałe. Leonore była jednak zbyt sprytna, aby zgłosić się na ochotnika.

— A więc miałam rację — powiedziała łagodnie Leonore. — Biuro wysłało ludzi. Właśnie usłyszałam to z twoich ust.

Tozzo poczerwieniał.

— Tylko nikomu nie mów; zwłaszcza żadnej ze swoich przyjaciółek. Tu chodzi o moją pracę. — Rzucił jej gniewne spojrzenie.

W tym wrogim nastroju udał się do Biura.

Kiedy Tozzo otwierał drzwi do swojego gabinetu, zatrzymał go Udwin Fermeti.

— Czy według ciebie Donald Nils znajduje się w tej chwili na jednej z planet krążących wokół Proximy? — Nils był mordercą, który zgłosił się na jeden z organizowanych przez Biuro lotów. — Ciekawe, może nosi kostkę cukru pięć razy większą niż on sam.

— To wcale nie jest zabawne — odparł Tozzo.

Fermeti wzruszył ramionami

— Miałem tylko nadzieję rozładować nieco wszechobecny pesymizm, według mnie wszyscy poddajemy się zniechęceniu. — Wszedł za Tozzem do gabinetu. — Może sami powinniśmy zgłosić się na następny lot. — Mówił poważnym tonem i Tozzo pospiesznie podniósł na niego wzrok. — Żartowałem — skwitował Fermeti.

— Jeszcze tylko jeden lot — powiedział Tozzo. — W razie kolejnej porażki rezygnuję.

— Powiem ci coś — odrzekł Fermeti. — Obraliśmy nową strategię. Wolnym krokiem nadszedł współpracownik Tozza, Craig Gilly. Fermeti zwrócił się do obydwu mężczyzn. — Chcąc uzyskać sposób na powrót, mamy zamiar skorzystać z pomocy prekogów. — Na widok ich reakcji rozbłysły mu oczy.

— Przecież wszyscy nie żyją — powiedział w zdumieniu Gilly. — Zostali unicestwieni na mocy dekretu prezydenckiego dwadzieścia lat temu.

— On chce powrócić do przeszłości w poszukiwaniu jednego z nich — oświadczył z podziwem Tozzo. — Prawda, Fermeti?

— Owszem — potwierdził jego przełożony. — Prosto do złotego wieku wizji prekognitywnych. Do dwudziestego stulecia.

Oszołomiony Tozzo przez chwilę nie odzywał się ani słowem. Następnie sobie przypomniał.

W pierwszej połowie dwudziestego wieku żyło tylu prekogów — ludzi obdarzonych zdolnością przepowiadania przyszłości — że utworzyli oni coś w rodzaju cechu z filiami w Los Angeles, Nowym Jorku, San Francisco i Pensylwanii. Owo zrzeszenie, którego wszyscy się członkowie znali, wydało szereg publikacji ukazujących się przez kilkadziesiąt lat. Otwarcie głosili swoją znajomość przyszłości, lecz ich prorocтва nie wzbudziły szerokiej fali zainteresowania w społeczeństwie.

— Postawmy sprawę jasno — powiedział z wolna Tozzo. — Chcesz zrobić użytek z pogłębiarek czasowych wydziału archeologicznego i sprowadzić tu z przeszłości sławnego prekoga?

— I skorzystać z jego pomocy — uzupełnił Fermeti.

— Ale jakim sposobem on mógłby nam pomóc? Przecież nie będzie znał żadnej przyszłości prócz swojej własnej.

— Biblioteka Kongresu udzieliła nam dostępu do prawie wyczerpującego zbioru dwudziestowiecznych pism prekognitywnych. — Uśmiechnął się krzywo; sytuacja najwyraźniej go bawiła. — Mam nadzieję — spodziewam się — znaleźć wśród nich artykuł poświęcony w całości naszemu problemowi powrotu. Ze statystycznego punktu widzenia mamy szansę... jak wiecie, w swoich pismach poświęcali wiele miejsca przyszłym cywilizacjom.

— Bardzo sprytne — stwierdził po chwili Gilly. — Myślę, że twój pomysł może rozwiązać nasz problem. Podróż z prędkością światła do innych układów gwiazdnych może stać się faktem.

— Miejmy nadzieję, że nastąpi to, zanim zabraknie skazańców oświadczył kwaśno Tozzo. Ale i jemu pomysł przypadł do gustu. Poza tym cieszył się na spotkanie ze sławnymi dwudziestowiecznymi prekogami. Okres ich świetności był krótki — i dawno już przeminał.

Chociaż, wzięwszy pod uwagę, że jego początki sięgały czasów Jonathana Swifta, a nie H. G. Wellsa, wcale nie należał do krótkich. Swift pisał o dwóch księżycach Marsa oraz ich niezwykłych właściwościach orbitalnych na długo, zanim teleskopy potwierdziły ich istnienie. Stąd w podręcznikach jego nazwisko pojawiała się wielokrotnie.

## II

Przeskanowanie kruchych, pozółkłych egzemplarzy zajęło komputerom w bibliotece Kongresu zaledwie chwilę. Skoncentrowano się na artykułach dotyczących utraty i przywracania masy jako modus operandi międzygwiazdnej podróży kosmicznej. Teoria Einsteina, według której wraz ze wzrostem prędkości proporcjonalnie wzrastała masa obiektu, została w pełni zaakceptowana i nie podana w wątpliwość, w związku z czym nikt w dwudziestym wieku nie zwrócił uwagi na artykuł opublikowany w sierpniowym numerze prekognitywnego czasopisma o nazwie „If”.

W gabinecie Fermetiego Tozzo wraz ze swoim przełożonym oglądał fotograficzną reprodukcję czasopisma. Artykuł był zatytułowany „Nocny lot” i zawierał zaledwie kilka tysięcy słów. Pochłonięci lekturą mężczyźni nie odzywali się ani słowem, dopóki nie skończyli czytać.

— I co? — zapytał Fermeti.

— Nie ma wątpliwości — oznajmił Tozzo. — To nasz projekt, bez dwóch zdań. Jest dużo nieścisłości; na przykład Biuro Emigracyjne widnieje pod nazwą „Outward, Incorporated” i działa pod szyldem prywatnej firmy handlowej. — Zerknął do tekstu. — To niesamowite. Ty figurujesz w artykule jako Edmond Fletcher; nazwisko podobne, choć nieco przekręcone, jak wszystko inne. Ja zaś jestem Alison Torelli. — Z podziwem pokręcił głową. — Ci prekodzy... zawsze mieli nieco wypaczone pojęcie na temat przyszłości, ale ogólnie rzecz biorąc...

— Ogólnie rzecz biorąc, trafiali w sedno — dokończył Fermeti. — Zgadzam się. Ten „Nocny lot” ewidentnie dotyczy nas i Projektu Biura... który tu nosi nazwę „Topik”, ponieważ w grę wchodzi jeden potężny pajęczy sus. Chryste, gdybyśmy wcześniej na to wpadli, pasowałoby jak ulał. Może właśnie tak go nazwiemy.

— Ale prekog, który napisał „Nocny lot”... — odparł z wolna Tozzo...nie podaje zasad odzyskania, czy nawet pozbycia się masy. Jedynie używa słów „udało się”. — Chwytając reprodukcję czasopisma, odczytał na głos:

*Trudności z odzyskaniem masy statku i jego pasażerów pod koniec lotu początkowo okazały się nie do przebycia dla Torellego i jego zespołu badaczy, a jednak ci ostami odnieśli sukces. Po pechowej próbie wysłania „Morskiego Skauta”, pierwszego statku, który...*

— I tyle — skwitował Tozzo. — I jaki mamy z tego pożytek? Owszem, ten prekog opisał sto lat temu naszą obecną sytuację — ale pominął szczegóły techniczne.

Zapadła cisza.

Wreszcie Fermeti z namysłem zabrał głos:

— To wcale nie znaczy, że nie znał danych technicznych. Dziś wiemy, że ludzie z jego kręgu byli niejednokrotnie wyszkolonymi ekspertami. — Popatrzył na raport biograficzny. — Tak, podczas gdy nie robił użytku ze swoich zdolności prekognitywnych, pracował jako badacz tłuszczu kurzego na uniwersytecie w Kalifornii.

— Czy wciąż masz zamiar sprowadzić go do teraźniejszości?

Fermeti skinął głową.

— Mam nadzieję, że pogłębiarka czasowa zadziała w obie strony. Gdyby można było używać jej w odniesieniu do przyszłości, a nie przeszłości, nie musielibyśmy stawiać pod znakiem zapytania bezpieczeństwa tego prekoga... — Spojrzał na artykuł. — Tego Poula Andersona.

— Na czym polega ryzyko? — zapytał z niepokojem Tozzo.

— Odesłanie go z powrotem do jego czasów może okazać się niewykonalne. Albo... — Fermeti urwał. — Możemy po drodze zgubić jego połowę. Pogłębiarka niejednokrotnie dzieliła poszczególne obiekty na pół.

— Tymczasem ten człowiek nie jest więźniem Nachbar Slager — oznajmił Tozzo. — Przynajmniej nie możesz oprzeć się na tym argumente.

— Zrobimy to jak należy — postanowił nieoczekiwanie Fermeti.. Zmniejszymy stopień ryzyka poprzez wysłanie grupy ludzi do 1954 roku. Będą mieli go na oku i dopilnują, aby w całości znalazł się w pogłębiarce, a nie tylko jego górna połowa, albo lewy bok.

Klamka zapadła. Pogłębiarka czasowa wydziału archeologicznego cofnie się do rzeczywistości roku 1954 i zabierze z niej prekoga Poula Andersona; nic więcej nie podlegało dyskusji.

Badania przeprowadzone przez wydział archeologii wykazały, że we wrześniu 1954 roku Poul Anderson mieszkał w Berkeley, w Kalifornii, przy ulicy Grove. W tym miesiącu uczestniczył w państwowym spotkaniu wszystkich prekogów w hotelu imienia sir Francisa Drake'a w San Francisco. Istniała możliwość, że podczas tego spotkania zapadną decyzje co do przyszłorocznego kierunku działań ugrupowania i że obok innych ekspertów w obradach udział weźmie również Anderson.

— To proste — powiedział do Tozza i Gilly'ego Fermeti. — Grupa ludzi wyruszy w przeszłość. Otrzymają fałszywe identyfikatory, według których będą należeć do organizacji prekognitywnej... kwadraciki laminowanego papieru do przypięcia w kłapie. Oczywiście ubierze się ich w dwudziestowieczne stroje. Odnajdą miejsce pobytu Poula Andersena, wyodrębnią go z reszty i odprowadzą na stronę.



— I niby co mu powiedzą? — zapytał sceptycznie Tozzo.

— Powiedzą, że reprezentują nielicencjonowaną, amatorską organizację prekognitywną z Battlecreek w stanie Michigan i że skonstruowali zabawny wehikuł na podobieństwo pogłębiarek czasowych z przyszłości. Poproszą pana Andersena, który w swoim czasie cieszył się sporą sławą, aby pozował im do zdjęcia na tle pogłębiarki, po czym zechcą uwiecznić go również wewnątrz maszyny. Nasze badania wykazały, że według opinii współczesnych Anderson był łagodny i przystępny, i że podczas spotkań na szczycie przeważnie udzielał mu się nastrój optymizmu przekazywany przez jego współtowarzyszy.

— Masz na myśli narkotyki? — zapytał dociekliwie Tozzo. — Wąchał klej?

— Raczej nie — odparł z lekkim uśmiechem Fermeti. — Ta mania panowała wśród nastolatków i zatoczyła szersze kręgi dopiero dziesięć lat później. Nie, mówię o alkoholu.

— Rozumiem — odrzekł Tozzo, kiwając głową.

— Jeżeli chodzi o przewidziane trudności — podjął Fermeti — należy wziąć pod uwagę fakt, że Anderson przyprowadził na spotkanie swoją żonę Karen przebraną za Wenusjankę, ze lśniącymi napierśnikami, w krótkiej spódnicy i w hełmie, wziął ze sobą również ich nowo narodzoną córkę Astrid. Sam Anderson pojawił się bez przebrania. Jako osobnik zrównoważony, podobnie jak pozostali prekodzy, nie bał się niczego.

— Jednakże nieraz podczas rozmów prowadzonych między spotkaniami oficjalnymi prekodzy, bez żon, kręcili się po budynku, grali w pokera, kłócili się i podobno zalewali robaka...

— Jakiego znowu robaka?

— Tak jest napisane. Zalewali robaka. Tak czy inaczej, zbierali się w niewielkich grupach w hotelowym lobby i to właśnie w takiej chwili mamy zamiar go przydybać. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważy jego zniknięcia. Postaramy się odesłać go dokładnie w tę samą chwilę, a przynajmniej z różnicą kilku godzin plus minus... raczej plus, gdyż obecność dwóch Andersenów na spotkaniu wzbudziłaby sensację.

— Plan bez skazy — oświadczył z podziwem Tozzo.

— To miło, że ci się podoba — odparł cierpkim tonem Fermeti — ponieważ wejdiesz w skład wysłanej załogi.

— Wobec tego lepiej zabiorę się do studiowania szczegółów życia w dwudziestym wieku — odpowiedział z zadowoleniem Tozzo. Sięgnął po kolejne wydanie „If”. Ta edycja, pochodząca z maja 1971 roku od razu wzbudziła jego zainteresowanie. Oczywiście nikt w 1954 roku nie będzie miał o niej pojęcia... ale koniec końców zobaczą ją. Co sprawi, że nigdy jej nie zapomną...

Pierwsza publikowana seryjnie rozprawa Raya Bradbury’ego, skonstatował, patrząc na okładkę. Nosiła tytuł „The Fisher of Men” i wielki prekog z Los Angeles prze-

widział w niej polityczną rewolucję Gutmana, która miała ogarnąć wewnętrzne planety Układu. Bradbury przestrzegł ludzkość przed Gutmanem, lecz jego ostrzeżenie przeszło — rzecz jasna bez echa. Teraz Gutman nie żył, a jego fanatyczni zwolennicy zostali zepchnięci do rangi niezorganizowanych terrorystów. Gdyby jednak świat posłuchał Bradbury'ego...

— Co tak się marszczysz? — zapytał Fermeti. — Nie chcesz jechać?

— Chcę — oparł w zamyśleniu Tozzo. — Ale to straszna odpowiedzialność. Nie mamy do czynienia ze zwykłymi ludźmi.

— Istotnie — orzekł Fermeti, kiwając głową.

### III

Dwadzieścia cztery godziny później Aaron Tozzo spoglądał na swój dwudziestowieczny strój i zastanawiał się, czy Anderson na tyle da sobie zamydlić oczy, aby dać się nakłonić do wejścia do pogłębiarki czasowej.

Kostium sam w sobie był idealny. Tozzo otrzymał nawet sięgającą pasa brodę i łukowaty wąsik, popularne rekwizyty w Stanach Zjednoczonych 1950 roku. I włożył perukę.

Peruki stanowiły w kraju prawdziwy krzyk mody; zarówno mężczyźni, jak i kobiety ozdabiali głowy okazałymi wiehczkami w krzykliwych kolorach, czerwonymi, zielonymi, niebieskimi oraz przyprószonymi dystyngowaną siwizną. Było to jedno z najzabawniejszych zjawisk w dwudziestym wieku.

Jaskraworuda peruka Tozza zachwyciła go. Pochodziła z Muzeum Historii Kulturalnej w Los Angeles i kustosz oznaczył ją niejako damską, lecz męską. Istniało zatem nikłe ryzyko zdemaskowania. A prawdopodobieństwo wykrycia, że pochodzili z innej, przyszłej cywilizacji równało się niemalże zeru.

Mimo wszystko Tozzo odczuwał pewien niepokój.

Wszystkie szczegóły dopięto na ostatni guzik, nadeszła pora, aby ruszać w drogę. Wraz z Gillym Tozzo wszedł do pogłębiarki czasowej i usiadł za pulpitem sterowniczym. Wydział archeologiczny dostarczył pełną instrukcję obsługi, która otwarta leżała na wprost niego. Jak tylko Gilly zatrasnął włącz, Tozzo chwycił byka za rogi (wyrażenie dwudziestowieczne) i uruchomił pogłębiarkę.

Wskaźniki czasowe drgnęły. Gwałtownie ruszyły wstecz, do roku 1954 i do kongresu prekognitywnego odbywającego się w San Francisco.

Siedzący obok niego Gilly trenował dwudziestowieczne zwroty, wspomagając się podręcznikiem.

— Jezdeźma na mniejscu... — Gilly odchrząknął. — Co je grane? — wymamrotał. — Zrywamy się, stary, balanga do kitu. — Potrząsnął głową. Nie chwytam dokładnego sensu tych sformułowań — powiedział przepraszająco do Tozza.

Zaświeciło się czerwone światełko; podróż dobiegała końca. Chwilę potem turbiny pogłębiarki umilkły.

Znajdowali się na chodniku przed hotelem imienia sir Francisa Drake'a w San Francisco.

Dokoła spacerowali ludzie w dziwacznych, archaicznych kostiumach. Uwagę Tozza przykuł brak kolejek linowych, cały transport odbywał się drogą naziemną. Ależ tłok, pomyślał, spoglądając na sunące ospale zakorkowanymi ulicami autobusy i samochody. Rozpaczliwe starania ubranego na niebiesko osobnika podejmowane w celu kierowania ruchem na nic się nie zdawały.

— Pora na etap drugi — oznajmił Gilly. Ale i on nie mógł oderwać wzroku od pojazdów. — Jasny szlag — zdumiał się — popatrz na te krótkie spódnice; przecież kobiety mają kolana zupełnie na wierzchu. Czyżby nie było tu śmiertelnego zagrożenia wirusem?

— Nie mam pojęcia — odparł Tozzo. — Wiem jedynie, że musimy wejść do hotelu imienia sir Francisa Drake'a.

Ostrożnie uchylił włącz i wyszedł na zewnątrz. Wówczas uświadomił sobie, że popełnili karygodny błąd. Już na tym etapie ekspedycji.

Mężczyźni z tego dziesięciolecia mieli gładko ogolone podbródki.

— Gilly — rzucił natychmiast Tozzo. — Musimy pozbyć się naszych bród i wąsów. — Niezwłocznie zerwał brodę Gilly'ego, odsłaniając jego twarz. Jeżeli chodziło o peruki, trafili w sedno. Wszyscy mieli przyozdobione głowy; Tozzo zauważył jedynie garść łysych osobników. Kobiety również nosiły bujne peruki... peruki? Może były to włosy naturalne?

Tak czy inaczej, on i Gilly nie będą zwracać niczyjej uwagi. Do sir Francisa Drake'a, zakomenderował w myślach, ruszając naprzód.

Zwinnie przecięli chodnik — powolność, z jaką poruszali się współcześni, była zdumiewająca — i wkroczyli do staromodnego westybulu. Zupełnie jak w muzeum, pomyślał Tozzo, rozglądając się wokół. Szkoda, że nie zatrzymamy się tu dłużej... to jednak nie wchodziło w rachubę.

— Jak tam nasze identyfikatory? — zapytał nerwowo Gilly. — Czy zdają egzamin? — Incydent z owłosieniem na twarzy wytrącił go z równowagi.

Na obu klapach marynarek mieli przypięte fałszywe identyfikatory. Nie zwróciły niczyjej uwagi. Wkrótce potem wjeżdżali windą na właściwe piętro.

Winda zawiozła ich do zatłoczonego foyer. Mężczyźni, wszyscy ogoleni na gładko, w perukach lub z naturalnymi włosami, stali w niewielkich grupkach, śmiejąc się i rozmawiając. Kilka atrakcyjnych kobiet, spośród których część ubrana była w obcisłe kombinezony, z uśmiechem krążyło po holu. Mimo że ówczesna moda nakazywała zasłonięcie piersi, i tak było na co patrzeć.

— Niesamowite — wydusił sotto voce Gilly. — W tym pomieszczeniu jest kilka...

— Wiem — odmruknął Tozzo. Projekt mógł zaczekać, przynajmniej jakiś czas. Mieli przed sobą niepowtarzalną okazję, aby przyjrzeć się prekogom z bliska, zamienić z nimi kilka słów i przysłuchać się ich rozmowom...

Nadszedł wysoki, przystojny mężczyzna w ciemnym garniturze połyskującym drobnymi nitkami syntetycznego włókna. Mężczyzna nosił okulary, a jego włosy i śniada karnacja nadawały mu ponury wygląd. Napis na jego identyfikatorze... Tozzo wytrzeszczył oczy.

Wysoki, przystojny mężczyzna nazywał się A. E. Van Vogt.

— Niech pan powie — zatrzymał go osobnik będący zapewne entuzjastą teorii prekognitywnych. — Czytałem obie wersje pańskiego „Świata Nul — A” i nadal nie rozumiem, jak to stało się nim; no wie pan, na końcu. Czy mógłby pan mi to wyjaśnić? I potem, kiedy dotarli do drzewa i...

Van Vogt przystanął. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech.

— Cóż, zdradzę panu pewien sekret — powiedział. — Zaczynam pewien wątek, po czym płynie on własnym nurtem, na skutek czego, aby zakończyć historię, potrzebny mi jest wątek dodatkowy.

Podchodząc bliżej, Tozzo poczuł płynący od Van Vogta magnetyzm. Był tak wysoki, tak uduchowiony. Tak, potwierdził w myślach Tozzo; słowo pasowało jak ulał, krzepiąca duchowość. Z Van Vogta emanowała wrodzona dobroć.

— Idzie człowiek z moimi spodniami — odezwał się zniecierpliwiony Van Vogt. I bez słowa wyjaśnienia oddalił się i zniknął w tłumie.

Tozowski zakreśliło się w głowie. Oglądać Van Vogta na własne oczy...

— Słuchaj — powiedział Gilly, szarpiąc go za rękaw. — Ten wielki mężczyzna o dobrotliwym wyglądzie, który tam siedzi, to Howard Browne, wydawca czasopisma prekognitywnego „Amazing”.

— Muszę złapać samolot — poinformował Howard Browne wszystkich, którzy go słyszeli. Rozejrzał się dokoła z wyraźnym zaniepokojeniem.

— Ciekawe — rzucił Gilly — czy jest tu doktor Asimov. Zapytamy, postanowił Tozzo. Podeszedł do jednej z kobiet w jasnowłosych perukach i zielonych kombinezonach.

— GDZIE JEST DOKTOR ASIMOV?

— A któż to może wiedzieć? — odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

— Czy jest tutaj, proszę pani?

— Nie — odparła lakonicznie dziewczyna. Gilly ponownie szarpnął Tozza za rękaw.

— Musimy znaleźć Poula Andersona, pamiętasz? Wiem, że miło uciąć sobie pogawędkę z tą dziewczyną...

— Pytam o Asimova — odpalił szorstko Tozzo. Ostatecznie Issac Asimov był odkrywcą dwudziestopierwszowiecznego przemysłowego robota pozytronowego. Jakże mogło go tu nie być?

Minął ich krzepki mężczyzna, w którym Tozzo rozpoznał Jacka Yance'a. Stwierdził, że ten wyglądał raczej na myśliwego niż na przedstawiciela jakiegokolwiek innej profesji... musimy się go strzec, uznał Tozzo. Jeśli wdamy się w jakieś tarapaty, Yance z pewnością się nami zajmie.

Zauważył, że tymczasem Gilly nawiązał rozmowę z dziewczyną w peruce i zielonym kombinezonie.

— MURRAY LEINSTER? — pytał Gilly. — Człowiek, którego prace rozpatruje się obecnie na płaszczyźnie teoretycznej...

— Nie wiem — odrzekła znudzonym tonem dziewczyna.

Wokół stojącej naprzeciw nich postaci zebrała się grupa ludzi; będąca w centrum uwagi osoba mówiła:

— ...dobrze, skoro tak jak Howard Browne wolicie podróże lotnicze, proszę bardzo. Ale według mnie to ryzykowne. Ja nie latam. Nawet jazda samochodem jest niebezpieczna. Na ogół leżę na tylnym siedzeniu. — Mężczyzna miał na głowie krótko ostrzyżoną perukę i nosił muszkę; miał okrągłą, sympatyczną twarz i uważny wyraz oczu. Był to Ray Bradbury i Tozzo natychmiast skierował się w jego stronę.

— Stój! — szepnął ze złością Gilly. — Pamiętaj, po co tu jesteśmy.

Za Bradburym, przy kontuarze siedział starszy, zniszczony mężczyzna w brązowym garniturze i małych okularach i sęczył drinka. Tozzo rozpoznał go z fotografii zamieszczonych we wczesnych publikacjach Gernsbacka; był to jedyny w swoim rodzaju pretekog z Nowego Meksyku, Jack Williamson.

— Pomyślałem, że „Legion czasu” to najlepsza powieść science fiction, jaką kiedykolwiek czytałem — mówił do Jacka Williamsona kolejny entuzjasta teorii prekognitywnych, a ten z zadowoleniem kiwał głową.

— Początkowo miała być opowiadaniem — powiedział. — Ale rozrosła się. Tak, sam uważam, że jest dobra.

Tymczasem Gilly przeszedł do przyległego pomieszczenia, gdzie przy stole siedziały pochłonięte rozmową dwie kobiety i mężczyzna. Jedna z kobiet, ciemnowłosa i niebrzydka, z odkrytymi ramionami nazywała się — zgodnie z informacją na jej identyfikatorze — Evelyn Paige. W wyższej kobiecie rozpoznał sławną Margaret St. Clair.

— Pani St. Clair — zagadnął ją Gilly. — Pani artykuł zatytułowany „Szarłatny kokon” we wrześniowym numerze „If” z 1959 roku był jednym z najwspanialszych... — I urwał.

Przypomniało mu się, że Margaret St. Clair jeszcze go nie napisała. I nie wiedziała, że napisze. Rumieniąc się z zakłopotania, Gilly wycofał się pospiesznie.

— Przepraszam — wymamrotał. — Pani wybaczy; pogubiłem się.

— Mówi pan, że we wrześniowym numerze „If” z 1959 roku? — zapytała Margaret St. Clair, unosząc brwi. — Kim pan jest, wysłannikiem z przyszłości?

— Dziwak — skwitowała Evelyn Paige. — Wróćmy do rzeczy. — Rzuciła Gilly’emu twarde spojrzenie czarnych oczu. — Bob, o ile dobrze rozumiem... — Zwróciła się do swego towarzysza o upiornym wyglądzie, który ku zachwytowi Gilly’ego okazał się nikim innym, jak Robertem Blochem.

— Panie Bloch, pański artykuł w „Galaxy”: „Sabbatical” był po prostu... — wyrwał się Gilly.

— Trafiałeś pod niewłaściwy adres, przyjacielu — odparł Robert Bloch. — Nie napisałem nigdy nic o podobnym tytule.

Chryste, skonstatował Gilly. Znowu to samo; „Sabbatical” to kolejna praca, która jeszcze nie powstała. Lepiej stąd pójść. Skierował się w stronę Tozza... i stwierdził, że ten stoi jak wryty.

— Znalazłem Andersena — oświadczył Tozzo.

Na te słowa Gilly również oniemiał.

Obaj dokładnie przestudiowali zdjęcia przekazane przez bibliotekę Kongresu. I oto stał przed nimi słynny prekog, wysoki, smukły i wyprostowany, nieco zbyt szczupły, o kręconych włosach — bądź peruce i w okularach, zza których przebłyskiwało ciepłe spojrzenie. Trzymając w dłoni szklankę whisky, dyskutował z grupą innych prekogów. Najwyraźniej świetnie się bawił.

— Hm, hm, zobaczmy — mówił Andersen, gdy Tozzo i Gilly dyskretnie podeszli bliżej. — Słucham? — Anderson zwinął dłoń w trąbkę i przystawił ją do ucha, aby usłyszeć, co mówili pozostali. — Ach, tak, tak, zgadza się. — Anderson kiwnął głową. — Tak jest, Tony, zgadzam się z tobą na sto procent.

Drugim prekogiem, uświadomił sobie Tozzo, był wspaniały Tony Boucher, którego przepowiednia o odrodzeniu religijnym w przyszłym stuleciu graniczyła niemal z cudem. Wyczerpujący opis Cudu w Jaskini przy udziale robota... Tozzo popatrzył na Bouchera z zabobonnym lękiem, po czym przeniósł wzrok na Andersena.

— Poul — mówił inny prekog. — Powiem ci, jak Włosi zamierzali nakłonić Anglików do odwrotu w razie inwazji w 1943 roku. Anglicy zatrzymaliby się w hotelach, ma się rozumieć najlepszych. Włosi policzyliby im podwójnie.

— Ach, tak, tak — odparł Anderson, z uśmiechem kiwając głową. Jego oczy załśniły. — Na co Anglicy, jako dżentelmeni z krwi i kości, nie odezwaliby się ani słowem...

— Ale wyjechaliby następnego dnia — uzupełnił drugi prekog i cała grupa, z wyjątkiem Tozza i Gilly’ego, wybuchła śmiechem.

— Panie Anderson — powiedział w napięciu Tozzo — jesteśmy członkami amatorskiej organizacji prekognitywnej z Battlecreek w stanie Michigan i chcielibyśmy zrobić panu zdjęcie na tle pogłębiarki czasowej.

— Co proszę? — zapytał Anderson, zwijając dłoń w trąbkę i przystawiając ją do ucha.

Tozzo powtórzył, usiłując przekrzyczeć hałas. Wreszcie do Andersona dotarło.

— Ach, aha, cóż, gdzie ona jest? — zapytał uprzejmie.

— Na dole, stoi na chodniku — odrzekł Gilly. — Jest zbyt ciężka, aby wnieść ją na górę.

— Cóż, hm, jeśli to nie potrwa zbyt długo — odpowiedział Anderson. — Sądzę, że na pewno nie potrwa. — Odłączył się od grupy i poszedł za nimi w kierunku windy.

— Nadszedł czas budowania silników parowych — zawołał za nimi przysadzisty mężczyzna, kiedy go mijali. — Pora budować silniki parowe, Poul.

— Jedziemy na dół — odparł nerwowo Tozzo.

— A choćbyście mieli dotrzeć tam na rzesach — pożegnał ich prekog. Kiedy wszyscy trzej wsiadali do windy, dobrodusznie pokiwał na pożegnanie.

— Kris jest dzisiaj w doskonałym humorze — stwierdził Anderson.

— Jeszcze jak — Gilly zrobił użytek z nowo nabytego słownictwa.

— Czy jest tu Bob Heinlein? — zapytał Tozza Anderson, kiedy zjeżdżali na dół. — Wydawało mi się, że poszedł gdzieś z Mildred Clingerman, aby porozmawiać o kotach i nikt ich więcej nie widział.

— Taka dola — skwitował Gilly, szlifując kolejne wyrażenie.

Anderson zwinął dłoń w trąbkę, uśmiechnął się z wahaniem, ale nic nie odpowiedział.

Wreszcie wyszli na zewnątrz. Na widok pogłębiarki Anderson w zdumieniu przetarł oczy.

— A niech mnie diabli — rzucił, podchodząc bliżej. — Rzeczywiście imponująca. Jasne, z przyjemnością pozwolę sobie zrobić przy niej zdjęcie. — Wyprostował swoją szczupłą, kanciastą sylwetkę i na jego twarzy pojawił się ciepły, niemal czuły uśmiech, na który Tozzo zwrócił uwagę już wcześniej. — I jak? — zapytał nieśmiało Anderson.

Gilly pstryknął zdjęcie autentycznym, dwudziestowiecznym aparatem pożyczonym ze Smithsonian.

— Teraz w środku — zakomenderował, zerkając na Tozza.

— Tak, hm, oczywiście — odparł Poul Anderson i wspiął się po schodkach do wnętrza pogłębiarki. — Rany, hm, spodobałoby się Karen — powiedział, znikając w środku. — Szkoda, że nie poszła z nami.

Tozzo zwinnie podążył jego śladem. Gilly zatrzasnął właz i siedzący za sterem z instrukcją w ręku Tozzo wdusił przyciski.

Rozległ się szum silników, ale zaabsorbowany Anderson nie zwrócił nań uwagi; wytrzeszczonymi oczami spoglądał na pulpit sterowniczy.

— Rany — powiedział.

Pogłębiarka czasowa podążyła ku terazniejszości, unosząc zapatrzonemu w przyciski Andersena.

## IV

Fermeti wyszedł im na spotkanie.

— Panie Anderson — powiedział — to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Wyciągnął rękę, ale zapatrzony na rozciągające się ponad jego ramieniem miasto Anderson niczego nie zauważył.

— Chwileczkę — powiedział z grymasem. — Hm, co to, hm, wszystko ma znaczyć?

Tozzo stwierdził, że Anderson pochłonięty jest systemem jednotorowym. Wydało mu się to dziwne, gdyż w czasach Andersena istniał on przynajmniej w Seattle... a może nie? Może pojawił się dopiero później? Tak czy inaczej, wyraz twarzy Andersena świadczył o bezbrzeżnym zdumieniu.

— Pojedyncze kolejki — wyjaśnił Tozzo, stając blisko niego. — Jednotorówki w pańskich czasach miały ich kilka. Po latach każdy mieszkaniec mógł poprowadzić z domu własną linię; wyprowadzano kolejkę z garażu na terminal kolejowy, skąd mogła dołączyć do ruchu. Rozumie pan?

Lecz Anderson nie otrząsnął się z oszołomienia; w gruncie rzeczy przybrało ono na sile.

— Hm — mruknął. — Co to znaczy „w moich czasach”? Czyżbym już nie żył? — Ogarnęło go wyraźne przygnębienie. — Zawsze myślałem, że to będzie trochę jak Walhalla, wikingowie i tym podobne rzeczy. Żadnych futurystycznych wizji.

— Nie umarł pan, panie Anderson — zapewnił go Fermeti. — Ma pan przed sobą odzwierciedlenie kultury połowy dwudziestego pierwszego wieku. Muszę przyznać, że został pan uprowadzony. Jednakże wróci pan do domu, daję panu na to moje słowo.

Anderson otworzył usta, ale nie padło z nich ani jedno słowo.

Donald Nils, notoryczny morderca, siedział przy stoliku w kabinie międzygwiazdowego statku poruszającego się z prędkością światła, który był własnością Biura Emigracyjnego. Stwierdził, że według ziemskiego systemu miar miał cal wzrostu.



Zaklął z goryczą. — To okrutna i niespotykana kara — wycedził na głos. — Wbrew Konstytucji. — Następnie przypomniał sobie, że zgłosił się na ochotnika, chcąc wydość się z Nachbaren Slager. Z tej cholernej dziury, dorzucił w duchu. Tak czy inaczej, przynajmniej dopiąłem swego.

Poza tym, pomyślał, pomimo niskiego wzrostu i tak mianowałem się kapitanem tego wszawego statku, a gdy dotrzemy do Proximy, zostanę władcą całego wszawego układu planetarnego. Nie na darmo pobierałem nauki u samego Gutmana. I jeśli to nie będzie koniec Nachbar Slager, to sam nie wiem...

Drugi oficer, Pete Bailly, wetknął głowę do kabiny.

— Hej, Nils, przeglądałem mikroreprodukcję starego czasopisma prekognitywnego „Astounding”, tak jak mi kazałeś, i znalazłem ten artykuł o transmisji materii. Mówię ci, mimo że byłem głównym konstruktorem nowojorskim, to wcale nie znaczy, że potrafisz stworzyć coś takiego. — Popatrzył ze złością na Nilsa. — To nie takie proste.

— Musimy wrócić na Ziemię — powiedział kategorycznie Nils.

— Pechowiec z ciebie — odparł Bailly. — Lepiej przygotuj się na lądowanie na Proximie.

Nils z furią zmiotł ze stołu mikroreprodukcję.

— Cholerne Biuro Emigracyjne! Oszukali nas!

Bailly wzruszył ramionami.

— Tak czy siak mamy furę żarcia, świetną bibliotekę i trójwymiarowe kino co wieczór.

— Zanim dotrzemy do Proximy — wycedził Nils — obejrzymy każdy film... — dokonał w myślach szybkiego rachunku — dwa tysiące razy.

— Cóż, wobec tego nie oglądaj. Zresztą możemy puszczać je wstecz. Jak tam twoje badania?

— W „Space Science Fiction” znalazłem artykuł zatytułowany „Człowiek, który był zmienną” — odrzekł w zamyśleniu Nils. — Opisuje on transmisję ponadświatłą. Znikasz, po czym się pojawiaasz. Według autora artykułu, pewien facet o nazwisku Cole ma zamiar udoskonalić tę metodę. — Zamyślił się. — Gdybyśmy stworzyli statek ponadświatłny, moglibyśmy wrócić na Ziemię. I przejąć władzę.

— Bzdury gadasz — skwitował Bailly.

Nils zmierzył go wzrokiem.

— Ja tu dowodzę.

— Czyli naszym dowódcą jest szalenciec — odparł Bailly. — Nie ma powrotu na Terę; lepiej będzie, jak osiedlimy się na Proximie i zapomnimy, skąd przyjechaliśmy. Dzięki Bogu mamy na pokładzie kobiety. Jezu, nawet gdybyśmy zdołali wrócić... coś mogą wskórać jednocalowe ludziki? Wszyscy by z nas szydzili.

— Nikt nie będzie ze mnie szydził — powiedział spokojnie Nils.

Ale wiedział, że Bailly ma rację. Musieli mieć dużo szczęścia, aby wśród mikroreprodukcji czasopism prekognitywnych znaleźć rozwiązanie, które wskaże im drogę do bezpiecznego lądowania na Proximie... Nawet ta możliwość wydawała się nierealna.

Uda się nam, postanowił w duchu Nils. Jeśli tylko wszyscy będą posłuszni i wykonają moje rozkazy bez zadawania głupich pytań.

Pochyliwszy się, uruchomił taśmę grudniowego wydania „If” z 1962 roku. Jeden artykuł zwrócił jego szczególną uwagę... miał przed sobą cztery lata, podczas których mógł czytać, znajdować odpowiedzi i wprowadzać je w życie.

— Z pewnością pańskie zdolności prekognitywne pomogły panu przygotować się na to — powiedział Fermeti. Pomimo wysiłków nie zapanował nad nerwowym drżeniem głosu.

— Może więc zabierzecie mnie do domu? — zaproponował Andersen. Wydawał się prawie niewzruszony.

Wymieniwszy pospieszne spojrzenia z Tozzo i Gillym, Fermeti odparł:

— Widzi pan, mamy pewien problem natury technicznej. Właśnie dlatego sprowadziliśmy pana do naszego kontinuum czasowego. Chodzi o to, że...

— Według mnie będzie lepiej, jeśli, hm, odeślecie mnie z powrotem — wtrącił Andersen. — Karen się zmartwi. — Wyciągnął szyję, rejestrując otoczenie. — Spodziewałem się czegoś podobnego — wymamrotał. Jego twarz przeciął grymas. — Nie różni się od moich oczekiwań... co to za obiekt, ten wysoki?

— To wieża modlitewna — odrzekł Tozzo.

— Nasz problem — podjął cierpliwie Fermeti — został opisany przez pana w artykule pt. „Nocny lot” w sierpniowym numerze „If” z 1955 roku. Byliśmy w stanie pozbać masę pojazd międzygwiazdny, ale dotychczasowe próby odzyskania jej...

— Hm, ach, hm — odparł z ożywieniem Anderson. — Właśnie pracuję nad tym opowiadaniem. Za kilka tygodni powinienem oddać je Scottowi. Mojemu agentowi — wyjaśnił.

Fermeti zastanowił się przez chwilę.

— Czy mógłby pan podać nam wzór na przywrócenie masy, panie Anderson?

— Hm — mruknął Anderson. — Tak, przypuszczam, że to właściwe określenie. Przywrócenie masy... Przyda mi się. — Kiwnął głową. — Nie opracowałem żadnego wzoru; nie chciałem poświęcać zbyt dużo miejsca na szczegóły techniczne. Chyba mógłbym coś wymyślić, skoro tego chcecie. — Zamilkł, pogrążony we własnych myślach, trzech mężczyzn na próżno czekali na odpowiedź.

— Pańskie zdolności prekognitywne — zaczął Fermeti.

— Słucham? — zapytał Anderson, zwijając dłoń w trąbkę. — Prekognitywne? — Uśmiechnął się nieśmiało. — Ach, hm, nie posuwałbym się do takiego określenia.

Wiem, że John w to wierzy, ale ja nie uważam kilku eksperymentów na Uniwersytecie Duke za wystarczający dowód.

Fermeti wpatrywał się w Andersena przez dłuższy czas.

— Weźmy na przykład pierwszy artykuł w styczniowym „Galaxy” w 1953 roku — powiedział cicho. — „Obrońcy”... o ludziach zamieszkujących podziemie i robotach, które toczyły wyimaginowaną wojnę i wprowadzały swoimi raportami w błąd mieszkańców podziemia...

— Czytałem — odpowiedział Poul Andersen. — Świetne, z wyjątkiem zakończenia. Niezbyt mi się podobało.

— Widzi pan — ciągnął Fermeti — identyczna sytuacja zaistniała w 1996 roku podczas trzeciej wojny światowej. Czy wie pan, że dzięki temu artykułowi wykryliśmy oszustwo robotów? Że prawie każde zawarte w nim słowo osiągnęło wymiar proroctwa...

— Phil Dick napisał „Obrońców” — oznajmił Andersen.

— Zna go pan? — zapytał Tozzo.

— Poznałem go wczoraj podczas zjazdu — odrzekł Anderson. — Widzieliśmy się po raz pierwszy. Nerwowy gość, prawie się bał wejść do środka.

— Czy ma przez to rozumieć, że żaden z was nie jest świadomy swoich zdolności prekognitywnych? — zapytał Fermeti. Wytrącony z równowagi, całkowicie nie panował nad drżeniem głosu.

— Cóż — odparł z wolna Anderson. — Część pisarzy s.f. zdaje się w nie wierzyć. Według mnie należy do nich Alf Van Vogt. — Uśmiechnął się do Fermetiego.

— Czy pan nic nie rozumie? — zapytał Fermeti. — Opisał pan nas w swoim artykule... podał pan dokładne szczegóły dotyczące Biura i Projektu międzygwiazdowego!

— Niech mnie diabli — wymamrotał po chwili Anderson. — Skąd, nie miałem o tym pojęcia. Hm, wielkie dzięki, że mi mówicie.

— Wygląda na to, że będziemy zmuszeni zweryfikować nasze wyobrażenie na temat dwudziestego stulecia — powiedział do Tozza Fermeti. Wyglądał, jakby uszły z niego wszystkie siły.

— Dla naszych celów ich ignorancja nie ma żadnego znaczenia — odrzekł Tozzo. — Zdolności kognitywne nie podlegają dyskusji, bez względu na to, czy zdawali sobie z nich sprawę, czy nie.

Tymczasem Anderson oddalił się kilka kroków i utkwiał wzrok w wybawię pobliskiego sklepu z pamiątkami.

— Ciekawe drobiazgi. Powinienem skorzystać z okazji i wybrać coś dla Karen. Czy mógłbym... — Popatrzył pytająco na Fermetiego. — Czy mógłbym wstąpić do sklepu i się rozejrzeć?

— Tak, tak — odparł z irytacją Fermeti.

Poul Anderson zniknął we wnętrzu sklepu, pozostawiając trzech mężczyzn pochłoniętych roztrząsaniem swego odkrycia.

— Musimy postawić go w sytuacji dobrze mu znanej: przed maszyną do pisania — stwierdził Fermeti. — Trzeba nakłonić go do napisania artykułu o utracie masy i jej odzyskaniu. To, czy uzna artykuł za czysty wymysł, czy też nie, jest absolutnie bez znaczenia. W instytucie znajdziemy sprawną maszynę i kartki 8 ½ na 11. Zgadza się z mną?

— Powiem ci, co myślę — odparł w zamyśleniu Tozzo. — Uważam, że puszczenie go do sklepu było kardynalnym błędem.

— Dlaczego? — zapytał Fermeti.

— Wiem, o co mu chodzi — wtrącił z podnieceniem Gilly. — Więcej nie zobaczymy Andersena; ulotnił się pod pretekstem kupna prezentu dla żony.

Poszarzały na twarzy Fermeti odwrócił się i popędził do sklepu z pamiątkami. Tozzo i Gilly podążyli za nim.

Sklep był pusty. Andersen wyprowadził ich w pole. Przepadł jak kamień w wodę.

Wymykając się dyskretnie tylnymi drzwiami sklepu, Poul Andersen pomyślał, nie dostaną mnie. Przynajmniej nie od razu.

Mam tu wiele do zrobienia, uznał. Co za okazja! Kiedy będę stary, opowiem o tym dzieciom Astrid.

Myśl o córce przypomniała mu o pewnej istotnej rzeczy. Prędzej czy później będzie musiał powrócić do 1954 roku. Z powodu Karen i dziecka. Bez względu na to, co tutaj znajdzie — jego pobyt nie miał trwać długo.

Tymczasem jednak... najpierw pójdę do biblioteki, obojętnie jakiej, postanowił. I przejrzę książki historyczne, dzięki którym dowiem się, co się zdarzy pomiędzy 1954 rokiem a teraźniejszością.

Chcę poznać zakończenie zimnej wojny, jak wybrną z niej Stany Zjednoczone i Rosja. No i — badania kosmiczne. Założę się, że do 1975 roku wyślą kogoś na Lunę. Teraz na pewno badają kosmos; diabli, mają przecież pogłębiarkę czasową, a co dopiero to.

Poul Anderson zobaczył na wprost siebie drzwi. Były otwarte, więc bez namysłu przestąpił próg. Następny sklep, tym razem większy.

— Słucham pana — odezwał się głos, po czym na spotkanie Andersona wyszedł łysy — jak wszyscy tutaj — mężczyzna. Obrzucił wzrokiem włosy Andersena, jego ubranie... był jednak uprzejmy i powstrzymał się od komentarza. — Mogę w czymś pomóc? — spytał.

— Hm. — Anderson utknął. Co tu ostatecznie można było kupić? Rozejrzał się. Jakieś lśniące, elektroniczne przedmioty. Jaką pełniły funkcję?

— Czy był pan ostatnio stymulowany? — zapytał sprzedawca.

— To znaczy? — zapytał Anderson. Stymulowany?

— Otrzymaliśmy dostawę wiosennych stymulatorów — wyjaśnił sprzedawca, kierując się w stronę połyskującego krągłego urządzenia. — Tak oświadczył — według mnie jest w panu pewna doza introwertyzmu — bez obrazy, sir, introwertyzm nie jest karalny. — Sprzedawca zachichotał. Weźmy na przykład pański odrobinę dziwaczny ubiór... rozumiem, że własnoręczna robota? Muszę przyznać, że samodzielne szycie odzieży to przejaw wysoce introwertycznego zachowania. Sam utkał pan materiał? Sprzedawca skrzywił się, jakby smakował cytrynę.

— Nie — odparł Poul. — W gruncie rzeczy to mój najlepszy garnitur.

— Cha, cha — zaśmiał się sprzedawca. — Doprawdy zabawne, sir; świetny kawał. A pańska głowa? Wygląda, jakby nie golił jej pan tygodniami.

— Owszem — przyznał Anderson. — Cóż, może naprawdę potrzebuję stymulatora. — Wyglądało na to, że mieli go wszyscy współcześni; podobnie jak w przypadku telewizora w jego czasach, posiadanie stymulatora było wskaźnikiem przynależności kulturowej.

— Ilu członków liczy pańska rodzina? — zapytał sprzedawca. Wyciągnawszy miarę, zmierzył długość rękawa Poula.

— Troje — odparł w zdumieniu Poul.

— Ile lat ma najmłodszy?

— Dopiero się urodził — odrzekł Poul.

Z twarzy sprzedawcy odpłynęła krew.

— Wynos się stąd — powiedział cicho. — Zanim wezwę połpol.

— Hm, a co to takiego? Słucham? — Poul zwinął dłoń w trąbkę i wyteżył słuch.

— Kryminalista — wycedził sprzedawca. — Powinieneś wylądować w Nachbaren Slager.

— Cóż, tak czy inaczej dziękuję — powiedział Poul i opuścił sklep; W pamięci został mu obraz wpatzonego w niego sprzedawcy.

— Przyjechałeś z zagranicy? — dobiegł go kobiecy głos. Przy krawężniku zatrzymał się pojazd. Wyglądał zupełnie jak łóżko; Poul uświadomił sobie, że nie był niczym innym, jak właśnie łóżkiem. Pasażerka ogarnęła go opanowanym spojrzeniem uważnych, ciemnych oczu. Chociaż widok jej gładko ogolonej głowy odrobinę wytrącił go z równowagi, uznał, że kobieta była niczego sobie.

— Pochodzę z innego wymiaru kulturowego — odrzekł Poul, nie mogąc oderwać oczu od jej postaci. Czyżby wszystkie tutejsze kobiety ubierały się w ten sposób? Gołe ramiona, to rozumiem. Ale nie...

No i to łóżko. Połączenie tych dwóch rzeczy przechodziło jego pojęcie. Czym ona się zajmowała? I to publicznie. Co to społeczeństwo... od jego czasów wartości musiały ulec radykalnej zmianie.

— Szukam biblioteki — wyjaśnił Poul, trzymając się w bezpiecznej odległości od łoża na kołach, z dźwignią zamiast kierownicy.

— Biblioteka znajduje się o bajt drogi stąd — poinformowała kobieta.

— Hm — odparł Poul. — Co to jest „bajt”?

— Wygląda na to, że robisz mnie w balona — stwierdziła kobieta. Wszystkie widoczne części jej ciała spłonęły rumieńcem. — To wcale nie jest zabawne. Nie bardziej niż ten twój paskudny, owłosiony łeb. Wierz mi, twoje żarty i głowa nie są śmieszne, przynajmniej nie dla mnie. — Jednakże nadal tkwiła w miejscu, mierząc go urażonym spojrzeniem. — Może potrzebujesz pomocy — uznała wreszcie. — Może powinnam się nad tobą litować. Oczywiście wiesz, że polpol może cię w każdej chwili zgarnąć.

— Czy mógłbym, hm, zaprosić panią na filiżankę kawy i porozmawiać? — zaproponował Poul. — Naprawdę zależy mi na tej bibliotece.

— Pójdę z tobą — zgodziła się kobieta. — Chociaż nie mam zielonego pojęcia, co to jest kawa. Wystarczy, że tylko tkniesz mnie palcem, a natychmiast wezwę polpol.

— Proszę tego nie robić — poprosił Poul. — To zupełnie zbędne; chciałbym jedynie rzucić okiem na dział historyczny. — Po czym przyszło mu do głowy, że mógłby wykorzystać wszelkie dane techniczne, jakie wpadną mu w ręce.

Jaką książkę mógłby przemyścić do 1954 roku? Zastanowił się. Almanach. Słownik... szkolny podręcznik wiedzy ogólnej, zawierający wiele niezbędnych dla laika informacji ze wszystkich dziedzin; tak jest, to by się nadało. Mógłby zedrzeć okładkę, wyrzucić ją i poutykać kartki w kieszeniach marynarki.

— Gdzie jest szkoła? — zapytał Poul. — Najbliżej stąd? — Tknięty nagłym impulsem postanowił niezwłocznie się tam udać. Nie miał wątpliwości, że pościg deptał mu po piętach.

— Co to jest „szkoła”? — zapytała kobieta.

— Tam gdzie posyła się dzieci — odrzekł Poul.

— Ty pomyłony biedaku — powiedziała cicho kobieta.

## V

Tozzo, Fermeti i Gilly przez chwilę stali w milczeniu. Wreszcie Tozzo odezwał się, starannie cedząc słowa.

— Naturalnie wiecie, co się z nim stanie. Polpol zgarnie go z ulicy i wyśle prosto do Nachbaren Slager. Z powodu jego wyglądu. Może nawet już to zrobili.

Fermeti natychmiast pobiegł do najbliższego wideofonu.

— Skontaktuję się z kierownictwem Nachbar Slager. Pogadam z Potterem; chyba możemy mu zaufać.

Niebawem na monitorze ukazała się nalana, ogorzała twarz majora Pottera

— O, witaj Fermeti. Masz chrapkę na jeszcze kilku skazańców, co? Zarechotał.  
— Zużywasz ich szybciej niż my.

Fermeti dostrzegł za jego plecami fragment boiska rekreacyjnego ogromnego obozu. Kryminaliści, zarówno polityczni, jak i nonpole, krążyli dokoła, rozprostowując nogi. Niektórzy z nich grali w nudne, pozbawione sensu gry, które, jak wiedział, trwały miesiącami, za każdym razem, gdy więźniowie opuszczali cele.

— Chodzi nam jedynie o to, aby pewien człowiek nie trafił w wasze ręce — wyjaśnił Fermeti. — Opisał Poula Andersena. — Jak tylko się u was znajdzie, powiadom mnie natychmiast. I nie rób mu krzywdy. Rozumiesz? Włos nie ma spaść z głowy.

— Jasne — odparł gładko Potter. — Chwileczkę; sprawdzę nasz najświeższy nabytek. — Dotknął przycisku po swojej prawej stronie, uruchamiając komputer 315 — R; Fermeti usłyszał przeciągły szum. Potter pomanewrował przyciskami. — To urządzenie wychwyci jego obecność w chwili gdy się tu znajdzie. Obwód dopuszczeniowy jest przygotowany na jego odrzucenie.

— Na razie nic? — zapytał w napięciu Fermeti.

— Ani śladu — odparł Potter i ziewnął ostentacyjnie.

Fermeti przerwał połączenie.

— I co teraz? — zapytał Tozzo. — Moglibyśmy zlokalizować go za pomocą ganimedejskiej gąbki — tropiciela. — Było to jednak obrzydliwe stworzenie; znalazłszy swoją ofiarę, od razu przyssało się do jej układu krążenia jak pijawka. — Albo zrobić to mechanicznie — dorzucił. — Za pomocą snopa detekcyjnego. Mamy wzór EEG Andersena, prawda? Lecz to pociągnęłoby za sobą udział polpolu. — Snop detekcyjny znajdował się wyłącznie w polpolu; koniec końców był to egzemplarz, który pomógł schwytać samego Gutmana.

— Głosuję za ogłoszeniem alarmu planetarnego typ II. To zapewni nam pomoc przeciętnego obywatela. Ludzie będą wiedzieli, że za znalezisko tej kategorii czeka ich nagroda.

— Ale w ten sposób tłum może go porządnie poturbować — wtrącił Gilly.  
— Przemyślmy to.

— Zastanówmy się — powiedział po chwili Tozzo. — Gdyby przeniesiono was z połowy dwudziestego wieku do naszego kontinuum, to gdzie byście się udali? Dokąd byście poszli?

— Na najbliższe lotnisko, to pewne — odparł ściszym głosem Fermeti. — Aby kupić bilet na Marsa, albo na inną planetę — dla nas to żadna nowość, natomiast w połowie jego stulecia to nawet nie wchodziło w rachubę.

Wymienili spojrzenia.

— Tyle że Andersen nie wie, gdzie jest lotnisko — rzucił Gilly. — Ustalenie położenia zabierze mu dużo cennego czasu. My możemy pojechać tam natychmiast ekspresową jednotorówką podziemną.

Niebawem trzej pracownicy Biura Emigracyjnego znajdowali się w drodze na lotnisko.

— Niesamowita sprawa — powiedział Gilly, kiedy posuwiecie mknęli przed siebie, siedząc w przedziale pierwszej klasy. — Mieliliśmy błędne pojęcie na temat umysłu człowieka z połowy dwudziestego wieku; powinniśmy potraktować to jako lekcję. Jak tylko złapiemy Andersena, musimy przeprowadzić dalsze badania. Na przykład, efekt Poltergeista. Jaka brzmiała ich interpretacja? I pukanie w stół — czy rzeczywiście znali prawdziwą naturę tego zjawiska? Czy też po prostu przypisali je dziedzinie okultystycznej i nie zaprzęтали sobie nim więcej głowy?

— Być może Andersen pomoże nam odpowiedzieć na te i inne pytania — oświadczył Fermeti. — Ale nasz główny problem pozostaje ten sam. Musimy nakłonić go do opracowania sposobu przywracania masy z matematyczną dokładnością, a nie za pomocą mglistych, poetycznych aluzji.

— Ten Anderson to prawdziwy mózg — powiedział w zamyśleniu Tozzo. — Spójrzcie tylko, jak łatwo wyprowadził nas w pole.

— Tak — potwierdził Fermeti. — Nie wolno nam go lekceważyć. Zrobiliśmy to i proszę, na co nam przyszło. — Sposepniał.

Pędząc przed siebie prawie wyludnioną ulicą, Poul Anderson zastanawiał się, dlaczego kobieta uznała go za pomyłonego. Czemu wzmianka o dzieciach doszczętnie wyprowadziła z równowagi sprzedawcę? Czyżby narodziny były obecnie nielegalne? Czy może raczej uznawano je za temat tabu, tak jak niegdyś seks, i publiczne mówienie o tym uważano za niestosowne?

Tak czy inaczej, postanowił, jeśli mam tu zostać, muszę niezwłocznie ogolić głowę. I jeśli to możliwe, zmienić ubranie.

Musi gdzieś tu być fryzjer. Monety w moich kieszeniach, dorzucił w myślach, mają zapewne ogromną wartość kolekcjonerską.

Rozejrzał się z nadzieją dokoła. Widział jedynie tworzące miasto wysokie, lśniące budynki z metalu i plastiku, konstrukcje, w których zawierano niezrozumiałe dla niego transakcje. Tutejszy świat był mu równie obcy, jak...

Obcy, pomyślał, i słowo rozbrzmiało w jego umyśle zwielokrotnionym echem. Ponieważ... coś wyłoniło się z naprzeciwległych drzwi. Drogę zastąpiła mu — najwyraźniej z premedytacją — śluzowata, pulsująca maź o ciemnożółtej barwie wielkości człowieka. Po chwili maź postąpiła ku niemu, powoli przesuwając się po chodniku. Kolejne



stadium ewolucyjne człowieka? Poul Andersen w zdumieniu cofnął się o krok. Boże... naraz uświadomił sobie, na co patrzy.

Znajdował się w epoce podróży kosmicznych. Miał przed sobą mieszkańca innej planety.

— Hm — mruknął Poul, zwracając się do stwora. — Czy mógłbym zadać ci kilka pytań?

Stwór znieruchomiał. W umyśle Poula powstała myśl nienależąca do niego.

— Przechwyciłem twoje pytanie. Odpowiedź brzmi: przybyłem wczoraj z Kalisto. Widzę jeszcze dodatkowo kilka niezwykłych i interesujących pytań... jesteś podróżnikiem w czasie. — Myśl była zabarwiona uprzejmym rozbawieniem — i zaciekawieniem.

— Tak — odparł Poul. — Przybyłem z 1954 roku.

— I chciałbyś znaleźć fryzjera, bibliotekę oraz szkołę. Wszystko naraz, aby wykorzystać cenny czas dzielący cię od momentu schwytania. — Stwór wyglądał na zatroskanego. — Jak mogę ci pomóc? Mógłbym cię wchłonąć, lecz to oznaczałoby permanentną symbiozę, co by ci się nie spodobało. Myślisz o żonie i dziecku. Pozwól, że wytłumaczę ci kwestię twojej niefortunnej wzmianki o dzieciach. Dzisiejszych Terran obowiązuje przymusowe odroczenie narodzin z uwagi na fakt, że w ciągu ostatnich dekad nadmiernie sobie w tym względzie folgowali. Widzisz, była wojna. Pomędzy fanatycznymi zwolennikami Gutmana i bardziej liberalnymi legionami generała McKinleya. Zwyciężyli ci drudzy.

— Dokąd mam pójść? — zapytał Poul. — Całkiem się pogubiłem. Rozbolała go głowa i czuł się zmęczony nadmiarem wrażeń. Dopiero co stał w towarzystwie Tony'ego Bouchera w hotelu imienia sir Francisa Drake'a, pił drinka i żartował... a tu masz ci los. Stał twarzą w twarz ze śluzowatym przybyszem z Kalisto. Dostosowanie się do sytuacji było — delikatnie rzecz ujmując — nie najłatwiejsze.

— Moją obecność się akceptuje — nadawał stwór. — Ty zaś traktowany tu jesteś jak wybryk natury. Co za ironia. Według mnie wyglądasz zupełnie jak oni, tyle że masz kędzierzawe, brązowe włosy, no i jesteś dziwnie ubrany. — Stwór z Kalisto zamyślił się. — Przyjacielu, polpol to policja polityczna, zajmująca się ściganiem dewiantów, zwolenników pokonanego Gutmana, którzy obecnie osiągnęli status znieawidzonych terrorystów. Wielu z nich wywodzi się z potencjalnie zbrodniczych klas. Są to tak zwani nonkonformiści, inaczej mówiąc introwy. Jednostki, które ustanawiają swój własny subiektywny system wartości w miejsce powszechnie obowiązującego schematu. Z uwagi na fakt, że Gutman prawie przeforsował swoje racje, to dla Terran sprawa życia i śmierci.

— Ukryję się — postanowił Poul.

— Tylko gdzie? W gruncie rzeczy to niemożliwe. Chyba że masz zamiar zejść do podziemia i dołączyć do Gutmanitów, kryminalnego zrzeszenia terrorystycznego... chyba ci na tym nie zależy. Pospacerujmy sobie, a jeśli ktoś cię zaczepi, powiem, że jesteś moim sługą. Ty zostałeś wyposażony w chwytники, a ja nie. Ja przez swoje dziwactwo ubrałem cię w dziwną odzież i kazałem zapuścić włosy. Wówczas odpowiedzialność spadnie na mnie. Tak naprawdę zatrudnianie Terran przez wyższe organizmy spoza Układu wcale nie należy do rzadkości.

— Dzięki — odparł sztywno Poul, podczas gdy stwór podjął wędrówkę po chodniku. — Chciałbym jeszcze jednak...

— Idę do zoo — ciągnął stwór.

Poulowi przysłała do głowy niegrzeczna myśl.

— Proszę — powiedział stwór. — Twoje anachroniczne poczucie humoru jest nie do przyjęcia. Nie jestem mieszkańcem zoo; to przywilej przedstawicieli niższego rzędu, takich jak marsjańskie gleby i traki. Od początku podróży międzyplanetarnych ogrody zoologiczne stały się centrum...

— Czy mógłbyś zaprowadzić mnie na lotnisko? — zapytał Poul jak najobojętniejszym tonem.

— Udając się w miejsca użyteczności publicznej, podejmujesz ogromne ryzyko — oznajmił stwór. — Polpol czuwa.

— Mimo to chcę tam pójść. — Gdyby tylko zdołał wejść na statek, gdyby udało mu się opuścić Ziemię, zobaczyć inne światy...

Naraz uświadomił sobie ze zgrozą, że oni wymażą mu te wydarzenia z pamięci. Muszę robić notatki, pomyślał. I to od zaraz!

— Czy, hm, masz ołówek? — zapytał stwora. — Ach, zczekaj; ja mam. Wybacz. — Oczywiście stwór nie mógł mieć ołówka.

Na skrawku papieru znalezionym w kieszeni — były to jakieś materiały ze zjazdu — w pośpiechu zanotował swoje obserwacje na temat dwudziestego pierwszego wieku. Następnie wepchnął kartkę z powrotem do kieszeni.

— Niegłupie posunięcie — skwitował stwór. — A teraz na lotnisko, o ile nie przeszkadza ci mój powolny krok. Po drodze zapoznam cię ze szczegółami na temat historii Terry, począwszy od twoich czasów. — Stwór pełził po chodniku. Poul ochoczo mu towarzyszył; ostatecznie, cóż innego mu pozostawało? — Związek Radziecki. Wojna z Czerwonymi Chinami, którą toczył w 1983, dotknęła również Izrael i Francję... smutne, ale to rozwiązało problem z Francją — w drugiej połowie dwudziestego wieku stosunki z tym państwem układały się nie najlepiej.

Poul skrzętnie notował.

— Po porażce Francji... — Stwór mówił, a Poul pisał.

— Jeżeli mamy złapać Andersona, nim wejdzie na statek, musimy się rozejrzeć — powiedział Fermeti. Mówiąc „rozejrzeć się”, miał na myśli gruntowne przeszukanie lotniska przy udziale polpolu. Nie znosił uciekać się do takich środków, ale w tej sytuacji nie widział innego wyjścia. Upłynęło zbyt wiele czasu, i nadal ani śladu Andersona.

Na wprost nich rozciągało się lotnisko, ogromny dysk o średnicy kilku mil. Pośrodku widniał Wypalony Punkt powstały w wyniku żaru buchającego z dysz wydechowych startujących i lądujących statków. Fermeti lubił lotnisko, ponieważ tutaj nie było ciasno upakowanych budynków. Tutaj królowała przestrzeń, taka, jaką pamiętał z dzieciństwa... jeśli w ogóle można było snuć podobne wspomnienia.

Terminal mieścił się na głębokości kilkuset stóp pod rekseroidową osłoną mającą chronić czekających w razie katastrofy. Fermeti dotarł na skraj rampy prowadzącej w dół, po czym zatrzymał się niecierpliwie i poczekał na Tozza i Gilly’ego.

— Wezwę polpol — oznajmił bez entuzjazmu Tozzo. I zdecydowanym ruchem zerwał taśmę opinającą mu nadgarstek.

Nad ich głowami natychmiast pojawił się statek polpolu.

— Jesteśmy z Biura Emigracyjnego — wyjaśnił porucznikowi polpolu Fermeti. Przedstawił zarys Projektu i — z ociąganiem — opisał sprowadzenie z przeszłości Poula Andersona.

— Czupryna. — Porucznik skinął głową. — Dziwne ubranie. Dobra, panie Fermeti, rozejrzemy się. — Kiwnął głową i natychmiast odjechał.

— Są skuteczni — przyznał Tozzo.

— Ale niesympatyczni — uzupełnił Fermeti.

— Budzą niechęć — zgodził się Tozzo. — Ale pewnie tak trzeba.

Wszyscy trzej wstąpili na rampę i z zapierającą dech w piersiach szybkością zjechali w dół. Fermeti przymknął oczy. To było równie nieprzyjemne jak sam start. Dlaczego w dzisiejszych czasach wszystko musiało odbywać się z tak zawrotną prędkością? Z rozrzewnieniem wspomniął minioną dekadę, kiedy wszystko przebiegało spokojniej.

Zeszli z rampy, otrząsnęli się i natychmiast stanęli twarzą w twarz z miejscowym szefem polpolu.

— Mamy dane na temat waszego uciekiniera — powiedział ubrany w szary mundur oficer.

— Jeszcze nie odleciał? — zapytał Fermeti. — Chwała Bogu. — Rozejrzał się.

— Tam — odparł oficer, wskazując ręką kierunek.

Poul Andersen stał obok stoiska z gazetami i bacznie przyglądał się wystawie.

Nim upłynęła chwila, otoczyło go trzech pracowników Biura Emigracyjnego.

— Ach, hm, witam — powiedział Andersen. — Pomyślałem sobie, że zanim przyleci mój statek, zdążę prześledzić dzisiejszą prasę.

— Anderson, potrzebujemy pańskich wyjątkowych zdolności — odrzekł Fermeti.

— Przykro mi, ale zabieramy pana z powrotem do Biura.

Anderson zniknął. Korzystając z chwili nieuwagi, ulotnił się niepostrzeżenie, widzieli jego malejącą sylwetkę pędzącą w kierunku wyjścia.

Fermeti z ociąganiem sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej pistolet usypiający.

— Nie mam wyboru — mruknął i nacisnął spust.

Biegająca postać zwinęła się w pól i upadła na ziemię. Fermeti schował pistolet z powrotem do kieszeni.

— Dojdzie do siebie — powiedział beznamiętnym tonem — otarł kolano, nic więcej. — Popatrzyl z ukosa na Tozza i Gilly'ego. — Przyjdzie do siebie w Biurze, ma się rozumieć.

Wszyscy trzej podążyli w kierunku nieruchomej sylwetki leżącej na podłodze poczekalni.

— Może pan wrócić do swojego kontinuum — powiedział cicho Fermeti — jeśli poda nam pan wzór na przywrócenie masy. — Na jego znak pracownik Biura przyniósł staroświecką maszynę marki Royal.

Siedzący na wprost Fermetiego Poul Anderson oznajmił:

— Nie używam przenośnych.

— Odrobinę dobrej woli — poradził mu Fermeti. — My wiemy, jak pomóc panu wrócić do Karen; proszę pamiętać o żonie i nowo narodzonej córce w hotelu imienia sir Francisa Drake'a. Jeśli nie będzie pan z nami współpracował, to i na nas proszę nie liczyć. Zresztą, przy pańskich zdolnościach prekognitywnych już pewno sam pan o tym wie.

— Hm, nie mogę pracować, dopóki nie mam w zasięgu ręki dzbanka świeżo zaparzonej kawy — odparł po chwili Anderson.

Fermeti machnął ręką.

— Przyniesiemy panu ziarna kawy — oświadczył. — Ale parzeniem zajmie się pan sam. Dostarczymy również dzbanek z kolekcji Smithsonian. I na tym koniec.

Anderson uważnie obejrzał maszynę do pisania.

— Czerwono — czarna taśma — powiedział. — Zawsze używam czarnej. Ale jakoś sobie poradzę. — Robił wrażenie nieco przygaszonego. Włożył do maszyny kartkę papieru i zaczął pisać. Na górze strony ukazały się następujące słowa:

NOCNY LOT

Poul Andersen

— Mówicie, że „If” to kupiło? — zapytał Fermetiego.

— Tak — odparł w napięciu Fermeti.

Andersen wystukał:

*Trudności w Outward, Inc. zaczynały działać Edmondowi Fletcherowi na nerwy. Przede wszystkim chodziło o to, że statek zniknął bez śladu i choć nie znał osobiście żadnego z pasażerów, czuł się odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo. Namydlił się impregnowanym hormonami mydłem i...*

— On zaczyna od początku — powiedział uszczypliwie Fermeti. Cóż, skoro nie ma innego wyjścia, musimy się z tym pogodzić. Ciekawe, ile to potrwa... ile czasu zajmuje mu pisanie — mruknął z namysłem. — Jako prekog jest w stanie przewidzieć, co dalej nastąpi, to powinno ułatwić mu szybsze wykonanie zadania. — Czuł, że to jedynie pobożne życzenia.

— Czy jest już kawa? — zapytał Andersen, podnosząc wzrok znad maszyny.

— Zaraz będzie — odrzekł Fermeti.

— Mam nadzieję, że część ziaren będzie kolumbijska — odpowiedział Andersen.

Nim przywieziono ziarna, artykuł został ukończony.

Poul Andersen sztywno powstał z krzesła i rozprostował długie nogi.

— Myślę, że zawiera wszystko, czego wam potrzeba — oświadczył. Wzór na przywrócenie masy znajduje się na dwudziestej stronie maszynopisu.

Fermeti gorączkowo przewrócił kartki. Istotnie był tam; spoglądając przez ramię przełożonego Tozzo przeczytał:

*Stwierdził, że gdyby statek podążał szlakiem zmierzającym prosto ku Proximie, odzyskałby swoją masę przy wykorzystaniu energii słonecznej czerpanej bezpośrednio ze źródła. Tak, to Proxima stanowiła klucz do problemu Torellego, do problemu, który nareszcie, po tak długim czasie, został rozwiązany. W jego umyśle zarysował się prosty wzór.*

Spojrzenie Tozza padło na wzór. Według artykułu masę należało odzyskać dzięki energii słonecznej przekształconej w materię, fundamentalnemu źródłu zasilania we wszechświecie. Odpowiedź cały czas znajdowała się w zasięgu ręki!

Ich mozolne zmagania dobiegły końca.

— Czy teraz — odezwał się Poul Anderson — mogę wrócić do swoich czasów?

— Tak — odparł Fermeti.

— Chwileczkę — powiedział do przełożonego Tozzo. — Chyba czegoś tu nie rozumiesz. — Chodziło mu o fragment zawarty w instrukcji obsługi pogłębiarki czasowej. Odciągnął Fermetiego na stronę, poza zasięg słuchu Andersena. — Nie można odesłać go wzbogaconego o całą zdobytą tutaj wiedzę.

— Jaką znowu wiedzę? — zapytał Fermeti.

— No... nie jestem pewien. Dotyczącą naszego społeczeństwa. Próbuję powiedzieć jedynie to, że pierwszą zasadą podróży w czasie, według podręcznika, jest niewprowadzanie żadnych zmian do przeszłości. W tej sytuacji sprowadzenie tu Andersena zmieniło ją o tyle, że uzyskał informacje na temat naszej rzeczywistości.

— Może masz rację — odrzekł w zamyśleniu Fermeti. — Na przykład w sklepie z pałatkami mógł zobaczyć coś, co zrewolucjonizuje współczesną mu technologię.

— Weźmy na przykład gazety w kiosku na lotnisku — podsunął Tozzo. — Albo samo zjawisko podróży w czasie. Czy też choćby... znajomość faktu, że on i jego koledzy są prekogami.

— Masz absolutną rację — oświadczył Fermeti. — Należy wymazać z jego pamięci wspomnienia o tej podróży. — Odwrócił się i powoli podszedł do Poula Andersena. — Niech pan posłucha — powiedział do niego. — Przykro mi to mówić, ale musimy zniwelować pańskie wspomnienia z pobytu tutaj.

— Szkoda — odparł po chwili Anderson. — Przykro mi to słyszeć. Opuścił wzrok. — Nie dziwi mnie to — wymamrotał. Jego nastawienie do sprawy wydawało się czysto filozoficzne. — Zazwyczaj tak się dzieje.

— Gdzie nastąpi zniekształcenie jego komórek pamięciowych? — zapytał Tozzo.

— W departamencie kryminalistyki — odrzekł Fermeti. — Tymi samymi kanałami, dzięki którym otrzymaliśmy do dyspozycji skazańców. — Celując w Andersena z pistoletu usypiającego, powiedział: — Proszę z nami. Przepraszam... ale to konieczne.

## VI

W departamencie kryminalistyki bezbolesną metodą usunięto Poulowi Andersenowi komórki mózgowie zawierające wspomnienia ostatnich wydarzeń. Następnie na wpół przytomnego zaniecono do pogłębiarki czasowej. Chwilę potem znalazł się drodze powrotnej do 1954 roku i do czekających w hotelu imienia sir Francisa Drake'a żony i dziecka.

Kiedy pogłębiarka wróciła pusta, Tozzo, Gilly oraz Fermeti wydali zgodne westchnienie ulgi i otworzyli butelkę stuletniej whisky, którą Fermeti przechowywał na specjalną okazję. Misja dobiegła końca; teraz mogli poświęcić całkowitą uwagę Projektowi.

— Gdzie jest maszynopis? — zapytał Fermeti, odkładając szklanekę i rozglądając się po gabinecie.

Maszynopis zniknął bez śladu. Podobnie jak i staroświecka maszyna do pisania marki Royal, którą przyniesiono ze Smithsonian. Ale dlaczego?

Tozza przejął nagły chłód. Zrozumiał.

— Chryste — powiedział ochryplym głosem. Odłożył szklanke. Niech ktoś przynie-  
sie kopię czasopisma z tym artykułem. I to zaraz.

— Co się stało, Aaron? Wyjaśnij nam — odrzekł Fermeti.

— Usuwając z jego pamięci wspomnienia o pobycie tutaj, uniemożliwiliśmy mu na-  
pisanie artykułu — wytłumaczył Tozzo. — Musiał oprzeć „Nocny lot” na rzeczywistych  
doświadczeniach. — Chwyciwszy sierpniowy numer „If” z 1955 roku, popatrzył na spis  
treści.

Nie zamieszczono w nim żadnego artykułu autorstwa Poula Andersona. Zamiast  
tego na stronie 78 znajdował się „Model Yancy’ego” Philipa K. Dicka.

Zatem tak czy inaczej zmienili przeszłość, a wzór na przywrócenie masy przepadł  
bezpowrotnie.

— Nie powinniśmy maczać w tym palców — rzucił szorstko Tozzo. W ogóle nie  
trzeba było sprowadzać go tutaj. — Nie panując nad drżeniem rąk, wypił łyk stuletniej  
whisky.

— Kogo sprowadzać? — zapytał Gilly.

— Nie pamiętasz? — odparł z niedowierzaniem Tozzo.

— O czym mówicie? — zapytał niecierpliwie Fermeti. — I co wy dwaj robicie w mo-  
im gabinecie, zamiast pracować? — Jego spojrzenie padło na butelkę whisky i oniemiał.  
— Jakim cudem jest otwarta?

Roztrzęsiony Tozzo przerzucał strony czasopisma. Minione wydarzenia zlewały się  
w jego pamięci; gorączkowo próbował je zatrzymać. Sprowadzili kogoś z przeszłości,  
prekoga, czyż nie? Ale jak się nazywał? Nazwisko wciąż tkwiło w jego pamięci, lecz  
ulatniało się z każdą chwilą... Andersen czy Anderton, coś w tym rodzaju. Miało to coś  
wspólnego z projektem międzygwiazdowego przywracania masy.

A może nie?

Oszołomiony Tozzo potrząsnął głową.

— Mam przed oczami dwa słowa — powiedział. — „Nocny lot”. Czy któryś z was  
wie, czego dotyczą?

— „Nocny lot” — powtórzył jak echo Fermeti. — Nie, nie mam pojęcia. Zastanawia  
mnie jednak... to określenie nadawałoby się na nazwę dla naszego projektu.

— Tak — potwierdził Gilly. — Pewnie o to chodzi.

— Ale przecież nasz projekt nosi nazwę „Topik”, prawda? — zapytał Tozzo.  
Przynajmniej tak mu się zdawało. Zamrugął, usiłując zebrać myśli.

— Prawda wygląda tak — odezwał się Fermeti — że w sumie nigdy nie nadaliśmy  
mu żadnej nazwy. — I dorzucił szorstko: — Ale zgadzam się z tobą; to określenie jest  
najodpowiedniejsze. „Topik”. Tak, podoba mi się.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i na progu stanął umundurowany posłaniec.

— Ze Smithsonian — oznajmił. — Zamawiał pan. — Położył paczkę na biurku Fermetiego.

— Nie przypominam sobie, abym cokolwiek zamawiał — odrzekł Fermeti. Ostrożnie otworzył paczkę i wyjął z niej puszkę mielonej kawy liczącą ponad sto lat.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Dziwne — mruknął Torelli. — To musi być jakaś pomyłka.

— Cóż — odparł Fletcher. — Tak czy inaczej, pora wrócić do projektu „Topik”.

Kiwając głowami, Torelli i Gilman udali się do swojego biura mieszczącego się na pierwszym piętrze Outward, Inc., by wrócić do żmudnej i mozolnej pracy nad projektem.

Na zjeździe science fiction w hotelu imienia sir Francisa Drake’a, Poul Andersen w osłupieniu rozejrzał się wokół. Gdzie do tej pory się znajdował? Dlaczego opuścił budynek? Upłynęła godzina; Tony Boucher i Jim Gunn poszli na kolację, on zaś nigdzie nie widział ani swojej żony Karen, ani dziecka.

Wreszcie przypomniał sobie dwóch entuzjastów z Battlecreek, którzy chcieli, aby obejrzał makietę ustawioną na chodniku. Pewnie spełnił ich prośbę. Mimo usilnych starań nie mógł przypomnieć sobie, co działo się w tym czasie.

Sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu fajki, chcąc ukoić nerwy — i zamiast fajki znalazł w niej złożoną kartkę papieru.

— Masz coś do wystawienia na aukcji, Poul? — zapytał jeden z członków komisji, przechodząc obok. — Aukcja zaraz się zacznie... mamy mało czasu.

Nie odrywając spojrzenia od kartki, Poul odparł:

— Hm, masz na myśli, czy mam coś przy sobie?

— Coś w rodzaju maszynopisu opublikowanego dzieła, oryginalnego manuskryptu albo wcześniejszej wersji. No wiesz. — Tamten przystanął w oczekiwaniu.

— Miałem w kieszeni jakieś notatki — odparł Poul, wciąż na nie spoglądając. Rozpoznał swój charakter pisma, ale ani rusz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy je sporządził. Stwierdził, że dotyczyły podróży w czasie. Pewnie powstały w wyniku nadmiaru bourbona z wodą na pusty żołądek. — Proszę — powiedział niepewnie. — To niewiele, ale chyba możesz je zlicytować. — Obrzucił je ostatnim spojrzeniem. — To notatki do opowiadania o osobniku nazwiskiem Gutman i porwaniu w czasie. I o służowatej mazi obdarzonej nieprzeciętnym ilorazem inteligencji. — Machinalnie wręczył je czekającemu.

— Dzięki — powiedział mężczyzna i poszedł do sali, gdzie odbywała się aukcja.

— Zaoferuję dziesięć dolców — oznajmił z szerokim uśmiechem Howard Browne.

— Potem będę musiał złapać autobus na lotnisko. — Zamknął za sobą drzwi.

Przy boku Poula stanęła Karen z Astrid.



— Masz ochotę pójść na aukcję? — zapytała męża. — Kupić oryginalnego Finlaya?  
— Hm, czemu nie — odparł Poul Andersen i wszyscy troje wolno podążyli śladem  
Howarda Browne'a.

**CO MÓWIAŃ UMARLI**

## I

Ciało Louisa Sarapisa w przezroczystej, anty wstrząsowej trumnie i plastiku wystawiano na widok publiczny, co spowodowało żywe zainteresowanie ze strony ludności. Przy wtórze konwencjonalneania nosem i zawrodzenia przejętych staruszek w czerni, niestrudzone rzesze żałobników defilowały, by oddać mu cześć.

W rogu przestronnego audytorium, gdzie ustawiono trumnę, Johnny Barefoot niecierpliwie czekał na swoją kolej. Nie miał zamiaru oglądać ciała Sarapisa; jego ściśle określone w testamencie zadanie polegało zgoła na czymś innym. Jako spec od public relations Sarapisa miał — po prostu — przywrócić Louisa Sarapisa z powrotem do życia.

— Niech to diabli — mruknął Barefoot, spoglądając na zegarek i stwierdzając, że nim wrota audytorium zostaną wreszcie zamknięte, upłyną kolejne dwie godziny. Poczul głód. Emanujący od strony trumny chłód z każdą chwilą dodatkowo potęgował jego dyskomfort.

Jego żona, Sarah Belle, podeszła z termosem gorącej kawy w ręku.

— Proszę, Johnny. — Uniosła rękę i odgarnęła z czoła kruczoczarne włosy. — Nie wyglądasz najlepiej.

— Nie — przyznał. — To dla mnie za wiele. Nie przepadałem za nim, kiedy żył. Tak samo nie lubię go i teraz. — Wskazał podbródkiem trumnę i rzesze żałobników.

— *Nil nisi bonum* — odrzekła cicho Sarah Belle.

Popatrzył na nią ze złością, nie rozumiejąc znaczenia jej słów. Pewnie mówiła w obcym języku. Sarah Belle posiadała świadectwo ukończenia college'u.

— Cytując królika Thumpera — powiedziała z lekkim uśmiechem Sarah Belle — jeśli nie jesteś w stanie powiedzieć nic dobrego, lepiej zachowaj milczenie. — Dodała: — „Bambi”, klasyka filmowa. Gdybyś chodził ze mną na poniedziałkowe wykłady do Muzeum Sztuki Nowoczesnej...

— Słuchaj — przerwał jej desperacko Johnny. — Nie chcę ożywiać tego zgreda, Sarah Belle; jak ja się w to wpakowałem? Wydawało mi się, że jak wyciągnie kopyta, to będę mógł na dobre pożegnać się z tym całym Biznesem. — Ale nie wszystko potoczyło się zgodnie z planem.

— Odłącz go — poradziła Sarah Belle.

— C... co takiego?

Roześmiała się.

— Masz stracha? Odłącz od sieci układ chłodniczy, to się rozgrzeje. I żadnego ożywienia, nie? — W błękitnoszarych oczach widniało rozbawienie. — Boisz się go. Biedny Johnny. — Poklepała go po ramieniu. — Powinnam rozwieść się z tobą, ale tego nie zrobię; potrzebujesz troskliwej mamusi do opieki.

— Właśnie że nie — odparł. — Louis jest kompletnie bezradny. Odłączenie go byłoby... nieludzkie.

— Ale pewnego dnia, prędzej czy później, będziesz musiał się z nim zmierzyć — stwierdziła półgłosem Sarah Belle. — A dopóki znajduje się w stanie półżycia, przewaga należy do ciebie; z konfrontacji wyjdiesz bez szwanku. — Odwróciła się na pięcie i odeszła, chowając dłonie głęboko do kieszeni w obawie przed zimnem.

Johnny ponuro zapalił papierosa i oparł się o ścianę. Oczywiście jego żona miała rację. W bezpośrednim kontakcie fizycznym półżywy nie stanowił dla istoty żywej żadnej konkurencji. A jednak... Wzbraniał się przed tym, gdyż od dzieciństwa bał się Louisa, który kierował trzema czwartymi transportu handlowego pomiędzy Ziemią a Marsem na podobieństwo modelarza entuzjasty ustawiającego miniaturowe planszy w swojej piwnicy. Tuż przed śmiercią w wieku siedemdziesięciu lat, poprzez Agencję Ochrony Wilhelmina stary kontrolował setkę związanych — i niezwiązanych — gałęzi przemysłu na obu planetach. Rzeczywista wartość jego sieci była nie do oszacowania, nawet do celów podatkowych; podejmowanie jakichkolwiek prób w tym kierunku było nader nierozsądne, nawet dla rządowych ekspertów podatkowych.

Chodzi o moje dzieci, pomyślał Johnny; myślę o dzieciach, które są w szkole, w Oklahomie. Mógłby zadrzeć z Louistem, gdyby nie ciążyły na nim obowiązki głowy rodziny... nic nie liczyło się bardziej niż córki, no i Sarah Belle, oczywiście. Muszę myśleć o nich, nakazał sobie w duchu, czekając na sposobność usunięcia ciała z trumny zgodnie ze szczegółowymi instrukcjami zawartymi w testamencie. Zobaczymy. Prawdopodobnie ma przed sobą w sumie rok półżycia i na pewno będzie chciał podzielić go strategicznie, tak jak na koniec każdego roku podatkowego. Rozdzieli go na dwie dekady, miesiąc tu, miesiąc tam, potem w miarę wygasania terminu może na tydzień. Następnie — na dni.

W końcu pozostanie mu kilka godzin; sygnał osłabnie, wątku iskra energii tła się w zamrożonych komórkach mózgowych... zadrży, słowa płynące ze wzmacniacza

ucichną, staną się niewyraźne. Zapadnie cisza, po której nastąpi złożenie do grobu. Ale od tamtej chwili może dzielić go dwadzieścia pięć lat; nadejdzie rok 2100, zanim procesy mózgowo starego ostatecznie ustaną.

Pałac pospiesznie papierosa, Johnny Barefoot wrócił myślami do dnia, kiedy nieśmiało przestąpił próg działu kadr Przedsiębiorstwa Archimedejskiego i mrukliwie oznajmił panience przy biurku, że szuka pracy; miał na sprzedaż kilka błyskotliwych pomysłów, pomysłów, które pomogą zwalczyć zmorę strajków powstałych na tle różnic interesów rywalizujących ze sobą związków. Pomysłów, które — ujmując ściślej — ostatecznie uwolnią Sarapisa od konieczności polegania na pracy związków. Zdawał sobie sprawę z tego, że plan był podły, jednak nie mylił się co do jednego — idea mogła przynieść mu krocie. Dziewczyna wysłała go do pana Pershinga, kierownika działu kadr, który następnie odesłał go do samego Louisa Sarapisa.

— Chce pan przez to powiedzieć — zapytał Sarapis — że mam wysyłać transporty z oceanu? Z Atlantyku, poza trzymilowym pasem brzegowym?

— Związek jest organizacją państwową — tłumaczył Johnny. — Jurysdykcja żadnego ugrupowania nie obejmuje otwartego morza. Organizacja handlowa ma jednak charakter międzynarodowy.

— Potrzebowałbym tam ludzi; tyle samo co tu, może nawet więcej. Skąd ich wezmę?

— Niech pan jedzie do Birmy, Indii czy Malezji — poradził Johnny. Zbierze tam młodych, niewykwalifikowanych pracowników i przywiezie ich tutaj. Niech pan sam przyuczy ich do zawodu na zasadach umowy obustronnej. Innymi słowy, proszę odciąć koszt podróży z ich zarobków. Wiedział, że to świństwo. Wiedział też, że spotka się z oczekiwanym odzewem. Małe imperium na otwartym morzu obsługiwane przez ludzi pozbawionych praw. Ideał.

Sarapis postąpił zgodnie z jego radą i zatrudnił Johnny'ego w departamencie *public relations*; było to najlepsze miejsce dla człowieka z błyskotliwymi pomysłami o charakterze nietechnicznym. Inaczej mówiąc, dla człowieka niewykształconego — nonszkola. Dla bezużytecznego outsidera skłóconego z życiem. Dla samotnika bez dyplomu.

— Hej, Johnny — zagał kiedyś Sarapis. — Jakim cudem, mając taki łeb, nigdy nie poszedłeś do szkoły? Wszyscy wiedzą, że w dzisiejszych czasach to samobójstwo. Autodestrukcyjny impuls? — Ukazał w uśmiechu równy rząd zębów ze stali nierdzewnej.

Odparł posępnie:

— Trafiłeś w sedno, Louis. Chcę umrzeć. Nienawidzę siebie. — Przypomniał sobie wtedy swój nikczemny pomysł. Ale przecież wpadł na niego na długo po tym, jak rzucił szkołę, więc sęk tkwił w czym innym. Może powinienem pójść do analityka.

— Oszuści — oświadczył Louis. — Wszyscy, co do jednego. Wiem o tym, bo mam ich u siebie sześciu i niekiedy biorę któregoś na własny użytek. Twój problem polega na tym, że jesteś typem zazdrośnika; jeśli czujesz, że nie stać cię na wiele, dajesz za wygraną, przeraża cię długa, mozolna droga na szczyt.

Ależ stać mnie na wiele, uświadomił sobie tak jak wtedy Johnny Barefoot. Przecież pracuję dla ciebie. Każdy chce pracować dla Louisa Sarapisa; on daje zatrudnienie najróżniejszym ludziom.

Podwójny rząd żałobników przechodził wzdłuż trumny... przyszło mu do głowy, że wszyscy ci ludzie mogli być pracownikami Sarapisa albo krewnymi pracowników. Bądź też ludźmi, którzy korzystali z zasiłku, który Sarapis przeforsował w Kongresie i uprawomocnił podczas recesji trzy lata wcześniej. Sarapis, na starość wielki orędownik biednych, głodnych i bezrobotnych. Pomysłodawca garkuchni, do których również ustawiały się kolejki. Takie jak dziś.

Być może stali w nich ci sami ludzie.

Strażnik trącił Johnny'ego w bok, przyprawiając go o kołatanie serca.

— Pan Barefoot, P. R. starego Louisa?

— Owszem — odparł Johnny. Zgasił papierosa i odkręcił pokrywkę termosu, który przyniosła mu Sarah Belle. — Niech pan się napije — zaproponował. — Chyba że jest pan przyzwyczajony do tego zimna. — Władze miasta Chicago udostępniły audytorium do złożenia ciała Louisa w podzięcie za jego liczne zasługi dla regionu. Za fabryki, które otworzył, i za ludzi, których umieścił na swojej liście płac.

— Nie jestem przyzwyczajony — powiedział strażnik, przyjmując kubek. — Wie pan, panie Barefoot, zawsze pana podziwiałem. Jest pan nonszkolem, a tu proszę, jaki awans, nie wspominając o sławie. Dla nas, innych nonszkoli, jest pan prawdziwym wzorem.

Chrzążając, Johnny upił łyk swojej kawy.

— Oczywiście — ciągnął strażnik — tak naprawdę powinniśmy podziękować Sarapisowi za to, że dał panu pracę. Mój szwagier pracował dla niego; było to pięć lat temu, kiedy nikt prócz Sarapisa nikogo nie zatrudniał. Słyszał pan, że z niego był stary wyjadacz, stawał na drodze związkom, i w ogóle. Ale dał zasiłki wielu rencistom... mój ojciec żył z tego aż do śmierci. I te wszystkie akty prawne, które przepchnął przez Kongres; bez nacisku ze strony Sarapisa nie zatwierdzono by żadnej ustawy o opiece społecznej.

Johnny odchrząknął.

— Nic dziwnego, że dzisiaj przyszło tu tyle osób — skwitował strażnik. — Kto pomoże nam, maluczkim, teraz, gdy jego zabrakło?

Johnny nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie ani sobie, ani strażnikowi.

Jako właściciel Moratorium Ukochanych Współbraci Herbert Schönheit von Vogelsang czuł się zobowiązany do konsultacji ze słynnym radcą prawnym świętej pa-

mięci pana Sarapisa, panem Claudem St. Cyr. Potrzebował dokładnych informacji na temat rozplanowania okresów pólzycia; do niego należało sprawowanie pieczy nad techniczną stroną pobytu w moratorium.

Mimo iż problem miał wyraźnie rutynowy charakter, prawie natychmiast pojawiły się kłopoty. Kontakt z panem St. Cyrem, administratorem majątku, okazał się niemożliwy.

Cholera, pomyślał Schönheit von Vogelsang, odwieszając słuchawkę. Coś tu jest nie tak; brak połączenia z tak ważną osobistością był nie do pomyślenia.

Dzwonił z chłodni, gdzie przechowywano wszystkich pólzywych. W tej chwili w recepcji pojawił się zatroskany osobnik o urzędniczym wyglądzie z kwitem w dłoni. Najwyraźniej przybył po odbiór krewnego. Dzień Zmartwychwstania — święto wszystkich pólzywych — był za pasem; wkrótce zacznie się wzmożony ruch.

— Słucham pana — powiedział z grzecznym uśmiechem Herb. — Osobiście odbiorę pański kwit.

— Chodzi o staruszkę — odrzekł klient. — Około osiemdziesiątki, bardzo drobna i zasuszona. Nie chcę rozmawiać; wolałbym zabrać ją na jakiś czas. To moja babka — wyjaśnił

— Chwileczkę — powiedział Herb i wrócił do chłodni, aby wyszukać numer 3054039-B.

Kiedy odnalazł właściwą osobę, rzucił okiem na kartę kontrolną; pozostało zaledwie piętnaście dni pólzycia. Machinalnie wsunął wzmacniacz protofazonów do obudowy szklanej trumny i ustawił odpowiednią częstotliwość w poszukiwaniu śladów aktywności mózgowej.

Z głośnika napłynął niewyraźny głos: „...i wtedy Tillie skręciła kostkę i nie sądziliśmy, że ją wyleczy; była taka niemądra, od razu chciała zacząć chodzić...”

Z zadowoleniem odłączył wzmacniacz i polecił pracownikowi przetransportować 3054039 — B na platformę załadowniczą, gdzie klient mógł umieścić ją w swoim helikopterze lub samochodzie.

— Sprawdził pan? — zapytał klient, wpłacając należną kwotę.

— Osobiście — zapewnił go Herb. — Funkcjonuje bez zarzutu. Uśmiechnął się do klienta. — Szczęśliwego Dnia Zmartwychwstania, panie Ford.

— Dziękuję — odparł klient, kierując się stroną platformy.

Kiedy umrę, pomyślał Herb, rozkażę krewnym ożywiać mnie na jeden dzień co sto lat. Tym sposobem będę mógł śledzić losy ludzkości. Pociągałoby to jednak za sobą znaczne koszty i bez wątpienia prędzej czy później krewni zbuntowaliby się, kazaliby wyjąć ciało z chłodni i — Boże uchowaj — pogrzebać.

— Grzebanie zmarłych to barbarzyństwo — oświadczył Herb. — Pozostałość naszych prymitywnych korzeni.

— Tak, proszę pana — przyznała znad maszyny do pisania panna Beasman, jego sekretarka.

W rozmównicy kilka osób siedzących wzdłuż naw oddzielających trumny porozumiewało się ze swoimi półżywymi krewnymi. Ci wierni, przybywający regularnie, by oddać hołd zmarłym, stanowili widok, który podnosił na duchu. Przynosili wieści ze świata; rozweselali półżywych w chwilach aktywności umysłowej. I — płacili Herbowi Schönheit von Vogelsangowi. Moratorium było przedsięwzięciem przynoszącym znaczne zyski.

— Mój ojciec wydaje się dosyć słaby — powiedział młody człowiek, zwracając na siebie uwagę Herba. — Czy mógłby pan go sprawdzić? Byłbym wdzięczny.

— Naturalnie — odpowiedział Herb, idąc za klientem w kierunku trumny jego zmarłego krewnego. Według karty kontrolnej do wygaśnięcia terminu pozostało mu tylko kilka dni; tłumaczyło to osłabione funkcjonowanie procesów mózgowych. Chociaż... wyregulował wzmacniacz i głos półżywego nieco przybrał na sile. Jest już prawie u kresu sił, stwierdził w duchu Herbert. Było jasne, że syn woli nie patrzeć na kartę i nie wiedzieć, że kontakt z ojcem zbliża się do nieuchronnego końca. Herb zachował więc milczenie i odszedł, pozostawiając syna w duchowym kontakcie ze zmarłym. Po co mu mówić? Po co być zwiastunem złego?

Na platformie załadowniczej pojawiła się ciężarówka i zeskoczyło z niej dwóch mężczyzn w znajomych błękitnych uniformach. Atlas Interplan Van & Storage, uświadomił sobie Herb. Przywożą kolejnego zmarłego albo przyjechali po kogoś, czyj termin już upłynął. Ruszył w ich kierunku.

— Słucham panów — powiedział.

Kierowca wychylił się z szoferki i zawołał:

— Przywieźliśmy pana Louisa Sarapisa. Macie przygotowane stanowisko?

— Oczywiście — odparł bez wahania Herb. — Nie mogę jednak skontaktować się z panem St. Cyr, aby ustalić szczegóły harmonogramu. Kiedy należy go ożywić?

Zza ciężarówki wyszedł ciemnowłosy mężczyzna o czarnych, okrągłych oczach.

— Nazywam się John Barefoot. Zgodnie z wolą zmarłego, opieka nad ciałem pana Sarapisa spoczywa na mnie. Należy niezwłocznie go ożywić; takie otrzymałem polecenie.

— Rozumiem — odrzekł Herb, kiwając głową. — Dobrze więc. Wnieście go do środka i zaraz go ożywimy.

— Zimno tu — stwierdził Barefoot. — Gorzej niż w audytorium.

— Ma się rozumieć — odparł Herb.

Żałoga ciężarówki przetransportowała trumnę do środka budynku. Herb ujrzał w przelocie wielką, poszarzałą twarz zmarłego przypominającą z wyglądu odlew gipsowy..Stary pirat, pomyślał. Dobrze się składa dla nas wszystkich, że wreszcie umarł,



nawet mimo tej jego działalności charytatywnej. Zresztą na co komu dobroczynność? Zwłaszcza jego. Oczywiście Herb nie wypowiedział tego na głos; ograniczył się do wskazania załodze drogi do przygotowanego miejsca.

— Za kwadrans będzie mówił — obiecał Barefootowi, który spoglądał na niego z wyraźnym napięciem. — Niech pan się nie martwi; na tym etapie nie napotykalismy prawie żadnych przeszkód. Początkowa aktywność mózgowa jest zazwyczaj dosyć intensywna.

— Pewnie dopiero później — powiedział Barefoot — w miarę jak gaśnie... wtedy następują problemy techniczne.

— Dlaczego zależy mu na tak szybkim ożywieniu? — zapytał Herb.

Barefoot obrzucił go ponurym spojrzeniem i nie odpowiedział.

— Przepraszam — powiedział Herb i wrócił do manipulowania przewodami, które należało dokładnie dopasować do terminali katodowych trumny. — W niskich temperaturach — mruknął — ciąg energetyczny jest praktycznie nieprzerwany. Przy minus 150 stopniach znika opór. Tak więc... — Dokręcił nakrętkę anodową. — Sygnał powinien być donośny i wyraźny. — Na potwierdzenie ostatnich słów uruchomił wzmacniacz.

Szum. Nic więcej.

— I co? — zapytał Barefoot.

— Sprawdzę jeszcze raz — odparł Herb, zachodząc w głowę, co poszło nie tak.

— Niech pan posłucha — wycedził Barefoot — jeśli w wyniku pańskiego błędu iskra zgaśnie... — Nie musiał kończyć; Herb wiedział.

— Czy on aby nie chce uczestniczyć w Demokratyczno-Republikańskim Zjeździe Państwowym? — zapytał Herb. Zjazd miał się odbyć w tym samym miesiącu w Cleveland. W przeszłości Sarapis angażował się w zakulisową działalność podczas zjazdów elekcyjnych partii demokratyczno-republikańskiej oraz liberalnej. Wieść niosła, że osobiście wyznaczył ostatniego kandydata z ramienia tej pierwszej, Alfonsa Gama. Schludny, przystojny Gam przegrał niewielką liczbą głosów.

— Dalej nic? — zapytał Barefoot.

— Hm, wydaje mi się, że... — zaczął Herb.

— Nic. To jasne. — Barefoot przybrał posępny wyraz twarzy. — Jeśli nie ożywi go pan w ciągu kolejnych dziesięciu minut, ja skontaktuję się z Claudem St. Cyrem, zabierzemy Louisa z pańskiego moratorium i postawimy panu zarzut zaniedbania.

— Robię, co w mojej mocy. — Spocony Herb majstrował przy przewodach. — Proszę pamiętać, że inicjacja została przeprowadzona bez uprzedniego ładowania; błąd mógł powstać z tego powodu.

W miejsce szumu pojawiły się trzaski.

— Czy to on? — zapytał Barefoot.

— Nie — odparł doszczętnie wytracony z równowagi Herb. Był to w gruncie rzeczy zwiastun najgorszego.

— Niech pan próbuje dalej — polecił Barefoot. Rozkaz był jednak zbędny; Herbert Schönheit von Vogelsang desperacko czerpał z doświadczenia zgromadzonego przez lata działalności w branży. Bez rezultatu; Louis Sarapis milczał jak grób.

Wszystko na nic, uświadomił sobie ze zgrozą Herb. Nie rozumiem dlaczego. NA CZYM POLEGA BŁĄD? Taki poważny klient i taka porażka. Skupił się na pracy, nie mając odwagi podnieść oczu na Barefoota.

Siedzący przy radioteleskopie w pobliżu Trzęsawiska Kennedy'ego na ciemnej stronie Luny główny technik Owen Angress odebrał sygnał pochodzący z rejonu oddalonego o tydzień świetlny od Układu Słonecznego. Normalnie ten fragment przestrzeni nie wzbudziłby zainteresowania natowskiej Komisji do Spraw Komunikacji Kosmicznej, ale tym razem, uświadomił sobie Owen Angress, mieli do czynienia z precedensem.

Z nadajnika wzmocnionego wielką anteną radioteleskopu dobiegał słaby, lecz bez wątpienia ludzki głos.

— ...pewnie przejdzie im to koło nosa — stwierdził głos. — O ile ich znam, a wydaje mi się, że tak. Ten Johnny; gdybym spuścił go z oczu, od razu stoczyłby się na dno, ale przynajmniej nie jest łajdakiem jak St. Cyr. Miałem rację, zwalniam St. Cyra. Jeżeli wytrwam przy swoim... — Głos umilkł.

Co to ma być? — zastanawiał się zdumiony Angress.

— Jedna pięćdziesiąta sekundy świetlnej — mruknął, pospiesznie zaznaczając miejsce na wielkiej mapie, którą wyrysowywał od nowa. — Nic. Tylko chmury pyłu. — Nie rozumiał znaczenia sygnału; czy to pogłos z jakiegoś pobliskiego nadajnika? Innymi słowy, zwyczajne echo? Czy też niewłaściwie odczytał dane?

Na pewno w grę wchodziła pomyłka. Jakiś osobnik snuł; rozważania przy nadajniku poza Układem Słonecznym... bez pośpiechu, jak gdyby w półśnie, swobodnie kojarząc fakty... przecież to bez sensu.

Lepiej zgłoszę to Wycoffowi z Radzieckiej Akademii Nauk, postanowił w duchu. Wycoff pełnił aktualnie funkcję jego przełożonego; w przyszłym miesiącu jego miejsce zajmie Jamison z MIT. Może to dalekobieżny statek, który...

Głos ponownie rozbrzmiał z całą siłą:

— Gam to głupiec; wybranie go było nierozsądne. Teraz wiem lepiej, ale na to już za późno. Halo? — Myśli wyostrzyły się, słowa napłynęły wyraźniej. — Wracam? Na miłość boską, najwyższy czas. Hej! Johnny! Czy to ty?

Angress chwycił za słuchawkę i wykręcił numer kierunkowy do Związku Radzieckiego.

— Odezwij się, Johnny! — poprosił żałośnie głos. — Dalej, synu; mam tyle rzeczy do powiedzenia. I tyle do zrobienia. Zjazd jeszcze się nie rozpoczął, prawda? Straciłem tutaj poczucie czasu, nic nie widzę ani nie słyszę; poczekaj tylko, aż sam tu trafisz, wtedy zobaczysz... — Głos ponownie ucichł.

Dokładnie to Wycoff określa mianem zjawiska”, stwierdził Angress.

Już rozumiem, dlaczego.

## II

W wieczornych wiadomościach Claude St. Cyr usłyszał, jak spiker mówi coś o odkryciu dokonanym za pomocą radioteleskopu na Lunie, ale nie poświęcił temu większej uwagi: pochłaniało go mieszanie martini dla gości.

— Tak — powiedział do Gertrudy Harvey — jak na ironię własnoręcznie sporządziłem testament wraz z punktem, który z chwilą śmierci Louisa automatycznie powodował moje zwolnienie. I powiem ci, dlaczego on co zrobił; żywił wobec mnie paranoidalne podejrzania. Wymyślił sobie, że w ten sposób zabezpiecza się na wypadek... — urwał, starannie odmierzając wytrawne wino do kieliszka z ginem — ...przedwczesnego odejścia. Uśmiechnął się i ułożona we wdzięcznej pozie obok niego Gertruda odpowiedziała mu uśmiechem.

— Na niewiele mu się to zdało — skomentował Phil Harvey.

— Do licha — zaoponował St. Cyr. — Nie maczałem rąk w jego śmierci; to był zator, wielki tłusty skrzep uwięziony niczym w szyjce od butelki. — Roześmiał się na samo wyobrażenie. — Natura poradziła sobie bez niczyjej pomocy.

— Posłuchajcie — rzuciła Gertruda. — W telewizji mówią coś dziwnego. — Wstała, podeszła do telewizora i przyłożyła ucho do głośnika.

— To pewnie ten idiota Kent Margrave — powiedział St. Cyr. — Kolejne przemówienie polityczne. — Margrave sprawował urząd prezydencki itd czterech lat; liberał, zwyciężył w rozgrywce z Alfonsem Gamem, faworytem Louisa Sarapisa. W gruncie rzeczy Margrave pomimo swoich niedociągnięć był niezłym politykiem; udało mu się przekonać rzesze wyborców, że marionetka Sarapisa nie była najlepszym kandydatem na fotel płowy państwa.

— Nie — odparła Gertruda, starannie wygładzając spódnicę na gołych kolanach. — To chyba... agencja kosmiczna. Nauka.

— Nauka! — wykrzyknął ze śmiechem St. Cyr. — Cóż, posłuchajmy wiec; podziwiam naukę. Zrób głośniej. — Pewnie odkryli kolejną planetę w Układzie Oriona, pomysłał. Coś jeszcze, by przydać sensu naszej kolektywnej egzystencji.

— Głos — perorował spiker — pochodzący z przestrzeni kosmicznej wprawił amerykańskich i radzieckich naukowców w stan najwyższego zdumienia.

— Tylko nie to — zakrztusił się St. Cyr. — Głos z przestrzeni kosmicznej, błagam, przestańcie. — Śmiejąc się w kułak, odszedł od telewizora; nie był w stanie dłużej tego słuchać. — Właśnie tego nam trzeba — powiedział do Phila. — Głosu, który okaże się głosem... no wiesz.

— Czym? — zapytał Phil.

— Boga, oczywiście. Radioteleskop przy Trzęsawisku Kennedy'ego odebrał głos Boga i otrzymamy kolejny zestaw boskich przykazań, a przynajmniej kilka zwojów. — Zdjąwszy okulary, przetarł oczy chustką z irlandzkiego płótna.

— Osobiście zgadzam się z żoną — odrzekł z uporem Phil Harvey. Według mnie to fascynujące.

— Posłuchaj, przyjacielu — powiedział St. Cyr. — Dobrze wiesz, że wyjdzie na jaw, iż ów głos pochodzi z tranzystora zgubionego przez japońskiego studenta w czasie wycieczki na Kalisto. Radio wydostało się poza obręb Układu Słonecznego, teleskop odebrał sygnał i teraz naukowcy robią z tego wielką zagadkę. — Spowaźniał. — Wyłącz to, Gert; mamy do omówienia poważniejszą sprawę.

Posłuchała go z ociąganiem.

— Czy to prawda, Claude — zapytała, wstając — że w moratorium nie udało się ożywić Louisa? I że wbrew zamierzeniom nie jest on obecnie w stanie półżycia?

— Nikt z organizacji nie dzieli się już ze mną takimi informacjami — odpowiedział St. Cyr. — Ale rzeczywiście doszły mnie takie słuchy. W istocie wiedział, że to prawda; miał w Wilhelminie wielu przyjaciół, ale nie lubił mówić o swoich powiązaniach. — Tak, przypuszczam, że to prawda — skwitował.

Gertruda zadrżała.

— Wyobraźcie sobie niemożność powrotu. Jakie to straszne.

— Kiedyś to było normalne — zauważył jej mąż, pijąc martini. — Przed początkiem naszego stulecia nikt nie doświadczał stanu półżycia.

— Ale my jesteśmy do tego przyzwyczajeni — odparła przekornie.

St. Cyr zwrócił się do Phila Harveya:

— Wróćmy do naszej rozmowy.

Wzruszając ramionami Harvey odparł:

— Dobrze, o ile według ciebie jest o czym mówić. — Obrzucił St. Cyr krytycznym spojrzeniem. — Mógłbym włączyć cię do mojego zespołu prawników. Jeżeli ci na tym zależy. Ale nie masz co liczyć na pracę, jaką miałeś u Louisa. To nie byłoby w porządku wobec moich ludzi.

— Ależ ma się rozumieć — odpowiedział St. Cyr. Ostatecznie, w porównaniu z imperium Sarapisa firma transportowa Harveya była nieduża; Harvey nie należał do potentatów w branży.

Lecz dokładnie o to chodziło St. Cyrowi. Wierzył, że jego doświadczenie oraz kontakty, które nawiązał, pracując dla Louisa Sarapisa, w ciągu jednego roku umożliwią mu zdetronizowanie Harveya i przejęcie Elektra Enterprises.

Pierwsza żona Harveya miała na imię Elektra. St. Cyr znał ją i kiedy rozstała się z Harveyem, nie przestali się widywać, choć ich obecne kontakty nabrały bardziej osobistego — i duchowego — charakteru. Odnosił wrażenie, że Elektra Harvey fatalnie wyszła na rozstaniu z mężem, który celem przechytrzenia jej pełnomocnika — nomen omen młodszego wspólnika St. Cyra, Harolda Faine'a — zatrudnił sztab utalentowanych prawników. Od czasu jej porażki w sądzie St. Cyr nie przestał się obwiniać; dlaczego sam nie zajął się jej sprawą? Był jednak do tego stopnia zaangażowany w pracę dla Sarapisa... to po prostu nie wchodziło w rachubę.

Teraz, gdy Sarapis odszedł, a wraz z nim kariera w Atlasie, Wilhelminie i Archimdejskim, mógł poświęcić trochę czasu na odzyskanie równowagi; mógł przyjść z pomocą kobiecie, którą — jak sam przyznawał — naprawdę kochał.

Jednak od przewidywanego finału wiele go jeszcze dzieliło; najpierw musiał wkupić się w łaski Harveya — i to za wszelką cenę. Był ku temu na najlepszej drodze.

— Zatem umowa stoi? — zapytał Harveya, wyciągając rękę.

— Niech ci będzie — odparł bez entuzjazmu tamten. Wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie. — Tak przy okazji — powiedział Harvey. — Mam pewne informacje... niepełne, aczkolwiek najpewniej trafne... co do rzeczywistych przyczyn wykluczenia cię z testamentu. Nie powiem, że zgadzają się z twoją wersją.

— Czyżby? — zapytał St. Cyr, usiłując nadać swemu głosowi obojętny ton.

— O ile dobrze zrozumiałem, podejrzewał kogoś, przypuszczalnie ciebie, o chęć powstrzymania go przed powrotem do półzycia. Sądził, że miałeś zamiar wybrać moratorium, gdzie miałeś swoje powiązania... dzięki którym próby ożywienia go spaliłyby na panewce. — Uważnie popatrzył na St. Cyra. — Dziwnym trafem właśnie to się zdarzyło.

Zapadła cisza.

Pierwsza przerwała ją Gertruda.

— Dlaczego Claude'owi miałyby zależeć na tym, aby nie ożywiono Louisa Sarapisa?

— Nie ma pojęcia — stwierdził Harvey. W zamyśleniu potarł podbródek. — Nie w pełni rozumiem też samo zjawisko półzycia. Czy to prawda, że półżywy często posiada przenikliwość i punkt widzenia obce mu za życia?

— Słyszałam takie opinie psychologów — potwierdziła Gertruda. — To właśnie dawni teologowie nazywali nawróceniem.

— Może Claude obawiał się, że Louis go przejrzy — podsunął Harvey. — Ale naturalnie to tylko domysły.

— Bezpodstawne domysły — uzupełnił Claude St. Cyr. — Łącznie z opisywanym przez ciebie domniemanym planem; tak naprawdę, to nie znam nikogo z branży mordercyjnej. — Z wysiłkiem nadał swemu głosowi rzeczowy ton. Temat był jednak dość śliński, uznał. I niezręczny.

Pokojówka weszła do pokoju, by oznajmić, że podano kolację. Phil i Gertruda wstali, Claude dołączył do nich i wszyscy razem przeszli do jadalni.

— Powiedz mi — rzekł do Claude'a Phil Harvey. — Kto jest spadkobiercą Sarapisa?

— Jego wnuczka mieszkająca na Kalisto — odparł St. Cyr. — Nazywa się Kathy Egmont i podobno niezła z niej dziwaczka... ma około dwudziestu lat i na koncie pięć odsiadek, głównie za narkotyki. Podobno ostatnio wyleczyła się z nałogu i dla odmiany została gorliwą fanatyczką religijną. Nigdy jej nie spotkałem, ale pośredniczyłem w przekazywaniu stosów korespondencji pomiędzy nią a Louisem.

— I to ona otrzyma cały majątek po dopełnieniu wszystkich formalności prawnych? Razem z całą zawartą w nim władzą polityczną?

— Ależ skąd — odrzekł St. Cyr. — Nie można przecież, ot tak, przekazać komuś władzy. Kathy przejmie jedynie dobra materialne należące do Wilhelmina Securities, przedsiębiorstwa holdingowego działającego zgodnie z prawem stanu Delaware, Wszystko to należy do niej, jeśli będzie chciała z tego skorzystać... jeśli w ogóle jest w stanie pojąć, co przez to zyska.

— Nie wydajesz się optymistą — zauważył Phil Harvey.

— Jej listy wskazywały na to — przynajmniej według mojej oceny — że jest chora, zdeprawowana, ekscentryczna i niezrównoważona psychicznie. To ostatnia osoba, którą widziałbym na miejscu Louisa.

Z tymi słowami zasiadł do stołu.

Kiedy w nocy rozzwonił się telefon, Johnny Barefoot z rozmachem usiadł na łóżku i po omacku sięgnął po słuchawkę. Leżąca obok niego Sarah Belle poruszyła się przez sen.

— Halo? Kto mówi, do diabła?

— Przepraszam, panie Barefoot — odpowiedział cichy, kobiecy głos. — Nie chciałam pana obudzić. Mój pełnomocnik polecił mi niezwłocznie skontaktować się z panem zaraz po przylocie na Ziemię. — Dodała: — Mówi Kathy Egmont, chociaż obecnie nazywam się Kathy Sharp. Wie pan, kim jestem?

— Tak — odrzekł Johnny, przecierając oczy i ziewając. Zadrżał pod wpływem panującego w sypialni zimna; Sarah Belle owinęła się szczelnie kołdrą i przewróciła na drugi bok. — Czy mam odebrać panią z lotniska? Ma pani gdzie spać?

— Nie mam na Terze żadnych przyjaciół — powiedziała Kathy. — Na lotnisku powiedziano mi, że Beverly to dobry hotel, a więc pojedę tam. Wyruszyłam z Kalisto na wieść o śmierci dziadka.

— Pospieszyła się pani — odparł. Nie oczekiwał jej przyjazdu jeszcze przez kolejną dobę.

— Czy jest szansa... — Dziewczyna urwała nieśmiało. — Czy mogłabym zatrzymać się u pana, panie Barefoot? Przeraza mnie myśl o samotnym pobycie w obcym hotelu.

— Przykro mi — odrzekł bez zastanowienia. — Jestem żonaty. — I natychmiast uświadomił sobie, że odpowiedź była nie tylko niefortunna, ale wręcz obraźliwa. — Chodziło mi o to — pospieszył z wyjaśnieniem — że nie mamy pokoju gościnnego. Proszę dzisiejszą noc spędzić w Beverly, a jutro wymyślimy coś lepszego.

— Dobrze — odpowiedziała z rezygnacją Kathy. W jej głosie nadal pobrzmiwał lęk. — Niech pan mi powie, panie Barefoot, jak powiodła się próba ożywienia dziadka? Czy jest już w stanie półżycia?

— Nie — odparł Johnny. — Dotychczasowe próby kończyły się fiaskiem. Wciąż podejmowane są starania w tym kierunku.

Kiedy opuszczał moratorium, pięciu techników głowiło się nad rozwiązaniem problemu.

— Tak właśnie przypuszczałam — odparła Kathy.

— Dlaczego?

— Cóż, mój dziadek... różnił się od innych. Pewnie dobrze pan o tym wie, może nawet lepiej niż ja... ostatecznie spędzał pan z nim więcej czasu. Ale... po prostu trudno mi wyobrazić go sobie znieruchomiałego, tak jak pozostali półżywi. Biernego i bezradnego, wie pan, co mam na myśli. Czy po tym wszystkim, czego dokonał, panu przychodzi to bez trudu?

— Porozmawiamy o tym jutro — odpowiedział Johnny. — Przyjadę do hotelu około dziewiątej. Zgoda?

— Tak, świetnie. Miło mi pana poznać, panie Barefoot. Mam nadzieję, że zostanie pan w Archimedejskim i będzie dalej pracował dla mnie. Do Widzenia. — Rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Moja nowa szefowa, pomyślał Johnny. Proszę, proszę.

— Kto to był? — zapytała sennie Sarah Belle. — O tej porze?

— Właściciel Archimedejskiego — odparł Johnny. — Mój pracodawca.

— Louis Sarapis? — Żona od razu usiadła na łóżku. — Ach... masz na myśli jego wnuczkę; przyjechała. Jaki ma głos?

— Trudno powiedzieć — stwierdził z namysłem. — Raczej przestraszony. W porównaniu z Terrą, świat, z którego pochodzi, jest bardzo mały i ograniczony. — Nie podzielił się z żoną informacjami na temat nałogu Kathy i jej pobytu w więzieniu.

— Czy może od razu wejść w posiadanie majątku? — zapytała Sarah Belle. — Nie musi czekać, aż półżycie Louisa dobiegnie końca?

— Z prawnego punktu widzenia Louis jest martwy. Jego testament wszedł w życie. — Poza tym dorzucił kwaśno w duchu, on wcale nie jest w stanie półżycia; leży cicho w swojej trumnie, nie reagując na podłączone do niego urządzenia.

— Myślisz, że się dogadacie?

— Nie wiem — odparł szczerze. — Nie wiem nawet, czy jestem gotów spróbować. — Nie podobało mu się, że ma pracować dla kobiety, zwłaszcza młodszej od siebie. I w dodatku — jak głosiła plotka — chorej psychicznie. Przez telefon jednak wcale nie wydawała się chora. Rozbudzony rozważył w myślach sytuację.

— Podejrzewam, że jest bardzo ładna — powiedziała Sarah Belle. Pewnie zakochasz się w niej i zostawisz mnie.

— Akurat — odrzekł. — Nie bierz pod uwagę tak drastycznych rozwiązań. Sądzę, że podejmę pracę, wytrzymam kilka miesięcy, po czym dam za wygraną i rozejrzę się za czymś innym. — Tymczasem jednak, przyszło mu do głowy, CO Z LOUISEM? Zdołamy go ożywić czy nie? To była wielka niewiadoma.

Gdyby udało się ożywić starego, mógłby pokierować wnuczką. Pomimo faktu, że zarówno z prawnego, jak i fizycznego punktu widzenia był martwy, mógł do pewnego stopnia dalej zarządzać swoim ekonomiczno — politycznym imperium. Teraz jednak to nie wchodziło w rachubę, chociaż planował natychmiastowe ożywienie, by zdążyć przed Zjazdem Demokratyczno-Republikańskim. Louis na pewno wiedział, komu przekazuje swój majątek. Bez pomocy dziewczyna była bezradna. Na dodatek, pomyślał Johnny, niewiele mogę dla niej zrobić. Claude St. Cyr to co innego, on jednak po ujawnieniu testamentu na dobre zniknął ze sceny. Cóż zatem pozostało? Nie możemy zaprzestać prób ożywienia starego Louisa, choćbyśmy mieli odwiedzić każde moratorium w Stanach, na Kubie czy w Rosji.

— Coś ci się płacze po głowie — stwierdziła Sarah Belle. — Poznaję po twojej minie. — Włączyła lampkę nocną i sięgnęła po szlafrok. — Nie próbuj rozwiązywać poważnych problemów w środku nocy.

Właśnie tak musi się czuć półżywy, podsumował znużony. Potrząsnął głową, próbując usunąć z niej resztki snu.

Następnego ranka zaparkował samochód w podziemnym garażu hotelu Beverly i pojechał windą do lobby, gdzie powitał go uśmiechnięty recepcjonista. Nieciekawym standard, uznał Johnny. W hotelu jednak było czysto; prawdopodobnie wynajmowano w nim pokoje, nierzadko emerytom, opłacane za miesiąc z góry. Najwyraźniej Kathy nie nawykła do luksusu.

W odpowiedzi na jego pytanie recepcjonista wskazał na przyległą do lobby kawiarnię.

— Tam pan ją znajdzie, je śniadanie. Uprzedziła o pańskim przyjeździe, panie Barefoot.



W kawiarni natknął się na sporą grupę ludzi; przystanął, zastanawiając się, jak rozpozna Kathy. Może ciemnowłosa dziewczyna o nieruchomej twarzy, siedząca w rogu lokalu? Ruszył w jej kierunku. Zauważył, że miała farbowane włosy. Bez makijażu wyglądała nienaturalnie blado; jej twarz nosiła ślady przebytego cierpienia, nie z rodzaju tych, dzięki którym człowiek nabywa doświadczenia i staje się „lepszy”. Spoglądając na nią, stwierdził, iż jest to wyraz nieodkupionego rozgrzeszeniem bólu.

— Kathy? — zapytał.

Dziewczyna odwróciła głowę w jego kierunku. Miała puste spojrzenie i obojętną twarz.

— Tak. Pan John Barefoot? — zapytała cicho. — Kiedy stanął naprzeciwko niej, patrzyła na niego tak, jakby obawiała się, że zaatakuje ją znienacka, przewróci na podłogę i — *daj Boże* — wykorzysta. Zupełnie jak małe, samotne zwierzątko, pomyślał. Wystraszone i przyparte do muru.

Uznał, że jej bladość mogła wynikać z uzależnienia narkotykowego. Nie tłumaczyło to jednak monotonii głosu i beznamiętnego wyrazu twarzy. Mimo to... była ładna. Miała regularne, delikatnie rzeźbione rysy, gdyby tchnąć w nie życie, mogły okazać się interesujące. I może kiedyś takie były. Dawno temu.

— Zostało mi tylko pięć dolarów — powiedziała Kathy. — Po tym, jak zapłaciłam za bilet w jedną stronę i za śniadanie. Czy mógłby pan... — zawahała się. — Nie jestem pewna, co robić. Czy może mi pan powiedzieć... czy coś już należy do mnie? Czy miałabym z czego panu oddać?

— Wypiszę pani czek imienny na sto dolarów — odrzekł Johnny. Kiedyś mi pani zwróci. — Wyjął książeczkę czekową.

— Naprawdę? — Nie kryła zdziwienia. Uśmiechnęła się nieznacznie. — Co za zaufanie. A może próbuje pan zrobić na mnie wrażenie? Był pan agentem public relations mojego dziadka, prawda? Jak potraktował pana w testamencie? Nie pamiętam dokładnie; wszystko stało się tak szybko. Pamięć mnie zawodzi.

— No cóż — odparł. — Nie zostałem zwolniony, tak jak niejaki Claude St. Cyr.

— Wobec tego zostaje pan. — Odczuła wyraźną ulgę. — Zastanawiam się... czy pomyślę się, jeśli powiem, że teraz pracuje pan dla mnie?

— Można to tak nazwać — powiedział Johnny. — Zakładając, że potrzebny pani P. R. Może wcale nie. Louis czasem wcale nie był tego taki pewien.

— Proszę mi opowiedzieć o próbach ożywienia go.

Pokrótkie opisał jej dotychczasowe starania.

— Nie podano tego do wiadomości publicznej? — zapytała.

— Zdecydowanie nie. Wiem tylko ja, właściciel moratorium, niejaki Herb Schönheit von Vogelsang i pewnie kilka osób z branży transportowej, jak Phil Harvey. Nawet Claude St. Cyr mógł zdążyć się dowiedzieć. Oczywiście, jeśli w miarę upływu czasu Louis nie będzie miał nic do powiedzenia, żadnych oświadczeń dla prasy...

— Będziemy musieli je spreparować — oświadczyła Kathy. — I udawać, że pochodzą od niego. To pańskie zadanie, panie Funnyfoot. — Ponownie się uśmiechnęła. — Przygotowywanie oświadczeń mojego dziadka do czasu, aż uda się go ożywić albo dopóki nie damy za wygraną. Myśli pan, że trzeba będzie się poddać? — Po chwili dodała cicho: — Chciałabym go zobaczyć. Jeżeli to możliwe. Jeżeli pan się zgodzi.

— Zabiorę panią do Moratorium Ukochanych Współbraci. I tak miałem się tam zjawić w ciągu godziny.

Kiwając głową, Kathy wróciła do przerwane go śniadania.

Stojąc obok dziewczyny, która bacznie spoglądała na przezroczystą trumnę, Johnny Barefoot pomyślał: Może raptem zastuka w szkło i powie: dziadku, obudź się. I może to zadziała. Na pewno zawiodły wszystkie inne środki.

Załamując ręce, Herb Schönheit von Vogelsang mamrotał pod nosem:

— Nic z tego nie rozumiem, panie Barefoot. Pracowaliśmy przez całą noc, na zmianę, i ani jednej iskry. Przeprowadziliśmy badanie fal mózgowych i wykazują one nikłą, ale niewątpliwą aktywność. Podłączyliśmy przewody do całej czaszki, sam pan widzi. — Wskazał na sieć drutów oplatających głowę zmarłego i biegnących w kierunku ustawionego obok trumny wzmacniacza. — Nie wiem, cóż innego możemy zrobić.

— Czy metabolizm mózgu przebiega normalnie? — zapytał Johnny.

— Tak, proszę pana. Wezwaliśmy ekspertów z zewnątrz i stwierdzili, że stan mózgu w niczym nie odbiega od stanu, jaki następuje wkrótce po śmierci.

— Wiem, że to na nic — wtrąciła spokojnie Kathy. — Był zbyt wielkim człowiekiem. To nadaje się dla podstarzałych krewnych. Dla babć, które można odwiedzać raz do roku w Dzień Zmartwychwstania. — Odwróciła się od trumny. — Chodźmy — powiedziała do Johnny'ego.

W milczeniu opuścili moratorium i ruszyli przed siebie chodnikiem. Był ciepły, wiosenny dzień i rosnące wzdłuż krawężnika drzewa obsypało drobnymi, różowymi kwiatami. Wiśnie, uznał Johnny.

— Śmierć — mruknęła wreszcie Kathy. — I odrodzenie. Cud technologiczny. Może na widok tego, co znajduje się po drugiej stronie, Louis postanowił nie wracać... może on po prostu nie chce wrócić.

— Cóż — odparł Johnny. — Iskra definitywnie się w nim tli; on tam jest, obmyśla coś. — Pozwolił, by Kathy chwyciła go pod rękę i przeszli na drugą stronę ulicy. — Ktoś mi mówił — dodał — że interesuje się pani religią.

— Owszem — odparła Kathy. — Widzi pan, kiedy byłam narkomanką, przedawkowałam, nieważne co, moje serce przestało bić. Z medycznego punktu widzenia przez kilka minut byłam martwa; przywrócili mnie do życia za pomocą masażu serca i elektrowstrząsów... sam pan wie. Doświadczyłam wówczas przeżycia znanego przypuszczalnie wszystkim półżywym.

— Czy było tam lepiej niż tu?

— Nie — odparła. — Ale inaczej. Jak... jak we śnie. Nie chodzi o to, że świat rysował się mgliście i nierealnie. Mam na myśli logikę, nieważkość; widzi pan, na tym polega zasadnicza różnica. Człowiek przebywa w stanie nieważkości. Trudno to sobie uświadomić, proszę tylko pomyśleć, lip cech przypisywanych snom wywodzi się właśnie z tego faktu.

— I to panią zmieniło — uzupełnił Johnny.

— Udało mi się przewyciężyć nałogowe aspekty mojej osobowości, o ile o to panu chodzi. Nauczyłam się panować nad swoimi żądzami Nad swoją zachłannością. — Kathy przystanęła obok kiosku, aby przeczytać nagłówki gazet. — Niech pan popatrzy — powiedziała.

#### GŁOS Z KOSMOSU ZDUMIEWA NAUKOWCÓW

— Ciekawe — stwierdził Johnny.

Kathy podniosła gazetę i przeczytała zawarty pod nagłówkiem artykuł.

— Jakie to dziwne — powiedziała. — Odebrali głos żywej istoty... proszę, niech pan sam przeczyta. — Podała mu gazetę. — Po śmierci zrobiłam to samo... moja dusza uleciała poza Układ Słoneczny, najpierw poza planetarny obszar przyciągania, potem słoneczny. — Odebrawszy mu gazetę, ponownie przeczytała artykuł.

— Dziesięć centów, sir albo madam — odezwał się niespodziewanie mechaniczny kioskarsz.

Johnny rzucił mu monetę.

— Myśli pan, że to dziadek? — zapytała Kathy.

— Raczej nie — odparł Johnny.

— A ja tak — powiedziała Kathy. — Jestem tego pewna; niech pan patrzy, to zaczęło się tydzień po jego śmierci, a miejsce jest oddalone od Ziemi o tydzień świetlny. Czas się zgadza; tu na dole przytaczają jego słowa. — Wskazała na szpaltę. — Mówi o panu, Johnny, o mnie i o Claudzie St. Cyr, tym zwolnionym prawniku, i o Zjeździe; wszystko tu jest, tyle że zagmatwane. Dokładnie w ten sposób płyną myśli zmarłego; wszystkie naraz zamiast logicznego ciągu. — Popatrzyła na Johnny'ego z uśmiechem. — No to mamy problem. Słyszemy go przez radioteleskop w pobliżu Trzęsawiska Kennedy'ego. Ale on nie słyszy nas.

— Chyba nie sądzi pani...

— Ależ sądzę — przerwała mu rzeczowo. — Wiedziałam, że nie zgodzi się na półzybie; w tej chwili żyje pełnym życiem, tam, poza ostatnią planetą naszego Układu. I nie ma sposobu, aby go od tego odwieść; cokolwiek robi... — Ponownie ruszyła przed siebie; Johnny podążył za nią. — Cokolwiek to jest, na pewno dorówna jego osiągnięciom na Terze. Tego może pan być pewien. Boi się pan?

— Do diabła — zaprotestował Johnny. — Nie jestem do końca przekonany, więc co tu mówić o strachu. — Chociaż... Może istotnie miała rację. Jej pewność wydawała się niezachwiana. Mimowolnie poczuł falę podziwu.

— Powinien pan się bać — oznajmiła Kathy. — Może tam dysponować ogromną siłą. Może być zdolny do wszystkiego. Może wpływać na wiele spraw... na nas, na to, co robimy, mówimy i w co wierzymy. Nawet bez pomocy radioteleskopu... może słyszy nas nawet teraz. Bez udziału świadomości.

— Nie wierzę — odparł Johnny. Ale wierzył, wbrew sobie. Miała rację; dokładnie to zrobiliby Louis Sarapis.

— Wraz z rozpoczęciem Zjazdu dowiemy się więcej — dodała Kathy. — Bardzo mu na nim zależy. Ostatnim razem nie udało mu się przeforsować kandydatury Gama; była to jedna z jego nielicznych porażek.

— Gama! — wykrzyknął ze zdumieniem Johnny. — Tego nieudacznika? Czy on w ogóle jeszcze żyje? Cztery lata temu całkowicie zniknął ze sceny politycznej...

— Dziadek go nie przekreślił — powiedziała z namysłem Kathy. — Owszem, żyje; ma na Io fermę indyków czy coś w tym rodzaju. Może kaczek. Tak czy inaczej, mieszka tam. I czeka.

— Na co?

— Na wezwanie dziadka — odrzekła Kathy. — Tak jak cztery lata temu, podczas Zjazdu.

— Przecież nikt nie zagłosuje na Gama! — Popatrzył na nią zdumiony.

Kathy nie odpowiedziała. Z uśmiechem ścisnęła jego rękę i przytuliła ją. Jak gdyby znów ogarnął ją strach, pomyślał tak jak zeszłej nocy, kiedy rozmawiali przez telefon. Może nawet większy.

### III

Na widok wychodzącego z kancelarii St. Cyr & Faine Claude'a St. Cyra, przystojny, elegancki mężczyzna w średnim wieku, ubrany w kamizelkę i staromodny, wąski krawat podniósł się z miejsca.

— Panie St. Cyr...

Obrzucając go przelotnym spojrzeniem St. Cyr mruknął:

— Śpieszę się; proszę umówić się z moją sekretarką. — Następnie rozpoznał przybyśsza. Był nim Alfons Gam.

— Otrzymałem telegram — powiedział Gam. — Od Louisa Sarapisa. Sięgnął do kieszeni płaszcza.

— Przykro mi — odparł sztywno St. Cyr. — Pracuję obecnie dla panu Phila Harveya; od kilku tygodni nie mam nic wspólnego z panem Sarapisem. — Przystanął jednak z ciekawioną. Nie było to jego pierwsze spotkanie z Gamem; podczas wyborów cztery lata wcześniej widywał go wielokrotnie — gwoli ścisłości, reprezentował Gama w rozprawach o oszczerstwo, raz gdy ten występował jako powód, innym razem jako pozwany. Nie przepadał za nim.

— Telegram przyszedł przedwczoraj — powiedział Gam.

— Ale przecież Sarapis... — Claude St. Cyr urwał. — Niech pan pokaże. — Wyciągnął rękę i Gam wręczył mu świstek.

Telegram zawierał zapewnienie Louisa o jego absolutnym poparciu dla Gama podczas mającego wkrótce nastąpić Zjazdu. Gam nie mylił się; telegram został wysłany trzy dni wcześniej. To nie miało najmniejszego sensu.

— Trudno mi to wyjaśnić — powiedział oschle Gam. — Ale to wygląda na Louisa. Jak sam pan widzi, chce, abym ponownie startował w wyborach. Nigdy przedtem nie zajmowałem się polityką; jestem właścicielem fermy perliczek. Sądziłem, że pan mógłby coś wiedzieć na ten temat, kto wysłał telegram i dlaczego. Zakładając, że to nie Louis — dorzucił.

— Niby jak miał to zrobić? — zapytał St. Cyr.

— Mógł napisać go przed śmiercią i zlecić komuś jego wysłanie. Na przykład panu. — Gam wzruszył ramionami. — Chyba jednak nie panu. Może wobec tego panu Barefootowi. — Sięgnął po telegram.

— Czy rzeczywiście ma pan zamiar znów startować w wyborach? zapytał St. Cyr.

— Skoro Louis sobie tego życzy.

— I znowu przegrać? Przyczynić się do klęski partii z powodu zawziętego, starego uparciucha... — St. Cyr przywołał się do porządku. — Niech pan wraca do swoich perliczek. Proszę zapomnieć o polityce. Jest pan przegrany, Gam. Wszyscy w partii to wiedzą. W gruncie rzeczy wie o tym cała Ameryka.

— Jak mogę się skontaktować z panem Barefootem?

— Nie ma pojęcia — odpalił St. Cyr i ruszył z miejsca.

— Potrzebuję prawnego wsparcia — powiedział Gam.

— A co, znowu ktoś pana pozwał? Niepotrzebna panu pomoc prawna, ale psychiatryczna, dzięki której poznałby pan rzeczywiste motywy swego postępowania. Niech pan posłucha... — Nachylił się w stronę Gama. — Skoro żywy Louis nic nie wskórał w pańskiej sprawie, na martwego nie ma co liczyć. — I ponownie ruszył w swoją stronę.

— Proszę zaczekać — rzucił Gam.

Claude St. Cyr odwrócił się z ociąganiem.

— Tym razem wygram — oznajmił Gam. Jego głos nabrał nieoczekiwanej, obcej mu dotychczas pewności siebie.

— Cóż, życzę więc powodzenia — odparł zbity z tropu St. Cyr. — Panu i Louisowi.  
— Wobec tego on żyje. — Oczy Gama rozbłysły.  
— Tego nie powiedziałem; mówiłem ironicznie.

— Ależ on żyje, jestem tego pewien — odparł w zamyśleniu Gam. Chciałbym go odzyskać. Poszedłem do kilku moratoriów, ale w żadnym go nie ma, albo nie chcieli się przyznać. Poszukam dalej; chcę z nim porozmawiać. Właśnie dlatego przybyłem z Io.

Tym razem St. Cyr nieodwołałnie ruszył naprzód. Cóż za zero, pomyślał. Kompletne dno, marionetka Louisa. Zadrżał. Boże chroń nas przed takim prezydentem.

Gdybyśmy tak wszyscy stali się podobni do niego!

Myśl nie należała do przyjemnych; nie natchnęła go optymizmem na nadchodzący dzień, a czekał go ogrom pracy.

Tego dnia miał za zadanie, jako pełnomocnik Phila Harveya, przedstawić pani Kathy Sharp — niegdyś Egmont — ofertę kupna Wilhelmina Securities. W grę wchodziła wymiana akcji oraz przejęcie pakietu większościowego przez Harveya, który zyska w ten sposób kontrolę nad Wilhelmina. Z uwagi na fakt, że wartość korporacji była prawie niemożliwa do oszacowania, Harvey nie proponował w zamian pieniędzy, lecz nieruchomości. Posiadał na Ganimedesie niezmierną połąć gruntu, którą dziesięć lat wcześniej dostał od rządu radzieckiego w ramach podziękowań za pomoc techniczną udzieloną radzieckim koloniom.

Szansa, że Kathy przyjmie ofertę, równała się zeru.

A jednak należało z niej skorzystać. Następnym krokiem — wzdrygał się na samą myśl — miała być śmiertelna rywalizacja o uzyskanie wpływów w branży transportowej. Wiedział, że jej firma chyliła się ku upadkowi; od śmierci starego sprawy nie układały się jak należy. Przybrały najbardziej zniechęcający przez Louisa obrót: związkowcy szykowali się do przejęcia kontroli nad Archimedejskim.

On sam sympatyzował ze związkowcami, uważał, że najwyższy czas, aby wkroczyli na scenę. Nieczyste posunięcia starego, jego niewyczerpana energia, nie wspominając o bezlitosnej wyobraźni, niezmiennie broniły im do niej dostępu. Kathy nie posiadała żadnej z tych cech. Johnny Barefoot zaś...

Czegóż można oczekiwać od nonszkoła? — pomyślał ironicznie St. Cyr. Błyskotliwych pomysłów z ograniczonego umysłu?

Poza tym Barefoot był pochłonięty kreowaniem wizerunku publicznego Katky; gdy zaczął odnosić na tym polu pewne sukcesy, wywiązała się afera ze związkami. Była narcomanka i fanatyczka religijna, kobieta o kryminalnej przeszłości... Johnny miał pełne ręce roboty.

Swoje sukcesy zawdzięczał głównie aparycji kobiety. Była urocza, delikatna i czysta; niemal święta. Johnny skoncentrował się właśnie na tym aspekcie. Zamiast cytować w prasie jej wypowiedzi, zamieszczał w gazetach tysiące upozowanych zdjęć: z psami, z dziećmi, na wiejskich jarmarkach, w szpitalach, organizacjach charytatywnych — i tym podobne.

Niestety Kathy skutecznie popsuła stworzony przez niego obraz. Dokonała tego w dość szczególny sposób.

Twierdziła mianowicie, że utrzymuje ciągle kontakt ze swoim dziadkiem. Że to nikt inny, ale właśnie on tkwił zawieszony w odległości tygodnia świetlnego od Ziemi i przemawiał za pośrednictwem radioteleskopu przy Trzęsawisku Kennedy'ego. Słyszała go, tak jak i reszta świata... i cudownym zbiegiem okoliczności on również ją słyszał.

Jadąc windą na dach, gdzie stał jego helikopter, St. Cyr roześmiał się głośno. Obsesja religijna Kathy nie dała się długo utrzymać w tajemnicy przed redaktorami brukowców... strzepiła sobie język w miejscach publicznych, w restauracjach i małych barach. Nawet wtedy, gdy towarzyszył jej Johnny. I nawet on nie był w stanie zapanować nad jej gadulstwem.

Podczas jednego z przyjęć rozebrała się do naga, wieszcząc rychłe nadejście godziny oczyszczenia; w ramach swego rodzaju obrzędu rytualnego pomalowała się w pewnych miejscach czerwonym lakierem do paznokci... oczywiście była pijana.

I to ma być właścicielka Archimedejskiego, pomyślał St. Cyr.

Trzeba pozbyć się tej kobiety dla naszego dobra oraz dobra publicznego. Czuł, że to jego obywatelski obowiązek. Jedynym człowiekiem, który myślał inaczej, był Johnny.

Ona mu się PODOBA, olśniło St. Cyra. Oto motyw.

Ciekawe, pomyślał, co na to Sarah Belle.

W radosnym nastroju St. Cyr wszedł do helikoptera, zatrzasnął właz i włożył klucz do stacyjki. Wówczas ponownie skierował myśli ku osobie Alfonsa Gama i jego humor zniknął bez śladu. Ponownie się zasępił.

Istnieje dwoje ludzi, pomyślał, których działanie opiera się na założeniu, że Louis Sarapis żyje; są to Kathy Egmont i Alfons Gam.

Ich postępowanie było niesmaczne. Na dodatek mimowolnie czuł się z nimi w pewien sposób związany. Wydawało się, że jest na to skazany.

Wcale nie wiedzie mi się lepiej niż u starego Louisa, stwierdził w duchu. Pod pewnymi względami nawet gorzej.

Helikopter wystartował i poleciał w kierunku położonej w centrum Denver siedziby Phila Harveya.

Chcąc wytłumaczyć się ze spóźnienia włączył mały nadajnik, podniósł mikrofon i połączył się z Harveym.

— Phil — powiedział. — Słyszysz mnie? Mówi St. Cyr, lecę na zachód. — Wytężył słuch.

I usłyszał z głośnika szmer, jak gdyby chór głosów zlał się w jedno, tworząc chaotyczną całość. Dźwięk brzmiał znajomo; słyszał go już kilkakrotnie w telewizji.

— ...pomimo narastających ataków znacznie przerasta pozostałych członków Izby, nie mógł wygrać wyborów z uwagi na fatalną reputację protektora. Uwierz w siebie,

Alfons. Ludzie poznają się na dobrym człowieku, docenią go; bądź cierpliwy. Wiara przenosi góry. Powinieneś wiedzieć, wystarczy popatrzeć na to, czego dokonałem w życiu...

St. Cyr zrozumiał, że to oddalona od tydzień świetlny jednostka emituje teraz znacznie silniejszy sygnał; jak plamy na Słońcu uniemożliwiła przepływ informacji w nadajnikach. Zaklął i ze złością wyłączył nadajnik.

Blokowanie łączności, skwitował w myślach. To zabronione, muszę skontaktować się z FCC.

Wstrząśnięty poprowadził helikopter ponad gospodarstwem rolnym.

Boże, pomyślał, przecież to chyba był Louis!

Czyżby Kathy Egmont Sharp miała rację?

Johnny Barefoot przybył do fabryki w Michigan, należącej do Przedsiębiorstwa Archimedejskiego i zastał Kathy w fatalnym nastroju.

— Nie widzisz, co się dzieje? — zapytała, spoglądając na niego z drugiego końca dawnego gabinetu Louisa. — Wcale sobie nie radzę; wszyscy to wiedzą. Ty też? — Utkwiła w nim niespokojne spojrzenie.

— Nie — odparł Johnny, ale czuł, że kłamie; miała rację. — Uspokój się i usiądź — poprosił. — Za chwilę zjawią się tu St. Cyr i Harvey, lepiej, żebyś przed ich przyjazdem doprowadziła się do porządku. — Miał nadzieję uniknąć tego spotkania. Zdawał sobie jednak sprawę, że prędzej czy później do niego dojdzie, toteż nie oponował, kiedy Kathy zgodziła się w nim uczestniczyć.

— Mam... mam ci coś strasznego do zakomunikowania — powiedziała Kathy.

— Co takiego? To nie może być aż takie straszne. — I w napięciu oczekiwał odpowiedzi.

— Znowu biorę narkotyki, Johnny. Ten ogrom odpowiedzialności i stres; to dla mnie za wiele. Przepraszam. — Przygnębiona, wbiła wzrok w podłogę.

— Co to za narkotyk?

— Wolałabym nie mówić. To rodzaj amfetaminy. Czytałam na ten temat; wiem, że ilości, jakie przyjmuję, mogą powodować psychozę. Ale wszystko mi jedno. — Odwróciła się do niego plecami. Dopiero teraz zauważył, jak schudła. Jej twarz zmizerniała, oczy się zapadły; zrozumiał, co było tego przyczyną. Przedawkowanie amfetaminy doprowadzało do stopniowego wyniszczania organizmu, do przekształcania materii w energię. Z nawrotem uzależnienia, w wyniku zmiany metabolizmu, nastąpił wzrost tempa procesów somatycznych, co wywołało u niej pseudonadczynność tarczycy.

— Przykro mi to słyszeć — powiedział Johnny. Obawiał się tego. A jednak, kiedy wreszcie do tego doszło, nie zrozumiał, musiał czekać, aż sama mu to zakomunikuje. — Myślę, że powinnaś pójść do lekarza oświadczyć. Zastanawiał się, skąd wzięła narkotyk. Lecz wzięwszy pod uwagę lata praktyki, chyba nie miała z tym problemu.



— Człowiek staje się nie zrównoważony emocjonalnie — rzekła Karny. — Podatny na nagłe ataki gniewu i wybuchy płaczu. Chcę, żebyś to wiedział i w razie czego nie miał mi tego za złe. Zrozumiesz, że to wina narkotyku. — Spróbowała się uśmiechnąć; widział, ile ją to kosztowało wysiłku.

Podszedł bliżej i położył jej rękę na ramieniu.

— Posłuchaj — rzucił — kiedy przyjdą tu Harvey i St. Cyr, lepiej będzie, jak przyjmiesz ich ofertę.

— Ach tak — odpowiedziała. — No cóż.

— A potem — ciągnął — masz dobrowolnie zgłosić się na leczenie.

— Do psychiatryka — uzupełniła gorzko Kathy.

— Pozbycie się ciężającej na tobie odpowiedzialności wyjdzie ci na zdrowie — dodał. — Potrzeba ci długiego odpoczynku. Jesteś w stanie psychicznego i fizycznego zmęczenia, lecz dopóki bierzesz amfetaminę...

— Nie odczuwam go — dokończyła Kathy. — Johnny, nie mogę sprzedać firmy Harvey'owi i St. Cyrowi.

— Dlaczego?

— Louis by sobie tego nie życzył. On... — Milczała przez chwilę. — On się nie zgadza.

— Twoje zdrowie, może nawet życie... — zaczął Johnny.

— Moja równowaga psychiczna, chciałeś powiedzieć, Johnny.

— Mam zbyt wiele do stracenia — oświadczył. — Do diabła z Louistem. Do diabła z Archimedejskim; czyżbyś miała zamiar sama znaleźć się w moratorium jako półżywa? Nie warto; chodzi tylko o dobra materialne, a ty jesteś żywą istotą.

Uśmiechnęła się. Na biurku zapaliło się światelko i rozległ się odgłos brzęczyka, po którym zabrzmiał głos recepcjonistki.

— Pani Sharp, przyszli panowie Harvey i St. Cyr. Mam ich wpuścić?

— Tak — odrzekła.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu energicznie wkroczyli dwaj mężczyźni.

— Witaj, Johnny — powiedział St. Cyr. Wydawał się niezwykle pewny siebie; Harvey sprawiał podobne wrażenie.

— Niech Johnny mówi za mnie — postanowiła Kathy.

Popatrzył na nią przelotnie. Czy to oznaczało, że zdecydowała się na sprzedaż?

— Co to za układ? — zapytał. — Co macie do zaproponowania w zamian za wielkościowy pakiet akcji Wilhelmina Securities? Trudno mi to sobie wyobrazić.

— Ganimedes — odparł St. Cyr. — Cały księżyc. No, prawie cały sprecyzował.

— Ach tak — powiedział Johnny. — Podarunek od Sowietów. Czy jego wiarygodność została sprawdzona w sądach międzynarodowych?

— Tak jest — odrzekł St. Cyr. — I nie wysunięto żadnych zarzutów. Wartość nieruchomości przekracza wszelkie wyobrażenie. I z każdym rokiem prawdopodobnie będzie rosła. To dobra oferta, Johnny; znasz mnie i wiesz, że kiedy to mówię, nie kłamię. — Pewnie tak, pomyślał Johnny. Rzeczywiście pod wieloma względami oferta nie miała sobie równych; Harvey uczciwie potraktował Kathy.

— W imieniu pani Sharp — zaczął, ale Kathy wpadła mu w słowo.

— Nie — odparła kategorycznie. — Nie sprzedam. On mi nie pozwala.

— Przecież dałaś mi prawo do negocjacji, Kathy — zaoponował Johnny.

— Wobec tego odbieram ci je — odparła zdecydowanie.

— Jeżeli mam pracować z tobą i dla ciebie — powiedział Johnny — musisz słuchać moich rad. Omówiliśmy to i ustaliliśmy, że...

Zadzwoił telefon.

— Posłuchaj go — zaproponowała Kathy. Podniosła słuchawkę i wręczyła ją Johnny'emu. — Sam ci powie.

Johnny chwycił słuchawkę i przystawił ją do ucha. — Kto mówi? zapytał. Wówczas dobiegło go odległe dudnienie, jak gdyby coś pocierało długi, metalowy drut.

— ...nieodwołalnie utrzymać kontrolę. Twoja rada do niczego. Kathy jest silna. Bez paniki, boisz się, bo jest chora. Dobry specjalista postawi ją na nogi. Sprowadź lekarza, wezwij pomoc medyczną. Znajdź prawnika i zapewnij jej ochronę. Dopilnuj, aby ustal dopływ narkotyków. Domagaj się... — Johnny oderwał słuchawkę od ucha i roztrzęsiony odłożył ją na widelki.

— Słyszałeś go — powiedziała Kathy. — Prawda? To był Louis.

— Tak — potwierdził Johnny.

— Jest silny — ciągnęła Kathy. — Teraz słyszymy go bezpośrednio, bez pomocy radioteleskopu przy Trzęsawisku Kennedy'ego. Zeszłej nocy, kiedy kładłam się spać, po raz pierwszy usłyszałam go wyraźnie.

— Wygląda na to, że będziemy musieli przemyśleć waszą propozycję — powiedział do Harveya i St. Cyra Johnny. — Potrzebne nam będzie dokładne oszacowanie wartości oferowanego przez was gruntu, wy na pewno zechcecie tego samego z naszej strony. To trochę potrwa. — Nie panował nad drżeniem głosu, jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia, jakie wywarł na nim głos Louisa Sarapisa w słuchawce.

Ustaliwszy termin następnego spotkania z St. Cyrem i Harvey'em, Johnny zabrał Kathy na późne śniadanie, z ociąganiem przyznała się, że od poprzedniego dnia nie miała nic w ustach.

— Nie jestem głodna — wyjaśniła, dłubiąc niechętnie widelcem w porcji jajecznicy na bekonie i skubiąc grzankę z dżemem.

— Nawet jeśli to był Louis Sarapis — powiedział Johnny — nie możesz...

— Właśnie że był. Nie mów „nawet”, dobrze wiesz, że mam rację. On zyskuje coraz więcej siły. Może czerpie ją ze Słońca.

— Niech więc będzie, że to Louis — ustąpił. — Tak czy inaczej, masz działać we własnym interesie, a nie jego.

— Jego interes i mój to jedno i to samo — oświadczyła Kathy. — Oboje mamy na celu zachowanie Archimedejskiego.

— Czy on może ofiarować potrzebną ci pomoc? Czy zaopatrzy cię w to, czego brakuje? Nie traktuje twojego nałogu poważnie; to jasne jak słońce. Prawił mi morały, nic więcej. — Ogarnęła go złość. — W tej sytuacji to żadna pomoc.

— Johnny — powiedziała. — Cały czas czuję go obok siebie, nie potrzebuję telewizji ani telefonu — wyczuwam go. Kładę to na karb moich mistycznych zdolności. Mojej intuicji religijnej, właśnie ona pomaga mi utrzymać z nim kontakt. — Upiła łyk soku pomarańczowego.

— Masz na myśli chyba swoją psychozę amfetaminową — rzucił brutalnie Johnny.

— Nie pójdę do szpitala, Johnny. Nie ma mowy, jestem chora, ale nie aż do tego stopnia. Dam sobie radę, bo nie jestem sama. Mam dziadka. I... — Uśmiechnęła się do niego. — Mam ciebie. Pomimo Sarah Belle.

— Nie masz co na mnie liczyć, Kathy — powiedział cicho — jeżeli nie sprzedasz przedsiębiorstwa Harvey'owi. Jeżeli nie przyjmiesz nieruchomości ganimedejskiej.

— Odejdziesz?

— Tak — odparł.

— Dziadek mówi, że droga wolna — powiedziała po chwili. W jej dużych, ciemnych oczach widniał chłód.

— Nie wierzę, że to powiedział.

— No to porozmawiaj z nim.

— Jak?

Kathy wskazała na stojący w rogu restauracji telewizor.

— Włącz go i posłuchaj.

Wstając, Johnny powiedział:

— Nie muszę tego robić; decyzja zapadła. Gdybyś zmieniła zdanie, znajdziesz mnie w hotelu. — Odszedł, pozostawiając ją przy stole. Zawoła go? Idąc, nasłuchiwał. Nie zawołała.

Chwilę potem stanął na chodniku przed restauracją. Podjęła jego wyzwanie, które w tejże chwili przestało być wyzwaniem i zyskało konkretny wymiar. Rzucił pracę.

Oszołomiony, bez celu ruszył przed siebie. Mimo wszystko... nie mylił się. Czuł to wyraźnie. Chodziło jedynie o... niech ją szlag trafi, pomyślał. Dlaczego nie dała za wygraną? Z powodu Louisa, uświadomił sobie. Gdyby nie ingerencja starego, sprzedała-by swój pakiet większościowy bez większych ceregieli. Niech szlag trafi Louisa Sarapisa, nie ją, myślał z wściekłością.

I co teraz? — postawił sobie pytanie. Wracać do Nowego Jorku? Szukać nowej pracy? Na przykład spróbować u Gama? Przy odrobinie sprytu przyniosłoby to spore korzyści materialne. A może powinien zostać tu, w Michigan, w nadziei, że Kathy pójdzie po rozum do głowy?

Dłużej nie da rady, stwierdził w duchu. Bez względu na to, co mówi jej Sarapis lub w co ona wierzy, że jej mówi. Wszystko jedno.

Zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres hotelu. Wkrótce wstępował do lobby hotelu Antler, który opuścił rano tego dnia. Z powrotem do odpychającego pokoju, tym razem tylko po to, by usiąść i czekać. I mieć nadzieję, że Kathy zmieni zdanie i zadzwoni. Tym razem nie czekało go żadne spotkanie, ostatnie dobiegło końca.

Kiedy dotarł do drzwi, usłyszał dzwonek telefonu.

Johnny stał przez chwilę z kluczem w ręku i słuchał przeraźliwego dźwięku telefonu dobiegającego zza drzwi. Czy to Kathy? — zastanawiał się. Czy może to on?

Włożył klucz do zamka, obrócił go i wszedł do pokoju; chwyciwszy słuchawkę, powiedział:

— Słucham?

Dudniący, odległy głos w trakcie swojego monologu mamrotał:

— ...niczego nie prowadzi, Barefoot, zostawienie jej. Zdrada; myślałem, że rozumiesz, co do ciebie należy. Wobec niej tak samo jak wobec mnie. Nigdy nie odszedłbyś w trakcie sprzeczki. Celowo pozostawiłem ciało do twojej dyspozycji, abyś został. Nie możesz... — Zmartwiały Johnny z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Telefon natychmiast rozdzwonił się ponownie.

Tym razem nie zareagował. Idź do diabła, pomyślał. Podeszedł do okna i wyjrzał na ulicę, przypominając sobie odbytą przed laty rozmowę z Lousem, która na trwałe wryła mu się w pamięć. Rozmowę, podczas której wyszło na jaw, że nie poszedł do college'u, ponieważ chciał umrzeć. Spoglądając na ulicę, pomyślał: Może powinienem wyskoczyć. Przynajmniej skończyłyby się telefony... i to wszystko. Najgorszy w tym jest brak racjonalności i logiki. Myśli mówiącego są niespójne, mgliste, pozbawione sensu. Stary tak naprawdę nie żyje. Nie znajduje się nawet w stanie półżycia. Jego świadomość gaśnie. A my musimy wysłuchiwać, jak nieuchronnie, krok po kroku, zbliża się do śmierci.

Lecz nawet w tym finalnym stadium nie jest wolna od swoich pragnień. Jej apetyt jest nieposkromiony. Ma życzenia względem niego, względem Kathy; pewne cechy charakteru Louisa Sarapisa pozostały aktywne i przebiegle usiłowały dopiąć swego. Zachcianki stanowiły zniekształcone odzwierciedlenie życzeń, które wyrażał za życia, a jednak nie sposób było ich lekceważyć, nie sposób było przed nimi uciec.

Telefon wciąż dzwonił.

Może to wcale nie Louis, przyszło mu do głowy. Może to Kathy. Podniósł słuchawkę. I zaraz odłożył ją z powrotem. Dudnienie nie pozostawiało wątpliwości... zadrżał. Czy słyhać go jedynie przez telefon, czy działa wybiórczo?

Miał wrażenie, że nie.

Podszedł do stojącego w odległym końcu pokoju telewizora i włączył go. Na ekranie ukazały się ruchliwe plamy światła. Dostrzegł zarys czegoś, co wyglądało jak twarz.

Przecież wszyscy to widzą, pomyślał. Zmienił kanał. Ponownie niewyraźne rysy na wpół zmaterializowanego na ekranie starca. Z głośnika dobiegł przytłumiony pomruk: — ...jeszcze raz ci powtarzam, że twoim obowiązkiem jest... — Johnny wyłączył telewizor; zamazana twarz rozplynęła się i w tle pobrzmiwało jedynie dzwonienie telefonu.

Podniósł słuchawkę i powiedział:

— Louis, słyszysz mnie?

— ...gdy przyjdzie czas wyborów, to dopiero zobaczą. Ma odwagę kandydować po raz drugi, przejąć na siebie odpowiedzialność finansową, ostatecznie to przedsięwzięcie nie dla biednych, obecny koszt startu... Głos nieprzerwanie snuł swoje wywody. Nie, stary nie mógł go słyszeć. To nie była rozmowa, raczej monolog. Rzeczywista komunikacja nie wchodziła w rachubę.

A jednak stary doskonale orientował się w sprawach bieżących; zdawał się rozumieć, ba, widzieć, że Johnny rzucił pracę.

Odłożywszy słuchawkę, Johnny usiadł i zapalił papierosa.

Nie mogę wrócić do Kathy, pomyślał, jeżeli nie zmienię zdania i odradzę jej sprzedaż. Przecież to niemożliwe, nie mogę tego zrobić. Wykluczone. Co pozostaje mi w tej sytuacji?

Jak długo Sarapis ma zamiar mnie prześladować? Dokąd mam się udać?

Jeszcze raz podszedł do okna i wyrżał na ulicę.

Claude St. Cyr rzucił kioskarzowi monetę i sięgnął po dziennik.

— Dziękuję, sir lub madam — odpowiedział robot.

Artykuł na pierwszej stronie... St. Cyr zamrugał i przyszło mu do głowy, że postradał zmysły. Nie rozumiał tego, co czyta — czy też raczej w ogóle nie był w stanie odczytać tekstu. Artykuł był pozbawiony sensu; homeostatyczny cykl drukarski w pełni zautomatyzowanej gazety ewidentnie szwankował. Na papierze widniał jedynie ciąg powiązanych przypadkowo wyrazów. To było gorsze niż „Finnegans Wake”.

Czyżby jednak dobór wyrazów rzeczywiście był przypadkowy? Jego uwagę przyciągnął jeden akapit.

*Stoi w oknie pokoju hotelowego gotów wyskoczyć. Jeśli macie zamiar prowadzić z nią dalsze interesy, lepiej zaraz tam jeźdźcie. Jest od niego zależna, potrzebuje mężczyzny, od*

*kiedy jej mąż, Paul Sharp, porzucił ją. Hotel Antler, pokój 604. Macie czas. Johnny jest w gorącej wodzie kąpany; nie powinien był jej prowokować. Z moim charakterem nie można się na to nabrać, a ona ma mój charakter, ja...*

— Johnny Barefoot stoi w oknie hotelu Antler i ma zamiar wyskoczyć, Sarapis nas ostrzegł — zakomunikował stojącemu obok Harveyowi St. Cyr. — Jedźmy tam zaraz.

— Barefoot jest po naszej stronie — odrzekł Harvey, rzucając mu przelotne spojrzenie. — Nie możemy dopuścić, by targnął się na swoje życie. Ale dlaczego Sarapis...

— Jedźmy — zdecydował St. Cyr, kierując się w stronę helikoptera. Harvey pobiegł za nim.

## IV

Telefon ni stąd, ni zowąd przestał dzwonić. Johnny odwrócił się od okna i zobaczył Kathy Sharp ze słuchawką w dłoni.

— Zadzwoił do mnie — powiedziała. — I powiedział mi, gdzie jesteś i co zamierzasz zrobić.

— Bzdura — odparł. — Nie mam zamiaru nic robić. — Odsunął się od parapetu.

— Myślał, że tak — odrzekła Kathy.

— Czyli to oznacza, że nie jest nieomylny. — Zauważył, że jego papieros dopalił się aż do filtra; wrzucił go do popielniczki i zgasił.

— Dziadek zawsze cię lubił — ciągnęła Kathy. — Nie chciałby, aby coś ci się stało.

— Jeśli o mnie chodzi, nie mam z Louistem Sarapisem już nic wspólnego — odparł Johnny wzruszając ramionami.

Kathy przystawiła słuchawkę do ucha; nie zwracała na Johnny'ego najmniejszej uwagi — słuchała dziadka; dostrzegł to i umilkł. Cokolwiek by powiedział, i tak nie miało by sensu.

— On mówi — rzekła Kathy — że lecą tu Claude St. Cyr i Phil Harvey. Ich też tutaj wezwał.

— Miło z jego strony — odparł lakonicznie.

— Ja też cię lubię, Johnny — powiedziała Kathy. — Rozumiem sympatię i podziw dziadka. Rzeczywiście masz na uwadze moje dobro, prawda? Może dobrowolnie zgłoszę się do szpitala, chociaż na krótko, na jakiś tydzień albo kilka dni.

— Czy to wystarczy? — zapytał.

— Kto wie. — Podała mu słuchawkę. — Chce z tobą pomówić. Lepiej go wysłuchaj; i tak znajdzie sposób, aby do ciebie dotrzeć. Dobrze o tym wiesz.

Johnny z ociąganiem przyjął słuchawkę z jej ręki.

— ...sęk w tym, że straciłeś pracę i to cię gnębi. Kiedy nie pracujesz, masz wrażenie, że nie nadajesz się do niczego, właśnie taki jesteś. Podoba mi się to. Jestem taki sam. Słuchaj, mam dla ciebie zadanie. Zajmij się kampanią przedwyborczą Alfonsa Gama, dopilnuj, aby został nominowany. Zadzwoń do Gama. Zadzwoń do Alfonsa Gama. Johnny, zadzwoń do Gama. Zadzwoń...

Johnny odłożył słuchawkę.

— Dostałem pracę — oznajmił Kathy. — Mam reprezentować Gama. Przynajmniej Louis tak twierdzi.

— Zrobisz to? — zapytał Kathy. — Zostaniesz jego P. R. na czas wyborów?

Wzruszył ramionami. Dlaczegoż by nie? Gam miał dużo pieniędzy; nie zawaha się zapłacić krocie. I na pewno w niczym nie ustępował obecnemu prezydentowi, Kentowi Margrave. Poza tym... Muszę mieć pracę, zrozumiał Johnny. Muszę jakoś żyć. Mam żonę i dwoje dzieci, tu nie ma żartów.

— Uważasz, że Gam ma tym razem jakąś szansę? — zapytała Kathy.

— Nie, nie sądzę. Ale cuda zdarzają się i w polityce, wystarczy wziąć pod uwagę niewiarygodny powrót Richarda Nixona w 1968 roku.

— Jaki powinien obrać kierunek?

Popatrzył na nią uważnie.

— Omówię to z nim, a nie z tobą.

— Ciągłe się gniewasz — powiedziała cicho Kathy. — Bo nie zgadzam się na sprzedaż. Posłuchaj, Johnny. A gdybym tak tobie przekazała kontrolę nad Archimedejskim.

— Co na to Louis? — zapytał po chwili.

— Nie pytałam go.

— Dobrze wiesz, że nie zgodziłby się. Brakuje mi doświadczenia. Rzecz jasna, znam podstawowe reguły, uczestniczyłem w tym od początku. Ale...

— Nie umniejszaj swoich zasług — przerwała mu Kathy.

— Proszę — powiedział Johnny. — Tylko mnie nie pouczaj. Spróbujmy pozostać przyjaciółmi, dalekimi. — Gdybym miał wymienić jedną rzecz, której nie znoszę, dokończył w myślach, to morały w ustach kobiety. I to dla mojego własnego dobra.

Drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem, Claude St. Cyr i Phil Harvey wpadli do pokoju i na widok Kathy odetchnęli z ulgą.

— A więc pani też tu dotarła — rzucił zdyszany St. Cyr.

— Tak — powiedziała. — Martwiłam się o Johnny'ego. — Poklepała go po ramieniu.

— Widzisz, ilu masz przyjaciół? Lepszych bądź gorszych?

— Tak — odrzekł. I niespodziewanie ogarnęło go przygnębienie.

Po południu St. Cyr znalazł trochę czasu, aby odwiedzić Elektry Harvey, była żoną swego obecnego pracodawcy.

— Posłuchaj, laleczko — powiedział St. Cyr. — Staram się, abyś tym razem wyszła na swoje. Jeśli mi się uda... — Otoczył ją ramionami i uściskał. — Odzyskasz część tego, co straciłaś. Nie wszystko, ale starczy, aby nieco poprawić twój stosunek do życia. — Pocałował ją, co napotkało spodziewaną reakcję, kobieta wdzięcznie odchyliła się do tyłu i mocno się przytuliła, wywołując serię przyjemnych, ale i nieoczekiwanie długotrwałych doznań.

— Tak przy okazji, możesz mi powiedzieć, co się dzieje z telefonem i telewizją? — zapytała Elektra, odsuwając się wreszcie od niego. — Nie mogę się nigdzie dodzwonić... zawsze ktoś blokuje linię. I ten obraz w telewizorze; jest cały zamazany i zniekształcony, i w ogóle się nie zmienia, ciągle przedstawia jakby twarz.

— Nie przejmuj się — odparł Claude. — Pracujemy nad tym; wysłaliśmy grupę informatorów. — Jego ludzie krążyli od jednego moratorium do następnego w poszukiwaniu ciała Louisa. Wreszcie znajdują je i zakończą idiotyczną sytuację... i wszyscy odczną z ulgą.

Podchodząc do barku, Elektra Harvey spytała:

— Czy Phil o nas wie? — Uważnie nalała alkohol do szklanek.

— Nie — odparł St. Cyr. — Zresztą to i tak nie jego sprawa.

— Ale Phil jest bardzo uprzedzony wobec byłych żon. Nie spodobałoby mu się to. Zaraz by sobie coś ubzdurał na temat nielojalności; skoro on mnie nie lubił, ty powinieś odczuwać to samo. Określa to mianem „integralności”.

— Miło mi to słyszeć — powiedział St. Cyr — ale diablo niewiele mogę na to poradzić. Poza tym i tak się nie dowie.

— Mimo wszystko nie daje mi to spokoju — upierała się Elektra, podając mu szklankę. — Widzisz, regulowałam telewizor i... wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale odniosłam wrażenie... — Urwała. — Cóż, wydawało mi się, że spiker wspomniał coś na nasz temat. Głos był przytłumiony, a odbiór niewyraźny, ale naprawdę słyszałam twoje nazwisko i swoje. — Skierowała na niego ufne spojrzenie, wygładzając z roztargnieniem fałdę sukienki.

— Nonsens, skarbie. — Poczul wewnętrzny chłód. Podeszedł do telewizora i włączył go. Chryste, pomyślał. Czy ten Sarapis jest wszędzie? Czy ze swojej kryjówki w kosmosie widzi wszystko, co robimy?

Myśl nie należała do optymistycznych, zwłaszcza że próbował nakłonić wnuczkę Louisa do zawarcia nieaprobowanej przez niego umowy.

Grozi mi, pomyślał St. Cyr, w zamyśleniu regulując odbiornik zdrętwiałymi palcami.



— Tak w ogóle, panie Barefoot, to sam miałem do pana dzwonić powiedział Alfons Gam. — Otrzymałem od pana Sarapisa telegram, w którym radzi mi pan zatrudnić. Sądzę jednak, że powinniśmy wystąpić z czymś zupełnie nowym. Margrave ma nad nami znaczącą przewagę.

— To prawda — przyznał Johnny. — Bądźmy realistami; tym razem otrzymamy pomoc. Od Louisa Sarapisa.

— Ostatnio też miał mi pomóc — zauważył Gam. — Na niewiele się to zdało.

— Tym razem pomoc nastąpi na całkowicie odmiennej płaszczyźnie. — Ostatecznie, pomyślał Johnny, stary sprawuje kontrolę nad wszystkimi mediami, nad prasą, radiem i telewizją, nawet, Boże uchowaj, telekomunikacją. Z taką władzą Louis mógł robić, co mu się żywnie podobało.

On wcale mnie nie potrzebuje, uświadomił sobie ironicznie. Ale nie powiedział tego głośno; najwidoczniej Gam nie w pełni uzmysłowił sobie potęgę Louisa. Poza tym, praca zawsze jest pracą.

— Czy ostatnio włączał pan telewizor? — zapytał Gam. — Albo próbował korzystać z telefonu, albo choćby kupić gazetę? Nie ma tam nic prócz steku głupot. Jeśli to Louis, nie mamy co liczyć na jego wsparcie podczas Zjazdu. On jest... na wykończeniu. Plecie bzdury.

— Wiem — odparł wymijająco Johnny.

— Obawiam się, że bez względu na to, jakie miał plany co do swego półzycia, diabli je wzięli — uznał Gam. Nie wyglądał na człowieka, który spodziewa się wygrać wybory. — Pański podziw dla Louisa z pewnością w tej chwili przerasta mój — dodał. — Szczerze mówiąc, panie Barefoot, odbyłem rozmowę z panem St. Cyrem i jego wnioski nie napawają mnie optymizmem. Postanowiłem brnąć dalej, ale naprawdę... — Machnął ręką. — Claude St. Cyr powiedział mi prosto w oczy, że jestem z góry skazany na porażkę.

— A pan mu wierzy? On jest teraz po drugiej stronie, trzyma z Philem Harveyem. — Johnny ze zdumieniem przyjął łatwowierność swojego rozmówcy.

— Powiedziałem mu, że wygram — wymamrotał Gam. — Ale słowo daję, ta gadanina z każdego telewizora i słuchawki... jest obrzydliwa. Zniechęca mnie, chciałbym uciec jak najdalej od niej.

— Rozumiem to — odparł Johnny.

— Louis nigdy taki nie był — poskarżył się Gam. — Teraz tylko plecie trzy po trzy. Nawet jeśli przyczyni się do mojej nominacji... to czy rzeczywiście mi na tym zależy? Jestem zmęczony, panie Barefoot. Bardzo zmęczony. — Umilkł.

— Jeżeli liczy pan na słowa otuchy z mojej strony — odrzekł Johnny — to trafił pan pod niewłaściwy adres. — Głos z telefonu i telewizji budził w nim podobne odczucia. Do tego stopnia, że nie był w stanie pocieszyć Gama.

— Jest pan specem od P. R. — powiedział Gam. — Czy nie może pan obudzić entuzjazmu tam, gdzie go nie ma? Niech pan przekona mnie, panie Barefoot, a ja przekonam świat. — Wyjął z kieszeni zmiętą kartkę. To przyszło od Louisa. Najwidoczniej oddziałuje na telegraf w równym stopniu, jak na inne media. — Podał wiadomość Johnny'emu.

— Postępował wtedy sensowniej — uznał Johnny. — Kiedy to napisał?

— Właśnie o to mi chodzi! Jego stan gwałtownie się pogarsza. Kiedy rozpocznie się Zjazd — został zaledwie jeden dzień — czego możemy się po nim spodziewać? Obawiam się najgorszego. Nie chciałbym się w to mieszać. Mimo to pragnę spróbować — dodała. — Zatem Barefoot, będzie pan za mnie pertraktował z Louistem, spełni pan rolę pośrednika. Medium — dorzucił po namyśle.

— To znaczy?

— Pośrednika pomiędzy Bogiem a człowiekiem — odparł Gam.

— Jeśli ma pan zamiar używać takiego słownictwa, to z nominacji nici, mogę to panu obiecać — ostrzegł Johnny.

— Napijemy się? — zaproponował z krzywym uśmiechem Gam. Przeszedł z salonu do kuchni. — Szkocka? Bourbon?

— Bourbon — zdecydował Johnny.

— Co pan myśli o tej dziewczynie, wnuczce Louisa?

— Lubię ją — odparł. I była to prawda.

— Nawet mimo faktu, że to wariatka, narkomanka, kryminalistka i do tego fanatyczka religijna?

— Owszem — odparł oschle Johnny.

— Myślę, że postradał pan zmysły — stwierdził Gam. — Ale przyznam panu rację. To dobry człowiek. Znam ją od pewnego czasu. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, skąd u niej taka odchyłka. Nie jestem psychologiem... pewnie ma to jakiś związek z Louistem. Jej bezkrytyczne przywiązanie graniczy z fanatyzmem. Co według mnie nie jest pozbawione uroku.

— Okropny ten bourbon — ocenił Johnny, pociągając łyk ze szklanki.

— Stary sir muskrat — odparł z grymasem Gam. — Zgadzam się z panem.

— Niech pan lepiej poda coś lepszego — poradził Johnny. — Inaczej w polityce jest pan skończony.

— Właśnie dlatego cię potrzebuję — powiedział Gam. — Rozumiesz?

— Jasne — odrzekł Johnny, przechodząc do kuchni. Przełał zawartość szklanki z powrotem do butelki i dla odmiany zainteresował się szkocką.

— Jaką przewidujesz strategię? — zapytał Alfons Gam.

— Według mnie najlepszym... jedynym sposobem będzie wykorzystać emocje wywołane śmiercią Louisa — powiedział Johnny. — Widziałem żałobników ustawiających się w kolejki; widok nie miał sobie równych, Alfons. Przychodzili dzień w dzień. Kiedy

żył, wielu ludzi bało się go, przerażała ich jego potęga. Teraz mogą odetchnąć głębiej, on odszedł, a złowrogie aspekty jego...

— Ależ Johnny, on nie odszedł, w tym sęk — przerwał mu Gam. Oglądałeś telewizję, ten gadający stwór to właśnie on!

— Oni o tym nie wiedzą — odparł Johnny. — Ludzie zostali wprawieni w osłupienie... podobnie jak pierwsza osoba, która odebrała sygnał. Ten technik w pobliżu Trzęsawiska Kennedy'ego. Dlaczego mieliby kojarzyć wyładowania elektryczne oddalone od Ziemi o tydzień świetlny z Louistem Sarapisem? — dodał z naciskiem.

— Myślę, że popełniasz błąd, Johnny — odrzekł Gam po chwili. — Lecz Louis polecił mi cię zatrudnić i mam zamiar go posłuchać. Pozostawiam ci wolną rękę; polegam na twojej ekspertyzie.

— Dziękuję — odrzekł Johnny. — Nie zawiedziesz się. — W głębi serca jednak wcale nie był tego taki pewien. Może ludzie są mądrzejsi, niżbym ich o to podejrzewał, przyszło mu do głowy. Może rzeczywiście popełniam błąd. Lecz jaka inna strategia wchodziła w rachubę? Brakowało mu pomysłów; albo zrobią użytek z powiązań Gama z Louistem, albo nie pozostawało im nic, na czym mogliby się oprzeć.

Plan opierał się na chwiejnych podstawach — do rozpoczęcia Zjazdu pozostał jeden dzień. Nie podobało mu się to.

Zadzwonił telefon w pokoju Gama.

— To pewnie on — rzucił Gam. — Chcesz z nim pomówić? Szczerze mówiąc boję się podnieść słuchawkę.

— Niech sobie dzwoni — zdecydował Johnny. Gam miał rację; nie było to przyjemne.

— Ale i tak nie możemy przed nim uciec — zauważył Gam — jeśli chce się z nami skontaktować; wszystko jedno, czy przez telefon, czy za pomocą gazety. Wczoraj próbowałem skorzystać z mojej elektrycznej maszyny do pisania... zamiast listu otrzymałem podobny miszmasz... to jego sprawka.

Żaden z nich nie wykonał ruchu w kierunku telefonu. Pozwolili mu dzwonić.

— Chcesz jakąś zaliczkę? — zapytał Gam. — Trochę gotówki?

— Chętnie — odparł Johnny. — Dzisiaj rzuciłem pracę w Archimedejskim.

Sięgając do kieszeni po portfel, Gam powiedział:

— Dam ci czek. — Popatrzył uważnie na Johnny'ego. — Lubisz ją, ale nie możesz z nią pracować, co?

— Zgadza się — skwitował krótko Johnny. Gam taktownie nie drążył tematu. Johnny był mu za to wdzięczny.

W momencie gdy czek zmienił właściciela, dzwonek telefonu urwał się równie gwałtownie, jak rozpoczął.

Czy istniał między tymi zdarzeniami jakiś związek? Johnny zamyślił się. Czy może to przypadek? Trudno zgadnąć. Louis najwyraźniej wiedział wszystko... tak czy inaczej, dopiął swego, dał to do zrozumienia im obu.

— Chyba postąpiliśmy słusznie — podsumował Gam. — Słuchaj, Johnny, mam nadzieję, że pogodzisz się z Kathy Egmont Sharp. Dla jej dobra, ona potrzebuje pomocy. I to dużej.

Johnny odchrząknął.

— Teraz, kiedy dla niej nie pracujesz, zdecyduj się na jeszcze jedną próbę — powiedział Gam. — Zgoda?

— Zastanowię się — odparł Johnny.

— To chora dziewczyna i ciąży na niej ogrom odpowiedzialności. Dobrze o tym wiesz. Cokolwiek doprowadziło do konfliktu między wami, spróbuj wykrzesać z siebie choć trochę zrozumienia, zanim będzie za późno. To jedyny sposób.

Johnny nie odpowiedział. Ale w duchu przyznał Gamowi rację.

Mimo to... jak miał tego dokonać? Nie wiedział. Jak porozumieć się z osobą nierównoważoną psychicznie? — pomyślał. Jak załagodzić konflikt? W normalnych warunkach to pytanie przysporzyłoby mu wiele trudności... obecna sytuacja zaś zawierała w sobie wiele podtekstów.

Louis miał w tym swój udział. Oraz uczucia Kathy względem Louisa. Należało je zmienić i położyć kres ślepej adoracji.

— Co twoja żona sądzi na jej temat? — zapytał Gam.

— Sarah Belle? — zdumiał się Johnny. — Nigdy się nie spotkały. Dlaczego pytasz?

Gam bez słowa zmierzył go wzrokiem.

— Cholernie dziwne pytanie — stwierdził Johnny.

— Cholernie dziwna dziewczyna, ta Kathy — dorzucił Gam. — Dziwniejsza, niż ci się wydaje, przyjacielu. Są rzeczy, o których nie masz zielonego pojęcia. — I na tym poprzestał.

— Ciekawi mnie jedno — powiedział do Claude'a St. Cyra Phil Harvey. — Oto pytanie, na które musimy uzyskać odpowiedź, jeśli realnie myślimy o pakiecie większościowym Wilhelminy. Gdzie jest ciało?

— Szukamy go — odparł cierpliwie St. Cyr. — Sprawdzamy wszystkie moratoria, jedno po drugim. W grę wchodzi niemałe pieniądze; najwyraźniej ktoś sownie opłaca ich milczenie, a skoro mamy przekonać ich do współpracy...

— Ta dziewczyna — przerwał mu Harvey — postępuje zgodnie ze wskazówkami wysyłanymi zza grobu. Pomimo faktu, że siły Louisa są na wyczerpaniu... ona nadal się go słucha. To... nienaturalne. — Zdegustowany pokręcił głową.

— Zgadzam się z tobą — przytaknął St. Cyr. — Lepiej nie można było tego wyrazić. Dziś rano, kiedy się goliłem... usłyszałem go w telewizji. Zatrząś się. — Chciałem przez to powiedzieć, że teraz bombarduje nas ze wszystkich stron.

— Mamy dzisiaj pierwszy dzień Zjazdu — oświadczył Harvey. Wyjrzał przez okno na samochody i przechodniów. — Louis skoncentruje się na próbie przeforsowania kandydatury Alfonsa Gama. To samo dotyczy Johnny'ego, który pracuje dla Gama z polecenia Louisa. Może tym razem nam się powiedzie. Rozumiesz? Może zapomniał o Kathy, Boże, przecież nie może być w stu miejscach naraz.

— Ale Kathy nie przebywa teraz w Archimedejskim — powiedział cicho St. Cyr.

— No to gdzie jest? W Delaware? W Wilhelmina Securities? Odszukanie jej nie powinno stanowić żadnego problemu.

— Jest chora — oznajmił St. Cyr. — Znajduje się szpitalu, Phil. Przyjęto ją tam zeszłego wieczora. Pewnie to ma związek z nałogiem.

Zapadła cisza.

— Niemało wiesz — uznał wreszcie Harvey. — Skąd masz takie wiadomości?

— Z telefonu i telewizji. Nie wiem jednak, gdzie jest ten szpital. Może chodzi o Lunę albo Marsa, może nawet o planetę, z której przyleciała. Odnoszę wrażenie, że jej stan jest poważny. Odejście Johnny'ego wytrąciło ją z równowagi. — Z powagą popatrzył na swego pracodawcę. — To wszystko, co wiem, Phil.

— Czy według ciebie Johnny Barefoot wie, gdzie ona jest?

— Wątpię.

— Założę się, że spróbuje do niego zadzwonić — powiedział z namysłem Harvey. — Założę się też, że on albo wie, albo wkrótce będzie wiedział. Gdybyśmy tylko zdołali założyć mu podsłuch... i przepuszczać jego rozmowy przez naszą linię.

— Tak, ale przecież te gadki przez telefon — zaczął St. Cyr — to tylko jakiś bełkot. Sprawka Louisa. — Zastanawiał się, co czeka Przedsiębiorstwo Archimedejskie, jeśli Kathy zostanie uznana za niezdolną do sprawowania nad nim kontroli i zmuszona do zrzeczenia się swoich praw. Skomplikowana sprawa, w zależności od tego, czy prawo ziemskie, czy...

— Nie możemy znaleźć ani jej, ani ciała — mówił Harvey. — Tymczasem Zjazd w toku i nominują tego przebrzydłego Gama, marionetkę Louisa. Potem dowiemy się, że został prezydentem. — Popatrzył na St. Cyrę z niechęcią. — Jak do tej pory nie mam z ciebie wiele pożytku, Claude.

— Przeszukamy szpitale. Ale są ich dziesiątki tysięcy. A jeśli nie znajdziemy jej tu, to szukaj wiatru w polu. — Poczuł się bezradny. Kręcimy się w kółko, pomyślał. Zmierzamy donikąd. Cóż, pozostaje nam dalej śledzić informacje telewizyjne, uznał. Przynajmniej to jakaś pomoc.

— Idę na obrady Zjazdu — oznajmił Harvey. — Do zobaczenia. Jeśli natrafisz na coś ciekawego — w co wątpię — wiesz, gdzie mnie szukać. Podszedł do drzwi, chwilę potem St. Cyr pozostał sam.

Diabli, pomyślał. I co ma teraz robić? Może też powinienem udać się na obrady? Chciał jednak sprawdzić jeszcze jedno moratorium; jego ludzie wprowadzili już tam byli, ale miał zamiar odwiedzić je osobiście. Leżało dokładnie w guście Louisa, jego właściciel nosił dźwięczne nazwisko Herbert Schönheit von Vogelsang, co znaczyło po niemiecku Herbert Piękno Ptasiego Trelu — nazwisko w sam raz dla człowieka, który prowadził Moratorium Ukochanych Współbraci w centrum Los Angeles, z filiami w Chicago, Nowym Jorku i Cleveland.

Kiedy dotarł do moratorium, zażądał osobistego widzenia z Schönheitem von Vogelsangiem. Praca w moratorium wrzała; Dzień Zmartwychwstania był za pasem i drobnomieszczanie, którzy tłumnie uczestniczyli w podobnych uroczystościach, ustawiali się w kolejki po odbiór swoich półżywych krewnych.

— Słucham pana — powiedział Schönheit von Vogelsang, kiedy wreszcie pojawił się w recepcji. — Chciał pan ze mną rozmawiać.

St. Cyr położył na biurku swoją wizytówkę; według zawartej na niej informacji wciąż pełnił funkcję radcy prawnego Przedsiębiorstwa Archimedejskiego.

— Nazywam się Claude St. Cyr — oznajmił. — Przypuszczam, że pan o mnie słyszał.

Schönheit von Vogelsang rzucił okiem na wizytówkę i zdębiał.

— Daję słowo, panie St. Cyr, staramy się, naprawdę się staramy. Próbując uzyskać z nim kontakt, wydaliśmy z własnej kieszeni ponad tysiąc dolarów, sprowadziliśmy z Japonii fachową aparaturę. I nic. — Lękliwie odsunął się od biurka. — Niech pan sam zobaczy. Naprawdę, uważam, że ktoś robi to celowo, podobne usterki nie są przypadkowe, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

— Chcę go zobaczyć — zażądał St. Cyr.

— Naturalnie. — Pobladły właściciel moratorium ochoczo poprowadził go do chłodni, gdzie spoczywała trumna ze zwłokami Louisa Sarapisa. — Planuje pan wszczęcie postępowania? — zapytał ze strachem właściciel. — Zapewniam pana, że...

— Przyjechałem tu — przerwał mu St. Cyr — tylko po to, aby zabrać ciało. Niech pańscy ludzie załadują je na ciężarówkę.

— Tak jest, panie St. Cyr — przytaknął potulnie Herb Schönheit von Vogelsang. Gestem przywołał dwóch pracowników i wydał im polecenia. — Czy ma pan swoją ciężarówkę, panie St. Cyr? — zapytał.

— Może pan udostępnić własną — rzucił oziębło St. Cyr.

Niebawem trumna została umieszczona w samochodzie i kierowca zwrócił się do St. Cyra z pytaniem o dalsze instrukcje.

St. Cyr podał mu adres Phila Harveya.

— Co się tyczy postępowania śledczego — zagał ponownie Herb Schönheit von Vogelsang, kiedy St. Cyr siadał na fotelu obok kierowcy chyba nie podejrzewa nas pan o zaniedbanie, prawda, panie St. Cyr? Jeśli tak...

— Sprawę uznajemy za zamkniętą — uciał sucho St. Cyr i kazał kierowcy jechać.

Z chwilą gdy opuścili moratorium, St. Cyr wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

— Co pana tak śmieszy? — zapytał kierowca.

— Nic — odparł rozbawiony St. Cyr.

Kiedy ustawiono trumnę w domu Harveya i kierowca moratorium odjechał, St. Cyr podniósł słuchawkę i wybrał numer. Jednak połączenie z salą obrad okazało się niemożliwe. W słuchawce rozbrzmiewała jedynie dudniąca litania Louisa Sarapisa. Niechętnie odłożył słuchawkę, czując przypływ gwałtownej determinacji.

Dosyc tego, postanowił St. Cyr. Nie będzie czekał na pozwolenie Harveya, nic mi po nim.

Przeszukał salon i znalazł w szufladzie biurka pistolet. Celując w trumnę z ciałem Sarapisa nacisnął spust.

Obudowa trumny poszła z dymem, natomiast sama trumna stopiła się jak rozgrzany plastik. Ciało skurczyło się i zmieniło się w zwęglone szczątki.

St. Cyr z zadowoleniem odłożył broń z powrotem do szuflady.

Ponownie sięgnął po słuchawkę.

I ponownie usłyszał w niej monotonny głos:

— ...nie zrobi tego nikt oprócz Gama; Gam asa w rękawie mam świetny slogan, Johnny. Gam asa w rękawie mam; zapamiętaj. Ja będę mówił. Daj mi mikrofon, to im powiem; Gam asa w rękawie mam. Gam...

Claude St. Cyr rzucił słuchawkę na widełki i obrócił się w kierunku szczątków Louisa Sarapisa; spoglądał na nie z niedowierzaniem. Po włączeniu telewizora przekonał się, że głos płynął również i z niego; nic nie uległo zmianie.

Głos Louisa Sarapisa nie pochodził z ciała. Ciało przestało istnieć. Pomiedzy nimi nie było żadnego związku.

Claude St. Cyr usiadł na krześle i zapalił papierosa, próbując dociec sedna sprawy. Rozwiązanie musiało znajdować się w zasięgu ręki.

Lecz nie do końca.

## V

Kolejką jednotorową — swój helikopter zostawił w Moratorium Ukochanych Współbraci — Claude St. Cyr pojechał do sali obrad. Zgodnie z jego przewidywaniami budynek był zatłoczony, panował nieznośny hałas. Za pośrednictwem mechanicznego porządkowego uzyskał dostęp do megafonu i wezwał Phila Harveya do jednej z sal bocznych służących jako miejsce poufnych spotkań delegatów.

Niebawem nadszedł Harvey, włosy sterczały mu na wszystkie strony, co było skutkiem przepychania się przez gęsty tłum zgromadzonych.

— O co chodzi, Claude? — zapytał, po czym uważnie przyjrzał się twarzy swego doradcy. — Lepiej od razu powiedz — poradził mu ściszym głosem.

— Ten głos, który słyszymy, to wcale nie Louis! — wyrzucił z siebie St. Cyr. — Ktoś się pod niego podszywa!

— Skąd wiesz?

Powiedział mu.

— Nie ma wątpliwości co do ciała, które zniszczyłeś, na sto procent zabrałeś z moratorium zwłoki Louisa? — spytał Harvey kiwając głową.

— Nie wiem, czy na sto procent — odrzekł St. Cyr. — Ale chyba tak, ufam, że tak się stało. — Na szczegółową analizę było już za późno.

— Ale wobec tego kto to może być? — zastanawiał się Harvey. — Boże, przecież to dociera do nas spoza Układu Słonecznego... może to kosmici? Szydercze echo, nieznam nam reakcja nieorganiczna? Pozbawiony celowości proces?

St. Cyr roześmiał się.

— Co ty opowiadasz, Phil. Przestań.

— Jak chcesz, Claude. — Harvey skinął głową. — Skoro uważasz, że to ktoś stąd...

— Nie mam pojęcia — odparł szczerze St. Cyr. — Myślę jednak, że to ktoś tutejszy, kto znał Louisa na tyle dobrze, aby naśladować jego sposób mówienia. — Umilkł. Na tym etapie jego procesy myślowe napotykały zdecydowany opór... dalej w głowie miał już tylko pustkę. Przerazającą pustkę.

Co za obłąd, pomyślał. To, co uważaliśmy za symptom rozkładu, stanowi bardziej formę szaleństwa niż degeneracji. A może szaleństwo samo w sobie jest degeneracją? Nie wiedział; nie posiadał wiedzy z zakresu psychiatrii, chyba że dotyczyła jakichś aspektów prawnych. Aspekty prawne jednak w tej sytuacji nie znajdowały zastosowania.

— Czy Gam już został nominowany? — zapytał Harveya.

— Jeszcze nie. Mimo to ogłoszenia nominacji spodziewamy się dzisiaj. Plotka głosi, że ma to nastąpić z inicjatywy delegata z Montany.

— Jest tu Johnny Barefoot?



— Tak. — Harvey kiwnął głową. — Uwija się jak w ukropie, werbując delegatów z różnych ugrupowań. Rzecz jasna ani śladu Gama. Nie przyjdzie do chwili ogłoszenia nominacji, wtedy dopiero zaczną się cyrk. Wiwaty, parady, wymachiwanie sztandarami... jego zwolennicy czekają w gotowości.

— Jakiś ślad bytności... — St. Cyr zawahał się. — Tego, co uznawaliśmy za Louisa? Jego obecności? — Czegokolwiek, pomyślał.

— Na razie nie — odpowiedział Harvey.

— Myślę, że przed upływem dnia da o sobie znać — rzekł St. Cyr.

Harvey pokiwał głową; on też tak uważał.

— Boisz się? — zapytał St. Cyr.

— Pewnie — odparł Harvey. — Tysiąc razy bardziej niż do tej pory, skoro teraz nawet nie wiemy, z kim albo czym mamy do czynienia.

— Masz rację, że się boisz — powiedział St. Cyr. Sam czuł się podobnie.

— Może powinniśmy powiedzieć Johnny'emu — zasugerował Harvey.

— Niech sam się dowie — uciął St. Cyr.

— Dobrze, Claude — odrzekł Harvey. — Jak chcesz. Ostatecznie, to właśnie ty wpadłeś na trop ciała Louisa, mam do ciebie pełne zaufanie.

Z jednej strony żałuję, że tak się stało, pomyślał St. Cyr. Żałuję, że poznałem prawdę; było nam lepiej, kiedy wierzyliśmy, że z każdej gazety, telefonu i telewizora płynie do nas głos Louisa.

Tamto było złe, ale to jest znacznie gorsze. Chociaż, przyszło mu do głowy, mam wrażenie, że odpowiedź na wszystkie pytania znajduje się na wyciągnięcie ręki.

Muszę spróbować, postanowił w duchu. Spróbować ją znaleźć. **SPRÓBOWAĆ!**

Siedzący samotnie w bocznej sali Johnny Barefoot w napięciu śledził na monitorze przebieg obrad. Natarczywa obecność istoty spoza Układu na razie nie dawała o sobie znać, dzięki czemu przysłuchiwał się mowie na cześć Alfonsa Gama wygłaszanej przez delegata z Montany.

Był zmęczony. Cała procedura Zjazdu, przemówienia i parady nadwreżyły jego nerwy i nie sprzyjały aktualnej kondycji psychicznej. Co za cholerne przedstawienie, pomyślał. Demonstracja czego? Skoro Gamo'wi zależało na nominacji, i tak by ją uzyskał, cała reszta była jak najzupełniej zbędna.

Nie mógł przestać myśleć o Karny Egmont Sharp.

Nie widział dziewczyny od czasu jej wyjazdu do szpitala w San Francisco. Nie miał pojęcia, jak się czuła i czy terapia przynosiła pożądane rezultaty.

Intuicja podpowiadała mu, że nie.

Czy stan Kathy był poważny? Pewnie tak, bez względu na to, czy brała narkotyki, czy też nie; czuł, że tak jest. Może nigdy nie zostanie wypisana ze szpitala; brał tę możliwość pod uwagę.

Z drugiej strony — jeśli zapragnie opuścić szpital, uznał, że żadna siła nie będzie w stanie jej powstrzymać. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Wszystko zależało tylko od niej. Dobrowolnie poddała się terapii. Opuści szpital — o ile to w ogóle nastąpi — w ten sam sposób. Nikt nie mógł Kathy do niczego zmusić... poddanie się czyjejś woli kłóciło się z jej charakterem. Co, jak sądził, pozostawało w związku z przebiegiem choroby.

Drzwi do sali się otworzyły. Podniósł wzrok znad monitora.

I zobaczył Claude'a St. Cyra, który mierzył do niego z pistoletu.

— Gdzie jest Kathy? — zapytał St. Cyr.

— Nie wiem — odparł Johnny, powoli wstając z krzesła.

— Ależ wiesz. Jeśli mi nie powiesz, zabiję cię.

— Dlaczego? — zapytał, zachodząc w głowę, co skłoniło St. Cyra do takiej determinacji.

— Czy ten szpital jest na Ziemi? — rzucił St. Cyr. Wciąż celując w Johnny'ego, z wolna ruszył w jego kierunku.

— Tak — odparł z ociąganiem Johnny.

— W którym mieście?

— Co ty knujesz? — spytał Johnny. — To niepodobne do ciebie, Claude; dotychczas postępowałeś zgodnie z prawem.

— Mam podstawy sądzić, że głos należy do Kathy — powiedział St. Cyr. — Wiem, że jest to głos Louisa, to więcej niż pewne. Kathy jest najbardziej zdegenerowaną osobą, jaką znam. Podaj mi nazwę szpitala.

— Jedynym sposobem, aby przekonać się, że to nie Louis — odparł Johnny — byłoby zniszczenie jego ciała.

— Trafiłeś w sedno — potwierdził St. Cyr.

A więc to tak, dotarło do Johnny'ego. Znalazłeś właściwe moratorium; dotarłeś do Herba Schönheita von Vogelsanga. A więc to tak.

Ponownie otwarto drzwi do sali; do środka wkroczyła grupa wiwatujących i dmących w trąbki delegatów, zwolennicy Gama trzymali ręcznie malowane transparenty. St. Cyr odwrócił się i zagroził im pistoletem w tej samej chwili Johnny Barefoot przemknął obok delegatów, dopadł drzwi i wybiegł na korytarz.

Chwilę potem trafił do sali głównej, gdzie wiwatowano na cześć Gama. Z umieszczonych pod sufitem głośników rozbrzmiewał dudniący głos.

— Głosuj na Gama, Gam asa w rękawie mam, Gam, Gam, głosuj na Gama, głosuj na Gama; Gam asa w rękawie mam. Gam, Gam, Gam, asa mam...

Kathy, pomyślał. To nie możesz być ty; to niemożliwe. Wybiegł z sali, przeciskając się przez roztańczoną gromadę rozszalałych delegatów i potrącając ludzi o szklistych spojrzeniach, ubranych w śmieszne kapelusze i wymachujących chorągiewkami... wy-

padł na ulicę, gdzie zgromadzeni gorączkowo pchali się do zaparkowanych helikopterów i samochodów.

Jeśli to ty, pomyślał, to jesteś zbyt chora, aby kiedykolwiek opuścić szpital. Nawet jeżeli tego chcesz. Czekając na śmierć Louisa, tak? Nienawidzisz nas? Czy może się nas boisz? Co tłumaczy twoje postępowanie... jaka jest jego przyczyna?

Zatrzymał helikopter oznaczony napisem TAXI.

— Do San Francisco — rzucił do pilota.

*Może nie jesteś świadoma tego, co robisz. Może to proces autonomiczny wynikający z twojej podświadomości. Twój umysł rozszczępił się na dwoje, jedna część to ta, którą widzimy, a druga...*

*Którą słyszymy.*

*Czy powinniśmy cię żałować? Czy też nienawidzić, bać się? ILE ZŁEGO JESTEŚ WSTANIE UCZYNIĆ? Sądzę, że właśnie w tym sęk. Kocham cię. Przynajmniej na swój sposób. Zależy mi na tobie, jest to rodzaj miłości, nie takiej, jaką czuję do żony i dzieci, ale równie silnej. Cholera, to straszne. Może St. Cyr jest w błędzie; może wcale nie chodzi o ciebie.*

Helikopter wzniósł się ponad budynki i skierował na zachód. Jego śmigło wirowało z zawrotną szybkością.

Stojący przed gmachem obrad St. Cyr i Phil Harvey odprowadzili helikopter wzrokiem.

— Podziałało — rzekł St. Cyr. — Przynajmniej ruszył się z miejsca. Pewnie leci do Los Angeles albo do San Francisco.

Phil Harvey zatrzymał następny helikopter; wsiedli do środka.

— Widzi pan tamtą taksówkę? Proszę się jej trzymać, niech pozostanie w zasięgu wzroku. Dobrze by było, żeby pana nie widzieli.

— Też coś — obruszył się pilot. — Skoro ja ich widzę, to oni widzą mnie. — Ale włączył licznik i wystartował. — Nie lubię takich rzeczy, mogą być niebezpieczne — powiedział zrzędlawie do Harveya i St. Cyra.

— Niech pan włączy radio — poradził mu St. Cyr — jeśli chce pan usłyszeć coś naprawdę niebezpiecznego.

— Jasny szlag — zaklął pilot. — Radio nie działa; jakieś zakłócenia, jakby plamy na Słońcu albo domorosły operator... przepadło mi wiele kursów, bo baza nie mogła mnie złapać. Policja powinna chyba coś z tym zrobić, nie sądzicie?

St. Cyr milczał. Siedzący obok niego Harvey nie spuszczał wzroku z lecącego przed nimi helikoptera.

Lądując na dachu szpitala w San Francisco, Johnny ujrzał, jak podążający za nim helikopter zawisa nad lądowiskiem, zamiast polecieć dalej. Widok ten potwierdził jego przypuszczenia, przez całą drogę był śledzony. Nie przejął się tym zbytnio. To nie miało znaczenia.

Zszedł po schodach na trzecie piętro i zaczepił pielęgniarkę.

— Pani Sharp — powiedział. — Gdzie jest jej pokój?

— Musi pan zapytać dyżurnej — odparła pielęgniarka. — Poza tym godziny wizyt zaczynają się dopiero...

Ruszył przed siebie, aż wreszcie odnalazł biurko dyżurnej.

— Pani Sharp leży w sali 309 — poinformowała go podstarzała dyżurna w okularach. — Musi pan mieć jednak pozwolenie doktora Grossa. O ile wiem, doktor Gross je w tej chwili lunch i pewnie wróci dopiero około drugiej. Jeśli zechce pan poczekać... — Wskazała na poczekalnię.

— Dziękuję — odparł. — Zaczekam. — Wyminął poczekalnię i ruszył przez korytarz, śledząc uważnie numery na drzwiach. Wreszcie dotarł do pokoju 309. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się wokoło.

Łóżko było puste.

— Kathy — powiedział.

Stojąca przy oknie postać w szlafroku zwróciła ku niemu ściągniętą nienawiścią twarz. Jej usta drgnęły, ruszyła ku niemu ze słowami:

— Gam asa w rękawie mam. — Opluła go i uniosła do góry dłonie z rozcapierzonymi palcami. — Gam jest mężczyzną, prawdziwym mężczyzną — szepnęła, on zaś dostrzegł, jak znajome okruchy osobowości dziewczyny rozpływają się bez śladu na jego oczach. — Gam, Gam, Gam — wyszeptwała i uderzyła go w twarz.

Cofnął się.

— A więc to ty — powiedział. — Claude St. Cyr miał rację. Dobrze. Pójdę sobie. — Po omacku sięgnął do klamki, próbując otworzyć drzwi. Poczul ukłucie paniki; zapragnął znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. — Kathy — poprosił — puść mnie. — Wpiła paznokcie w jego ramię i z ukosa z uśmiechem zajrzała mu w twarz.

— Jesteś trupem — powiedziała. — Odejdź. Czuję w tobie śmierć.

— Pójdę — odparł i zacisnął palce na klamce. Puściła go, ujrzał wzniesioną do góry rękę i paznokcie celujące w jego twarz, może oczy — zrobił unik i cios trafił w próżnię. — Chcę stąd wyjść — powiedział, zasłaniając twarz ramieniem.

— Ja jestem Gamem, ja — szepnęła Kathy. — Tylko ja. Ja żyję. Gam, żyje. — Wybuchnęła śmiechem. — Dobrze. Pójdę sobie — rzekła, doskonale naśladowując jego głos. — Claude St. Cyr miał rację. Pójdę sobie. Pójdę sobie. Pójdę sobie. — Zagroziła mu drogę do drzwi. — Okno — rzuciła. — Zrób teraz to, co chciałeś zrobić, kiedy cię powstrzymałam. — Natarła na niego; cofał się do chwili, aż poczuł za plecami ścianę.

— Wymyśliłaś to sobie — powiedział. — Wymyśliłaś tę nienawiść. Wszyscy cię lubią; ja, Gam, St. Cyr i Harvey także. Jaki jest tego sens?

— Sens w tym — odparła Kathy — aby pokazać ci, kim naprawdę jesteś. Jeszcze nie wiesz? Jesteś gorszy ode mnie. Ja przynajmniej jestem szczerą.

— Dlaczego udawałaś, że jesteś Louisem? — zapytał.

— Bo nim jestem — odpowiedziała. — Kiedy umarł, nie przeszedł w stan półżycia, bo go zjadłam, stał się mną. Czekałam na to. Alfons i ja zaplanowaliśmy wszystko, nadajnik z przygotowaną kasetą... przestraszyliśmy was, powiedz, że tak. Boicie się, jesteście zbyt przestraszeni, aby nas powstrzymać. Uzyska nominację, może już uzyskał, czuję to, wiem.

— Jeszcze nie — odparł Johnny.

— To nie potrwa długo — zapewniła go Kathy. — Zostanę jego żoną. Uśmiechnęła się. — A ty umrzesz, ty i cała reszta. — Podchodząc do niego, rzuciła śpiewnie: — Jestem Gamem i jestem Louisem, a kiedy skonasz, Johnny Barefoocie, stanę się tobą i całą resztą; zjem was wszystkich. — Otworzyła szeroko usta i dostrzegł nierówny rząd ostrych zębów.

— I zapanujesz nad zmarłymi — powiedział Johnny i uderzył ją z całej siły. Poleciała do tyłu, po czym poderwała się natychmiast i zaatakowała go. Odskoczył w bok, dostrzegając w przelocie jej zniekształcone rysy. Naraz drzwi do sali stanęły otworem i do środka weszli St. Cyr i Harvey w towarzystwie dwóch pielęgniarek. Kathy stanęła jak wryta. Johnny również.

— Chodź tutaj, Barefoot — powiedział St. Cyr i dał mu znak głową.

Johnny przeszedł przez salę i dołączył do nich.

Wiążąc pasek od szlafroka, Kathy powiedziała rzeczowo:

— Zatem to było zaplanowane; Johnny miał mnie zabić, a wy stalibyście z boku i przyglądali się.

— Mają tam wielki nadajnik — wykrztusił Johnny. — Umieścili go tam dawno temu, najpewniej przed laty. Przez cały czas czekali na śmierć Louisa, może nawet sami go zabili. Chodziło o uzyskanie nominacji przez Gama i wybranie go, terroryzowali jednocześnie wszystkich za pomocą fałszywego sygnału. Ona jest chora, znacznie bardziej niż sądziliśmy, bardziej niż ty sądziłeś. Choroba tkwi w niej głęboko i nie ujawnia się.

St. Cyr wzruszył ramionami.

— Należy wystawić orzeczenie o jej niepoczytalności. — Był spokojny, lecz nienaturalnie cedził słowa. — Według testamentu to ja jestem jego administratorem, mogę wystąpić przeciwko niej, napisać oświadczenie i przedstawić je podczas sprawy o uznanie niepoczytalności.

— Zażądam rozprawy przy udziale ławy przysięgłych — odparła Kathy. — Przekonam ich o swojej poczytalności, to nie będzie trudne, przechodziłam to nieraz.

— Możliwe — odrzekł St. Cyr. — Tak czy inaczej, nadajnik zniknie, władze przejmą go w odpowiednim czasie.

— Upłyną miesiące, zanim tam dotrzecie — oświadczyła Kathy. — Nawet najszybszym statkiem. Wtedy będzie już po wyborach, Alfons zostanie prezydentem.

St. Cyr zerknął przelotnie na Johnny'ego Barefoota.

— Może i tak — mruknął.

— Dlatego umieściliśmy go tak daleko — powiedziała Kathy. — Połączenie możliwości finansowych Alfonsa z moimi zdolnościami; odziedziczyłam to po Louisie — sami rozumiecie. Jestem gotowa na wszystko. Nic nie stanie mi na przeszkodzie, jeżeli czegoś pragnę, muszę jedynie chcieć tego dostatecznie mocno.

— Chciałaś, żebym wyskoczył — powiedział Johnny. — Nie zrobiłem tego.

— Zrobiłbyś — odparła Kathy. — Niewiele brakowało. Gdyby tylko nie weszli. — Odzyskała równowagę. — Pewnego dnia zrobisz to, moja w tym głowa. Nie ma miejsca, gdzie moglibyście się schronić, wiecie, że pójdę za wami i was odnajdę. Wszystkich trzech. — Prześlizgnęła po nich wzrokiem, zapamiętując ich twarze.

— Ja również mam niemałą władzę i pieniądze — odrzekł Harvey. Możemy pokonać Gama, nawet jeśli uzyska nominację.

— Masz władzę — odparła Kathy — ale nie masz wyobraźni. To nie wystarczy. Nie przeciwko mnie. — Mówiła spokojnie, z niezachwianą pewnością siebie.

— Chodźmy — powiedział Johnny i ruszył korytarzem. Z dała od sali 309 i Kathy Egmont Sharp.

Johnny przemierzał ulice San Francisco z rękami w kieszeniach i nieobecny wyrazem twarzy, ignorując przechodniów i budynki. Popołudnie przeszło w wieczór; zapalono latarnie, na co również nie zwrócił uwagi. Mijał przecznice dopóty, dopóki nie rozboleły go nogi i nie poczuł ssania w żołądku — dochodziła dziesiąta wieczór, a on od rana nie miał nic w ustach. Zatrzymał się i rozejrzał dokoła.

Gdzie podzieli się Claude St. Cyr i Phil Harvey? Nie pamiętał, kiedy się rozdzielili; nie pamiętał nawet, jak opuszczał szpital. Tylko Kathy; ją pamiętał jasno i wyraźnie. Nie był w stanie usunąć jej z pamięci, nawet gdyby chciał. A nie chciał. Ktokolwiek uczestniczył w tym wydarzeniu i pojął jego znaczenie, nie mógł tego zapomnieć.

Przy kiosku jego uwagę przyciągnął czarny, krzykliwy nagłówek.

GAM OTRZYMUJE NOMINACJĘ  
ZAPOWIEDŹ OSTREJ KAMPANII  
PRZED LISTOPADOWYMI WYBORAMI

A więc dopięła swego, pomyślał. Oboje uzyskali to, czego chcieli. Teraz pozostaje im jedynie pokonać Kenta Margrave'a, a oddalony o tydzień świetlny nadajnik nadal mówi swoje. I tak przez następne miesiące.

Oni wygrają, uświadomił sobie.

W supermarkecie znalazł budkę telefoniczną, wrzucił monetę i zadzwonił do domu, do Sarah Belle.

W słuchawce rozległo się kliknięcie. Następnie rozbrzmiał znajomy, monotony głos:

— Gam w listopadzie, Gam w listopadzie; wygraj z Gamem, prezydent Alfons Gam, nasz człowiek — głosuję na Gama. Głosuję na Gama. Na GAMA! — Odwiesił słuchawkę, po czym wyszedł z budki. Sytuacja była beznadziejna.

Zamówił w bufecie kanapkę i kawę; usiadł i machinalnie pochłoniął posiłek, zaspokajając potrzeby organizmu bez przyjemności ani ochoty. Kanapka znikła i przyszedł czas na zapłacenie rachunku. Co ja mam robić? — zapytał sarn siebie. Co mają robić inni? Wszystkie środki komunikacji przestały istnieć, media zostały zmonopolizowane. Oni przejęli radio, telewizję, gazety, telefony, linie telegraficzne... wszystko, czego działanie opiera się na transmisji krótkofalowej lub otwartym obwodzie elektrycznym. Nie zostawili nam nic, co umożliwiłoby uczciwą walkę.

Porażka, pomyślał. Przed nami niewesołe perspektywy. A kiedy przejmą władzę, będzie to oznaczało naszą... śmierć.

— Należy się dolar dziesięć — powiedziała dziewczyna za ladą.

Zapłacił i wyszedł z bufetu.

Kiedy nadleciał helikopter z napisem TAXI, dał mu znak ręką.

— Niech pan mnie zabierze do domu — powiedział.

— Dobrze — odparł życzliwie pilot. — A gdzie jest twój dom, przyjacielu?

Podał mu swój adres w Chicago i usadowił się wygodnie. Czekala go długa podróż. Poddał się, dał za wygraną i wracał do Sarah Belle, swojej żony, i dzieci. Wszystko wskazywało na to, że batalia dobiegła końca.

— Chryste — powiedziała Sarah Belle na jego widok. — Johnny... wyglądasz strasznie. — Pocałowała go i zaprowadziła do ciepłego, znajomego salonu. — Myślałam, że poszedłeś świętować zwycięstwo.

— Świętować zwycięstwo? — zapytał ochrypłym głosem.

— Wasz człowiek zdobył nominację. — Poszła do kuchni, aby zaparzyć dla niego kawę.

— Ach, tak — odparł, kiwając głową. — Zgadza się. Byłem jego P. R., zapomniałem.

— Lepiej się połóż — poradziła mu Sarah Belle. — Johnny, nigdy nie widziałam cię tak zmarnowanego, co się stało?

Usiadł na tapczanie i zapalił papierosa.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — zapytała z niepokojem.

— Nic — odpowiedział.

— Czy w słuchawce i w telewizji słycać głos Louisa Sarapisa? Brzmi zupełnie jak on. Rozmawiałam z Nelsonami i przyznali mi rację.

— Nie — odparł. — To nie Louis. Louis nie żyje.

— Ale okres jego półżycia...

— Nie — przerwał. — On nie żyje. Daj temu spokój.

— Znasz Nelsonów, prawda? To ci nowi, którzy wprowadzili się do...

— Nie chce mi się rozmawiać — odrzekł. — Ani słuchać.

Sarah Belle milczała przez chwilę. Następnie odrzekła:

— Powiedzieli mi jedno... chyba ci się to nie spodoba. Ci Nelsonowie to prości, ludzie... powiedzieli, że nawet jak Alfons Gam uzyska nominację, oni na niego nie zagłosują. Po prostu nie budzi ich sympatii.

Odchrząknął.

— Przykro ci z tego powodu? — zapytała Sarah Belle. — Myślę, że w ten sposób reagują na nacisk wywierany na nich za pomocą telewizji i telefonów, nie podoba im się to. Myślę, że przesadziłeś w swojej kampanii, Johnny. — Popatrzyła na niego z wahaniem. — To prawda, musiałam to powiedzieć.

— Idę do Phila Harveya. Wrócę późno — odparł, wstając.

Odprowadziła go zatroskanym spojrzeniem.

Kiedy wpuszczono go do domu Phila Harveya, dołączył do siedzących w salonie Claude'a St. Cyr, Phila oraz Gertrudy Harvey. Wszyscy trzymali w dłoniach szklanki, ale żadne z nich nie odzywało się ani słowem. Harvey podniósł spojrzenie na wchodzącego, po czym odwrócił wzrok.

— Poddamy się? — zapytał Harveya.

— Skontaktowałem się z Kentem Margrave'em — odparł Harvey. Spróbujemy zestrzelić nadajnik. Ale przy tej odległości szansa powodzenia równa się jednej milionowej. Nawet przy najszybszym pocisku to potrwa miesiąc.

— To już coś — powiedział Johnny. Zdażyliby przed wyborami, pozostałoby im kilka tygodni kampanii. — Czy Margrave zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji?

— Tak — odparł Claude St. Cyr. — Powiedzieliśmy mu prawie wszystko.

— Ale to nie wystarczy — wtrącił Phil Harvey. — Musimy zrobić jeszcze jedno. Weźmiesz w tym udział? Chcesz ciągnąć zapałkę? — Wskazał na stolik do kawy, Johnny ujrzał trzy zapałki, z których jedna była złamana na pół. Phil Harvey dodał do pozostałych jeszcze jedną całą zapałkę.

— Najpierw ona — powiedział St. Cyr. — I to jak najszybciej. Potem, jeśli zajdzie potrzeba, Alfons Gam.

Johnny Barefoot poczuł, jak chłód ogarnia mu serce.



— Losujcie — powiedział Harvey, podniósł zapalki, przełożył je w dłoni i częściowo zakryte wyciągnął w kierunku obecnych. — Dalej, Johnny. Przyszedłeś ostatni, więc musisz losować pierwszy.

— Ja nie — odparł.

— No to my pociągniemy najpierw — oświadczyła Gertruda Harvey i wyjęła zapalkę. Phil zwrócił się do St. Cyr, który wylosował kolejną. W dłoni Harveya pozostały dwie zapalki.

— Byłem w niej zakochany — powiedział Johnny. — Nadal jestem.

Phil Harvey kiwnął głową.

— Tak, wiem o tym.

— Dobrze. Wylosuję — zdecydował z ciężkim sercem Johnny. Wybrał jedną z dwóch zapalek.

Złamaną.

— Wylosowałem — powiedział. — To ja.

— Dasz radę? — zapyta St. Cyr.

Milczał przez chwilę. Następnie wzruszył ramionami.

— Jasne. Dlaczego nie? — Rzeczywiście, dlaczego nie? — powtórzył w duchu. Kobieta, w której byłem zakochany; dlaczego nie miałbym jej zabić. Trzeba to zrobić. Nie ma innego wyjścia.

— To wcale nie musi być takie trudne, jak sądzimy — powiedział St. Cyr. — Pytaliśmy jednego z techników Phila i udzielił nam kilku przydatnych informacji. Większa część sygnału dobiega z niewielkiej odległości, wcale nie z miejsca oddalonego o tydzień świetlny. Powiem ci, skąd wiemy. Muszą reagować na bieżące wydarzenia. Na przykład twoja próba samobójstwa w hotelu Antler. Ani wtedy, ani w jakiegokolwiek innej sytuacji nie istniało żadne opóźnienie.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, Johnny — potwierdziła Gertruda Harvey.

— A więc przede wszystkim należy odnaleźć ich bazę tu, na Ziemi oświadczył St. Cyr. — Albo przynajmniej w obrębie Układu Słonecznego. Może to być ferma perliczek Gama na Io. Jeśli okaże się, że opuściła szpital, spróbuj tam.

— Dobrze — odparł Johnny, lekko kiwając głową.

— Napijesz się? — zapytał go Phil Harvey.

Johnny przytaknął.

Cała czwórka siedziała i bez słowa pociągała ze swoich szklanek.

— Masz broń? — zapytał St. Cyr.

— Tak. — Wstał i postawił szklankę na stole.

— Powodzenia — zawołała za nim Gertruda.

Johnny otworzył drzwi i samotnie wyszedł na pogrążoną w ciemnościach ulicę.

# **ORFEUSZ O GLINIANYCH STOPACH**

W gmachu Jedności Konsultantów Wojskowych Jesse Slade wyrzął przez okno na ulicę. Stwierdził, że wszystkie okoliczności sprzysięły się przeciwko temu, aby w niczym nieskrępowany sposób, drogą pośród kwiatów i traw udał się na wycieczkę w nieznaną. Westchnął.

— Przykro mi, sir — wymamrotał przepraszająco klient siedzący po drugiej stronie biurka. — Chyba pana nudzę.

— Ależ skąd — odparł Slade, powracając do swoich uciążliwych zadań. — Zobaczmy... — Sięgnął po dokumenty przyniesione przez klienta, pana Waltera Grossbeina. — Według pana, panie Grossbein, najlepszą szansą na uniknięcie służby wojskowej są chroniczne problemy ze słuchem stwierdzone przez lekarzy cywilnych podczas niegdyśszego acute labyrinthitis. Hm. — Obejrzał stosowny dokument.

Jego obowiązki — których nie znosił — polegały na tym, aby umożliwić klientom wywinięcie się od służby wojskowej. Wojna przeciwko Rzeczom przybrała ostatnio niekorzystny obrót; według doniesień z regionu Proximy poległo wiele ofiar, a wraz z doniesieniami rozpoczął się wzmożony ruch w agencji konsultantów wojskowych.

— Panie Grossbein — powiedział z namysłem Slade. — Kiedy pan wszedł do biura, zauważyłem, że przechyla się pan na jedną stronę.

— Naprawdę? — zdumiał się pan Grossbein.

— Owszem, i pomyślałem sobie, ten człowiek cierpi na dotkliwe zakłócenia równowagi. To wiąże się z uchem, panie Grossbein. Narząd słuchu z ewolucyjnego punktu widzenia stanowi przedłużenie zmysłu równowagi. Niektóre istoty wodne niższego rzędu wchłaniają ziarnko piasku i traktują je jako rodzaj balastu wewnątrz swego płynnego ciała. To pozwala im stwierdzić, czy unoszą się do góry, czy na dół.

— Chyba rozumiem — odparł pan Grossbein.

— No to niech pan to powie — odrzekł Jesse Slade.

— Idąc... często przechylałam się na jedną stronę.

— A w nocy?

Pan Grossbein zmarszczył brwi, po czym odparł radośnie:

— W ciemnościach, kiedy nie widzę, brakuje mi jakiegokolwiek orientacji..

— Świetnie — skwitował Jesse Slade i przystąpił do wypełniania formularza wojskowego B-30. — Myślę, że to zapewni panu zwolnienie.

— Nie jestem w stanie wyrazić panu swojej wdzięczności — ucieszył się klient.

Ależ jest pan w stanie, zapewnił go w duchu Jesse Slade. Pięćdziesiąt dolarów załatwi sprawę. Ostatecznie bez nas w niedługim czasie mógłby pan być bladymi zwłokami leżącymi wewnątrz jakiegoś wąwozu na dalekiej planecie.

Na myśl o dalekich planetach poczuł powracającą tęsknotę. Zapragnął uciec ze swojego ciasnego biura i od konieczności nieustającego obcowania z nadzianymi klientami.

Przecież musi istnieć życie inne niż to, uświadomił sobie Slade. Czy rzeczywiście egzystencja polega tylko na tym?

Po drugiej stronie ulicy, na którą wychodziło okno jego gabinetu, dzień i noc jaśniał neon. Muza Enterprises, głosił napis, a Jesse Slade dobrze wiedział, co on oznacza. Pójść tam, postanowił w duchu. Dzisiaj. Podczas przerwy na kawę o dziesiątej trzydzieści; nie poczekał nawet na przerwę obiadową.

Kiedy wkładał płaszcz, do biura wszedł pan Hnatt, jego przełożony.

— Jak tam, Slade, co słyhać? Nos na kwintę?

— Wychodzę, panie Hnatt — odparł Slade. — Uciekam. Piętnaście tysięcy ludzi otrzymało ode mnie wskazówki, jak wykręcić się od służby wojskowej, przyszła kolej na mnie.

Pan Hnatt poklepał go po plecach.

— Dobry pomysł, Slade, jesteś przepracowany. Zrób sobie wolne. Wykup podróż w czasie do jakiejś odległej cywilizacji — wyjdzie ci to na dobre.

— Dziękuję, panie Hnatt — odpowiedział Slade. — Właśnie tak zrobię. — Ile sił w nogach wypadł z biura i podążył ulicą w stronę jaśniejącego neonu Muza Enterprises.

Jasnowłosa, zielonooka dziewczyna za kontuarem, której figura wprawiła go w podziw głównie ze względu na swoje walory inżynieryjne, inaczej mówiąc — zawieszenie, powitała go z uśmiechem.

— Pan Manville za chwilę pana przyjmie, panie Slade. Proszę usiąść. Na stoliku znajdzie pan autentyczne, dziewiętnastowieczne wydanie „Harper’s Weeklies”. I kilka dwudziestowiecznych „Szalonych komiksów”, klasyka pamfletu równego Hogarthrowi.

Pan Slade usiadł w napięciu i próbował skupić się na lekturze; w „Harper’s Weekly” znalazł artykuł, w którym napisano, że budowa Kanału Panamskiego była niemożliwa i projekt został odrzucony przez francuskich konstruktorów. Artykuł na chwilę przykuł jego uwagę (argument powalał swoją logiką i siłą przekonywania), zaraz jednak jego wieczne niezadowolenie oraz niepokój powróciły niczym chroniczna mgła. Wstał i jeszcze raz podszedł do recepcji.

— Pan Manville jeszcze nie przyszedł? — zapytał z nadzieją.

— Hej tam, przy kontuarze — dobiegł zza jego pleców męski głos.

Slade odwrócił się. I stanął twarz w twarz z wysokim, ciemnowłosym mężczyzną o roziskrzonym spojrzeniu.

— Pan — powtórzył mężczyzna — przebywa w niewłaściwym stuleciu.

Slade przełknął ślinę.

Ciemnowłosy mężczyzna podszedł do niego wielkimi krokami.

— Nazywam się Manville, sir — powiedział, wyciągnął rękę i uściśli dłonie.

— Musi pan wyjechać — ponaglił Manville. — Rozumie pan, sir? I to jak najszybciej.

— Chciałbym skorzystać z waszych usług — wybąkał Slade.

Oczy Manville rozbłyły.

— Miałem na myśli przeszłość. Pana nazwisko? — Wykonał dramatyczny ruch ręką.

— Chwileczkę, już wiem. Jesse Slade z Jedności, niedaleko stąd.

— Zgadza się — odparł z podziwem Slade.

— W porządku, teraz do rzeczy — powiedział pan Manville. — Przejdźmy do mojego gabinetu. — Zwrócił się do imponująco zbudowanej recepcjonistki. — Niech nikt nam nie przeszkadza, panno Frib.

— Tak, panie Manville — odparła panna Frib. — Dopilnuję tego, nie ma obawy, sir.

— Wiem, panno Frib. — Pan Manville poprowadził Slade'a do elegancko urządzonego gabinetu. Na ścianach wisiały stare mapy i ryciny, meble zaś... Slade gwałtownie chwycił powietrze w płuca. Staroamerykańskie, z drewnianymi kołkami zamiast gwoździ. Wart fortunę klon z Nowej Anglii.

— Czy mogę... — zaczął.

— Tak, może pan usiąść na tym krześle z epoki Dyrektoriatu — polu formował go pan Manville. — Proszę jednak uważać, ucieknij spod pan«, jeśli pochyli się pan do przodu. Nosimy się z zamiarem położenia na nim gumowych podkładek czy czegoś w tym rodzaju. — Konieczność roztrząsania podobnych drobiazgów wzbudziła w nim wyraźną irytację. — Panie Slade — rzucił energicznie. — Postawię sprawę jasno, najpewniej mam do czynienia z człowiekiem o wielkim umyśle i chyba mogę dać spokój konwencjonalnym wstępom.

— Tak — odparł Slade. — Proszę mówić.

— Nasze zasady podróży w czasie są szczególnej natury, stąd określenie „Muza”. Rozumie pan?

— Uhm. — Slade zgubił się nieco, ale nie dawał za wygraną. — Zobaczmy. Muza to organizm, który funkcjonuje...

— Który inspiruje — przerwał mu niecierpliwie pan Manville. — Slade, jest pan... spójrzmy prawdzie w oczy — niezbyt twórczym człowiekiem. Stąd pańskie poczucie niespełnienia. Maluje pan? Komponuje? Tworzy pan żelazne rzeźby z kadłubów stat-

ków kosmicznych i niepotrzebnych krzeseł ogrodowych? Nie. Nie robi pan nic, jest pan całkowicie bierny. Zgadza się?

Slade kiwnął głową.

— Trafił pan w sedno, panie Manville.

— Właśnie że nie — odparł ze złością pan Manville. — Wcale pan nie śledzi tego, co mówię, Slade. Nic nie uczyni pana twórczym, gdyż nie ma pan tego w sobie. Nie mam zamiaru nakłaniać pana do malowania ani do wyplatania koszyków, nie jestem psychoanalitykiem ze szkoły Junga, który traktuje sztukę jako sposób na wszystko. — Odchylając się do tyłu, wycelował palec w Slade'a. — Niech pan posłucha, Slade. Możemy panu pomóc, ale najpierw musi pan chcieć pomóc samemu sobie. Skoro nie jest pan twórczy, w najlepszym razie może pan liczyć na to — i tu możemy pójść panu w sukurs — że zainspiruje pan tych, którzy są twórczy. Rozumie pan?

— Rozumiem, panie Manville — odparł po chwili Slade. — Naprawdę.

— Dobrze — odpowiedział Manville, kiwając głową. — Może pan zainspirować sławnego muzyka, jak Mozart albo Beethoven, albo naukowca, na przykład Alberta Einsteina, czy też rzeźbiarza, jak choćby sir Jacob Epstein... któregokolwiek z licznej rzeszy pisarzy, kompozytorów czy poetów. Mógłby pan, dajmy na to, spotkać sir Edwarda Gibbona podczas jego podróży śródziemnomorskich i nawiązać z nim luźną rozmowę i powiedzieć coś typu... Mmm, proszę spojrzeć na otaczające nas ruiny cywilizacji. Ciekawe, jak doszło do upadku mocarstwa takiego jak Rzym. Jakim cudem legło w gruzach... rozpadło się... Zmierzch...

— Dobry Boże — wykrzyknął gorączkowo Slade. — Rozumiem, Manville, wiem, o co panu chodzi. Będę powtarzał słowo Gibbonowi „zmierzch” i dzięki mnie wpadnie na pomysł napisania historii Rzymu, „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego”. Wszystko zaś... — nie panował nad drżeniem — ...dzięki mojej pomocy.

— „Pomocy”? — powtórzył Manville. — Slade, to mało powiedziane. Bez pana napisanie tego dzieła w ogóle nie doszłoby do skutku. Pan mógłby zostać muzą sir Edwarda. — Sięgnął po cygare marki Upmann, rocznik 1915, i zapalił.

— Chyba powinienem to przemyśleć — stwierdził Slade. — Chciałbym zyskać pewność, że inspiruję właściwą osobę, to znaczy, oni wszyscy zasługują na to, aby ich inspirować, ale...

— Ale zależy panu na znalezieniu tej właściwej pod względem pańskich potrzeb — zgodził się Manville, wydmuchując kłęb wonnego dymu.

— Oto nasza broszura. — Podał Slade'owi duży, kolorowy informator. Niech pan weźmie ją do domu, przeczyta i odwiedzi nas ponownie, kiedy będzie gotowy.

— Niech pana Bóg błogosławi, panie Manville — powiedział Slade.

— I niech pan się uspokoi — odrzekł Manville — Świat się nie kończy... wiemy to tutaj, w Muzie, bo sami sprawdziliśmy. — Uśmiechnął się i Slade również odpowiedział mu uśmiechem.

Dwa dni później Slade ponownie zawitał w Muza Enterprises.

— Panie Manville — oświadczył. — Wiem, kogo chciałbym inspirować. — Chwycił głęboki oddech. — Myślałem i myślałem i w końcu doszedłem do wniosku, że najbardziej zależy mi na wyjeździe do Wiednia i zainspirowaniu Ludwika van Beethovena do skomponowania IX Symfonii, no wie pan, tego kawałka w czwartej części, kiedy baryton odśpiewuje swoje bum — bum de — da de — da bum — bum, córy Elizjum; sam pan wie. — Oblał się purpurą. — Nie jestem muzykiem, ale przez całe życie podziwiałem IX Symfonię, a zwłaszcza...

— To już było — przerwał mu Manville.

— Co proszę? — nie zrozumiał Slade.

— To już było, panie Slade. — Manville niecierpliwie zasiadł za swoim wielkim dębowym biurkiem, rocznik 1910. Wyciągnąwszy gruby segregator, przewertował stronicę. — Dwa lata temu pani Ruby Welch z Montpelier w stanie Idaho pojechała do Wiednia i zainspirowała Beethovena do napisania części chóralnej IX Symfonii. — Manville zatrzasnął segregator i przeniósł spojrzenie na Slade'a. — Jak wygląda wariant numer dwa?

— Muszę... muszę pomyśleć — zająknął się Slade. — Proszę dać mi trochę czasu.

— Daję panu dwie godziny. — Manville popatrzył na zegarek. — Do trzeciej po południu. Miłego dnia, panie Slade. — Wstał i Slade machinalnie zerwał się z krzesła.

Godzinę później w swoim biurze w siedzibie Jedności Konsultantów Wojskowych Jesse Slade doznał olśnienia. Wiedział, kogo chce zainspirować. Natychmiast nałożył płaszcz, wymamrotał pod adresem pana Hnatta kilka słów wyjaśnienia, po czym popędził do Muza Enterprises.

— A więc, panie Slade — powiedział na jego widok Manville. — Szybko pan wrócił. Proszę do gabinetu. — Poszedł przodem. — Dobrze, przystąpmy do rzeczy, — Zamknął drzwi.

Jesse Slade oblizał wyschnięte wargi i odrzekł, pokaszując:

— Panie Manville, chciałbym zainspirować... pozwoli pan, że wyjaśnię. Zna pan science fiction złotego okresu przypadającego na lata 1930 — 1970?

— Tak, tak — odparł niecierpliwie Manville i nachmurzył się.

— Pod koniec college'u — ciągnął Slade — stojąc przed koniecznością obrony pracy magisterskiej z literatury, musiałem przeczytać dużo powieści z nurtu dwudziestowiecznej science fiction. Spośród wielkich pisarzy moją szczególną uwagę zwróciło trzech. Robert Heinlein ze swoją historią przyszłości, potem Issac Asimov z epicką serią „Fundacja”. I... — spazmatycznie chwycił oddech — człowiek, któremu poświęciłem swoją pracę. Jack Dowland. Spośród całej trójki Dowland był uważany za najwybitniejszego. Jego historia przyszłości świata zaczęła ukazywać się w 1957 roku, zarówno w postaci drukowanych w czasopiśmie opowiadań, jak i w formie książkowej. Do 1963 roku Dowland został uznany...

— Hm — odezwał się pan Manville. — Wyciągnął segregator i przerzucił kartki. — Dwudziestowieczna science fiction... wąska specjalizacja... na pańskie szczęście. Zobaczymy.

— Mam nadzieję — wtrącił cicho Slade — że ten temat nie został jeszcze zajęty.

— Jest jeden klient — powiedział pan Manville. — Leo Parks z Vacaville w Kalifornii. Zainspirował A. E. Van Vogta do rezygnacji z romansów i westernów i zajęcia się science fiction. — Przewracając następne kartki, pan Manville dodał: — W zeszłym roku klientka Muza Enterprises, panna Julie Oxenblut z Kansas City w stanie Kansas poprosiła o pozwolenie zainspirowania Roberta Heinleina do napisania historii przyszłości... czy to jego nazwisko pan wspomniał, panie Slade?

— Nie — odparł Slade — mówiłem o Jacku Dowlandzie, najwybitniejszym z całej trójki. Heinlein był wspaniały, ale przeprowadziłem na tym polu wiele badań, panie Manville, i Dowland był lepszy.

— Nie, nikt dotychczas tego nie wziął — uznał Manville, zamykając segregator. Z szuflady biurka wyciągnął formularz. — Wypełni pan to, panie Slade — powiedział. — Następnie omówimy szczegóły. Czy zna pan dokładny rok i miejsce, gdzie Jack Dowland rozpoczął pracę nad historią przyszłości świata?

— Owszem — odrzekł Slade. — Mieszkał w małej miejscinie o nazwie Purpleblossom położonej na dawnej trasie numer 40 w Nevadzie. Były tam trzy stacje benzynowe, kawiarnia, bar i dom towarowy. Dowland przeniósł się tam w poszukiwaniu odpowiedniej atmosfery, miał zamiar pisać opowiadania o Dzikim Zachodzie w formie telewizyjnych scenariuszy. Łudził się, że zarobi dużo pieniędzy.

— Widzę, że zna się pan na rzeczy — stwierdził z podziwem Manville.

— W Purpleblossom rzeczywiście napisał kilka scenariuszy, ale nie był z nich zadowolony — ciągnął Slade. — Tak czy inaczej pozostał tam, próbując sił w innym repertuarze, takim jak książki dla dzieci czy publikacje na temat przedmałżeńskiego współżycia seksualnego nastolatków, które zamieszczał w kolorowych czasopismach... potem ni stąd, ni zowąd w 1956 roku zainteresował się science fiction i natychmiast stworzył powieść, która jak do tej pory nie znalazła sobie równej. Było to consensus gentium tamtych czasów, panie Manville, czytałem tę książkę i całkowicie się z tym zgadzam. Nosiła tytuł „Ojciec ma morzu” i nadal ukazuje się w niektórych antologiach; jest to rodzaj historii z gatunku nieśmiertelnych. Czasopismo, w którym się ukazała, „Fantasy & Science Fiction”, zostanie na zawsze zapamiętane ze względu na fakt, że w jego sierpniowym wydaniu, w roku 1957 ukazało się pierwsze dzieło epickie Dowlanda.

— I to jest owo magnus opus, które chce pan zainspirować. To oraz to, co nastąpiło po nim — odrzekł pan Manville, kiwając głową.

— Tak jest — odparł pan Slade.

— Niech pan wypełni formularz — powiedział Manville. — Ja załatwię resztę. — Uśmiechnął się i Slade odpowiedział mu pewnym siebie uśmiechem.



Pilot wehikułu czasu, niski, przysadzisty młodzieniec o grubo ciosanych rysach twarzy zwrócił się do Slade'a:

— Dobra, kolego, gotowy czy nie? Niech pan się zdecyduje.

Slade rzucił ostatnie spojrzenie na dwudziestowieczny ubiór dostarczony mu za słoną opłatą przez Mużę Enterprises. Wąski krawat, spodnie bez mankietów i pasiasta koszula... tak, uznał Slade, jego znajomość epoki pozwalała mu stwierdzić autentyczność ubioru, łącznie z włoskimi półbutami o ostrych czubkach i barwnymi skarpetami. Bez trudu mógł uchodzić za mieszkańca USA w roku 1956, nawet w Purpleblossom, w Nevadzie.

— Słuchaj pan — powiedział pilot, zapinając Slade'owi pasy bezpieczeństwa. — Musisz pamiętać o paru rzeczach. Przede wszystkim, wracasz do 2040 roku jedynie ze mną; nie możesz po prostu sobie przyjść. Po drugie, musisz uważać, aby nie zmienić przeszłości... to jest, trzymaj się jednego, prostego zadania, które polega na zainspirowaniu tego gościa, Jacka Dowlanda, i na tym poprzestań.

— Ma się rozumieć — odparł Slade zdumiony przestroga.

— Zbyt wielu klientów — odrzekł pilot — zdziwiłbyś się pan, ilu, dostaje fioła podczas podróży w przeszłość, snują jakieś mrzonki o władzy i porywają się na najróżniejsze zmiany — wyeliminowanie wojen, głodu i nędzy — no wiesz pan. Chcą zmieniać historię.

— Ani mi to w głowie — odparł Slade. — Nie interesują mnie tego typu kosmiczne przedsięwzięcia. — Dla niego, zainspirowanie Jacka Dowlanda było samo w sobie takim przedsięwzięciem. A jednak w pewnym sensie rozumiał tę pokusę. W pracy napotykał najróżniejszych ludzi.

Pilot zatrzaskał włącznik wehikułu czasu, upewnił się, czy pasy Slade'a są dobrze zapięte, i zajął miejsce przed pulpitem sterowniczym. Nacisnął przycisk i chwilę potem Slade znajdował się w drodze na wymarzony urlop — do roku 1956 i najbardziej twórczego przedsięwzięcia swojego życia.

Oślepiły go gorące promienie słońca Nevady; Slade przymrużył oczy i nerwowo rozejrzał się dokoła. Ujrzał jedynie piasek i skały, otwartą przestrzeń pustynną z biegnącą wśród drzew jukki wąską drogą.

— Na prawo — powiedział pilot, wskazując kierunek ręką. — Dojdiesz pan tam za dziesięć minut. Mam nadzieję, że warunki kontraktu są jasne. Lepiej wyjmij go pan i przeczytaj.

Z wewnętrznej kieszeni archaicznego płaszcza Slade wyjął długi, żółtawy egzemplarz kontraktu z Mużą Enterprises.

— Odbierze mnie pan za trzydzieści sześć godzin z tego miejsca. Moim obowiązkiem jest stawić się tu o czasie; jeśli tego nie zrobię, nie wrócę do swoich czasów i firma nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

— Tak jest — skwitował pilot i wszedł do wehikułu. — Powodzenia, panie Slade. Czy może powinienem nazywać pana mużą Jacka Dowlanda. Uśmiechnął się, na wpół drwiąco, na wpół przyjaźnie, po czym zatrzasnął właz.

Jesse Slade pozostał sam na pustyni w Nevadzie, w odległości ćwierć mili od miasteczka Purpleblossom.

Spocony ruszył przed siebie, wycierając chustką kark.

Odszukanie domu Jacka Dowlanda nie przysporzyło mu problemu, gdyż w miasteczku znajdowało się raptem tylko siedem domów. Slade wspiął się na rozchybotaną drewnianą werandę, omiatając spojrzeniem stojący na podwórku śmietnik, sznur od bielizny i wyrzucone fragmenty instalacji kanalizacyjnych. — jego uwagę przykuł stojący na podjeździe sfatygowany samochód archaicznej marki... archaicznej nawet jak na rok 1956.

Zadzwonił do drzwi, nerwowo poprawił krawat i jeszcze raz przećwiczył w myślach przygotowaną kwestię. W tym momencie swojego życia Jack Dowland nie parął się science fiction; należało o tym pamiętać w gruncie rzeczy w tym cały problem. Oto krytyczny nexus jego życia pamiętny dzwonek do drzwi. Oczywiście sam Dowland nie miał o tym pojęcia. Co robił w domu? Pisał? Czytał anegdoty prasowe? Spał?

Kroki. Slade przygotował się w napięciu.

Otwarto drzwi. Młoda kobieta w lekkich bawełnianych spodniach, z włosami związanymi z tyłu wstążką, ogarnęła go spokojnym spojrzeniem. Slade zauważył, że jej twarz była drobna i ładna. Miała na nogach kapcie, jej gładka skóra lśniła. Złapał się na tym, że nie przyzwyczajony do widoku tyłu odkrytych partii kobiecego ciała wpatruje się w jej gołe kostki.

— Słucham? — zapytała uprzejmie, choć z odrobiną znużenia. Zauważył, że odkurzała; w pokoju stał odkurzacz ze zbiornikiem typu G.E. Jego obecność wskazywała na błąd historyków; odkurzacze ze zbiornikiem nie znikły w 1950 roku, jak powszechnie uważano.

— Pani Dowland? — zapytał gładko Slade. Kobieta skinęła głową. Zza jej pleców wyrzało małe dziecko. — Jestem wielbicielem dzieła, które pani mąż... — Ugryzł się w język. — To jest — poprawił się — miałem na myśli, proszę pani, że dobrze znam utwory pani męża Jacka. Długa podróż przez dzikie tereny przywiodła mnie w wasze progi, abym mógł oglądać go przy pracy w domowych pieleszach. — Uśmiechnął się z nadzieją.

— Zna pan utwory Jacka? — Kobieta nie kryła zdumienia, lecz okazała pewne zadowolenie.

— Z telewizji — odparł Slade. — Podziwiam jego świetne scenariusze.

— Jest pan Anglikiem, prawda? — zapytała pani Dowland. — Cóż, wobec tego może pan wejdzie? — Uchyliła szerzej drzwi. — Jack pracuje na strychu... dzieci strasznie ha-

łasują. Ale na pewno zechce z panem porozmawiać, zwłaszcza że przejechał pan taki kawał drogi, panie...

— Slade — powiedział Slade. — Milutkie gniazdko.

— Dziękuję. — Poprowadziła go do mrocznej, chłodnej kuchni, pośrodku której znajdował się plastikowy stół. Stał na nim karton mleka, talerz, cukiernica, dwie filiżanki oraz inne zabawne przedmioty. — Jack! — zawołała, stając u stóp schodów. — Przyszedł twój wielbiciel, chce się z tobą zobaczyć!

Na górze otworzyły się drzwi. Zabrzmiał odgłos kroków, następnie oczom zneruchomiałego Slade'a ukazał się Jack Dowland, młody i przystojny, o brązowych, lekko rzednących włosach, ubrany w sweter i luźne spodnie. Jego inteligentne czoło przecinała ukośna zmarszczka.

— Pracuję — odparł zwięźle. — Nawet jeśli robię to w domu, praca dobra jak każda inna. — Zerknął na Slade'a. — Czego pan chce? Co to ma znaczyć „wielbiciel”? Czego, pytam? Chryste, upłynęły dwa miesiące, odkąd coś sprzedałem; chyba niedługo zwaruję.

— Jacku Dowland — powiedział uroczyście Slade. — To wszystko dlatego, że nie znalazłeś jeszcze dla siebie odpowiedniego gatunku literackiego. — Zadrżał mu głos, to była wielka chwila.

— Napije się pan piwa, panie Slade? — zapytała pani Dowland.

— Dziękuję pani — odparł Slade. — Jacku Dowland — podjął — przybyłem tu, aby pana zainspirować.

— Skąd pan pochodzi? — zapytał podejrzliwie Dowland. — I dlaczego wiąże pan tak śmiesznie krawat?

— Śmiesznie pod jakim względem? — zapytał nerwowo Slade.

— Z supłem na dole, zamiast na górze, w okolicach szyi. — Dowland obszedł go dookoła, omiatając krytycznym spojrzeniem. — I dlaczego ma pan ogoloną głowę? Jest pan za młody na łysinę.

— Zwyczaj panujący w tej epoce — odparł słabo Slade — wymaga golenia głowy. Przynajmniej w Nowym Jorku.

— Akurat — powiedział Dowland. — Co z ciebie, jakiś pomylenieć? Czego chcesz?

— Chcę pana chwalić — odrzekł ze złością Slade. Ogarnął go gniew, czuł, że nie traktowano go jak należy.

— Jacku Dowland — powiedział, jękając się z lekka. — Wiem o pańskiej pracy więcej niż pan, wiem, że pańskim powołaniem jest science fiction, a nie westerny. Lepiej niech pan mnie wysłucha, jestem pańską muzą. — Urwał, ze świstem wciągając powietrze.

Dowland wytrzeszczył na niego oczy, po czym odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

— Cóż, wiedziałam, że Jack ma żonę, ale myślałam, że jest ona rodzaju żeńskiego — stwierdziła z uśmiechem pani Dowland. — Czy muzy nie są aby kobietami?

— Nie — zdenerwował się Slade. — Leon Parks z Vacaville w stanie Kalifornia, który zainspirował A. E. Vogta, też był mężczyzną. — Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, usiadł przy stole. — Niech pan posłucha, Jacku Dowland...

— Na miłość boską — oświadczył Dowland. — Mów mi Jack albo Dowland, ale nie imię i nazwisko naraz; to brzmi nienaturalnie. Walnąłeś sobie kompot czy co? — Utkwił w nim podejrzliwe spojrzenie.

— Kompot? — powtórzył jak echo Slade, nic nie rozumiejąc. — Nie, poproszę piwo.

— Dobra, przejdźmy do rzeczy — powiedział Dowland. — Chcę wracać do pracy. Pracuję w domu, ale to też praca.

Slade zebrał się w sobie. Przyszła kolej na starannie przygotowaną mowę, odchrząknął i zabrał głos.

— Jack, o ile mogę się tak do ciebie zwracać, zastanawiam się, dlaczego, do cholery, nie spróbowałeś sił w science fiction. Wydaje mi się...

— Powiem ci dlaczego — przerwał mu Dowland. Spacerował tam i z powrotem z rękami wciśniętymi w kieszenie. — Dlatego że wisi nad nami groźba wojny nuklearnej. Przyszłość rysuje się w czarnych barwach. Kto chce o tym pisać? Też mi coś. — Potrząsnął głową. — Zresztą, kto to czyta? Pyszczaci gówniarze. Odludki. To śmiecie. Wymień mi chociaż jedno dobre opowiadanie science fiction, jedno. Kiedy byłem w Utah, zabrałem z autobusu czasopismo i przeczytałem je. Śmiecie! Nie pisałbym tego, nawet gdyby mi płacili krocie. Zresztą sprawdziłem, wcale kroci nie płacą, jakieś pół centa za słowo. Kto by z tego wyżył? — Z niesmakiem ruszył w kierunku schodów. — Wracam do roboty.

— Chwileczkę — zawołał ogarnięty desperacją Slade. Wszystko toczyło się nie po jego myśli. — Wysłuchaj mnie, Jacku Dowland.

— Ten znowu swoje — stwierdził Dowland. Przystanął jednak i czekał. — Słucham? — powiedział.

— Panie Dowland, przybyłem z przyszłości — oznajmił Slade. Pan Manville surowo przykazał mu, aby nie zdradzał tej informacji. Odniósł jednak wrażenie, że był to jedyny sposób, aby powstrzymać Dowlanda.

— Skąd? — zapytał głośno Dowland. — Skąd?

— Jestem podróżnikiem w czasie — wyjąkał Slade i zamilkł.

Dowland energicznie ruszył w jego kierunku.

Powróciwszy na umówione miejsce, Slade zastał pilota czytającego gazetę przed wehikułem. Pilot podniósł na niego wzrok.

— Cały i zdrowy — powiedział z uśmiechem — Wsiadamy, panie Slade. — Otworzył wąż i poprowadził Slade'a do środka.

— Niech pan mnie zabierze z powrotem — poprosił Slade. — Niech mnie pan zabierze.

— Co się stało? Nie podobało się panu inspirowanie?

— Chcę wrócić do własnych czasów — odparł Slade.

— Dobrze — powiedział pilot, unosząc brew. Przypiął Slade'a pasami i zajął miejsce obok niego.

Kiedy dotarli do Muza Enterprises, pan Manville już na nich czekał.

— Slade — powiedział — niech pan wejdzie do środka. Jego twarz była mroczna i zasępiona. — Chciałbym zamienić z panem parę słów.

Kiedy znaleźli się sami w gabinecie Manville'a, Slade zaczął:

— Był w złym humorze, panie Manville. Niech pan nie ma mu za złe. — Zwiesił głowę z poczuciem bezużyteczności i pustki.

— Ty... — Manville popatrzył na niego z niedowierzaniem. — Nie zainspirowałeś go! Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem!

— Może mógłbym wrócić — zasugerował Slade.

— Boże — odparł Manville. — Nie tylko go nie zainspirowałeś, ale obróciłeś go przeciwko science fiction.

— Skąd pan to wie? — zapytał Slade. Miał nadzieję zatuszować sprawę i zanieść swoją tajemnicę do grobu.

— Wystarczyło śledzić źródła dotyczące literatury dwudziestowiecznej — odparł kąśliwie Manville. — Pół godziny po twoim wyjeździe wszystkie wzmianki dotyczące Jacka Dowlanda, łącznie z jego biografią zamieszczoną w encyklopedii — znikły bez śladu.

Slade w milczeniu utkwiał spojrzenie w podłogę.

— Zbadałem sprawę — ciągnął Manville. — Poleciałem komputerom z uniwersytetu w Kalifornii sprawdzić wszystkie istniejące informacje na temat Jacka Dowlanda.

— Były jakieś? — wymamrotał Slade.

— Owszem — odparł Manville. — Kilka. Garść drobnych, nic nieznaczących wzmianek w drobiazgowych artykułach poświęconych epoce. Przez ciebie Jack Dowland jest w tej chwili zupełnie nieznanym szerszym kręgom odbiorców — i był nieznanym za życia. — Dysząc z gniewu, pogroził Slade'owi palcem. — Przez ciebie Jack Dowland nigdy nie napisał przyszłej historii ludzkości. Przez tę twoją tak zwaną inspirację nigdy nie wyłazł spod stosu scenariuszy do telewizyjnych westernów — i zmarł w wieku czterdziestu sześciu lat jako anonimowy pismak.

— I żadnej science fiction? — zapytał z niedowierzaniem Slade. Czy rzeczywiście poniósł całkowitą porażkę? Nie mógł w to uwierzyć, Dowland gorzko odrzucał każdą jego sugestię, zgoda — i po rozmowie ze Slade'em w niewesołym nastroju powrócił na strych. Ale...

— Bez przesady — odparł Manville. — Istnieje jeden utwór science fiction pióra Jacka Dowlanda. Nic nie znacząca miernota. — Sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej pożółkłe, stare czasopismo, które następnie rzucił Slade'owi. — Jedno opowiadanie pod tytułem „Orfeusz o glinianych stopach”, opublikowane pod pseudonimem Philip K. Dick. Nikt go nie czytał ani nie czyta... opisuje zdarzenia związane z wizytą pewnego... obrzucił Slade'a wściekłym spojrzeniem — ...gorliwego durnia, który pojawił się w domu Dowlanda wiedziony chęcią zainspirowania go do napisania mitologicznej historii świata. I co, Slade? Co ty na to?

— Wykorzystał moją wizytę jako podstawę do opowiadania — odparł ciężko Slade. — To jasne jak słońce.

— To opowiadanie przyniosło mu jedyne pieniądze, które zarobił jako pisarz science fiction. Parę groszy, marna rekompensata za stracony czas i wysiłek. Ty występujesz w tej historii, ja występuję... Boże, Slade, ty musiałeś mu wszystko opowiedzieć.

— To prawda — przyznał Slade. — Chciałem go przekonać.

— Cóż, niezbyt ci się to udało, uznał cię za wariata. Napisał to opowiadanie, będąc w niewesołym stanie ducha. Pozwól, że cię zapytam: czy kiedy przyjechałeś, on pracował?

— Tak — odrzekł Slade. — Ale pani Dowland powiedziała...

— Nie ma... nie było żadnej pani Dowland! Dowland nigdy się nie ożenił! To musiała być żona sąsiada, z którą Dowland wdał się w romans. Nic dziwnego, że się zde nerwował; zastałeś u niego tę dziewczynę, kimkolwiek ona była. Ona również występuje w tej historii; opisał wszystko, po czym wyjechał z Purpleblossom w Nevadzie i osiedlił się w Dodge City w Kansas.

Zapadła cisza.

— Hm — mruknął Slade. — Czy wobec tego mógłbym spróbować jeszcze raz? Z kimś innym? W drodze powrotnej myślałem o Paulu Ehrlichu i jego magicznym pocisku, odkryciu lekarstwa na...

— Posłuchaj no — przerwał mu Manville. — Ja też przemyślałem parę rzeczy. Wrócisz, ale nie aby zainspirować doktora Ehrlicha, Beethovena czy Dowlanda lub kogokolwiek innego, nikogo, kto przyniósł pożytek światu.

Ogarnięty strasznym podejrzeniem Slade podniósł na niego wzrok.

— Wrócisz — wycedził przez zęby Manville — aby odinspirować ludzi pokroju Adolfa Hitlera, Karola Marksa i Sanrome'a Clingera...

— Chce pan przez to powiedzieć, że jestem tak nieskuteczny... — wybąkał Slade.

— Otóż to. Zaczniemy od Hitlera i jego pobytu w więzieniu po pierwszej nieudanej próbie przejęcia władzy w Bawarii. Do okresu kiedy dyktował Rudolfowi Hessowi „Mein Kampf”. Omówiłem to z przełożonymi i wszystko zostało ustalone, będziesz jego współwięźniem, zrozumiano? I zainspirujesz Adolfa Hitlera, tak jak to zrobiłeś z Jac-

kiem Dowlandem, aby wziął się do pisania. Tym razem do pisania szczegółowej autobiografii, w której dokładnie przedstawi swój polityczny program dla świata. Jeśli wszystko pójdzie dobrze...

— Rozumiem — mruknął Slade, ponownie spoglądając na podłogę. Rzekłbym, że to inspirujące, ale obawiam się, że nadałem temu słowu negatywny wydźwięk.

— To nie mój pomysł — uciął Manville. — Zaczepnąłem go z tej żalosnej opowiadki Dowlanda, „Orfeusz o glinianych stopach”, właśnie tak wygląda zakończenie. — Przerzucił kartki czasopisma, aż wreszcie dotarł do pożądanego stronic. — Przeczytaj to, Slade. Przekonasz się, że po spotkaniu ze mną trafiasz w szeregi partii nazistowskiej i spróbujesz wybić Hitlerowi z głowy pomysł napisania autobiografii i dzięki temu może zapobiegiesz wybuchowi drugiej wojny światowej. Jeśli nie uda ci się z Hitlerem, spróbujemy ze Stalinem, jeśli nie ze Stalinem...

— Dobrze — odpowiedział Slade. — Rozumiem, nie musi pan mówić.

— Zrobisz to — rzekł Manville — ponieważ w „Orfeuszu o glinianych stopach” wyrażasz zgodę. Tak więc postanowione.

Slade kiwnął głową.

— Tak. W ramach rekompensaty.

— Ty durniu — odparł Manville. — Jak mogło ci się do tego stopnia nie udać?

— Miałem kiepski dzień — odrzekł Slade. — Jestem pewien, że następnym razem pójdzie mi lepiej. — Może z Hitlerem, dorzucił w myślach. Może próba odinspirowania go nie będzie miała sobie równej w historii.

— Nazwiemy cię muzą negatywną — postanowił Manville.

— Świetny pomysł — pochwalił Slade.

— Tylko bez komplementów, to zasługa Jacka Dowlanda — odrzekł ze zmęczeniem Manville. — Zamieścił to w swoim opowiadaniu. Na samym końcu.

— I tak kończy się ta historia? — zapytał Slade.

— Nie — odpowiedział Manville. — Kończy się tym, jak wręczani ci rachunek — koszt wysłania cię do Adolfa Hitlera celem odinspirowania go. Pięćset dolarów, płatne z góry. — Wyciągnął rękę. — Na wypadek gdybyś nie wrócił.

Jesse Slade z rezygnacją sięgnął do kieszeni dwudziestowiecznego płaszcza po swój portfel.

# **CZASY SWAWOLNEJ PAT**



Gdy o dziesiątej rano znajomy sygnał poderwał go z łóżka, Sam Regan przeklął dobrodzieja; dobrze wiedział, że hałas był umyślny. Kołujący nad ziemią dobrodziej chciał się upewnić, że to fuksiarze — a nie dzikie zwierzęta — zabiorą zrzucone paczki.

Już idziemy, idziemy, mruknął pod nosem Sam Regan. Zapiął kombinezon pyłoodporny, włożył buty i niemrawo powlókł się w kierunku rampy. Dołączyło do niego kilku innych fuksiarzy, którzy wykazywali podobne rozdrażnienie.

— Wcześniej dzisiaj — poskarżył się Tod Morrison. — Założę się, że to same podstawowe produkty: cukier, mąka i smalec... nic równie ciekawego, jak na przykład cukierki.

— Powinniśmy być wdzięczni — zauważył Norman Schein.

— Wdzięczni! — Tod stanął jak wryty i utkwiał w nim wzrok. WDZIĘCZNI?

— Owszem — odparł Schein. — A co według ciebie jedlibyśmy bez ich pomocy? Gdyby dziesięć lat temu nie zauważyli dymu?

— Cóż — odrzekł posępnie Tod. — Po prostu nie lubię, jak przylatują wcześniej; nie mam nic przeciwko temu, że w ogóle to robią.

Podważając ramieniem pokrywę wjazdu, Schein rzucił dobrodusznie:

— Ależ z ciebie łaskawca, Tod, chłopcze. Jestem pewien, że dobrodzieje z radością przyjąłoby twoje słowa.

Z całej trójki Sam Regan wyszedł na powierzchnię ostatni; nie znosił nadziei i nie obchodziło go, co kto sobie na ten temat myślał. Za żadne skarby nie opuściłby bezpiecznego ustronia fuksjamy; jego uwagę zwrócił fakt, że wielu współfuksiarzy zdecydowało się pozostać w swoich kwaterach w przekonaniu, że ci, którzy zareagowali na klakson, coś im przyniosą.

— Jasno tu — zauważył Tod, mrugając w blasku słońca.

Statek migotał nisko na tle szarego nieba, jak zawieszony na sznurku. Dobry pilot, uznał Tod. On, czy też raczej to, wykonywał swoje zadanie leniwie i bez pośpiechu. Tod pomachał do statku. Ponownie odezwał się ogłuszający klakson, który sprawił, że przycisnął dłonie do uszu. Hej, dobry żart tyńfa wart, stwierdził w duchu. Następnie klakson ustał; dobrodziej złągodniał.

— Daj mu znak, niech zrzuca — powiedział do Toda Norm Schein. Ty masz chorągiewkę.

— Jasne — odparł Tod i przystąpił do żmudnego wywijania czerwoną flagą zrzuconą niegdyś przez Marsjan, do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu.

Z podwozia statku oderwał się pocisk, wyrzucił stabilizatory i pożegłował ku ziemi.

— Cholewka — mruknął z niesmakiem Sam Regan. — Zwyczajny towar; nie dali spadochronu. — Odwrócił się, okazując brak zainteresowania.

Jak ponuro wygląda dziś nadziemie, doszedł do wniosku, rozglądając się wokół. Po prawej stronie, niedaleko od jamy, stał niewykończony dom z drewna sprowadzonego z Vallejo leżącego dziesięć mil na północ stąd. Zwierzęta lub pył radioaktywny zabiły budowniczego i praca utknęła na martwym punkcie; nikomu nie będzie dane jej dokończyć. Sam Regan zauważył też, że od ich ostatniego wyjścia, w czwartkowy czy może piątkowy poranek — stracił poczucie czasu — w okolicy nagromadziła się gruba warstwa osadu. Przeklęty pył, pomyślał. Nic, tylko skały, kawałki gruzu i pył. Świat obrasta nim, gdyż nie ma nikogo, kto by go regularnie odkurzał. A ty? — zapytał w duchu marsjańskiego dobrodzieja, który zataczał powolne kręgi nad ziemią. Czy możliwości waszej technologii nie są nieograniczone? Czy nie moglibyście któregoś ranka przywieźć gigantycznej ścierki do kurzu i przywrócić naszej planecie nieskałaną świeżość?

Czy też raczej, pomyślał, nieskałaną dawność, stan sprzed „wielu, wielu lat”, jak mawiały dzieci. Ucieszylibyśmy się. Rozważając formy przyszłej pomocy, weźcie to pod uwagę.

Dobrodziej zatoczył jeszcze jeden krąg, wypatrując napisów w pyle: wiadomości od przebywających w dole fuksiarzy. Napiszę, postanowił Sam. **PRZYWIEŻCIE ŚCIERKĘ DO KURZU, PRZYWRÓĆCIE NASZĄ CYWILIZACJĘ.** Zgoda, dobrodzieju?

Naraz statek ruszył w drogę powrotną do bazy na Lunie, albo może prosto na Marsa.

Z otwartej fuksjamy wychynęła jeszcze jedna głowa, głowa kobiety w kasku założonym w obawie przed szarym, oślepiającym słońcem.

— Coś ważnego? Coś nowego? — zapytała, marszcząc brwi Jean Regan, żona Sama.

— Obawiam się, że nie — odparł Sam. Wyrzucona paczka upadła na ziemię i ruszył w jej kierunku, brnąc nogami w pyle. Rozerwany uderzeniem pakunek ukazał kanistry. Wyglądało na to, że ich zawartość kryła pięć tysięcy funtów soli — równie dobrze moglibyśmy zostawić je tu na paszę dla zwierząt, uznał. Ogarnęło go zniechęcenie.

Dobrodzieje wykazywali daleko idącą troskę. Dbali o regularne dostawy żywności z własnej planety na Ziemię. Chyba wychodzą z założenia, że jemy od rana do wieczora, pomyślał Sam. Boże... jama była wypełniona po brzegi prowiantem. Oczywiście należało podkreślić, że ich schron należał do najmniejszych w północnej Kalifornii.

— Hej — powiedział Schein, zaglądając do pękniętej paczki. — Chyba widzę coś, co nam się przyda. — Znalazł zardzewiały metalowy drążek służący niegdyś do wzmacniania betonowych ścian dawnych budynków i tracił pakunek, uruchamiając mechanizm otwierania. Paczka otworzyła się raptownie... ich oczom ukazała się jej zawartość.

— Wygląda jak radio — powiedział Tod. — Radio tranzystorowe. — Gładząc w zamysleniu swą krótką czarną bródkę, dodał: — Może wykorzystalibyśmy je w naszych makietach.

— Moja ma już radio — zaznaczył Schein.

— Cóż, zbuduj wobec tego z części samobiezną kosiarkę — zaproponował Tod. — Tego chyba nie masz, co? — Dosyć dobrze znał Swawolną Pat Scheinów; oba małżeństwa dużo ze sobą grały, szły niemal łeb w łeb.

— Ja biorę radia — wtrącił Sam Regan. — Mnie się przydadzą. — Jego makiecie, w przeciwieństwie do makiet Scheina i Toda, brakowało automatycznego otwierania drzwi do garażu; pozostawał za nimi daleko w tyle.

— Biermy się do pracy — przytaknął Schein. — Zostawimy tu prowiant, weźmiemy tylko radia. Jeśli ktoś chce zabrać żywność, to niech przyjdzie i to zrobi. Zanim uczy nią to psokoty.

Pozostali dwaj mężczyźni skinęli głowami i przystąpili do ładowania przydatnej zawartości pakunku do wejścia fuksjamy. Zawartości, dzięki której rozbudują misterne makiety Swawolnej Pat.

Świadomy swych licznych obowiązków dziesięcioletni Timothy Schein siedział po turecku i powoli, z wprawą ostrzył osełką nóż. Jego spokój zakłócały hałaśliwie odgłosy kłótni pomiędzy jego rodzicami i państwem Morrison, dobiegające z odległej części przegrody. Znowu grali w Swawolną Pat. Jak zwykle.

Ile razy dziennie muszą grać w tę głupią grę? — pomyślał w duchu Timothy. Chyba w nieskończoność. Wprawdzie nie widział w tym żadnej atrakcji, to jednak rodzice z zapalem oddawali się grze. Nie byli w tym odosobnieni; na podstawie tego, co twierdziły inne dzieci, nawet z sąsiednich fuksjam, ich rodzice również spędzali większość dnia, a czasem nawet i nocy, grając w Swawolną Pat.

— Swawolna Pat idzie do sklepu spożywczego, którego drzwi otwiera elektryczny czujnik — powiedziała głośno jego matka. — Patrzcie. Chwila ciszy. — Widzicie, otworzyły się, teraz weszła do środka.

— Pcha przed sobą koszyk — dorzucił uczynnie ojciec Timothy'ego.

— Właśnie że nie — zaproponowała pani Morrison. — To nieprawda. Daje sprzedawcy listę zakupów i on przynosi jej towar.

— Tak się dzieje tylko w małych osiedlowych sklepach — wtrąciła matka. — A to jest supermarket, można poznać po drzwiach z czujnikiem.

— Jestem pewna, że wszystkie sklepy spożywcze mają drzwi z czujnikiem — upierała się pani Morrison; jej mąż poparł ją z zapalem. Rozzłoszczone głosy przybrały na sile; wybuchła kolejna sprzeczka. Jak zwykle.

Niech ich drzwi ścisną, powiedział w duchu Timothy, używając najmocniejszego słowa z dziecięcego repertuaru. Zresztą, co to jest ten supermarket? Sprawdził ostrze noża — wykonał je własnymi rękami z ciężkiego metalowego rondla — po czym skończył na równe nogi. Chwilę potem pobiegł korytarzem i zastukał do drzwi kwatery Chamberlainów.

— Cześć. Gotowy? — zapytał Fred, również dziesięciolatek. — Widzę, że naostrzyłeś swój stary nóż; co według ciebie upolujemy?

— Nie psokota — odparł Timothy. — Coś stokroć lepszego; psokotów mam już wyżej uszu. Zbyt pieprzne.

— Twoi rodzice grają w Swawolną Pat?

— Taa.

— Moi rodzice wyszli dawno temu; grają z Benteleyami — odpowiedział Fred. Zerknął z ukosa na kolegę, po czym obaj zjednoczyli się w niemym rozczarowaniu w stosunku do rodziców. Rany, może ta głupia gra ogarnęła już cały świat; wcale by ich to nie zdziwiło.

— Po kiego licha twoi rodzice w to grają? — zapytał Timothy.

— Z tych samych powodów co twoi — odparował Fred.

— No dobrze, więc dlaczego? — zapytał z wahaniem Timothy. — Nie mam pojęcia; pytam ciebie, nie możesz mi powiedzieć?

— Dlatego że... — Fred urwał. — Zapytaj ich. Chodź, pójdziemy do nadziemia i zaczniemy polowanie. — Jego oczy rozbłyły. — Zobaczmy, co dzisiaj uda nam się złapać i zabić.

Wkrótce weszli na rampę, podważyli pokrywą wjazdu i przykucnęli wśród pyłu i skał, spoglądając na horyzont. Serce Timothy'ego waliło jak młotem; chwila dotarcia do nadziemia zawsze zapierała mu dech. Podniecająca zapowiedź niezmierzonej pustki. Widok nigdy nie był ten sam. Warstwa pyłu, dziś grubsza niż zazwyczaj, przybrała ciemniejszy odcień szarości; wydawała się gęstsza, bardziej tajemnicza.

Gdzeniegdzie poniewierały się zrzucone z góry pakunki pokryte wieloma warstwami kurzu. Nie wzbudziły niczyjego zainteresowania. Obok starych Timothy dorzła nową paczkę, która nadeszła tego ranka. Większość jej zawartości leżała na wierzchu; dorośli uznali ją za zbędną.

— Popatrz — rzucił cicho Fred.

Dwa psokoty — zmutowane psy lub koty, nikt nie wiedział tego na pewno — węsząc, zbliżyły się do pakunku zwabione porzuconą zawartością.

— Nie chcemy ich — odparł Timothy.

— Tamten jest całkiem tłusty — rzucił tęsknie Fred. Jednak nóż należał do Timothy'ego; on sam miał tylko metalową kulkę na sznurku, przydatną do zabijania ptaków lub małych zwierząt, lecz bezużyteczną w przypadku psokotów, które na ogół ważyły od czternastu do dwudziestu funtów, a czasem więcej.

Wysoko na niebie mignął sunący z zawrotną prędkością punkt. Timothy wiedział, że statek wiozący zapasy dla innej fuksjamy. Mają urwanie głowy, podsumował w duchu. Dobrodzieje przyjeżdżali i odjeżdżali, nie zatrzymując się — ani na chwilę, ponieważ gdyby to zrobili, dorośli by umarli. Czy nie — byłoby to straszne? — pomyślał ironicznie. Smutne, to na pewno.

— Pomachaj, to może coś zrzuci — zaproponował Fred. Zerknął na kolegę z uśmiechem, po czym obaj wybuchnęli niepoohamowanym śmiechem.

— Jasne — rzucił Timothy. — Pomyślmy, co też bym chciał? — Ponownie roześmiali się na myśl o tym, że mogliby czegoś chcieć. Obaj mieli całe nadziemie, jak okiem sięgnąć... mieli więcej niż dobrodzieje, więcej niż mogliby sobie zamarzyć.

— Myślisz, że wiedzą? — zapytał Fred. — O tym, że nasi rodzice grają w Swawolną Pat rzeczami pochodzącymi ze zrzutu? Założę się, że nie mają pojęcia o Swawolnej Pat, nigdy nie widzieli lalki, a gdyby to się stało, na pewno byliby wściekli.

— Masz rację — odrzekł Timothy. — Tak by się wściekli, że nic by już nie zrzucili. — Popatrzył na Freda, podchwytyjąc jego spojrzenie.

— Co to, to nie — odparł Fred. — Nie powinniśmy im mówić; twój tata spuściłby ci manto, mnie zresztą pewnie też.

Mimo wszystko pomysł był interesujący. Wyobraził sobie najpierw zdziwienie, potem gniew dobrodziejów; sprawiłby mu uciechę widok reakcji ośmionogich Marsjan, w których naroślowatych ciałach drzemały niespożyte zapasy miłosierdzia skłaniające ich ku temu, by nieść pomoc niedobitkom ludzkości... tak oto odpłacano im za hojność, bezsensownie marnując dostarczany towar na idiotyczną Swawolną Pat, uwielbianą przez wszystkich dorosłych.

Zresztą próba przekazania im informacji była prawie niewykonalna; pomiędzy ludźmi i dobrodziejami nie istniała żadna łączność. Dzieliło ich zbyt wiele różnic. Można było sygnalizować za pomocą uczynków, zachowania... ale nie słów, znaków. Poza tym...

Po prawej stronie, obok na wpół ukończonego domu hycnął wielki, brązowy królik.

— O rany! — zawołał Timothy w podnieceniu. — Idziemy! — Pobiegł po nierównej nawierzchni, Fred deptał mu po piętach. Stopniowo doganiali królika; bieg nie sprawiał im najmniejszego wysiłku: mieli wprawę.

— Rzucaj nóż! — wydyszał Fred i Timothy zamarł z uniesioną ręką, wycelował, po czym cisnął przed siebie naostrzoną broń. Jego najcenniejszą, samodzielnie wykonaną rzecz.

Nóż przeszył królika. Zwierzę potknęło się, wzbijając tumany kurzu.

— Założę się, że dostaniemy za niego dolara! — wrzasnął Fred, podskakując. — Za samą skórę... założę się, że dostaniemy pięćdziesiąt centów za samą cholerną skórę!

Podbiegli do martwego królika, chcąc uprzedzić latające w górze sowyienne lub sokoły o czerwonych ogonach.

Norman Schein schylił się i podniósłszy swoją Swawolną Pat, powiedział szorstko:

— Rezygnuję; nie chcę więcej grać.

Jego żona zaprotestowała z oburzeniem:

— Ale przecież Swawolna Pat przejechała przez całe miasto w swoim nowym fordzie, zaparkowała go, wrzucając dziesięciocentówkę do parkometru, zrobiła zakupy i siedzi teraz u analityka, czytając „Fortunę”... pobiliśmy Morrisonów o całą długość! Dlaczego rezygnujesz, Norm?

— Po prostu nie możemy dojść do porozumienia — odrzekł markotnie Norm. — Ty twierdzisz, że analitycy biorą dwadzieścia dolarów za godzinę, tymczasem ja dokładnie pamiętam, że tylko dziesięć; nikt nie bierze dwudziestu. Działasz na niekorzyść naszej strony, w imię czego, pytam? Morrisonowie zgodzili się, że miało być tylko dziesięć. Prawda? — zwrócił się do Morrisonów siedzących po przeciwnej stronie makiety łączącej zestawy obu drużyn.

— Chodziłeś do analityka częściej niż ja — powiedziała do męża Helen Morrison. — Jesteś pewien, że brał tylko dziesięć?

— Cóż, uczestniczyłem przeważnie w terapiach grupowych — odparł Tod. — W stanowej klinice higieny psychicznej w Berkeley pobierano sumy adekwatne do naszych możliwości. Swawolna Pat chodzi do prywatnego psychoanalityka.

— Będziemy musieli zapytać kogoś innego — powiedziała do Normana Scheina Helen. — Według mnie w tej chwili możemy jedynie zawiesić grę. — Spojrzała na niego ze złością, gdyż w ten sposób przyczynił się do zamknięcia rozgrywek na całe popołudnie.

— Zostawimy rozłożoną makietę? — zapytała Fran Schein. — Chyba tak; może wrócimy do niej po kolacji.

Norman Schein popatrzył na połączone zestawy, na eleganckie domki, rzęsiście oświetlone ulice, na których stały nowe, lśniące modele samochodów oraz na dom, gdzie Swawolna Pat mieszkała i gdzie zabawiała Leonarda, swojego chłopaka. Dom był rzeczą, której niezmiennie pragnął; dom stanowił faktyczny ośrodek makiety — wszystkich makiet, jakkolwiek różniły się one pod każdym innym względem.

Na przykład garderoba Swawolnej Pat rozwieszona w dużej szafie stojącej w sypialni. Jej spodnie, białe bawełniane szorty, dwuczęściowy kostium kąpielowy w kropki, puchate sweterki... oraz w sypialni zestaw hi-fi i kolekcja płyt długogrających...

Tak kiedyś wyglądało życie, dawno, dawno temu. Norm Schein pamiętał własną kolekcję płyt długogrających, dawniej nosił też równie ekstrawaganckie stroje jak Leonard, chłopak Swawolnej Pat, kaszmirowe marynarki, tweedowe garnitury, włoskie koszule i angielskie buty. Nie miał wprawdzie sportowego jaguara XKE jak Leonard, ale eleganckiego mercedesa benza rocznik 1963, którym jeździł do pracy.

Żyliśmy wtedy, pomyślał, jak Swawolna Pat i Leonard. Tak było.

Wskazał na radio z budzikiem stojące obok łóżka Swawolnej Pat.

— Pamiętasz nasze elektroniczne radio z budzikiem? — zapytał żonę. — Jak rano wrywało nas ze snu muzyką klasyczną ze stacji KSFR? Program nosił nazwę „Wolfgangersi”. Lecił od szóstej do dziewiątej rano.

— Tak. — Fran posępnie pokiwał głową. — Ty wstawałeś przede mną; wiedziałam, że powinnam wstać, przygotować dla ciebie bekon i kawę, ale tak cudownie było poleniuchować jeszcze pół godziny, zanim dzieci zerwały się z łóżek.

— Akurat; wstawały przed nami — rzekł Norm. — Nie pamiętasz? Oglądały w telewizji „Trzech kłownów”. Szykowałem dla nich gorące płatki, po czym jechałem do pracy, do Ampeksu w Redwood City.

— Prawda — odrzekła Fran. — Telewizja. — Ich Swawolna Pat nie miała telewizora; przegrali go w rozgrywce z Reganami tydzień wcześniej, a Norman nie sklecił jeszcze w miarę realistycznego odpowiednika Udawali więc teraz, że „zabrał go mechanik”. W ten sposób tłumaczyli brak przedmiotów, które w normalnych warunkach stanowiłyby integralny element wystroju domu Swawolnej Pat.

Ta gra, pomyślał Norm... to jakby powrót do tamtych czasów, do świata przed wybuchem wojny. Pewnie dlatego w nią gramy. Ogarnęło go poczucie wstydu, lecz tylko przez chwilę; wstyd prawie natychmiast ustąpił miejsca pragnieniu, aby pograć jeszcze trochę dłużej.

— Nie przerywajmy — odezwał się nagle. — Zgodzę się, że psychoanalityk weźmie od Swawolnej Pat dwadzieścia dolarów, dobrze?

— Dobrze — odparli jednocześnie Morrisonowie i usiedli, aby kontynuować zabawę.

Tod Morrison podniósł swoją Swawolną Pat, pogładził jej jasne włosy — Pat Scheinów była brunetką — i wyrównał fałdy spódnicy.

— Co ty wyprawiasz? — zapytała jego żona.

— Ładna spódniczka — powiedział Tod. — Zgrabnie ją uszyłaś.

— Znałeś kiedyś dziewczynę podobną do Swawolnej Pat? — zapytał Norm.

— Nie — odrzekł posępnie Tod. — A szkoda. Widywałem dziewczęta do niej podobne, zwłaszcza kiedy mieszkałem w Los Angeles podczas wojny z Koreą. Nigdy jednak nie znałem żadnej z nich osobiście. Poza tym były też fantastyczne piosenkarki, na przykład Peggy Lee, albo Julie London... łudząco podobne do Swawolnej Pat.

— Graj — powiedziała z naciskiem Fran. I Norm, którego kolej właśnie przypadła, podniósł ruletkę i wprawił ją w ruch.

— Jedenaście — oznajmił. — Mój Leonard opuszcza serwis naprawczy i jedzie na tor wyścigowy. — Przesunął lalkę Leonarda.

— Wiecie co — odezwał się w zamyśleniu Tod Morrison. — Pewnego dnia wyszedłem na zewnątrz po żywność zrzuconą przez dobrodziejów... Bili Femer powiedział mi wtedy coś interesującego. Spotkał pewnego fuksiarza z jamy położonej w okolicach dawnego Oakland. Wiecie, w co grają w tamtej fuksjanie? Nie w Swawolną Pat. Nigdy o niej nie słyszeli.

— No to w co? — zapytała Helen.

— Mają całkiem inną lalkę — oznajmił Tod, marszcząc brwi. — Bili twierdzi, że fuksiarz z Oakland nazywał ją Towarzyską Connie. Słyszeliście kiedyś coś podobnego?

— Lalka Towarzyska Connie — powtórzyła z namysłem Fran. — Dziwne. Ciekawe, jak wygląda. Czy ma chłopaka?

— Jasne — odparł Tod. — Ma na imię Paul. Connie i Paul. Wiecie co, powinniśmy wybrać się do fuksjamy w Oakland i zobaczyć, jak wyglądają i mieszkają Connie i Paul. Może byśmy nauczyli się od nich paru rzeczy i potem wykorzystali to w naszych makietach.

— Może moglibyśmy z nimi zagrać — zaproponował Norm.

— Czy Swawolna Pat mogłaby grać z Towarzyską Connie? — zapytała w osłupieniu Fran. — Czy to w ogóle możliwe? Ciekawe, co by się stało?

Wszyscy milczeli. Żadne z nich nie znało odpowiedzi.

Gdy zdejmowali skórę z królika, Fred powiedział do Timothy'ego:

— Skąd wzięła się nazwa „fuksiarz”? To brzydkie słowo; dlaczego go używają?

— Fuksiarz to człowiek, który przeżył wojnę termojądrową — wyjaśnił Timothy.  
— No wiesz, fuksiem. Szczęśliwym zrzędzeniem losu. Kapujesz? Prawie wszyscy zginęli; dawniej mieszkały tu tysiące ludzi.

— Ale co to jest ten fuks? Powiedziałaś „zrzędzenie losu”...

— Fuks jest wtedy, kiedy los postanawia cię oszczędzić — dorzucił Timothy. Nie miał na ten temat nic więcej do powiedzenia. Nic więcej nie wiedział.

— Ale ty i ja nie jesteśmy fuksiarzami, bo gdy wybuchła wojna, nie było nas jeszcze na świecie — powiedział w zamyśleniu Fred. — Urodziliśmy się później.

— Tak jest — odparł Timothy.

— No to jeśli jeszcze raz ktoś nazwie mnie fuksiarzem — oznajmił Fred — podbiję mu oko stalową kulka.

— A „dobrodziej” — ciągnął Timothy — to też nowe słowo. Pochodzi od paczek rzucanych ze statków i samolotów w rejonach ogarniętych klęską. Nazywano je „paczkami dobra”, bo przysyłali je ludzie, którzy chcieli naszego dobra.



— Wiem o tym — odparł Fred. — Wcale cię o to nie pytałem.

— Mimo to ci powiedziałem — skwitował Timothy.

Obaj chłopcy wrócili do obdzierania zwierzęcia ze skóry.

— Słyszałeś o lalce zwanej Towarzyska Connie? — zapytała męża Jean Regan. — Popatrzyła ukradkiem na siedzących przy długim stole obecnych, chcąc upewnić się, że żadna z pozostałych rodzin nie podsłuchiwała. Sam — powiedziała — słyszałam to od Helen Morrison; ona od Toda, a Tod chyba od Billa Fernera. Zatem to pewnie prawda.

— Co? — zapytał Sam.

— To, że w fuksjamie w Oakland nie mają Swawolnej Pat, tylko Connie... i przyszło mi do głowy, że może to, wiesz, uczucie pustki i ogarniająca nas czasem nuda wynikają po części... może gdybyśmy zobaczyli Connie Towarzyską i jej dom, może moglibyśmy urozmaicić naszą makietę... — Zastanowiła się. — Uzupełnić ją.

— Nie podoba mi się nazwa — odparł Sam. — Towarzyska Connie brzmi tandetnie. — Zgarnął łyżką z talerza zbożową papkę, którą ostatnio obficie raczyli ich dobrodziej. Napełniwszy usta, pomyślał: załóż się, że Towarzyska Connie nie je takiego świństwa; dam głowę, że je suto garniowane cheeseburgery kupowane w jakimś ekstralokalu bez wysiadania z samochodu.

— Może byśmy się tam wybrali? — zaproponowała Jean.

— Do fuksjamy w Oakland? — Sam wytrzeszczył na nią oczy. — To piętnaście mil, trzeba iść aż na drugą stronę fuksjamy w Berkeley!

— Ale to ważne — stwierdziła uparcie Jean. — Poza tym Bili mówi, /c tamten fuksiarz z Oakland przebył tę odległość w poszukiwaniu jakichś części elektronicznych... skoro on dał radę, nam też się uda. Mamy kombinezony przeciwpyłowe. Jestem pewna, że to nic trudnego.

Podsłuchiwał ją siedzący obok rodziców mały Timothy Schein.

— Pani Regan — powiedział. — Fred Chamberlain i ja poszlibyśmy tak daleko, gdyby nam pani zapłaciła. Co ty na to? — Szturchnął Freda łokciem. — Mam rację? Powiedzmy, za pięć dolarów.

Spoważniały na twarzy Fred zwrócił się do pani Regan i powiedział:

— Przynieślibyśmy pani lalkę Connie. Za pięć dolarów na łebka.

— Boże miłosierny — zawołała zgorszona Jean Regan. I zmieniła temat.

Lecz później, po kolacji, gdy ona i Sam znaleźli się sami w kwaterze, wróciła do rozmowy.

— Sam, muszę ją zobaczyć — wybuchła. Sam brał cotygodniową kąpiel w galwanizowanej wannie, więc, chcąc nie chcąc, musiał jej wysłuchać. — Teraz, gdy wiemy, że

istnieje, musimy zagrać z kimś z fuksjami w Oakland; przynajmniej to możemy zrobić. Prawda? Proszę cię. — Spacerowała w kółko po niewielkim pomieszczeniu, ze zdenerwowaniem załamując dłonie. — Lalka Connie może mieć stację Standardu, lotnisko z pasem startowym, kolorowy telewizor i restaurację francuską, gdzie podają ślimaki, tak jak w tej, do której chodziliśmy zaraz po ślubie... Muszę zobaczyć tę makietę.

— Sam nie wiem — odparł z wahaniem Sam. — Coś w Towarzyskiej Connie budzi mój... niepokój.

— Co znowu?

— Nie mam pojęcia.

— Chodzi o to, że wiesz, że jej makietka jest o niebo lepsza od naszej, a Swawolna Pat nie dorasta jej pięt.

— Może i tak — mruknął Sam.

— Jeśli nie pójdziesz, jeśli nie spróbujesz nawiązać kontaktu z fuksjami w Oakland, uprzedzi cię ktoś inny... ktoś bardziej ambitny. Na przykład Norman Schein. On nie jest taki strachliwy jak ty.

Sam w milczeniu kapał się dalej, ale ręce mu zadrżały.

Dobrodziej rzucił ostatnio skomplikowane kawałki maszynierii, stanowiące najwyraźniej rodzaj mechanicznego komputera. Przez kilka tygodni komputery — gdyż w istocie były to właśnie one — tkwiły bezużytecznie w kartonach. Wreszcie jednak Norm Schein znalazł zastosowanie dla jednego z nich. Z zapałem dostosowywał jego najmniejszy mechanizm do budowy zsyphu na śmieci do kuchni Swawolnej Pat.

Używał przy tym maleńkich narzędzi precyzyjnych ze swojego warsztatu — zaprojektowanych i stworzonych przez mieszkańców fuksjami — koniecznych do tworzenia przyborów lalki. Przejęty swoim zadaniem uświadomił sobie w pewnej chwili, że stojąca za nim Fran zerka mu przez ramię.

— Denerwuję się, kiedy ktoś patrzy — powiedział Norm, przytrzymując szczypcami miniaturowy mechanizm.

— Słuchaj — odrzekła Fran. — Wpadłam na pewien pomysł. Czy to podsuwa ci jakąś myśl? — Postawiła przed nim jeden z tranzystorowych odbiorników radiowych zrzuconych poprzedniego dnia.

— Podsuwa mi jedynie myśl o automatycznym otwieraniu garażu, o którym pamiętam — odparł z rozdrażnieniem Norm. Kontynuował swoje zajęcie, sprawnie mocując części w otworze odpływowym zlewu w kuchni Pat; równie koronkowa robota wymagała maksymalnej koncentracji.

— A co z myślą o nadajnikach radiowych? — zapytała Fran. — Muszą być gdzieś na Ziemi; w przeciwnym razie dobrodzieje by tego nie zrzucali.

— I co? — odparł obojętnie Norm.

— Może nasz mer ma jeden — podsunęła Fran. — Może jeden z nich znajduje się w naszej jamie i dzięki niemu skontaktowalibyśmy się z fuksją w Oakland. Spotkalibyśmy się z ich reprezentantami, powiedzmy... w połowie drogi... na przykład przy fuksjanie w Berkeley. I tam byśmy zagrali. Nie trzeba by iść piętnastu mil.

Norman zawahał się; odłożył szczypce i powiedział z namysłem:

— Chyba masz rację. — Ale jeśli mer Hooker Glebę miał nadajnik, to czy pozwoli im z niego skorzystać? Jeżeli tak...

— Nie zaszkodzi spróbować — oświadczyła Fran.

— Dobrze — zgodził się Norm, wstając od warsztatu.

Mer fuksjamy w Pinole, niski, mężczyzna w mundurze, o sprytniej twarzy, w milczeniu wysłuchał, co Norm Schein miał do powiedzenia. Następnie uśmiechnął się przebiegle.

— Jasne, że mam nadajnik radiowy. Cały czas go miałem. Pięćdziesięciowatowy. Ale dlaczego chcesz kontaktować się z fuksją w Oakland?

— To moja sprawa — odparł wymijająco Norm.

— Pozwolę ci z niego skorzystać za piętnaście dolarów — powiedział z namysłem Hooker Glebe.

Zapał Norma nieco ostygł. Chryste, przecież to wszystkie pieniądze, które mieli, a każdy grosz potrzebny im był do gry w Swawolną Pat. Pieniądze stanowiły jedyny środek płatniczy, a zarazem decydowały o zwycięstwie bądź przegranej.

— To za wiele — odrzekł głośno.

— No to, powiedzmy, dziesięć — odpowiedział mer, wzruszając ramionami.

Wreszcie zgodzili się na sześć dolarów i pięćdziesiąt centów.

— Uzyskam połączenie — powiedział Hooker Glebę. — Ty nie wiesz jak. To chwilę potrwa. — Zaczął kręcić korbą umieszczoną z boku generatora nadajnika. — Jak tylko się uda, dam ci znać, ale najpierw zapłać. — Wyciągnął dłoń i Norm z ociąganiem położył na niej pieniądze.

Kontakt z Oakland udało się nawiązać dopiero późnym wieczorem. Zadowolony z siebie Hooker, promieniejąc dumą, zawitał do kwatery Scheinów w porze kolacji.

— Załatwione — oznajmił. — Powiedz tylko, czy wiedziałeś, że w Oakland jest dziewięć fuksjam? Nie miałem o tym pojęcia. Którą wybierasz? Mam na linii operatora o pseudonimie Czerwona Wanilia. Zarechotał. — Są bardzo podejrzliwi; trudno było nakłonić ich do odpowiedzi.

Norman zerwał się od stołu i popędził do kwatery mera. Zdyszany Hooker podążył za nim.

Nadajnik, rzecz jasna, działał i ze skrzynki dobywał się miarowy szum. Norm niezgrabnie usadowił się przy mikrofonie.

— Mam normalnie mówić? — zapytał Hookera Glebę.

— Powiedz tylko: Tu fuksjamą w Pinole. Powtórz to kilka razy, a kiedy potwierdzą, mów, co masz do powiedzenia. — Mer z ważną miną wyregulował pokrętła przekaźnika.

— Tu fuksjamą w Pinole — rzucił głośno do mikrofonu Norm.

Z głośnika natychmiast padła odpowiedź.

— Tu Czerwona Wanilia. — Głos był zimny i odpychający; tchnął obcością. Hooker miał rację.

— Czy macie u siebie Towarzyską Connie?

— Owszem — odparł fuksiarz z Oakland.

— Wyzywam was — powiedział Norm, czując, jak krew pulsuje mu w żyłach w rytm wypowiedzanych słów. — Tutaj mamy Swawolną Pat; zagramy nią przeciwko waszej Connie. Gdzie się spotkamy?

— Swawolna Pat — powtórzył jak echo fuksiarz z Oakland. — Tak, słyszałem o niej. O co gramy?

— Tutaj gramy głównie o pieniądze — powiedział bez przekonania Norman.

— Mamy mnóstwo pieniędzy — rzucił miażdżącym tonem fuksiarz z Oakland. — To dla nas żadna atrakcja. Co jeszcze?

— Nie wiem. — Krępował go fakt, że nie widział swojego rozmówcy; nie był do tego przyzwyczajony. Ludzie powinni stać twarzą w twarz, pomyślał, aby móc spoglądać sobie w oczy. W obecnej sytuacji nie było krzty naturalności. — Spotkajmy się w połowie drogi — zaproponował. I omówmy to. Na przykład przy fuksjanie w Berkeley; co wy na to?

— To za daleko — odparł fuksiarz z Oakland. — Mamy według ciebie wlec naszą makietę taki kawał drogi? Po pierwsze jest zbyt ciężka, po drugie — mogłaby na tym ucierpieć.

— Nie, chodzi jedynie o omówienie warunków — sprostował Norman.

— Cóż, chyba możemy to zrobić — odrzekł z powątpiewaniem fuksiarz z Oakland. — Postawię sprawę jasno: traktujemy Connie bardzo poważnie; lepiej dobrze przygotujcie się do rozmowy.

— Tak też zrobimy — zapewnił go Norm.

Mer Hooker Glebę przez cały czas kręcił korbą; twarz poczerwieniała mu z wysiłku i gniewnie dał znak Normanowi, aby ten kończył rozmowę.

— Przy fuksjanie w Berkeley — rzucił Norm. — Za trzy dni. I przyślijcie najlepszego gracza, który ma największą i najbardziej autentyczną makietę, ponieważ nasze to prawdziwe dzieła sztuki.

— Musimy je zobaczyć, aby to ocenić — odparł fuksiarz z Oakland. Ostatecznie mamy tu stolarzy, elektryków i tynkarzy, którzy współpracują przy tworzeniu makiet; założę cię, że wszyscy jesteście amatorami.

— I tu się mylisz — odrzekł z zapałem Norm i odłożył mikrofon. Następnie zwrócił się do Hookera Glebę, który natychmiast przestał kręcić. — Pobjemy ich. Niech no tylko zobaczą zsypaną moją Swawolną Pat; masz pojęcie, że dawniej żyli ludzie, którzy się obywali bez tego urzędnika?

— Dobrze to pamiętam — odpowiedział ze złością Hooker. — Dostałeś za swoje pieniądze dużo kręcenia; oszukałeś mnie, rozmawiając tak długo. — Rzucił Normowi tak wrogie spojrzenie, że ten poczuł się niepewnie. Ostatecznie mer fuksjamy dysponował wystarczającą władzą, aby wyeksmitować niepożądanego mieszkańca; tak stanowiło prawo.

— Dam ci alarm przeciwpożarowy, który właśnie skończyłem — powiedział Norm. — Umieściłem go na rogu budynku, gdzie mieszka Leonard, chłopak Swawolnej Pat.

— Może być — zgodził się Hooker. Wrogość ustąpiła miejsca zachłanności. — Obejrzyjmy go, Norm. Założę się, że będzie pasował do mojej makiety; alarm przeciwpożarowy to idealne uzupełnienie pierwszego bloku, gdzie znajduje się skrzynka pocztowa. Dziękuję.

— Proszę bardzo — odparł z filozoficznym westchnieniem Norm.

Gdy powrócił z dwudniowej wyprawy do fuksjamy w Berkeley, żona, widząc jego ponurą twarz, natychmiast zrozumiała, że rozmowa z mieszkańcami w Oakland nie przebiegła pomyślnie.

Tego ranka dobrodzieje zrzucili kartony syntetycznego napoju podobnego do herbaty; Fran napełniła filiżankę Normana, ciekawa wieści z miejsca oddalonego o osiem mil na południe.

— Targowaliśmy się — powiedział Norm, siadając zmęczony na łóżko, które dzielił wraz z żoną i dzieckiem. — Nie chcą pieniędzy; nie chcą żadnych towarów w zamian — oczywiście, że nie, ponieważ ci cholerni dobrodzieje dostarczają im ich regularnie.

— Czego wobec tego chcą?

— Swawolnej Pat — odparł Norm i zamilkł.

— Boże! — zawołała w osłupieniu Fran.

— Lecz jeśli my wygramy — zaznaczył Norm — bierzemy Towarzystwą Connie.

— A makiety? Co z nimi?

— Zachowamy naszą. Chodzi jedynie o Swawolną Pat, nie o Leonarda, lecz właśnie o nią.

— Ale co zrobimy, jeżeli naprawdę przegramy Swawolną Pat? — zaoponowała.

— Zrobię drugą — odparł Norm. — Nie ma sprawy. W jamie są jeszcze spore zapasy termoplastyku i sztucznych włosów. Poza tym mam mnóstwo farby. Potrwałoby to co najmniej miesiąc, ale dałbym radę. Przyznaję, że ta perspektywa nie budzi we mnie entuzjazmu. Ale... — Jego oczy zalsniły. — Nie bierz pod uwagę najgorszej wersji; wyobraź

sobie, co będzie, jak wygramy Towarzystwą Connie. Myślę, że mamy szansę; ich delegat wydawał się sprytny i, jak powiedział Hooker, twardy, mimo to... ten, z którym rozmawiałem, nie sprawił na mnie wrażenie szczególnie fuksiarskiego. No wiesz, za pan brat ze szczęściem.

Ponieważ używali ruletki, z każdym etapem gry wiązał się element szczęścia.

— Ale grać o samą Swawolną Pat... — powiedziała Fran. — Skoro tak twierdzisz... — Uśmiechnęła się z przymusem. — Zgadzam się. Poza tym, jeżeli wygrasz Connie... kto wie? Może po śmierci Hookera wybiorą cię merem. Wyobraź sobie, wygrać czyjąś lalkę — nie chodzi o zwykłą grę, o pieniądze, ale o lalkę.

— Może wygram — odparł rzeczowo Norm. — Jestem przecież szczęściarzem. — Czuł to w sobie, ten sam fart, który pomógł mu przetrwać wojnę termojądrową i dożyć tego dnia. Albo się go ma, albo nie, uznał. A ja go mam.

— Czy nie powinniśmy poprosić Hookera o zwołanie zebrania, na którym wybrilibyśmy najlepszego gracza? — zapytała jego żona. — W ten sposób zapewnimy sobie zwycięstwo.

— Posłuchaj — odparł z naciskiem Norm Schein. — To ja jestem najlepszym graczem. Ja pójdę. I ty też; stworzymy świetną drużynę i według mnie nie warto tego zmieniać. Zresztą i tak przydadzą się nam dodatkowe dwie pary rąk do niesienia makiety. — Obliczył w myślach, że makieta Swawolnej Pat waży sześćdziesiąt funtów.

Uznał swój plan za zadowalający. Lecz kiedy podzielił się nim z pozostałymi mieszkańcami fuksjami, napotkał ostry sprzeciw. Cały następny dzień spędzono na sprzeczkach.

— Przecież nie możecie sami taszczyć całej makiety — powiedział Sam Regan. — Albo zabierzcie ze sobą więcej osób, albo zawieźcie na czymś makiety. Na przykład na wózku. — Rzucił Normowi pochmurne spojrzenie.

— Skąd wezmę wózek? — zapytał Norm.

— Coś da się zrobić — odrzekł Sam. — Pomogę wam, jak tylko zdołam. Sam chętnie bym poszedł, ale powiedziałem żonie, że to całe przedsięwzięcie budzi mój niepokój. — Grzmotnął Norma w plecy. — Podziwiam waszą odwagę, ty i Fran ruszacie w tak daleką podróż. Żałuję, że mnie brak śmiałości. — Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

Wreszcie Norm zdecydował się na taczkę. Postanowili, że będą pchać ją na zmianę. W ten sposób wykluczą konieczność dźwigania czegokolwiek prócz prowiantu oraz wody, no i oczywiście noży do obrony przed psokotami.

Kiedy ostrożnie składali elementy makiety na taczce, podszedł do nich syn Normana Scheina, Timothy.

— Zabierz mnie ze sobą, tato — poprosił. — Za pięćdziesiąt centów będę waszym przewodnikiem i zwiadowcą i po drodze pomogę wam łapać zwierzynę.

— Damy sobie radę — odrzekł Norm. — Zostaniesz w jamie; tu będziesz bezpieczny. — Pomysł zabrania syna na tak ważną wyprawę tylko go rozżłościł. Był niemal... świętokradzki.

— Daj buziaka na do widzenia — powiedziała Fran i uśmiechnęła się przelotnie do chłopca, po czym ponownie skierowała uwagę na taczkę. — Mam nadzieję, że się nie przewróci — rzuciła z lękiem do Norma.

— Nie da rady — odparł Norm. — Jeśli będziemy uważać. — Czuł się niezwykle pewnie.

Chwilę potem kierowali taczkę na prowadzącą ku powierzchni rampę. Rozpoczęła się podróż do fuksjamy w Berkeley.

W odległości mili od fuksjamy w Berkeley zaczęli potykać się o puste lub częściowo opróżnione skrzynie: pozostałości po zrzutach, takie same jak w okolicy ich własnego domostwa. Norm Schein odetchnął z ulgą; podróż okazała się wcale nie taka straszna, wyjąwszy fakt, że dłonie opuchły mu od ściskania metalowych rączek taczki, Fran zaś skręciła kostkę i szła teraz, utykając. Wszystko to trwało jednak krócej, niż przewidywali, co wprawiło go w optymistyczny nastrój.

Na wprost nich ukazała się skulona przy ziemi sylwetka. Chłopiec. Norm pomachał doń ręką i zawołał:

— Hej, synku — jesteśmy z fuksjamy w Pinole; mamy tu spotkać się tą grupą z Oakland... pamiętasz mnie?

Chłopiec odwrócił się bez słowa i uciekł.

— Nie ma co się bać — powiedział do żony Norm. — On powiadomi mera. To miły starszy gość, niejaki Ben Fennimore.

Niebawem pojawiła się czujna gromadka dorosłych.

Norm z ulgą postawił taczkę i otarł twarz chustką.

— Czy jest już grupa z Oakland? — zawołał.

— Jeszcze nie — odrzekł wysoki, podstarzały mężczyzna z białą przepaską na rękawie i zdobioną czapką. — Schein, prawda? — zapytał, wytężając wzrok. Był to Ben Fennimore. — Już wróciłeś ze swoją makietą. — Fuksiarze z Berkeley stłoczyli się wokół taczki, spoglądając na makietę Scheinów. Na ich twarzach odmalował się najwyższy podziw.

— Oni mają tu Swawolną Pat — wyjaśnił żonie Norm. — Ale... — Zniżył głos. — Ich makiety to czysta amatorszczyzna. Tylko dom, garderoba i samochód... nie zbudowali praktycznie nic. Żadnej wyobraźni.

Jedna z mieszanek Berkeley zwróciła się do Fran.

— Sami zrobiliście każdy mebel? — Popatrzyła na stojącego u jej boku mężczyznę. — Widzisz, czego oni dokonali, Ed?

— Tak. — Mężczyzna skinął głową. — Powiedzcie mi — zwrócił się do Norma i Fran — czy moglibyśmy obejrzeć to w całości? Rozłóżycie makietę w naszej jamie, prawda?  
— Owszem — odpowiedział Norm.

Mieszkańcy Berkeley pomogli im pchać taczkę przez ostatnią milę. Wkrótce potem schodzili w dół.

— To duża jama — uprzedził żonę Norm. — Na pewno zamieszkała przez jakieś dwa tysiące ludzi. Tu właśnie mieścił się uniwersytet kalifornijski.

— Aha — odparła Fran, nieśmiało wkraczając do obcej fuksjamy; po raz pierwszy od lat — ściśle rzecz biorąc, od czasu wojny — widziała nieznajomych. I to tylu naraz. To było dla niej za wiele; Norm poczuł, jak żona kuli się ze strachu i przytula do niego.

Kiedy dotarli na pierwszy poziom i przystąpili do wyładowywania zawartości taczki, podszedł do nich Ben Fennimore i przemówił cicho:

— Zauważono ludzi z Oakland; otrzymaliśmy z góry raport o wzmożonej aktywności na powierzchni. Przygotujcie się. Oczywiście, dopingujemy was, ponieważ macie Swawolną Pat, tak jak my.

— Czy widział pan kiedyś Towarzystką Connie? — zapytała Fran.

— Nie, proszę pani — odparł uprzejmie Fennimore. — Ale ponieważ sąsiadujemy z Oakland, słyszeliśmy o niej. Powiem wam jedno... doszły nas słuchy, że lalka Connie jest starsza niż Swawolna Pat... bardziej, hm... dojrzała. Chciałem was jedynie uprzedzić — dodał wyjaśniająco.

Norm i Fran popatrzyli na siebie.

— Dzięki — odparł z wolna Norm. — Tak, musimy być przygotowani na wszystko. A Paul?

— Ach, on nie bardzo się liczy — odrzekł Fennimore. — To Connie wszystkim zarządza; nie wiem nawet, czy Paul ma własne mieszkanie. Ale poczekajcie lepiej na przybycie drużyny z Oakland; wolałbym nie podawać mylnych informacji — moja znajomość rzeczy opiera się na domysłach i plotkach, sami rozumiecie.

— Widziałem kiedyś Connie — wtrącił inny fuksiarz z Berkeley, stojący obok. — Jest dużo starsza od Swawolnej Pat.

— Ile według pana Swawolna Pat ma lat? — zapytał go Norm.

— Tak na oko siedemnaście albo osiemnaście — padła odpowiedź.

— A Connie? — Czekał w napięciu.

— Och, powiedziałbym nawet, że dwadzieścia pięć.

Od strony rampy dobiegł ich jakiś hałas. Pojawiło się więcej mieszkańców Berkeley, za nimi zaś podążało dwóch mężczyzn niosących płytę, na której ustawiono okazałą makietę.



Była to drużyna z Oakland; nie tworzyła jej para, mężczyzna i kobieta, lecz dwaj mężczyźni o twardych rysach i surowych, nieobecnych spojrzeniach. Na widok jego i Fran lekko unieśli głowy, zatwierdzając ich obecność. Następnie ostrożnie ustawili na ziemi planszę z makieta.

Zza ich pleców wyłonił się trzeci fuksiarz z Oakland, niósł w objęciach metalową skrzynkę, która przypominała pudełko na drugie śniadanie. Norm wyczuł instynktownie, że tam znajdowała się Connie. W ręku fuksiarza pojawił się klucz, którym otworzył skrzynkę.

— Możemy zaraz zaczynać — oznajmił najwyższy fuksiarz z Oakland. — Tak jak zostało uzgodnione podczas rozmowy wstępnej, użyjemy ruletki zamiast kostki, aby wykluczyć możliwość oszustwa.

— Zgoda — odparł Norm. Z wahaniem wyciągnął rękę. — Nazywam się Norman Schein, a to moja żona i partnerka w grze, Fran.

Mężczyzna, najwidoczniej przywódca grupy, odparł:

— Jestem Walter R. Wynn. Oto mój partner, Charley Dowd, a człowiek ze skrzynką to Peter Foster. On nie weźmie udziału w grze; pilnuje tylko naszej makiety. — Wynn rozejrzał się dokoła, spoglądając na mieszkańców Berkeley, jakby chciał powiedzieć: Wiem, że stawiacie na Swawolną Pat. Ale wszystko nam jedno; nie boimy się.

— Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia gry, panie Wynn — powiedziała Fran cichym, lecz opanowanym głosem.

— Co z pieniędzmi? — zapytał Fennimore.

— Według mnie obie drużyny mają ich dosyć — odparł Wynn. Pokazał kilka tysięcy dolarów w zielonych banknotach i Norm uczynił to samo. — Pieniądz nie jest tutaj żadnym czynnikiem, służy tylko jako element gry.

Norm przytaknął; rozumiał to doskonale. Liczyły się jedynie lalki. Wówczas po raz pierwszy ujrzał Towarzyską Connie.

Pan Foster — jako osoba najwidoczniej do tego upoważniona — wkładał ją właśnie do sypialni. Na widok lalki Normowi zaparło dech w piersi. Rzeczywiście, była starsza. Dorosła kobieta, a nie podłotek... różnica pomiędzy nią a Swawolną Pat rzucała się w oczy. Wyglądała jak żywa. Nie wykonano jej za pomocą odlewu, lecz wyrzeźbiono z drewna i pomalowano. I włosy. Zupełnie jak prawdziwe.

Był pod głębokim wrażeniem.

— I co pan o niej sądzi? — zapytał z lekkim uśmiechem Wynn.

— Nader... imponująca — wydusił Norm.

Drużyna z Oakland przystąpiła do oględzin Swawolnej Pat.

— Odlew z termoplastiku — zawyrokował jeden z nich. — Sztuczne włosy. Niebrzydkie ubranie; ręczna robota, nietrudno zauważyć. Ciekawe, potwierdziło się to, co słyszeliśmy. Swawolna Pat nie jest dorosła, to tylko nastolatka.

Wyjęto partnera Connie i ułożono go w sypialni obok pierwszej lalki.

— Chwileczkę — zaoponował Norm. — Wkładacie Paula, czy jak mu tam, do sypialni Connie? Czy on nie ma własnego mieszkania?

— Oni są małżeństwem — odrzekł Wynn.

— Małżeństwem! — Oszołomieni Norman i Fran utkwili w nim wzrok.

— Jasne — odpowiedział Wynn. — Dlatego razem mieszkają. Wasze lalki nie są małżeństwem, prawda?

— N-nie — odrzekła Fran. — Leonard jest chłopakiem Swawolnej Pat... — Zawiódł ją głos. — Norm — powiedziała, chwytając go za ramię. — Nie wierzę mu; on chyba tylko tak mówi, żeby zdobyć nad nami przewagę. No bo jeśli oboje zaczną z tego samego pokoju...

— Słuchajcie no, panowie — powiedział głośno Norm. — To nie w porządku nazywać ich małżeństwem.

— Nie „nazywamy” ich małżeństwem; oni nim są. Nazywają się Connie i Paul Lathrope i mieszkają przy Arden Place 24 w Piedmont. Pobrali się rok temu, większość graczy wam to powie. — Wydawał się niewzruszony.

Może to prawda, pomyślał wstrząśnięty Norm.

— Popatrz na nich — powiedziała Fran, klękając przy makiecie drużyny z Oakland. — Śpią w tej samej sypialni, w tym samym domu. Widzisz, Norm? Jest tylko jedno łóżko. Podwójne. — Zwróciła na niego niespokojne spojrzenie. — Jak Swawolna Pat i Leonard mają się z nimi zmierzyć? Zadrżał jej głos. — To niemoralne.

— To zupełnie inny rodzaj makiety — powiedział do Waltera Wynna Norm. — Wasza kompletnie różni się od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. — Wskazał na własną makietę. — Upieram się przy tym, aby na czas gry Connie i Paul nie mieszkali razem i nie byli uznawani za małżeństwo.

— Ale nim są — wtrącił Foster. — To niezbity fakt. Patrzcie — ich rzeczy wiszą w jednej szafie. — Pokazał im szafę. — I w tych samych szufladach. — Wskazał szuflady palcem. — I zajrzyjcie do łazienki. Dwie szczoteczki do zębów. Jego i jej, w tym samym kubku. Sami widzicie, że nie zmyślamy.

Zapadła cisza.

— Skoro są małżeństwem — powiedziała zduszonym głosem Fran to czy doszło do... zbliżeń?

Wynn uniósł brew, po czym skinął głową.

— Ma się rozumieć, przecież to mąż i żona. Czy jest w tym coś niewłaściwego?

— Swawolna Pat i Leonard nigdy... — zaczęła Fran i nie dokończyła.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Wynn. — Oni tylko chodzą ze sobą. To zrozumiałe.

— Nie możemy grać — uznała Fran. — Nie możemy. — Złapała męża za rękę. — Wracajmy do domu... proszę, Norman.

— Chwileczkę — powiedział natychmiast Wynn. — Skoro wycofujecie się z gry, musicie oddać nam Swawolną Pat.

Pozostali członkowie drużyny z Oakland pokiwali głowami. Norm zauważył, że część mieszkańców Berkeley, w tym Ben Fennimore, postąpiła podobnie.

— Mają rację — powiedział z wysiłkiem do żony. — Musielibyśmy ją oddać. Lepiej zagrajmy, kochanie.

— Tak — zgodziła się bezbarwnym głosem Fran. — Zagramy. — Schyliwszy się, zakręciła ruletkę. Wskazówka zatrzymała się na szóstce.

Uśmiechnięty Walter Wynn przyklęknął i zakręcił. Uzyskał czwórkę.

Rozpoczęto grę.

Przyczajony za stertą zbutwiałej zawartości niewykorzystanych paczek Timothy Schein ujrzał brnących przez równinę rodziców. Pchali przed sobą taczkę i wyglądali na śmiertelnie znużonych.

— Cześć — wrzasnął Timothy, skacząc z radości na ich widok; bardzo się za nimi stęsknił.

— Witaj, synku — mruknął ojciec, kiwając głową. Puścił rączki taczki, zatrzymał się i otarł twarz chustką.

Nadbiegł zdyszany Fred Chamberlain.

— Dzień dobry, panie Schein; dzień dobry pani Schein. Hej, wygraliście? Pobiliście fuksiarzy z Oakland? Na pewno, daję głowę, że tak. Przenosił wzrok z jednego na drugą i z powrotem.

— Tak, Freddy. Wygraliśmy — powiedziała cicho Fran.

— Popatrz na taczkę — dodał Norm.

Obaj chłopcy zajrzeli do środka. Tam, wśród mebli Swawolnej Pat leżała druga lalka. Większa, bardziej kształtna i znacznie starsza niż Pat... zapatrzyli się na nią, ona zaś utkwiała niewidzące spojrzenie w wiszącą nad głowami szarą płachtę nieba. A więc to jest Towarzyska Connie, pomyślał Timothy. Rany.

— Mieliśmy szczęście — powiedział Norm. Z jamy wyłoniło się kilka osób, które podeszły bliżej, nadstawiając uszu. Jean i Sam Regan, Tod Morrison i jego żona Helen oraz sam mer, podenerwowany i rozplómienny Hooker Glebę, zdyszany po niezwykłym dla wysiłku, jakim było dla niego wspinanie się na rampę.

— Uzyskaliśmy unieważnienie kart debetowych w momencie, gdy znacznie odstawaliśmy w tyle — powiedziała Fran. — Brakowało nam pięćdziesięciu tysięcy, ale dzięki unieważnieniu zrównaliśmy się z drużyną z Oakland. Potem otrzymaliśmy kartę dziesięciopunktową i zdobyliśmy największą liczbę punktów, przynajmniej na naszej planszy. Wywiązała się nieprzyjemna sprzeczka, gdyż drużyna z Oakland obstawała przy tym, że na ich planszy obowiązuje prawo zastawne na kwadracie nieruchomości, ale

wylosowaliśmy nieparzysty numer, co skierowało nas z powrotem na naszą planszę.  
— Westchnęła. — Cieszę się, że wróciliśmy. Gra była ciężka, Hooker.

— Obejrzyjmy Towarzyską Connie — wysapał Hooker Glebę. — Zwrócił się do Norma i Fran: — Czy mogę ją podnieść i pokazać wszystkim?

— Jasne — odrzekł Norm.

Hooker podniósł lalkę.

— Naprawdę wygląda realistycznie — przyznał, spoglądając na nią badawczo.  
— Ubrania nie są tak ładne jak nasze; wyglądają na wykonane maszynowo.

— Takie są — potwierdził Norm. — Ale ona została wyrzeźbiona, a nie odlana.

— Tak, widzę. — Hooker oglądał ją ze wszystkich stron. — Niezła robota. Jest bardziej, hm, kształtna niż Swawolna Pat. Co to za strój? Kostium z tweedu?

— To ubranie do pracy — wyjaśniła Fran. — Wygraliśmy je razem z lalką, tak jak zostało wcześniej uzgodnione.

— Ona pracuje — dodał Norm. — Jest psychologiem w firmie prowadzącej badania rynkowe. Dział badań opinii konsumenta. Świetnie zarabia... według tego, co mówił Wynn, dwa tysiące rocznie.

— A niech mnie — powiedział Hooker. — Pat chodzi do college'u; nadal się uczy.  
— Przybrał zatroskany wyraz twarzy. — Cóż, pewnie te różnice były nieuniknione. Liczy się jednak to, że wygraliście. — Przywołał z powrotem na twarz przyjacielski uśmiech. — Swawolna Pat była górą. Podniósł wysoko Towarzyską Connie, aby pozostali mogli ją zobaczyć. Patrzcie, z czym wrócili Norm i Fran!

— Uważaj na nią, Hooker — ostrzegł go stanowczo Norm.

— Co? — Hooker zamarł. — Dlaczego, Norm?

— Bo jest w ciąży — odrzekł Norm.

Zapanowała lodowata cisza. Jedyńm odgłosem był szelest przesypywanego pyłu.

— Skąd wiesz? — zapytał Hooker.

— Powiedzieli nam. Drużyna z Oakland. Wygraliśmy również i to... po długiej kłótni, którą musiał zażegnać Ben Fennimore. — Sięgnąwszy do taczki, wyjął małe, skórzane etui, z którego wyciągnął różową figurkę noworodka. — Wygraliśmy je, bo Fennimore potwierdził, że z technicznego punktu widzenia stanowi w tej chwili integralną część Towarzyskiej Connie.

Hooker nie odrywał od figurki spojrzenia.

— Ona jest mężatką — wyjaśniła Fran. — Paul to jej mąż. Nie chodzi tylko o luźny związek. Pan Wynn powiedział, że jest w trzecim miesiącu ciąży. Poinformował nas o tym dopiero, jak wygraliśmy; nie chciał tego robić, ale poczuł, że musi. Uważam, że mieli rację; zatajenie tego nie byłoby w porządku.

— Poza tym jest jeszcze embrion — dodał Norm.

— Tak — potwierdziła Fran. — Musicie otworzyć Connie, żeby go...

— Nie — przerwała Jean Regan. — Proszę, nie.

— Nie, pani Schein, niech pani tego nie robi — dodał Hooker. Cofnął się o krok.

— Sami na początku byliśmy zaszokowani, ale potem... — zaczęła Fran.

— Widzicie — powiedział Norm. — To logiczne; należy przestrzegać zasad logiki. Swawolna Pat też kiedyś...

— Nie — odparł z mocą Hooker. Schylił się i podniósł z ziemi kamień. — Nie — potwierdził, unosząc rękę. — Przestańcie. Ani słowa więcej.

Reganowie również podnieśli kamienie. Nikt nie odezwał się ani słowem.

— Norm, musimy stąd odejść — rzuciła wreszcie Fran.

— Masz rację — powiedział Tod Morrison. Żona kiwnęła posępnie głową na potwierdzenie jego słów.

— Wracajcie do Oakland — rzekł Hooker do Fran i Normana Scheinów. — Już tu nie mieszkanie. Jesteście inni. Zmieniliście się.

— Tak — przytaknął na wpół do siebie Sam Regan. — Miałem rację, było się czego obawiać. — Zwrócił się do Norma: — Czy do Oakland prowadzi trudna droga?

— Byliśmy jedynie w Berkeley — odrzekł Norm. — W fuksjanie w Berkeley. — Bieżące wydarzenia zbiły go z tropu. — Boże — powiedział. — Przecież nie możemy tak po prostu zawrócić i pchać taczki cały szmat drogi do Berkeley. Jesteśmy wykończeni, potrzebujemy odpoczynku!

— A gdyby pchał za was ktoś inny? — zapytał Sam Regan. Podszedł do Scheinów i stanął obok nich. — Ja ją popcham. Prowadź, Schein. — Popatrzył na żonę, lecz Jean ani drgnęła. Stała nieruchomo, nie wypuszczając z rąk kamieni.

— Czy teraz mogę z wami pójść, tato? — Timothy szarpnął ojca za rękaw. — Proszę, pozwól mi iść.

— Dobrze — odparł na wpół do siebie Norm. Przywołał się do porządku. — A więc nikt nas tutaj nie chce. — Zwrócił się do Fran. — Idziemy. Sam będzie pchał taczkę; myślę, że zdążymy przed zmierzchem. Jeśli nie, przenocujemy pod gołym niebem; Timothy obroni nas przed psokotami.

— Chyba nie mamy innego wyjścia — stwierdziła pobladła na twarzy Fran.

— I weźcie to — powiedział Hooker. Podał im figurkę noworodka. Fran Schein delikatnie umieściła ją w skórzanym etui. Norm położył Towarzystką Connie z powrotem na taczce. Byli gotowi do odjazdu.

— To stanie się i tutaj — powiedział Norm do milczącej grupy mieszkańców fuksjamy w Pinole. — Oakland jest bardziej rozwinięte, i tyle.

— Dalej — ponaglił Hooker Glebę. — Ruszajcie.

Norm kiwnął głową i sięgnął po taczkę, ale Sam Regan odsunął go na bok i sam ujął za rączki.

— Idziemy — powiedział.

Trzej dorośli wraz z chłopcem, który posuwał się przodem, trzymając w pogotowiu uniesiony nóż, skierowało się na południe, w stronę Oakland. Wszyscy milczeli. Nie było o czym mówić.

— Szkoda, że tak się stało — powiedział wreszcie Norm, gdy przebyli milę i fuksjama w Pinole znikła im z oczu.

— Może i nie — odrzekł Sam Regan. — Może właśnie dobrze się stało. — Nie sprawiał wrażenia przygnębionego, choć stracił żonę. Poświęcił więcej niż pozostali, lecz mimo wszystko — ocalał.

— Cieszę się, że tak uważasz — odpowiedział markotnie Norm.

Wędrowali przed siebie pogrążeni we własnych myślach.

Po chwili Timothy zwrócił się do ojca.

— W tych wielkich jamach na południu... jest sto razy więcej do roboty, prawda? To znaczy, nie ma czasu, aby siedzieć i tylko zajmować się grą. — Miał szczerą nadzieję, że tak było.

— Pewnie tak — odrzekł jego ojciec.

Nad ich głowami śmignął pędzący statek dobrodziejów, po czym prawie natychmiast zniknął; Timothy bez śladu zainteresowania odprowadził go wzrokiem, ciekawiło go raczej to, co czekało ich po drodze na południe, nad i pod ziemią.

— Ci ludzie z Oakland — mruknął ojciec. — Ta gra i lalka coś im dały. Connie musiała dorosnąć i zmusiła ich, by uczynili to samo. Mieszkańcy naszych stron nigdy się czegoś podobnego nie nauczyli, nie od Swawolnej Pat. Ciekawe, czy to kiedykolwiek nastąpi. Będzie musiała dorosnąć, tak jak Connie. Connie musiała kiedyś przypominać Pat. Dawno, dawno temu.

Timothy puścił słowa ojca mimo uszu — ktoś tak naprawdę dbał o lalki i gry? — i wybiegł naprzód, usiłując ogarnąć wzrokiem możliwości rysujące się przed nim, przed mamą i tatą oraz przed panem Reganem.

— Nie mogę się doczekać — wykrzyknął do ojca, a Norm Schein w odpowiedzi zdobył się na blady, znużony uśmiech.

**STAN GOTOWOŚCI**

Godzinę przed rozpoczęciem swojego porannego programu informacyjnego na kanale szóstym, najpopularniejszy kłown telewizyjny Jim Briskin siedział w prywatnym gabinecie w otoczeniu ekipy produkcyjnej. Omawiali szczegóły raportu na temat nieznanego, przypuszczalnie wrogiej flotylli, której obecność wykryto w odległości ośmiu tysięcy jednostek astronomicznych od Słońca. Była to istotna wiadomość. W jaki sposób jednak należało przekazać ją siedmiomiliardowej rzeszy widzów rozsianych na trzech planetach o siedmiu księżycach?

Peggy Jones, jego sekretarka, zapaliła papierosa.

— Nie wystrasz ich, Jim — Jam. Przekaż im to na luzie — powiedziała i odchyliwszy się na krześle, przekartkowała stos depesz telegraficznych otrzymanych przez ich stację komercyjną od Unicefalonu 40-D.

Unicefalon 40-D stanowił homeostatyczną strukturę rozwiązywania problemów mieszczącą się przy Białym Domu w Waszyngtonie, D.C., wykrył obecność potencjalnego wroga; dysponując władzą prezydenta Stanów Zjednoczonych natychmiast wysłał statki zwiadowcze. Wszystko wskazywało na to, że flotylla pochodziła z innego układu słonecznego, lecz potwierdzenie tej informacji wchodziło w zakres obowiązków zwiadowców.

— Na luzie — powtórzył pośpiesznie Jim Briskin. — Wyszczereżę zęby i powiem: Hej, słuchajcie koledzy, wreszcie spełniły się nasze najgorsze oczekiwania, cha, cha. — Zmierzył sekretarkę wzrokiem. — Wywoła to wybuchy śmiechu na Ziemi i Marsie, ale nie na odległych księżycach. — W razie ataku dalekie kolonie ucierpiałyby pierwsze.

— Nie, na pewno ich to nie rozbawi — przyznał jego doradca Ed Fineberg. On również wyglądał na zatroskanego; miał rodzinę na Ganimesie.

— Czy są jakieś informacje lżejszego kalibru? — zapytała Peggy. Może wstawimy je na początek programu? Spodobałoby się to sponsorowi. — Podała Briskinowi stertę depesz. — Zobacz, co da się zrobić. Zmutowana krowa otrzymuje prawo wyborcze podczas sprawy sądowej w Alabamie... no wiesz.



— Wiem — odparł Briskin, oglądając depesze. Coś takiego, jak osobliwy reportaż na temat zmutowanej sójki, która w wyniku ciężkich starań nauczyła się szyc, co poruszyło serca milionów. Pewnego kwietniowego poranka w Bismark, w Dakocie Północnej, przed kamerami sieci telewizyjnej Briskina uszyła gniazdo dla siebie i swoich piskląt.

Jego uwagę przykuła jedna wiadomość, natychmiast wyczuł instynktownie, że idealnie nadaje się na złagodzenie mrocznego tonu dzisiejszych informacji. Odprężył się. Na przekór niebezpieczeństwu czającemu się w odległości ośmiu tysięcy jednostek astronomicznych, sprawy wszechświata toczyły się swoim torem.

— Patrzcie — powiedział z krzywym uśmiechem — Stary Gus Schatz nie żyje. Nareszcie.

— Kto to jest Gus Schatz? — zapytała zdziwiona Peggy. — Nazwisko brzmi... znajomo.

— Związkowiec — odparł Jim Briskin. — Pamiętasz. Prezydent awaryjny wysłany przez związek do Waszyngtonu dwadzieścia dwa lata temu. Umarł, a związek... — Rzucił jej depeszę; była zwięzła i klarowna. Wysłał kolejnego prezydenta na jego miejsce. Chyba zrobię z nim wywiad... jeśli potrafi mówić.

— Rzeczywiście — odrzekła Peggy. — Ciągle zapominam, że wybierają żywego prezydenta na wypadek awarii Unicefalonu. Czy awaria kiedykolwiek nastąpiła?

— Nie — powiedział Ed Fineberg. — I nigdy nie nastąpi. Czyli mamy do czynienia z kolejnym przykładem zapobiegliwości związku. Zmora naszego społeczeństwa.

— Mimo to — wtrącił Jim Briskin — ludzie się ubawią. Życie prywatne najwyższej rangą osobistości... powody, dla których został wybrany, jego zainteresowania. Co ów człowiek, kimkolwiek jest, planuje robić, by nie zwariować z nudy podczas swojej kadencji. Stary GUS nauczył się introligatorki; zbierał stare czasopisma motoryzacyjne i oprawiał je w papier welinowy ze złotymi literami.

Ed i Peggy kiwnęli głowami.

— Zrób to — powiedziała Peggy. — Potrafisz uatrakcyjnić tę historię, Jim — Jam; umiesz zrobić ze wszystkiego przebój. Zadzwoń do Białego Domu; czy on już tam jest?

— Pewnie wciąż przebywa w siedzibie związku w Chicago — stwierdził Ed. — Spróbuj tam. Wschodnia Filia Rządowego Związku Urzędników Państwowych.

Podniósłszy słuchawkę, Peggy pospieszenie wykręciła numer.

O siódmej rano w rozespaną świadomość Maximiliana Fischera wdarły się natarczywe odgłosy, oderwał głowę od poduszki, zarejestrował dobiegający z kuchni zgiełk, piskliwy głos gospodyni oraz nieznanne męskie głosy. Usiadł uczynił to bez pośpiechu; lekarz odradził mu wysiłek z uwagi na przerost mięśnia sercowego. Powoli włożył ubranie.

Pewnie chodzi o udział w jednym z funduszy, pomyślał Max. To chyba oni. Dosyć wcześniej. Nie wzbudziło to jego niepokoju. Jestem w świetnej sytuacji. Nie ma strachu.

Z pietyzmem zapiął guziki koszuli w różowo — zielone pasy, jednej z jego ulubionych. Dodaje mi klasy, uznał, z trudem schylając się, by wciągnąć spodnie ze skóry renifera. Rozmawiaj z nimi jak równy z równym, przykazał swojemu odbiciu w lustrze, gładząc pożyczkę z włosów. Jeśli za bardzo mnie przycisną, od razu pójdę do Pata Noble'a z nowojorskiego działu kadr; nie muszę czuć się za nic odpowiedzialny. Za długo jestem w związku.

— Fischer — huknął głos z drugiego pokoju. — Ubieraj się i wychodź. Mamy dla ciebie robotę. Zaczynasz od dzisiaj.

Robotę, pomyślał z mieszanymi uczuciami Max; nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy martwić. Od przeszło roku pobierał pieniądze z funduszu związku, jak większość jego przyjaciół. Co wy tam wiecie. A niech to, pomyślał, a jeśli to ciężka praca i trzeba będzie schylać się i dużo chodzić. Ogarnęła go złość. Co za parszywy układ, co oni sobie właściwie myślą? Otworzywszy drzwi, stanął na wprost nich.

— Posłuchajcie — zaczął, ale jeden ze związkowców wpadł mu w słowo.

— Pakuj się, Fischer. GUS Schatz wykorkował i teraz ty pojedziesz do Waszyngtonu i obejmiesz stanowisko; masz tam jechać, zanim zlikwidują ten urząd i trzeba będzie zastrajkować albo wytoczyć sprawę sądową. Chodzi o to, aby gładko wpakować kogoś na miejsce Schatza, rozumiesz? Przeprowadzić to tak szybko, aby nikt nic nie zauważył.

— Za ile? — chciał natychmiast wiedzieć Max.

— Nie masz tu nic do powiedzenia, zostałeś wybrany — rzucił oschle związkowiec. — Wolałbyś, aby dopływ gotówki z funduszu nagle ustał? Chcesz wyjść na ulicę i w twoim wieku rozglądać się za pracą?

— Ach, przestań — zaprotestował Max. — Mogę podnieść słuchawkę i zadzwonić do Pata Noble'a...

Związkowcy chwyтали na chybił trafił różne przedmioty.

— Pomożemy ci się spakować. Pat chce cię widzieć w Białym Domu przed dziesiątą.

— Pat! — wykrzyknął jak echo Max. Został wystawiony do wiatru.

Uśmiechając się pod nosem, związkowcy wyciągnęli z szafy walizki.

Wkrótce potem jechali kolejką przez równinę Środkowego Zachodu. Zasepiony Maximilian Fischer śledził migający za oknem krajobraz, nie rozmawiał z pilnującymi go związkowcami, chcąc sprawę najpierw gruntownie przemyśleć. Co pamiętał na temat pierwszego urzędu? Praca zaczynała się o ósmej rano — gdzieś o tym czytał. Następnie przez Biały Dom przetaczała się wataha turystów, szczególnie uczniów klas młodszych, żądnych widoku Unicefalonu 40-D... nie znosił dzieci, ponieważ zawsze nasmiewały się z jego tuszy. Rany, ciągle się będzie z nimi stykał, gdyż jako awaryjny mu-

siał przebywać na widoku. Według regulaminu nie mógł oddalić się od Unicefalonu 40-D na więcej niż sto jardów, w dzień i w nocy, a może chodziło o pięćdziesiąt jardów? Tak czy inaczej, była to poważna posada, więc gdyby homeostatyczny system rozwiązywania problemów zawiódł... Lepiej nauczę się, czego trzeba, postanowił. Przerobię telewizyjny kurs administracji rządowej, tak na wszelki wypadek.

— Słuchaj, dobry człowieku, czy ta posada daje mi jakieś uprawnienia? — zwrócił się do siedzącego po prawej stronie związkowca — To znaczy, czy mogę...

— To praca związkowa jak każda inna — odparł znużony urzędnik. Siedzisz. Czuwasz. Czy naprawdę nie pracowałeś aż tak długo, że zapomniałeś? — Roześmiał się, szturchając w bok swego towarzysza. — Posłuchaj, Fischer chce wiedzieć, jakie uzyska przywileje. — Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. — Powiem ci coś, Fischer — podjął urzędnik. — Jak już znajdziesz się w Białym Domu, dostaniesz fotel, łóżko, talon na obiad i do pralni oraz harmonogram oglądania telewizji, może byś tak zakręcił się wokół Unicefalonu 40-D, pomarudził mu do ucha, no wiesz, poskrobał go i pomarudził, aż ten wreszcie cię zauważy.

— Odczep się — mruknął Max.

— Potem — ciągnął związkowiec — powiesz mu: Hej, Unicefalonie, słuchaj no, jestem twoim kumplem. Może byśmy tak według zasady „rączka rączkę myje”, he? Ty przekażesz mi zarządzanie...

— Ale co on da tamtemu w zamian? — zapytał drugi związkowiec.

— Rozbawi go. Opowie mu historię swego życia, jak to wyszedł z nędzy i zdobył wykształcenie, oglądając telewizję siedem dni w tygodniu, aż wreszcie, proszę, proszę, przyjął posadę... — Urzędnik zachichotał. Awaryjnego prezydenta.

Czerwony jak burak Max w milczeniu utkwiał otepiałe spojrzenie w widoku za oknem.

Kiedy dotarli do Białego Domu, pokazano Maximilianowi Fischerowi nieduży pokój. Należał do Gusa Schatza i choć usunięto zeń wypłowiele czasopisma motoryzacyjne, na ścianach wciąż widniało kilka zdjęć: volvo S-122 rocznik 1963, peugeot 403 rocznik 1957 oraz inne klasyczne modele minionej ery. Na półce z książkami Max zauważył misternie rzeźbiony model dwudrzwiowego studebakera starlighta z roku 1950.

— Zrobił go tuż przed śmiercią — wyjaśnił jeden ze związkowców, stawiając na podłodze walizkę Maksa. — Wiedział na temat starych samochodów przedturbinowych dosłownie wszystko — znał każdy bezużyteczny szczegół.

Max kiwnął głową.

— Wiesz już, czym się zajmiesz? — zapytał urzędnik.

— Też — odparł Max. — Nie miałem czasu na podjęcie decyzji. Pozwólcie mi się zastanowić. — Niezadowolony podniósł z półki studebakera i obejrzał go od spodu. Ogarnęło go pragnienie, aby zniszczyć model samochodu, odłożył go pośpiesznie i odwrócił się.

— Zrób gumową kulę — poradził mu związkowiec.

— Co takiego? — zapytał Max.

— Poprzednik Gusa, Louis jak — mu — tam... zbierał taśmy gumowe i zrobił z nich kulę. W chwili jego śmierci osiągnęła rozmiary domu. Zapomniałem, jak się nazywał, ale kula jest obecnie w Smithsonian.

Na korytarzu rozległy się kroki. Recepcjonistka Białego Domu, ascetycznie ubrana kobieta w średnim wieku, wsadziła głowę do pokoju.

— Panie prezydencie, przyszedł kłown telewizyjny na wywiad. Proszę załatwić to jak najszybciej, bo mamy dziś kilka wycieczek i ktoś może zechcieć pana zobaczyć.

— Dobrze — odrzekł Max. Zwrócił się w kierunku komika. Stwierdził, że ma przed sobą Jim — Jama Briskina, który cieszył się największą popularnością. — Chciał pan się ze mną widzieć? — zapytał ostrożnie Briskina. — To znaczy, czy aby na pewno chodzi o wywiad ze mną? — Nie mógł sobie wyobrazić, co w jego osobie mogło zainteresować Briskina. Wyciągając rękę, dodał: — Oto mój pokój, ale modele i obrazki należały do Gusa. Nic na ten temat panu nie powiem.

Na głowie Briskina jaśniała znajoma czerwona peruka kłowna, nadając mu równie dziwaczny wygląd jak w telewizji. W rzeczywistości był jednak starszy, choć jego przyjazny, naturalny uśmiech, na który wszyscy zawsze czekali, nie uległ zmianie: znak rozpoznawczy miłego faceta, który mimo opanowania błyskał sarkastycznym dowcipem, gdy wymagała tego sytuacja. Briskin był człowiekiem, który... no, pomyślał Max, oto gość, którego każdy chętnie widziałby jako zięcia.

Wymienili uściski.

— Jest pan na wizji, panie Fischer — powiedział Briskin. — Czy też raczej, panie prezydencie. Mówi Jim — Jam. Dla miliardów widzów z każdej niszy i zakątka naszego ogromnego Układu Słonecznego, proszę odpowiedzieć na następujące pytanie. Jak pan godzi się ze świadomością tego, że w razie — choćby chwilowej — awarii Unicefalonu 40-D cała odpowiedzialność sprawowania urzędu rzeczywistego, nie awaryjnego prezydenta Stanów Zjednoczonych spadnie na pańskie barki? Nie spędza to panu snu z powiek? — Uśmiechnął się. Za jego plecami operatorzy manewrowali kamerami w przód i w tył; światło raziło Maksa, a temperatura sprawiła, że zaczął się obficie pocić. Pot wystąpił mu na kark i górną wargę. — Jakie emocje targają panem w tej chwili? — zapytał Briskin. — Stoi pan na progu nowego zadania, kto wie, może życiowego. Jakie myśli biegną panu przez głowę teraz, kiedy znalazł się pan w Białym Domu?

— To... wielka odpowiedzialność — odparł po chwili Max. Wówczas uświadomił sobie, że Briskin śmieje się z niego, śmieje się w kułak. Chodziło jedynie o rozweselenie publiczności, która znając poczucie humoru Jim — Jama, podchwyciła żart.

— Jest pan wielkim człowiekiem, panie Fischer — ciągnął Briskin. — Odważnym człowiekiem. Uprawia pan sport? Pytam, ponieważ nowe zadanie ograniczy nieco pańską życiową przestrzeń i zastanawiam się, jakie zmiany to spowoduje.

— Cóż — odrzekł Max. — Oczywiście zdaję sobie sprawę, że pracownik rządowy zawsze powinien znajdować się na posterunku. Tak, ma pan rację, muszę czuwać dzień i noc, ale to mi nie przeszkadza. Jestem przygotowany.

— Proszę powiedzieć — zaczął Jim Briskin. — Czy pan... — Naraz urwał. Zwracając się do jednego z techników, powiedział zmienionym głosem: — Schodzimy z wizji.

Mężczyzna w słuchawkach przecisnął się między kamerami.

— Na monitorze, posłuchaj. — Pospiesznie wręczył Briskinowi słuchawki. — Unicefalon ubiegł nas, nadaje właśnie biuletyn informacyjny.

Briskin przyłożył słuchawki do ucha.

— Mówi, że statki oddalone o osiem tysięcy jednostek astronomicznych mają wrogie zamiary — powiedział, marszcząc brwi. Gwałtownie uniósł głowę, spoglądając na techników. Czerwona peruka zsunęła mu się na jedno ucho. — Rozpoczęły atak.

Podczas następnej doby obcy nie tylko wtargnęli do Układu Słonecznego, ale i unieszkodliwili Unicefalon 40-D.

Wiadomość dotarła do Maximiliana Fischera okrężną drogą, kiedy jadł w kafeterii w Białym Domu kolację.

— Pan Maximilian Fischer?

— Taa — odparł Max, spoglądając na grupę tajnych agentów, którzy obiegli jego stół.

— Jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Nie — powiedział Max. — Jestem prezydentem awaryjnym, to zasadnicza różnica.

— Unicefalon 40-D zawiesił działanie na jakiś miesiąc — poinformował go jeden z agentów. — Według poprawionej konstytucji jest pan prezydentem oraz głównodowodzącym sił zbrojnych. Przybyliśmy tu, aby pana chronić. — Tajniak uśmiechnął się idiotycznie. Max odpowiedział mu podobnym uśmiechem. — Rozumie pan? — zapytał agent. — To znaczy, czy to do pana dotarło?

— Jasne — odrzekł Max. Teraz pojął wzmożony szmer rozmów towarzyszący mu podczas stania w kolejce do kasy. To tłumaczyło, dlaczego personel Białego Domu dziwnie mu się przyglądał. Odstawił kubek z kawą i specjalnie wolno otarł usta serwetką, udając głęboko pogrążonego w myślach. W gruncie rzeczy jednak w jego umyśle panowała przeraźliwa pustka.

— Powiedziano nam — rzekł agent — że ma pan stawić się w bunkrze Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Życzą sobie pana udziału podczas ustalania ostatecznej strategii.

Przeszli do windy.

— Polityka strategiczna — powiedział Max, kiedy zjeżdżali w dół. Mam na ten temat swoje zdanie. Według mnie pora podjąć zdecydowane kroki przeciwko statkom wroga, zgodzicie się ze mną?

Tajni agenci pokiwali głowami.

— Tak, musimy pokazać im, że wcale się nie boimy — dorzucił Max. — Pewnie, ustalimy strategię, zetrzemy łobuzów na proch.

Agenci roześmiali się dobrodusznie.

Mile podbechtany Max trącił łokciem dowódcę oddziału.

— Myślę, że jesteśmy diabło mocni, to znaczy, Stany Zjednoczone mają ostre zęby.

— Pokaż im, Max — wtrącił jeden z agentów i wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Max dołączył do reszty.

Gdy wychodzili z windy, zatrzymał ich wysoki, elegancki mężczyzna, który powiedział z naciskiem:

— Panie prezydencie, nazywam się Jonathan Kirk, jestem sekretarzem prasowym Białego Domu; zanim uda się pan na spotkanie z RBN, powinien pan w tej dramatycznej chwili przemówić do narodu. Ludzie chcą ujrzeć nowego przywódcę. — Podał mu kartkę papieru. — Oto oświadczenie przygotowane przez Komisję Doradczą, to kodyfikuje pańską...

— Bzdura. — Max nawet nie spojrział na kartkę. — To ja jestem prezydentem, nie wy. Kirk? Burke? Shirk? Nigdy o panu nie słyszałem. Dajcie mi mikrofon, a wygłoszę własne przemówienie. Albo sprowadźcie tu Pata Noble'a, może on ma jakiś pomysł. — Naraz przypomniał sobie, że to Pat wpakował go w te tarapaty. — Zresztą i on jest tu zbędny — dorzucił Max. — Dajcie mi mikrofon.

— To czas kryzysu — wycedził Kirk.

— Jasne — potwierdził Max. — Zostawcie mnie więc w spokoju, proszę nie wchodzić mi w drogę, a ja uczynię to samo. Rozumie się? — Dobrodusznie grzmotnął Kirka w plecy. — Nam obu wyjdzie to na dobre.

Pojawiła się grupa ludzi z kamerami i reflektorami, wśród nich Max dostrzegł Jim — Jama Briskina z ekipą.

— Hej, Jim — Jam — wrzasnął. — Patrz, teraz jestem prezydentem!

Jim Briskin flegmatycznie podszedł bliżej.

— Nie mam zamiaru utoczyć kuli ze sznurka — powiedział Max. — Ani budować modeli łódek, nic z tych rzeczy. — Wymienił z Briskinem przyjazny uścisk rąk.

— Dziękuję — rzekł Max. — Za twoje gratulacje.

— Moje gratulacje — odparł ściszone głosem Briskin.

— Dzięki — odrzekł Max, tak ściskając jego dłoń, że zatrzeszczały kości. — Rzecz jasna, prędzej czy później naprawią tę kupę złomu i znów będę awaryjnym. Ale...

— Potoczył po zebranych radosnym spojrzeniem, w korytarzu tłoczył się tłum ludzi, od dziennikarzy poprzez personel Białego Domu do wojskowych i tajnych agentów.

— Czeka pana wielkie zadanie, panie Fischer — stwierdził Briskin.

— Tak — przyznał Max.

Coś w oczach Briskina mówiło: Ciekawi mnie, czy da pan sobie z nim radę. Ciekawe, czy jest pan właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

— Jasne, że dam radę — powiedział do mikrofonu Max, zwracając się do licznie zgromadzonych.

— Może i tak — odparł Briskin, ale jego twarz wyrażała powątpiewanie.

— Hej, już mnie nie lubisz — uznał Max. — Jak to?

Briskin nie odpowiedział, lecz jego oczy rozblęły.

— Posłuchaj — dorzucił Max. — Jestem teraz prezydentem, mogę zamknąć tę twoją głupią stację... mogę wysłać FBI, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota. Jeśli cię to interesuje, w tej chwili zwalniam prokuratora generalnego, jakkolwiek się nazywa, i mianuję na jego miejsce osobę, której mogę zaufać.

— Rozumiem — odrzekł Briskin. Powątpiewanie na jego twarzy przeszło w pewność, której wymowy Max nie był w stanie rozgryźć. — Tak — dodał Jim Briskin. — Dysponuje pan wystarczającą władzą, aby wydać takie rozporządzenie, prawda? Skoro naprawdę jest pan prezydentem...

— Uważaj — ostrzegł go Max. — W porównaniu ze mną jesteś nikim, Briskin, nawet pomimo dużej oglądalności. — Po czym odwrócił się plecami do kamer i przez otwarte drzwi wkroczył do siedziby Rady Bezpieczeństwa.

Następnego ranka, w podziemnym bunkrze Rady Bezpieczeństwa Narodowego Maximilian Fischer sennie przysłuchiwał się płynącym z telewizora wiadomościom. Źródła wywiadu ujawniły przybycie trzydziestu kolejnych statków wroga do Układu Słonecznego. Uważano, że w sumie jest ich siedemdziesiąt. Kurs każdego z nich był pilnie śledzony.

Jednak Max wiedział, że to nie wystarczało. Prędzej czy później będzie musiał wydać rozkaz zaatakowania wrogich statków. Wahał się. Ostatecznie, kim była ich załoga? W CIA nie mieli na ten temat pojęcia. Jaką siłą dysponowały? Tutaj również brakowało informacji. Poza tym... czy atak się powiedzie?

Dawały też o sobie znać sprawy lokalne. Unicefalon ustawicznie ingerował w gospodarkę, udoskonalał ją, gdzie trzeba, obcinał podatki, obniżał raty procentowe... działania te ustały z chwilą zniszczenia mechanizmu rozwiązywania problemów. Rany, rozmyślał ponuro Max. Co ja wiem na temat bezrobocia? To znaczy, skąd mam wiedzieć, które fabryki ponownie otworzyć i gdzie?

Zwrócił się do generała Tompkinsa, przewodniczącego zrzeszenia kierowników kadrowych, który siedział obok, studiując raport na temat manewrów statków obronnych rozmieszczonych wokół Ziemi.

— Czy wszystkie statki zostały odpowiednio rozlokowane? — zapytał Tompkinsa.

— Tak, panie prezydencie — odrzekł generał Tompkins.

Max drgnął. Lecz głos generała nie brzmiał szyderczo; przeciwnie, wydawał się pełen szacunku.

— Dobrze — mruknął Max. — Miło mi to słyszeć. Chmura pocisków znajduje się na tyle wysoko, że nie ma w niej przecieków, jak wtedy gdy dopuściliście do zniszczenia Unicefalonu. Nie życzę sobie podobnych wpadek.

— Najwyższy stan gotowości bojowej — odparł generał Tompkins. W chwili obecnej, o godzinie szóstej rano obowiązuje pełna mobilizacja.

— A statki strategiczne? — Zorientował się już, że tą okrężną nazwą określano ofensywne siły uderzeniowe.

— Możemy rozpocząć atak w każdej chwili — odparł generał Tompkins, spoglądając w kierunku podłużnego stołu, skąd uzyskał potwierdzające skinienia od swoich współpracowników. — Bez trudu zajmiemy się każdym z siedemdziesięciu intruzów.

— Ktoś ma sode? — zapytał z jękiem Max. Sytuacja wprawiała go w przygnębienie. Ileż tu się trzeba napracować, pomyślał. Co za cholerny rwetes — dlaczego ci idioci nie zostawią naszego układu w spokoju? To znaczy, czy musimy angażować się w wojnę? Trudno przewidzieć, do czego ich ojczysty układ posunie się w ramach odwetu, ci obcy są nieprzewidywalni — nie można na nich polegać.

— Nie daje mi to spokoju — powiedział głośno. — Odwet. — Westchnął.

— Negocjacje z nimi nie wchodzi w rachubę — oświadczył generał Tompkins.

— No to jazda — odrzekł Max. — Pokażcie im. — Rozejrzał się za sobą.

— Uważam, że dokonał pan właściwego wyboru — pochwalił generał Tompkins, a jego cywilni doradcy przychylnie pokiwali głowami nad stołem

— Nadeszła dziwna wiadomość — powiedział do Maksa jeden z doradców. Wręczył mu depezę telegraficzną. — James Briskin wniósł przeciwko panu pozew do Sądu Federalnego w Kalifornii. Twierdzi, że w obliczu prawa nie jest pan prezydentem, gdyż nie startował pan w wyborach.

— Chodzi o to, że na mnie nie głosowano? — zapytał Max. — Tylko tyle?

— Tak jest, sir Briskin poprosił sąd o rozstrzygnięcie sprawy, tymczasem zgłosił swoją kandydaturę.

— Co?

— Briskin nie tylko twierdzi, że powinien pan wystartować w praworządnych wyborach, ale uważa również, że ma pan startować przeciwko niemu. Biorąc pod uwagę jego popularność...

— Kretyn — rzucił z rozpaczą Max. — I co o tym myślicie?

Nikt się nie odezwał.

— No cóż — powiedział Max. — Postanowione; wy, mundurowi, przystąpcie do strącania wrogich statków. Tymczasem... — Błyskawicznie podjął decyzję. — Przyciśniemy sponsorów Jim-Jama, browary Reinlander i przedsiębiorstwo elektroniczne Calbest. Wybijemy mu z głowy startowanie w wyborach.



Zgromadzeni przy stole mężczyźni pokiwali głowami. Zaszeleściły papiery, teczki powędrowały na bok; spotkanie zostało — chwilowo — zawieszono.

On nieuczciwie zdobył przewagę, stwierdził w duchu Max. Jak mam startować w wyborach, skoro nie mamy równej pozycji, on jest gwiazdą telewizji, a ja? To nie w porządku, moja w tym głowa, aby to tego nie dopuścić.

Niech Jim — Jam sobie startuje, postanowił. Nie wyjdzie mu to jednak na dobre. Nie pobije mnie, ponieważ nie dożyje tej chwili.

Na tydzień przed wyborami, Telscan, międzyplanetarny ośrodek badania opinii publicznej, ujawnił wyniki ostatnich badań. Wprawiły one Maximiliana Fischera w nastrój gorszy niż zazwyczaj.

— Tylko popatrz — powiedział do swego kuzyna Leona Laita, prawnika, którego ostatnio mianował prokuratorem generalnym. Rzucił mu raport.

Jego sytuacja była niewesoła. Wszystko wskazywało na to, że Briskin odniesie w wyborach łatwe i spektakularne zwycięstwo.

— Dlaczego tak się dzieje? — zapytał Lait. Podobnie jak Max był potężnym mężczyzną z wydatnym brzuchem, przez lata piastującym awaryjną posadę; nieprzyzwyczajony do aktywności fizycznej doświadczał obecnie niemałych trudności. Jednakże z uwagi na rodzinną lojalność zdecydował się pozostać na stanowisku. — Dlatego że trzyma w garści wszystkie stacje telewizyjne? — zapytał, popijając piwo z puszki.

— Nie, bo pępek fosforyzuje mu w ciemnościach — odgryzł się Max. — Jasne, że chodzi o stacje, ty głupku — dzień i noc kreują jego wizerunek. — Zamyślił się posępnie. — To pajac. Ta jego czerwona peruka nadaje się do telewizji, ale nie na fotel prezydencki. — Z przygnębienia głos uwiązł mu w gardle, zamilkł.

Najgorsze miało jeszcze nastąpić.

O dziewiątej wieczorem Jim — Jam Briskin rozpoczął siedemdziesięciogodzinny maraton jednocześnie na wszystkich swoich kanałach telewizyjnych w ramach ostatniej wielkiej nagonki mającej na celu zwiększenie jego popularności i zapewnienie mu zwycięstwa.

Max Fischer siedział na łóżku w swojej sypialni w Białym Domu i podjadał ze stojącej przed nim tacki, spoglądając ponurym wzrokiem w telewizor.

Ten Briskin, pomyślał ze złością po raz nie wiadomo który.

— Popatrz — rzucił do swego kuzyna; prokurator generalny siedział naprzeciw niego na fotelu. — Jest ten dureń. — Wskazał na ekran.

— Ohyda — stwierdził Leon Lait, pogryzając cheeseburgera.

— Wiesz, skąd on nadaje? Z przestrzeni kosmicznej, zza Plutona. Z najdalszego nadajnika, do którego twoje FBI nie dotrze za milion lat.

— Właśnie że dotrze — zapewnił go Leon. — Powiedziałem im, że muszą to zrobić, bo tak osobiście przykazał prezydent, mój kuzyn.

— Ale trochę to potrwa — odparł Max. — Leon, jesteś zbyt cholernie ślamazarny. Powiem ci coś. Wysłałem tam statek, „Dwight E. Eisenhower”. Jest gotów, by znieść na nich jajo, no wiesz, wielkie bum, jak tylko wydam rozkaz.

— Jasne, Max.

— Wcale się do tego nie palę — odrzekł Max.

Program nabierał tempa. Rozbłysły reflektory i na scenę powolnym krokiem weszła śliczna Peggy Jones ubrana w połyskliwą suknię z odkrytymi ramionami. Jej włosy lśniły. Teraz otrzymamy striptiz jak się patrzy, uświadomił sobie Max. W wykonaniu superlaski. Znieruchomiał i zapatrzył się na ekran. Cóż, może nie chodziło o prawdziwy striptiz, ale opozycja, Briskin i spółka, wprowadziła do swej kampanii element zmysłowości. Jego kuzyn prokurator generalny przestał przeżuwać cheeseburgera, mlaska nie ustało, ale po chwili zabrzmiało równie donośnie jak przedtem.

Tymczasem na ekranie Peggy zaśpiewała:

*Oto Jim — Jam, na którego głosuję.*

*Człęk, co go cały naród miłuje.*

*Najlepszy, jakiego znam.*

*Jim — Jamie, panuj nam!*

— O, Boże — jęknął Max. A jednak sposób, w jaki to zaśpiewała, każdy skrawek jej smukłego, długiego ciała... nie pozostawiał nic do życzenia. — Chyba wydam rozkaz „Eisenhowerowi” — powiedział, nie spuszczać wzroku z telewizora.

— Skoro tak uważasz, Max — odrzekł Leon. — Zapewniam cię, że uznam, iż działałeś zgodnie z prawem, nie zwracaj sobie tym głowy.

— Podaj mi czerwony telefon — zakomenderował Max. — To strzeżona linia do wyłącznego użytku głównodowodzącego, służąca do przekazywania ściśle tajnych rozporządzeń. Nieźle, co? — Wziął od prokuratora generalnego telefon. — Zadzwońię do generała Tompkinsa, a on przekaże rozkaz załodze statku. Współczuję, Briskin — dodał, kierując ostatnie spojrzenie na telewizor. — Sam jesteś sobie winien, nie musiałeś tego robić, po co ci było ze mną zadzierać?

Dziewczyna w srebrzystej sukience znikła i w jej miejsce pojawił się Jim — Jam Briskin. Max zawahał się.

— Witajcie, kochani towarzysze — powiedział Briskin, uciszając gestem publiczność; sztuczne oklaski — Max wiedział, że w tak odległym miejscu nie istniała żadna publiczność — ucichły, po czym wybuchły ze zdwojoną siłą. Briskin uśmiechnął się przyjaźnie, czekając na ciszę.

— Chała — mruknął Max. — Ta publiczność to chała. Są sprytni, Briskin i jego klika. Jego notowania od razu skoczyły.

— Pewnie, Max — przyznał prokurator generalny. — Od razu zauważyłem.

— Towarzysze — podjął rzeczowo Jim Briskin. — Jak wam wiadomo, początkowe stosunki pomiędzy prezydentem Maximilianem Fischerem a mną układały się bez zarzutu.

Trzymając rękę na telefonie, Max przyznał mu w duchu rację.

— U podstaw naszego konfliktu — ciągnął Briskin — tkwiła sprawa użycia siły, brutalnej, bezlitosnej siły. Dla Maksa Fischera urząd prezydenta to narzędzie, które traktuje jak przedłużenie własnych pragnień, mechanizm do zaspokajania osobistych potrzeb. W głębi serca wierzę, że jego intencje są dobre, próbuje stosować taktykę Unicefalonu. Jednakże środki to odrębna kwestia.

— Posłuchaj go, Leon — rzucił Max i pomyślał: Nieważne, co on mówi, i tak będę obstawał przy swoim, nikt mi nie przeszkodzi, ponieważ na tym polegają moje obowiązki. Gdybyś był prezydentem tak jak ja, robiłbyś to samo.

— Nawet prezydent — mówił Briskin — musi przestrzegać prawa, bez względu na władzę, jaką dysponuje, nie może naruszać ustalonych reguł. — Umilkł na chwilę, po czym rzekł z wolna: — Wiem, że w chwili obecnej FBI z rozkazu Leona Laita, protegowanego Maksa Fischera, próbuje zamknąć stacje, aby mnie uciszyć. Max Fischer ponownie wykorzystuje władzę i agencję policyjną do własnych celów, traktując je jako przedłużenie...

Max chwycił słuchawkę.

— Słucham, panie prezydencie — zabrzmiał natychmiast znajomy głos. Mówi generał Tompkins DŁ.

— A cóż to znowu? — zdumiał się Max.

— Dowódca Łączności, armia 600-1000. Z pokładu statku „Dwight D. Eisenhower”, przyjmuję rozkaz przez nadajnik na stacji Pluton.

— Ma się rozumieć — odrzekł Max, kiwając głową. — Bądźcie w gotowości, zrozumiano? Czekajcie na dalsze instrukcje. — Zasłonił słuchawkę ręką. — Leon — zwrócił się do kuzyna, który uporawszy się z cheeseburgerem, skoncentrował uwagę na koktajlu truskawkowym. — Co mam zrobić? Chodzi o to, że Briskin mówi prawdę.

— Powiedz Tompkinsowi — odparł Leon. Beknął i postukał się pięścią w klatkę piersiową. — Przepraszam.

— Istnieje możliwość, że zwracając się do was, ryzykuję życie — mówił na ekranie Jim Briskin. — Musimy spojrzeć prawdzie w oczy: mamy prezydenta, który nie zaważyłby się przed morderstwem, aby dopiąć celu. Oto taktyka polityczna tyranii i właśnie tego jesteśmy świadkami: narodzin tyranii, która zastąpi w naszym społeczeństwie racjonalne, bezinteresowne rządy Unicefalonu 40-D, homeostatycznego urządzenia do rozwiązywania wszelkich problemów, zaprojektowanego, skonstruowanego i wprowadzonego w użycie przez najwybitniejsze umysły, umysły oddane zachowaniu wszystkie-

go, co w naszej tradycji wartościowe. Przejście z tego stanu do jednoosobowej tyranii jest, delikatnie mówiąc, smutne.

— Nie jestem w stanie nic zrobić — stwierdził cicho Max.

— Dlaczego nie? — odparł Leon.

— Nie słyszałeś, co powiedział? On mówi o mnie. Ja jestem tyranem, którego dotyczy ta przemowa. Rany. — Max odwiesił czerwoną słuchawkę. — Zbyt długo zwlekałem.

— Ciężko mi to przyznać — dodał Max. — Ale... do diabła, to potwierdziłoby jego racje. — Wiem, że tak czy inaczej mówi prawdę, pomyślał Max. Lecz czy oni o tym wiedzą? Czy widzowie są tego świadomi? Nie mogę dopuścić, aby dowiedzieli się prawdy o mnie, uznał. Powinni podziwiać swego prezydenta, szanować go. Oddawać mu należne honory. Nic dziwnego, że tak fatalnie wypadłem podczas badań Telscanu. Nic dziwnego, że Jim Briskin postanowił wystartować przeciwko mnie w wyborach, gdy dowiedział się, że przejąłem władzę. Oni wiedzą, wyczuwają prawdę, wyczuwają, że Jim — Jam nie kłamie. Nie pasuję tutaj.

Nie nadaję się na prezydenta, pomyślał.

— Słuchaj, Leon — powiedział. — Pokażę temu Briskinowi, po czym ustąpię. To będzie moje ostatnie oficjalne posunięcie. — Jeszcze raz podniósł czerwoną słuchawkę. — Każę im zrobić z Briskina miazgę i niech kto inny zostaje sobie prezydentem. Kogo tylko wybiorą ludzie. Choćby Pat Noble albo ty, wszystko mi jedno. — Potrząsnął telefonem. — Hej tam, De-eŁ — powiedział głośno. — No dalej, odpowiadaj. — Zwrócił się do kuzyna: — Zostaw mi trochę koktajlu, połowa jest moja.

— Pewnie, Max — odrzekł lojalnie Leon.

— Czy nikogo tam nie ma? — rzucił do słuchawki Max. Czekał. Telefon w dalszym ciągu był głuchy. — Coś tu nie gra — powiedział do Leona. — Łączność wysiadła. To pewnie znowu ci obcy.

Wówczas jego spojrzenie padło na ekran telewizora. Obraz zniknął.

— Co się dzieje? — rzucił Max. — Co oni ze mną wyprawiają? I kto za tym stoi? — Przerażony rozejrzał się wokół. — Nic nie rozumiem.

Leon ze stoickim spokojem pił koktajl. Wzruszył ramionami na znak, że nie zna odpowiedzi, lecz jego mięsista twarz pobladła jak ściana.

— Za późno — stwierdził Max. — Z jakiegoś powodu jest już za późno. — Powoli odłożył słuchawkę. — Mam wrogów, Leon, potężniejszych niż ty i ja. I nawet nie wiem, kim oni są. — Siedział w milczeniu przed pustym ekranem telewizora. Czekał.

— Pseudoautonomiczny biuletyn informacyjny — huknęło z głośnika telewizyjnego. — Proszę wstać. — Po czym znów zapadła cisza.

Rzuciwszy przelotne spojrzenie na Eda Fineberga i Peggy, Jim Briskin zamarł w oczekiwaniu.

— Obywatele Stanów Zjednoczonych — zabrzmiał z głośnika monotony, bezbarwny głos. — Impas dobiegł końca, sytuacja wróciła do normalności. — W momencie gdy wypowiadał słowa, na ekranie pojawiła się ruchoma wstążka taśmy z nadrukiem tekstu przemowy; w Waszyngtonie Unicefalon 40-D swoim zwyczajem przerwał program telewizyjny.

Głos pochodził z syntetycznego organu werbalizującego struktury homeostatycznej.

— Kampania wyborcza zostaje odwołana — oświadczył Unicefalon 40-D. — To po pierwsze. Prezydent awaryjny Maximilian Fischer odsunięty. To po drugie. Po trzecie: toczymy wojnę z obcymi, którzy wtargnęli w nasz układ. Po czwarte: James Briskin, który do was przemawiał...

Aha, pomyślał Jim Briskin.

W słuchawkach słyszał bezosobowy głos:

— Po czwarte: James Briskin, który do was przemawiał, ma natychmiast przestać. Nakazuje się przedstawienie przez niego dokumentu zawierającego powody do dalszego prowadzenia działalności politycznej. W interesie publicznym nakłania się go do zachowania politycznego milczenia.

Szczerząc zęby do Peggy i Eda Fineberga, Briskin powiedział:

— Proszę bardzo. To koniec. Mam zamknąć się politycznie.

— Możesz walczyć o swoje prawa w sądzie — odparła natychmiast Peggy. — Możesz zgłosić sprawę do rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy, w przeszłości anulowano już decyzje Unicefalonu. — Położyła dłoń na jego ramieniu, ale mężczyzna się odsunął. — Czy w ogóle masz ochotę walczyć?

— Przynajmniej zupełnie mnie nie skreślił — skwitował Briskin. Ogarnęło go zmęczenie. — Cieszę się, że znów zaczął funkcjonować — zapewnił Peggy. — To oznacza powrót do normalności. Jesteśmy w stanie zrobić z tego użytek.

— Co masz zamiar zrobić, Jim — Jam? — zapytał Ed. — Wrócić do browaru Reinlander i Calbestu i spróbować odzyskać starą robotę?

— Nie — mruknął Briskin. Na pewno nie. Mimo to... nie potrafił zamilknąć politycznie, nie mógł wykonać polecenia maszyny. Było to biologicznie niemożliwe; prędzej czy później zacznie mówić, choćby go to miało wiele kosztować. Poza tym, przyszło mu do głowy, załóżę się, że Max również nie posłucha rozkazu... żaden z nas nie potrafi tego uczynić.

Może, pomyślał, odpowiem na jego zarzuty, podważę je... pozwę Unicefalon 40-D do sądu. Jim — Jam Briskin jako powód, Unicefalon 40-D jako pozwany. Uśmiechnął się. Potrzebny mi będzie dobry adwokat. Ktoś odrobinę lepszy niż główny umysł prawniczy Maksa Fischera, jego kuzyn Leon Lait.

Podszedł do szafy w studiu, z którego nadawali, wyjął swój płaszcz i włożył go. Czekala ich długa droga powrotna na Ziemię i chciał niezwłocznie wyruszyć.

— Czy w ogóle nie masz zamiaru powrócić w eter? — zapytała Peggy, idąc za nim.  
— Nawet nie dokończysz programu?

— Nie — odrzekł.

— Ale Unicefalon zamilknie i wtedy co zostanie? Cisza w eterze. To nie w porządku, co, Jim? Tak po prostu zabierasz się i wychodzisz... nie mogę uwierzyć, że to robisz, to do ciebie niepodobne.

Przystanął w drzwiach.

— Słyszałaś, co powiedział. Słyszałaś, jakich udzielił mi instrukcji.

— Nikt nie pozostawia ciszy w eterze — oświadczyła Peggy. — Próżnia, Jim, to zjawisko najbardziej znieawidzone przez naturę. Jeśli ty jej nie wypełnisz, uczyni to ktoś inny. Patrz, Unicefalon się wycofuje. Wskazała na ekran. Taśma z nadrukiem znikła, wolny od ruchu i światła obraz na monitorze zastygł. — Na tobie spoczywa odpowiedzialność — dodała Peggy. — Dobrze o tym wiesz.

— Wracamy na wizję? — zapytał Eda.

— Tak. Unicefalon definitywnie opuścił obwód, przynajmniej na razie. — Ed wskazał na opustoszałą scenę, na którą wciąż kierowały się obiektywy kamer i światła reflektorów. Nie powiedział nic więcej, nie musiał.

Nie zdejmując płaszcza, Jim Briskin ruszył w kierunku sceny. Z rękami w kieszeniach stanął przed kamerami i powiedział z uśmiechem:

— Myślę, kochani towarzysze, że przerwa dobiegła końca. Przynajmniej na jakiś czas. No to... jedziemy dalej.

Ciszę rozerwał grzmot oklasków kontrolowany przez Eda Fineberga i Jim Briskin podniósł ręce i uciszył wymagowaną publiczność.

— Czy ktoś z was zna dobrego adwokata? — zapytał zjadliwie Jim — Jam. — Jeżeli tak, proszę niezwłocznie zatelefonować i dać nam znać — zanim FBI nas tu znajdzie.

Tymczasem w sypialni w Białym Domu Maximilian Fischer wysłuchał do końca wiadomości Unicefalonu, po czym zwrócił się do swego kuzyna Leona:

— Cóż, chyba straciłem posadę.

— Taa, Max — bąknął Leon. — Na to wygląda.

— Ty zresztą też — dorzucił Max. — Zapowiadają się poważne czystki, można na to liczyć. Odsunięty. — Zazgrzytał zębami. — Obrażliwe określenie. Mógł przecież powiedzieć, że zmuszony do przejścia na emeryturę.

— Użył po prostu takiego wyrażenia, a nie innego — odrzekł Leon. Nie denerwuj się, Max, pamiętaj o swoim sercu. Nadal pracujesz jako awaryjny, a to najwyższe stanowisko w kraju, awaryjny prezydent. Poza tym mam problem z głową, szczęściarz z ciebie.

— Ciekawe, czy mogę skończyć ten posiłek — zastanawiał się na głos Max, skubiąc jedzenie ze stojącej przed nim tacki. Z chwilą przejścia na emeryturę jego apetyt uległ natychmiastowej poprawie, sięgnął po kanapkę z sałatką drobiową i odgryzł potężny kęs. — Jest moja — uznał z pełnymi ustami. — Wciąż tu mieszkam i się stołuję, prawda?

— Prawda — potwierdził Leon. Jego prawniczy umysł pracował na najwyższych obrotach. — Tak jest napisane w kontrakcie, który związek podpisał z Kongresem, pamiętasz? Nasz strajk nie poszedł na marne.

— To były czasy — rozmarzył się Max. Skończył kanapkę. Brak konieczności podejmowania jakichkolwiek decyzji był stanem nadzwyczaj przyjemnym. Max wydał z siebie głębokie westchnienie i ułożył się na łóżku, opierając się na poduszkach.

Naraz przysłała mu do głowy pewna myśl. W gruncie rzeczy podejmowanie decyzji nawet mnie bawiło. To znaczy było... Szukał w myślach odpowiedniego słowa. Było inne niż posada awaryjnego czy bezrobocie. Miało...

Satysfakcja, uznał. Oto, co mi dawało. Wiązało się z poczuciem osiągnięcia czegoś istotnego. Już za tym tęsknił; niespodziewanie poczuł w sobie pustkę, jak gdyby wszystko raptem stało się bezcelowe.

— Leon — powiedział. — Mógłbym być prezydentem jeszcze przez miesiąc. I wcale by mnie to nie zmartwiło. Wiesz, co mam na myśli?

— Taa, chyba rozumiem, o co ci chodzi — wymamrotał Leon.

— Właśnie że nie — odparł Max.

— Próbuje, Max — zaklinał się jego kuzyn. — Słowo honoru.

— Nie powinienem był dopuścić do naprawy Unicefalonu — stwierdził z goryczą Max. — Trzeba było odroczyć projekt, przynajmniej na pół roku.

— Za późno, aby zawracać sobie tym głowę — odrzekł Leon.

Czyżby? pomyślał Max. Wiesz, coś mogłoby się Unicefalonowi przytrafić. Jakiś wypadek.

Pogrążył się w rozmyślaniach, jedząc zielone jabłko i zagryzając je szerokim plasterem sera. Kilka znanych mu osób zgodziłoby się podjąć podobnego zadania... niekiedy to robiły.

Straszny, prawie śmiertelny wypadek, myślał. Ciemną nocą, kiedy wszyscy śpią i w Białym Domu czuwamy tylko ja i on. Spójrzmy prawdzie w oczy, obcy dali nam dobry przykład.

— Patrz, Jim — Jam powrócił na wizję — zawołał Leon, wskazując na telewizor. Rzeczywiście, na ekranie widniała znajoma czerwona peruka, a Briskin rozprawiał o czymś, co jednocześnie bawiło i przykuwało uwagę. — Słuchaj — rzucił Leon. — On żartuje sobie z FBI, wyobrażasz sobie, aby teraz ważył się na coś podobnego? On niczego się nie boi.

— Nie zawracaj mi głowy — odparł Max. — Myślę. — Wyciągnął rękę i wyłączył fonie w telewizorze.

Jego rozmyślenia wykluczały jakiegokolwiek rozproszenie uwagi.



# **CO ZROBIMY Z RAGLANDEM PARKIEM**

Oglądając telewizję w swoim majątku w pobliżu miasta imienia Johna Daya w stanie Oregon, Sebastian Hada z namysłem jadł winogrona. Dostarczone nielegalnym transportem odrzutowym owoce pochodziły z jednej z jego farm w dolinie Sonoma w Kalifornii. Słuchając jednym uchem spikera KULTURY wygłaszającego wykład na temat popiersi dwudziestowiecznych rzeźbiarzy, wypluł pestki do znajdującego się na wprost niego kominka.

Żeby tylko zdobył Jima Briskina dla swojej sieci, rozmyślał ponuro Hada. Pierwszy klown informacji w ognistej szkarłatnej peruce, o pomysłowym sposobie zapowiedzi, który zyskał mu niezmierną popularność... oto, czego potrzebuje KULTURA, uzmysłowił sobie Hada. Ale...

Ale ich kraj był rządzony przez durnego — choć na swój sposób sprawnego — prezydenta Maximiliana Fischera, który starł się z Jim-Jamem Briskinem; co więcej, wpakował go za kratki. Z tego powodu Jim — Jam był nieosiągalny zarówno dla stacji komercyjnej łączącej trzy zamieszkane planety, jak i KULTURY. Tymczasem Max Fischer panoszył się dalej.

Gdybym tylko mógł wyciągnąć Jim — Jama z więzienia, pomyślał Hada, być może z wdzięczności przeniósłby się do mojej stacji i zostawił sponsorów — browary Reinlander i Calbest Electronics; ostatecznie mimo licznych zabiegów prawniczych nie wskórali w jego sprawie. Nie ta władza, nie ta znajomość rzeczy... które mam ja.

Jedna z żon Hady, Thelma, weszła do salonu i stanęła za jego plecami, oglądając telewizję.

— Proszę, nie stój tam — powiedział Hada. — To mnie przeraża, muszę widzieć twarze ludzi. — Odwrócił się w fotelu.

— Lis wrócił — oznajmiła Thelma. — Widziałam go, patrzył na mnie. — Roześmiała się radośnie. — Wyglądał na dzikiego i niezależnego, trochę jak ty, Seb. Szkoda, że nie utrwaliałam tego na taśmie.

— Muszę uwolnić Jim — Jama Briskina — powiedział głośno Hada; już postanowił.

Podnosząc słuchawkę, wykręcił numer szefa produkcji KULTURY, Nata Kaminskiego, który przebywał na satelicie ziemskim Culone.

— Dokładnie za godzinę — oznajmił podwładnemu Hada — wszystkie nasze stacje mają domagać się uwolnienia Jim — Jama Briskina. Nie jest zdrajcą, jak utrzymuje prezydent Fischer. Tak naprawdę, jego prawa polityczne i wolność słowa zostały mu odebrane... i to nielegalnie. Rozumiesz? Pokażcie jego zdjęcia, chwalcie go... no wiesz. — Hada odłożył słuchawkę, po czym wykręcił numer swojego prawnika Arta Heaviside'a.

— Idę na dwór nakarmić zwierzęta — powiedziała Thelma.

— Idź — odrzekł Hada, zapalając abdułłę, ulubione cygaro tureckie marki brytyjskiej. — Art? — powiedział do słuchawki. — Przygotuj się do sprawy Briskina, znajdź sposób, aby go uwolnić.

— Ależ Seb, jeżeli się w to włączymy, prezydent Fischer naśle na nas całe FBI; to za duże ryzyko — zaprotestował prawnik.

— Potrzebuję Briskina — oświadczył Hada. — KULTURA stała się nieznośnie pompatyczna, wystarczy popatrzeć na ekran. Nauka i sztuka... nam potrzebna jest osobowość, dobry kłown informacyjny, jednym słowem Jim — Jam. — Statystyki Telescanu wykazywały ostatnio złowieszczy spadek oglądalności, pominął to jednak milczeniem, sprawa była tajna.

— No dobrze, Seb — odparł z westchnieniem prawnik. — Lecz Briskinowi postawiono zarzut działalności wywrotowej w czasie wojny.

— W czasie wojny? Z kim?

— Ze statkami obcych, pamiętasz? Z tymi, które wtargnęły do Układu Słonecznego w lutym. Do diabła, Seb, przecież wiesz, że mamy wojnę, przy całej swojej nonszalancji nie możesz temu zaprzeczyć, to fakt.

— Moim zdaniem — odparł Hada — ci obcy wcale nie mają wrogich zamiarów. — Ze złością trzasnęła słuchawką. To tylko sposób na utrzymanie władzy przez Maksa Fischera, dokończył w myślach. Walenie w werble. Pytam was, jaką prawdziwą szkodę ostatnio wyrządzili nam obcy? Ostatecznie Układ Słoneczny nie jest naszą własnością. Po prostu lubimy myśleć, że jest inaczej.

Tak czy inaczej, KULTURA — telewizja edukacyjna — stanowczo podupadła, w związku z czym jej właściciel, Sebastian Hada musiał podjąć zdecydowane kroki. A może i mój wigor już nie ten? — zapytał sam siebie.

Ponownie sięgając po słuchawkę, wykręcił numer swego psychoanalityka, doktora Ito Yasumiego, mieszkającego na przedmieściach Tokio. Potrzebuję pomocy, uznał w duchu. Twórca i sponsor KULTURY potrzebuje pomocy. I doktor Yasumi mi jej udzieli.

Spoglądając na niego zza biurka, doktor Yasumi powiedział:

— Hada, może pański problem wynika z posiadania ośmiu żon. To o jakieś pięć za dużo. — Gestem polecił Hadzie usiąść z powrotem na kozetce. — Spokojnie, Hada. To smutne, że wielka osobistość, pan S. Hada, daje się ponosić emocjom. Boi się pan, że FBI prezydenta Fischera załatwi pana tak, jak Jima Briskina? — Uśmiechnął się.

— Nie — odrzekł Hada. — Jestem nieustraszony. — Siedział w pozycji półleżącej z rękami pod głową, spoglądając na reprodukcję obrazu Paula Klee wiszącą na ścianie... a może to był oryginał; dobry analityk zarabiał mnóstwo pieniędzy, Yasumi żądał od niego tysiąca dolarów za pół godziny konsultacji.

— Może powinien pan przejąć władzę w śmiałym zamachu stanu, Hada — powiedział z namysłem Yasumi. — Niech pan sam zasiądzie na fotelu prezydenckim i uwolni pana Jim — Jama, wówczas przestanie to stanowić problem.

— Fischer ma za sobą siły zbrojne — stwierdził markotnie Hada. — Jest głównodowodzącym. Dzięki generałowi Tompkinsowi, który darzy go sympatią, wszyscy są absolutnie lojalni. — Już brał tę możliwość pod uwagę. — Może powinienem uciec do swojej posiadłości na Kalisto — mruknął. Była wspaniała, poza tym wpływy Fischera nie sięgały aż tak daleko; teren nie należał do Stanów Zjednoczonych, lecz do Holandii. — Zresztą nie mam najmniejszej ochoty na walkę, nie jestem wojownikiem ulicznym i awanturnikiem, lecz kulturalnym obywatelem.

— Jest pan biofizycznym organizmem reagującym na bodźce, pan żyje. Każdy osobnik obdarzony życiem dąży do przetrwania. Jeśli zajdzie taka konieczność, podejmie pan walkę, Hada.

— Muszę iść, Ito — powiedział Hada, spoglądając na zegarek. — O trzeciej mam spotkanie w Hawanie. Muszę przesłuchać nowego piosenkarza folkowego, który swoimi balladami i grą na banjo zawładnął sercami mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Nazywa się Ragland Park, może on obudzi KULTURĘ z powrotem do życia.

— Słyszałem o nim — powiedział Ito Yasumi. — Widziałem go w telewizji komercyjnej; świetny wykonawca. Pół krwi Amerykanin z południa, pół krwi Duńczyk, bardzo młody, z wielkimi czarnymi wąsiskami i niebieskimi oczami. Magnetyczny osobnik z tego Ragsa, jak go nazywają.

— Tylko czy przyspiewki folkowe rzeczywiście są takie kulturalne mruknął Hada.

— Powiem panu coś — odrzekł dr Yasumi. — W Ragsie Parku jest coś dziwnego, to widać nawet w telewizji. Nie przypomina innych ludzi.

— Pewnie dlatego wzbudza taką sensację.

— To coś więcej. — Doktor Yasumi się zastanowił. — Jak pan wie, choroba umysłowa i zdolności psioniczne są ze sobą blisko powiązane. Wielu schizofreników typu paranoidalnego jest telepatami, wychwytyują złe myśli z podświadomości otaczających ich ludzi.

— Wiem o tym — westchnął Hada, myśląc jednocześnie, że ta gładka definicja psychiatryczna kosztowała go setki dolarów.

— Niech pan uważa z Ragsem Parkiem — pouczył go doktor Yasumi.

— Zmienny z pana typ, Hada, i raptus. Najpierw pomyśl z uwolnieniem Jim — Jama Briskina — ryzyko rozniewania FBI — teraz znowu Ragland Park. Zachowuje się pan jak modystka, albo pchła. Najlepszym rozwiązaniem jest według mnie gra w otwarte karty z prezydentem Fischerem, a nie jakieś podchody, które jak widzę krążą panu po głowie.

— Podchody? — mruknął Hada. — Nie ma żadnych podchodów.

— Spośród moich pacjentów jest pan w nich największym mistrzem — wypalił bez ogródek doktor Yasumi. — Wielki spryciarz z pana. Proszę uważać, bo wyeliminuje się pan z rozgrywek. — Z powagą skinął głową.

— Będę uważał — obiecał Hada, pochłonięty myślami o Raglandzie Parku, słowa doktora Yasumiego ledwo do niego dotarły.

— Proszę o przysługę — dodał doktor Yasumi. — Gdy nadarzy się okazja, proszę pozwolić mi zbadać pana Parka, dobrze? Dla pańskiego dobra i dobra interesów. Może jego talent psioniczny jest talentem nowego rodzaju, nigdy nic nie wiadomo.

— Zgoda — odrzekł Hada. — Zadzwoń do pana. — Nie mam zamiaru jednak za to płacić, dorzucił w myślach, przeprowadzi pan badanie w swoim wolnym czasie.

Przed ustalonym przesłuchaniem balladzisty nadarzyła się okazja, by wstąpić do więzienia federalnego w Nowym Jorku, gdzie przetrzymywano Jim — Jama Briskina za działalność wywrotową w czasie wojny.

Hada nigdy nie zetknął się z nim osobiście i ogromnie zdziwiło go, że tamten wyglądał znacznie starzej niż w telewizji. Lecz być może aresztowanie i kłopoty z prezydentem Fischerem dotkliwie dały mu się we znaki. Każdemu by się dały, uznał w duchu Hada, gdy strażnik otworzył celę i pozwolił mu wejść do środka.

— Jak doszło do konfliktu z prezydentem Fischerem? — zapytał Hada.

Klown wzruszył ramionami.

— Pan uczestniczył w tym wydarzeniach w nie mniejszym stopniu niż ja — odparł. Zapaliwszy papierosa, utkwiał wzrok ponad ramieniem Hady.

Hada uświadomił sobie, że więzień nawiązuje do sprawy Unicefalonu 40-D, wielkiego komputera rozwiązującego problemy; rządził on krajem jako prezydent i głównodowodzący sił zbrojnych do czasu, gdy uszkodził go wystrzelony przez wroga statki pocisk. Wtedy władzę przejął wskazany przez związek awaryjny prezydent Max Fischer, prymityw obdarzony niezwykłym wiejskim sprytem. Gdy Unicefalon 40-D został naprawiony, nakazał Fischerowi zrzec się urzędu, a Jimowi Briskinowi zaprzestać działalności politycznej. Żaden z nich nie zastosował się do polecenia. Briskin podjął kampa-

nię na rzecz obalenia Maksa Fischera, Fischer zaś — niezbadanym do tej pory sposobem — kazał unieszkodliwić komputer i pozostał na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jego pierwszym posunięciem było zamknięcie Jim — Jama w więzieniu.

— Czy odwiedził już pana Art Heaviside, mój prawnik? — zapytał Hada.

— Nie — odparł krótko Briskin.

— Posłuchaj, przyjacielu — powiedział Hada. — Bez mojej pomocy zgnijesz w tym więzieniu, chyba że Max Fischer wcześniej wyciągnie kopyta. Tym razem nie popełni błędu, pozwalając na naprawienie Unicefalonu 40-D, komputer został trwale unieruchomiony.

— Pan natomiast żąda mojej współpracy w zamian za wyciągnięcie mnie z więzienia — odparł Briskin. Pospiesznie zaciągnął się papierosem.

— Potrzebuję cię, Jim-Jam — rzucił Hada. — Wystąpienie przeciwko żadnemu władzy tyranowi wymagało nie lada odwagi; Max Fischer stwarza ogromne niebezpieczeństwo, jeśli nie połączymy sił i nie powstrzymamy go, będzie za późno, gdyż obaj zginemy. Sam wiesz — to samo powiedziałeś w telewizji — że Fischer nie zawaha się przed zbrodnią, by dopiąć swego.

— Czy mogę przedstawić swoje życzenia dotyczące pańskiej stacji? zapytał Briskin.

— Dam ci wszystko, czego zechcesz. Użyj jej przeciwko każdemu, łącznie ze mną.

— Przyjmuję pańską propozycję, Hada... — odrzekł po chwili Briskin. — Wątpię jednak, czy prawnik nawet tej miary, co Art Heaviside zdoła mnie stąd wyciągnąć. Moją sprawą osobiście zajmuje się Leon Lait, prokurator generalny.

— Nie poddawaj się — powiedział Hada. — Miliardy widzów czekają na twoje wyjście z celi. W tej chwili wszystkie moje stacje wołają o twoje uwolnienie. Napięcie w społeczeństwie narasta. Nawet Max nie może go zlekceważyć.

— Boję się tylko, że może mi się przytrafić jakiś wypadek — oświadczył Briskin. — Podobnie jak Unicefalonowi 40-D, tydzień po tym, jak wznowił działanie. Skoro on nie mógł temu zapobiec, jakim cudem ja...

— Ty się boisz? — zapytał z niedowierzaniem Hada. — Jim — Jam, główny kłown informacyjny... nie wierzę.

Zapadła cisza.

— Powodem, dla którego moi sponsorzy, browary Reinlander i Calbest Electronics, nie byli w stanie mnie stąd wyciągnąć... — Briskin urwał — ...była narastająca presja, jakiej poddał ich prezydent Fischer. Ich prawnicy powiedzieli mi to prosto w oczy. Gdy Fischer dowie się, że ma pan zamiar mi pomóc, użyje wszystkich swoich wpływów przeciwko panu. Rzucił Kadzie bystre spojrzenie. — Ma pan dość odwagi, aby to wytrzymać? Ciekawe.

— Mam — odparł Hada. — Tak ja powiedziałem doktorowi Yasumiemu...

— Wywrze presję na pańskie żony — dodał Jim — Jam Briskin.

— Rozwiode się ze wszystkimi ośmioma — zawołał gorąco Hada.

Briskin wyciągnął rękę i uściśnił sobie dłonie.

— Umowa stoi — skwitował Jim — Jam. — Jak tylko stąd wyjdę, zacznę pracować dla KULTURY. — Na jego twarzy pojawił się blady, lecz pełen nadziei uśmiech.

— Słyszałeś kiedyś o Raglandzie Parku? — zapytał podekscytowany Hada. — O tym pieśniarzu folkowym? Dzisiaj o trzeciej podpisuję z nim umowę.

— Mamy tu telewizor i od czasu do czasu mam okazję obejrzeć jakiś numer Parka — powiedział Briskin. — Prezentuje się nieźle. Ale czy naprawdę chce go pan w KULTURZE? Trudno nazwać jego działalność edukacyjną.

— KULTURA przechodzi ciągle zmiany. Mamy zamiar nieco złagodzić naszą funkcje dydaktyczną. Od jakiegoś czasu tracimy widzów. Nie chcę oglądać upadku KULTURY. Sam pomysł...

KULTURA była skrótem Komisji Utylizacji Lekcyjnych Technik dla Urbanistycznej Reformy Akcyjnej. Główną częścią holdingów majątkowych Hady było miasto Portland w stanie Oregon, które zakupił dziesięć lat wcześniej. Nie przedstawiało wielkiej wartości materialnej, podobnie jak inne na wpół opuszczone slumsy miało dla Hady pewną wartość sentymentalną, gdyż właśnie tam się urodził.

W gruncie rzeczy miał na uwadze jeszcze jedną rzecz. Gdyby z jakichś powodów kolonie na innych planetach i księżycach musiały zostać opuszczone, gdyby osadnicy z powrotem zaczęli napływać na Ziemię, miasta ponownie by się zaludniły. A zważywszy na fakt, że statki obcych zahaczały o najbardziej oddalone planety, pomysł był mniej nieprawdopodobny, niż się początkowo wydawał. Kilka rodzin już wróciło na Ziemię...

Tak więc w istocie KULTURA wcale nie była bezinteresownie służącą ludziom agencją, jak powszechnie sądzono. W edukacyjnych programach Hady sprytnie przemycano kuszącą ideę miasta wraz z jego szerokim wachlarzem możliwości i przeciwstawiano ją rzekomemu brakowi perspektyw w koloniach. Porzućcie trudne i żmudne życie na pograniczu, nawoływała dzień i noc KULTURA. Wróćcie na własną planetę; naprawcie niszczące miasta. To wasz prawdziwy dom.

Czy Briskin był tego świadomy, zastanawiał się Hada. Czy kłown rozumiał rzeczywiste przesłanie jego organizacji?

Hada wkrótce się o tym dowie — gdy tylko wyciągnie Briskina z więzienia i posadzi go przed swoim mikrofonem.

O trzeciej Sebastian Hada spotkał się z pieśniarzem rolkowym Raglandem Parkiem w hawańskim biurze KULTURY.

— Miło mi pana poznać — powiedział nieśmiało Rags Park. Wysoki i chudy, z wielkimi wąsiskami przysłaniającymi mu niemal całe usta, machinalnie przestępował z nogi na nogę z niekłamaną sympatią w oczach.

— Gra pan na gitarze i pięciostrunowym banjo? — zapytał Hada. — Ma się rozumieć, nie naraz.

— Nie, proszę pana — wymamrotał Rags Park. — Na przemian. Mam coś dla pana zagrać?

— Gdzie pan się urodził? — zapytał Nat Kaminski. Hada przyprowadził ze sobą szefa produkcji w takich sprawach zawsze liczył się z jego zdaniem.

— W Arkansas — odrzekł Rags. — Moja rodzina hoduje świnie. — Nerwowo wydobyl z banjo kilka dźwięków. — Znam naprawdę smutną pieśń, która złamie panu serce. Nosi tytuł „Biedny Stary Hoss”. Mam ją zagrać?

— Słyszeliśmy, jak pan gra — powiedział Hada. — Wiemy, że jest pan dobry. — Usiłował wyobrazić sobie, jak ten nieśmiały młodzieniec gra w przerwach pomiędzy jednym wykładem na temat dwudziestowiecznej rzeźby a drugim. To przechodziło ludzką wyobraźnię...

— Założę się, że jest coś, czego pan o mnie nie wie, panie Hada — powiedział Rags. — Sam tworzę wiele ballad.

— Twórczy — Kaminski zwrócił się do Hady, zachowując powagę. To dobrze.

— Na przykład — ciągnął Rags — napisałem kiedyś balladę o Tomie McPhailu, który przebiegł z wiadrem wody dziesięć mil, by ugasić pożar w kołysce swojej małej córki.

— Udało mu się? — zapytał Hada.

— Pewnie. W samą porę. Tom McPhail biegł coraz szybciej z wiadrem wody. — Rags zanucił, uderzając w struny.

*Oto nadchodzi McPhail Tom*

*Wiadrem chce ugasić dom.*

*Patrzcie, jak biegnie do swoich dzieci*

*Serce mu mało z piersi nie uleci.*

Ding, ding, zatkało śpiewnie banjo.

— Śledziłem pańskie występy i nigdy nie słyszałem tego utworu — zauważył Kaminski.

— Ach — powiedział Rags. — Miałem pecha z tym utworem, panie Kaminski. Okazało się, że naprawdę istnieje niejaki Tom McPhail. Mieszka w Pocatello, w Idaho. Zaśpiewałem tę piosenkę czternastego stycznia w telewizji, on oglądał i bardzo się zdenerwował, od razu nasłał na mnie prawnika.

— Czyżby zbieżność nazwisk nie była przypadkowa? — zapytał Hada.

— Hm — odparł Rags, przestępując z nogi na nogę. — Wyglądało na to, że w jego domu w Pocatello rzeczywiście wybuchł pożar, w wyniku czego McPhail wpadł w panikę i pobiegł z wiadrem do oddalonego o dziesięć mil strumienia, zupełnie tak jak w piosence.



— I zdążył?

— O dziwo tak — powiedział Rags.

— Dla KULTURY byłoby lepiej, gdyby ten człowiek trzymał się autentycznych ballad staroangielskich, takich jak np. „Greensleeves”. Chyba tego bardziej nam trzeba — powiedział Kaminski do Hady.

Hada z namysłem zwrócił się do Ragsa.

— To prawdziwy pech wymyślić o kimś piosenkę i dowiedzieć się, że ten ktoś naprawdę istnieje... Czy to się jeszcze kiedyś zdarzyło?

— Tak — przyznał Rags. — W zeszłym tygodniu wymyśliłem balladę... o pewnej pani, która nazywała się Marsha Dobbs. Proszę posłuchać.

*Dzień cały i noc, Marsha Dobbs,  
Kocha żonatego, choć wiele w tym złego.  
Odziera Jacka Cooksa z rodzinnej miłości  
I wielce się lubuje w tej swej nierządności.*

— To pierwsza zwrotka — wyjaśnił Rags. — W sumie jest ich siedemnaście, mówią o tym, jak Marsha zaczyna pracę sekretarki w biurze Jacka Cooksa, idzie z nim na lunch, potem spotykają się wieczorem na...

— Czy na końcu jest morał? — przerwał stanowczo Kaminski.

— Jasne — odrzekł Rags. — Nie zabieraj męża bliźniemu swego, bo niebiosa pomszczą zdradzoną żonę. I proszę:

*Wirusem grypy Jacka pokarał Bóg.  
Marshę Dobbs zawał serca zwałił z nóg.  
Pani Cooks ręką losu osłonięta  
Szczęśliwym trafem została nietknięta.*

— Wystarczy, Rags. — W brzęk strun wdarł się głos Hady. Popatrzył na Kaminskiego i się skrzywił.

— Założę się, że wyszło na jaw — powiedział Kaminski — że istnieje prawdziwa Marsha Dobbs, która wdała się w romans ze swoim szefem, Jackiem Cooksem.

— Zgadza się. — Rags pokiwał głową. — Nie kontaktował się ze mną żaden prawnik, ale czytałem o tym w homeostatycznej, w „New York Timesie”. Marsha umarła na zawał serca, podczas... — Skromnie zawiesił głos. — No wiecie. Gdy kochała się z Jackiem Cooksem na jednym z motelowych satelitów.

— Wykreślił pan ten numer ze swojego repertuaru? — zapytał Nat Kaminski.

— Cóż — odparł Rags. — Nie mogę się zdecydować. Nikt nie podaje mnie do sądu... poza tym lubię tę balladę. Chyba ją zostawię.

Czyż nie to miał na myśli doktor Yasumi, pomyślał Hada. Wyczuwał w Raglandzie Parku niezwykle zdolności psioniczne... być może chodziło o siłę parapsychologiczną, dzięki której miał nieszczęście układać ballady o nie istniejących ludziach. Cóż w tym takiego niezwykłego.

Z drugiej strony jednak, pomyślał, mogło to stanowić wariant talentu telepatycznego... odrobina wysiłku mogła uczynić tę umiejętność nad wyraz cenną.

— Ile trwa ułożenie ballady? — zapytał Ragsa.

— Robię to na początku — odrzekł Rags Park. — Mogę zaraz jedną wymyślić, proszę podrzucić mi temat.

Po chwili zastanowienia Hada powiedział:

— Moja żona Thelma karmi szarego lisa, który według mnie zadusił i zjadł naszą najlepszą kaczkę.

Rags Park pomyślał chwilę i zaśpiewał:

*Pani Thelma Hada z lisem rozmawiała  
I dom mu ze starej skrzyni zbudowała.  
Sebastian Hada usłyszał kwiknięcie  
Oto ostatnie jego kaczkę westchnięcie.*

— Kaczki nie kwiczą, tylko kwaczą — zauważył krytycznie Nat Kaminski.

— To prawda — przyznał Rags. I zanucił:

*Szef produkcji Hady wszedł mi w paradę  
Bo kaczki kwaczą, na to nie ma rady.*

Kaminski uśmiechnął się.

— Dobra, Rags, jesteś górą. — Zwrócił się do Hady. — Radzę, abyś go zatrudnił.

— Pozwól, że cię o coś zapytam — powiedział do Ragsa Hada. — Czy ty uważasz, że lis zjadł moją kaczkę?

— Raju — odrzekł Rags. — Nic o tym nie wiem.

— Ale sam to wyśpiewałeś w swojej balladzie — zaznaczył Hada.

— Niech no pomyślę — odparł Rags. Jeszcze raz szarpnął struny.

*Hada wskazał na problem ważki dość,  
Moje umiejętności są nad wyraz liczne.  
Może niezwykle ze mnie gość,  
I piszę ballady przez zdolności psioniczne.*

— Skąd wiedziałeś, że mam na myśli zdolności psioniczne? — zapytał Hada.  
— Umiesz czytać w myślach, prawda? Yasumi miał rację.

— Proszę pana, ja po prostu śpiewam i gram — odrzekł Rags. — Jestem tylko artystą, tak samo jak Jim — Jam Briskin, kłown informacyjny, którego prezydent Fischer wsadził do więzienia.

— Boisz się więzienia? — zapytał prosto z mostu Hada.

— Prezydent Fischer nic przeciwko mnie nie ma — powiedział Rags.

— Nie piszę ballad politycznych.

— Gdy będziesz pracować dla mnie — odrzekł Hada — może zaczniesz je pisać. Próbuję wydostać Jim — Jama z więzienia, moje stacje dziś rozpoczynają kampanię.

— Tak, powinien wyjść na wolność — przyznał Rags, kiwając głową.

— Wykorzystanie FBI do takich celów nie było uczciwe... ci obcy wcale nie są tacy groźni.

— Ułóż balladę o Jim-Jamie Briskinie, Maksie Fischerze, obcych, całej sytuacji politycznej — podsunął Kaminski, z namysłem trąc policzek. Scal to wszystko.

— O wiele pan prosi — odparł z krzywym uśmiechem Rags.

— Spróbuj — powtórzył Kaminski. — Zobaczymy, jak dobrze ci idzie streszczanie.

— No proszę — zawołał Rags. — „Streszczanie”. Teraz wiem, że rozmawiam z KULTURĄ. Dobrze, panie Kaminski. Jak to się panu podoba? Wyrecytował:

*Mały gruby prezydent o imieniu Max  
Wykorzystał swą władzę i zamiast rzec pax,  
Zapuszkował Jima, lecz oto Hada  
Wykrzykuje głośno: tyranowi biada!*

— Masz tę robotę — powiedział Hada do pieśniarza, sięgając do kieszeni po formularz kontraktu.

— I co, uda się nam, panie Park? — zapytał Kaminski. — Jakie są pańskie rokowania?

— Wolałbym nie zabierać głosu — odrzekł Rags. — Przynajmniej nie teraz. Myślicie, że umiem też przepowiadać przyszłość? I jestem nie tylko telepatą, ale i prekogiem? — Roześmiał się. — Sądzicie, że mam wiele talentów, to mi pochwlebia. — Skłonił się ironicznie.

— Zakładam, że pańska chęć przyłączenia się do nas i zostania pracownikiem KULTURY oznacza przekonanie, że prezydent Fischer nie stanie nam na drodze? — rzucił Hada.

— Och, możemy wylądować w więzieniu tak jak Jim — Jam — mruknął Rags. — Wcale bym się nie zdziwił. — Usiadł z banjo w ręku i przygotował się do podpisywania kontraktu.

Prezydent Max Fischer siedział w swojej sypialni w Białym Domu i od godziny słuchał wałkowanych przez KULTURĘ komunikatów. Jim Briskin musi zostać uwolniony, mówił głos; był to gładki, profesjonalny głos spikera, lecz Max wiedział, że krył się za nim Sebastian Hada.

— Prokuratorze generalny — powiedział do swojego kuzyna, Leona Laita. — Przynieś mi dossier wszystkich siedmiu czy ośmiu żon Hady. Chyba muszę uciec się do drastycznych środków.

Gdy później tego samego dnia położono przed nim akta, przystąpił do lektury, żując ze zmarszczonymi brwiami cygaro El Producto i bezgłośnie poruszając ustami podczas zgłębiania skomplikowanych tekstów.

Rany, niektóre z tych babek to wariatki, uznał. Powinny zostać poddane psychoterapii chemicznej, aby wyrównać metabolizm mózgu. Nie krył jednak zadowolenia — przecucie, że mężczyzna pokroju Sebastiana Hady musi wzbudzać zainteresowanie rozchwianych emocjonalnie kobiet, nie zawiodło go.

Czwarta żona Hady wzbudziła szczególne zainteresowanie Maksa. Trzydziestojednoletnia Zoe Martin Hada mieszkała na Io wraz ze swoim dziesięcioletnim synem.

Zoe Hada wykazywała zdecydowane zaburzenia psychiczne.

— Prokuratorze generalny — powiedział do kuzyna. — Ta kobieta żyje z zasiłku wypłacanego przez Amerykański Departament Zdrowia Psychicznego. Hada nie płaci na jej utrzymanie ani centa. Sprowadź ją tu, do Białego Domu, rozumiesz? Mam dla niej zadanie.

Następnego ranka Zoe Hada została przyprowadzona do jego biura.

Między dwoma agentami FBI stała chuda, niebrzydka kobieta o dzikim, pełnym tanej złości spojrzeniu.

— Witam, pani Hada — powiedział Max. — Coś o pani wiem, jest pani jedyną prawdziwą panią Hada, reszta to oszustki, prawda? Sebastian nieźle pani nabruździł. — Odczekał chwilę i ujrzał, jak zmienia się wyraz twarzy kobiety.

— Tak — odrzekła Zoe. — Przez sześć lat usiłowałam w sądach dowieść tego, o czym pan wspominał. Trudno mi w to uwierzyć, naprawdę chce mi pan pomóc?

— Jasne — odparł Max. — Warunki jednak narzucam ja, to znaczy, jeśli pani czeka, aż ten skunks Hada zmieni się, traci pani czas. Jedyne, co może pani zrobić... — zawiesił głos — ...to wyrównać rachunki.

Na jej twarz powrócił wyraz nienawiści. Stopniowo zrozumiała, co miał na myśli.

— Przeprowadziłem badanie, Hada — zakomunikował z marsmem na czole doktor Yasumi. Odłożył na bok stos swoich kart. — Rags Park nie jest ani telepatą, ani prekogiem; nie potrafi czytać w myślach ani nie zna przyszłości. Wciąż jednak wyczuwam w nim zdolności psioniczne, Hada, choć nie mam pojęcia, jak je określić.

Hada wysłuchał go w milczeniu. Rags Park wszedł do pokoju z gitarą na ramieniu. Fakt, że doktor Yasumi nie umiał go rozgryźć, najwyraźniej go bawił; wyszczerzył zęby i usiadł.

— Ależ ze mnie zagadka — powiedział do Hady. — Zatrudniając mnie, albo otrzymał pan zbyt wiele, albo nie dość dużo... co do tego, jaka możliwość w rachubie, ani pan nie jest pewien, ani doktor Yasumi, ani nawet ja.

— Chcę, abyś niezwłocznie zaczął pracę w KULTURZE — odrzekł niecierpliwie Hada. — Układaj i śpiewaj ballady folkowe opisujące niesprawiedliwe uwięzienie Jim — Jama Briskina przez Leona Laita i jego FBI. Przedstaw Laita jako potwora, a Fischera jako zachłannego, podstępnego cymbała. Zrozumiano?

— Pewnie — odpowiedział Rags Park, kiwając głową. — Trzeba by wzburzyć opinię publiczną. Wiedziałem o tym, podpisując kontrakt, moja twórczość przestała służyć rozrywce.

— Niech pan posłucha — powiedział do Ragsa doktor Yasumi. — Proszę napisać balladę o tym, jak Jim — Jam Briskin wychodzi z więzienia.

Hada i Rags Park popatrzyli na niego jednocześnie.

— Nie o tym, co jest — wyjaśnił doktor Yasumi. — Ale o tym, co chcielibyśmy, aby się stało.

Park wzruszył ramionami.

— Dobrze.

Drzwi do biura Hady otworzyły się z hukiem i Dieter Saxton, szef ochrony budynku, w podnieceniu zajrzał do środka.

— Panie Hada, właśnie zastrzeliliśmy kobietę, która próbowała wedrzeć się do domu z bombą domowej roboty. Ma pan chwilę, aby ją zidentyfikować? Według mnie jest to — czy też była — jedna z pańskich żon.

— Boże miłosierny — zawołał Hada i pobiegł za Saxtonem.

Na korytarzu, tuż obok wejścia leżała znana mu kobieta. Zoe, pomyślał. Przyklęknął i dotknął jej.

— Przykro mi — wymamrotał Saxton. — Musieliśmy to zrobić.

— W porządku — odparł. — Skoro tak twierdzisz, wierzę ci. — Ufał Saxtonowi, zresztą nie miał innego wyjścia.

— Myślę, że od tej chwili któryś z nas powinien nieustannie panu towarzyszyć. Nie tylko poza biurem — rzucił Saxton.

— Ciekawe, czy przysłał ją Max Fischer — powiedział Hada.

— Niewykluczone — odparł Saxton. — Poszedłbym o zakład.

— I to wszystko dlatego, że staram się o uwolnienie Jim — Jama Briskina. — Hada był do głębi wstrząśnięty. — To niesamowite. — Chwiejnie podniósł się z klęczek.

— Niech pan mi pozwoli zająć się Fischerem — rzucił nagle ściszym głosem Saxton. — Dla własnej ochrony. On nie ma żadnego prawa do prezydentury, naszym jedynym pełnoprawnym prezydentem jest Unicefalon 40-D i wszyscy wiemy, że to Fischer doprowadził do jego uszkodzenia.

— Nie — odparł Hada. — Nie jestem za morderstwem.

— Nie chodzi o morderstwo — zaprotestował Saxton — lecz o opiekę nad panem, pańskimi żonami i dziećmi.

— Możliwe — odrzekł Hada. — Tak czy inaczej, nie mogę na to pozwolić. Przynajmniej jeszcze nie teraz. — Zostawiwszy Saxtona, powlókł się z powrotem do gabinetu, gdzie czekali na niego doktor Yasumi i Rags Park.

— Wszystko słyszeliśmy — powiedział doktor Yasumi. — Niech pan się weźmie w garść, Hada. Ta kobieta była paranoidalną schizofreniczką cierpiącą na manię prześladowczą, nie trzeba psychoterapii, aby stwierdzić, że tego rodzaju śmierć była jej pisana. Proszę nie winić ani siebie, ani pana Saxtona.

— A ja kiedyś ją kochałem — odrzekł Hada.

Rags Park wydobył z gitary płaczliwe dźwięki i zanucił coś niewyraźnie pod nosem. Pewnie ćwiczył balladę poświęconą ucieczce z więzienia.

— Niech pan zastosuje się do rady pana Saxtona — powiedział doktor Yasumi. — Proszę pozostawać pod ścisłą ochroną. — Poklepał Hadę po ramieniu.

— Panie Hada, chyba mam już tę balladę — odezwał się Rags. — Na temat...

— Nie chcę tego słuchać — odparł szorstko Hada. — Nie teraz. — Chciał, żeby zostawili go samego.

Może powinienem odpowiedzieć ciosem za cios, pomyślał. Doktor Yasumi tak twierdzi, Dieter Saxton tak samo. Ciekawe, co na to Jim — Jam. Bystry z niego facet... już on coś by poradził. Tylko nie morderstwo. Jestem pewien, że tak brzmiałaby jego odpowiedź, znam go.

Jeśli on mi je odradzi, posłucham go.

Doktor Yasumi instruował Ragsa Parka.

— Poproszę balladę o wazonie gladioli stojącym nad półką z książkami. Niech pan opowie o tym, jak prosto stoi i jak wypływają z niego kwiaty, dobrze?

— A co to za ballada? — zapytał Rags. — Wyznaczono mi zakres materiału, słyszał pan zdanie pana Hady.

— To dalszy ciąg moich testów — wymamrotał z pretensją doktor Yasumi.

— I co, nie dopadliśmy go — powiedział z niesmakiem Max do swojego kuzyna, prokuratora generalnego.

— Nie, Max — przyznał mu rację Leon Lait. — Zatrudnia dobrych ludzi, to nie jednostka, jak Briskin, za nim stoi cała korporacja.

— Kiedyś czytałem, że jeśli troje ludzi prowadzi rywalizację, koniec końców dwoje łączy siły i kieruje je przeciwko temu trzeciemu — oznajmił nadąsany Max. — To nieuniknione. Tak właśnie się stało, Hada i Briskin to sprzymierzeńcy, ja zaś jestem sam. Trzeba ich rozdzielić, Leon, i obrócić przeciwko sobie. Kiedyś Briskin mnie lubił. Tyle że nie pochwalał moich metod.

— Poczekaj tylko, aż usłyszysz o tym, że Zoe Hada próbowała zabić swego męża — odrzekł Leon. — Wtedy dopiero zobaczysz, co sobie pomyśli o twoich metodach.

— Uważasz, że nie sposób go teraz przeciągnąć na naszą stronę?

— Pewnie, że nie, Max. W tej chwili z nim się już na pewno nie dogadasz. Zapomnij o zdobyciu jego poparcia.

— Mimo to mam pewien pomysł — powiedział Max. — Trudno dokładnie określić, czego dotyczy, ale wiąże się z uwolnieniem Jim — Jama Briskin opuszcza więzienie. Chce pan posłuchać?

— Chyba postradałeś zmysły — odparł Leon. — Co ci strzeliło do głowy? To zupełnie do ciebie niepodobne.

— Sam nie wiem — jęknął Max. — Ot tak.

— Cóż, chyba mam tę balladę, panie Hada — powiedział do Sebastiana Rags. — Tak jak radził doktor Yasumi. Opowiada o tym, jak Jim — Jam Briskin opuszcza więzienie. Chce pan posłuchać?

Hada bez entuzjazmu skinął głową.

— Śpiewaj. — Ostatecznie płacił pieśniarzowi, coś mu się za te pieniądze należało.

Rags szarpnął struny i zanucił:

*Jim-Jam Briskin gnije w więzieniu.*

*Nie ma co marzyć o swym ocaleniu.*

*To wina Fischera! To wina Fischera!*

— Przyjmijmy, że „To wina Fischera!” jest refrenem, dobrze? — powiedział Rags.

— Dobrze — pokiwał głową Hada.

*Przyszedł Pan i przyznał się do błędu*

*Na myśl o Jim-Jamie był bliski obłędu.*

*To wina Fischera, rzekł Pan rozżalony,*

*A biedny Jim Briskin swych praw pozbawiony.*

*Tego niegodziwca niech pochłonie piekło,*

*Jużem postanowił, już słowo się rzekło.*

*Podły Maksie Fischer, ty żałuj swych wad,*

*A Jim-Jam Briskin niech wyjdzie z za krat.*

— A teraz o tym, co się stanie — wyjaśnił Hadzie Rags. Odchrząknął.

*Zły Max Fischer ujrzał poświatę  
I mówi do Laita, otwórzmy tę kratę.  
Wysłał wiadomość, by spadły okowy,  
A z ramion Jim — Jama ciężar syzyfowy.  
Stary Jim Briskin widzi koniec udręki,  
Drzwi celi otwarte, światło wpada do wnęki.*

— To wszystko — oznajmił Rags. — To rodzaj krzyczanej pieśni folkowej, do której przytupuje się nogą. Podoba się panu?

Hada z wysiłkiem skinął głową.

— Ach, jasne. Może być.

— Czy pan przekazać panu Kaminski, że chce pan ją nadać przez KULTURĘ?

— Nadawaj — odparł Hada. Było mu wszystko jedno, śmierć Zoe wytrąciła go z równowagi — czuł się za nią bezpośrednio odpowiedzialny, gdyż kobieta zginęła z rąk jego ochroniarzy. Fakt, że chora psychicznie Zoe targnęła się na jego życie, nie miał znaczenia. Nie żył człowiek; Hada czuł się winny morderstwa. — Posłuchaj — zwrócił się niespodziewanie do Ragsa. — Chcę, żebyś zaraz ułożył mi kolejną balladę.

— Wiem, panie Hada — powiedział ze współczuciem Rags. — Balladę o smutnej śmierci pańskiej byłej żony, Zoe. Myślałem o tym i ballada jest już gotowa. Proszę posłuchać:

*Żyła kiedyś dama, mądra, urodziwa,  
Teraz zaś jej dusza pod gwiazdami pływa.  
Smutna, lecz pełna przebaczenia  
Dla tego, kto winien jej unicestwienia.  
To obcy był, a nie brat  
Wstrętny Max Fischer, stary dziad...*

— Tylko mnie nie usprawiedliwiał, Rags — przerwał mu Hada, — Wina spoczywa na mnie. Nie zwalaj wszystkiego na Maksa, nie jest chłopcem do bicia.

Głos zabrał siedzący cicho w kącie doktor Yasumi.

— Przedstawia pan prezydenta Fischera w zbyt pozytywnym świetle, Rags. Odnotowuje pan radykalną zmianę jego nastawienia. Tak nie można. Pochwała za uwolnienie Jim-Jama należy się Hadzie. Niech pan posłucha, Rags, ułożyłem z tej okazji wiersz.

Doktor Yasumi wyrecytował:



*Już kłown opuścił więzienie.  
Sebastian Hada go wyzwolił.  
Kocha przyjaciela. On wie,  
Kogo szanować i wielbić.*

— Dawne japońskie haiku nie musi się rymować tak jak wiersz amerykański czy angielski, choć i tak zmierza do sedna, które tu jest najistotniejsze. — Zwrócił się do Ragsa. — Proszę przekształcić moje haiku w balladę, dobrze? Na swój sposób, ze wszystkimi rymami, zwrotkami itp., itd.

— Jestem artystą twórczym — mruknął Rags — nie przywykłem, aby ktoś mi mówił, o czym mam pisać. — Popatrzył na Hada. — Dla kogo ja właściwie pracuję, dla niego czy dla pana? O ile mi wiadomo, to nie dla niego.

— Rób, co mówi — polecił Ragsowi Hada. — To uczony człowiek.

— W porządku, ale nie tego oczekiwałem, podpisując kontrakt — mruknął ponuro Rags. Wycofał się w odległy róg pokoju, by tam komponować dalsze dzieła.

— Do czego pan zmierza, doktorze? — zapytał Hada.

— Zobaczymy — odparł tajemniczo doktor Yasumi. — Chodzi o teorię zdolności psychicznych tego barda. Może coś z tego będzie, a może nie.

— Myśli pan, że dobór słów w balladach Ragsa odgrywa tu istotną rolę — zauważył Hada.

— Tak jest — przyznał doktor Yasumi. — Tak jak w dokumencie prawnym. Niech pan poczeka, Hada, jeśli mam rację, sam się pan przekona. Jeśli się mylę, to i tak nie ma znaczenia. — Uśmiechnął się zachęcająco.

Zadzwonił telefon w gabinecie prezydenta Maksa Fischera. Chciał z nim rozmawiać zaafierowany prokurator generalny.

— Max, pojechałem do więzienia federalnego, gdzie znajduje się Jim — Jam, aby zgodnie z twoim planem wycofać skierowane przeciw niemu zarzuty... — Leon zawahał się. — On zniknął, Max. Nie ma go tam. — Zdenerwowanie Leona sięgnęło zenitu.

— Niby jakim cudem się wydostał? — zapytał Max, bardziej zdumiony niż rozgniewany.

— Art Heaviside, prawnik Hady, znalazł sposób; jeszcze nie wiem, jaki... muszę zobaczyć się z sędzią sądu okręgowego Dale'em Winthropem, mniej więcej godzinę temu podpisał dokument zwolnienia. Mam spotkanie z Winthropem... jak tylko z nim porozmawiam, dam ci znać.

— A niech mnie diabli — powiedział z wolna Max. — Cóż, spóźniliśmy się. — Z namysłem odłożył słuchawkę. Co ten Hada knuje? — pomyślał. Coś, czego nie jestem w stanie pojąć.

Tylko patrzeć, jak Jim Briskin pojawi się w telewizji, uświadomił sobie. W sieci KULTURA.

Włączywszy telewizor, z ulgą odnotował, że zamiast Briskina na ekranie przygrywał na banjo jakiś balladzista.

Naraz stwierdził, że piosenkarz śpiewa o nim.

*Zły Max Fischer ujrzał poświatę  
I mówi do Laita, otwórzmy tę kratę.  
Wysłał wiadomość, by spadły okowy...*

— Boże, przecież to właśnie się wydarzyło! — wykrzyknął Max Fischer. — Zrobiłem to! — Ki diabeł, pomyślał. Co to ma znaczyć, że jakiś pieśniarz wyśpiewuje o tym, co miało być tajemnicą!

Może to telepatia, przyszło mu do głowy. Pewnie tak.

Piosenkarz przeszedł do opowieści o Sebastianie Kadzie, osobiście odpowiedzialnym za uwolnienie Jim — Jama Briskina. I to prawda, pomyślał Max. Gdy Leon Lait dotarł do więzienia, Briskina już tam nie było... muszę lepiej wsłuchać się w słowa piosenki, bo ten piosenkarz zdaje się wiedzieć więcej niż ja.

Ballada jednak dobiegła końca.

— Usłyszeliśmy krótki przerywnik w postaci ballady zaśpiewanej przez światowej sławy Raglanda Parka — powiedział spiker. — Z przyjemnością państwa informuję, że pan Park co godzinę będzie prezentował nam nowe ballady skomponowane z tej okazji dla stacji KULTURA. Pan Park będzie śledził depesze i układał ballady według...

Max wyłączył telewizor.

To ci dopiero pieśniarz, pomyślał. Nowe ballady. Boże, pomyślał ze zgrozą. A jeśli zaśpiewa o naprawieniu Unicefalonu 40-D?

Mam przecucie, że to, o czym śpiewa Ragland Park, ziszcza się. To jeden z talentów psionicznych.

Przeciwnicy zaś robią z tego użytek.

Z drugiej strony jednak, pomyślał, sam mogę mieć taki talent. Gdybym nie miał, nie zaszedłbym tak daleko.

Usiadł przed telewizorem, włączył go ponownie i gryząc dolną wargę, pogrążył się w oczekiwaniu. Nie miał pojęcia, co dalej robić. Prędzej czy później jednak znajdzie sposób, obiecał sobie w myślach. Nastąpi to wcześniej, niż przyjdzie im do głowy naprawić Unicefalon 40-D...

— Odkryłem, na czym polega talent psioniczny Raglanda Parka, Hada — powiedział doktor Yasumi. — Chce pan wiedzieć?

— Bardziej interesuje mnie fakt, że Jim — Jam jest na wolności — odparł Hada. Nie wierząc własnym uszom, odłożył słuchawkę telefonu. — Zaraz tu będzie — poinformował doktora Yasumiego. — Jedzie kolejką prosto tutaj. Dopilnujemy, aby trafił na Kalisto, gdzie nie sięga jurysdykcja Maksa, dzięki czemu uniemożliwimy ponowne aresztowanie. — Jego umysł kipiał od pomysłów. Zacierając ręce, oznajmił pośpiesznie: — Będzie nadawał stamtąd. Może mieszkać w mojej posiadłości, niczego mu tam nie zabraknie... wiem, że się zgodzi.

— Wyszedł na wolność dzięki talentowi psionicznemu Raglanda Parka — oświadczył oschle doktor Yasumi. — Niech więc pan lepiej posłucha. — Nawet Rags tego nie rozumie, więc przysięgam na Boga, że w każdej chwili los może się na pana zemścić.

— Dobrze, proszę przedstawić mi swoją opinię — odrzekł z ociąganiem Hada.

— Związek pomiędzy układanymi przez Ragsa balladami a rzeczywistością ma charakter przyczynowo — skutkowy. Opisywane przez niego wydarzenia naprawdę się zdarzają. Ballada tylko trochę je wyprzedza. Rozumie pan? Gdy Rags zda sobie z tego sprawę, może zechcieć wykorzystać ją dla własnych celów, co mogłoby okazać się fatalne w skutkach.

— To prawda — przyznał Hada. — Niech wobec tego skomponuje balladę o naprawieniu Unicefalonu 40-D. — Od razu wydało mu się oczywiste, że Max Fischer ponownie stanie się prezydentem awaryjnym, jak kiedyś. Pozbawionym jakiegokolwiek władzy.

— Tak jest — odrzekł doktor Yasumi. — Problem jednak w tym, że układając ballady polityczne, Rags również może dociec prawdy. Gdy ułoży balladę o Unicefalonie, po której okaże się, że...

— Ma pan rację — powiedział Hada. — Nawet dla Parka będzie to jasne. — Zamyślił się. Ragland Park potencjalnie mógł okazać się groźniejszy niż Max Fischer. Z drugiej strony stanowił ich główny atut; nie było powodu, dla którego mogli przypuszczać, że zrobi ze swej władzy niewłaściwy użytek, co zdarzyło się w przypadku Maksa Fischera.

Niemniej jednak dysponował ogromnymi możliwościami... które przerastały jednego człowieka.

— Należy uważać, jakie ballady pisze — podsunął doktor Yasumi. Trzeba z góry zadawać temat. Najlepiej niech pan to robi.

— Chciałbym jak najmniej... — zaczął Hada i urwał. Rozległ się sygnał z recepcji, włączył interkom.

— Przyjechał pan James Briskin.

— Proszę go zaraz wpuścić — polecił uradowany Hada. — Już tu jest, panie Ito. — Hada otworzył drzwi gabinetu i ujrzał stojącego za nimi z poważną miną Jim-Jama.

— To pan Hada przyczynił się do pańskiego uwolnienia — poinformował go doktor Yasumi.

— Wiem. Doceniam to, Hada. — Briskin wszedł do gabinetu i Hada natychmiast zamknął drzwi na klucz.

— Niech pan posłucha, Jim — Jam — zaczął bez ogródek Hada — mamy większe problemy niż kiedykolwiek. Max Fischer to betka. Musimy zmierzyć się z ostateczną formą władzy, formą raczej absolutną niż względną. Żałuję, że w ogóle się w to angażowałem; kto wpadł na pomysł, aby zatrudnić Ragsa Parka?

— Pan, Hada, cały czas pana ostrzegałem — odrzekł doktor Yasumi.

— Lepiej powiem Ragsowi, aby nie układał więcej ballad — postanowił Hada. — To pierwsze posunięcie. Zadzwoń do studia. Boże, a gdyby tak ułożył balladę o tym, jak spadamy na dno Atlantyku albo lecimy w kosmos.

— Tylko bez paniki — powiedział stanowczo doktor Yasumi. — Poddaje się pan panice, Hada. Jak zawsze w gorącej wodzie kąpany. Niech pan najpierw myśli, a potem działa.

— Jak mam się uspokoić, skoro ten wieśniak może nami manewrować jak zabawkami? — zapytał Hada. — Przecież on mógłby zawładnąć całym wszechświatem.

— Niekoniecznie — zaproponował doktor Yasumi. — Mogą istnieć pewne granice. Zdolności psi nie zostały jeszcze w pełni zbadane. Trudno przetestować je w warunkach laboratoryjnych, trudno poddać starannym oględzinom. — Zamyślił się.

— O ile dobrze rozumiem... — zaczął Jim Briskin.

— Uwolniono pana dzięki balladzie — poinformował go Hada. — Ułożonej na moje polecenie. Podziałało, tyle że teraz nie wiemy, co począć z jej twórcą. — Zaczął krążyć po gabinecie z rękami w kieszeniach.

Co zrobimy z Raglandem Parkiem? — zastanawiał się desperacko.

W głównym studiu KULTURY na satelicie ziemskim Culone, Ragland Park siedział ze swoim banjo i gitarą i studiował napływające depesze w poszukiwaniu tematu na następną balladę.

Zauważył, że Jim — Jam Briskin został zwolniony z więzienia nakazem sędziego federalnego. Z zadowoleniem rozważył pomysł napisania o tym kolejnej ballady, po czym przypomniał sobie, że już stworzył — i zaśpiewał — kilka na ten temat. Potrzebował zupełnie nowego tematu. Ten zajeżdżał już na śmierć.

Z głośnika huknął głos Nata Kaminskiego:

— Gotowy do następnego wejścia, panie Park?

— Jasne — odrzekł Park, kiwając głową. Tak naprawdę wcale nie był gotowy, ale potrzebował zaledwie dwóch minut.

A gdyby tak ułożyć balladę o człowieku nazwiskiem Pete Robinson z Chicago w stanie Illinois, którego spaniel został zaatakowany na ulicy przez rozdrażnionego orła?

Nie, niezbyt to polityczne, uznał.

A może coś na temat końca świata? O komecie celującej w Ziemię albo ataku obcych... przerażający kawałek o ludziach ciętych na pół przez śmiertcionośne promienie?

Nie, KULTURA wymagała czegoś wyższych lotów.

Cóż, wobec tego może coś o FBI. Nigdy nic na ten temat nie pisałem, ludzie Leona Laita w szarych garniturach i o grubych czerwonych karkach... absolwenci college'u z teczkami...

Uderzył w struny gitary i zaśpiewał:

*Szef wydziału mówi, to granda!  
Sprowadźcie tu Parka Raglanda.  
Oto groźba dla posłuszeństwa,  
Jego występki to bezceństwa.*

Ragland zachichotał i zastanowił się nad ciągiem dalszym. Ballada o sobie samym; ciekawe... skąd mu to przyszło do głowy?

Był tak pochłonięty tworzeniem ballady, że nie zauważył trzech mężczyzn w szarych garniturach i o grubych czerwonych karkach, którzy weszli do studia i zbliżali się do niego, zaciskając dłonie na teczkach w sposób niepozostawiający wątpliwości co do tego, że byli absolwentami college'u i nawykli do ich noszenia.

To dopiero świetna ballada, pomyślał Ragland. Najlepsza w całej mojej karierze. I podjął pieśń:

*Oni się podle w ciemności skryli,  
Bogu ducha winnego Parka zastrzelili.  
Trąby wolności podniosły wrzawę;  
Biedny człeczyna umarł za sprawę.  
I tak się stało: choć zbrodnia parszywa  
Niechaj jej mrok niepamięci nie skrywa.*

Na tym zakończył swoją balladę. Dowódca oddziału FBI opuścił dymiący pistolet i skinął na swoich towarzyszy.

— Poinformuj pana Laita, że wykonaliśmy misję — powiedział do umieszczonego na nadgarstku nadajnika.

— Dobrze — odrzekł metaliczny głos. — Natychmiast wracajcie do kwatery. To jego rozkaz.

Chodziło oczywiście o Maximiliana Fischera. Funkcjonariusze wiedzieli, kto zlecił im to zadanie.

Na wieść o śmierci Raglanda Parka, Maximilian Fischer wydał z siebie westchnienie ulgi. Mało brakowało, pomyślał. Ten osobnik mógł wykończyć mnie z krete sem — I wszystkich ludzi we wszechświecie.

Zdumiewające, że udało się go dopaść. Los nam sprzyjał. Jak to się mogło stać?

Czyżby dał o sobie znać jeden z moich psionicznych talentów, pomyślał z zadowoleniem.

Może chodzi o jakiś szczególny talent nakłaniający folkowych pieśniarzy do komponowania ballad na temat ich własnej zagłady...

Najważniejszy problem pozostaje. Trzeba wsadzić Jima Briskina z powrotem do więzienia. To nie będzie łatwe; Hada pewnie skrzętnie przetransportował go w jakieś odległe miejsce, gdzie moja władza nie sięga. Długo potrwa walka z tymi dwoma... kto wie, może to oni dopną swego.

Westchnął. Czeka mnie dużo pracy, pomyślał. Chyba jednak muszę stawić temu czoło. Podniósłszy słuchawkę, wykręcił numer Leona Laita...

**BLOBLEM BYĆ**

Włożył platynową dwudziestodolarówkę do szczeliny i psychoanalityk po chwili obudził się do życia. Oczy rozbłysły mu przyjaźnie i zakręciwszy się na krześle, sięgnął po pióro i notes o podłużnych żółtych kartkach.

— Witam pana — powiedział. — Proszę zaczynać.

— Witam, doktorze Jones. Mniemam, iż nie jest pan tym samym doktorem Jonesem, który napisał biografię Freuda; to się zdarzyło sto lat temu. — Zaśmiał się nerwowo; jako człowiek mniej niż średnio zamożny nie nawykł do obcowania z nowymi psychoanalitykami homeostatycznymi. — Hm — dorzucił. — Czy mam kontynuować, czy też przedstawić panu wcześniejszy materiał?

— Może mógłby pan zacząć od przedstawienia się i odpowiedzi na pytanie warum mich — dlaczego wybrał pan mnie.

— Nazywam się George Munster, przejście 4, budynek WEF-395 na osiedlu San Francisco założonym w 1996 roku.

— Miło pana poznać, panie Munster. — Doktor Jones wyciągnął rękę i George Munster ją uścisnął. Stwierdził, że dłoń miała przyjemną temperaturę ciała i była raczej miękka. Uścisk natomiast był zdecydowanie męski.

— Widzi pan — podjął Munster — jestem byłym żołnierzem, weteranem wojennym. Dlatego otrzymałem mieszkanie w WEF-395, weterani mieli pierwszeństwo.

— Ach, tak — odrzekł doktor Jones, odmierzając czas cichym tykaniem. — Wojna z Bloblami.

— Walczyłem w niej trzy lata — dorzucił Munster, nerwowo przyglądając długie, czarne, rzadzące włosy. — Nienawidziłem Blobli i zgłosiłem się na ochotnika, miałem zaledwie dziewiętnaście lat i dobrą pracę lecz kruczata mająca na celu oczyszczenie Układu Słonecznego wydawała mi się najważniejsza.

— Hm — mruknął doktor Jones, tykając i kiwając głową.

— Walczyłem dzielnie — ciągnął Munster. — Zostałem nawet dwukrotnie odznaczony i otrzymałem pochwałę za odwagę. Uzyskałem stopień kaprała. Własnoręcznie zniszczyłem satelitę obserwacyjnego najeżonego Bloblami; nigdy nie wiedzieliśmy do-



kładnie, ilu ich było, ponieważ, jako Bloble, mają zwyczaj stapiać się z sobą i chaotycznie rozdzielać. — Owładnięty emocjami zamilkł. Samo wspomnienie i rozmowa o wojnie były ponad jego siły... opadł na kozetkę, zapalił papierosa i spróbował się uspokoić.

Bloble pierwotnie wyemigrowały z innego układu gwiazdowego, prawdopodobnie z Proximy. Kilka tysięcy lat temu osiedliły się na Marsie i na Tytanie, z dużym powodzeniem uprawiając tam ziemię. Wywodziły się z jednokomórkowych ameb, mających dość znaczne rozmiary i złożony układ nerwowy, lecz jednak ameb, poruszały się dzięki nibynóżkom i rozmnażały przez podział. Nie były przychylnie nastawione do terrańskich osadników.

Wojna wybuchła na płaszczyźnie ekologicznej. ONZ-owski wydział pomocy zagranicznej dążył do zmiany atmosfery na Marsie; pragnął uczynić ją korzystniejszą dla terrańskich osadników. Owa zmiana jednak okazała się całkowicie nie do przyjęcia przez istniejące tam kolonie Blobli. Wywiązał się konflikt.

Zmiana połowy atmosfery, jak zauważył Munster, nie wchodziła w rachubę. W ciągu dziesięciu lat przekształcona atmosfera rozprzestrzeniła się po planecie, powodując — domniemane — cierpienie Blobli. Te w odwecie wysłały w kierunku Terry swoją armadę i umieściły na orbicie serię zaawansowanych technicznie satelitów przeznaczonych do stopniowej zmiany atmosfery terrańskiej. Do zmiany naturalnie nigdy nie doszło, gdyż Rada Wojenna przy ONZ podjęła natychmiastowe kroki; satelity zostały zniszczone za pomocą pocisków samo naprowadzających... działania wojenne nabrały rozpędu.

— Czy jest pan żonaty, panie Munster? — zapytał doktor Jones.

— Nie, proszę pana — odparł Munster. — Poza tym... — Zadrżał. — Zrozumie pan, dlaczego, gdy dojdę do końca mojej opowieści. Widzi pan, doktorze... — Zgasił papierosa. — Będę szczery. Byłem terrańskim szpiegiem. Otrzymałem to zadanie dzięki męstwu na polu bitwy... wcale o nie nie prosiłem.

— Rozumiem — odrzekł doktor Jones.

— Naprawdę? — Munsterowi załamał się głos. — Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co należało wtedy uczynić, aby zamienić Terrańczyka w dobrego szpiega, mającego działać wśród Blobli?

Doktor Jones skinął głową.

— Tak, panie Munster. Musiał pan zrzec się ludzkiej postaci i przybrać odrażającą formę Blobla.

Rozgoryczony Munster nie odpowiedział, na przemian zaciskał i rozwierał pięści. Z siedzącego naprzeciw niego doktora Jonesa dobywało się niezmiennie tykanie.

Tego wieczoru, w swoim niedużym mieszkaniu w WEF-395, Munster otworzył małą butelkę whisky Teacher's i pił ją w samotności z kubka, gdyż brakowało mu energii, by wyjść z szafki nad zlewem szklankę.

Co wyniósł z dzisiejszej sesji z doktorem Jonesem? Nic, o ile dobrze się zorientował. Wiedział jedynie, że poważnie naruszyła ona jego nadwątlone oszczędności... nadwątlone, ponieważ...

Ponieważ mimo wysiłków własnych i Agencji Szpitalnej przy ONZ, prawie na dwaście godzin w ciągu dnia z powrotem przybierał swój dawny, wojenny, Blobli kształt. W samym środku mieszkania w WEF-395 zamieniał się w bezkształtną, jednokomórkową plamę.

Jego jedynym źródłem finansów była nieduża pensja wypłacana przez Radę Wojenną. Znalezienie pracy nie wchodziło w rachubę, gdyż jak tylko zostawał zatrudniony, stres powodował natychmiastową przemianę na oczach nowego pracodawcy oraz współpracowników.

Nie sprzyjało to nawiązywaniu udanych kontaktów zawodowych.

Co było do przewidzenia, teraz, o godzinie ósmej wieczorem, poczuł nadchodzącą przemianę. Było to znajome uczucie, nienawidził go. Pospiesznie dopił whisky, postawił kubek na stole... i poczuł, jak przybiera postać jednolitej substancji.

Zadzwoił telefon.

— Nie mogę odebrać — zawołał. Przekaznik telefoniczny odebrał jego zalęknioną wiadomość i przekazał ją dzwoniącemu. Munster stał się przezroczystą, galaretowatą masą pośrodku dywanu; podpełzł do telefonu, który pomimo jego apelu nadal dzwonił. Ogarnęła go złość; czyż tego dnia nie doznał wystarczających przykrości, by teraz jeszcze użerać się z natrętnym telefonem?

Dotarłszy do niego, wyciągnął nibynóżkę i zerwał słuchawkę z widełek. Z wysiłkiem uformował z giętkiej substancji rodzaj narządu głosowego.

— Jestem zajęty — zahuczał do słuchawki. — Proszę zadzwonić później. — Najlepiej jutro rano, dorzucił w myślach. Kiedy odzyskam ludzką postać.

W mieszkaniu zapadła cisza.

Munster z westchnieniem podpełzł do okna, gdzie przybrał formę pionową, by wyjrzeć na zewnątrz; na jego zewnętrznej powierzchni znajdował się światłoczuły punkt i choć nie miał prawdziwej soczewki, mógł — z nostalgią — podziwiać widok na zatokę San Francisco i Golden Gate oraz dziecięcy plac zabaw na wyspie Alcatraz.

Cholera, pomyślał z goryczą. Nie mogę się ożenić, nie jestem w stanie wieść ludzkiej egzystencji. Wszystko przez tę powłokę, którą nadano mi w czasie wojny...

Przyjmując misję, nie wiedział, że pozostawi ona na nim trwałe efekty. Zapewniano go, że zmiana była „tylko czasowa”, czy coś w tym rodzaju. Trele morele, pomyślał w przypływie gwałtownej furii Munster. To już jedenaście lat.

Związane z tym problemy psychologiczne i towarzyszące mu napięcie były ogromne. Stąd częste wizyty u doktora Jonesa.

Rozległ się ponowny dźwięk telefonu.

— No dobrze — powiedział głośno Munster i mozolnie powlókł się przez pokój. — Chcesz ze mną rozmawiać? — zapytał, podpełzając; dla kogoś w postaci Blobla odcięk wydawał się nieskończenie długi. — No to porozmawiamy. Możesz nawet włączyć monitor i popatrzeć. — Wcisnął przycisk uruchamiający zarówno wizję, jak i fonię. — Przyjrzyj się dobrze — dodał, prezentując się przed skanerem.

— Przepraszam, że zakłócam pański czas, panie Munster — dobiegł głos doktora Jonesa. — Zwłaszcza że znajduje się pan w, hm, niezręcznej sytuacji... — Homeostatyczny analityk spauzował. — Poświęciłem jednak trochę czasu rozwiązywaniu pańskiego problemu. Myślę, że znalazłem przynajmniej częściowe wyjście.

— Co takiego? — zapytał zaskoczony Munster. — Sugeruje pan, że zdobycze współczesnej medycyny umożliwiają...

— Nie, nie — wtrącił w pośpiechu doktor Jones. — Aspekty fizyczne wykraczają poza moją dziedzinę, niech pan będzie łaskaw o tym pamiętać, panie Munster. Gdy zwierzył mi się pan ze swoich problemów, chodziło o dostosowanie psychologiczne, a nie...

— Zaraz przyjdę do pańskiego gabinetu i porozmawiamy — oznajmił Munster. Wówczas uświadomił sobie, że to nie takie proste; nim w obecnej postaci dowlóklby się do gabinetu doktora Jonesa, upłynęłoby kilka dni. — Jones — rzucił desperacko. — Rozumie pan moje problemy. Od ósmej wieczorem prawie do siódmej rano tkwię tu uwięziony... nie mogę nawet pana odwiedzić ani zasięgnąć porady...

— Proszę się uspokoić, panie Munster — przerwał mu Jones. — Próbuję panu coś przekazać. Nie jest pan wyjątkiem. Wiedział pan o tym?

— Jasne — odparł ciężko Munster. — W sumie osiemdziesięciu trzech Terran zostało podczas wojny zamienionych w Bloble. Spośród tych osiemdziesięciu trzech... — znał fakty na pamięć — ...przetrwało sześćdziesięciu jeden i powstała organizacja o nazwie Weterani Wojen Nienaturalnych, do której należy pięćdziesięciu. W tym ja. Spotykamy się dwa razy w miesiącu, wspólnie zmieniamy postać... — Postanowił przerwać połączenie. A więc to zyskał w zamian za swoje pieniądze, stek wyświechtanych informacji. — Do widzenia, doktorze — mruknął.

Doktor Jones wyemitował podekscytowany szum.

— Panie Munster, nie mam na myśli innych Terran. Zasięgnąłem informacji w pańskim imieniu i odkryłem, że według danych biblioteki Kongresu piętnastu Blobli zostało przekształconych w pseudo — Terran, którzy działali na ich korzyść. Rozumie pan?

— Niezupełnie — odrzekł po chwili Munster.

— Ma pan w mózgu barierę utrudniającą korzystanie z czyjejś pomocy — stwierdził doktor Jones. — Ale oto, czego chcę, panie Munster: jutro o jedenastej stawi się pan w moim gabinecie. Wtedy znajdziemy rozwiązanie pańskiego problemu. Dobranoc.

— Gdy przybieram postać Blobla, mój umysł nie funkcjonuje jak należy, doktorze — odparł ze znużeniem Munster. — Proszę mi wybaczyć. Oszołomiony odwiesił słu-

chawkę. A więc w tej chwili krążyło po Tytanie piętnastu Blobli skazanych na ludzką postać. I co z tego? Gdzie tu jakakolwiek pomoc dla niego?

Być może dowie się jutro o jedenastej.

Gdy wkroczył do poczekalni, ujrzał niezwykle ponętą młodą kobietę siedzącą na głębokim krześle w rogu przy lampie. Czytała egzemplarz „Fortune”.

Munster machinalnie opadł na krzesło, z którego swobodnie mógł ją obserwować. Stylowo utlenione na biało włosy okalały jej kark... udając pogrążonego w lekturze czasopisma, rozkoszował się widokiem. Smukłe nogi, drobne, delikatne łokcie. I twarz o ostrych, wyrazistych rysach. Bystre spojrzenie, cienkie, pięknie rzeźbione nozdrza — doprawdy urocza osóbką, pomyślał. Sycił się jej widokiem... aż wreszcie uniosła głowę i odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem.

— Nudno tak czekać — wymamrotał Munster.

— Często przychodzi pan do doktora Jonesa? — zapytała dziewczyna.

— Nie — przyznał. — To dopiero druga wizyta.

— Ja jestem tu po raz pierwszy — oświadczyła dziewczyna. — Odwiedzałam innego elektronicznego psychoanalityka homeostatycznego w Los Angeles, lecz wczoraj po południu, doktor Bing, mój analityk, powiadomił mnie telefonicznie, abym przyleciała tutaj i zobaczyła się z doktorem Jonesem. Czy jest dobry?

— Hm — mruknął Munster. — Chyba tak. — Zobaczymy, dorzucił w myślach. Jeszcze za wcześnie na podobny osąd.

Drzwi do gabinetu stanęły otworem i pojawił się w nich doktor Jones.

— Panno Arrasmith — powiedział z lekkim ukłonem. — Panie Munster. — Skinął George'owi głową. — Wejdziecie razem?

— Kto wobec tego zapłaci dwadzieścia dolarów? — zapytała panna Arrasmith, wstając z krzesła.

Lecz analityk ucichł, wyłączył się.

— Ja zapłacę — postanowiła panna Arrasmith, sięgając do torebki.

— Nie, nie — zaprotestował Munster. — Pani pozwoli. — Wyjął dwudziestodolarówkę i włożył ją do odpowiedniej szczeliny.

— Jest pan dżentelmenem, panie Munster — odrzekł natychmiast doktor Jones. Z uśmiechem wskazał im wejście do gabinetu. — Proszę usiąść, panno Arrasmith. Pani pozwoli, że bez ogródek przedstawię panu Munsterowi jej... sytuację. — Zwrócił się do Munstera: — Panna Arrasmith jest Bloblem.

Oniemiały Munster wlepił wzrok w dziewczynę.

— Naturalnie teraz przybrała ludzką postać — podjął doktor Jones. Jest to dla niej stan niepożądaney przemiany. Podczas wojny działała za linią Terran na rzecz Wojennej Ligi Blobli. Została pojmana i uwięziona, lecz po zakończeniu wojny nie postawiono jej przed sądem ani nie ukarano.

— Uwolnili mnie — powiedziała panna Arrasmith cichym, opanowanym głosem. — Wciąż znajdowałam się w ludzkiej postaci. Zostałam tu ze wstydu. Nie mogłam wrócić na Tytana i... — Jej głos zadrżał.

— Dla każdego Blobla to straszne upokorzenie — wyjaśnił doktor Jones.

Panna Arrasmith kiwnęła głową, ściskając w rękę małą chusteczkę z irlandzkiego płótna. Z wysiłkiem próbowała zachować spokój.

— Tak jest, doktorze. Pojechałam na Tytana, aby z tamtejszymi autorytetami medycznymi omówić swoją sytuację. Po długiej i kosztownej terapii zdołali umożliwić mi powrót do pierwotnej postaci na okres... — Zawahała się. — Jednej czwartej czasu. Lecz przez pozostałe trzy czwarte... wyglądam tak, jaką oglądacie mnie obecnie. — Opuściła głowę i dotknęła chustką prawego oka.

— Rany — wyrwało się Munsterowi. — To ma pani szczęście; postać ludzka przewyższa bloblę... już ja coś o tym wiem. Jako Blobl musi pani pełzać... przypomina pani wielką meduzę pozbawioną szkieletu, który utrzymałby pani w pozycji pionowej. No i to rozmnażanie przez podział... ohyda, powtarzam, ohyda, w porównaniu do terrańskiego sposobu... no wie pani. Rozmnażania. — Zarumienił się.

— Okres przybierania przez was ludzkiej postaci nakłada się mniej więcej na sześć godzin — oświadczył doktor Jones, tykając. — Następnie przez godzinę oboje jesteście Bloblami. Tak czy inaczej, macie w ciągu doby siedem godzin, podczas których przyjmiecie identyczną formę. Moim zdaniem... — Bawił się piórem i kartką. — Siedem godzin to nie najgorzej. O ile wiecie, co mam na myśli.

— Ale przecież pan Munster i ja jesteśmy naturalnymi wrogami — powiedziała po chwili panna Arrasmith.

— To było lata temu — zaoponował Munster.

— No właśnie — przyznał mu rację doktor Jones. — To prawda, że panna Arrasmith jest w gruncie rzeczy Bloblem, a pan Munster — Terraninem, ale... — Machnął znacząco ręką. — Oboje jesteście w swoim otoczeniu wyrzutkami, żadne z was nie ma swego miejsca na ziemi, co powoduje poczucie stopniowej utraty tożsamości. Wróżę wam pogarszanie się tego stanu, prowadzące do poważnej choroby psychicznej. Chyba że zdecydujecie się na zbliżenie. — Psychoanalityk zamilkł.

— Myślę, że mamy szczęście, panie Munster — powiedziała cicho panna Arrasmith. — Jak mówi doktor Jones, nakładamy się przez siedem godzin w ciągu dnia... możemy wykorzystać ten czas razem i zapomnieć o okropnej samotności. — Uśmiechnęła się z nadzieją i poprawiła płaszcz. Miała wspaniałą figurę, przykrótka sukienka podkreślała ten fakt.

Zapatrzywszy się na nią, Munster pogrążył się w myślach.

— Proszę dać mu trochę czasu — poradził panie Arrasmith doktor Jones. — Z mojej analizy tego człowieka wynika, że przemyśli to dokładnie i podejmie właściwą decyzję.

Poprawiając płaszcz i muskając chustką ogromne, ciemne oczy, panna Arrasmith czekała.

Kilka lat później w gabinecie doktor Jonesa zadzwonił telefon. Odpowiedział nań w zwykły sposób.

— Sir lub madam, jeśli chcą państwo ze mną rozmawiać, proszę włożyć dwudziestodolarówkę.

— Słuchaj pan, tu biuro prawne ONZ — zabrzmiał po drugiej stronie linii szorstki męski głos. — Nikomu nie płacimy dwudziestu dolców za rozmowę, więc lepiej sam podkreć ten swój mechanizm, Jones.

— Słucham, sir — odrzekł Jones i prawą ręką przekręcił dźwignię za uchem, która umożliwiała darmową rozmowę.

— Czy w 2037 roku doradził pan pewnej parze małżeństwo? — zapytał ekspert prawny. — Niejakemu George'owi Munsterowi i Vivian Arrasmith, obecnie pani Munster?

— Owszem — odrzekł Jones, zasięgnąwszy informacji w swoim banku pamięci.

— Czy zbadał pan podstawę prawną ich sytuacji?

— Hm, cóż — powiedział Jones. — To nie moje zmartwienie.

— Możemy pana postawić przed sądem za propagowanie zachowań sprzecznych z prawem ONZ.

— Nie istnieje reguła zabraniająca małżeństwo Blobla i Terranina.

— Dobrze, doktorze — powiedział ekspert prawny. — Rzucę okiem na historię ich przypadków.

— Wykluczone — odparł Jones. — To oznaczałoby złamanie etyki.

— Wobec tego wystosujemy odpowiedni nakaz i rozdzielimy ich.

— Proszę bardzo. — Doktor Jones sięgnął za ucho, chcąc przerwać połączenie.

— Niech pan zaczeka. Być może zaciekawi pana informacja, że Munsterowie mają obecnie czworo dzieci. Zgodnie z prawem mendeliańskim ich potomstwo reprezentuje współczynnik jeden, dwa oraz jeden. Jeden Blobl żeński, jedna hybryda rodzaju męskiego, jedna hybryda rodzaju żeńskiego, jedna Terranka. Problem w tym, że Rada Najwyższa Blobli twierdzi, że pierwsze dziecko, jako Blobl czystej krwi, jest obywatelem Tytana. Proponuje ponadto, aby pozostałe dwie hybrydy również podlegały jurysdykcji Rady. Widzi pan, małżeństwo Munsterów się rozpada — wyjaśnił ekspert. — Rozwodzą się, a cała sprawa z podporządkowaniem ich spraw odpowiednim regułom prawnym to nieciekawe zajęcie.

— Tak — przyznał doktor Jones. — Wierzę panu. Co stanowiło przyczynę konfliktu?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Pewnie fakt, że dwoje dorosłych i dwoje spośród czworga dzieci codziennie oscyluje pomiędzy byciem Bloblami i Terranami. Być

może związane z tym napięcie stało się nie do zniesienia. Jeśli ma pan im do zaoferowania pomoc psychologiczną, proszę się z nimi skontaktować. Do widzenia. — Ekspert prawny z ramienia ONZ odwiesił słuchawkę.

Czyżbym popełnił błąd doradzając im małżeństwo? — pomyślał doktor Jones. Chyba powinienem sprawdzić, co u nich słyhać, jestem im winien choć tyle.

Otworzywszy książkę telefoniczną Los Angeles, powiódł palcem po nazwiskach na literę M.

Munsterowie mieli za sobą sześć trudnych lat.

Najpierw George przeniósł się z San Francisco do Los Angeles, razem z Vivian zamieszkali w mieszkaniu z trzema, a nie z dwoma pokojami. Vivian, jako że znajdowała się w ludzkiej postaci przez trzy czwarte doby, znalazła sobie pracę, na piątym lotnisku w Los Angeles przekazywała przez mikrofon informacje o lotach. Tymczasem George...

Jego pensja stanowiła jedną czwartą kwoty zarabianej przez żonę i świadomość tego nie dawała mu spokoju. Chcąc podreperować finanse, zaczął szukać sposobów zarabiania pieniędzy bez wychodzenia z domu. Wreszcie znalazł w gazecie cenne ogłoszenie:

*ZBIJ MAJĄTEK WE WŁASNYM DOMU! HODUJ GIGANTYCZNE  
ŻABY Z JOWISZA ZDOLNE DO OSIEMDZIESIĘCIOSTOPOWYCH  
SKOKÓW. DO WYKORZYSTANIA W WYŚCIGACH ŻAB  
(tam gdzie to legalne) ORAZ...*

Tak więc w 2038 roku kupił pierwszą parę żab importowanych z Jowisza i zaczął je hodować w nadziei rychłego zbiccia majątku we własnym mieszkaniu, w rogu piwnicy, udostępnionym mu gratis przez Leonarda, częściowo homeostatycznego dozorcę.

Lecz z uwagi na stosunkowo słabą grawitację terrańską żaby wykonywały skoki wprost przeogromne i piwnica okazała się dla nich zbyt mała, odbijały się od ściany do ściany jak zielone piłki pingpongowe i wkrótce zdechły. George wysnuł z tego wniosek, że do hodowania tego cholerstwa potrzebował więcej przestrzeni niż kawałek piwnicy w bloku QEK — 604.

Na ten okres przypadły narodziny pierwszego dziecka. Potomek okazał się czystej krwi Bloblem, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę miał postać galaretowatej masy i George na próżno czekał, aż choćby na chwilę zamieni się w człowieka.

W okresie gdy oboje z Vivian znajdowali się w ludzkiej postaci, podczas rozmowy ostro poruszył tę kwestię.

— Jak mam to uznać za własne dziecko? — zapytał. — To... to zupełnie obca mi istota. — Był zniechęcony, ba, przerażony. — Doktor Jones powinien był to przewidzieć; może to twoje dziecko... wygląda zupełnie jak ty.

Oczy Vivian napełniły się łzami.

— Umyślnie robisz mi przykrość.

— Pewnie, że tak. Walczyliśmy z wami... uważaliśmy was za istoty nielepsze od portugalskich żądło — promieni. — Zasepiony włożył płaszcz. — Idę do Kwatery Weteranów Wojen Nienaturalnych — oznajmił żonie. — Na piwo.

Wkrótce zmierzał na spotkanie ze starymi kumplami, zadowolony, że wyrwał się z domu.

Kwatera WWN mieściła się w obskurnym cementowym budynku w śródmieściu Los Angeles. Budynek pochodził z dwudziestego wieku i wymagał gruntownego remontu. WWN dysponowała niewielkimi funduszami, gdyż większość członków podobnie jak George Munster utrzymywała się z ONZ-owskiej pensji. W kwaterze znajdował się jednak stół do bilardu, stary telewizor trójwymiarowy, kilka taśm z muzyką popularną oraz szachownica. George na ogół pił piwo i grał w szachy z pozostałymi członkami, albo w postaci ludzkiej albo bloblej; w tym miejscu akceptowano obie.

Tego wieczoru usiadł z Petem Rugglesem, weteranem, który również ożenił się z żeńskim Bloblem, tak jak Vivian przybierającym wygląd człowieka.

— Pete, ja już dłużej nie mogę. Mam galaretowate dziecko. Całe życie marzyłem o potomku, a tu proszę. Wygląda jak stwór wyrzucony przez morze.

— Zgoda, George — odparł Pete, również obecnie przebywający w ludzkiej postaci, popijając piwo. — Przyznaję, że to dziwne. Lecz chyba wiedziałeś, w co się pakujesz, biorąc ją za żonę. I, mój Boże, według prawa Mendla, następne dziecko...

— Chodzi o to — wpadł mu w słowo George — że nie szanuję własnej żony, tu leży przyczyna wszystkiego. Myślę o niej jako o rzeczy. O sobie zresztą też. Oboje jesteśmy rzeczami. — Duszką wychylił cały kufel.

— Lecz z punktu widzenia Blobla... — dodał z namysłem Pete.

— Słuchaj no, po której ty jesteś stronie? — zapytał George.

— Nie wrzeszcz na mnie — ostrzegł go Pete. — Bo cię walnę.

Chwilę potem dziko rzucili się na siebie. Na szczęście Pete w ostatniej chwili zamienił się w Blobla i nie zdążyli wyrządzić sobie żadnej krzywdy. George został sam, gdyż Pete odpełzł, przypuszczalnie z zamiarem przyłączenia się do chłopaków, którzy również przybrali podobną postać.

Może znajdziemy nowe społeczeństwo na innym księżycu, pomyślał zasepiony George. Bez Terran i bez Blobli.

Muszę wrócić do Vivian, uznał. Cóż innego mi pozostaje? Mam szczęście, że ją znalazłem; inaczej byłbym tylko weteranem wojennym dzień i noc żłopiającym piwo w Kwaterze WWN bez przyszłości, nadziei, prawdziwego życia...

W jego umyśle rysował się nowy plan zarobienia dużej gotówki. Była to działalność wysyłkowa; zamieścił ogłoszenie w „Saturday Evening Post” na MAGICZNE



KAMIENIE POLARNE PRZYNOŚĄCE SZCZĘŚCIE. Z INNEGO UKŁADU GWIEZDNEGO! Kamienie pochodziły z Proximy i były dostępne na Tytanie; to Vivian umożliwiła mu kontakty handlowe ze swoimi ziomkami. Jednakże jak do tej pory zaledwie garstka osób przysłała po dolar pięćdziesiąt.

Jestem do niczego, pomyślał George.

Szczęśliwym trafem następne dziecko urodzone zimą 2039 roku było hybrydą; przybierało ludzką postać na pół doby, więc nareszcie George miał potomka, który — przynajmniej częściowo — należał do jego własnego gatunku.

Wciąż świętował narodziny Maurice'a, gdy delegacja sąsiadów z bloku QEK-604 zastukała do jego drzwi.

— Przynieśliśmy petycję — oznajmił przewodniczący delegacji, szurając w zakłopotaniu nogami. — Prosimy, aby pan i pani Munster opuścili QEK — 604.

— A to dlaczego? — zapytał zaskoczony George. — Dotychczas nie mieliście nic przeciwko nam.

— Powód jest taki, że urodziła się wam hybryda, która będzie chciała bawić się z naszymi dziećmi, my zaś uważamy za niezdrowe...

George zatrasnął im drzwi przed nosem.

Niechęć ludzi bardzo dawała mu się we znaki. Pomyśleć, że walczyłem w ich obronie. Nie warto było.

Godzinę później ponownie stanął w progu Kwatery WWN i zamówiwszy piwo, pograżył się w rozmowie z kolegą Shermanem Downsem, który również ożenił się z Blemem.

— Sherman, to na nic. Nikt na tu nie chce, musimy wyemigrować. Może spróbujemy na Tytanie, w świecie Viv.

— Na miłość boską — zaprotestował Sherman. — Nie mogę patrzeć, jak dajesz za wygraną, George. Czyż twój odchudzający pas elektromagnetyczny nie zaczyna wreszcie przynosić zysków?

Przez ostatnie kilka miesięcy George zajął się produkcją i sprzedażą skomplikowanego gadżetu elektronicznego, który Vivian pomogła mu zaprojektować; urządzenie zasadniczo opierało się na nieznanym na Terze wzorcu tytańskim. Interes szedł jak należy, popyt przewyższał podaż. Ale...

— Spotkało mnie coś strasznego, Sherman — zwierzył się George. Któregoś dnia byłem w sklepie, gdzie złożono duże zamówienie na mój pas i ogarnęło mnie takie podniecenie... — Urwał. — Nietrudno zgadnąć, co się stało. Przemieniłem się. Na oczach setki klientów. Kontrahent natychmiast anulował całe zamówienie. Tego boimy się najbardziej... powinieneś widzieć, jak od razu zmienili do mnie nastawienie.

— Zatrudnij kogoś do sprzedaży — zaproponował Sherm. — Terranina czystej krwi.

— Ja jestem Terraninem czystej krwi — rzucił oschle George. — Nie zapominaj o tym. Przenigdy.

— Chodziło mi tylko o...

— Już ja wiem, o co ci chodziło — odparował George. I zamachnął się na Shermana. Na szczęście chybił i w podnieceniu obaj przeobrazili się w Bloble. Z furią wtopili się w siebie, lecz koledzy zdołali jakoś ich rozdzielić.

— Jestem takim samym Terraninem jak wszyscy — powędrowała do Shermana myśl George'a. — Zmiażdżę każdego, kto twierdzi inaczej.

W obecnej postaci nie był w stanie dotrzeć do domu, musiał zadzwonić do Vivian, aby po niego przyjechała. To było upokarzające.

Samobójstwo, doszedł do wniosku. To jedyne wyjście.

W jaki sposób najlepiej tego dokonać? W postaci Blobla nie odczuwał bólu, moment był stosowny. Rozpuści go kilka substancji... mógłby na przykład rzucić się do chlorowanego basenu, takiego jak ten, który znajdował się w sali rekreacyjnej QEK-604.

Vivian znalazła go pewnej nocy znieruchomiłego nad krawędzią basenu.

— George, błagam cię... wróć do doktora Jonesa.

— Ani mi się śni — zahuczał z głębi aparatu pseudogłosowego. — To na nic, Viv. Nie chcę dalej żyć. — Nawet pasy, przecież to bardziej pomyśl Vivian niż jego. Nawet i tu był na drugim miejscu... za nią, z każdym dniem odległość między nimi zwiększała się coraz bardziej.

— Masz tyle do zaoferowania dzieciom — powiedziała Viv.

To prawda.

— Może wpadnę do Biura Wojennego ONZ — postanowił. — Pogadam z nimi, zobaczę, czy medycyna znalazła środek, aby mnie ustabilizować.

— Lecz jeśli na stałe odzyskasz terrańską postać — odrzekła Vivian to co stanie się ze mną?

— Będziemy spędzać wspólnie osiemnaście godzin w ciągu doby. Godzin, podczas których przybierasz ludzką postać!

— Ale nie zechcesz, abym dłużej była twoją żoną, ponieważ wtedy znajdziesz sobie jakąś Terrankę.

Zrozumiał, że to nie byłoby w porządku. Odrzucił ten pomysł.

Wiosną 2041 roku urodziło się trzecie dziecko, również dziewczynka i, podobnie jak Maurice, hybryda. Była Bloblem w nocy, a Terranką w dzień.

Tymczasem George wpadł na rozwiązanie części swoich problemów.

Znalazł sobie kochankę.

Spotykał się z Niną w hotelu Elysium, podniszczonym drewnianym budynku w sercu Los Angeles.

— Nina — powiedział George, siedząc na hotelowej sofie i popijając szkocką. — Dzięki tobie moje życie ponownie nabiera blasku. — Bawił się guzikami jej bluzki.

— Szanuję cię — odparta Nina Glaubman, pomagając mu przy guzikach. — Pomimo faktu, że... jesteś dawnym wrogiem naszych.

— Chryste — zaproponował George. — Nie myślmymy o dawnych dziejach... musimy wyrzucić przeszłość z naszych umysłów. — Liczy się tylko terażniejszość, pomyślał.

Jego interes z pasami elektromagnetycznymi rozwinął się tak dobrze, że zatrudnił obecnie na pełnym etacie piętnastu terrańskich pracowników i stał się właścicielem niedużej, nowoczesnej fabryki na przedmieściach San Fernando. Gdyby podatki ONZ były przyzwoite, byłby już zamożnym człowiekiem... zastanawiając się nad tym, George zachodził w głowę, ile wynosiła stawka podatkowa na terytorium Blobli, na takiej na przykład Io. Chyba powinien to sprawdzić.

Pewnego wieczoru w Kwaterze WWN omówił tę sprawę z Reinholtem, mężem Niny, który rzecz jasna tkwił w błogiej nieświadomości co do modus vivendi pomiędzy George'em i Niną.

— Reinholt — mówił z trudem George, popijając piwo. — Mam wielkie plany. Ten socjalizm od kołyski do grobu propagowany przez ONZ... to nie dla mnie. Podcina mi skrzydła. Magiczny Magnetyczny Pas Munstera to... — Machnął ręką. — Więcej niż cywilizacja terrańska jest w stanie podtrzymać. Rozumiesz?

— Ależ, George — odparł zimno Reinholt. — Jesteś Terraninem; jeśli wyemigrujesz ze swoją fabryką na terytorium Blobli, zdradzisz swoją...

— Słuchaj no — przerwał mu George. — Mam autentyczne bloble dziecko, dwa pół — Bloble i czwarte w drodze. Z mieszkańcami Tytana i Io łączą mnie silne emocjonalne więzy.

— Ty zdrajco — powiedział Reinholt i uderzył go w twarz. — I nie tylko — dokończył, dokładając mu kuksańca w brzuch. — Pętasz się przy mojej żonie. Zabiję cię.

Wiedziony chęcią ucieczki George zamienił się w Blobla; ciosy Reinholta padły w wilgotną, galaretowatą substancję. Na to Reinholt również się przemienił i opłynął go z furją, próbując wchłonąć jądro komórkowe George'a.

Dwóch weteranów rozdzieliło ciała, nim doszło do poważniejszych strat.

Później tamtego wieczora, wciąż roztrzęsiony George siedział z Vivian w salonie ich nowego ośmiopokojowego mieszkania w budynku ZGF-900. Niewiele brakowało, poza tym Reinholt nie będzie zwlekał z powiadomieniem Viv; była to jedynie kwestia czasu. George zorientował się, że jego małżeństwo zostało spisane na straty. Najwyraźniej spędzali ze sobą ostatnie chwile.

— Viv — powiedział z naciskiem. — Musisz mi uwierzyć, kocham cię. Ty i dzieci — oraz oczywiście interes — to całe moje życie. — Przyszedł mu do głowy desperacki pomysł. — Wyemigrujemy, zaraz, jeszcze dziś w nocy. Zabierzmy dzieciaki i lećmy na Tytana.

— Nie mogę — odparła Vivian. — Wiem, jak moi rodacy przyjęliby mnie oraz ciebie George, i dzieci. Ty jedź. Przenieś fabrykę na Io. Ja zostanę tutaj. — Jej ciemne oczy napełniły się łzami.

— Do diabła — zawołał George. — Co to za życie? Ty na Terze, ja na Io... to żadne małżeństwo. A kto zajmie się dziećmi? — Pewnie Viv... lecz jego firma zatrudniała jednego z czołowych talentów prawniczych... może wykorzysta go do rozwiązania spraw domowych.

Następnego ranka Vivian dowiedziała się o Ninie. I wynajęła własnego prawnika.

— Posłuchaj — powiedział George w rozmowie telefonicznej z Henrym Ramarauem, swoim prawnikiem. — Załatw mi opiekę nad czwartym dzieckiem; to będzie Terranin. Co do hybryd, zawrzemy kompromis: ja wezmę Maurice'a, ona niech bierze Kathy. I jeszcze tego Blobla, pierwsze tak zwane dziecko. Jeśli o mnie chodzi, to i tak jej własność. — Z trzaskiem odłożył słuchawkę, po czym zwrócił się do rady kierowniczej swojej firmy. — Na czym stanęliśmy? — zapytał. — Na analizie praw podatkowych Io.

W ciągu kilku następnych tygodni pomysł przenosin na Io nabierał z punktu widzenia zysków i strat coraz realniejszych kształtów.

— Kup na Io kawałek gruntu — poinstruował swojego agenta od tych spraw, Toma Hendricksa, George. — I kup go tanio, musimy wyjść na swoje. — Zwrócił się do sekretarki, panny Nolan. — Proszę trzymać wszystkich z dala od mojego biura, do czasu gdy dam pani znać. Przeczuwam nadciągający atak spowodowany niepokojem wywołanym przeprowadzką z Terry na Io. I osobistymi troskami — dodał.

— Dobrze, panie Munster — odrzekła panna Nolan, wyprowadzając Toma Hendricksa z prywatnego gabinetu George'a. — Nikt nie zakłóci panu spokoju. — Można było liczyć, że nie wpuści nikogo, gdy George będzie przeobrażał się w Blobla, co ostatnio zdarzało mu się dość często; działał w niewiarygodnym napięciu.

Gdy później tego samego dnia odzyskał ludzką postać, dowiedział się od panny Nolan, że dzwonił niejaki doktor Jones.

— A niech mnie — powiedział George, cofając się myślami do wydarzeń sprzed sześciu lat. — Myślałem, że już dawno poszedł na złom. — Proszę zadzwonić do doktora Jonesa i powiadomić mnie, jak znajdzie się na linii — zwrócił się do panny Nolan. — Wygospodaruję minutkę, aby z nim pomówić. — Zupełnie jak za dawnych czasów w San Francisco.

Wkrótce potem panna Nolan połączyła się z doktorem Jonesem.

— Doktorze — powiedział George, kręcąc się na obrotowym krześle i skubiąc stojącą na biurku orchideę. — Miło znów pana słyszeć.

Dobiegł go głos homeostatycznego psychoanalityka.

— Panie Munster, widzę, że teraz ma pan sekretarkę.

— Tak — odrzekł George. — Jestem potentatem. Zajmuję się produkcją pasów odchudzających; to coś w rodzaju obroży na pchły, którą noszą koty. Cóż, co mogę dla pana zrobić?

— Ma pan obecnie czworo dzieci...

— Tak właściwie to troje, plus czwarte w drodze. Niech pan posłucha, doktorze, to czwarte jest dla mnie najważniejsze; według prawa Mendla to czystej krwi Terranin i robię wszystko, co w mojej mocy, aby zdobyć prawo do opieki nad nim. Vivian... pamięta pan... wróciła na Tytana — dodał. — Do swoich, tam gdzie jej miejsce. Natomiast ja zatrudniam najlepszych lekarzy, aby mnie ustabilizowali, męczą mnie ciągle przemiany, dzień i noc; mam za dużo roboty, aby zaprzętać sobie głowę takimi głupotami.

— Wnioskuje z pańskiego tonu, że jest pan ważnym, zapracowanym człowiekiem, panie Munster — odparł doktor Jones. — Od naszego ostatniego spotkania pański status niebywale wzrósł.

— Proszę przejść do sedna — ponaglił go zniecierpliwiony George. W jakim celu pan dzwonił?

— Myślałem, że, hm, mógłbym na nowo połączyć pana i Vivian.

— Też — odparł z pogardą George. — Z nią? Nigdy. Niech pan posłucha, doktorze, muszę kończyć, finalizujemy właśnie w spółce akcyjnej Munster pewną strategię handlową.

— Panie Munster — dodał dr Jones. — Czy jest inna kobieta?

— Jest inny Blobl — odparował George. — Jeśli o to panu chodzi. I odłożył słuchawkę. Lepsze dwa Bloble niż żaden, dorzucił w duchu. Wracajmy do interesów... Wcisnął przycisk na biurku i panna Nolan natychmiast zajrzała do gabinetu.

— Panno Nolan — powiedział George — proszę sprowadzić Henry'ego Ramaraua, chcę się dowiedzieć...

— Pan Ramarau czeka na linii — oznajmiła panna Nolan. — Mówi, że to pilne.

Przełączywszy telefon na drugą linię, George powiedział:

— Cześć, Henry. Co słychać?

— Właśnie odkryłem — odrzekł jego radca prawny — że aby zarządzać fabryką na Io, musisz być obywatelem Tytana.

— To chyba da się jakoś załatwić — odpowiedział George.

— Lecz aby stać się obywatelem Tytana... — Ramarau zawahał się. Przedstawię ci to najprościej, jak się da, George. Musisz być Bloblem.

— Do jasnej cholery, jestem Bloblem — zawołał George. — Przynajmniej przez większość dnia. Czy to nie wystarczy?

— Nie — odrzekł Ramarau. — Znając twoją przypadłość, sprawdziłem to i okazuje się, że trzeba być stuprocentowym Bloblem. Dzień i noc.

— Hmmm — mruknął George, — Kiepska sprawa. Ale jakoś sobie poradzimy. Słuchaj, Hank, mam spotkanie z Eddym Fulbrightem, moim koordynatorem medycznym; porozmawiamy później, dobrze? — Odłożył słuchawkę i zasępioń potarł ręką podbródek. Cóż, uznał, skoro trzeba, to trzeba. Fakty są faktami i nie możemy dopuścić, aby stały nam na przeszkodzie.

Wykręcił numer swego lekarza, Eddy'ego Fulbrighta.

Platynowa dwudziestodolarówka zsunęła się po pochylni i uruchomiła obwód. Doktor Jones obudził się do życia, podniósł wzrok i ujrzał oszalamiającą młodą kobietę o bujnym biuście. Dzięki szybkiej konsultacji z bankiem pamięci rozpoznał ją — była to pani Munster, dawna Vivian Arrasmith.

— Jak się masz, Vivian — powitał ją przyjaźnie doktor Jones. — Myślałem, że byłaś na Tytanie.

Ocierając wielkie, ciemne oczy Vivian pociągnęła nosem.

— Doktorze, wszystko wokół mnie się wali. Mój mąż ma romans z jakąś kobietą... wiem jedynie, że ma na imię Nina i wszyscy chłopcy w Kwaterze WWN o tym mówią. To pewnie Terranka. Oboje złożyliśmy pozew o rozwód, i toczymy wstrętą batalię prawną o dzieci. — Skromnie poprawiła płaszcz. — Spodziewam się czwartego.

— Wiem o tym — odrzekł doktor Jones. — Tym razem będzie to Terranin czystej krwi, jeśli prawo Mendla sprawdzi się... tak jak w wypadku poprzednich.

— Na Tytanie rozmawiałam z prawnymi i medycznymi ekspertami, ginekologami i specjalnymi doradcami do spraw małżeńskich; w ciągu ostatniego miesiąca udzielono mi rad wszelkiego rodzaju — powiedziała żałośnie pani Munster. — Teraz wróciłam na Terrę, lecz nie mogę znaleźć George'a, zniknął.

— Żałuję, że nie mogę pomóc, Vivian — odrzekł doktor Jones. — Odbyłem zwięzłą rozmowę z twoim mężem, lecz odpowiadał ogólnikami... najwyraźniej jest obecnie takim potentatem, że trudno się z nim porozumieć.

— Pomyśleć — dorzuciła Vivian — że osiągnął to wszystko dzięki pomysłowi, który ja mu podrzuciłam. Pomysłowi Blobla.

— Ironia losu — skwitował doktor Jones. — Jeśli chcesz utrzymać przy sobie męża, Vivian...

— Jestem zdecydowana to uczynić, doktorze Jones. Na Tytanie poddałam się najmodniejszej i najdroższej terapii... dlatego że tak bardzo kocham George'a, bardziej niż własnych rodaków.

— To znaczy? — zapytał dr Jones.

— Dzięki najnowocześniejszym osiągnięciom nauk medycznych w Układzie Słonecznym — powiedziała Vivian — zostałam ustabilizowana, doktorze Jones. Przez dwadzieścia cztery, nie osiemnaście, godziny na dobę jestem człowiekiem. Poświęciłam swą naturalną postać, aby uratować małżeństwo z George'em.

— To akt najwyższej ofiary — odrzekł ze wzruszeniem doktor Jones.

— Teraz pozostaje mi już tylko go odszukać...

Podczas hucznej uroczystości na Io, George Munster podpełzł do szpadla i wysunawszy nibynóżkę chwycił go i wykopał symboliczną grudkę ziemi.

— Oto wielki dzień — zahuczał z głębi aparatu głosowego uformowanego ze śluzowatej, plastycznej substancji tworzącej jego jednokomórkowe ciało.

— Ma się rozumieć, George — przyznał Hank Ramarau, stojąc nieopodal z dokumentami w rękach.

Miejscowa osobistość, podobnie jak George wielka, przezroczysta masa, podpełzła do Ramaraua, wzięła od niego dokumenty i huknęła:

— Zostaną przekazane mojemu rządowi. Jestem pewien, że są w porządku, panie Ramarau.

— Gwarantuję, że tak — zapewnił go Ramarau. — Pan Munster już nigdy nie przybierze ludzkiej postaci; wykorzystał najnowsze osiągnięcia nauk medycznych celem osiągnięcia stabilności w fazie jednokomórkowej. Munster nie oszukuje.

— Ta historyczna chwila — masa będąca George'em Munsterem przesłała myśli do tłumnie zgromadzonych Blobli — oznacza wyższy standard życia dla zatrudnionych Iończyków, przyniesie regionowi dobrobyt oraz narodową dumę płynącą z rozpropagowania miejscowego wynalazku, Magicznego Magnetycznego Pasa Munstera.

Tłum Blobli wyemitował bezgłośnie wiwaty.

— To wspaniały dzień w moim życiu — oznajmił im Munster i rozpoczął żmudną wędrówkę w kierunku samochodu, gdzie czekał szofer, aby zawieźć go do hotelu w Io City, który miał odtąd stać się jego domem.

Któregoś dnia hotel stanie się jego własnością. Inwestował zyski z interesu w lokalne nieruchomości; był to niezwykle patriotyczny — i opłacalny — akt, jak poinformowały go inne Bloble.

— Nareszcie odniosłem sukces — oznajmił George Munster wszystkim, którzy znajdowali się w zasięgu jego fal myślowych.

Gdy wpełzał na rampę prowadzącą do wyprodukowanego na Tytanie samochodu, towarzyszyły mu dzikie okrzyki wiwatujących.

## UWAGI

Wszystkie notki kursywą pochodzą od Philipa K. Dicka. Rok powstania danej notki podany jest w nawiasach na jej końcu. W większości zostały napisane z myślą o zbiorach opowiadań „The Best of Philip K. Dick” (ukazały się w 1977 roku) oraz „The Golden Man” (1980), kilka powstało na zamówienie wydawców drukujących lub przedrukowujących jakieś opowiadanie w czasopiśmie albo antologii książkowej.

Jeżeli po tytule opowiadania występuje data, jest to data otrzymania maszynopisu przez agenta Dicka, ustalona na podstawie zawartości archiwów Scott Meredith Literary Agency. Brak daty oznacza, że nie udało się jej ustalić. Nazwa czasopisma poprzedzająca miesiąc i rok wskazuje, kiedy dane opowiadanie po raz pierwszy ukazało się drukiem. Drugi tytuł jest oryginalnym tytułem wymyślonym przez Dicka, odnalezionym w dokumentach agencji.

W tych pięciu tomach zawarto wszystkie krótkie utwory prozatorskie Philipa K. Dicka, z wyjątkiem mikropowieści (które później ukazały się jako samodzielne książki albo weszły w skład obszerniejszych powieści), próbek literackich z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości, a także nigdy nieopublikowanych utworów, których maszynopisów nie udało się odnaleźć. Opowiadania uszeregowano w porządku chronologicznym, ustalonym przez Gregga Rickmana i Paula Williamsa.

AUTOFAB („Autofac”) 10/11/54. „Galaxy”, listopad 1955.

Tom Disch powiedział o tym opowiadaniu, że stanowi jedno z pierwszych ostrzeżeń ekologicznych w s.f. Jednak gdy je pisałem, przyświecała mi raczej myśl o tym, że gdyby fabryki całkowicie się zautomatyzowały, mogłyby wykazać instynkt samozachowawczy, który mają organizmy żywe... i pewnie znalazłyby podobne rozwiązania. (1976)

WEZWANIE DO NAPRAWY („Sendce Cali”) 10/11/54. „Science Fiction Stories”, lipiec 1955.

*Ukazanie się tego opowiadania wywołało protest wielu fanów z uwagi na wyrażone w nim negatywne nastawienie. Jednakże w moim umyśle już wówczas pojawiały się za-*



lązki wizji dominacji maszyn nad człowiekiem, zwłaszcza tych maszyn, którymi otaczamy się dobrowolnie i które, zgodnie z prawami logiki, powinny okazać się najmniej szkodliwe. Nigdy nie zakładałem nadejścia pobrzękującego potwora, który sunąc Piątą Aleją, pożre cały Nowy Jork; obawiałem się natomiast, że gdy będę sam jak palec w zaciszu mojego domu, telewizor, żelazko albo toster oznajmi, że przejął władzę i przedstawi mi listę zasad, którym od tej pory mam być posłuszny. Nigdy nie byłem zwolennikiem podporządkowania się maszynie. Konieczność oddania hołdu czemuś, co powstało w fabryce, budzi we mnie zgrozę. (Czy uważacie, że taśmy w Białym Domu wyszły z głowy prezydenta i zaprogramowały go, co ma robić?) (1976)

JENŃCY („Captive Market”) 10/18/54. „If”, kwiecień 1955.

MODEL YANCY’EGO („The Mold of Yancy”) 10/18/54. „If”, sierpień 1955.

Oczywiście postać Yancy’ego wzorowałem na prezydencie Eisenhowerze. Podczas jego panowania wszystkim nie dawał spokoju problem człowiek-w-szarym-flanelowym-garniturze, baliśmy się, że cały kraj zamieni się w jedną osobę i mnóstwo klonów. (Chociaż wówczas nie znaliśmy jeszcze słowa „klon”). Opowiadanie spodobało mi się tak bardzo, że na jego kanwie powstała powieść „The Penultimate Truth” zwłaszcza fragment o tym, że wszystko, co mówi rząd, to wierutne kłamstwo. Nadal podoba mi się ta część; to znaczy, wciąż wierzę, że ma pokrycie w rzeczywistości. Nietrudno zgadnąć, że zasadniczy zamysł powieści powstał w wyniku afery Watergate. (1978)

RAPORT MNIEJSZOŚCI („The Minority Report”) 12/22/54. „Fantastic Universe”, styczeń 1956.

MECHANIZM PAMIĘCI („Recall Mechanism”) „If”, lipiec 1959.

NIEPOPRAWNA M („The Unreconstructed M”) 6/2/55. „Science Fiction Stories”, styczeń 1957.

Jeżeli głównym tematem moich utworów jest: „Czy możemy uznać wszechświat za prawdziwy, a jeśli tak, to w jaki sposób? „, wówczas tematem drugim z kolei byłby „Czy wszyscy jesteśmy ludźmi? „. Tutaj maszyna nie naśladuje istoty ludzkiej, lecz fałszuje dowód na jej istnienie, na istnienie danej osoby. Fałszerstwo to temat zaiste fascynujący; jestem przekonany, że można sfalszować dosłownie wszystko, a przynajmniej dowód na coś wskazujący. Tak naprawdę w tej materii nie ma żadnych ograniczeń. Gdy otworzyłeś swój umysł na pojęcie „fałszerstwo „, jesteś gotowy wpasować się w zupełnie inną rzeczywistość. To podróż, z której nie ma powrotu. Według mnie to zupełnie zdrowe zjawisko... chyba że potraktuje się je zbyt poważnie. (1978)

MY ZDOBYWCY („Explorers We”) 5/6/58. „Fantasy & Science Fiction”, styczeń 1959.

GRA WOJENNA („War Game”, „Diversion”) 10/3/58. „Galaxy”, grudzień 1959.

GDYBY NIE BENNY CEMOLI... („If There Were No Benny Cemoli”, „Had There Never Been A Benny Cemoli”) 2/27/63. „Galaxy”, grudzień 1963.

*Zawsze wierzyłem, że przynajmniej połowa słynnych postaci historycznych nie istniała. Człowiek wymyśla to, co mu w danej chwili potrzebne. Być może Karol Marks to wymyślił jakiegoś pismaka. Co by znaczyło... (1976)*

NOWOŚĆ („Novelty Act”, „At Second Jug”) 3/23/63. „Fantastic”, luty 1964. [Zawarte w powieści P.K.D. „Simulacra”]

TOPIK („Waterspider”) 4/10/63. „If”, styczeń 1964.

CO MÓWIĄ UMARLI („What the Dead Men Say”, „Man With a Broken Match”) 4/15/63. „Worlds of Tomorrow”, czerwiec 1964.

ORFEUSZ O GLINIANYCH STOPACH („Orpheus with Clay Feet”) 4/16/63 [opublikowane w „Escapade” około 1964 pod pseudonimem Jack Dowland].

CZASY SWAWOLNEJ PAT („The Days of Perky Pat”, „In the Days of Perky Pat”) 4/18/63. „Amazing”, grudzień 1963.

*Pomysł na opowiadanie „Czasy Swawolnej Pat” przyszedł mi do głowy, gdy ujrzałem dzieci bawiące się lalkami Barbie. Najwyraźniej superrozwinęte anatomicznie lalki nie były pierwotnie przeznaczone na użytek dzieci, a przynajmniej — co wydaje się bardziej trafne — nie powinny być. Barbie i Ken to dwie dorosłe osoby w miniaturze. Zabawa polegała na tym, że skoro mieli prowadzić styl życia, do którego byli przyzwyczajeni, należało kupować im niezliczoną ilość nowych ubrań. Miałem wizję Barbie nachodzącej mnie nocą w sypialni, by oświadczyć: „Potrzebuję futra z norek” albo, co gorsza: „Hej, wielkoludzie, masz ochotę na przejażdżkę do Vegas moim jaguarem XKE?”. Balem się, że moja żona zastanie ją w sypialni, co okaże się dla mnie tragiczne w skutkach.*

*Sprzedanie „Czasów Swawolnej Pat” do „Amazing” okazało się trafnym posunięciem, ponieważ ówczesnym wydawcą — jednym z najlepszych w branży — była Cele Goldsmith. Avram Davidson z „Fantasy & Science Fiction” odrzucił opowiadanie, ale później przyznał, że gdyby słyszał o lalkach Barbie, przypuszczalnie by je kupił. Trudno mi było wyobrazić sobie kogoś, kto nie słyszał o Barbie. Ja sam nieustannie miałem do czynienia z nią i jej*

kosztownymi zakupami. To było równie nieprzyjemne, jak ciągle włączony telewizor; on wciąż czegoś potrzebował, podobnie jak Barbie. Zawsze wychodziłem z założenia, że Ken sam powinien kupować sobie odzież.

W tamtych czasach — we wczesnych latach sześćdziesiątych — dużo pisałem, większość moich najlepszych opowiadań i powieści pochodzi właśnie z tamtego okresu. Żona nie pozwalała mi pracować w domu, toteż za dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie wynajmłem niedużą chatę i każdego ranka udawałem się w jej kierunku. Była położona na wsi. Po drodze widziałem jedynie kilka krów na pastwisku oraz moje stado owiec, których jedynym zajęciem było dreptanie za owcą z dzwonkiem na szyi. Siedząc cały dzień w pustej chacie, czułem się bardzo samotny. Być może tęskniłem za Barbie, która została z dziećmi w dużym domu. Kto wie, może „Czasy Swawolnej Pat” wyrosły z takiej właśnie rozmarzonej tęsknoty; z przyjemnością ujrzałbym Barbie — albo Swawolną Pat czy Towarzyską Connie — na progu mojej samotni.

Zamiast niej ujrzałem jednak coś straszego: twarz Palmera Eldritch'a, co stało się podstawą do napisania powieści „Trzy Stygmaty Palmera Eldritch'a”, wysnutej z opowiadania o Swawolnej Pat.

Któregoś dnia szedłem polną drogą w stronę chaty, gdzie czekało mnie osiem godzin pisanie w całkowitym odosobnieniu. Spojrzałem w niebo i zobaczyłem twarz. Tak naprawdę to wcale jej nie widziałem, ale jednak tkwiła tam i nie należała do człowieka; był to obraz zła doskonałego. Teraz rozumiem (tak jak i wówczas mglście zdałem sobie z tego sprawę), co sprawiło, że ją ujrzałem: miesiące samotności, brak kontaktu — uczuciowego kontaktu — z ludźmi... tak czy inaczej, trudno zaprzeczyć realności owej wizji. Twarz była ogromna, wypełniała jedną czwartą nieba. Zamiast oczu widniały puste szczeliny — była niczym metalowy odlew o okrutnym wyrazie; co gorsza, miałem przed sobą oblicze Boga.

Pojechałem do episkopalnego kościoła Saint Columbia i porozmawiałem z księdzem. Doszedł do wniosku, że zobaczyłem szatana i udzielił mi namaszczenia — nie ostatecznego, lecz uzdrawiającego. Nic nie pomogło, metalowe oblicze nadal tkwiło na swoim miejscu. Każdego ranka przemierzałem drogę do chaty pod jego baczny spojrzeniem.

Wiele lat później — długo po tym, jak napisałem „Trzy Stygmaty Palmera Eldritch'a” i po raz pierwszy sprzedałem powieść wydawnictwu Doubleday — natknąłem się na zdjęcie tamtej twarzy w magazynie „Life”. Była to po prostu zbudowana przez Francuzów kopia obserwacyjna nad Marną. Mój ojciec wziął udział w drugiej bitwie nad Marną; należał do piątego oddziału marynarki wojennej, jednej z pierwszych grup żołnierzy amerykańskich, która walczyła w tej strasznej wojnie. Kiedy byłem mały, pokazał mi swój mundur i maskę gazową oraz cały sprzęt do filtrowania gazu i opowiadał, jak podczas ataku gazowego, gdy opary dostawały się do układów filtrujących, ogarnięci paniką żołnierze zdzierali maski i rzucali się do ucieczki. Gdy słuchałem tych historii jako dziecko i patrzyłem, jak ojciec bawi się maską i hełmem, ogarniał mnie niepokój; największy strach czu-

łem jednak wtedy, kiedy ojciec nakładał maskę. Jego twarz znikła. Przystawał być moim ojcem. Przystawał być człowiekiem. Miałem zaledwie cztery lata. Potem rodzice rozwiedli się i nie widziałem ojca przez wiele lat. Lecz widok jego twarzy zasłoniętej maską zmieszany z historiami ludzi o rozprutych brzuchach, ludzi zmasakrowanych szrapnelami powrócił do mnie dziesiątki lat później, w 1963 roku — kiedy chodziłem samotnie polną drogą, nie mając z kim zamienić słowa — w postaci metalowego, nieludzkiego oblicza, transcendentnego i na wskroś złego.

Postanowiłem egzorcyzmować je za pomocą pisania, i tak też uczyniłem, dzięki czemu twarz znikła. Widziałem jednak wcielenie zła; powiedziałem wtedy i mówię teraz: „Zło ma twarz z metalu „. Jeśli chcecie przekonać się na własne oczy, przyjrzyjcie się starożytnym greckim maskom wojennym. Gdy ludzie pragną wzbudzać strach i zabijać, nakładają takie właśnie metalowe twarze. Krzyżacy, z którymi walczył Aleksander Newski, również je nosili; gdybyście widzieli film Eisensteina, wiedzielibyście, o czym mówię. Wszyscy wyglądali tak samo. Pisząc „Trzy Stygmaty Palmera Eldritcha” nie znałem „Aleksandra Newskiego” lecz oglądając go później, ujrzałem to, co wisiało na niebie w 1963 roku, to, w co zamieniał się mój ojciec, gdy byłem dzieckiem.

Tak więc „Trzy Stygmaty Palmera Eldritcha „to powieść powstała na gruncie atawistycznych lęków, lęków, których korzenie sięgają mojego wczesnego dzieciństwa oraz które są bez wątpienia związane z żalem i samotnością spowodowanymi rozstaniem rodziców. W powieści mój ojciec pojawia się zarówno jako Palmer Eldritch (zły ojciec, diaboliczny ojciec — maska) oraz Leo Bulero, czuły, gburowaty, ciepły, ludzki, kochający człowiek. Powieść powstała na tle najsilniejszego z możliwych lęków; w 1963 roku dałem wyraz uczuciu osamotnienia, którego doświadczyłem wraz z utratą ojca, a wyrażone w niej strach i zgroza to nie fikcyjne sentymenty wyprodukowane na użytek czytelnika; pochodzą z samego wnętrza mnie, z tęsknoty za dobrym ojcem i strachu przed złym, który mnie opuścił.

W opowiadaniu „Czasy Swawolnej Pat” odnalazłem mechanizm, który przetransponowałem na tematyczne tło mającej powstać książki. Teraz widzicie, że Swawolna Pat to głos natchnienia, *das ewige Weiblichkeit* — „wieczna kobiecość”, jak napisał Goethe. Powieść powstała w wyniku samotności, a opowiadanie w wyniku tęsknoty; tak więc powieść to mieszanina strachu przed porzuceniem oraz fantazja na temat kobiety, która na was czeka — gdzieś, lecz tylko Bóg wie gdzie; jeszcze na to nie wpadłem. Ale jeśli całymi dniami siedzicie sami jak palec przy maszynie do pisania, tworząc jedno opowiadanie za drugim, i nie ma przy was nikogo, z kim moglibyście porozmawiać, choć jednocześnie macie żonę i cztery córki, z których domu zostaliście wyrzuceni, oddelegowani do niewielkiej chatki, gdzie w zimie panuje taki chłód, że atrament dosłownie zamarza na taśmie maszyny, cóż, wówczas pisanie o stalowych obliczach i ciepłych, młodych kobietach jest nieuniknione. Podobnie postąpiłem i ja. Nadal to robię.

Reakcje na „Trzy Stygmaty Palmera Eldritch’a” były mieszane. W Anglii kilku krytyków określiło powieść jako bluźnierstwo. Terry Carr, który był wtedy moim agentem w agencji Scott Meredith, powiedział mi później: „Ta powieść jest szalona”, choć zaraz potem wycofał się z tej opinii. Niektórzy krytycy uznali powieść za głęboką. Według mnie jest po prostu przerażająca. Przeczytanie szczotek było z tego powodu zadaniem ponad moje siły. Wówczas odbierałem ją jako mroczną podróż w świat mistycyzmu, niesamowitości i zła. Powiedzmy, że chciałbym, aby w drzwiach stanęła Swawolna Pat, lecz na odgłos pukania ogarnia mnie lęk, że zamiast niej ujrzę na progu Palmera Eldritch’a. Szczerze mówiąc, mniej więcej przez siedemnaście lat, które upłynęły od napisania książki, nie pojawiło się żadne z nich. Chyba w tym zawiera się cała treść życia: to, czego najbardziej się boisz, nigdy się nie zdarza, podobnie jak to, za czym najbardziej tęsknisz. Oto różnica pomiędzy życiem i fikcją. Przypuszczam, że równowaga zostaje zachowana. Choć nie jestem pewien. (1979)

STAN GOTOWOŚCI („Stand-By”, „Top Stand-By Job”) 4/18/63. „Amazing”, październik 1963.

CO ZROBIMY Z RAGLANDEM PARKIEM? („What’11 We Do With Ragland Park?”, „No Ordinary Guy”) 4/29/63. „Amazing”, listopad 1963.

BLOBLEM BYĆ... („Oh, To Be A Blobel!”, „Well, See, There Werę These Blobels...”) 5/6/63. „Galaxy”, luty 1964.

Na początku mojej kariery pisarskiej we wczesnych latach pięćdziesiątych „Galaxy” stanowiła moją główną ostoję ekonomiczną. Horace Goldz „Galaxy” lubił moją twórczość, podczas gdy John W. Campbell, Jr. z „Astounding” uważał ją nie tylko za bezwartościową, ale, jak to określił, za „porąbaną”. Ogólnie rzecz biorąc, lubiłem czytać „Galaxy” z uwagi na szeroką gamę prezentowanych pomysłów z pogranicza socjologii i psychologii, w czasie gdy Campbell (jak sam kiedyś do mnie napisali) uważał psionizm za konieczną otoczkę science fiction. Poza tym, jak utrzymywał Campbell, bohater o zdolnościach psi miał ponosić odpowiedzialność za opisywane wydarzenia. Tak więc „Galaxy” dawało pewną swobodę, w przeciwieństwie do „Astounding”. Niemniej jednak strasznie pokłóciłem się z Horace’em Goldem, miał zwyczaj zmieniania opowiadań bez wiedzy autora: dodawał sceny, postaci, albo usuwał pesymistyczne zakończenia na korzyść optymistycznych. Wielu pisarzy sprzeciwiało się temu. Ja uczyniłem więcej; pomimo faktu, że „Galaxy” stanowiło moje główne źródło dochodu, oświadczyłem Go Idowi, że jeśli nie przestanie zmieniać moich utworów, nie sprzedam mu nic — w rezultacie czego nie kupił już ode mnie ani jednego opowiadania.

Powtórnie ukazały się na łamach „Galaxy” dopiero wtedy, gdy wydawcą czasopisma został Fred Pohl. „Bloblem być...” to opowiadanie, które Pohl zakupił. Na pierwszy plan wy-

suwa się w nim moje potężne nastawienie antywojenne, nastawienie, które, o ironio!, odpowiadało Goldowi. Nie miałem na myśli wojny w Wietnamie, lecz wojnę w ogóle, zwłaszcza sposób, w jaki zmusza cię do tego, abys stał się taki sam jak twój wróg. Hitler powiedział kiedyś, że największym sukcesem nazistów byłoby zmusić wroga, w szczególności Stany Zjednoczone, by wiedziony pragnieniem zwycięstwa zaczął przypominać Trzecią Rzeszę — czyli społeczeństwo totalitarne. Czyli Hitler spodziewał się wygrać nawet mimo przegranej. Obserwując rozwój amerykańskiego przemysłu wojskowego po drugiej wojnie światowej, przypomniałem sobie analizę Hitlera i nie mogłem oprzeć się myśli, jaką ten sukinsyn miał rację. Pobiliśmy Niemców, lecz zarówno Stany Zjednoczone, jak i Związek Radziecki podczas swojego wyścigu zbrojeń z każdym dniem coraz bardziej upodabniały się do nazistów. Odniosłem wrażenie, że tkwi w tym szczypta humoru. Być może mógłbym o tym napisać bez wdawania się w zbyt daleko idącą polemikę, Lecz problem przedstawiony w opowiadaniu istnieje naprawdę Spójrzcie, czym musieliśmy się stać w Wietnamie po to, by przegrać, cóż więc mówić o zwycięstwie; wyobrażacie sobie, do czego by doszło w razie wygranej? Hitler zarykiwałby się ze śmiechu i to my stalibyśmy się obiektem jego kpin... tak właściwie, to już nim jesteśmy. Śmiech zaś byłby głuchy i ponury, pozbawiony krzty rozbowienia. (1979)

Uchwyciłem tu bezsensowną ironię wojny; człowiek zamienia się w Blobla, Blobl zaś, jego wróg, w człowieka. Mamy tu wszystko: daremność, czarny humor, głupotę. Koniec końców jednak wszyscy żyją długo i szczęśliwie. (1976)